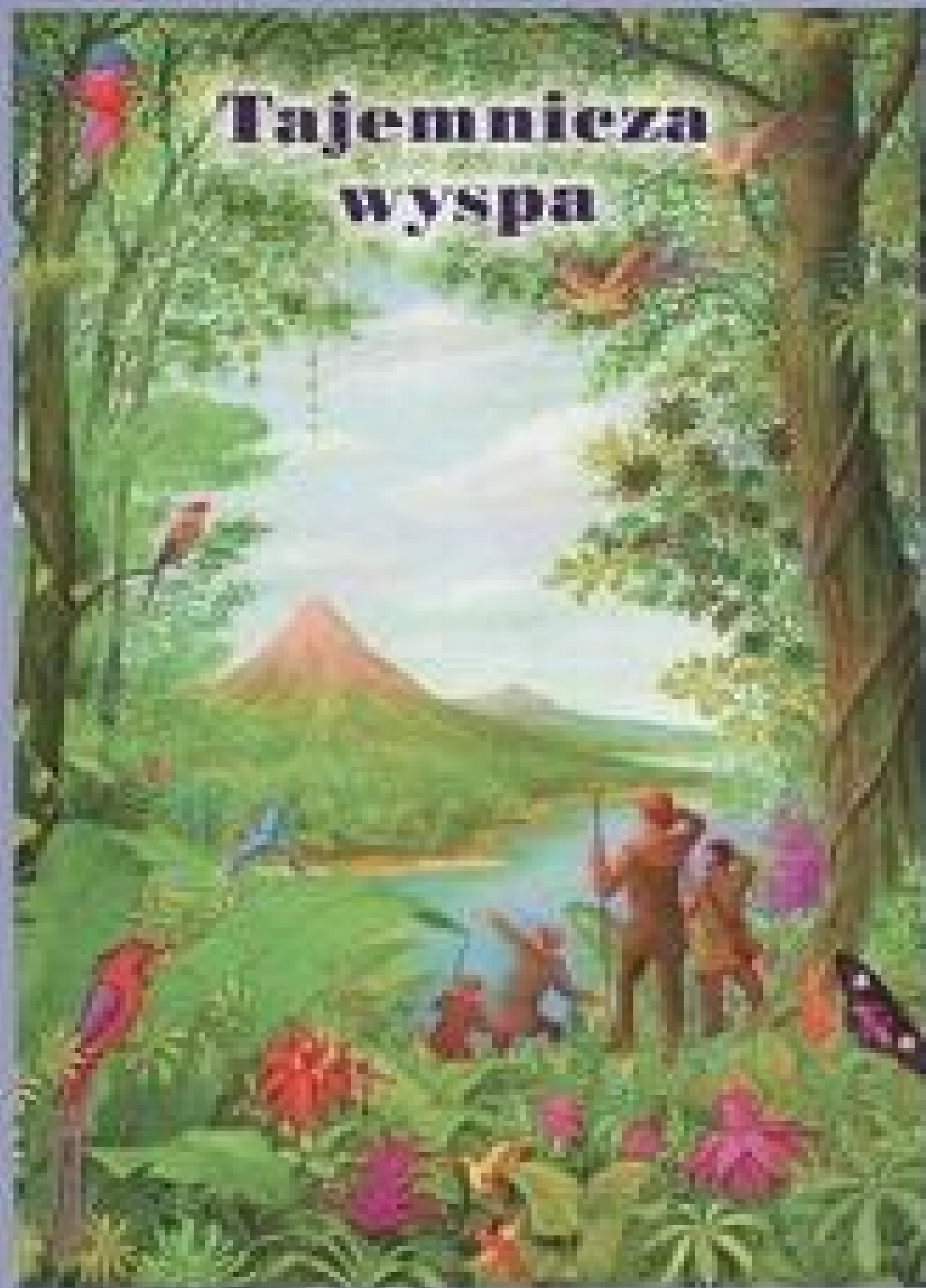


# Tajemnicza wyspa



ROZBITKOWIE POWIETRZNI. ROZDZIAŁ PIERWSZY. Huragan w 1865 roku. Krzyk w przestworzach. Balon uniesiony trąbą powietrzną. Rozdarta powłoka. Jak okiem się patrzy wszędzie morze. Pięciu pasażerów. Co się dzieje w koszu? Ląd na horyzoncie. Zakończenie dramatu. znosimy się? Nie! Przeciwnie! Opuszczamy się? Gorzej, panie Cyrusie! Spadamy! Na Boga! Wyrzucić balast! Ostatni worek opróżniony! Czy balon wznosi się? Nie! Szybko jak gdyby plusk fali! Pod koszem morze! Już tylko o jakieś powietrze stąd nami! W powietrzu rozległ się donośny głos: Za burtę wszystko, co obciąża balon! Wszystko! I niech się dzieje wola boża! Te oto słowa rozległy się ponad niezmierną pustynią wodną Pacyfiku w dniu 23 marca 1865 roku około godziny czwartej po południu. Zapewne wszyscy pamiętajecie potężny wichurę północno-wschodnią, która szalała w owym roku w czasie wiosennego przesilenia dnia z nocą, kiedy to barometr spadł do siedmiuset dziesięciu milimetrów. Huragan trwał bez przerwy od 18 do 26 marca i spowodował olbrzymie zniszczenia w Ameryce, Europie i Azji, w pasie szerokości tysiąc ośmiuset mil, przebiegającym ukośnie przez rękaw od trzydziestego piątego stopnia szerokości północnej do czterdziestego stopnia szerokości południowej. Zburzone miasta, lasy powyrywane z korzeniami, wybrzeża spustoszone zwałami wody, które runęły w szalonym pędzie na ląd, okrętu rzucone o brzeg, których liczba według danych biura "Veritas" wynosiła kilkaset, całe kraje zrębane z ziemi przez trąbę powietrzną, między innymi wszystko na swej drodze, tysiące ludzi zabitych na ziemi lub pochłoniętych przez morze: takie oto świadectwo swej furii pozostawił po sobie ten potworny huragan. Pod względem ogromu zniszczeń zwykły są huragany, które tak straszliwie spustoszyły 25 października 1810 roku Hawaje 26 lipca 1825 roku Gwadelupę. Otóż chwili kiedy tyle klęsk wydarzyło się na lądzie i na morzu, nie mniej wstrząsający dramat rozegrał się rozszalałych przestworzach. W tym właśnie czasie balon, uniesiony jak piłka na wierzchołek trąby powietrznej i porwany ruchem wirowym, pędził z szybkością dziesięciu mil na godzinę kręcił się około swej osi, jak gdyby unoszony malstromem powietrznym. Pod rękawem balonu kołysał się, w którym znajdowało się pięciu pasażerów ledwo widocznych w rękawie mgły, sięjącej aż do fal oceanu i zmieszanej z kropelkami rozpylonej wody morskiej. Skąd przybywał ten statek powietrzny, który stał się graską straszliwej nawałnicy? Z jakiego punktu kuli ziemskiej wystartował? Nie możemy oczywiście, odlecieć podczas huraganu. A ponieważ huragan trwał już od pięciu dni, gdy pierwsze jego objawy wystąpiły 18 marca, należało przypuszczać że balon pochodził z bardzo daleka, nie mógł bowiem przelatywać nie więcej niż dwieście mil na dobę. W każdym razie pasażerowie balonu byli pozbawieni wszelkiej możliwości określenia drogi przebytej od chwili odlotu, gdy nie mieli żadnego punktu orientacyjnego. Ponadto, zawieszeni w samym środku szalejącej burzy, nie czuli jej gwałtowności. Lecieli kręcić się kółkiem i nie zdawali sobie sprawy ani z wirowania, ani z ruchu w kierunku poziomym. Wzrok ich nie mógł przebić rękawie mgły, która sięgała się pod koszem balonu. Wszystko wokół nich tonęło w mroku. Nieprzeniknione chmury, które ich otaczały, nie pozwalały im się orientować czy było dzień czy noc. Dopóki utrzymywali się tak wysoko, do mrocznej otchłani, w której się znajdowali, nie docierała ani promyk światła, ani żaden odgłos z zamieszkałych obszarów, ani nawet ryk oceanu. Dopiero nagłe obniżenie się balonu nasunęło im myśl o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli lecąc nad falami. Tymczasem balon po wyrzuceniu ciężkich przedmiotów jak amunicja, broń i żywność wzbił się gwałtownie na wysokość czterech i pięćset stóp. Pasażerowie zorientowali się dopiero pod koszem jest morze i że w głąb grozi im mniejsze niebezpieczeństwo niż na dole, bez wahania wyrzucili za burtę wszystkie, najbardziej nawet potrzebne przedmioty, byle tylko zmniejszyć uchodzenie gazu, tej duszy balonu utrzymującego ich ponad odmętami. Tak upłynęła noc w rękawie, która okazała się

się a pewno zab... dla ludzi sabszego ducha. 24 marca z nastaniem dnia huragan zaczął jak gdyby s... mo... na by... zauwa... ewne objawy przesilenia. O... wicie chmury sta... si... ejsze i podnios... y si... y... ej. W ci... gu dalszych kilku godzin tr... ba powietrzna rozszerzy... a si... za... ama... a. Huragan przemieni... si... silny wiatr, zwany przez marynarzy... wiatrem na trzy refy \*", a warunki atmosferyczne bardzo si... oprawi... y. Szybko... rzesuwania si... arstw powietrza spad... a do po... owy. Oko... o jedenastej dolne warstwy powietrza znacznie si... rzeja... ni... y. Atmosfera by... a czysta i przesycona wilgoci... , nieomal widoczn... i wyczuwaln... , jak po przej... cciu wielkich meteor... Huragan nie przesun... si... dalej na zach... wydawa... o si... e po prostu nagle zamar... ; mo... e roz... adowa... si... falach elektrycznych po za... amaniu si... r... by powietrznej, tak jak to bywa niekiedy z tajfunami \*\* na Oceanie Indyjskim. Ale w... a... nie teraz mo... na by... o wyra... nie stwierdzi... e balon opada ci... g... ym, powolnym ruchem. Gaz poma... u z niego uchodzi... , a pow... oka wyd... u... a... a si... rozci... ga... a zmieniaj... c kszta... t z kulistego na jajowaty. Ko... o po... udnia statek powietrzny szybowa... ju... tylko na wysoko... ci dw... tysi... st... onad powierzchni... morza. Pojemno... alonu wynosi... a pi... ziesi... t tysi... st... ze... ciennych i tylko dzi... temu m... on tak d... ugo utrzyma... i... powietrzu b... d... wnosz... c si... a znacz... wysoko... b... d... te... przesuwaj... c si... kierunku poziomym. Pasa... erowie wyrzucili do morza reszt... rzedmiot... ostatnie zapasy... ywno... ci obci... e... aj... ce jeszcze kosz, wszystko a... do najmniejszych drobiazg... jakie mieli w kieszeniach. Jeden z nich wdrapa... si... a pier... cie... o kt... o by... y przytwierdzone sznury siatki, i usi... owa... mocno zawi... za... w. By... o oczywiste, ... e pasa... erowie nie utrzymaj... ju... d... u... ej balonu w g... ch warstwach atmosfery. Byli zatem skazani na zag... ad... Istotnie, nie widzieli pod sob... ani l... du, ani nawet wysepki. Na ca... ej przestrzeni nie by... o ani jednego punktu do l... dowania, ani kawa... ka sta... ego gruntu, o kt... mo... na by zaczepi... otwic... W dole hucza... o niezmiernie morze, a jego fale wci... e... jeszcze zderza... y si... niezwyk... gwa... towno... ci... . Pod nimi rozci... ga... si... cean, kt... o brzeg... ie mogli dostrzec, chocia... znajdowali si... a znacznej wysoko... ci, a wzrok ich obejmowa... przestrze... promieniu czterdziestu mil! By... a to r... na wodna, smagana bezlito... nie przez huragan, kt... wygl... da... a, jak gdyby cwa... owa... y po niej spienione fale, poprzecinane smugami bia... ych grzebieni. Jak okiem si... e... nie wida... y... o ani skrawka ziemi, ani statku. Nale... a... o wi... za wszelk... cen... owstrzyma... padanie balonu i nie dopu... ci... aby zagarn... go fale. Tote... ludzie znajduj... cy si... koszu byli poch... oni... t... najwa... niejsz... dla nich spraw... . Jednak pomimo ich wysi... k... alon stale opada... , a r... cze... nie, p... ony wiatrem, posuwa... si... wielk... szybko... ci... z p... cnego wschodu na po... udniowy zach... W jak... e strasznej sytuacji znale... li si... ieszcz... iwi podr... ! Nie panowali ju... nad swym statkiem powietrznym. Wszystkie ich wysi... ki sz... y na marne. Pow... oka balonu wiotcza... a coraz bardziej. Gaz uchodzi... i w... aden spos... ie mo... na go by... o powstrzyma... Tempo opadania by... o coraz szybsze i o pierwszej po po... udniu kosz znajdowa... si... u... tylko na wysoko... ci sze... ciuset st... ad oceanem. W istocie nie by... o sposobu, aby zapobiec uchodzeniu gazu, kt... bez przeszk... ydobywa... si... rzez rozdart... pow... ok... alonu. Po wyrzuceniu z kosza wszystkich przedmiot... kt... si... nim znajdowa... y, pasa... erowie mogliby jeszcze przez kilka godzin utrzyma... i... powietrza. Ale mog... o to najwy... ej op... e... ieuniknion... katastrof... gdyby przed nastaniem zmroku nie ukaza... si... aki... l... d, to zar... pasa... erowie, jak kosz i balon znikn... by w odm... ch. Tote... wszystko, co mo... na by... o jeszcze uczyni... zosta... o niezw... ocznie zrobione. Aeronauci byli lud... mi dzielnymi i umieli patrze... mierci w oczy. Z ich ust nie pad... o ani jedno s... owo skargi. Postanowili walczy... o ostatniej sekundy i zrobi... szystko, aby odwlec upadek balonu. Kosz by... czym... w rodzaju skrzyni z wikliny, nie m... zatem p... ywa... w razie katastrofy nie by... o mo... no... ci utrzymania go na powierzchni morza. O godzinie drugiej balon

znajdowa si u tylko na wysoko ci czterystu st onad wod . W tym momencie rozleg si i gos gos cz owieka, kt o serce nie zna o trwogi. Odpowiedzia y mu gosy nie mniej mocne. Czy wszystko wyrzucone? Nie, pozosta o jeszcze dziesi tysi frank z ocie! . Ci i worek natychmiast polecia do morza. Czy balon wznosi si ? Troch ale niebawem zn padnie! Co jeszcze mamy do wyrzucenia? Nic! Mamy! Kosz! Uczepmy si iatki. A kosz do morza! By to istotnie jedyny i ostatni spos dci enia balonu. Przeci sznury przytwierdzaj ce kosz do pier cienia i statek powietrzny wzbi si dwa tysi ce st Pi u pasa er drapa o si a siatk owy ej pier cienia i uczepiwszy si ej, spogl da o w otch a . Jest rzecz powszechnie znan , jak czu e na obci enie s statki powietrzne. Wystarczy wyrzuci nich najl ejszy przedmiot, eby spowodowa kok w g Statek szybuj cy w powietrzu zachowuje si ak najbardziej precyzyjna waga. Gdy si o pozbawia wi zego ci ru, nast je znaczna i gwa towna zmiana po o enia. Tak si e sta o i tym razem. Niestety, balon utrzyma si r r w g i zacz z zn pada . Gaz uchodzi przez rozdarcie, kt o nie mo na by o naprawi . Pasa erowie zrobili wszystko, co le a o w ich mocy. Nie by o ju si y ludzkiej, kt mog aby ich uratowa . Mogli jedynie liczyc a pomoc bosk . O godzinie czwartej balon znajdowa si u znowu na wysoko ci zaledwie pi uset st onad powierzchni wody. Nagle rozleg o si ono ne szczekanie. Pasa erom towarzyszy pies, kt uczepi si znur iatki tu obok swojego pana. Top co zauwa y! krzykn jeden z pasa er . I zaraz potem usyszano dono ny gos: Ziemia! Ziemia! Balon, p ony wichrem w kierunku po udniowo-za chodnim, przeby od witu przestrze nosz c setki mil. Jednak e zauwa ony l d znajdowa si eszcze o jakie trzydzie ci mil od nich. Dolecie o niego mo na by o najwcze niej za godzin i to pod warunkiem utrzymania kierunku lotu. Jeszcze godzina! Ale czy przed up ywem tego czasu balon nie utraci resztek gazu? Pytanie pe ne grozy! Pasa erowie wyra nie widzieli skrawek ziemi, do kt o trzeba by o dotrze a wszelk cen . Nie wiedzieli, co to by o, wyspa czy kontynent, gdy nie orientowali si na jak cz kuli ziemskiej zap i ich huragan. A jednak bez wzgl na to, czy l d by zamieszkany, czy bezludny, czy oka e si o cinny, czy wrogi, nale a o do niego dotrze o godzinie czwartej sta o si czywiste, e balon nie utrzyma si u w powietrzu. Dotyka prawie powierzchni morza. Grzebienie pot ych fal ju kilkakrotnie lizn doln cz siatki, przez co sta a si na jeszcze ci za i balon podrywa si trudem jak zraniony ptak. Po up ywie p odziny ziemia by a ju tylko o mil lecz balon, zwiotcza y, sp aszczony, zmi i pofa dowany, utrzyma odrobin azu tylko w g j swej cz i. Uczepieni siatki pasa erowie stanowili teraz zbyt wielkie obci enie, tote wrk , na wp anurzeni w morzu, poczuli na sobie w ciek e smaganie fal. Pow oka balonu zapad a si a kszt t worka, a wiatr wpadaj c w utworzone wg enie popycha go jak aglowiec. Mo e w ten spos da si otrze o brzegu? i oto gdy balon znajdowa si odleg o ci zaledwie dw kalbli \* od l du, z czworga piersi wydar si czesnie okrzyk przera enia. Balon, kt jak si ydawa o nie m ju ' unosi i powietrzu, podrzuony z nag a pot fal , nieoczekiwanie poderwa si g . Jak gdyby zn ozbywszy si z i obci enia, wzbi si a wysoko ysi ca pi uset st tutaj natrafi na inny kierunek wiatru, kt zamiast pchn o wprost na l d, p"op i prawie r legle do brzegu. W ko po paru minutach balon zbli y si ko nie do l du i opad na piasek wybrze a ju poza zasi em fal. Pomagaj c sobie wzajemnie, pasa erowie wypl tali si e sznur iatki. Balon, uwolniony od ich ci ru, zosta uniesiony przez wiatr i jak zraniony ptak, kt na chwil dzyskuje ycie, znikn w przestworzach. W koszu by o pi u pasa er pies, balon za wyrzuci na brzeg tylko czterech ludzi. Pasa er, kt o brakowa o, zosta prawdopodobnie porwany fal ,

któś smagnął siatkę i to widać nie sprawiło, że balon, cząstowo odcięty, wzbił się jeszcze, a potem po kilku chwilach dotarł do brzegu. Gdy tylko czczonej rozbitkowie dotknęli stopą ziemi, wszyscy zawołali z myślą o nieobecnych towarzyszu: "Może usiędzie do brzegu wpław! Ratujmy go! Ratujmy! ROZDZIAŁ, DRUGI. Epizod z wojny secesyjnej. Inżynier Cyrus Smith. Gedeon Spilett. Murzyn Nab. Marynarz Pencroff. Młody Harbert. Nieoczekiwana propozycja. Spotkanie o godzinie dziesiątej wieczorem. Odlot podczas nawałnicy. Ludzie, których huragan wyrzucił na wybrzeże, nie byli ani zawodowymi aeronautami, ani nawet amatorami wypraw powietrznych. Byli to jeńcy wojenni, których do ucieczki w tak niezwykłych warunkach pchnęła odwaga. Setki razy mieli już zginąć. Setki razy rozdarty balon powinien był stracić w otchłamecz nieba zgotowały im dziwny los i po ucieczce w dniu 20 marca z Richmondu, obleganego przez oddziały generała Ulissesa Granta, znaleźli się w odległości siedmiu tysięcy mil od stolicy Wirginii, gdzie twierdzy separatystów czasie wojny secesyjnej \*. Podróż powietrzna trwała cztery dni. Oto w jakich niezwykłych okolicznościach nastąpiła ucieczka jeńców, która miała się skończyć katastrofą. W lutym 1865 roku, w czasie jednego z ataków generała Grant na przetransportowanie dla zawładnięcia Richmondem, wielu jego oficerów dostało się do rąk wroga i zostało internowanych w mieście. Jednym z najwybitniejszych jeńców był członek sztabu generalnego, Cyrus Smith. Cyrus Smith, rodem z Massachusetts, był inżynierem, uczonym wielkiej miary; rząd Unii powierzył mu podczas wojny kierownictwo kolejami, których znaczenie strategiczne było ogromne. Z wyglądu był to typowy Amerykanin z Północy, chudy, kościsty, w wieku około czterdziestu pięciu lat, o szpakowatych, krótko ostrzyżonych włosach i siwiejącym zarostem, którego pozostawiając jedynie bujne włosy. Miała piętę "numizmatyczną" górował jakby stworzony do tego, by ją wybijał medalami, oczy pomienne, usta surowe, twarz uczonego ze szkła wojowniczych. Był jednym z tych inżynierów, którzy zaczynają swoją karierę od młota i kilofa, podobnie jak niektórzy generałowie rozpoczynają swoją karierę od zwykłego żołnierza. Dlatego też posiadał nie tylko wybitną wiedzę, ale niezwykle sprawne ręce. Jego mięśnie były bardzo wyrobione. Prawdziwy człowiek czynu, a zarazem myśliciel, który przechodził do działania dzięki swej niezwykłej sile psychicznej i odznaczał się wytrwałością, pokonując wszelkie przeciwności. Wysoce wykształcony, bardzo praktyczny, "sprytny", jak to się mówi w wojsku, miał wspaniałe usposobienie; panował nad sobą w każdej okoliczności, a jednocześnie odpowiadał w najwyższym stopniu trzem warunkom, których połączenie stanowi o dzielności człowieka: posiadał sprawną myśl i ciało, gwałtowność i wytrwałość. Jego dewizą mogłyby być słowa wypowiedziane w siedemnastym wieku przez Wilhelma Oranżego \*: "Niepotrzebna mi jest nadzieja po to, by coś przedsięwziąć i nie muszę się liczyć z powodzeniem, a żeby wytrwał Cyrus Smith był tak samo uosobieniem odwagi. W czasie wojny secesyjnej brał udział we wszystkich bitwach. Rozpoczął swoją karierę wojskową pod dowództwem Ulissesa Granta w oddziale ochotników Illinois, bitwę pod Paducah, pod Belmontem, pod Pittsburgh-Landing, podczas oblężenia Corinthu, pod Port Gibson, nad Czarną Rzeką, pod Chattanooga, Wilderness, nad Potomakiem, słowem wszędzie, i to zawsze jednakowo dzielnie, jak żołnierz godny dowódcy, który mówi: "Nigdy nie liczę swoich zabitych!" Setki razy Cyrus Smith powinien był znaleźć się wśród tych, których nie liczy" straszliwy generał Grant; jednakże w walkach, w których nigdy się nie oszczędzał, szczęście sprzyjało mu do chwili, gdy został ranny i wzięty do niewoli na polu bitwy pod Richmondem. W tym samym czasie, co Cyrus Smith, a nawet tego samego dnia, inna wybitna osobistość padła w ręce południowców. Był to Gedeon Spilett, znany reporter gazety New York Herald, którego zlecono przebywanie w armii północnej w celu obserwowania

wypadkach wojennych. Gedeon Spilett należał do typu tych zdumiewających dziennikarzy angielskich czy amerykańskich w rodzaju Stanleya \*\*, który nie cofał się przed niczym, gdy chodzi o otrzymanie dokładnej informacji i przekazanie jej w jak najkrótszym czasie swojej gazecie. Dzienniki Stanu na przykład New York Herald, to prawdziwe potęgi, a wysłannicy ich są ludźmi, z którymi się wszyscy liczą. Pośród tych wysłanników Gedeon Spilett zajmował jedno z pierwszych miejsc. Człowiek, który przemierzył cały świat, wielce zasłużony, energiczny, bystry i gotowy na wszystko, zawsze pełen konceptów i pomysłów i artysta, gorący w radzie, zdecydowany w czynie. Spilett nie liczył się z kłopotami, trudami ani z niebezpieczeństwem, gdy chodziło o zebranie wieści przede wszystkim dla siebie samego, a następnie dla swojego dziennika; prawdziwy tropiciel ciekawostek, informacji, nie ogłoszonych wiadomości, rzeczy nieznanych i nieprawdopodobnych, należał do tych nieustraszonych obserwatorów, co to pisze pod kulami, bawi się kronikarzy wstrząsających pociskami a każde niebezpieczeństwo uważają za szczęśliwy traf! Spilett także brał udział we wszystkich bitwach, zawsze w pierwszym szeregu, z pistoletem w jednym ręku, a notatnikiem w drugim; ostatecznie nigdy nie zadrżał w jego palcach, gdy rozrywały się sztuczki. Nie zajmował przewodniczących ciągłymi depeszami jak ci, co dużo mówili wtedy, gdy nie mają nic do powiedzenia; za to każda z jego krótkich, zwięzłych i prostych notatek rzucała snop światła na jakiś ważny problem. Nie brakowało mu także poczucia humoru. On to w dzień po bitwie nad Czarną Rzeką, pragnąc za wszelką cenę przetrzymać miejsce przy okienku urzędu pocztowego, a żeby zawiadomić gazetę wyniku walki, przez dwie godziny nadawał telegraficznie pierwsze rozdziały Biblii. Kosztowało to gazetę New York Herald dwa tysiące dolarów, ale te New York Herald pierwszy otrzymał informacje. Gedeon Spilett miał pięćdziesiąt cztery lata. Był wysokiego wzrostu, twarz jego okalały zmarszczki, wpadające w rudawy odcień kobrody. Spojrzenie miał spokojne, oczy bystre, łatwo przenoszące się z jednego przedmiotu na drugi. Był to oczywiście człowiek, który ma zwyczaj szybko rejestrować wszystko, co się wokół niego dzieje. Był mocno zbudowany, zahartowany we wszystkich klimatach kuli ziemskiej jak stalowy pręt w zimnej wodzie. Gedeon Spilett już od dziesięciu lat był stałym reporterem New York Herald i wzbogacał to pismo zarówno artykułami, jak i rysunkami, gdy tak samo sprawnie wchodził ołtarzem, jak i piętą. W chwili kiedy go wzięto do niewoli, robił opis i szkic pola bitwy. Oto ostatnie słowa, zapisane w jego notatniku: "Jakiś podpułkownik mierzy we mnie i..." I oczywiście nie trafił w Gedeona Spiletta, który jak zwykle wy dostał się tej opresji bez jednego drażniaka. Cyrus Smith i Gedeon Spilett, którzy się nie znali osobiście, lecz dużo o sobie słyszeli, zostali obaj przewiezieni do Richmondu. Inżynierowi szybko goiła się rana i w dzień po wzięciu do niewoli zawarł znajomość z reporterem. Przypadli sobie do gustu i nabrali dla siebie nawzajem szacunku. Niebawem pochylił się ich całkowicie jeden wspólny cel: uciec, przyłączyć się do armii Granta i walczyć w jej szeregach o jedno z państw federalnych. Obydwaj Amerykanie byli zdecydowani skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji, ale chociaż przebywali na wolnej stopie, miasto było tak dokładnie strzeżone, że wszelkie usiłowania ucieczki były z góry skazane na niepowodzenie. W tym właśnie czasie do Cyrusa Smitha przedarł się jego sługa, oddany mu na życie. Tym sługą był Murzyn; syn niewolnika plantacji inżyniera, wyzwolony przed laty przez Smitha, którego całym sercem i duszą był za zniesieniem niewolnictwa. Pomimo uwolnienia Murzyn nie chciał opuścić swego pana, gdyż kochał go ponad życie. Miał lat trzydzieści, był silny, zwinny, zręczny, inteligentny, pogodny i spokojny, niekiedy naiwny, zawsze uśmiechnięty, uszczupiony i dobry. Miał na imię Abuchodonor, ale nazywano go krótko: Nab. Gdy Nab dowiedział się, że jego pan jest w niewoli, bez wahania opuścił Massachusetts i przybył w

okolice Richmondu. Przywołał na pomoc cały swó przyt i znowo wielokrotnie narażał życie, przedostał się koło oblężonego miasta. Trudno wyrazić słowami radość Cyrusa Smitha, gdy zobaczył swego sokoła, i opisał z czcią Naba, kiedy odnalazł swego pana. Chociaż Nabowi udało się przedostać do Richmondu, to jednak wydostanie się tego miasta było o wiele trudniejsze, jeź bowiem pilnowano jak oka w głowie. Trzeba było jakiegoś wyjątkowego zbiegu okoliczności, by próbie ucieczki mogła mieć odrobinę szans powodzenia, a taka sposobność tylko się nadarzała, ale nawet trudno było ją stworzyć. Tymczasem Grant dalej prowadzi energiczne działania wojenne. Kosztem ciężkich ofiar udało mu się zdobyć Petersburg \*. Pod Richmondem jednak, pomimo połączenia swoich wojsk z oddziałami Butlera, dotychczas nie osiągnął żadnych sukcesów, nie wrócił do szybkiego uwolnienia jeź. Dziennikarz, któremu nudzi się niewoli i nie miał już żadnego ciekawego tematu do reportażu, nie mógł wprost znaleźć sobie miejsca. Ogarnięty był całkowicie jedną jedyną myślą: wydostać się z Richmondu, i to za wszelką cenę. Kilkakrotnie już podejmował próby ucieczki, zawsze jednak napotykał przeszkody nie do przezwyciężenia. Oblężenie trwało i nie tylko jeź pilno było uciec, żeby wrócić do armii Granta, ale i niektórymi oblężonymi było nie mniej pilno wydostać się z miasta, aby przyłączyć się do armii secesjonistów. Wśród nich był pewien zarządcy południowiec, Jonathan Forster. A tymczasem sytuacja wyglądała tak, że nie tylko jeź nie mogli opuścić miasta, ale i południowcy także w nim byli uwięzieni, gdy armia północna trzymała ich w kleszczach. Gubernator Richmondu już dawno utracił całkowicie generałem Lee. Dlatego sprawdził nieszychanie wam było poinformować generała o sytuacji miasta, a żeby przyspieszyć posuwanie się armii z pomocą na odsiecz. Jonathan Forster wpadł więc na pomysł przedostania się samemu przez pozycje wojsk oblegających i dotarcia drogą powietrzną do obozu ich przeciwników. Gubernator przystał na ten projekt. Przygotowano balon i oddano go do dyspozycji Forstera, któremu udało się z pomocą trzech towarzyszy. Zaopatrzonego w broń wypadek, gdyby mieli stoczyć walkę przy lądowaniu, oraz w żywność, gdyby ich wyprawa miała się przedłużyć. Start balonu był wyznaczony na 18 marca w nocy i aeronauci liczyli na to, że przy umiarkowanym wietrze północno-wschodnim uda im się ciągu kilku godzin dotrzeć do kwatery generała Lee. Ten północno-wschodni wiatr nie był niestety zwykłym sobie bryzą. Począwszy od 18 marca zaczął nabierać cech huraganu. W krótkim czasie rozprząła się taka nawałnica, że musiano odwołać Forstera, gdyż niepodobna było ryzykować balonu i życia ludzkiego, powierzając je rozszalałemu żywiołowi. Balon wypełniony gazem był gotowy do startu i czekał na głównym placu Richmondu na pierwsze oznaki uciszenia się uraganu, a mieszkańcy miasta niecierpliwili się bardzo, widząc, że warunki atmosferyczne nie ulegają poprawie. Tak minęły 18 i 19 marca, a siła huraganu nie malała. Zabezpieczenie balonu, pozostającego na uwięź, sprawiało duże trudności, gdyż gwałtowne poddmuchy wiatru rzucały nim o ziemię. Minęła noc z dziewiętnastego na dwudziesty, ale rankiem huragan jeszcze bardziej przybrał na sile. Odłot był niemożliwy. Tego dnia do inżyniera Cyrusa Smitha podszedł na jednej z ulic Richmondu jakiś nieznajomy mężczyzna. Był to marynarz nazwiskiem Pencroff, lat trzydziestu pięciu lub czterdziestu, mocno zbudowany, opalony na brąz, o żywych, przebiegle mrugających oczach, ale poczciwej twarzy. Pencroff był Amerykaninem z Pacy. Przemierzył wszystkie morza kuli ziemskiej i doznał najbardziej niezwykłych przygód, jakie mogły się zdarzyć w nicości, nie opierzonej istocie. Był to człowiek przedsięwzięczy, gotowy na wszelkie ryzyko, któremu nic już nie mogło zaskoczyć. Na początku roku Pencroff przybył za interesami do Richmondu w towarzystwie pięćastoletniego chłopca, Harberta Browna

z New Jersey. Harbert był synem zmarłego kapitana okrętu i marynarz kochał go jak własne dziecko. Ponieważ nie zdecydował się opuścić miasta przed rozpoczęciem oblężenia, znalazł się w swemu wielkiemu niezadowoleniu w pułapce. Opanował go tak że jedno jego dążenie: wydostać się za wszelką cenę. Inżyniera Cyrusa Smitha znał ze słyszenia. Wiedział, z jakim zniecierpliwieniem ten zdecydowany na wszystko człowiek gryzł w idło. Pencroff nie zawahał się wtedy zacząć inżyniera na ulicy i zwrócił się do niego bez dalszych wstępow: "Panie Smith, czy nie ma pan dosyć Richmondu? Inżynier spojrzawszy uważnie na swego rozmówcę, ten zaś dodał szeptem: "Panie Smith, chciałby pan uciec? Kiedy?" "Dwa" odpowiedział inżynier, a ta odpowiedź na pewno wyrwała mu się z brewi woli, gdy nawet nie zdecydował się jeszcze przyjrzeć bliżej nieznanemu, który przemawiał do niego w ten sposób. Skoro jednak rzucił badawcze spojrzenie na szczerą twarz marynarza, nie miał już wątpliwości, że stoi przed nim uczciwy człowiek. "Kim pan jest?" zapytał krótko. Pencroff przedstawił się. "No tak" powiedziała Cyrus Smith. "A w jaki sposób pan zamierza uciec?" Tym oto przykładem balonem, który pozwalał tutaj leniuchom. Wyglądał, jakby umyślnie na nas czekał!... Marynarz nie potrzebował koledowania. Inżynier zrozumiał go w lot, chwycił za rękę i pociągnął do swego mieszkania. Tutaj Pencroff rozwinął swój plan działania, istotnie bardzo prosty. Na kartce tawiało się tylko własne życie. Co prawda huragan szaleje z całym wściekłością, ale tak zręczny i nieustraszony człowiek, jakim jest inżynier Cyrus Smith, potrafi na pewno poprowadzić statek powietrzny. Gdyby Pencroff umiał obchodzić się balonem, już dawno zdecydowałby się o ucieczce oczywiście. "Cie biorę z sobą Harberta. Nie w takich bywało opresjach i byle sztorm nie mógłgo przestraszyć" Cyrus Smith szukał słowa marynarza w milczeniu, ale oczy mu płonęły. Wreszcie trafiła się spragniona okazja. Smith należał do ludzi, którzy by pozwolili jej się wymknąć. Wprowadzić projekt byłby bardzo niebezpieczny, ale wada nie dlatego wykonalny. Pomimo rozstawionych strażników można było zbliżyć się do osłony nocy, wyliznąć kosza i przeciwny trzymając balon na uwięzi. Pewnie, ryzykowało się życiem, ale przecież ucieczka mogła się udać gdyby nie ten huragan... Gdyby jednak nie było huraganu, balon dawno by już odleciał i tak długo oczekiwana okazja wcale by się nie nadarzyła! "Ale ja nie jestem sam" powiedziała na zakończenie rozmowy Cyrus Smith. "Ile osób chciałby pan ze sobą zabrać?" zapytał marynarz. "Dwie: mego przyjaciela Spilettę i oczywiście mego sługę Naba." "To razem trzy" obliczył Pencroff "a ze mną i Harbertem" powiedział. "Oto jest obliczony na sześć osób" "No to lecimy!" odparł Cyrus Smith. "To lecimy" było zobowiązaniem danym tak że w imieniu reportera, ale Spilett nie należał do ludzi, którzy cofają się obliczu niebezpieczeństwa. Gdy dowiedział się o projekcie, przyjął go natychmiast bez zastrzeżeń i zwiódł się tylko, że sam nie wpadł wcześniej na ten prosty pomysł. Co zaś do Naba, ten poszedłby za swoim panem na koniec świata. Do zobaczenia wieczorem" powiedziała Pencroff. "Będziemy wszyscy kręcić się w pobliżu balonu, udając gapiów" "A wiemy do zobaczenia wieczorem, o dziesiątej" odpowiedział Cyrus Smith. "Oby nieba sprawiły, żeby ta naważnica nie ucichła do naszego odlotu. Pencroff pojechał inżyniera i wrócił do swego mieszkania, gdzie czekał na niego młody Harbert Brown. Odważny chłopiec znał już plan marynarza i pełen niepokoju oczekiwał jego rozmowy z inżynierem. Jak widzimy, była to piątka ludzi zdecydowanych na najgorsze. Ludzi, którzy zamierzali postawić wszystko na jedną kartę, rzucając się w wir rozszalałego huraganu! Nie, naważnica nie ucichła i ani Jonathanowi Forsterowi, ani jego towarzyszący nie przyszedł nawet do góry stawiającej czoła w tym kruchym koszu! Pogoda była straszna. Inżynier obawiał się tylko jednego: żeby balon, przymocowany do ziemi i miotany wiatrem, nie rozdarł się strząsł. Przez



kilka godzin Smith krążył się o bezludnym prawie placu, nie spuszczał oka z balonu. To samo robił Pencroff: przechadzał się rękami w kieszeniach, a gdy ktoś na niego patrzył, ziewał jak człowiek, który nie wie, jak zabić czas. Jednak w głębi duszy był tak samo pełen niepokoju, że balon może się oderwać albo zerwać uwięzi i umknąć przestworza. Nadszedł wieczny Zapadły nieprzeniknione ciemności. Głębie mgły wlokły się nad ziemią. Padał deszcz ze śniegiem i ziemia przejmowała do szpiku kości. Całe miasto było jak gdyby spowite całunem. Wydawało się, że gwałtowna nawałnica spowodowała coś w rodzaju zawieszenia broni pomiędzy oblegającymi a oblężonymi i że nawet armaty zamilkły ustając miejsca potężnym detonacjom huraganu. Ulice wyludniły się. W tak okropną pogodę uważano nawet za potrzebne pilnować placu, na którym szamotał się walcząc z wiatrem, statek powietrzny. Na pozostawisko sprzyjało ucieczce. Ale ten lot w rozszał wicher. Co za wstrząs fala i mamrota pod nosem Pencroffa, mocniej wciskając uderzeniem dłońmi kapelusz, który wiatr usiłował zrzucić z głowy. To nic, jakoś damy sobie radę. O pięćdziesiątej Cyrus Smith i jego towarzysze niepostrzeżenie przemknęli się rękami stron na plac tonący w ciemnościach, gdy wicher zdmuchnął wszystkie latarnie gazowe. Nie widziały nawet olbrzymiego balonu, który prawie leżał na ziemi. Sznury siatki były przytrzymywane przez worki z balastem, kosz zawieszony grubą liną do żelaznego pierścienia wmurowanego w bruk. Pięć uciekinierów zbiegł potkało się przy balonie. Nikt ich nie zauważył, a wokół panowała taka ciemność, że nie widzieli nawet dobrze jeden drugiego. Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert nie mieli ani słowa zajęcia miejsca w koszu, gdy tymczasem Pencroff na polecenie inżyniera odwieszywał po kolei worki z balastem. Trwało to zaledwie parę chwil, po czym marynarz rękami wsiadł do kosza. Balon trzymał się tylko na linie i Cyrus Smith miał wrażenie, że wydał znak startu, gdy wtem jakiś pies jednym susem przesadził krawędź kosza. Był to pies inżyniera, Top, który zerwał się z miejsca i pobiegł ładami swego pana. Cyrus Smith obawiał się, że balon będzie nadmiernie obciążony, chciał wyrzucić jedne zwierzę. No cóż, jednego pasażera więcej odezwał się Pencroff uwalniając kosz z dwoma ostatnimi workami balastu. Następnie zwolnił pięć linii i balon uniósł się gwałtownie w kierunku ukrytym, zawadzając po drodze kołosem o dwa kominy, które zwaliły w swoim obrotowym pędzie. Huragan szalał z przerażającą gwałtownością. W ciągu nocy inżynier nie miał nawet myśli o lądowaniu, a gdy zaczął witać cała ziemia przesłoniła się mgłą. Dopiero po trzech dniach podróżasza ona z mgły się ozdarała i można było zobaczyć od balonem, gnany przez wiatr z niezmierną szybkością, bezkresny przestworza. Wiemy już, jak spotrzebieli ludzi, którzy wystartowali 20 marca, czterech zostało wyrzuconych 24 marca na pustynny brzeg, w odległości ponad sześćdziesiąt mil od swego kraju\*. Tymczasem, którego brakowało i którego cztery pozostali przy życiu pasażerowie balonu natychmiast popędzili na ratunek, był nie kto inny, ale wąż, który nie został uznany przez wszystkich samorzutnie za dowódcę inżynier Cyrus Smith. ROZDZIAŁ TRZECI. O piątej po południu. Ten, którego zginęło. Rozpacz Naba. Poszukiwania na plaży. Wysepka. Noc pełna trwogi. Mgła poranna. Nab pędynie. Ląd przed oczami. Przejście kanału w brzo sznury siatki ustąpiły pod naporem fali i inżynier został uniesiony przez morze. Jego pies tak samo zniknął. Wierne zwierzę niezwłocznie popędziło na ratunek swemu panu. Naprzeciw krzyknął reporter. I wszyscy czterej, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab, nie bacząc na śmiertelne wyczerpanie, udali się poszukiwanie inżyniera. Biedny Nab pękał z wściekłości i rozpacz na myśl, że utracił wszystko, co kochał na tym świecie. Od chwili zniknięcia Cyrusa Smitha do momentu, kiedy jego towarzysze dotknęli stopą ziemi, nie upłynęło więcej niż dwie minuty. Mogli się więc spodziewać, że zdążył na czas, by go wyratować. Szukajmy! Szukajmy! zawołał

Nab. ♣ Tak, Nabie ♣ odezwa ♣ si ♣ edeon Spilett ♣ znajdziemy go na pewno. ♣ ♣ ywego? ♣ ♣ ywego! ♣ Czy umie p ♣ ywa ♣ ♣ zapyta ♣ Pencroff. ♣ Tak! ♣ odpowiedzia ♣ Nab. ♣ Zreszt ♣, Top jest przy nim... Marynarz, s ♣ ysz ♣ c ryk fal, pokr ♣ ♣ g ♣ ow ♣. In ♣ ynier znikn ♣ ♣ na p ♣ c od brzegu, mniej wi ♣ j o p ♣ ili od miejsca, gdzie wyl ♣ dowali rozbitkowie. Je ♣ eli zdo ♣ a ♣ dotrze ♣ o najbli ♣ szego punktu wybrze ♣ a, to punkt ten powinien si ♣ najdowa ♣ ie dalej ni ♣ o p ♣ ili. Dochodzi ♣ a godzina sz ♣. Mg ♣ a unios ♣ a si ♣ a ciemno ♣ ci sta ♣ y si ♣ rzez to jeszcze g ♣ ♣ ze. Rozbitkowie szli na p ♣ c wschodnim wybrze ♣ em l ♣ du, dok ♣ d rzuci ♣ ich los ♣ nieznanego l ♣ du, kt ♣ o po ♣ o ♣ enia geograficznego nie mogli si ♣ awet domy ♣ la ♣ Stopy ich dotyka ♣ y piaszczystej i kamienistej ziemi, kt ♣ wydawa ♣ a si ♣ ozbawiona wszelkiej ro ♣ linno ♣ ci. Teren, bardzo nier ♣ i wyboisty, by ♣ gdzieniegdzie usiany ma ♣ ymi szczelinami, co niezmiernie utrudnia ♣ o posuwanie si ♣ aprz ♣ Ze szczelin co chwila podrywa ♣ y si ♣ u ♣ e ptaki o ci ♣ im locie; nie mo ♣ na ich by ♣ o w ciemno ♣ ci rozpozna ♣. Inne ptaki, bardziej zwinne, wzbija ♣ y si ♣ tadami i przelatywa ♣ y jak chmury. Zdaniem marynarza, by ♣ y to mewy, kt ♣ h ostry gwizd szed ♣ w zawody z rykiem morza. Od czasu do czasu rozbitkowie zatrzymywali si ♣ nawo ♣ ywali nas ♣ uchuj ♣ c, czy nie odezwie si ♣ aki ♣ g ♣ os od strony oceanu. S ♣ dzili bowiem, ♣ e gdyby znale ♣ li si ♣ pobli ♣ u miejsca, gdzie wyl ♣ dowa ♣ in ♣ ynier, to nawet w wypadku gdyby Cyrus Smith nie by ♣ w stanie da ♣ naku ♣ ycia, dobieg ♣ oby ich szczekanie Topa. Ale ♣ aden g ♣ os nie przebija ♣ si ♣ rzez huk fal i ryk kipieli morkiej. Rozbitkowie ruszyli tedy znowu naprz ♣ przeskuj ♣ c najmniejsze wkl ♣ o ♣ ci wybrze ♣ a. Po dwudziestominutowym marszu zagrodzi ♣ y im na- gle drog ♣ i ♣ z ♣ ce si ♣ spienione fale. Sko ♣ ♣ si ♣ d pod stopami. Stan ♣ na ko ♣ ostrego cypla, o kt ♣ morze rozbija ♣ o si ♣ w ♣ ciek ♣ o ♣ ci ♣. ♣ Jeste ♣ my na cyplu ♣ powiedzia ♣ marynarz. ♣ Musimy wr ♣ kieruj ♣ c si ♣ a prawo i w ten spos ♣ ojdziemy do sta ♣ ego l ♣ du. ♣ A je ♣ eli on jest tutaj? ♣ zastanawia ♣ si ♣ ab wskazuj ♣ c na ocean, gdzie bieli ♣ y si ♣ mroku grzebienie ba ♣ wan ♣ ♣ No to zawo ♣ ajmy! Wszyscy razem wydali pot ♣ y okrzyk, kt ♣ pozosta ♣ bez odpowiedzi. Poczekali, a ♣ morze przycichnie na chwil ♣ Krzykn ♣ ponownie. Znowu nic. W ♣ as zawr ♣ i id ♣ c drugim brzegiem cypla, tak samo piaszczystym i kamienistym. Jednak ♣ e Pencroff zauwa ♣ y ♣, ♣ e brzeg sta ♣ si ♣ ardziej urwisty, a teren wznosi ♣ si ♣ z czego wywnioskowa ♣, ♣ e to ♣ agodne wzniesienie musi prowadzi ♣ do stromego wybrze ♣ a, kt ♣ o masyw mgli ♣ cie zarysowywa ♣ si ♣ ciemno ♣ ciach. W tej cz ♣ i wybrze ♣ a ptak ♣ y ♣ o coraz mniej. Morze okaza ♣ o si ♣ utaj mniej wzburzone, nie tak hucz ♣ ce, a nawet fala by ♣ a znacznie mniejsza. Szum kipieli morskiej ledwo tu dolatywa ♣. Prawdopodobnie brzeg tworzy ♣ p ♣ list ♣ zatok ♣ kt ♣ ostry koniec cypla os ♣ ania ♣ przed falowaniem pe ♣ nego morza. Trzymaj ♣ c si ♣ rzezu rozbitkowie szli na po ♣ udnie, to znaczy w przeciwn ♣ stron ♣ stosunku do tej cz ♣ i wybrze ♣ a, gdzie m ♣ wyl ♣ dowa ♣ yrus Smith. Przeszli jeszcze p ♣ rej mili nie znajduj ♣ c ♣ adnego zakr ♣ umo ♣ liwiaj ♣ cego powr ♣ a p ♣ c. A przecie ♣ w jaki ♣ spos ♣ en cypel, kt ♣ o najbardziej wysuni ♣ punkt ju ♣ obesli, musia ♣ ♣ ♣ czy ♣ i ♣ e sta ♣ ym l ♣ dem. Pomimo wyczerpania rozbitkowie m ♣ ie szli naprz ♣ spodziewaj ♣ c si ♣ ka ♣ dej chwili, ♣ e znajd ♣ jakie ♣ ostre wy- gi ♣ e brzegu, kt ♣ naprowadzi ich na pierwotny kierunek. Jakie ♣ by ♣ o ich rozczarowanie, kiedy po przebyciu blisko dw ♣ mil zostali ponownie zatrzymani przez morze na do ♣ wysokim cyplu z o ♣ liz ♣ ych g ♣ az ♣ ♣ Znajdujemy si ♣ a wysepce ♣ powiedzia ♣ Pen-croff ♣ i przemierzyl ♣ my j ♣ z jednego ko ♣ w drugi. Spoztrze ♣ enie marynarza by ♣ o s ♣ uszne. Rozbitkowie zostali wyrzuceni nie na kontynent i nawet nie na wysp ♣ lecz na wysepk ♣ kt ♣ d ♣ ugo ♣ ♣ ynosi ♣ a nie wi ♣ j ni ♣ dwie mile, a szeroko ♣ ♣ y ♣ a prawdopodobnie tak ♣ e niewielka. Czy ta pustynna wysepka, usiana kamieniami, pozbawiona ro ♣ linno ♣ ci ♣ ponure przytulisko ptak ♣ orskich ♣ ♣ ♣ czy ♣ a si ♣ jakim ♣ wi ♣ ym archipelagiem, nie mo ♣ na by ♣ o stwierdzi ♣. Gdy pasa ♣ erowie balonu ujrzeni z kosza wynurzaj ♣ c ♣ si ♣ mg ♣ y ziemi ♣ nie zdo ♣ ali

zorientowa❦i❦o do jej wielko❦ci. Jednak❦e Pencroff, posiadaj❦cy oczy marynarza nawyk❦e do przeszywania ciemno❦ci, mia❦ w❦as wra❦enie, ❦e rozr❦a na wschodzie mgliste zarysy jakiego❦ wysokiego brzegu. Teraz w ciemno❦ci niepodobna by❦o ustali❦czy to wysepka samotna, czy te❦ nale❦ca do jakiej❦ grupy wysp. Nie mo❦na by❦o jej opu❦ci❦gdy❦ otacza❦o j❦ morze. Nale❦a❦o wi❦od❦o❦y❦o jutra poszukiwania in❦yniera, kt❦niestety nawet krzykiem nie zdradzi❦ swojej obecno❦ci. ❦ Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi ❦ powiedzia❦ reporter. ❦ Mo❦e le❦y gdzie❦ zemdlony albo ranny i nie jest w stanie si❦dezwa❦nie tra❦ jednak nadziei. Reporter podsun❦❦ my❦l, a❦eby roznieci❦dzie❦ na wysepce ognisko, kt❦mog❦oby by❦ygn❦em dla in❦yniera. Jednak❦e na pr❦ szukano drew czy suchych ga❦zek. Poza piaskiem i kamieniami nie by❦o tu zupe❦nie nic. Nietrudno sobie wyobrazi❦jak wielka rozpacz ogarn❦ Naba i jego towarzyszy, kt❦ tak serdecznie przywi❦zali si❦o dzielnego Cyrusa Smitha. By❦o a❦ nazbyt oczywiste, ❦e w obecnej chwili nie mogli mu w niczym pom❦Nale❦a❦o czeka❦o rana. Albo in❦ynier zdo❦a❦ si❦ratowa❦ znalaz❦ ju❦ schronienie na wybrze❦u, albo te❦ by❦ stracony na zawsze! Rozbitkowie prze❦yli d❦ugie i ci❦ie godziny. N❦❦ ich przejmuj❦cy zi❦b. Ich cierpienia by❦y dotkliwe, nie zwracali jednak na nie uwagi. Nie pomy❦leli nawet o tym, ❦eby przez chwil❦ypocz❦❦Zapominaj❦c o sobie i powracaj❦c wci❦❦ my❦l❦ do swego przyw❦, nie trac❦c i nie chc❦c traci❦adziei, kr❦li si❦am i z powrotem po pustynnej wysepce, wracaj❦c ci❦gle na p❦cny cypel, aby ty❦li❦ej miejsca katastrofy. Nas❦uchiwali, wo❦ali, starali si❦ochwyci❦aki❦ okrzyk; g❦osy ich rozlega❦y si❦daleko, w powietrzu bowiem zapanowa❦a wzgl❦a cisza i szum morza zanika❦ powoli wraz ze zmniejszaniem si❦ali. W pewnej chwili Nab krzykn❦❦ i wszystkim si❦yda❦o, ❦e odpowiada mu echo. Harbert zwr❦ na to uwag❦encroffa. ❦ To by ❦wiadczy❦o, ❦e w kierunku zachodnim gdzie❦ w pobli❦u znajduje si❦rzeg. Marynarz skin❦❦ potakuj❦co. Zreszt❦ jego wzrok nie m❦go wprowadzi❦ b❦❦d. Je❦eli dostrzeg❦ bodaj najbardziej mgliste zarysy l❦du, znaczy❦o to, ❦e l❦d istnia❦ naprawd❦ Jednak❦e tylko to dalekie echo by❦o odpowiedzi❦ na wo❦anie Naba, ca❦a za❦ ogromna przestrze❦ wschodniej cz❦i wysepki trwa❦a w milczeniu.

Niebo rozja❦ni❦o si❦oma❦u. Ko❦o p❦cy ukaza❦o si❦ar❦wiazd i gdyby in❦ynier by❦ tutaj, zauwa❦y❦by niew❦tpliwie, ❦e nie by❦y to gwiazdy p❦li p❦cnej. Gwiazda Polarna nie ukaza❦a si❦a tym nowym firmamencie, a gwiazdozbiory w zenicie by❦y inne, ni❦ mo❦na obserwowa❦ p❦cnej cz❦i Nowego ❦wiata. Natomiast Krzy❦ Po❦udnia, l❦ni❦cy nad po❦udniowym biegunem kuli ziemskiej, ukaza❦ si❦ ca❦ej okaza❦o❦ci. Min❦ noc. Oko❦o pi❦tej nad ranem dnia 25 marca niebo zabarwi❦o si❦ekko. Horyzont pozosta❦ ciemny, a wraz z pierwszym brzaskiem dnia g❦a mg❦a spowi❦a morze, przez co widzialno❦❦mniejszy❦a si❦o dwudziestu krok❦Mg❦a przewala❦a si❦ielkimi k❦❦mi, kt❦przesuwa❦y si❦ wolna. By❦a to okoliczno❦❦iepomyl❦na. Rozbitkowie nic nie widzieli dooko❦a siebie. Podczas gdy spojrzenia Naba i reportera kierowa❦y si❦ stron❦ceanu, marynarz i Harbert szukali oczami wybrze❦a na zachodzie. Nie by❦o jednak wida❦ni kawa❦ka l❦du. ❦ To nic ❦ powiedzia❦ Pencroff ❦ wprawdzie nie widz❦❦du, ale go czuj❦. O tutaj... Tutaj... I to jest takie pewne, jak i to, ❦e nie jeste❦my ju❦ w Richmondzie! Niebawem mg❦a uniosa❦a si❦ g❦. Opary te wr❦y dobr❦ pogod❦S❦o❦ogrzewa❦o ju❦ ich g❦ warstwy i ciep❦o przes❦cza❦o si❦❦ do powierzchni ziemi. Oko❦o p❦o si❦j, w trzy kwadransy po wschodzie s❦o❦ mg❦a sta❦a si❦ardziej przejrzysta. G❦niej❦c od g❦ rozprasza❦a si❦d do❦u. Po chwili ukaza❦a si❦a❦a wysepka tak, jak gdyby spad❦a nagle z chmury; potem wynurzy❦o si❦ooko❦a morze, bezkresne na wschodzie,

ale zamknię na zachodzie wysokim i urwistym wybrzeżem. Tam! Tam by! Tam by! ratunek, bodaj tymczasowy. Wysepek d lędu oddziela kana szeroki na pęli, przez którą szumem toczy się wódki nurt. Jeden z rozbitków szuka tylko głosu swojego serca, natychmiast rzuci się do wody, nie zasięga rady towarzyszy, a nawet nie ma im ani słowa. By to Nab. Pilno mu było dotrzeć do wybrzeża i iść dalej na północ. Nikt nie był w stanie go powstrzymać. Pencroff usiłował go przywołać, lecz na próżno. Reporter zamierza tak pójść w ślady Naba. Wówczas zwrócił się do niego Pencroff. Chce pan przepłynąć kana? zapytał. Tak odrzekł Gedeon Spilett. Proszę oświadczyć jej rady: niech pan zaczeka. Sam Nab wystarczy, żeby okazać pomoc swojemu panu. Jeżeli rzucimy się do wody, to niezwykle silny prąd może nas wynieść do otwartego morza. Jeżeli się nie myli, jest to prąd spowodowany odpływem morza. Proszę spojrzeć: woda na piasku opada. Miejmy więc cierpliwość, a gdy się skończy odpływ, może znajdziemy przejście w brzo. Ma pan rację? powiedziała reporter. Starajmy się rozstrząsać o ile to możliwe... Tymczasem Nab zjadł walczy z prądem. Przepływa ciekawym ukos. Co chwila wynurzały się wody jego czarne ramiona. Prąd znosił go z wielką szybkością, ale Murzyn pomimo to zbliżał się do brzegu. Na przebyciu około mili, dzieląc wysepek d lędu, zużył przeszło godzinę; dobiegł do brzegu w odległości kilku tysięcy stóp miejsca znajdującego się wprost punktu, z którego wyruszył. Nab wyszedł na brzeg u stromej granitowej ściany i otrząsnął się energicznie; potem zaczął biec i zniknął za występem skalnym, wysuniętym w morze mniej więcej na wysokości północnego krańca wysepki. Towarzysze Naba z niepokojem śledzili jego odważne poczynania, a gdy zniknął im z oczu, ich wzrok ponownie skierował się na ziemię, która im dała schronienie. / Pożyli się małymi, które były usiane piasek. By to nęny posiłek, ale zawsze posiłek. Przeciwległy brzeg tworzy obszerne zatoki, które na południu bardzo ostrym, dziko wyglądającym cypłem, pozbawionym wszelkiej roślinności. Cypel sięga wybrzeżem postrzonną linię i opiera się na wysokich skałach granitowych. Na półcy zatoka rozszerza się zaokręglając linię brzegu, biegnąc od południowego wschodu na północny zachód, zakończony ostrym przylądkiem. Odległości pomiędzy dwoma punktami, o które wspiera się łuk zatoki, mogą wynosić około ośmiu mil. O półcy od brzegu wąski skrawek morza zamyka wysepką przypominającą kształtem olbrzymiego wieloryba. W najszerszym miejscu nie miała więcej niż szerokość. Na wprost wysepki na pierwszym planie wybrzeża widać piasek usiany ciemnymi skałkami, które w tej chwili powoli wynurzały się z wody, opadając w skutek odpływu. Na drugim planie zarysowała się jak gdyby zasłona z granitu o kapryśnym postrzonym grzbiecie, zakończona na wysokości co najmniej trzystu stóp iglicami. Ta ściana skalna ciągnęła się w przestrzeni około trzech mil i na prawo kończyła się stromym zboczem, jak gdyby wyciosanym ręką ludzką. Na lewo natomiast, powyżej przylądka, to nieregularne wzgórza, powstałe ze spięzonych gwałtownie osypisk w kształcie graniastosłupów opadających łagodnie i rozciągających się stopniowo ze skałkami południowego cypła. Na górnym tarasie nie było widać jednego drzewa. Była to gładka płaszczyzna, podobna do tej, którą wznosi się od Capetown na Przylądku Dobrej Nadziei, tylko znacznie mniejsza. Przynajmniej tak wyglądało to z wysepki. Na prawo w głąb wyłomu nie brakowało natomiast zieleni. Można było dostrzec niejasne zarysy wielkich drzew, ginące w oddali. Ta zieleni stanowiła przyjemny kontrast dla oka zmęconego surowymi konturami granitowych skał. Wreszcie na dalszym planie, ponad tarasem, na północnym wschodzie, w odległości co najmniej siedmiu mil, łęniła w promieniach słońca szczyt. Była to czarna niebieska wieża jak odległa góra. Nie można było się zorientować czy ziemia ta jest wyspą, czy te

cz?i? jakiego? kontynentu. Jednak patrz?c na spi?zone z lewej strony ska?y, geolog stwierdzi?by bez wahania, ?e s? one pochodzenia wulkanicznego. Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert uwa?nie przypatrywali si?ej ziemi, gdzie, by?o?e, s?dzone im by?o prze?y??ugie lata, a mo?e nawet umrze?o ile nie le?y ona blisko szlak?kr?wych. ? No i co ty na to, Pencroff? ? zapyta? Harbert. ? C? odpowiedzia? marynarz ? widz?u i dobr?, i z?? stron?jak we wszystkim. Zobaczymy. Ale oto zaczyna si?dp?yw. Za trzy godziny spr?emy przedosta?i?rzez kana?, a gdy tam b?iemy, postaramy si? jako?da? sobie rad? i odnale?? pana Smitha. Pencroff nie omyli? si? swoich przewidywaniach. Po trzech godzinach, gdy woda opad?a, wynurzy? si?iasek tworzc?cy ?o?ysko kana?u. Pomi?y wysepk? a wybrze?em pozosta? jedynie w?ziutki pas wody, kt?prawdopodobnie mo?na b?ie przeby?ez trudu. Oko?o godziny dziesi?tej Gedeon Spilett i dwaj jego towarzysze zrzucili ubrania, zwin? je i nios?c tobo?ki na g?owie, odwa?nie weszli do wody, kt? g??ko??ie przekracza?a pi?u st?Harbert, dla kt?o woda by?a zbyt g??ka, pop?yn?? jak ryba i doskonale da? sobie rad?Ca?a tr? bez trudu dobrn? na przeciwny brzeg. Wyszli szybko w promieniach s?o? w?o?yli ubrania, kt?uchronili od zetkni?a z wod?, i odbyli kr? narad? ROZDZIA? CZWARTY. Litodomy. Rzeka i jej uj?cie. ?Kominy". Dalsze poszukiwania. Las zielonych drzew. Zapas opalu. W oczekiwaniu odp?ywu. Z wysokiego brzegu. Sp?aw drzewa. Powr?a wybrze?e. Reporter um? si? marynarzem, ?e spotkaj? si? tym samym miejscu, i nie trac?c ani chwili poszed? wybrze?em w kierunku, w kt? przed kilkoma godzinami pobieg? Nab, pilno mu bowiem by?o zdoby?akie? wiadomo?ci o in?ynierze. Szybko znikn?? za zakr?m wybrze?a. Harbert chcia? towarzyszy?pi-lettowi. \* ? Pozosta??h?opcze ? powiedzia? marynarz. ? Musimy przygotowa?bozowisko i zorientowa?i?czy mo?na zdoby?o jedzenia co? solidniejszego ni? ?limaki. Nasi przyjaciele tak?e b? chcieli si?o?ywi?Niech ka?dy robi to, co do niego nale?y. ? Zrobi?jak chcesz, Pencroff ? zgodzi? si?arbert. ? Dobra! ? odrzek? marynarz. ? Jako? tam b?ie! Dzia?ajmy z pewnym planem. Jeste?my zm?eni, zzi?i? i g?odni, a zatem trzeba zdoby?akie? schronisko, ogie?po?ywienie. W lesie jest drzewo, w gniazdach jajka; pozostaje znalezienie domu. ? A wi?? zaofiarowa? si?arbert ? poszukam pieczary w tych ska?ach i my?l??e uda mi si?nale??ak?? dziur?w kt? b?iemy mogli si?chroni? ? W?a?nie tego nam trzeba ? zgodzi? si?encroff. ? W drog?m?h?opcze! Poszli wzd?u? podn?wysokiej ?ciany skalnej, wybrze?em, kt?obna?y?a opadaj?ca woda. Ale zamiast uda?i?a p?c, udali si? kierunku po?udniowym. Pencroff zauwa?y?, ?e o kilkaset krok?oni?ej miejsca, gdzie wyszli na l?d, brzeg by? wyci? w ksza?cie w?skiego leja, co ? jego zdaniem ? powinno by?o stanowi?j?cie jakiej? rzeki lub strumyka. Ot? jednej strony nale?a?o rozbi?b? poblizu ?r? s?odkiej wody, a z drugiej ? istnia?o du?e prawdopodobie?o, ?e w?a?nie s?odka woda przyci?gnie w t?kolic?yryusa Smitha. Jak ju? powiedzieli?my, ?ciana skalna wznosi?a si?a wysoko??rzystu st?Stanowi?a jednolity masyw i nawet u podn? ?agodnie omywanego przez fale morskie, nie by?o dostatecznie du?ej szczeliny, kt?mog?aby pos?u?y?a tymczasowe schronienie. By? to pionowy mur z bardzo twardego granitu, kt?o fale morskie nie zdo?a?y skruszy?W poblizu szczytu unosi?y si?hmary wodnego ptactwa, w szczeg??ci r? gatunki p?etwonogich o d?ugich, sp?aszczonych i spiczastych dziobach. Tej wrzaskliwej zgrai nie przera?a?a wcale obecno??z?owieka, kt?prawdopodobnie po raz pierwszy zak?? jej spok?W?r?tak?encroff rozpozna? kilka wydrzyk?raz ma?e, ?ar?oczne mewki, gnie?d??ce <si? szczelinach skalnych. Jednym strza?em, wycelowanym do tej chmary ptak?mo?na by po?o?y?ch mn?o; ale do tego potrzebna by?a strzelba, kt? nie mia? ani Pencroff, ani Harbert. Zreszt? mi? mew i

wydrzyk jest niesmaczne, a ich jaja wrócić obrzydliwe. Tymczasem Harbert, zboczywszy nieco na lewo, spostrzegł parę gazokrytych wodorostami, które przypływu morza za kilka godzin miały zalać od. Na tych gazach, w rzeliznych porostach roiło się dżdżownicami tanowiących dla wygodniających ludzi pokarm nie do pogardzenia. Harbert zawołał Pencroffa, który przybiegł natychmiast. O! Małże jadalne uradowały się marynarz. Mogą zastąpić ją, którą tak pragniemy. To nie są zwykłe małże odpowiedzią Harbert przyglądając się uważnie małżakom przyczepionym do skały. To są litodomy. Czy nadają się do jedzenia? zapytał Pencroff. Oczywiście. No to bierzemy jedli litodomy. Marynarz mępolegała Harbercie. Chłopiec był bardzo mocny w naukach przyrodniczych, którego zawsze pasjonowały. Ojciec zachęcał go jeszcze w tym kierunku, posyłając na wykłady najlepszych w Bostonie profesorów, którzy darzyli wielką sympatią inteligentnego i pracowitego chłopca. Te jego wiadomości przyrodnicze nieraz się przydały i teraz chłopiec nie popełnił omyłki. Litodomy są to podługne małże, skupione w grona i mocno przyczepione do skały. Należą do gatunku małżakotoczy, drzewnych najtwardszy kamień muszla, z obydwu końców zaokrąglona, ma budowę spotykaną u zwykłych małżaków. Pencroff i Harbert zjedli sporo ich, które skorupa była na wpół twarda, i stwierdzili, że są one tak ostre w smaku, że nie odczuwa się raku pieprzu ani innych przypraw. Na razie zaspokoił gwałtowne pragnienie ich wzmogło się jeszcze bardziej po spożyciu tych ostrych, jak gdyby pieprzonych małżaków. Należało teraz za wszelką cenę znaleźć wodę, która na pewno nie brakowała w tak dziwnie ukształtowanym terenie. Po uzbieraniu dużej ilości litodomów Pencroff i Harbert napełnili nimi kieszenie i chustki i wrócili do podnóżka. Po przejściu dwustu kroków doszli do wygięcia brzegu, które według przeczucia Pencroffa miało stanowić ujście rzeczki. W tym miejscu ściana skalna wyglądała jak przeciwny skutek jakiegoś gwałtownego wstrząsu tektonicznego. U stóp otwierała się zatoczka, tworząca w głąb dostrzegalny kąt. Nurt wodny w zatoczce miał około stu stopy szerokości, pomiędzy zastronnymi brzegami zaledwie dwadzieścia. Była to rzeka wtoczona niejako pomiędzy dwie ściany granitu, lekko opadające powyżej jej ujścia; trochę dalej rzeka skręcała nagle i znikła w niskopiennym lesie gdzieś o kilka stóp od brzegu. Tu woda! Tam las! zawołał Pencroff. A wiód Harbercie, brakuje nam tylko domu. Woda w rzece była przezroczysta. Marynarz stwierdził, że przy takim stanie morza, to znaczy w czasie odpływu, woda w rzece jest słodka, fala bowiem nie nanosi wody morskiej. Po ustaleniu tego ważnego faktu Harbert rozpoczął poszukiwanie jakiegokolwiek grotu, mogącego służyć przybyszom za schronienie, ale wysiłki jego były daremne. Ściana skalna była wszędzie gładka, jednolita i urwista. Jednakże tu przy ujściu rzeki i poza zasięgiem przypływu morza usypiska utworzyły nie pieczarę, lecz spiżenie olbrzymich gazów wane kominami, jakie często spotyka się w okolicach obfitujących w skały granitowe. Pencroff i Harbert zabrnęli do daleko pomiędzy skały w piaszczyste korytarze; wiatro przenikało tu poprzez szczeliny między granitowymi gazami, utrzymującymi się niekiedy wbrew prawom równowagi niemal pionowo. Ale razem ze wiatrem wdierała się zewnątrz wiatr, prawdziwy przeciwny korytarzowy, a wraz z wiatrem przenikliwy żółb. Marynarzowi przyszedł do głowy, że zasypianie pewnych odcinków korytarzy i zatkanie niektórych otworów mieszanym z kamieniami mogłoby uczynić ominięte zdadnymi do zamieszkania. Ich układ przypominał znak &. Otóż odcięcia tego znaku, przez które przedostawały się ścieżki południowe i wschodnie, można było prawdopodobnie wykorzystać jako schronisko jego dołku. To co dla nas powiedziała Pencroff. Jeżeli uda nam się jeszcze kiedykolwiek zobaczyć wyniera Smitha, na pewno będzie umiał znaleźć labirynt. Zobaczymy go, Pencroff! zawołał Harbert. A gdy

powr<sup>o</sup> trzeba, <sup>o</sup>by zasta<sup>o</sup> tutaj mniej wi<sup>o</sup>j zno<sup>o</sup>ne mieszkanie! Ale dopiero wtedy stanie si<sup>e</sup>no zno<sup>o</sup>ne, je<sup>o</sup>eli uda nam si<sup>e</sup> lewym korytarzu urz<sup>o</sup>dzi<sup>o</sup>alenisko i pozostawi<sup>o</sup>tw<sup>o</sup>la uj<sup>o</sup>cia dymu. <sup>o</sup>Zrobimy to, m<sup>o</sup>h<sup>o</sup>opcze, i Kominy <sup>o</sup> Pencroff zachowa<sup>o</sup> t<sup>o</sup>azw<sup>o</sup>la tego prowizorycznego schronienia <sup>o</sup> rozwi<sup>o</sup>zuj<sup>o</sup> spraw<sup>o</sup>ieszkania. Ale przede wszystkim musimy przygotowa<sup>o</sup>apas opa<sup>o</sup>u. Przypuszczam, <sup>o</sup>e drzewo b<sup>o</sup>ie nam potrzebne tak<sup>o</sup>e do zatykania dziur, w kt<sup>o</sup>diabe<sup>o</sup> dmie jak w tr<sup>o</sup>b<sup>o</sup> Harbert i Pencroff opu<sup>o</sup>cili Kominy i poszli najpierw wzd<sup>o</sup>u<sup>o</sup> zatoki, a nast<sup>o</sup>ie lewym brzegiem rzeki. Wartki jej nurt unosi<sup>o</sup> k<sup>o</sup>ody drzewa. Przyp<sup>o</sup>yw, kt<sup>o</sup>ju<sup>o</sup> si<sup>o</sup>aczyna<sup>o</sup>, powinien by<sup>o</sup> je wepchn<sup>o</sup>o<sup>o</sup>o<sup>o</sup>aleko z powrotem. Marynarzowi przysz<sup>o</sup>o wi<sup>o</sup>na my<sup>o</sup>l, <sup>o</sup>e mo<sup>o</sup>na b<sup>o</sup>ie wyzyska<sup>o</sup>rzyp<sup>o</sup>yw i odp<sup>o</sup>yw do transportowania wi<sup>o</sup>zych ci<sup>o</sup>r<sup>o</sup>. Po kwadransie marszu marynarz i ch<sup>o</sup>opiec doszli do ostrego <sup>o</sup>uku, kt<sup>o</sup>rzeka tworzy<sup>o</sup>a skr<sup>o</sup>j<sup>o</sup>c na lewo. Od tego miejsca p<sup>o</sup>yn<sup>o</sup> w<sup>o</sup>r<sup>o</sup>spania<sup>o</sup>ych drzew. Pomimo p<sup>o</sup>j jesieni drzewa zachowa<sup>o</sup>y ziele<sup>o</sup>dy<sup>o</sup> nale<sup>o</sup>a<sup>o</sup>y do tego gatunku iglastych, jakie spotyka si<sup>e</sup>e wszystkich cz<sup>o</sup>iach kuli ziemskiej, zar<sup>o</sup> w klimacie p<sup>o</sup>cnym, jak i w okolicach podzwrotnikowych. M<sup>o</sup>ody przyrodnik rozpozna<sup>o</sup> w<sup>o</sup>r<sup>o</sup>ich cedry pospolite w strefie himalajskiej, rozsiewaj<sup>o</sup>ce wok<sup>o</sup>ardzo przyjemn<sup>o</sup> wo<sup>o</sup>omi<sup>o</sup>y tymi pi<sup>o</sup>ymi drzewami ros<sup>o</sup>y k<sup>o</sup> sosen o szerokich koronach, nie przepuszczaj<sup>o</sup>cych <sup>o</sup>wiat<sup>o</sup>a. W g<sup>o</sup>ej trawie Pencroff wyczu<sup>o</sup> pod stopami suche ga<sup>o</sup>o<sup>o</sup>e, kt<sup>o</sup>trzeszcza<sup>o</sup>y jak sztuczne ognie. <sup>o</sup>Dobra jest, m<sup>o</sup>h<sup>o</sup>opcze <sup>o</sup> powiedzia<sup>o</sup> do Harberta <sup>o</sup> je<sup>o</sup>eli nawet nie znam nazwy tych drzew, to umiem przynajmniej zaliczy<sup>o</sup>e do kategorii <sup>o</sup>drzewa opa<sup>o</sup>owego", a w chwili obecnej tylko to nas obchodzi. <sup>o</sup>R<sup>o</sup> wi<sup>o</sup>zapasy <sup>o</sup> odpowiedzia<sup>o</sup> Harbert i natychmiast wzi<sup>o</sup>o<sup>o</sup> si<sup>o</sup>o dzie<sup>o</sup>a. By<sup>o</sup>o to <sup>o</sup>atwe zadanie. Nie mieli nawet potrzeby ob<sup>o</sup>amywania ga<sup>o</sup>o<sup>o</sup>, gdy<sup>o</sup> olbrzymie ilo<sup>o</sup>ci chrustu le<sup>o</sup>a<sup>o</sup>y u ich st<sup>o</sup>opa<sup>o</sup>u nie brak<sup>o</sup>o, jedynie <sup>o</sup>rodki transportowe pozostawia<sup>o</sup>y wiele do <sup>o</sup>yczenia. Drzewo by<sup>o</sup>o bardzo suche, a zatem musia<sup>o</sup>o si<sup>o</sup>pala<sup>o</sup>zybko. Dlatego te<sup>o</sup> nale<sup>o</sup>a<sup>o</sup>o nagromadzi<sup>o</sup>u<sup>o</sup>o<sup>o</sup> jego ilo<sup>o</sup>o<sup>o</sup> znacznie wi<sup>o</sup>j, ni<sup>o</sup> mogli obaj ud<sup>o</sup>wign<sup>o</sup>o<sup>o</sup>Harbert zwr<sup>o</sup> na to uwag<sup>o</sup> <sup>o</sup> C<sup>o</sup>m<sup>o</sup>h<sup>o</sup>opcze <sup>o</sup> odpowiedzia<sup>o</sup> marynarz <sup>o</sup> musi si<sup>o</sup>nale<sup>o</sup>o<sup>o</sup>aki<sup>o</sup> spos<sup>o</sup>a transportowanie drzewa. Ostatecznie zawsze znajduje si<sup>e</sup>a wszystko jaki<sup>o</sup> spos<sup>o</sup>To by by<sup>o</sup>o zbyt proste, gdyby<sup>o</sup>my mieli w<sup>o</sup> albo <sup>o</sup>o<sup>o</sup> <sup>o</sup> Ale mamy przecie<sup>o</sup> rzek<sup>o</sup>o<sup>o</sup> zauwa<sup>o</sup>y<sup>o</sup> Harbert. <sup>o</sup>S<sup>o</sup>usznie <sup>o</sup> stwierdzi<sup>o</sup> Pencroff. <sup>o</sup>Rzeka b<sup>o</sup>ie dla nas drog<sup>o</sup>, po kt<sup>o</sup> wszystko b<sup>o</sup>ie si<sup>o</sup>amo porusza<sup>o</sup> a sp<sup>o</sup>aw drzewa nie zosta<sup>o</sup> wynaleziony na pr<sup>o</sup>. <sup>o</sup>Tylko <sup>o</sup>e nasza droga porusza si<sup>e</sup> teraz w odwrotnym kierunku, ni<sup>o</sup> nam potrzeba, gdy<sup>o</sup> w<sup>o</sup>a<sup>o</sup>nie zaczyna si<sup>e</sup>rzyp<sup>o</sup>yw <sup>o</sup> zauwa<sup>o</sup>y<sup>o</sup> Harbert. <sup>o</sup> Wystarczy, aby<sup>o</sup>my zaczekali na odp<sup>o</sup>yw <sup>o</sup> pocieszy<sup>o</sup> go marynarz <sup>o</sup> a ju<sup>o</sup> rzeka we<sup>o</sup>mie na siebie trud odstawienia naszego opa<sup>o</sup>u do Komin<sup>o</sup> Przygotujemy tymczasem tratwy. Marynarz z Harbertem skierowali si<sup>e</sup>o miejsca, gdzie las dotyka<sup>o</sup> niemal rzeki. Ka<sup>o</sup>dy z nich ni<sup>o</sup>takie nar<sup>o</sup>e drzewa powi<sup>o</sup>zanego w p<sup>o</sup>, jakie tylko m<sup>o</sup>ud<sup>o</sup>wign<sup>o</sup>o<sup>o</sup>Na brzegu, w trawie, kt<sup>o</sup> prawdopodobnie nigdy nie dotkn<sup>o</sup> ludzka stopa, le<sup>o</sup>a<sup>o</sup>o tak<sup>o</sup>e du<sup>o</sup>o suchych ga<sup>o</sup>o<sup>o</sup>. Pencroff natychmiast zabra<sup>o</sup> si<sup>o</sup>o sporz<sup>o</sup>dzienia tratwy. W miejscu gdzie wyst<sup>o</sup>brzegu za<sup>o</sup>amywa<sup>o</sup> nurt, przez co wytwarza<sup>o</sup> si<sup>o</sup>r<sup>o</sup>d wsteczny, marynarz i Harbert spu<sup>o</sup>cili na wod<sup>o</sup>i<sup>o</sup>ze kawa<sup>o</sup>ki drzewa powi<sup>o</sup>zane suchymi lianami. Na powsta<sup>o</sup>o<sup>o</sup> w ten spos<sup>o</sup>ratw<sup>o</sup>a<sup>o</sup>o<sup>o</sup>yli stopniowo ca<sup>o</sup>e zebrane drzewo; by<sup>o</sup>o tego tyle, <sup>o</sup>e trzeba by co najmniej dwudziestu ludzi, <sup>o</sup>eby wszystko ud<sup>o</sup>wign<sup>o</sup>o<sup>o</sup>W ci<sup>o</sup>gu godziny sko<sup>o</sup>li prac<sup>o</sup> przycumowali tratw<sup>o</sup>o brzegu; teraz musieli czeka<sup>o</sup>a odp<sup>o</sup>yw. Mieli przed sob<sup>o</sup> kilka godzin czasu, postanowili zatem wdrapa<sup>o</sup>i<sup>o</sup>a g<sup>o</sup> taras, a<sup>o</sup>eby obejrze<sup>o</sup>kolic<sup>o</sup> wi<sup>o</sup>zym promieniu. Za za<sup>o</sup>amaniem utworzonym przez rzek<sup>o</sup>w odleg<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ci dwustu krok<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ciana zako<sup>o</sup>na zwaliskiem g<sup>o</sup>az<sup>o</sup>agodnie opada<sup>o</sup>a ku skrajowi lasu, tworzc<sup>o</sup>c jak gdyby naturalne schody. Harbert z marynarzem zacz<sup>o</sup> wspina<sup>o</sup>i<sup>o</sup>o nich. Obaj mieli silne nogi<sup>o</sup> zdobyli wi<sup>o</sup>szczyt w par<sup>o</sup>hwil, po

czym doszli do występa, zwisając go nad ujściem rzeki. Ich pierwsze spojrzenie padło na ocean, który przebyli w tak okropnych warunkach. Ze wzruszeniem patrzyli na plażę i wybrzeża, gdzie nastąpiła katastrofa. Właśnie tutaj zniknął Cyrus Smith. Szukali wzrokiem, czy na falach nie unosi się jakieś szczątki balonu, którego uczeni zowiek. Nigdzie nic! Morze było jak bezkresna pustynia wodna. Brzeg był także bezludny. Nie było widać dziennikarza, ani Naba. Pewno w tej chwili obydwaj odeszli tak daleko, że nie można było ich dostrzec.

— Mam dziwne przeczucie — zawołał Harbert — że taki dzielny człowiek, jak pan Cyrus, nie może dać sobie rady przez fale jak pierwszy lepszy! Na pewno wydostał się na brzeg. Prawda, Pencroff? Marynarz ze smutkiem pokiwał głową. Nie spodziewał się zobaczyć kiedykolwiek Cyrusa Smitha; nie chciał jednak pozbawić Harberta resztek nadziei powiedział: — Pewnie, pewnie. Nasz inżynier da sobie radę awet tam, gdzie inny człowiek zginąłby niechybnie. Jednocześnie z największą uwagą obserwował wybrzeże. Miało przed oczami piaszczysty brzeg, zakończony na prawo od ujścia rzeki liniami raf podwodnych. Te wynurzające się wody rafy podobne były do stada jakichś ziemnowodnych zwierząt, leżących w kąpieli morskiej. Za pasem raf morze lśniło w promieniach słońca. Na południu ostry cypel zamykał widnokrąg i nie można było rozpoznać czy ląd ciągnął się dalej w tym samym kierunku, czy też brzeg zamierał się a południowy zachód albo na południowy wschód tworząc rodzaj wydłubionego pępku. Na płaskim krańcu zatoki linia brzegu była na dużej przestrzeni zaokrąglona, a wybrzeże niskie, płaskie i bez wzniesień obfitowało w wielkie lawice piasku, które obnażał odpływ. Pencroff i Harbert obrócili się a wschód. Wzrok ich spoczą przede wszystkim na górze zakończonej ośnieżonym szczytem, wnoszącej się odległoci sześciu czy siedmiu mil. Od najbliższych stoków a do miejsca odległego mniej więcej o dwie mile od brzegu ciągnęły się rozległe tereny zalesione, znaczone tu i tam ciemniejszymi plamami zieleni drzew iglastych. Nieco bliżej, od skraju tego lasu a do brzegu, zieleniło się rozległe płaskowzgórze, usiane nieregularnie rozrzuconymi kłami drzew. Po lewej stronie poprzez zieleń zębkawą miejscami rzeka i wydawało się że jej kręta linia zdoła do zbocza gdzie zapewne było źródło. W miejscu gdzie marynarz zostawił tratwę rzeka płynęła pomiędzy wysokimi ścianami z granitu; na prawym brzegu zbocze było gładkie i strome, natomiast na lewym łagodnie obniżało się masyw skalny zamieniał się pojedyncze góry; góry w kamienie, te zaś z kolei w drobne, okrągłe kamyki, dochodzące a do cypla.

— Czybyśmy byli na wyspie? — mruknął marynarz. — Jeżeli tak, to jest ona do odległości — odpowiedział chętnie. — Nawet największa wyspa jest tylko wyspą — stwierdził Pencroff. Jednakże ta ważna kwestia nie mogła być jeszcze rozstrzygnięta. Odpowiedź na to pytanie trzeba było odłożyć a kiedy indziej. W każdym razie ląd ten, niezależnie od tego, czy był wyspą, czy kontynentem, wydawał się zny, malowniczy i urozmaicony pod względem roślinności. — To szczęście w nieszczęściu — zauważył Pencroff — musimy za to podziękować patrzący. — Dziękuję Bogu — odpowiedział Harbert. Pencroff i Harbert długo jeszcze oglądali ląd, na którym rzucił ich los, jednakże po tak powierzchownej obserwacji trudno było przewidzieć co czeka ich w przyszłości. Następnie powrócił południowym skrajem granitowego tarasu, na którym rysowały się długie festony skały, przybierających najdziwniejsze kształty. Tutaj pomiędzy kamieniami gnieździły się setki ptaków. Przeskakując przez występy Harbert spuszczał ich chmarę. — To nie są mewy! — wykrzyknął. — Co wiąża ptaki? — zapytał Pencroff. — Wyglądają zupełnie jak gołębie. — Bo te to właśnie są dzikie gołębie, czyli gołębie skalne — odpowiedział Harbert. — Poznajcie po podwójnym czarnym pasie na skrzydłach, po białym ogonie i białym popielatym upierzeniu. Gołębie skalne nadają się do jedzenia, a ich jaja są



doskonałe i gdyby pozostawiły trochę w gniazdach... Nie damy im czasu na wyklucie się chyba pod postacią jajecznic? wesoło odpowiedział Pencroff. Ale w czym zrobisz jajecznicę? zapytał Harbert. Może w kapeluszu? Nie, takim szukimistrzem nie jestem odrzekł marynarz. Poprzestaniemy więc na jajkach gotowanych, a ja się odejmuję nawet najtwardsze! Zbadali rozpadliny skalne i rzeczywiście w niektórych zagłębieniach znaleźli jaja. Zebrali paruzin z awion w chustkę marynarza, a ponieważ zbliżał się czytany moment przypływu, udali się powrotem w kierunku rzeki. Gdy doszli do zakrętu, była pierwsza południu. Prąd zaczyna już zmieniać kierunek. Trzeba więc o skorzystać odpływu, a żeby doprowadzić tratwę drzewem do ujścia rzeki. Pencroff nie zamierza pozostawić powalonego drzewa na drodze prądu, bez nadania mu właściwego kierunku, ale nie miał tak też zamiaru wsiąść na tratwę a żeby nie kierował. Gdy chodzi jednak o liny i sznury, marynarz nigdy nie bywa w kłopotach, toteż Pencroff szybko upłótł suchych lian sznur długości kilku sekund, przywiózł go z tyłu do tratwy i ujął drugi jego koniec. Harbert, odpychając tratwę przed siebie, utrzymywał ją na przodzie. Wszystko udało się doskonale. Wielki ładunek drzewa, którym marynarz przytrzymywał idąc brzegiem, spłynął z prądem rzeki. Ponieważ brzegi były bardzo urwiste, nie zachodziła obawa, że tratwa osiędzie na piasku. W ten sposób zanim minęły dwie godziny, drzewo dopłynęło do ujścia rzeki, o kilka kroków od Komin.

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

Urządzenie Komin. Wątpliwy problem ognia. Pudełko zapałek. Poszukiwania na wybrzeżu. Powrót reportera i Naba. Ostatnia zapalniczka. Płonące ognisko. Pierwsza wieczerza. Pierwsza noc na lądzie. Gdy tylko drzewo z tratwy zostało wydowane, pierwszym troską Pencroffa było przystosowanie kominy do zamieszkania. W tym celu zasypał szczeliny, przez które wdzierał się wiatr. Piasek, kamienie i splątane gałęzie oraz mokra ziemia szczelnie zatkały korytarze, dostępną dla południowych wiatrów odgrodziły od nich gęsto otwory. Pozostawiono jedynie w bocznej części wąską i krótką szczelinę, którą miały służyć do odprowadzania dymu i jednocześnie wytwarzania ciepła nad paleniskiem. W ten sposób kominy zostały podzielone na trzy czy cztery "pokoje", jeżeli można tak nazwać ziemne nory, z których nawet dzikie zwierzę byłyby niezbyt zadowolone. Chroniły one jednak przed deszczem i można w nich było zachować trochę ciepła, przynajmniej w "głównym pokoju" znajdującym się w środku. Ziemię okrywał wszędzie drobny piasek. Zważywszy to wszystko, kominy stanowiły do czasu znalezienia czegoś lepszego. Podczas pracy Harbert i Pencroff gawędzili. Może nasi towarzysze odkryją lepsze schronisko? powiedział Harbert. Możliwe odrzekł marynarz ale niechaj w tympliwości nie powstrzymuj cię od działania! Lepszy wróg w rękach niż dziób na ścianie. Żeby tylko przyprowadzili pana Smitha, żeby go tylko znaleźli! Wtedy będziemy mieli za co dziękować niebu powtarzał Harbert. Tak mrucał Pencroff. To byłby człowiek jak się patrzy. Byłby?... Czyby utracił nadzieję obaczenia go? zapytał Harbert. Niech Pan Beroni zaprzeczy marynarz. Prace nad przygotowaniem pomieszczenia szybko dobiegły końca i Pencroff głośno wyraził swoje zadowolenie. Teraz stwierdził nasi przyjaciele mogą powrócić. Znajdź tu zupełnie nowe schronienie. Pozostało tylko urządzenie paleniska i przygotowanie posiłku. Zdawało się że to robota prosta i łatwa. W głównym pierwszym korytarzu po lewej stronie utworono duże, płaskie kamienie tuż pod wylotem pozostawionego specjalnie otworu. Ciepło, które uleci wraz z dymem, na pewno wystarczy do utrzymania wewnątrz odpowiedniej temperatury. Zapas drzewa został złożony w jednym z pokoi. Marynarz ułożył na płytach paleniska kilka szczap na przemian z drobnymi gałązkami. Gdy Pencroff zajmował się pracą, Harbert zapytał go, czy ma zapalniczki. Oczywiście odpowiedział marynarz i muszodała na szczęście,

gdy bez zapałek i bez hubki byłoby mi w nie lada kłopotcie! Można zawsze skrzesać ognia tak, jak to robi dzicy, pocierając o siebie dwa kawałki suchego drzewa odezwa się Harbert. No to spróbuj, mój chłopcze, i zobaczymy, czy uda ci się ten sposób sięgnąć o wiązanie zmienne. A jednak jest to sposób bardzo prosty i szeroko rozpowszechniony na wyspach Pacyfiku. Nie przecz odpar Pencroff ale dzicy wiedzą, jak się o tego zabrać albo też używają jakiegoś specjalnego gatunku drzewa. Mnie się o nigdy nie udało, chociaż wiele razy usiłowałem skrzesać ognia w ten sposób. Przynajmniej wolę zapałki! Gdzie są moje zapałki? Pencroff poszukał w kieszeni marynarki pudełko, z którym się nigdy nie rozstawał, gdy byłby namiowym palaczem. Nie znalazł go jednak. Przeszukał kieszenie spodni, ale ku swemu wielkiemu zdumieniu tam także nie znalazł zapałek. A to ci głupia sprawa, a nawet jeszcze gorzej powiedziamy spojrzajmy na Harberta. Pudełko prawdopodobnie wypadło mi z kieszeni i zgubiłem je. Czy ty, Harbercie, nie masz żadnego krzesiwa ani czegoś w tym rodzaju, żeby można było rozniecić ogień? Nie! Drapiąc się zakłopotaniem - w głos marynarz wyszedł, a za nim Harbert. Obydwaj szukali starannie w piasku pomiędzy głazami i na brzegu rzeki, jednakże na próżno. Pudełko było mosiężne i zobaczyliby je na pewno. Czyżby wyrzucił tego pudełko z kosza balonu? zapytał Harbert Pencroffa. Pilnowałem się, żeby tego nie zrobił odpowiedział marynarz. Ale gdy kogoś tak huśta, jak nas huśtało, taki drobny przedmiot może łatwo zginąć. Nawet moja fajka mnie porzuciła! Przeklął pudełko! Gdzie ono może być? Zaczyna się odpowiadając powiedział Harbert biegnijmy na miejsce, gdzieśmy wyszli na ląd. Istniało może prawdopodobieństwo, że uda się odnaleźć pudełko, które fale w czasie przypływu musiały toczyć omiemy kamieniami, trzeba było jednak sprawdzić Harbert i Pencroff poszli szybko na miejsce, gdzie poprzedniego dnia wylądowali, mniej więcej o dwieście kroków od Komin. Dokładnie przeszukali nadbrzeżne kamienie i zagłębienia skalne. Na próżno. Jeżeli pudełko wypadło w tym miejscu, musiały je porwać fale. W miarę jak woda opadała, marynarz przeszukiwał wszystkie szczeliny skalne, ale nic nie znalazł. W tych okolicznościach byłaby to strata ciężka, a nawet niepowetowana. Pencroff nie miał żadnej wielkiej żalności. Cóżo przeciwko mu głębie bruzdy. Nie odzywał się ani słowem. Harbert, chcąc go pocieszyć zwrócił uwagę na to, że zapałki byłyby prawdopodobnie zmoczone wodą morską i nie nadawałyby się do użytku. Ale nie, mój chłopcze odpowiedział marynarz byłyby przecie w szczelnie zamkniętym, metalowym pudełku! Co teraz zrobimy? Na pewno znajdziemy sposób zdobycie ognia pociesza go Harbert. Pan Smith i pan Spilett dadzą sobie z tym radę lepiej od nas. Tak odpar Pencroff ale tymczasem nie mamy ognia i nasi towarzysze zastaną po powrocie bardzo nienyposiek. To niemożliwe, żeby nie mieli ani hubki, ani zapałek żywo wtręci Harbert Bardzo wątpię odpowiedział marynarz kręcąc głową. Przede wszystkim Naba i pan Smith nie palą. A co do pana Spiletta, obawiam się, że prędzej zachowa swój otatnik niż pudełko zapałek. Harbert nic nie odpowiedział. Strata pudełko byłaby oczywiście przykrym zdarzeniem. Jednakże chłopców przypuszcza, że uda im się zdobyć ogień ten czy inny sposób. Natomiast Pencroff, bardziej doświadczony, był innego zdania, chociaż nie należał do ludzi, których łatwo jest wprawić do zakłopotania. W każdym razie nie pozostawało mu nic innego, jak oczekiwać powrotu Naba i reportera. Trzeba było zrezygnować z jajek na twardo, które chciały dla nich przygotować posiłek zwołany z surowizn nie stanowił dla nikogo przyjemnej perspektywy. Przed powrotem do Komin marynarz i Harbert pozbierali znęroch i otodom wypadek, gdyby nie udało się rozniecić ognia, i w milczeniu poszli w stronę chroniska. Z oczami utkwionymi w ziemi Pencroff bez przerwy wypatrywał zaginionego pudełko. Przeszedł nawet prawym brzegiem rzeki od

ujęcia a do zakrętu, gdzie spuścili na wodę ratwę. Wspięła się a granitowy taras, przebiegł go we wszystkich kierunkach, przeszukał wysoką trawę a skraju lasu i wszystko nadaremnie. Gdy wrócił do Kominbycia już piąta po południu. Nie trzeba dodawać że przeszukali najciemniejsze zakamarki korytarzy, zanim ostatecznie zrezygnowali z odnalezienia zapałek. Około godziny szóstej, w chwili gdy słońce zniknęło już za wzgórzami na zachodzie, Harbert, który kręcił się tam i z powrotem po wybrzeżu, dał znać że Nab i Gedeon Spilett wracają. Wrócili sami!... Serce młodego chłopca ścisnęło się boleśnie. Marynarza nie omyliły przecucia. Inżyniera Cyrusa Smitha nie odnaleziono. Reporter usiadł na gazie, nie mógł ani słowa. Wyczerpany zmężeniem, umierający z głodu i nie miał doświadczenia, by utworzył sta. Zaczerwienione oczy Naba wymownie świadczyły o tym, że pękła, a nowy potok łez, który nie mógł powstrzymać się aby nazbyt wyraźnym dowodem, że Murzyn stracił wszelką nadzieję. Reporter opowiedział o poszukiwaniach podjętych w celu odnalezienia Cyrusa Smitha. Razem z Nabem przemierzali wybrzeże na przestrzeni przeszło ośmiu mil, czyli dotarli znacznie dalej, niż znajdowało się miejsce, gdzie nastąpił przedostatni upadek balonu, po którym zniknęli inżynier razem z psem. Brzeg był bezludny. Nigdzie ani śladu, ani znaku, ani wieko poruszonego kamyka; wszędzie nie tknęła piasek; na całej tej połaci wybrzeża ani jednego odcisku stopy ludzkiej. Było oczywiste, że nikt z mieszkańcy wyspy nie bywa w tej części wybrzeża. Morze było tak samo pustynne, jak i brzeg i widać nie tam, o kilkaset stóp brzegu, inżynier Smith musiał ponieść śmierć. W tym momencie Nab zerwał się głośnie zdradzającym, że walczył w nim resztki nadziei, zawołał: Nie, nie! On nie zginął! Nie! To niemożliwe! On! Człowieku! Ja! Ktokolwiek inny! Możliwe! Ale on! Nigdy! To jest człowiek, który wydobędzie się kańdej opresji! Następnego dnia, czując, że się go opuszczają, wyszeptał: Chyba nie wytrzymam! Harbert podbiegł do niego. Odnajdziemy go, Nabie! Pan Bógam go zwróć! Ale jesteś przecie głodny! Zjedz choć trochę bardzo cię proszę. To mógł przynieść Murzynowi parę arcy małych skąpe to było i niedostateczne pożywienie. Nab odmówił, chociaż nie miał nic w ustach od wielu godzin. Bez swego pana Nab nie mógł i nie chciał żyć. Natomiast Gedeon Spilett wprost pojechał miłaki: potem wyciągnął się a piasku u stępka. Był u kresu sił, ale zachowywał spokój. Wzruszył się o niego Harbert i ująwszy go za rękę powiedział: Znaleźliśmy schronienie, gdzie będzie panu lepiej niż tutaj. Nadchodzi już noc. Niech pan się odpocznie. Jutro zobaczymy, co dalej... Reporter wstał i prowadzony przez Harberta skierował się stronomin. W tym momencie zbliżył się o niego Pencroff i najzwyczajszym w świecie tonem zapytał, czy przypadkiem nie ma przy sobie zapałek. Reporter stanął, pogrzebał w kieszeniach, nic nie znalazł i odparł: Nie, Miałbym, ale prawdopodobnie wszystkie wyrzuciłem... Wzruszył się marynarz zawołał Naba, zadał mu to samo pytanie i otrzymał taką samą odpowiedź. Przekleństwo! wykrzyknął nie mogąc pohamować wybuchu złości. Usłyszawszy to reporter zwrócił się o niego: Nie macie ani jednej zapałki? Ani jednej, no i przez to nie ma ognia! Gdyby mój pan był tutaj, na pewno znalazłby na to radę zawołał Nab. Rozbitkowie znieruchomieli i spojrzeli po sobie z niepokojem. Harbert pierwszy przerwał milczenie: Panie Spilett, pan przecie pali, pan zawsze ma przy sobie zapałki! Może pan się szuka? Niech pan poszuka jeszcze! Wystarczy nam jedna jedyna zapałka! Reporter ponownie przeszukał kieszenie spodni, ubrania, palta i wreszcie, ku wielkiej radości Pencroffa, wyczuł ze zdziwieniem kawałek drzewianka pod podszewką kamizelki. Palce jego chwyciły ten kawałek drzewa przez materiały, ale nie mogły go wyciągnąć. Ponieważ była to prawdopodobnie zapałka, i to jedyna, należało uważać aby nie zdrapał jej fosforu. Może pan pozwoli, że ja wyciągnę

zapropoŃowa Harbert. I bardzo z rnie wyci gn kawa eczek drzewa, to nne, a r cze nie bezcenne d b o, tak wa ne dla nieszcz ych rozbitk Drewienko by o nienaruszone. Zapa ka! ucieszy si encroff. To tak, jakby my mieli kiedy indziej ca y transport zapa ek. Wzi j do r i poszed w kierunku Komin a za nim jego towarzysz. Ten kawa eczek drzewa, kt w krajach zamieszkan ych trwoni si zupe nym lekcewa eniem i kt o warto si eru, tutaj nale a o traktowa niezwyk pieczo owito ci. Marynarz upewni si e zapa ka jest sucha, po czym powiedzia: Przyda by si papier. Prosz odezwa si edeon Spilett, po chwilowym wahaniu wyrwij c kartk e swego notatnika. Pencroff wzi do r kawa ek papieru podany przez reportera i przykucn przed paleniskiem. Pod drwami u ono par ar ci suchych li ci, trawy i mchu w ten spos aby powietrze mia o swobodny dost i by drzewo mog o si z ybko zaj. Was Pencroff zwin kartk papieru w ro ek, jak to robi palacze fajki w czasie silnego wiatru, a na st pnie wsadzi j pomi y mech. Wzi wszy do r nieco chropowaty kamie czy ci go starannie i potar leciutko zapa k wstrzymuj c oddech, a serce ko ata o mu w piersi jak szalone. Pierwsze potarcie nie odnios o adnego skutku. Pencroff nie do ocno przycisn zapa k obawiaj c si etrze osfor. Nie, nie mog R mi dr y... powiedzia. Zmarnuj zapa k. Nie mog. Nie chc. i podnosz c si ziemi, poprosi rberta, a eby go wyr y. Przez ca e swoje ycie m ody ch opieć na pewno nie prze y jeszcze takiego wzruszenia! Serce wali o mu jak m otom. Prometeusz \*, kradn c ogie nieba, na pewno nie by bardziej wzruszony! Jednak ch opieć nie zawaha si szybko potar zapa k kamie s yszano lekki trzask, a potem b ysn niebieskawy ogieniek i roz-szed si ryz cy zapach dymu. Harbert delikatnie obr zapa k a eby si epiej rozpali a, po czym wsun j w papierowy ro ek. Papier zaj si atychmiast, a od niego zapali si ech. W kilka chwil potem s ycha y o trzaskanie suchego drzewa i wkr weso y p omie odsycany pot ym" dmuchaniem marynarza, rozb ysn w r iemno ci. No, nareszcie zawo a Pencroff wstaj c nigdy w yciu nie by em tak prze j! Nie ulega w t pliwo ci, e ogie palenisku z p askich kamieni wygl da pi ie. Dym ca kowicie uchodzi przez w ski przew komin ci gn dobrze i niebawem rozesz o si ooko a przyjemne ciepo. Teraz nale a o czuwa eby nie da gnisku wyga- sn zawsze utrzymywa od popio em kilka roz arzonych w elk Ale to ju by o tylko spraw dba o ci i uwagi, gdy drzewa nie brak o, a zapasy mo na by o zawsze odnowi e w a ciwym czasie. Pencroff przede wszystkim pomy la o tym, aby korzystaj c z ognia przygotowa ieczcz ardziej po ywn ni posi ek z o ony z litodom Harbert przyni dwa tuziny jaj. Z k ta pieczary reporter w milczeniu przygl da si ym przygotowaniom. Umys jego zaprz ta y trzy pytania. Czy Cyrus yje? Je eli yje, to gdzie mo e si najdowa Je eli ocala po katastrofie balonu, jak sobie wyt umaczy e nie znalaz sposobu, by da m jakikolwiek znak ycia? Nab w si ez celu po wybrze u. By teraz tylko cia em bez ducha. Pencroff, kt zna pi ziesi t dwa sposoby przyrz dzania jaj, nie mia w tej chwili wyboru. Musia poprzesta a w o eniu ich do gor ce go popio u, a eby upiek y si a ma ym ogniu. Po kilku minutach gotowanie" by o sko ne i marynarz zaprosi reportera na wieczcz Taki oto by pierwszy posi ek rozbitk a nieznanym wybrze u. Jaja na twardo by y znakomite, a poniewa jajko zawiera wszystkie potrzebne sk adniki od ywcze, rozbitkowie poczuli si n eze cy i wzmocnieni na si ach. Ach! Gdyby to nikogo nie brak o przy tym posi ku! Gdyby pi u wi i kt uciekli z Richmondu, znalaz o si komplecie tutaj w tym schronisku z g az przed tym ogniskiem p on cym jasno i weso o, na tym suchym piasku, w as mogliby tylko dzi wa patrzno ci. Ale niestety, nie by o

w których najbardziej pomyslowego, najbardziej wykształconego człowieka i ich rzeczywistego dowódcę Cyrusa Smitha, i nawet zwłoki jego nie mogły być ochowane. Tak minęła dziesiąta marca. Nadeszła noc. Z zewnątrz dochodziło wycie wiatru i monotonne pluskanie fali o brzeg. Woda toczyła kamienie tam i z powrotem z ogłuszającym hałasem. Reporter udał się głęboko ciemnego korytarza, zanotowawszy uprzednio w skrócie wydarzenia tego dnia: pierwsze ukazanie się owego lądu, zniknięcie inżyniera, poszukiwania na wybrzeżu, zajście z zapachami i tak dalej. Wreszcie zmieniło się zwyczajnie i zapadło w pokrzepiający sen. Harbert także zasnął niebawem. Marynarz, czuwając jednym okiem, spał przy ognisku, hojnie podkładał dREW. Tylko jeden spośród rozbitków pozostał przy życiu. Był to Nab, niepokieszony, zrozpaczony; nie zważając na namowy towarzyszy, które zachęcali go, żeby udał się na spoczynek, błąkał się całą noc po brzegu, wołając swego pana. ROZDZIAŁ SZYBKI. Inwentarz rozbitków. Pozbawieni wszystkiego. Spalone piasek. Wyprawa do lasu. Zielone drzewa. Uciekająca złota. Łąki dzikich zwierząt. Piliki. Cietrzewie. Niezwykłe powienie na wybrzeżu. Wszystko może być sporządzone przedmiotów stanowiących majątek rozbitków wyrzuconych na bezludny, jak się wydawało, brzeg. Właściciel nie posiadali nic z wyjątkiem ubrań i mieli na sobie w chwili katastrofy, jeżeli nie liczyć zegarka i notatnika, które Gedeon Spilett zatrzymał prawdopodobnie przez nieuwagę. Nie mieli ani broni, ani narzędzi, ani nawet scyzoryka. Wyrzucili wszystko, a żeby odciągnąć tutek powietrzny. Tak absolutnie pozbawieni wszystkiego nie byli nawet bohaterowie Daniela Defoe czy też Wyss, Selkirk czy Raynalowie \*, które statki rozbiły się w pobliżu Juan Fernandez i koło archipelagu Aukland. Będąc to Oceanie Spokojnym. Jego to przygody dostarczyły Danielowi Defoe pomysłu do napisania książki o Robinsonie Kruzo. Zdołali oni uratować rozbitego okręt obfite zapasy w postaci zboża, bydła, narzędzi czy amunicji, będąc też woda wyrzucała im na brzeg jakieś szczątki statku, co umożliwiło zaspokojenie najpilniejszych potrzeb życiowych. Nie byli oni tedy całkowicie bezbronni wobec przyrody. Nasi rozbitkowie natomiast nie mieli nic, żadnego narzędzia, żadnego sprzętu. Gdyby jeszcze Cyrus Smith znajdował się wśród nich, on, którym w tej sytuacji przywołała pomoc swoją wiedzę praktyczną i wynalazczość, nadzieja nie byłaby ostatecznie stracona! Niestety, nie należało już liczyć na powrót Cyrusa Smitha. Rozbitkowie mogli liczyć tylko na siebie i na Opatrzność. Przede wszystkim trzeba było zdecydować czy zamieszkać tutaj, właśnie w tej części wybrzeża, nie starając się nawet dociec, czy należy ono do jakiegoś kontynentu, czy jest zamieszkane, czy też jest to bezludna wyspa? Było to pytanie niezwykle ważne, które należało rozstrzygnąć jak najkrócej. Od odpowiedzi na nie zależało dalsze postępowanie. Jednakże wszyscy zgodzili się z Pencroffem, żeby zaczekać kilka dni z podjęciem wyprawy badawczej. Trzeba było istotnie zdobyć żywnienie bardziej posilne niż jaja i mięsaki i przygotować rowiant na drogę. Mając w perspektywie długotrwałe trudy i brak dachu nad głową, rozbitkowie musieli przede wszystkim wzmocnić i utrwalić swoje. Na razie Kominy stanowiły dostateczne schronienie. Ogień rozpalony i łatwo dało się utrzymać przy pomocy gówna. Małżeństwo jaj chwilowo nie brakowało w workach i na wybrzeżu. Na pewno znajdzie się sposób, aby kijem lub kamieniem zabić żarłoczny, który unosi się szumami nad piaskowizną. A może drzewa pobliskiego lasu rodzą jakieś jadalne owoce? Śródka woda była na miejscu. Rozbitkowie urządzili więc przez kilka dni pozostając w Kominach, a żeby przygotować wyprawę będącą wzdłuż brzegu, będąc też w głębokim lądzie. Projekt ten bardzo odpowiadał Nabowi. Uparty zarządcą w swoich myślach, jak i przecuciach, nie spieszył się z opuszczeniem tej części wybrzeża, gdzie wydarzyła się katastrofa. Nie wierzył i nie chciał wierzyć to, że Cyrus Smith nie żyje. Wydawało mu

się iemożliwe, żeby taki człowiek zginął w podobnie gępi sposób wany fałszywie i zatopiony o parę kroków od brzegu! Dopóki fale nie wyrzucią ciała inżyniera, dopóki Nab nie zobaczy na własne oczy, nie dotknie własnymi rękami zwłok swojego pana, nie uwierzy w jego śmierć. Ta myśl nie opuszczała go ani na chwilę. Była to może mrzonka, ale mrzonka, która należała do uszanowania, toteż marynarz nie chciał jej niweczyć. Jego zdaniem wszelka nadzieja była stracona, gdy inżynier oczywiście musiał zginąć, ale z Nabem nie warto było dyskutować. Boleń jego bowiem była tak wielka, że z pewnością nie przeżyłby śmierci inżyniera. 26 marca już o ówczesnym Nab poszedł brzegiem w kierunku północnym i powrócił do miejsca, gdzie prawdopodobnie morze zamknęło się przed niebezpiecznym Smittem. W dniu następnym skłamała się tego dnia z jej gołębich i lito-dom. Harbert znalazł ślad osadziła się zagłębieniach skał wskutek parowania wody morskiej. Oczywiście śladem wszystkim przydała. Po skończonym posiłku Pencroff zaproponował reporterowi, żeby mu towarzyszył do lasu, gdzie miał zamiar razem z Harbertem sprzączycia w polowaniu. Ale po namyśle postanowiono, że trzeba kogoś pozostawić do podtrzymywania ogniska oraz na wypadek, ma to zresztą prawdopodobny, gdyby Nab potrzebował pomocy. W Kominach pozostał Gedeon Spilett. A wiadomości, Harbercie powiedział marynarz. Amunicję znajdziemy po drodze, a strzelby wytniemy sobie w lesie. Jednakże w chwili gdy zamierzali wyruszyć Harbert zwrócił uwagę, że wobec braku hubki byłoby może dobrze przygotować substancję zastępczą. Co na przykład? zapytał Pencroff. Spalone porzeczki odparzyć. W razie potrzeby może ono zastąpić hubkę. Ta rada trafiła marynarzowi do przekonania. Jej stroną było to, że wymagała poświęcenia kawałka chustki do nosa. Sprawa była jednak warta zachodu i niebawem czarna kraciastej chustki Pencroffa została sprowadzona do stanu na wpół palonej szmaty. Otrzymał w ten sposób atwo zacząć się substancją, która w środkowym pokoju, w niewielkim zagłębieniu skały, w miejscu niedostępnym dla wiatru i wilgoci. Była dziewięć rano. Zaczęła się hmurzyć wiatr powiewał z południowego zachodu. Harbert z Pencroffem skręśli za Kominy, rzuciwszy uprzednio okiem na smugę, wijącą się w szczycie skały; potem poszli lewym brzegiem w górę rzeki. Gdy dotarli do lasu, Pencroff odłamał od pierwszego napotkanego drzewa dwie mocne gałęzie, zrobił z nich pałki, a Harbert zaostrzył ich końce skał. Ach, ile by dali teraz za nóż! Myśliwi szli przez bujny kęsz dużej stromej skarpy. Rzeka zwęzła się topniowo, począwszy od zakrętu zmieniającego jej bieg w kierunku południowo-zachodnim, a jej urwiste brzegi tworzyły wąskie przejście, obramowane podwójną arkadą drzew. Aby nie zbłądził Pencroff postanowił trzymać się wzdłuż biegu rzeki, którą musiała zaprowadzić z powrotem do punktu wyjściowego. Jednakże idąc brzegiem napotykali od czasu do czasu przeszkody: tutaj drzewa, których gałęzie zwisały aż do samej wody, tam znienajmniej albo ciernie, przez które trzeba było się przedzierać pomocnikiem. Harbert ze znośnością młodego kota czuł się w lizgiwa się omiędzy wykroty i zniknął w krzakach. Pencroff przywoływał go natychmiast i prosił, by choćby nie oddał się bytnio. Idąc marynarz obserwował uważnie rzeźbę charakteru terenu. Na lewym brzegu teren był płaski i wznosił się łagodnie w miarę oddalania od rzeki. Okolica, miejscami wilgotna, robiła wrażenie bagnistej. Wyczuwano się podskokach, wpadających do rzeki jakby podziemnym rozpadliną. Od czasu do czasu napotykali w rękawce strumyk, przez który przedostawali się z trudem. Przeciwległy brzeg wydawał się gąbki i dolina; gdzie rzeka wyłubiła sobie koryto, rysowała się wyraźnie. Wzgórze pokryte drzewami, o wierzchołkach tworzących jak gdyby tarasy, stanowiły zasłonę, która wzrok nie może przebić. Posuwanie się prawym brzegiem rzeki byłoby trudne, gdy

stromizny urywały się siłą, a drzewa pochylone nad wodą utrzymywały się tylko dzięki mocnym korzeniom. Nie trzeba dodawać, że zarządził zalesienie, przeciwległego brzegu, jak i tego, które szli, nie dotknęły nigdy stopa ludzka. Pencroff zauważył jedynie ślady czworonogów, zwierząt, lecz jakich nie mógł rozpoznać. Prawdopodobnie z tego samego zdania był zresztą i Harbert, niektóre ślady należały do wielkich drapieżników, a tych na pewno nie można było lekceważyć. Nigdzie jednak nie dostrzegli śladów, których na pniu drzewa ani resztek wygaszonego ogniska, ani też odcisków stopy ludzkiej; zresztą z tego należało się zapewne cieszyć, gdyż na tym skrawku ziemi, zagubionym na Pacyfiku, obecnie zowiekaby raczej niebezpieczna niż pożądana. Harbert i Pencroff, niewiele z sobą rozmawiając, gdy droga była niezmiernie ciężka, posuwali się bardzo powoli i w ciągu godziny uszli zaledwie milę. Polowanie nie dało dotychczas żadnego wyniku. Ptaki, które śpiewały i fruwały w powietrzu, były bardzo płochliwe, jak gdyby instynktownie odczuwały uzasadniony strach przed człowiekiem. W bagnistej części lasu Harbert zauważył jakiegoś ptaka z ostrym, wydłużonym dziobem; z wyglądu przypominał zimorodka, różnił się jednak od niego upierzeniem o metalicznym połysku. To jest prawdopodobnie zotka, powiedziała Harbert usiłując bliżej podejrzeć ptaka. Mielibyśmy okazję spróbować odpowiedzi marynarz, gdyby ona miała ochotę pozwolić sobie. W tej chwili kamień ucony zręcznie i mocno przez Harberta trafił ptaka w nasadę krzyża; jednak uderzenie było nie do końca skuteczne, gdyż zotka uciekła tak szybko, jak jej na to pozwalały nogi, i znikła im z oczu w jednej chwili. Ale ze mnie niezdar! zawołał Harbert. Nie, może jeszcze odpowiedziała marynarz. Uderzenie było celne i nie każdy umiałby tak trafić taką. Niech cię to nie zraża. Zapiemy go innym razem! Poszukiwania trwały nadal. Im dalej szli, tym drzewa stawały się zadsze i okazalsze, ale na żadnym z nich nie rosły owoce jadalne. Na przykład Pencroff szukał cennych palm, mających tak wszechstronne zastosowanie w życiu codziennym; rosły one do czterdziestego rzędzika na płaskiej i do trzydziestego piątego na płaskiej południowej. Ale w tym lesie rosły tylko drzewa szpilkowe: cedry himalajskie, które Harbert rozpoznał już wcześniej, sosny "duglasy", podobne do tych, jakie rosły na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki, i wspaniałe wierki, wysokości stu pięćdziesięciu stóp. W tej chwili chmara małych ptaszków, piętym upierzeniu i długich, powstających ogonach rozprzeczła się w powietrzu, gubiąc się albo przytwierdzone pięty, które pokryły ziemię delikatnym puchem. Harbert podniósł kilka tych pięt, przyjrzał im się i powiedziała: To są piliki. Wolałbym perliczkę albo guszka, stwierdził Pencroff, no, ale jeżeli nadają się do jedzenia... Nadają się, a nawet ich mięso jest nadzwyczaj delikatne, zapewnił Harbert. Zresztą, jeżeli się nie mylił, bardzo łatwo jest się o nich zbliżyć, zabić kijem. Czegoś się trawie marynarz i Harbert dotarli do sterczewa, którego dolne gałęzie były wprost oblepione ptaszkami. Piliki polowały tutaj na owady, stanowiące ich pożywienie. Opierzone paki mocno zaciskały się o najbliższych gałęziach. Myśliwi podnieśli się szybko i kijami, jak kosy, zmiotli całe szeregi ptaków, które nawet nie usiłowano uciekać bezradnie pozwalając się abijać. Już dobra setka ptaków leżała na ziemi, gdy pozostałe zdecydowały się uciekać. Dobra nasza! zawołał Pencroff. To jest zwierzyzna w sam raz dla takich myśliwych jak my! Można by je zapamiętać! Marynarz nanizował ptaszki na witek, udał się Harbertem w dalszą drogę. Rzeka skręcała lekko w kierunku południowym, tworząc zakrętek; ten zakręt prawdopodobnie nie sięgał daleko, rzeka bowiem brała początek w górach i zasilana była wodami pochodzącymi z topniejącego lodowca, pokrywającego zbocza środkowego szczytu. Jak wiadomo, głównym celem wyprawy było zdobycie dla mieszkańca Kominak największej ilości zwierzyzny. Nie można powiedzieć, aby

ten cel został w pełni osiągnięty, toteż marynarz prowadził nadal poszukiwania i z niezadowolaniem mruczał pod nosem, gdy jakieś zwierzętko nawet nie zdążyło rozpoznać przemykało w wysokich traw. Gdyby to miały sobie Topa! Ale Top zniknął raz i nie ze swoim panem i prawdopodobnie zginął wraz z nim! Około trzeciej po południu myśliwi znowu ujrzeli poprzez drzewa chmary ptactwa dziobatego i aromatyczne jagody, między innymi także jałowiec. Nagle w lesie rozległ się jak gdyby głos trąbki. Te dziwne a donośne dźwięki wydawały z siebie kuraki leśne i cietrzewie. Niebawem myśliwi ujrzeli kilka par tych ptaków rudym i brunatnym upierzeniu. Harbert rozpoznał samce po spiczasto zakończonych nasadach skrzydełek, utworzonych z najełonych na szyi piórek. Zdaniem Pencroffa należało bezwzględnie zaprzeciwić cietrzewia wielkociury, które miłośnikom w smaku nie jest gorsze od miłośniczej jarząbki; nie było to jednak łatwe, gdyż ptaki nie pozwalały się odejść. Po kilku bezskutecznych próbach, których jedynym wynikiem było wypłoszenie ptactwa, marynarz odezwał się do Harberta: — No, jeżeli nie można ich zabić łocie, to musimy spróbować na inny sposób. Jak karpia?! — zawołał Harbert, niezmiernie zdziwiony tym pomysłem. — Jak karpia? — potwierdził z powagą marynarz. Pencroff znalazł w trawie puzina gniazd cietrzewi, a w każdym dwa do trzech jaj. Uważał bardzo, aby nie dotknąć gniazd, do których gospodarze mieli zapewne niebawem powrócić. Właśnie dookoła gniazd zamierzał zarzucić, i to nie wiatrem, ale prawdziwie, z haczykami. Odciągnął Harberta na pewną odległość od gniazd i tu przygotował swobodny sprzęt staranności, jakiej nie powstydziby się cietrzewia Waltona \*. Harbert przyglądał się jego pracy z łatwo zrozumiałym zainteresowaniem, raczej jednak miał wątpliwości co do pomysłu. Wyniki, które miały być zrobione z cienkich, powieszonych ze sobą lian i miały od piąstu do dwudziestu stopni. Jako haczyki u kołli przywiązane były duże, mocne ciernie o zakrzywionych szpilkach, zerwane z krzaka karłowatej akacji. Za przynędy posłużyły duże, czerwone robaki pełzające po ziemi. Gdy Pencroff skończył trącić podczołgał się razem pod same gniazda i umieścił tam wiatry z haczykami; następnie powrócił na dawne miejsce, uchwycił kołki w ręce i schował się razem z Harbertem za grubym drzewem. Obydwaj czekali cierpliwie. Harbert co prawda nie liczył zbyt wiele na powodzenie tego pomysłu, ale sposoby Pencroffa. Upłynęło dobre pół godziny i wreszcie, tak jak to przewidywał marynarz, kilka par ptaków owróciło do gniazd. Podskakiwały, dziobały ziemię, wcale nie przeczuwały obecności myśliwych, które zresztą ulokowali się od wiatru. Była to chwila, którą Harbert oczekiwał z dużym zainteresowaniem. Zastygł w napięciu, a Pencroff z wytrzeszczonymi oczami, z otwartymi ustami i wargami wyciągniętymi tak, jak gdyby za chwilę miały się rozprężyć, bał się nawet odetchnąć. A tymczasem kuraki spacerowały pomiędzy haczykami nie zwracając na nie szczególnej uwagi. Pencroff pociągnął lekko za liany i przynędy zaczęły się ruszać jakby robaki były jeszcze żywe. Marynarz w tej chwili odczuwał na pewno silniejsze wzruszenie niż wiarz, który nie widzi, jak pod wodą zbliża się jego zdobycz. Drgające robaki wzbudziły niebawem zainteresowanie ptaków, które rzuciły się na przynędy. Trzy cietrzewie, prawdopodobnie najbardziej żarłoczne, pokonały robaki razem z haczykami. Wówczas Pencroff nagłym szarpnięciem pociągnął wiatry, a trzepotanie skrzydeł było dowodem, że ptaki dały się złapać. — Hura! — zawołał rzucając się na zdobycz i już miał ją w ręku. Harbert zaklaskał w dłonie. Po raz pierwszy zdarzyło mu się widzenie ptaka w powietrzu; marynarz skromnie stwierdził, że dla niego to nie pierwsza, a zresztą wynalezienie tego sposobu nie jest jego zasługą. — W każdym razie — dodał — w naszej obecnej sytuacji musimy być przygotowani na najróżniejsze rzeczy. Ptaki zostały powieszane za paki; Pencroff, szczęśliwy, że nie musi wracać pustymi



mi, i widząc, że dziecucha się chyli ku kości, uznał, że czas iść do domu. Kierunek był wyraźnie wytyczony przez rzekę należąco jedynie trzymając jej biegu; toteż już około godziny szedł Harbert i Pencroff powrócił do Komin. ROZDZIAŁ SIÓMYY. Nab jeszcze nie powrócił. Refleksje reportera. Wieczera. Zapowiada się ciemna noc. Straszliwa ulewa. Wymarsz w nocy. Walka z deszczem i wiatrem. O osiem mil od pierwszego obozowiska. Gedeon Spilett ze skrzyżowanymi na piersiach rękami stał nieruchomo na brzegu, patrząc w morze, które na wschodzie zlewało się oddali z wielką, czarną chmurą, podnosząc się szybko w górę. Długo silny wiatr i w miarę bniżenia się do stawu się oraz zimniejszy. Niebo przybierało groźny wygląd, a pierwsze objawy wichury dawały się wyraźnie odczuć. Harbert od razu wszedł do Komin. Pencroff zaś zbliżył się do reportera. Spilett, pochłonięty myślami, nawet go nie zauważył. — Czekaj nas ciemna noc, panie Spilett — zwrócił się do niego marynarz. — Deszcz i wiatr są tak silne, że petrele \* miałyby uciec. Reporter odwrócił się dopiero wtedy zauważył Pencroffa. Pierwsze jego słowo było: — W jakiej odległości od brzegu, pana zdaniem, uderzyła w balon fala, która porwała naszego towarzysza? Marynarz nie spodziewał się tego pytania. Toteż chwilomomyla, zanim powiedział: — Najwyżej w odległości dwukabli. — Ale co to jest ten kabel? — pytał dalej Gedeon Spilett. — Mniej więcej sto dwadzieścia sędzi lub sześćst — A więc Cyrus Smith miałby utonąć najwyżej o tysiąc dwieście stów od brzegu? — Cośkolwiek tego — potwierdził Pencroff. — I to razem z psem? — Tak. — Gdyby nasz towarzysz istotnie miał ponieść śmierć cięgnąc dalej reporter — najdziwniejsze byłoby to, że pies zginął razem z nim i że ani cię psa, ani zwłoki jego pana nie zostały wyrzucone na brzeg. — To nic dziwnego przy takim wzburzonym morzu — odparł marynarz. — Zresztą możliwe, że przedy zniosły cię gdzieś dalej na brzeg. — A więc pan stanowczo uważa, że nasz towarzysz zginął w falach? — Tak uważam. — A ja uważam — upierał się Gedeon Spilett — nie lekceważąc pańego doświadczenia, że to raczejczesne zniknięcie Cyrusa Smitha i Topa, żywych czy umarłych, ma w sobie coś niezrozumiałego i nieprawdopodobnego. — Chciałbym myśleć jak pan, panie Spilett — powiedział Pencroff. — Niestety, jestem przekonany, że jest inaczej. Po tych słowach marynarz poszedł do Komin. Na palenisku ponownie wesoły ogień Harbert dorzucił naraz suche drzewa i ogień oświetlił najciemniejsze zakamarki korytarza. Pencroff natychmiast zajęł się wieczorem. Doszedł do wniosku, że winna się kłoda solidnego dania, gdy wszyscy musieli podreperować adwłone się. Wianki małych ptaszków zostawiono na następny dzień tymczasem oskubano dwa cietrzewie, nadziano je na patyki i upieczono na ostrym ogniu. Była już godzina siem po południu, a Nab nie wracał. Pencroff bardzo niepokoił się nieobecnością Murzyna. Obawiał się czy nie spotkało go coś złego na tym nieznanym lądzie albo czy nieszczęśliwy Nab nie popełnił w przystępnym rozpacz jakiegoś szaleństwa. Harbert wyciągnął z nieobecności Murzyna wręcz odmienne wnioski. Według niego, jeżeli Nab nie wracał, to dlatego, że zaszedł jakieś nowe okoliczności, które zmusiły go do przedsięwzięcia poszukiwania kłoda nowa okoliczność ogłędła tylko wyjść do dobre inżynierowi. Dlaczego miałyby nie wrócić, gdyby nie zatrzymała go nowa nadzieja? Może znalazł jakieś wskazanie odcisk stopy czy szczątki balonu — które pchnęły go na właściwy trop? Może szedł w tej chwili jakimś wyraźnym planem? A może był już przy swoim panu?... Takie było rozumowanie młodego chłopca. Zwierzył się towarzyszom ze swoich myśli. Wysłuchali go, ale jedynie reporter zdawał się nim zgadzać natomiast Pencroff uważał, że Nab prawdopodobnie zabrnął w swoich poszukiwaniach dalej niż wczoraj i że po prostu nie zdążył jeszcze wrócić. Tymczasem Harbert, podniecony jakimiś przecuciami, kilkakrotnie zrywał się by wyjść a spotkanie Na-ba;

jednak Pencroff przekona go, że to próżny wysiłek, gdy w ciemnościach i w tak pogodą pewno nie odnajdzie ślad najlepiej wiźrobi, jeżeli zaczeka. Gdyby Nab nie przyszedł do rana, wówczas Pencroff bez chwili wahania poszukał go razem z Harbertem. Gedeon Spilett poparł zdanie marynarza, że nie należało się ożacza wobec czego Harbert musiał zrezygnować ze swego projektu; z oczu jego jednak potoczyły się wielkie łzy. Reporter nie mógł się owstrzymać, żeby nie uściskał złachetnego chłopca. Pogoda stawała się coraz straszniejsza. Nad wybrzeżem rozszalała się niezwykle silna południowo-wschodni wicher. Słychać było, jak opadające morze ryczy rozbijając się przybrzeżne skały. Krople deszczu, rozpylone huraganem, unosiły się tak mgła, straż tej mgły przepływały nad brzegiem, a poruszane wodą gązdy sprawiały taki hałas, jak gdyby ktoś wywracał wódz z kamieniami. Piasek, unoszony wichrem, miesza się gwałtownie ulew; w powietrzu było tyle piasku, co rozpylonej wody. Pomiędzy ujściem rzeki a ścianą skalną cierały się przeciwne prądy powietrza, a jego masy, które uderzały tego malstru nie miały innego ujścia poza wodę wozem, w której ktoś płynęła rzeka, i wdierały się o niego z nieprzepartymi siłami. Dym z ogniska, wtoczony z powrotem przez woski wylot, ssał się blisko po ziemi i wypełniał korytarze tak, że nie można było w nich wysiedzieć. Toteż gdy tylko cietrzewie zostały upieczone, Pencroff wygasił ogień zostawiając jedynie parę rozjarzonych glowy w popiele. Była już północ, a Nab nie wracał; teraz jednak można było przypuszczać, że zatrzymał go jedynie niepogoda i zmusił do szukania schronienia w jakiejś rozpadlinie, gdzie oczekiwał koczownicy lub przynajmniej wity. W tych warunkach nie sposób było wyjść z jego spotkanie ani też przeto odnaleźć. Na wiecznym daniem było pieczone. Wszyscy zabrali się do niego z apetytem, mił bowiem było wyborne. Najbardziej apetytem jedli Pencroff i Harbert, gdy długa wycieczka zaostrzyła niezmiernie ich apetyty. Potem każdy udał się do miejsca, gdzie spędził poprzednią noc. Harbert zasnął natychmiast obok marynarza wyciągniętego tu przy ognisku. Na dworze noc stawała się coraz ciemniejsza, a rzęczenie burza przybierała wprost zastraszające rozmiary. Zerwał się uragan, nie ustający nawałnicy, które porwała je z Richmondu i rzuciła ich tu, na ten skrawek lądu na Pacyfiku; takie wichry z deszczem, które występują podczas zniżania dnia z nocą i powodują wiele klęsk, szaleją ze szczególną siłą na tej olbrzymiej rzece wodnej, po której mogła hulać przez szkło. Nic dziwnego zatem, że wybrzeże zwróciło na wschód a wiodło bezpośrednio narażone na działanie huraganu i na jego wściekłe podmuchy, było smagane z siłą, jakiej nie sposób pisać słowami. Na szczęście zwały się skalne, tworzące Kominy, były dołkowe, pomimo że niektóre z wielkich bloków granitowych, niezbyt pewnie osadzone, jak gdyby drżały w posadach. Pencroff wyczuwał to wyraźnie; jego doświadczenie, oparta o skądś lekko drgała. Na pocieszenie powtarzał sobie, że reszta zupełnie słusznie, że nie należało się bawiać by ich tymczasowe schronisko miało się awali. A jednak słyszała, jak ze szczytu paskowzga odrywały się kamienie, porwane podmuchem wiatru, i jak padały na brzeg. Niektóre z nich, rzucone z wysokości, uderzały o głębię Komin i rozbijały się w drobne odłamki. Dwa razy marynarz wstawał i czołgał się do wylotu korytarza, aby popatrzyć co się dzieje na zewnątrz; ponieważ owe obsunięte gązdy były jednak nieznaczne i nie przedstawiały żadnego niebezpieczeństwa, powracał na swoje miejsce przy ognisku, w które rozjarzone w wielki trzaski w popiele. Harbert spał mocno pomimo wściekłych podmuchów uraganu, hukawał nawałnicy i grzmot. Wreszcie sen ogarnął także i Pencroffa, gdy wycieczka na morzu oswoiła go z wszelkimi burzami. Jedynie Gedeon Spilett nie mógł zasnąć, trapił go niepokój; robił sobie wyrzuty, że nie poszedł razem z Nabem. Nie opuścił go jeszcze nadzieja. Przeczucia, które wzburzyły Harberta, jemu tak nie dawały

spokoju. Myśl jego biegła do Naba. Dlaczego nie powróć? Reporter kręcił się swym poszukiwaniem z piasku, nie zwracając prawie żadnej uwagi na walkę żywiołów. Niekiedy oczy jego, zmorzone zmęczeniem, zamykały się na chwilę, ale natychmiast otwierały je pod wpływem jakiejś nagłej myśli. Tak mijała noc. Około drugiej Pencroff, pogrochony w mocnym śnie, poczuł, że ktoś nim gwałtownie szarpie. Co się stało? Zawołał budząc się przytomniejsze z szybkością wiatrów marynarzom. Pochylony nad nim reporter powtarzał: Proszę osłuchać Pencroffa, proszę osłuchać Marynarza wytępił śmiech, ale nie doszedł do nic poza szumem wichru. To wiatr powiedział. Nie odrzekł Gedeon Spilett nasłuchując na nowo wydał mi się że śmiejesz. Co? Szczekanie psa! Psa? Zawołał Pencroff zrywając się z nogi. Tak... szczekanie... To niemożliwe odparł marynarz. A zresztą, w tym ryku nawałnicy... O, teraz... Śmiech nowu... odezwał się reporter. Pencroff nasłuchiwał uważnie i rzeczywiście, gdy wiatr uspokoił się na chwilę wydał mu się że śmiejesz w oddali szczekanie. I cicho wykrztusił reporter ciskając do marynarza. Tak... Tak... mrucał Pencroff. Top! Top! krzyknął Harbert, który wiatr nie się budził. Wszyscy trzej rzucili się w wyjątku. Z wielkim trudem udało się im wydostać zewnątrz, gdy wiatr wpychał ich z powrotem; wreszcie jakoś się wygramolili, musieli jednak opierać się o skały, a żeby ustać na nogach. Wiało tak potężnie, że nie mogli ze sobą rozmawiać. Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności; morze, niebo i ziemia pogrochone były w gęstym mroku. Nikąd nie dobiegał najmniejszy odblask. Przez parę minut reporter i jego towarzysze stali tak przytłoczeni wichrem, przemoczeni ulewą, z oczami pełnymi piasku. Potem, gdy nawałnica uciszyła się na chwilę usłyszeli znów szczekanie dolatujące z dołka. Było to na pewno szczekanie Topa! Ale czy pies był sam, czy jeszcze z kim? Prawdopodobnie sam, bo gdyby Nab odnalazł Topa, przybiegłby do Komin. Marynarz, który na próżno krzyczał co do ucha reportera, uciszył mu znacząco ręką, jakby mówiąc: Proszę poczekać i wróć do schroniska. Po chwili wyszedł trzymając w ręku pionoczek wiązki chrustu; rzucił je przed siebie i zagwizdał przeraźliwie. Na to jak gdyby oczekiwane hasło szczekanie przybliżyło się niebawem do korytarza wpadł pies, a za nim Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett. Dorzucono do ognia narębe suchych drzew i jasny płomień wietlił Komin. Top! zawołał Harbert. Tak, to był Top, wspaniały pies rasy anglonormandzkiej, który odziedziczył po swoich przodkach ręczne nogi i niezawodny w nieodzowne cechy psa go-go. Był to pies inżyniera Cyrusa Smitha. Ale Top był sam! Nie było przy nim ani jego pana, ani Naba! W jaki sposób jednak instynkt mógł go zaprowadzić do Komin gdzie nigdy nie był? Wydawało się że niepojęte, zwłaszcza w tak ciemnej noc i podczas takiej ulewy! A co ciekawsze, Top nie był ani zziębnięty, ani zmęczony, ani nawet powalany bólem czy piaskiem!... Harbert przyciągnął go do siebie i ujął w dłoń jego łeb. Pies pozwalał na pieszczoty i ocierał się łokciem o rękę chłopca. Skoro odnalazł się pies, to i pan musi się gdzieś odnaleźć oświadczył reporter. Daj Boże! odrzekł Harbert. Chodźmy! Top nas poprowadzi! Pencroff nie oponował. Czuł wyraźnie, że przybycie psa może obalić jego przypuszczenia. W drogę zawołał. Marynarz starannie okrył wielki popiołem. W popielisadzi parawał karczewa, a żeby ogień wygasł do chwili powrotu rozbitków. Pies wybiegł pierwszy, jakby zachęcając ich cichym poszczekiwaniem; toteż marynarz zebrał szybko resztki jedzenia i wybiegł z reporterem i Harbertem z Komin. Ulewa szalała z niezwykłą wściekłością i chyba w czasie wiatru nie osiadała najwijsze nasilenie. Księżyc był w tym czasie na nowiu i przez chmury nie przedzierała się ni odrobina wiatru. Trudno było trzymać się w linii, toteż wszyscy zdali się na instynkt Topa; było to w tej sytuacji jedyne

wyjście. Reporter z Harbertem szli tuż za psem, marynarz zamykał pochłonięci nie mogli zamienić sobie ani jednego słowa. Deszcz nie był rzęsty, gdy pod wpływem wściekłych uderzeń raganu zamieniały się pył wodny. Jedną tylko okolicznością korzystną dla marynarza i jego towarzyszy. Mianowicie wiatr dął z kierunku południowo-wschodniego, popychał ich wiodąc tyłu. Ciskany wichrem piasek nie sprawiał im zbytej przykrości, osypywał bowiem plecy i nie przeszkodził marszu, pod warunkiem nieogładania się siebie. W rezultacie szli niekiedy szybciej nawet, niż zamierzali, i musieli przypieszać kroku, żeby nie dać przewrócić. Zresztą nadzieja podwajała ich siły. Teraz szli już wzdłuż wybrzeża, a nie na chybił trafił. Nie wzięli, że Nab odnalazł swego pana i że wysłał do nich wiernego psa. Ale czy inżynier był i czy Nab nie wzywał swych towarzyszy po to tylko, by oddali ostatni posługueszczemu Smithowi? Gdy minął szczyb urwistym brzegu, od którego przezornie się odsunęli, zatrzymali się, aby nabraćchu. Zaamek skały chronił ich przed wiatrem; musieli tu odpocząć o kwadransie tego marszu, a w przeciwybiegu. Teraz, gdy można już było się zobaczyć i zajemnie, chłopiec wymiął imi yrusa Smitha! Top szczeknął parą, jak gdyby chciał powiedzieć, że jego pan jest uratowany. Uratowany, prawda? powtarzał Harbert. Co, Top, uratowany? Pies szczekał, jakby odpowiadał twierdząco. Ruszyli w dalszą drogę. Było około południa nad ranem. Zaczęli się rzyć, a fala, pona wiatrem, zapowiadała się rośnie. Potem bałwany z hukiem rozbijały się skały podwodne i nacierały na nie z taką siłą, że najprawdopodobniej przewalały się ponad wysepki, którebyła zupełnie niewidoczna. Ta duża grobla nie zabezpieczała już brzegu narażonego bezpośrednio na napór z pełnego morza. Gdy tylko marynarz z towarzyszami oddalili się d szczyb w cianie skalnej, wiatr zaatakował ich z niezwykłą furią. Zgięci, odwróci tyłem do wiatru, szli szybko za Topem, a pies bez wahania wybierał przeciwy kierunek. Zawręci na pół, mając po prawej stronie niekońce się rzenie spienionych fal, bijących o brzeg z oguszającym hałasem, po lewej zaś okrył mrokiem okolic, w której nie można się było zorientować. Wyczuwali jedynie, że teren musiał być raczej płaski, gdy huragan przelatywał teraz nad nimi i nie zawracał, co niewątpliwie miaoby miejsce, gdyby natrafiał na jakikolwiek ciankałn. Do czwartej nad ranem przebyli około pięciu mil. Chmury uniosły się gęsto i nie wlokły się już po ziemi jak przedtem. W powietrzu było mniej wilgoci, a wiatr, wciąż jeszcze bardzo silny, stał się suchy i znacznie zimniej szy. W swych niezbyt ciepłych ubraniach Pen-croff, Harbert i Spilett cierpieli bardzo z powodu zimna, ale z ust ich nie wydobyła się najmniejsza nawet skarga. Byli zdecydowani iść za Topem tam, dokąd zaprowadzi ich to mądre zwierzę. Około piątej zaczęli witać. Najpierw w gęstym, gdzie mgły nie były tak gęste, zarysowały się zarawo kontury chmur, a potem, pod matowym pasem nieboskono, jaśniejsze linie wynurzyły się z widnokręgu morza. Grzebienie fal nabrały jakichś powych odbłasków a piana znętała się iiała. Różnie po lewej stronie wyłoniły się mroku strome części wybrzeża odcinające się zarys płam od czarnego tła. O szczyb rozwidniło się zupełnie. Chmury mknęły z zawrotną szybkością na dołnaczej wysokości. Rozbitkowie byli już o jakieś sześć mil od Komin. Szli zupełnie płaskim wybrzeżem, zakonym od strony morza linie skały; teraz, po przypływie, sterczały z wody tylko ich wierzchołki. Na lewo rozciągało się iaszczyste pustkowie, a monotonięgo przerywały od czasu do czasu wydmy porożni ostami. Brzeg był niski i jedynym osłoną od strony oceanu stanowił dołnieregularny pas pagów. Gdziegdzie widać było w tle drzewka pochylone na zachód konarami rosnącymi w tym samym kierunku. Daleko na południowym zachodzie wynurzały się listy skraj lasu. W tym momencie Top zaczął zdradzać niewątpliwie podniecenie. Biegł naprzeciw do marynarza

i jak gdyby zachęcał go do przyspieszenia kroku. W pewnej chwili opuścił brzeg i bez wahania wbiegł między wydmy. Wszyscy poszli za nim. Okolica robiła wrażenie pustyni. Wokół widać było widać wiewego ducha. Bezładnie rozrzucone wydmy tworzyły jakby miniatury Szwajcarii. Piasku i trzeba było naprawdę niezawodnego instynktu, żeby wśród nich nie zabłądził. W piąty minut po zejściu z wybrzeża reporter wraz z towarzyszami stanął przed jamą wydrążoną w zboczu jednej z wydmy. Top zatrzymał się zaszczekał radośnie. Spilett, Harbert i Pencroff weszli do środka. Klękał tam Nab przy nieprzytomnym człowieku leżącym na posłaniu z trawy... Człowiekiem tym był inżynier Cyrus Smith. ROZDZIAŁ IV. Czy Cyrus Smith żyje? Opowiadanie Naba. Siady na piasku. Pytanie nie do rozstrzygnięcia. Pierwsze słowa Cyrusa Smitha. Odciski stopy. Powróć do Kominy. Rozpacz Pencroffa. Nab nie poruszył się. Marynarz rzucił tylko jedno słowo: - żyje? Nab nie odpowiedział. Gedeon Spillet i Pencroff zbledli, Harbert zamamlał ręką i stanął jak wryty. Jedno było oczywiste: nieszczęśliwy Murzyn, pochłonięty rozpaczem, nie zauważył swoich towarzyszy i nie dosłyszał pytania marynarza. Reporter ukląkł obok nieruchomego ciała, rozpiął ubranie na piersi inżyniera i przyłożył do niej ucho. Wiekami wydawał się chwilę, w czasie których usłował uchwycił abszurd bodaj bicie serca. Nab wyprostował się skierował przed siebie błękitny wzrok. Na twarzy jego malowała się rozpacz. Wyczerpany zmężeniem i zdruzgotany bólem, Nab był nie do poznania. Po drugim, uważnym nasłuchiwaniu Gedeon Spillet podniósł głowę i powiedział: - żyje! Z kolei Pencroff ukląkł przy Cyrusie Smithie; uchem pochwycił paraderzeńca, wargami zbliżonymi do ust inżyniera - lekki oddech. Reporter skinął na Harberta i chłopiec natychmiast pobiegł szukać wody. O jakieś sto kroków trafił na szczycie siarzez piaski, przejrzysty strumyk, prawdopodobnie zasilony wczorajszym deszczem. Ale w co nabrał wody? Na piasku nie było nawet muszelki! Chłopiec zmoczył więc w strumyku chustkę biegiem wrócił do groty. Na szczęście mokra chustka wystarczyła Spi-lettowi, gdy chciał on jedynie zwilżyć argi inżyniera. Zimna woda odniosła prawie natychmiastowy skutek. Z piersi Cyrusa wydarło się estchnienie, a obecnym zdawało się usłował nawet wymamrał parę słów. - Uratujemy go - odezwał się reporter. Słyszycie te słowa, Nab nabrał otuchy. Zdjął ze swego pana ubranie, aby stwierdził czy na ciele nie ma jakiejś rany. Ale nigdzie, ani na głowie, ani na tułowiu, ani na kończynach, nie widać było żadnych śladów derzeń i nawet zadrapań. Wąszy, że Cyrus Smith musiał toczył się w gęzazach, było to co najmniej zastanawiające. Nawet na dłońiach nie widać było żadnych śladów doprawdy trudno było sobie wytłumaczyć w jaki sposób inżynier, przebywając pas rafa, nie odniósł żadnych obrażeń. Ale ta sprawa wyjaśni się. Gdy Cyrus Smith był już młodym, w czas sam opowie, jak to wszystko się stało. Teraz trzeba go było przywrócić do życia. Przypuszczając, że najszybciej pomoże rozcieranie, wziął się do tego niezwłocznie, używając bluzy marynarza. Inżynier, rozgrzany energicznym masażem, poruszył lekko ramionami, a oddech jego stał się bardziej rześmierny. Człowiek ten konał z wyczerpania i na pewno, gdyby nie przybycie reportera i towarzyszy, los jego byłby przesądzony. - A wiemy, że żyje, że twój pan nie żyje? - zapytał Naba marynarz. - Tak, myślałem, że umarł - przyznał Nab - i gdyby Top was nie odnalazł, gdybyście tu nie przyszli, byłbym pogrzebał swego pana i sam padł trupem na jego grobie. Oto jak niewiele brakowało do śmierci Cyrusa Smitha! Uspokojony Nab opowiedział, co się nim działo. Poprzedniego dnia, gdy tylko o wścieku opuścił Kominy, udał się w kierunku północnym i doszedł do tej części wybrzeża, gdzie był poprzednio. Tutaj - jak sam przyznał - bez najmniejszej nadziei szukał na brzegu wódki i na piasku jakiegoś bodaj najmniejszego śladu, któryby go naprowadził na trop. Szczegółowo uważnie zbadał teren, lecz nie znalazł, dokąd nie się przypisał, gdy na samym brzegu

przypływy i odpływy musiały zmyślenie lady. Nab nie miał nadziei, że odnajdzie swego pana przy życiu. Poszukiwał w ławicy jego zwłok po to, by je pogrzebać asnymi rękami. Szukał długo, lecz wysiłki jego pozostały bezowocne. Wydawało się, że tego pustynnego brzegu nigdy nie dotknęła ludzka stopa. Muszelki, których woda nie mogła dosięgnąć, a było ich powyżej linii przypływu miliony, leżały nietknięte. Ani jedna muszelka nie była zgnieciona. Na przestrzeni dwustu czy czterystu jardów widać było żadnego ładunku, ani wieżę, ani dawnego. Wobec tego Nab postanowił iść jeszcze kilka mil brzegiem. Był to, Rędy zniósł ją gdzieś dalej. Gdy jakieś zwłoki pojawiły się w pobliżu niskiego brzegu, rzadko się zdarza, by fala nie wyrzuciła ich przed siebie. Nab wiedział o tym i chciał zobaczyć swego pana po raz ostatni! Przeszedł jeszcze ze dwie mile brzegiem, przeszukał skały podwodne, które wynurzyły się w czasie odpływu; już utracił wszelką nadzieję, gdy wczoraj, około piętej po południu, dostrzegł na piasku odciski stopy. Odciski stopy wykrzyknął Pencroff. Tak potwierdził Nab. I te lady zaczynały się przy rafach? zapytał reporter. Nie odparł Nab, dopiero od miejsca, dokąd nie się przypływu, gdy lady bliżej raf były zmyte. Miałem, Nabie zachęcał Gedeon Spilett. Gdy zobaczyłem te lady, o mało nie oszalałem z radości. Siady były bardzo wyraźne i wiodły w kierunku wydm. Blisko przerzucili szedłem za nimi, a w ławicy biegłem, uważając jednak, by ich nie zatrze. Po pięciu minutach, gdy już zapadał zmrok, usłyszałem szczekanie psa. To był Top i on zaprowadzi mnie tutaj, do mego pana! Nab opowiedział na koniec, jak wielką była jego rozpacz, gdy znalazł nieruchome ciało. Usiłowałem pochwycić odaj najmniejsze oznaki życia! Teraz, gdy znalazł swego pana, chciał, by Cyrus Smith żył! Wszelkie jego wysiłki były jednak daremne! Pozostało mu jedynie oddać statniemu posługaczowi, który tak kochał! Wtedy pomyślał o swoich towarzyszach. Będą chcieli, prawdopodobnie, po raz ostatni zobaczyć jeszcze inżyniera. Spojrzył na Topa. Czy nie można zaufać przytowi wiernego zwierzęcia? Nab kilka razy wymówił nazwisko reportera, gdy sporowarzysty inżyniera jego to znał Top najlepiej. Potem wskazał na południe i pies pomknął w stronę. Wiemy już, w jaki sposób, wiedziony instynktem, dotarł do Komin, gdzie przecie nigdy dotąd nie był. Towarzysze Naba słuchali jego opowiadania z najwyższym zainteresowaniem. Nie umieli sobie wytłumaczyć dlaczego Cyrus Smith po walce, jak musiał stoczyć, aby wydostać się z odmów i przebyć inżyniera, nie miał na ciele najmniejszego zadrapania. Nie mogli także zrozumieć w jaki sposób inżynier przebył przez przeszczyt powyżej mili, aby dotrzeć do groty zagubionej w wydmach piaszczystych. A więc Nabie, to nie ty przyniosłeś tutaj swego pana? Nie, to nie ja odparł Nab. Jest oczywiste, że pan Smith przyszedł tu sam stwierdził Pencroff. Może oczywiste, ale raczej nie do wiary zauważył Gedeon Spilett. To wszystko wytłumaczył tylko inżynier osobiście. Należało zatem czekać aż odzyska mowę. Na szczęście powoli wracało do niego. Nacierania przywróciły szybsze krążenie krwi. Cyrus Smith znurczył rękami, potem głową i znurzył kilka niezrozumiałych słów. Pochylony nad nim Nab wymawiał jego imię, ale inżynier prawdopodobnie go nie słyszał i nie otwierał oczu. Jedyną oznaką życia były ruchy, natomiast zmysły pozostawały w upieniu. Pencroff bardzo uważał, że nie można rozniecić ognia, gdy jak na złość zapomniawszy wziął ze sobą spopielonego psa, a przecie łatwo można by je zapalić przez iskrę kamienia. W kieszeniach inżyniera nie znaleziono nic, z wyjątkiem zegarka w kieszonce kamizelki. Należało zatem przenieść Cyrusa Smitha do Komin, i to jak najszybciej. Wszyscy byli tego samego zdania. Tymczasem zabiegi, jakim poddano inżyniera, nadspodziewanie szybko doprowadziły go do

przytomno❧ci. Woda, kt❧zwil❧ano jego wargi, o❧ywia❧a go poma❧u. Pencroff wpad❧ na pomys❧ dodania do wody odrobiny sosu wyci❧ni❧go z pieczonych ptak❧kt❧przyni❧ze sob❧. Harbert, pobieg❧szy a❧ na brzeg morza, przyni❧stamt❧d dwie du❧e muszle dwuskorupowe. Marynarz przyrz❧dzi❧ co❧ w rodzaju mikstury i wla❧ j❧ in❧ynierowi do ust. Wreszcie Cyrus Smith otworzy❧ oczy. Nab i reporter pochylili si❧ad nim. ❧ M❧an! M❧an! ❧ wo❧a❧ Nab. In❧ynier us❧ysza❧ go. Pozna❧ Naba i Spilett, potem dw❧pozosta❧ych towarzyszy i leciutko u❧cisn❧❧ ich d❧onie. Jego usta wyszepta❧y par❧❧❧By❧y to zapewne te same s❧owa, kt❧ju❧ przedtem usi❧owa❧ wym❧. ❧wiadczy❧y one o tym, jakie to my❧li nurtowa❧y go nawet w❧as, gdy znajdowa❧ si❧ tak po❧a❧owania godnym stanie. Tym razem wszyscy zrozumieli. ❧ Wyspa czy kontynent? ❧ wyszepta❧. ❧ Ach! ❧ zawo❧a❧ Pencroff, a ten okrzyk wyrwa❧ mu si❧imo woli. ❧ Do wszystkich diab❧❧co nas to obchodzi, aby tylko pan ❧y❧, in❧ynierze! Wyspa czy kontynent? Zobaczysz si❧❧ej! In❧ynier skin❧❧ potakuj❧co g❧ow❧ i zapad❧ w drzemk❧. Wszyscy zachowywali si❧icho, by nie m❧ci❧ego snu, a reporter zaj❧❧ si❧atychmiast spraw❧ przeniesienia in❧yniera w jak najwygodniejszy dla❧os❧Nab, Pencroff i Harbert wyszli z groty i skierowali si❧ stron❧ysokiej wydmy, na kt❧ ros❧o par❧achitycznych drzewek; po drodze marynarz nie m❧si❧spokoic❧ wci❧❧ powtarza❧: ❧ Wyspa czy kontynent! My❧le❧ tym, kiedy si❧edwo dyszy! Co za cz❧owiek! Gdy weszli na szczyt wydmy, Pencroff i obaj jego towarzysze, nie maj❧c❧ adnych innych narz❧i opr❧w❧asnych r❧k, ob❧amali grubsze ga❧❧e z do❧❧❧nego drzewka, b❧cego gatunkiem kar❧owatej, wyniszczonej przez wiatry sosny nadmorskiej; nast❧ie zrobili z tych ga❧❧ nosze, na kt❧h, po narzuceniu li❧ci i trawy, mo❧na by❧o przenie❧❧n❧yniera. Wszystko to trwa❧o jakie❧ czterdzie❧ci minut. Zbli❧a❧a si❧ziesi❧ta rano, gdy marynarz, Nab i Harbert powr❧i do Cyrusa Smitha, przy kt❧ czuwa❧ Gedeon Spilett. In❧ynier budzi❧ si❧❧a❧nie ze snu, a w❧a❧ciwie ze stanu odr❧ienia, w jakim go znale❧li. Policzki jego, powleczone dotychczas trupi❧ bia❧o❧ci❧, zar❧i❧y si❧ekko. Uni❧si❧ieco i popatrzy❧ wok❧iebie, jak gdyby pytaj❧c, gdzie si❧najduje. ❧ Czy mo❧e mnie pan s❧ucha❧ez zm❧enia, Cyru-sie? ❧ zapyta❧ reporter. ❧ Tak ❧ odpowiedzia❧ in❧ynier. ,❧ A ja my❧l❧ odezwa❧ si❧arynarz ❧ ❧e pan Smith b❧ie jeszcze lepiej s❧ucha❧ po zjedzeniu tego sosu z cietrzewi, gdy❧ to s❧ cietrzewie, panie Cyru-sie ❧ doda❧ podaj❧c mu sos, do kt❧o tym razem do❧o❧y❧ par❧awa❧eczki❧. Cyrus Smith zjad❧ troch❧ieczystego. Resztki podzielili pomi❧y siebie jego towarzysze, kt❧ byli bardzo g❧odni i uwa❧ali, ❧e takie ❧niadanie jest stanowczo zbyt sk❧pe. ❧ Nic nie szkodzi ❧ pociesza❧ marynarz ❧ obfit❧ze po❧ywienie czeka na nas w Kominach; musi pan wiedzie❧panie Cyrusie, ❧e mamy tam na po❧udniu dom z pokojami, pos❧aniami i paleniskiem, a w spi❧arni par❧uzin❧taszk❧kt❧Harbert nazywa pilikami. Nosze s❧ gotowe i gdy tylko b❧ie si❧an czu❧ na si❧ach, przetransportujemy pana do naszego mieszkania. ❧ Dzi❧j❧przyjacielu ❧ odpowiedzia❧ in❧ynier ❧ za godzin❧ub dwie b❧iemy mogli wyruszy❧. A teraz prosz❧❧, Spilett. Reporter opowiedzia❧ wszystko, co zasz❧o dotychczas. M❧ o wydarzeniach, kt❧h in❧ynier nie m❧zna❧o katastrofie balonu, o wyl❧dowaniu na nieznaney ziemi, kt❧wydawa❧a si❧ustynn❧, bez wzgl❧ na to, czy by❧a wysp❧, czy kontynentem, o odkryciu Komin❧o poszukiwaniach in❧yniera, o przywi❧zaniu Naba, o tym, co zawdzi❧ali zmy❧lno❧ci wiernego Topa. ❧ A wi❧❧ zapyta❧ Cyrus Smith s❧abym jeszcze g❧osem ❧ nie znale❧li❧cie mnie na brzegu? ❧ Nie ❧ odpar❧ reporter. ❧ I to nie wyprzenie❧li❧cie mnie do tej groty? ❧ Nie. ❧ Jaka jest odleg❧o❧❧ej groty od raf? ❧ Mniej wi❧j p❧ili ❧ poinformowa❧ go Penc-roff. ❧ Pan jest zdziwiony, panie Cyrusie, ale my sami jeste❧my nie mniej zdumieni, ❧e znale❧li❧my pana w❧a❧nie tutaj. ❧ Istotnie ❧ powiedzia❧ in❧ynier; zacz❧❧ si❧❧ywia❧i interesowa❧zczeg❧i opowiadania. ❧ Istotnie, to jest bardzo dziwne! ❧

Ale czy mógłby pan nam powiedzieć, co się panem dzieje po tym, gdy został pan porwany przez fale? zapytał marynarz. Cyrus Smith zaczął sobie przypominać. Wiedziało niewiele. Fala porwała go z siatki balonu. Początkowo zanurzył się kilka sekund. Gdy wypłynął na powierzchnię, wyczuł w powietrzu, że jest przy nim jakaś żywa istota. Była to Top, która rzuciła mu się ratunek. Gdy inżynier spojrzał do góry, nie dostrzegł już balonu; statek powietrzny, uwolniony od ciężaru jego osoby i psa, pomknął jak strzała. Smith znajdował się wśród zburzonych fal, w odległości co najmniej pięć mil od brzegu. Płynął zawsze, usiłując walczyć z falami. Top podtrzymywała go za ubranie; nagle wpadli w gwałtowny prąd, który odepchnął ich na bok, i po krótkim wysiłku inżynier poszedł na dno, pociągając za sobą psa. Co się działo z nim od tego momentu aż do chwili, kiedy znalazł się na ramionach swoich przyjaciół, nie pamiętał. A jednak przerwał mu Pencroff: „Morze musiało pana wyrzucić na brzeg i miał pan do mnie, żeby dobrać tutaj, gdy Nabe znalazł przecięte odciski pana stopa. Tak... musiało potwierdzić zamysłony inżynier. A nie napotkaliście żadnych istot na tym wybrzeżu? Nie” odpowiedział reporter. „Zresztą, gdyby w tym czasie znalazł się przypadkowo jakiś zbawca, to dlaczego wydarzyłby pan morzu miałby go potem porzucić? Ma pan rację, drogi Spilett. Powiedz no mi, Nabe, dodał inżynier zwracając się do swojego sługę, czy to nie ty... czy nie miałeś jakiejś chwili zamroczenia... i wtedy... Nie, to absurd... Czy pozostał jeszcze jakiś z tych ludzi?” zapytał Cyrus Smith. „Tak, panie” odpowiedział Nabe, „tu przy wejściu, po drugiej stronie wydmy, w miejscu osłoniętym od wiatru i deszczu. Inni ludzie zatarli ulewę. Pencroff odezwał się do Cyrusa Smitha: „niech pan weźmie moje buty i popatrz, czy dobrze pasują do ludzi”. Marynarz wykonał polecenie inżyniera. Nabe poprowadził go wraz z Harbertem do miejsca, gdzie byli ludzie, a tymczasem Cyrus Smith zwierzał się reporterowi: „Zaszły tu jakieś zupełnie niezrozumiałe wypadki. Istotnie potwierdził Gedeon Spilett. Ale nie będziemy się tej chwili nad tym głowili, drogi Gedeonie, porozmawiamy później. Po chwili wrócił marynarz wraz z Nabem i Harbertem. Nie było żadnej wątpliwości, buty inżyniera doskonale pasowały do zachowanych ludzi. A zatem pozostawił je na piasku Cyrus Smith. A więc to ja uległem halucynacji, to ja miałem zamroczenie, o które poszedłem Nabe. Prawdopodobnie szedłem jak lunatyk, nie zdając sobie sprawy z tego, że idąc pies instynktownie przyprowadził mnie tutaj po wyratowaniu mnie z morza. Chodź, Top, chodź, mój piesku! Olbrzymie zwierzę czekało, rzuciło się na swego pana, a ten nie szczędził mu pieszczot. Trzeba przyznać, że nie można było w inny sposób umocnić koliczności wyratowania Cyrusa Smitha i cała zasługa przypisano Topowi. Koło południa Pencroff zapytał Cyrusa Smitha, czy można go już przenieść zamiast odpowiedzi inżynier podniósł się i z wielkim wysiłkiem woli. Musiał jednak wesprzeć się marynarzu, gdyby inaczej byłby upadł. „Dobra jest, dobra jest” powiedziała Pencroff, „proszę odłożyć lektykę na inżyniera. Przyniesiono nosze. Przeplecione gałęzie zostały pokryte mchem i trawą. Ułożono na nich Cyrusa Smitha; Pencroff z Nabem wzięli nosze z obu końców i pochylając się na boki, szli w stronę brzegu. Mieli do przebycia osiem mil, ale ponieważ nie można było posuwać się szybko i należało się zatrzymać przy postojach, na dojście do Komin trzeba było przewidzieć co najmniej sześć godzin. W dalszym ciągu dął silny wiatr, ale na szczęście deszcz ustał. Leżąc na noszach inżynier uniósł się lekko na pokci i obserwował wybrzeże, kierując wzrok przede wszystkim w stronę morza. Patrzył nie mając nic, a w pamięci jego utrwałała się ze sobą terenu wraz z jego nierównościami, lasami i bogactwami naturalnymi. Jednak po dwóch godzinach drogi zmieniło go zmogło i zasnął ponownie. Po przeszło pięciu godzinach marszu miał oddziaływać



dobrze do urwiska, a nieco później do Komin. Zatrzymano się ustawiono nosze na piasku; Cyrus Smith spał tak mocno, że się nie obudził. Pencroff stwierdził z najwyższym zdumieniem, że wczorajsza ulewa zmieniła wygląd okolicy. Utworzyły się u niego osypiska. Na brzegu leżały całe bloki skalne, a gruby dywan porostów i rzech wodorostów okrywał wybrzeże. Można było poznać fale przelewające się przez wysepki, dochodziły aż do stłbrzymiej, granitowej ściany. Przed otworem prowadzącym do Kominów podmyta ziemia świadczyła, że napisał musiał być tutaj wielki. Pencroff tkniął z jakim przeczuciem rzucił się na pieczary. Wybiegł stamtąd natychmiast i stanął jak wryty patrząc na towarzyszy... Ogień gasł. Zalany popiołem rzemienił się kup złamu. Zniknęły spalone piły, mające służyć za hubki. Morze wtargnęło do wnętrza pieczary i zniszczyło całe urządzenie Kominów.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTY.

Cyrus jest z nami. Starania Pencroffa. Tarcie drzewa. Wyspa czy kontynent? Plany inżyniera. W jakim punkcie Pacyfiku? W gęwinie leżącej. Pinią. Polowanie na kapibarę. Upragniony dym. Pencroff w kilku słowach zorientował swoich towarzyszy w sytuacji. Wydarzenie, które mogło okazać się tragiczne w skutkach, takie przynajmniej było zdanie marynarza, wywarło na każdym ze słuchaczy inne wrażenie. Nab tak był pochłonięty radością z powodu odzyskania swojego pana, że nawet nie słuchał, a przynajmniej nie przejmował się zupełnie tym, co mówił Pencroff. Harbert natomiast do pewnego stopnia podzielał obawy marynarza. Co zaś do reportera, to w odpowiedzi na słowa Pencroffa odezwał się do prostu: "Na Boga, Pencroff, jest mi to zupełnie obojędne. Ale powtarzam panu, że nie mamy ognia! Phi! Ani możliwości rozpalenia go ponownie. Ba! A jednak, panie Spilett... A czy Cyrus nie jest z nami?" zapytał reporter. "Czy nasz inżynier nie żyje? Na pewno znajdzie sposób, aby rozpałił go. Ale czym? A niczym! Co miał na to odrzec Pencroff? Nie odpowiedział nic, gdy w gębinie duszy podzielał zaufanie, jakim towarzysze darzyli Cyrusa Smitha. Inżynier był dla nich mikro-smosem, skarbnikiem wszelkiej wiedzy ludzkiej, człowiekiem o najwyższej inteligencji. Lepiej było znaleźć się z Cyrusem na bezludnej wyspie niż bez Cyrusa w najbardziej uprzemysłowionym mieście Stanów Zjednoczonych. Przy nim nie mogło być braku niczego. Przy nim nie można było stracić nadziei. Gdyby ktoś powiedział tym poczciwcom, że wybuch wulkanu zniszczy ziemię pod ich stopami, że ta ziemia zapadnie się pod Pacyfiku, odpowiedzieliby z zimną krwią: "Cyrus jest z nami, zwróć się do Cyrusa!"

Teraz jednak inżynier znajdował się w stanie zupełnego wyczerpania i w chwili obecnej nie mógł skorzystać z jego pomysłów. Kolacja więc musiała być bardzo skromna. Mięci trzewi już zjedzono i nie było żadnej możliwości, aby cokolwiek upiec. Zresztą pozostawione na zapas piliki zniknęły. Trzeba było coś wymyślić. Przede wszystkim przeniesiono Cyrusa Smitha do środkowego korytarza. Tam udało się rzucić na niego posłanie z mniej lub bardziej suchych porostów wodorostów. Jedyne gębinie sen, w którym zapadł inżynier, męszybko przywrócił mu siły, i to skuteczniej niż najobfitsze pożywienie. Zbliżyła się noc, a wraz z nią, wskutek zmiany kierunku wiatru na północno-wschodni, temperatura znacznie się obniżyła. Ponieważ woda zniszczyła przegrody postawione przez Pencroffa w niektórych miejscach korytarza, powstały nierzeczywiste, wskutek czego Komin stał się prawie niezdatny do zamieszkania. Inżynier dotkliwie odczuwał zimno, gdyby jego towarzysze nie pozdejmowali z siebie kurtek i bluz i nie nakryli go troskliwie. Tego wieczoru kolacja składała się z niezastąpionych litodomek, które całe masy nzebierali na brzegu Harbert i Nab. Tym razem jednak nie chłopi dodał do mięsaka rzech wodorostów adalnych; znalazł je na wyższych skałach, dokąd morze sięgało tylko w czasie wielkich przypływów. Wodorosty te, należące do gatunku morszczyń, stanowił rodzaj gronostaj po wysuszeniu tworzą substancję alaretową,

bogat w składniki odżywcze. Reporter i jego towarzysze zjedli sporo iłotodoma a potem ssali gronorosty, które okazały się zupełnie znośne w smaku; trzeba zaznaczyć na wybrzeżach azjatyckich wodorosty te stanowi ważną część składową pożywienia tubylców. Mimo wszystko już najwyższy czas, żeby pan Cyrus nam pomógł orzekł marynarz. Tymczasem ziemia stawała się coraz bardziej przejmująca, a niestety nie było żadnego sposobu, żeby się rozgrzać. Marynarz na dobre zirykowany usiłował wszelkimi sposobami rozpalić ogień mu w tym Nab. Znalazł trochę mchu i uderzył kamieniem o kamień krzesła iskra jednak mech nie był dostatecznie łatwopalny i nie zajęła się reszta iskry, które były tylko rozprzyskane odpryskami krzemienia, nie miały właściwości iskier ulatujących ze stali w zwykłym krzesiwie. Usiłowania te wiśpezowały na niczym. Następnie Pencroff, aczkolwiek bez cienia wiary w to, co robi, przetrząsnął się dwa kawałki drzewa, tak jak to robi dzicy. Na pewno energia zużyta w tym celu przez niego i przez Naba, zamieniona na ciepło, wystarczyłaby na doprowadzenie do wrzenia kotła parowca. Rezultatu jednak nie było żadnego. Wprawdzie kawałki drzewa rozgrzały się ale znacznie mniej niż sam Nab i Pencroff. Po godzinie takiej pracy Pencroff, z którego potłoczył się trumieniami, cisnął ze złości kawałki drzewa. Jeżeli ktoś zdoła mnie przekonać dzicy rozpalają w ten sposób wierze nawet w zimie jest gorąco. Przejrzeli moje dłoń, gdy był je tak pocierał jedną o drugą! Marynarz nie miał jednak racji. Jest rzecz pewna, że dzicy zapalają drzewo pocierając je szybko o siebie. Jednak niekiedy gatunek drzewa nadaje się do tego, a poza tym istnieje pewien sposób jak to się robi trick, którego Pencroff prawdopodobnie nie zna. Zły humor Pencroffa nie trwał długo. Harbert podniósł odrzucone przez niego kawałki drzewa i zaczął je pocierać całymi się. Potem zbudowany marynarz nie mógł powstrzymać się od śmiechu, widząc, jak szczupły młodzieniec usiłuje dokonać czego, co się mu nie udało. Trzyj, mój kochany, trzyj! Kartowa. Toteż trzymaj się Harbert ale tylko po to, żeby się rozgrzać zamiast stać eżeczynnie i trzymać się zimna. Niebawem będzie mi tak samo ciepło jak tobie, Pencroff. Tak się stało. Tak czy inaczej, trzeba było na to zrezygnować ognia. Gedeon Spilett chyba ze dwadzieścia razy powtarzał, że Cyrus Smith dałby sobie na pewno rad w końcu jednak zrezygnowany wyciągnął się na piasku w jednym z korytarzy. Harbert i Pencroff poszli w jego ślady. Top skulił się nogach swojego pana. Nazajutrz 28 marca, gdy tylko inżynier o otworzył oczy, ujrzał przy sobie swoich towarzyszy czekających na jego przebudzenie. Podobnie jak dnia poprzedniego pierwsze jego słowa brzmiały: Wyspa czy kontynent? Widać ta nie dawała mu spokoju. Znów samo odezwał się Pencroff. Nie mamy pojęcia, panie Smith. Jeszcze nie wiecie?... Ale będziemy wiedzieli dorzucił Pencroff kiedy pan nas oprowadzi po tej ziemi. Sądząc że jestem już w stanie sprząść oświadczył inżynier. Podniósł się z wielkiego wysiłku i stanął na nogach. To mi się podoba ucieszył się marynarz. Konał przed wszystkim z wyczerpania powiedziała Cyrus Smith. Trochę ożywienia, moi drodzy, i ze zmiana nie pozostanie ani śladu. Macie ogień? Zrazu nikt nie odpowiedział na to pytanie. Dopiero po paru chwilach odezwał się Pencroff: Niestety, nie mamy ognia, a w dodatku, panie Cy-rusie, już go nie mamy! Marynarz opowiedział o tym, co zaszło poprzedniego dnia. Inżynier ubawił się śmiechem historii o jedynej zapadce, a następnie o daremnych usiłowaniach zdobycia ognia w sposób praktykowany przez dzikich. Postaramy się o wymyślić powiedziała a jeżeli nie znajdziemy czego podobnego do hubki... To co? zapytał marynarz. To zrobimy zapadki. Chemiczne? Chemiczne. To jest przecie zupełnie proste! zawołał reporter klepiąc marynarza po ramieniu. Ten wprawdzie nie uważał, żeby sprawa była taka prosta,

ale nie zaoponowa. Wszyscy wyszli z Komin Bya znia pogoda. Jaskrawe sownurza o si morza i zotymi cami odbija o sia chropowatej powierzchni olbrzymiego zr skalnego. Rzuciwszy okiem dooko, inzynier usiad na wyste skalnym. Harbert przyni mu pararaci miak gronorostm: To wszystko, co posiadamy, proszana. Dzi, mhopcze, to wystarczy, przynajmniej na rano odpowiedzia Cyrus Smith. Zjad z apetytem skpe po ywienie i popi czyst wod, zaczerpni z rzeki w duzej muszli. Towarzysze patrzyli na niego w milczeniu. Zaspokoiwszy pierwszy g yrus Smith skrzyowa r i powiedzia: A wi moi drodze, nie wiecie dotychczas, czy los rzuci nas na kontynent, czy na wysp. Nie wiemy, proszana odpowiedzia chopiec. Jutro b iemy wiedzieli zapewni inzynier a tymczasem nie mamy nic do roboty. A jak! zaoponowa Pencroff. A co takiego? Ogiepowiedzia marynarz, kt o dr y a tak e natra my l nie daj c mu spokoju. Rozpalimy ogie pencroff zapewni go Cyrus Smith. Gdy cie mnie wczoraj przynosili, zdawa o mi si e na zachodzie zauwa y em szczyt g cy nad ca okolic. Tak, jest tam g i to nawet do ysoka potwierdzi Gedeon Spilett. Dobrze ci gn dalej inzynier jutro wdra-piemy si a jej szczyt i zobaczymy, czy l d jest wysp, czy kontynentem. A tymczasem, jeszcze raz m, nie mamy nic do roboty. No, a ogie powt z uporem marynarz. Ale rozpalimy ogie Troch ierpliwo ci, Pencroff wtr ci Gedeon Spilett. Marynarz popatrzy na niego z tak min, jakby chca powiedzie Je eli pan b ie si ym zajmowa, to niepr o poczujemy w ustach smak pieczystego! ale nie rzek nic. Cyrus Smith na razie nie zabiera g osu. Sprawa ognia zdawa a si e obchodzi o zupe nie. Przez kilka minut pogr ony by w rozmy laniach. Wreszcie przem: Pos uchajcie, przyjaciele. Nasza sytuacja jest, by o e, rozpaczliwa, ale w ka dym razie prosta. Albo jeste my na kontynencie i wtedy kosztem mniejszych czy wi zych trud otrzemy do jakiego zamieszkanego miejsca, albo jeste my na wyspie. W ostatnim wypadku jedno z dwojga: je eli wyspa jest zamieszkana, postaramy si da sobie rad przy pomocy jej mieszka; je eli jest bezludna, postaramy si a obie rad ami. Rzeczywi cie, nie mo e by nic prostszego stwierdzi Pencroff. Ale niezale nie od tego, czy jeste my na kontynencie, czy na wyspie, jak pan my li, Cyrusie, dok d rzuci nas huragan? Nie wiem na pewno odpar inzynier ~ ale wed ug moich przypuszcze jaki l d na Pacyfiku. Gdy opuszczali my Richmond, wiatr wia z p cnego wschodu, a jego gwa towno wiadczy a o tym, e kierunek nie powinien by ulec zmianie. Je eli istotnie ten kierunek z p cnego wschodu na po dniowy zach trzyma si to min my stany P cnej Karoliny, Po dniowej Karoliny, Georgii, Zatok eksyka, sam Meksyk w jego najw zzej cz ci, a nast ie pewien odcinek Pacyfiku. Oceniam odleg o kt przebyli my balonem, na co najmniej sze o siedmiu tysi mil. I je eli wiatr zmieni kierunek chocia by tylko o p wadranta \*, to musia nas zanie lbo na Archipelag Mendany, albo na wyspy Paumotu, albo, je eli szybko iatru by a wi za, ni przypuszczam nawet na Now Zelandi. Je li ta ostatnia hipoteza jest s uszna, nasz powr o ojczyzny b ie atwy. Czy to z Anglikami, czy z Maorysami, zawsze si ako dogadamy. Je eli natomiast wybrze e to nale y do jakiej bezludnej wyspy Mikronezji, co by o e uda nam si stali e szczytu g ce nad okolic, wtedy pomy limy nad tym, a eby urz dzi i utaj tak, jakby my nie mieli nigdy opu ci ej ziemi. Nigdy! zawo a reporter. Pan m nigdy", drogi Cyrusie? Lepiej jest na razie widzie szystko w czarnych barwach, a je li nast pi pomy lne rozwi zanie, b ie to mi niespodziank odpar inzynier. Dobrze powiedziane! pochwali Pencroff. Nale y mie adziej e ta wyspa, je eli to jest wyspa, nie b ie le a a poza szlakiem okr w. To by by naprawd ech. Musimy przede wszystkim

wdrapał i a szczyt g i wtedy b iemy wiedzieli,, jak sprawy stoj postanowi in ynier. Ale czy jutro b ie pan w stanie znie rudy tej wspinaczki? zapyta Harbert. Mam nadzieje tak odpar in ynier ale pod warunkiem, e Pencroff i ty oka ecie si r nymi my liwymi. Panie Cyrusie odezwa si arynarz poniewa pan m o zwierzynie, to gdybym by tak samo pewny, e po powrocie b m j upiec, jak jestem pewny, e j przynios. Niech j pan przyniesie, Pencroff przerwa Cyrus Smith. Ustalono, e in ynier i reporter sp dzie Kominach, a eby zbada rzeg morza i g taras. W tym czasie Nab, Harbert i marynarz p do lasu, uzupe ni zapas drzewa i postaraj si owi a de fruwej ce czy biegaj ce stworzenie, jakie im si awinie pod r. Wyruszyli oko o dziesi tej rano Harbert pe en nadziei, Nab radosny, a Pencroff mruzc cy sam do siebie: Je eli po powrocie do domu zobacz gie to znaczy, e piorun we w asnej osobie przyszed go rozpali. Poszli brzegiem rzeki, a gdy dotarli do jej zakr, marynarz zatrzyma si zapyta: Czym b iemy najpierw: my liwymi czy drwalami? My liwymi odpowiedzia Harbert. O, prosz Top jest ju na tropie! A wi na owy! zawo a marynarz. A potem wr y tutaj i nazbieramy drzewa. Po tych s owach Harbert, Nab i Pencroff u amali po jednym konarze z pnia m odeg o wierka i ruszyli za Topem, kt bieg w podskokach w r y wysokich traw. Tym razem zamiast i zdu rzeki, my liwi zapu cili si sam g szcz le ny. Drzewa by ci gle te same, przewa nie z gatunku sosen. W niekt h miejscach sosny, rosn c w mniejszych skupieniach, osi ga y pot e rozmiary i wiadczy y swoj wielko ci, e ziemia, na kt znale li si ozbitkowie, le y na wi ziej szeroko ci geograficznej, ni to przypuszcza in ynier. Spotykane od czasu do czasu polanki, gdzie stercza y pnie, dotkni z m czasu, pokryte by y suchymi ga am i tworzy y niewyczerpane rezerwy opa owe. Gdy min polanki, las sta si ak g y, e z trudem mo na si y o przeze zedziera. Nie atwo utrzyma ierunek w g szczu le nym, nie maj c adnej wyra nej cie ki. Tote marynarz od czasu do czasu znaczy drog a eby j atwiej odnale Ale widocznie le robi, e nie trzyma si iegu rzeki tak jak w as, gdy po raz pierwszy w owa tutaj z Harbertem, gdy w ci gu godziny marszu nie natkn si a adn zwierzyn Top, przemyskaj c si od niskimi' ga am, wystawia tylko ptaki, do kt h nie mo na si y o zbli y Nawet piliki wcale si ie pokazywa y. Marynarz doszed do wniosku, e trzeba b ie powr do bagnistej cz i lasu, gdzie owi na w ietrzewie. No c Pencroff odezwa si ab troch arkastycznym tonem je eli to ma by szystka zwierzyna, kt obiecali e przynie ojemu panu, nie trzeba b ie du ego ognia, eby j upiec. Cierpliwoci odpowiedzia marynarz z pewno ci nie zwierzyny zabraknie nam po powrocie do Komin. Nie ma pan zaufania do pana Smitha? Owszem. Ale pan nie wierzy, e rozpali on ogie. Uwierz gdy na palenisku b p on drwa. B p on, je eli m an tak powiedzia! Zobaczmy! S o w swojej w nie osi gn jeszcze najwy szego punktu nad horyzontem. Poszukiwania trwa y dalej i przynios y pewien po ytek, gdy Harbert odkry drzewo maj ce jadalne owoce. By a to pinia, rodz ca wspania e orzeszki, bardzo cenione w umiarkowanych strefach Ameryki i w Europie. Orzeszki by y ju zupe nie dojrza e i Harbert zwr na nie uwag owarzyszy, ci za uraczyli si imi do syta. No c powiedzia Pencroff wodorosty jako chleb, surowe ma e jako mi i orzeszki na deser oto obiad ludzi, kt nie maj w kieszeni ani jednej zapa ki. Nie trzeba narzeka mitygowa go Harbert. Ja te nie narzekam, m h opcze usprawiedliwia si encroff tylko powtarzam, e troch rakuje mi mi w tym posi ku. Top jest innego zdania! zawo a Nab i pobieg w g szcz le ny, w kt pies znikn z g o nym ujadaniem. Do szczekania psa do czy y si ziwne chrz kania. Marynarz i Harbert

pobiegli za Nabem. Jeżeli by to jaka zwierzyzna, nie należało si tej chwili k o to, jak si upiecze, lecz pomyśle tym, jak j z owi Gdy myliwi podbiegli bli ej, zobaczyli Topa szamoccego si e zwierzem, kt targa za ucho. Czworono ne zwierzd ugo ci oko o dw i p topy, podobne by o do wini: ciemnobrunatne, nieco ja niejsze na brzuchu, o twardej i rzadkiej szczecinie, o palcach jak gdyby po czonych bon i mocno przywartych do ziemi. Harbert stwierdzi, e jest to kapibara, jeden z najwi zych przedstawicieli gryzoni Zwierzie broni o si rzed psem. Bezmy lnie przewraca o wielkimi oczami, ton cymi w grubej warstwie t uszczu. Prawdopodobnie widzia o ludzi po raz pierwszy. Tymczasem Nab, uj wszy mocno kij, chcia ju ut uc gryzonia, gdy ten wyrwa si opowi, pozostawiaj c mu w z ch kawa ek ucha, chrz kn g o no, rzuci si a Harberta, omal go nie przewracaj c, i znikn w lesie. O, ajdak! zawo a Pencroff. Ca a tr wraz z Topem rzuci a si pogo le w chwili gdy mia a ju dop i ryzonia, znikn on w bajorze otoczonym wiekowymi sosnami. Nab, Harbert i Pencroff stan jak wryci. Top rzuci si o wody, ale kapibara ukry a si a dnie bajora i ju si ie pokaza a. Zaczekajmy powiedzia ch opiec nied ugo wynurzy si eby zaczerpn owietrza. A nie utopi si zapyta Nab. Nie odpar Harbert gdy ma p etwiaste palce i jest w a ciwie zwierzem ziemnowodnym. Czatujmy na ni. Top nie wy azi z wody. Pencroff i jego towarzysze zaj stanowiska na brzegu, a eby odci dw r wierz u, kt o pies wci jeszcze szuka p ywaj c po powierzchni bajora. Harbert si ie omyli. Po paru minutach zwierz ynurzy o si wody. Top dopad go jednym susem i nie da mu si onownie zanurzy Po chwili przyci gni go do brzegu gryzonia zat uk Nab kijem. Hura! zawo a Pencroff, kt ch ie wydawa ten okrzyk tryumfu. Jeden roz arzony w elek, a ogryziemy tego gryzonia do ko ci. Pencroff zarzuci sobie kapibar a rami ustalwszy wed ug s o e zbli a si odzina druga, da has o do powrotu. Instykt Topa przyda si y liwym, Kt dzi m dro ci zwierza atwo odnale li powrotn drog Po p odzinie dotarli do zakr rzeki. Tak jak za pierwszym razem, Pencroff szybko sporz dzi tratw chocia z powodu braku ognia praca ta wydawa a mu si b , na adowa j drzewem. Tratwa p yn z pr dem, a oni brzegiem rzeki wracali do Komin O jakie pi ziesi t krok d celu marynarz nagle zatrzyma si wyda pot y okrzyk hura!" i wyci gaj c r w kierunku Komin zawo a: Harbercie, Nabie, patrzcie! Nad z omami skalnymi unosi y si dymu. ROZDZIA DZIESI TY. Wynalazek in yniera. Pytanie nurtuj ce Cyrusa Smitha. Wyprawa na szczyt. Las. Gleba wulkaniczna. Ba anty. Muflony. Na pierwszym tarasie. Rozbicie obozu na noc. Szczyt sto ka. kilka chwil p ej trzej myliwi znale li si rzy p on cym ognisku, gdzie zastali Cyrusa Smitha i reportera. Pencroff w milczeniu przenosi wzrok z jednego na drugiego, nie wypuszczaj c z r upolowanej zdobyczy. Widzi pan, przyjacielu odezwa si eporter. Ogie to najprawdziwszy. Upiecze si rzy nim ta wspania a sztuka, kt uraczymy si iebawem! Ale kto go rozpali?... zapyta Pencroff. S o Gedeon Spilett m prawd S o by o r m ognia, kt tak zachwyci Pencroffa. Marynarz wci jeszcze nie wierzy w asnym oczom i by tak ol niony, e nawet nie wypytywa in yniera o nic wi j. A wi mia pan soczewk zapyta Cyrusa Smitha Harbert. Nie, moje dziecko, ale j robi em. I pokaza przyrz d, kt mu pos u y za soczewk By y to po prostu dwa szkie ka, wyj z zegarka re- portera i jego w asnego. Wype niwszy je wod , uszczelni brzegi za pomoc gliny i tak zmajstrowan soczewk skupi promienie s oneczne na wysuszonym mchu; w ten spos oznieci ogie Marynarz bez s owa patrzy to na przyrz d, to na in yniera. Jego spojrzenie by o niezmiernie wymowne: je eli Cyrus Smith nie by Bogiem,

to na pewno by? czym? wi?j ni? cz?owiekiem. Odzyska? wreszcie mow? zawo?a?: ? Niech pan to zanotuje, panie Spilett! Niech pan to zanotuje na papierze! ? Ju? zanotowa?em ? odpowiedzia? reporter. Nast?ie przy pomocy Naba marynarz umie?ci? we w?a?ciwym miejscu ro?en i niebawem nad jasnym, trzaskaj?cym ogniem wypatroszona kapibara piek?a si?ak zwyk?y prosiak. Kominy zn?ta?y si?ardziej przytulne, nie tylko dzi? temu, ?e ogie?rzewa? korytarze, ale r?e? dlatego, ?e zrobiono na nowo przegrody z kamieni i piasku. Jak wida?in?ynier i jego towarzysz nie zmarnowali dnia. Cyrus Smith ju? prawie ca?kowicie powr? do zdrowia i wypr?a? swoje si?y wdrapuj?c si?a granitowy taras. Z tego punktu okiem nawyk?ym do oceniania wysoko?ci i odleg?o?ci d?ugo obserwowa? sto?ek g? na kt? szczyt zamierza? si?osta?ast?ego dnia. G? odleg?a o jakie? sze??il na p?cny zach?wznosi?a si?jak mu si?ydawa?o, na trzy i p?ysi?ca st?onad poziom morza. A zatem wzrok obserwatora, stoj?cego na jej szczycie, m?obj??idnokr?g w promieniu co najmniej pi?ziesi?u mil. Istnia?o wi? du?e prawdopodobie?o, ?e Cyrusowi Smithowi uda si? ?atwo?ci? odpowiedzie?a pytanie ?kontynent czy wyspa?", kt?nie bez powodu uwa?a? za najwa?niejsze. Spo?yto sut? wieczorz?Wszyscy uznali, ?e mi? kapibary jest wymienite. Gronorosty i orzeszki uzupe?ni?y posi?ek. W czasie jedzenia in?ynier rzadko si?dzywa?. Uk?ada? plany na dzie?st?y. Raz czy dwa razy Pencroff rzuci? par?da?otycz?cych tego, co nale?a?oby uczyni? najbli?szej przysz?o?ci, ale Cyrus Smith, systematyczny jak zwykle, pokr?? tylko g?ow?. ? Dopiero jutro ? powtarza? ? b?iemy wiedzieli, w jakiej sytuacji si?najdujemy, i w zale?no?ci od tego ustalimy dalsze post?wanie. Po sko?nym posi?ku dorzucono do ognia par?ar?y drew i mieszka?Komin?raz z wiernym Topem zasn? mocnym snem. Nic nie zak??o spokoju tej nocy i nazajutrz, 29 marca, od?wie?eni i wypocz?, obudzili si?otowi do wyprawy, kt?mia?a zadecydowa? ich losie. Wszystko by?o przygotowane do wymarszu. Resztki kapibary powinny by?y wystarczy?a ca?odienne po?ywienie. Zreszt? rozbitkowie mieli nadziej??e zaopatr? si? ?ywno??o drodze. Poniewa? szkie?ka zosta?y z powrotem za?o?one do zegark?Pencroff spali? troch???, by uzyska?amiastk?ubki. Krzemieni nie powinno by?o brakn??a tych terenach, poniewa? s? one pochodzenia wulkanicznego. O godzinie wp?o ?j rano ca?a pi?tka, uzbrojona w kije, opu?ci?a Kominy. Zdaniem Pencroffa nale?a?o teraz i??nan? ju? drog? przez las, a powraca?o?na b?ie inaczej. By?a to jednocze?nie najkr?a droga wiod?ca w kierunku g?. Udali si?i?na po?udnie i szli lewym brzegiem rzeki a? do miejsca, gdzie Ji A skr??a ona na po?udniowy zach?. Odnale?li utorowan? ju? ?cie?k? g?szczu drzew i o godzinie dziewi?tej osi?gn? zachodni skraj lasu. Ma?o urozmaicony teren, pocz?tkowo bagnisty, a nast?ie suchy i piaszczysty, wznosi? si?ekko w miar?osuwania si? g??b l?du. Pomi?y drzewami przemkn? jakie? bardzo p?ochliwe zwierz?. Top wystawi? je natychmiast, al? in?ynier przywo?a? go, gdy? chwila nie by?a odpowiednia do polowania. Zobaczy si?co b?ie p?ej. In?ynier nie nale?a? do ludzi, kt?h z ?atwo?ci? mo?na oderwa?d celu, do kt?o zd??aj?. Bez przesady mo?na twierdzi??e Smith nie zwraca? teraz uwagi ani na rze?b?erenu, po kt? szli, ani na bogactwa naturalne. 'Jego jedynym celem, do kt?o zmierza? najkr?? drog?, by?a g? chcia? j? osi?gn??ak najszybciej. O dziesi?tej zrobili kilkuminutowy post?. Gdy wyszli z lasu, oczom ich ods?oni? si?idok na g?. Sk?ada?a si?na z dw?sto?k?. Pierwszy z nich, ?ci? na wysoko?ci dw?i p?ysi?ca st?by? podtrzymywany dwoma dziwnymi zбочzami, kt?rozchodzi?y si?ak szpony olbrzymiej ?apy drapie?nego ptaka przytwierdzonej do ziemi. Pomi?y zбочzami rysowa?y si?wie w?skie doliny naje?one drzewami; wierzcho?ki najwy?ej rosn?cych drzew si??y do poziomu pierwszego sto?ka. Na

pocno-wschodnim zboczu górnym obłędnie wrażeń uboższej i można by tu zauważyć o jakie rozpadliny, które prawdopodobnie ongi spływała lawa. Na pierwszym stopniu spoczywał drugi, lekko zaokrąglony na wierzchołku i nieco przekrzywiony. Wyglądał jak wielki, okrągły kapelusz nasadzony na ucho. Górniczy nie był na nim widoczny w wielu miejscach przewiecały czerwone skały. Celem wyprawy był szczyt drugiego stopnia, a najwygodniejsza droga wiodła grzbietami zboczy. Znajdujemy się na grzbiecie wulkanicznym stwierdził Cyrus Smith. Zaczęła się spinał boczem, które dochodziło do tarasu pierwszego stopnia lini krę, a zatem łatwiejsze do przebycia. , , Teren miał liczne wybrzuszenia, a jego ukształtowanie wskazywało na działania wulkanicznych. Tu i tam widniały góry narzutowe, liczne odłamki bazaltu, pumeksu, feldszpatu. Pojedynczymi kłami rosły drzewa iglaste, które kilkaset stóp, w górach woskowatymi gwinami nie przepuszczają promieni słonecznych. W czasie pierwszego etapu wspinaczki Harbert zauważył na dolnych kondygnacjach ślady wskazujące, że przechodził tutaj niedawno jakieś duże zwierzę, prawdopodobnie drapieżnik. A może te zwierzę niechcień ustąpił nam swego królestwa? odezwał się Pencroff. A więc postaramy się pozbyć odpowiedzi reporter, który polował już na tygrysy w Indiach i na lwy w Afryce. Ale na razie bądźmy czujni. Powoli wspinali się od góry jednak droga była długa, pełna zakręów i przeszkód, które musieli omijać. Zdarzało się, że ziemia urywała się gwałtownie i wówoy stawali nad brzegiem głęokich rozpadlin, które trzeba było obchodzić. Wiele czasu i trudu kosztowało ich powracanie na wygodniejszą drogę raz wynajdywanie jakichś możliwych do przebycia ścieżek. W południe, kiedy rozbitkowie zrobili postój pobliskim spływającym kaskadami strumyka, żeby się osilić cieniu kłwierkznajdowali się aledwie w połowie drogi na szczyt pierwszego stopnia, należało zatem przypuszczać że wejdą tam dopiero u schyłku dnia. Z miejsca gdzie się zatrzymali, roztaczał się bardziej rozległy widok na morze; jednakże na prawo, na południowym wschodzie, widnokrąg był przesłonięty ostrym cyplem i nie można było ustalić czy wybrzeże, cofając się gwałtownie, nie kryje się dalszym planie z jakimś lądem. Po lewej stronie, na północ, zasię wzroku zwiędzała się kilka mil. Natomiast w kierunku pocno-wschodnim widzialnościami zamknięty grzbietem zbocza o dziwacznych kształtach, które tworzyło potężne skarpie stopnia. A zatem w miejscu, gdzie się teraz znajdowali, nie można było jeszcze w żaden sposób przewidzieć jaka będzie odpowiedź na pytanie Cyrusa Smitha. O pierwszej ruszyli w dalszą drogę. Trzeba było iść ukos w kierunku południowo-zachodnim i ponownie wejść do lasu. Tutaj, pod sklepieniem drzew, fruwały pary kuraków z rodziny bałanta. Miały miśte podgardla i dwie rogowate narośle w kształcie stopniowej oczu. Samiczki tych ptaków wielkości koguta, posiadały jednolicie brunatne upierzenie, samczyki zaś lśniły purpurę pięt usianych białymi cękami. Gedeon Spilett rzucił mocno i celnie kamieniem, trafił bałanta, a Pencroff, który apetyt pobudzony został przebywaniem na powietrzu, patrzył na to nie bez pewnej powściągliwości. Gdy wyszli z lasu, musieli przejść jakieś sto stóp bardzo stromej skarpie. Podsadzając się pomagając sobie wzajemnie, znaleźli się reszcie na wyższej kondygnacji, ścabo poronił drzewami, gdzie gleba miała wygląd wyraźnie wulkaniczny. Teraz należało zawrócić na wschód zakosami, co ułatwiało znacznie wspinaczkę a strome zbocza, przy czym trzeba było nieomal przy każdym kroku uważnie wybierać miejsce, gdzie postawić stopę. Nab i Harbert szli na czele, Pencroff zamykał pochodę. W środku szedł Cyrus z reporterem. Zwierzę przebywające na tych wysokościach a ślady wskazywały, że było ich wiele, musiały niewątpliwie należeć do gatunku kozic o mocnych nogach i sprężystym karku. Zauważono kilka sztuk tych

zwierzęt, które Pencroff określił całkiem zwyczajnie, wykrzykując w pewnej chwili: Barany! Cała grupa zatrzymała się odległoci pięćdziesiąt kroków od stadka składającego się kilku dużych zwierząt o mocnych, wygiętych do tyłu rogach, spłaszczonych na kółkach, oraz weńnistym runie pod długą sierścią porowego koloru. Nie były to jednak zwykłe barany, lecz specjalna odmiana bardzo rozpowszechniona w górskich okolicach strefy umiarkowanej; Harbert nazwał je muflonami. A czy one mają udźce i kotlety? zapytał marynarz. Harbert przytaknął. No wieto są barany stwierdził Pencroff. Zwierzę, stojące nieruchomo w kręgu ciemności, patrzyło ze zdziwieniem, jak gdyby po raz pierwszy widziałyby dwunożne istoty ludzkie. Nagle, zdjął strachem, zniknął w podskokach w krzakach. Do widzenia! zawołał Pencroff tak zabawnym tonem, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wspinaczka trwała dalej. Na niektórych stromiznach można było zaobserwować ślady zastygłej, popelnej lawy o dziwnych wzorach. Drogę przecinały małe rozpadliny, które trzeba było obchodzić, gdy się unosiły siemich opary siarki. W niektórych miejscach w kręgu inercyjnym przedzających zazwyczaj wylew lawy, to znaczy w kręgu zerwanej ziemi wulkanicznej o nieregularnych, mocno przepalonych ziarnach oraz białego popiołu, składającego się niezliczonej ilości małych kryształków szpatu, osadziła się postaci krystalicznego nalotu siarka. Trudności wspinaczki wzrosły siemnacznie w pobliżu tarasu utworzonego przez pierwszy ścieżek. Około godziny czwartej rozbitkowie przekroczyli granicę. Tu i nie widziałyby tylko powykrzywiane, nędzne sosenki, które musiałyby się walczyć, aby oprzeć się tej wysokości silnym wiatrem od morza. Na szczęście dla inżyniera i jego towarzyszy pogoda była piękna, a powietrze spokojne; na wysokości trzech tysięcy silniejszy wiatr utrudniałby marsz. Poprzez przejrzyste, górskie powietrze wzrok sięgał w bezkresną górną niebia. Wokół anowała absolutna cisza. Słońce nie było już widoczne, gdy ukryło się za ścieżek zasłaniający horyzont na zachodzie, a olbrzymi cień sięgnął do wybrzeża, wydłużając się w miarę jak promienna tarcza słońca zbliżała się do kresu swej dziennej wędrówki. Jakie opary, raczej mgły niż chmury, zaczęły ukazywać się na wschodzie, a promienie słońca zabarwiły je wszystkimi kolorami tęczy. Już tylko pięćdziesiąt stóp od tarasu, do którego chcieli dotrzeć, rozbiła się noc, ale do tych pięćdziesiąt stóp jeszcze ze dwa tysiące z powodu zygzaków jakie musieli opisać Ziemia, jeżeli tak można powiedzieć, kołysała się nieraz pod nogami. Zbocza były niekiedy tak strome, że podróżnicy zlizywali się zastygłej lawie, zwłaszcza w czasie, kiedy zagłębienia w skale, zwietrzałe i stare wskutek działania powietrza, nie dawały dostatecznego oparcia stopom. Powoli zapadał zmrok, a gdy Cyrus Smith i jego towarzysze, strudzeni siedmiogodzinnej wspinaczki, osiągnęli szczyt pierwszego ścieżka, było już prawie ciemno. Należało teraz rozbić bozowisko i wzmocnić je najpierw jedzeniem, potem snem. Drugie pięćdziesiąt opierało się na podstawie ze skały, w kręgu którego łatwo było znaleźć schronienie. Opał nie było zbyt wiele, jednakże do rozpalenia ogniska nadawały się suche mchy oraz krzewy, rosnące miejscami na tarasie. Marynarz zabrał się do ułożenia paleniska z kamieni, a Nab i Harbert zajęli się zbieraniem opału. Niebawem powrócił niosąc całe narząd suchych krzewów. Skrzęsano ognia, iskry padły na spalone piasek, na które dmuchał Nab, i wkrępił pod osłonką zapłonęły wesołe ognie. Ognisko było przeznaczone jedynie do rozproszenia nocnego chłodu, nie zaś do upieczenia bąbka, którego Nab zostawił na dziedzińcu. Kolacja składała się z resztek kapibary i orzeszków. Przed godziną wpadła się na wieczerza była skończona. Inżynier wpadł na pomysł zbadania w punkcie tego obszernego tarasu dźwigającego na sobie górę ścieżek. Przed udaniem się na spoczynek chciał się przekonać, czy można obejść ścieżek u nasady, w wypadku gdyby zbyt strome zbocza nie pozwoliły



wdrapał i a sam szczyt. Sprawa ta nie przestawała go absorbować gdy obawiał się o od strony, w którą pochyłała się pierzchołek gę to znaczy od półcy, podejście na szczyt było niemożliwe. Otądby się okazało, że z jednej strony szczyt gę jest nieosiągalny, a z drugiej nie można obejść odstawy stołka, w zaś zbadanie zachodniej części lądu byłoby niemożliwe i w przeciwnie cel wspinaczki nie zostałby osiągnięty. Dlatego inżynier, nie zwracając uwagi na zmęczenie, pozostawił Pencroffa i Naba w celu zorganizowania noclegu, a Gedeona zajęto opisywaniem minionego dnia, sam zaś poszedł kolistym skrajem tarasu, kierując się północ. Towarzyszył mu Harbert. Noc była piękna i cicha, mrok jeszcze niezbyt gęsty. Cyrus Smith i Harbert szli obok siebie w milczeniu. W niektórych miejscach droga była szeroka i mogli i bez trudu, w innych natomiast pięzły się siumowiska pozostawiały jedynie wąskie ścieżki na które dwie osoby nie mogły się zmieścić bok siebie. Po dwudziestu minutach drogi Cyrus Smith i Harbert musieli się zatrzymać. W tym punkcie stoki obu stołków zaczęły się łączyć. Końca się otulina, oddzielająca od siebie obydwie szczyty. Obejście gęstawało się niemożliwe, gdy jej stoki były pochylone pod kątem siedemdziesięciu stopni. Inżynier z Harbertem musieli więc zaniechać krężenia gę ale w zamian za to znaleźli możliwość spięcia się bezpośrednio na szczyt. Mianowicie otwarła się gęstka rozpadlina. Było to ujęcie gęgo krateru, jeżeli kto woli gardziel, przez którą w czasie kiedy wulkan był jeszcze czynny, wypływały ogniste potoki. Zastygła lava i zaskorupiała w kule utworzyły jak gdyby naturalne schody o szerokich stopniach, ułatwiające dostanie się na szczyt gę. Jeden rzut oka wystarczył inżynierowi, ażeby zorientować się o sytuacji; pomimo coraz większej ciemności bez wahania zagłębił się wraz z Harbertem w olbrzymie rozpadliny. Pozostawało do przebycia jeszcze tysiąc stopy wysokość. Czy uda się okonać ewentualne uskoki krateru? To się dopiero okaże. Inżynier postanowił wspinać się dopóki dopóki nie natknie się na przeszkodę do przewycięcia. Na szczęście uskoki, bardzo wydłużone i kręte, opisywały wewnątrz krateru spiralę co bardzo ułatwiało podejście. Co do wulkanu, to nie było żadnej wrażliwości, że jest on całkowicie wygasły. Z jego zboczy nie unosił się najmniejszy dymek. W głębokich szczelinach nie widać było promieni. Ani huk, ani pomruk, ani nawet najłagodniejszy wstrząs nie wydobywał się z jego ciemnej otchłani, która zapewne do samego wnętrza ziemi. Nawet powietrze wewnątrz krateru nie było przesycone oparami siarki. Nie była to zwykła drzemka wulkanu ale było to całkowite wygaśnięcie. Inżynier i Harbert, wspinając się samotnie po wewnętrznych ścianach krateru, stwierdzili, że otworem ich gęłowami rozszerza się Wycinek nieba, obramowanego brzegami krateru, związywał się znacznie. Przy każdym kroku coraz to nowe gwiazdy ukazywały się na polu widzenia. Migotały teraz nad nimi wspaniałe gwiazdozbiory południowego nieba. W zenicie lśniła jasnym blaskiem wspaniała Antares w gwiazdozbiórce Skorpiona, a nie opodal Beta Centauri, która uważa się za gwiazdę najbliższą ziemi. Potem, w miarę rozszerzania się krateru, ukazały się omalhout w gwiazdozbiórce Ryby, Trójkąt Południowy i wreszcie, prawie na biegunie antarktycznym, promienny Krzyż Południa, który zastępuje Gwiazdę olarną północnej. Dochodziła już godzina, gdy Cyrus Smith i Harbert stanęli na najwyższym punkcie gę na szczycie stołka. Wokół nich cała ciemność i wzrok nie sięgał poza krąg o promieniu dwóch mil. Czy też i znaną ziemię otaczało morze, czy też czyjaś siła na zachodzie z jakim kontynentem Pacyfiku, tego nie można było jeszcze rozpoznać. Na zachodzie mocno zarysowany na widnokręgu pas chmur pogłębiał jeszcze ciemność i oko nie było w stanie dojrzeć czy niebo i woda łączyły się z sobą. Nagle w jednym punkcie horyzontu ukazała się lada powietrza, która obniżała się w miarę tego jak chmury podnosiły się do nieba. Było to wyznajcy się nad widnokręgiem jedynie na

par❖ chwil cienki sierp ksi❖ca. Jednak❖e jego ❖wiat❖o by❖o do❖❖ilne, aby linia horyzontu wyra❖nie odci❖ si❖d chmury, i in❖ynier zdo❖a❖ dojrze❖rzez moment na powierzchni wody dr❖❖ce odbicie ksi❖ca. Cyrus Smith chwyci❖ Harberta za r❖ i w chwili gdy sierp ksi❖ca zanurza❖ si❖ falach, powiedzia❖ z powag❖: ❖ Wyspa! ROZDZIA❖ JEDENASTY. Na szczycie sto❖ka. Wn❖ze krateru. Dooko❖a morze. Ani skrawka ziemi na widnokr❖. Wybrze❖e z lotu ptaka. Hydrografia i orografia \*. Czy wyspa jest zamieszкана? Chrzes❖ zatok, przyl❖dk❖rzek itd. Wyspa Lincolna. W p❖odziny p❖ej Cyrus Smith z Harbertem wr❖i do obozowiska. In❖ynier powiedzia❖ towarzyszym tylko tyle, ❖e ziemia, na kt❖rzuci❖ ich los, jest wysp❖ i ❖e jutro b❖ si❖astanawiali, co nale❖y dalej pocz❖❖Potem ka❖dy, jak umia❖, urz❖dzi❖ sobie pos❖anie i w bazaltowej grocie na wysoko❖ci dw❖i p❖ysi❖ca st❖onad poziomem morza ❖wyspiarze" zaznali zas❖u❖onego wypoczynku po ca❖odziennych trudach. Nazajutrz, 30 marca, po niewymy❖lnym ❖niadaniu sk❖adaj❖cym si❖ylko z upieczonego ba❖anta, in❖ynier zamierza❖ powr❖ na szczyt wulkanu, aby dok❖adnie zbada❖rain❖gdzie wraz z towarzyszami zosta❖ uwi❖ony mo❖e nawet na ca❖e ❖ycie. Tym razem wszyscy wzi❖ udzia❖ w wyprawie pragn❖c obejrze❖ok❖adnie wysp❖na kt❖ musieliby zamieszka❖gdyby si❖kaza❖o, ❖e znajduje si❖daleko od jakiegokolwiek l❖du lub ❖e nie le❖y na szlaku okr❖w p❖yn❖cych na archipelagi Pacyfiku. Oko❖o si❖j rano Cyrus Smith, Harbert, Pencroff, Gedeon Spilett i Nab opu❖cili obozowisko. ❖aden z nich nie zdradza❖ l❖ wobec wytworzonej sytuacji. Wierzyli w swoje si❖y, ale podstawa tej wiary by❖a inna u Cyrusa Smitha ni❖ u jego towarzyszy. In❖ynier by❖ pe❖en ufno❖ci, gdy❖ czu❖ si❖a si❖ach wydrze❖ej dzikiej przyrodzie wszystko, co b❖ie potrzebne do ❖ycia jemu i jego towarzyszom, ci za❖ nie obawiali si❖icznego w❖a❖nie dlatego, ❖e z nimi by❖ Cyrus Smith. T❖ubteln❖ r❖c❖o❖na ❖atwo zrozumie❖Zw❖aszcza Pencroff, od chwili gdy in❖ynier ponownie rozpali❖ ogie❖ie traci❖ ani na moment nadziei. Gdyby znalaz❖ si❖a nagiej skale, nie straci❖by jej r❖e❖, pod warunkiem jednak, ❖e razem z nim na tej skale by❖by Cyrus Smith. ❖ Ba ❖ powiedzia❖ ❖ uciekli❖my z Richmondu bez zezwolenia w❖adz! Niech mnie diabli wezm❖, je❖eli kiedy❖ nie uda nam si❖ydosta❖ tego miejsca, gdzie na pewno nikt nas nie b❖ie zatrzymywa❖. Cyrus Smith wybra❖ t❖am❖ drog❖co poprzedniego dnia. Obeszli sto❖ek kolistym gzymsem a❖ do gardzieli olbrzymiej rozpadliny. Pogoda by❖a wspania❖a. S❖o❖wschodzi❖o na czystym niebie i o❖wietla❖o swymi promieniami wschodnie zbocze g❖ Doszli do krateru. W ❖wietle dziennym by❖ taki, jaki wydawa❖ si❖n❖ynierowi w ciemno❖ci, a wi❖obszerny lej, kt❖ stale si❖ozszerzaj❖c, si❖❖ a❖ do wysoko❖ci tysi❖ca st❖onad tarasem. U do❖u rozpadliny na zboczach g❖widnia❖y szerokie i grube strumienie zastyg❖ej lawy, znacz❖ce drog❖❖ymnej masy, kt❖wy- dobywa❖a si❖ngi❖ z wn❖za ziemi i sp❖ywa❖a a❖ do ni❖ej po❖o❖onych dolin, przerynaj❖cych p❖cn❖ cz❖ wyspy. Wspinanie si❖o wn❖zu krateru, o pochyleniu nie przekraczaj❖cym trzydziestu pi❖u ❖ czterdziestu stopni, nie przedstawia❖o ❖adnych trudno❖ci. By❖y tam ❖lady bardzo starej lawy, kt❖prawdopodobnie przelewa❖a si❖rzez wierzcho❖ek sto❖ka, zanim poprzeczna rozpadlina utworzy❖a jej nowy odp❖yw. Co za❖ do komina wulkanu, ❖❖cz❖cego krater z warstwami podziemnymi, to nie mo❖na by❖o na oko okre❖li❖ego g❖❖ko❖ci, gdy❖ gin❖❖ on w mroku. Jedno nie ulega❖o w❖tpliwoci: wulkan by❖ ca❖kowicie wygas❖y. Przed ❖ Cyrus Smith i jego towarzysze stan❖ na szczycie krateru, na sto❖kawatym wybrzuszeniu jego p❖cnej kraw❖i. ❖ Morze, wsz❖ie morze! ❖ wykrzykn❖ nie mog❖c powstrzyma❖ego cisn❖cego si❖m na usta s❖owa, kt❖czyni❖o z nich wyspiarzy. Istotnie, wok❖ich rozci❖ga❖a si❖lbrzymia p❖aszczyzna wodna! By❖o❖e, wchodz❖c ponownie na szczyt sto❖ka Cyrus Smith mia❖ nadziej❖ypatrzy❖aki❖ l❖d czy poblisk❖ wysp❖kt❖ wczoraj m❖nie dostrzec w ciemno❖ciach. Lecz a❖ po kraniec horyzontu, to

znaczy w promieniu pięćdziesięciu mil, nie było nic widać. Jak okiem się obejrzą, ani skrawka ziemi! Ani jednego żagla! Olbrzymia wodna pustynia wyglądała jak nieskończenie wielkie koło, w środku którego leżała wyspa. Przez kilka minut inżynier i jego towarzysze, oniemiała i zastygli w bezruchu, przebiegali wzrokiem cały ocean, cały bezmiar wody po jego najdalsze kraje. Ale nawet Pencroff, obdarzony wspaniałym wzrokiem, nie dostrzegł nic, a przecież gdyby na widnokrębie była jakaś ziemia, gdyby wynurzała się choć jako ledwo tylko uchwytna mgiełka, marynarz dostrzegłby ją bez wątpienia, gdyby natura obdarzyła go oczami jak teleskop. Z morza wzrok ich przeniósł się na wyspę, z tego punktu mogli ogarnąć cały ocean. Pierwsze pytanie padło z ust Gedeona Spilett: „Jaka ta może być wielkość tej wyspy? Nie wydawała się na zbyt dużą po rozległości oceanu. Cyrus Smith zastanowił się przez chwilę starannie ocenił obwód wyspy, uwzględniając wysokość na której się znajdowali, po czym powiedział: „Myślę, że nie bardzo się mylą moi drodzy, jeżeli określić obwód wyspy na mniej więcej sto mil. A zatem, jaka jest jej powierzchnia? Trudno obliczyć, odparł inżynier, gdyż brzegi są bardzo nieregularne. Jeżeli Cyrus Smith nie mylił się w swoich obliczeniach, wyspa miała taką powierzchnię jak Malta albo Zante na Morzu Śródziemnym, ale była mniej regularna w kształcie, rzadziej posiadała mniej cyplów zatok i zatoczek. Dziwny kształt wyspy był zdumiewający i gdy, za poradą inżyniera. Gedeon Spilett narysował jej kontury, wszyscy stwierdzili, że była podobna do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia, jakiegoś potwornego pętlonoga, które zasnęło na falach Pacyfiku. Ponieważ należało poznać dokładnie konfigurację wyspy, reporter natychmiast naszkicował do szczegółów mapę Wschodniej części wybrzeża, czyli tej, gdzie rozbitkowie wylądowali, miała szerokie, wąskie wycięcia i okalająca obszerną zatokę, która na południowym wschodzie ostrym przylądkiem, którego Pencroff nie zauważył podczas swoich pierwszych oględzin, gdy zasłaniał go cypel. Na północnym wschodzie dwa inne przylądki zamykały zatokę a pomiędzy nimi utworzyła się wąska cieknina, podobna do otwartej paszczy olbrzymiego rekina. Z północnego wschodu w kierunku północno-zachodnim brzeg zaokręgliła się jak spłaszczona czaszka dzikiego zwierzęcia i wznosiła się stopniowo aż do wzgórza, które wrodek zajmowała góra wulkaniczna. Od tego miejsca wybrzeże biegło do regularnej linii z północy na południe, przecięte w dwóch trzecich swojej długości wąską zatoczką, a dalej przybierało kształt wydłużonego ogona, przypominającego ogon olbrzymiego aligatora. Ogon ten tworzył prawdziwy pęsep wrzynający się ponad trzydzieści mil w morze, licząc od wspomnianego już południowo-wschodniego przylądka wyspy, i zaokręgliła się kształcie szeroko rozwartej redy o dziwacznie wyciętym wewnętrznym brzegu. W najwęższym miejscu, to znaczy pomiędzy Kominami a zatoczką znajdowała się ta samej szerokości na zachodnim brzegu, wyspa miała zaledwie dziesięć mil. Ale w najszerszym miejscu, to znaczy od paszczy na północnym wschodzie do południowo-zachodniego kraju ogona, mierzyła nie mniej niż trzydzieści mil. Sama wyspa miała wygląd następujący: była obficie zalesiona w części południowej od stoków aż do wybrzeża, w części północnej natomiast była jałowa i piaszczysta. Pomiędzy wulkanem a wschodnim wybrzeżem Cyrus Smith i jego towarzysze spostrzegli ze zdziwieniem obramowane zielonymi drzewami jezioro, którego istnienia dotychczas nie podejrzewali. Gdy się patrzyło na jezioro z tej wysokości, wydawało się, że jest na tym samym poziomie, co morze, jednak po zastanowieniu się inżynier stwierdził, że jezioro leży na pewno o trzysta stopy powyżej poziomu morza, gdyż pęaskowzga, na której się znajdowało, stanowiło niejako przedłużenie tarasu nadbrzeżnego. „A więc to jezioro jest śródziemne? „ zapytał Pencroff. „Bezwąglie „ zapewnił inżynier, „gdy jest niewątpliwie zasilane wodami spływającymi z gór. „ Widziałeś przecież, że w nie wpada „

powiedzia? Harbert wskazuj?c w?ski strumyk; ?r? jego prawdopodobnie znajdowa?o si?a zachodnich zboczach g? ? Istotnie ? potwierdzi? Cyrus Smith. ? A poniewa? strumyk ten zasila jezioro, istnieje wi?chyba odp?yw, kt? nadmiar w?rzelewa si?o morza. Zobaczymy, gdy b?iemy wraca?. Ten do??r? strumyk i poznana ju? rzeka stanowi?y system wodny wyspy ? przynajmniej tyle widzieli rozbitkowie. Mo?liwe jednak, ?e w?r?lbrzymich las?okrywaj?cych dwie trzecie wyspy inne jeszcze rzeczu?ki biegn?y do morza. Tak nale?a?o przypuszcza?gdy? ca?a ta okolica by?a bardzo ?yzna i obfitowa?a w najwspanialsze okazy flory strefy umiarkowanej. Natomiast w p?cnej cz?i wyspy nie by?o wida?awet ?ladu w?ie??cych; mo?e w bagnistej p?cno-wscho-dniej cz?i znajdowa?y si?ody stoj?ce, ale nic ponadto, gdy? na og?ydmy, piaski i wyra?nie ja?owa gleba stanowi?y ?ywy kontrast z bogactwem pozosta?ej cz?i wyspy. Wulkan nie zajmowa? ?rodka wyspy, lecz wznosi? si? jej cz?i p?cno-zachodniej, stanowi?c jak gdyby granic?w?stref. Na po?udniowym zachodzie, na po?udniu i na po?udniowym wschodzie pierwsze kondyg- nacje g?ton? w zieleni. Natomiast od strony p?cnej wida?y?o wyra?nie nagie zbocza, przechodz?ce ?agodnie w piaszczyst? r?n?. Z tej w?a?nie strony w czasie wybuchu wulkanu utorowa?a sobie drog?awa ??obi?c szeroki pas, ci?gn?cy si?? do p?cno-wschodniej zatoki, maj?cej kszt?t w?skiej paszczy. Cyrus Smith i jego towarzysze przez ca?? godzin?bserwowali ze szczytu g?wysp?kt?wygl?da?a jak wielka, r?barwna mapa plastyczna z zielonymi plamami las??mi ? piask? b??nymi ? w?. Widzieli j? ca?? jak na d?oni; przed ich wzrokiem ukryta by?a jedynie cz? wyspy otulona zieleni?, zacienione doliny i wn?za ciasnych w?woz?biegn?cych u st?ulkanu. Pozosta?o jeszcze do rozwi?zania wa?ne zagadnienie, o wielkim znaczeniu dla dalszego ?ycia rozbitk?. Czy wyspa jest zamieszka?a? Pytanie to zada? reporter. Po dokonanych przed chwil?, uwa?nych ogl?inach wyspy mo?na by?o chyba odpowiedzie?a nie przec?co. Nigdzie nie by?o wida?akiegokolwiek tworu ludzkich r?k. Nigdzie ani skupienia domk?ani samotnego sza?asu, ani ?ladu rybak?a wybrze?u. W powietrzu, jak okiem si??nie unosi? si?ym, kt?zdradza?by obecno??z?owieka. Co prawda obserwatorzy znajdowali si? jakie? trzydzie?ci mil od najdalszych punkt?wyspy, to znaczy od ogona skierowanego na po?udniowy zach?tak ?e nawet bystrym oczom Pencroffa trudno by?oby wypatry?am siedzib?udzk?. Nie mo?na by?o r?e? przebi?zrokiem zielonej zas?ony pokrywaj?cej trzy czwarte wyspy, aby si?rzekona?czy nie kryje si?od ni? jaka? osada. Na og?ednak wyspiarze na takich ma?ych skrawkach ziemi, wynurzaj?cych si? fal Pacyfiku, osiedlaj? si?azwyczaj na wybrze?u, a tymczasem tutaj w?a?nie wybrze?e wydawa?o si?a?kowiec bezludne. Do chwili dok?adniejszego zbadania mo?na by?o przyj???e wyspa jest nie zamieszka?a. Ale czy nie by?a ona bodaj od czasu do czasu odwiedzana przez mieszka?s?siednich wysp? Na to pytanie trudno by?o odpowiedzie?. W promieniu oko?o pi?zie?ci?u mil nie wida?y?o ?adnej ziemi. Jednak przestrze??ziesi?u mil mo?na z ?atwo?ci? przeby?odzi? malajsk? czy du?? pirog? polinezyjsk?. Wszystko wi?zale?a?o od tego, czy wyspa le?a?a na Pacyfiku samotnie, czy w pobli?u jakiego? archipelagu. Czy Cyrus Smith zdo?a bez ?adnych przyrz?d?stali?o?enie geograficzne wyspy? B?ie to z pewno?ci? trudne. Wobec tych w?tpliwo?ci nale?a?o si?abezpieczy?przed ewentualnym l?dowaniem na wyspie tubylc?s?siedztwa. Badanie wyspy zosta?o zako?ne, jej konfiguracja i rze?ba terenu ustalone, powierzchnia obliczona, hydrografia i orografia poznane. Rozmieszczenie las? r?n? zosta?o w og?ch zarysach odnotowane na mapie reportera. Nie pozostawa?o nic innego, jak zej?? g?i zbada?eren zar? pod wzgl?m bogactw mineralnych, jak flory i fauny. Zanim Cyrus Smith da? has?o do powrotu, odezwa? si?o swoich towarzyszy uroczystym i powa?nym

głosem: Oto, moi drodzy, mamy skrawek kuli ziemskiej, dokąd rzuciła nas ręką Wszechmogącego. Tutaj będziemy musieli być, kto wie, czy nie przez długie lata. Możliwe, że nadejdzie nieoczekiwany ratunek, jeżeli przypadkowo będzie przepływała w pobliżu jakiś statek... Może "przypadkowo", gdy wyspa ta jest mała i nie ma nawet przystani, do której mogłyby zawinąć okręty; obawiam się, że nie leży ona na uczęszczanych szlakach, to znaczy, że leży zbyt daleko na południe dla statków kierujących się do archipelagi Pacyfiku, a zbyt daleko na północ dla statków kierujących się do Australii, okrącając przylądek Horn. Nie chciałbym więc ukrywać przed wami całej powagi sytuacji. Słusznie, drogi Cyrusie, wywołał wtrącił reporter. Ma pan przecie do czynienia z marynierzami, których obdarzają pana zaufaniem i na których może pan liczyć. Prawda, przyjaciele? Będzie spełniał każdy pana rozkaz oświadczając Harbert chwytając inżyniera za rękę. Zawsze i wszędzie, marynarze! zawołał Nab. Co sięyczy mnie odezwę się do marynarza niech się nazywam Pencroff, jeżeli będzie uchylał się od pracy, i jeżeli pan tylko zechce, panie Smith, učinimy z tej wyspy małą Amerykę. Zbudujemy miasta, przeprowadzimy linie kolejowe, założymy telegraf i pewnego pięknego dnia, kiedy wyspa będzie już przekształcona, dobrze zagospodarowana i ucywilizowana, ofiarujemy ją rządowi Stanów Zjednoczonych. Proszę tylko o jedno! Mianowicie? zapytał reporter. O to, żebyśmy się nie uważali za rozbitków, lecz za kolonistów, którzy przybyli tutaj dla założenia kolonii. Cyrus Smith nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Wniosek marynarza został przyjęty. Następnie inżynier, dziękując swoim towarzyszom, dodał, że liczy na ich dzielność na pomoc niebios. A więc wracamy do Kominy zawołał Pencroff. Chwileczką moi drodzy powstrzymał go inżynier. Uważam za wskazane nadać jakąś nazwę tej wyspie, jak रहे nazwa przylądki, cyple i rzeki, która na niej widzimy. Wskazanie zgodził się reporter. To uprosi na przyszłość polecenia, które będziemy wydawać lub wykonywać. Istotnie dorzucił marynarz. To już jest dużo, jeżeli można powiedzieć, dokąd się idzie i skąd się wraca. Przynajmniej ma się rację, że się przebywa w jakiejś znanej miejscowości. Na przykład Kominy odezwę się do Harberta. Racja stwierdził Pencroff. Ta nazwa już nam coś dała, a przecie pomyśl sam przyszedł mi do głowy. Czy zachowamy dla naszego pierwszego schroniska nazwę kompanii inżynierów? Tak, Pencroff, przecie takeście już je nazwali. Dobra! Z innymi nazwami może łatwo możemy dalej zwerwować marynarz. Stwórz je tak, jak to czynili Robinsonowie, o których Harbert mi kiedyś czytał: "Zatoka Opatrzności", "Cypel Kaszalot", "Przylądek Zawiedzionej Nadziei"!... Albo imiona pana Smitha, pana Spilletta, Naba zaproponował Harbert. Moje imię ucieszy się, ab szczerze olniewajco biało z. A dlaczego nie? zapytał Pencroff. Na przykład "Port Naba" brzmi bardzo dobrze albo "Przylądek Gedeona". Wolałbym nazwy zapożyczone z naszego kraju, gdy przypominałyby nam Amerykę powiedziała reporter. Tak poparł go Cyrus Smith jeżeli chodzi o jakieś nazwy, na przykład zatok, to zgadzam się całkowicie. Czy nie pięknie byłoby nazwać te zatoki "Zatoką Unii" \* lub to szerokie wycięcie na południu "Zatoką Waszyngtona", góra, na której stoimy w tej chwili "Górą Franklina" lub jezioro, które widzimy przed sobą "Jezioro Granta"? Te nazwy będą nam przypominać o ojczyźnie wielkich obywateli, które przynoszą jej zaszczyt. Natomiast dla rzek, zatoczek, przylądki, cypli, widzianych ze szczytu tej góry wybierzmy nazwy raczej charakterystyczne dla ich konfiguracji. Utrwalę sobie one lepiej w pamięci, a jednocześnie będą bardzo praktyczne. Kształty wyspy są tak urozmaicone, że nie będziemy mieli kłopotu z wymyśleniem odpowiednich nazw. Natomiast rzekom, jeszcze nie znanym, partiom lasu, które zbadamy później, oraz zatoczkom, które odkryjemy w przyszłości, będziemy nadawać nazwy w

miar❖ch poznawania. Zgoda, przyjaciele? Propozycj❖n❖yniera przyj❖ jednog❖o❖nie. Wyspa rozpo❖ciera❖a si❖ przed ich oczami jak roz❖o❖ona mapa i nale❖a❖o tylko nada❖ jakie❖ nazwy wszystkim jej kon-turonforaz wszystkim wypuk❖o❖ciom terenu, a gdy Ge-deon Spilett je zapisze, geograficzna nomenklatura wyspy zostanie ostatecznie przyj❖. Przede wszystkim nazwano ❖Zatok❖ Unii", ❖Zatok❖ Waszyngtona" i ❖G❖Franklina" obydwie zatoki i g❖ kt❖ wskaza❖ in❖ynier. ❖ A teraz ❖ odezwa❖ si❖ reporter ❖ proponuj❖azwa❖sep na po❖udniowym zachodzie wyspy ❖P❖yspem Serpenty", cypel za❖ o zawini❖m ogonie, stanowi❖cy jego zako❖nie, ❖Cyplem P❖aza" (Reptil--end), gdy❖ naprawd❖ygl❖da on jak ogon p❖aza. ❖ Przyj❖ ❖ powiedzia❖ in❖ynier. ❖ A na drugim kra❖wyspy ❖ zaproponowa❖ Har-bert ❖ zatok❖kt❖tak dziwnie przypomina otwart❖ paszcz❖nazwijmy ❖Zatok❖ Rekina" (Shark-gulf). ❖ ❖wietny pomys❖! ❖ zawo❖a❖ Pencroff. ❖ Uzupe❖nijmy ten obraz daj❖c nazw❖Przyl❖dka Szcz❖" (Man-dible-cape) obu cz❖iom paszczy. ❖ Ale przecie❖ tam s❖ dwa przyl❖dki ❖ zauwa❖y❖ reporter. ❖ Co z tego? ❖ odpar❖ Pencroff. ❖ B❖iemy mieli ❖P❖cny Przyl❖dek Szcz❖" i ❖Po❖udniowy Przyl❖dek Szcz❖". ❖ Ju❖ zapisa❖em ❖ powiedzia❖ Gedeon Spilett. ❖ Musimy jeszcze jako❖ nazwa❖ypel na po❖udnio-wo-wschodnim kra❖wyspy ❖ rzek❖ Pencroff. ❖ To znaczy zako❖nie Zatoki Unii? ❖ zapyta❖ Harbert. ❖ ❖Przyl❖dek Pazura" (Claw-cape)! ❖ zawo❖a❖ natychmiast Nab, chc❖c tak❖e by❖jcem chrestnym jakiego❖ skrawka ich posiad❖o❖ci. Nab znalaz❖ rzeczywi❖cie doskona❖❖ nazw❖gdy❖ przyl❖dek stanowi❖ jakby pot❖y pazur fantastycznego zwierz❖a, kt❖ wyspa przypomina❖a swoim dziwacznym kszt❖tem. Pencroff by❖ zachwycony takim obrotem sprawy. Podniecona wyobra❖nia kolonist❖zybko wynajdywa❖a nazwy. Na przyk❖ad rzek❖kt❖dostarcza❖a im s❖odkiej wody i p❖yn❖ w pobl❖u miejsca katastrofy balonu, nazwano ❖Rzek❖ Dzi❖zynienia" (Mercy), wysep❖gdzie rozbitkowie wyl❖dowali, mianowano ❖Wysep❖ Zbawienia" (Safety-island); taras, wie❖cy wysok❖, granitow❖ ❖cian❖ad Kominami, z kt❖o mo❖na by❖o ogarn❖❖zrokiem ca❖❖ obszern❖ zatok❖❖P❖asko-wzg❖m Rozleg❖ego Widoku", wreszcie ca❖emu kompleksowi nieprzebytych las❖porastaj❖cych P❖sep Serpenty, nadano nazw❖Las❖alekiego Zachodu" (Far West). W ten spos❖oloni❖ci zako❖li nadawanie nazw ogl❖danym oraz poznany cz❖iom wyspy, reszt❖ieli uzupe❖ni❖ miar❖okonywania nowych odkry❖ Orientacj❖yspy in❖ynier okre❖li❖ w przybli❖eniu, na podstawie wysoko❖ci i po❖o❖enia s❖o❖ przy czym Zatoka Unii i P❖askowzg❖ Rozleg❖ego Widoku wypad❖y na wschodzie. Przez ustalenie dok❖adnej godziny wschodu i zachodu s❖o❖oraz jego po❖o❖enia w po❖owie czasu pomi❖y wschodem a zachodem ❖ in❖ynier spodziewa❖ si❖ok❖adnie okre❖li❖❖c wyspy, poniewa❖, ze wzgl❖ na jej po❖o❖enie na p❖li po❖udniowej, punkt kulminacyjny s❖o❖wskazuje, odwrotnie ni❖ na p❖li p❖cnej, p❖c, a nie po❖udnie. Obserwacje by❖y sko❖ne i koloni❖ci mieli ju❖ schodzi❖ G❖Franklina, aby wraca❖o Komin❖gdy nagle zatrzyma❖ ich okrzyk Pencroffa: ❖❖ Co z nas za gapy! ❖ A to dlaczego? ❖ zapyta❖ Gedeon Spilett, kt❖ju❖ zamkn❖❖ sw❖otatnik i zbiera❖ si❖o odej❖cia. ❖ A wyspa? Jak to! Przecie❖ zapomnieli❖my nada❖azw❖yspie! Harbert ju❖ zamierza❖ zaproponowa❖azwanie wyspy imieniem in❖yniera, czemu wszyscy przyklasn❖by niew❖tpliwie, ale Cyrus Smith odezwa❖ si❖ prostot❖: ❖ Nadamy jej imi❖ielkiego obywatela, kt❖walczy w tej chwili w obronie jedno❖ci Republiki Ameryka❖ej! Nazwijmy j❖ ❖Wysp❖ Lincolna". Zamiast odpowiedzi na propozycj❖n❖yniera rozleg❖o si❖rzykrotne ❖hura". Tego wieczora przed udaniem si❖a spoczynek nowi koloni❖ci rozmawiali o swojej dalekiej ojczy❖nie; m❖i o okrutnej wojnie, w kt❖ krwawi❖ kraj; nie w❖t- pili, ❖e Po❖udnie b❖ie niebawem pobite i ❖e s❖uszn❖a sprawa P❖cy zatryumfuje dzi❖ wysi❖kom Granta i Lincolna. Dzia❖o si❖o 30 marca 1865 roku i rozbitkowie nie mogli przewidzie❖❖e w szesna❖cie dni p❖ej w Waszyngtonie

zostanie popełniona potworna zbrodnia, że w Wielki Piątek Abraham Lincoln zginie od kuli fanatyka \*. ROZDZIAŁ DWUNASTY. Nastawienie zegarków Pencroff jest zadowolony. Podejrzany dym. Bieg Czerwonego Potoku. Flora Wyspy Lincoln. Jej fauna. Bałanta gąsienice. W pogoni za kangurami. Aguti. Jezioro Granta. Powrót Komin. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na okolicę kolonistów przebyli w skrajnym krateru i w podziemiach znaleźli się z pierwszym tarasie przy swoim nocnym obozowisku. Pencroff uważa, że był już najwyższy czas na śniadanie. Jednocześnie wywnosiła się sprawa uregulowania zegarków yrusa Smitha i reportera. Jak wiemy, zegarek Gedeona Spilett nie zetknął się z wodą, gdy reporter został wyrzucony na piasek poza zasięgiem fal. Zegarek był to prawdziwy kieszonkowy chronometr. Gedeon Spilett pamiętał o tym, by go codziennie nakręcał. Natomiast zegarek inżyniera stanął w tym czasie, kiedy Cyrus Smith znajdował się w rym piaskach. Inżynier nakręcał go i, siedząc z wysokością słońca, że jest około dziesiątej rano, nastawił swój zegarek na godzinę Gedeon Spilett już chciał pójść w jego ślady, gdy inżynier powstrzymał go ruchem ręki. Nie, niech pan zaczeka. Pan ma czas Richmondu, nieprawda? Tak, Cyrusie. A więc pana zegarek jest nastawiony według południka tego miasta, czyli prawie według południka, który przechodzi przez Waszyngton. Oczywiście. No to niech pan utrzyma ten czas. Niech pan nakręca zegarek bardzo regularnie, ale nie przestawia wskazówek. To nam się może przydać. Po co? pomyślał marynarz. Zabrano się o jedzenia. Apetyty tak dopisywały, że zapasy pieczystego i orzeszków zostały całkowicie wyczerpane. Pencroff nie był tym wcale zaniepokojony. Prowiant uzupełnił się o drodze. Top, który otrzymał bardzo skąpą porcję na pewno zwiędnie w gęszczu krzaków i nowo przybyłych zwierząt. Poza tym marynarz zamierzał po prostu zwrócić się do inżyniera z prośbą, żeby wyprodukował trochę prochu i jedną lub dwie strzelby, przypuszczając, że nie nastręczy mu to większych trudności. Gdy mieli już wyruszyć Cyrus Smith zaproponował powrót do Komin i drogę. Chciał poznać jezioro Granta otoczone wspaniałymi drzewami. Poszli więc grzbietem jednego ze zboczy, spomiędzy których prawdopodobnie wypływał potok zasilający jezioro. W rozmowie kolonistów używali już wyjątkowo ustalonych przez siebie nazw, co niezmiernie ułatwiała wymianę myśli. Harbert i Pencroff jeden młody, a drugi nieco naiwny byli wprost zachwyceni. Marynarz idąc młody: No co, Harbercie? Widzisz, jak świetnie! Nie mo- A Ar-emy już zabędziemy, gdy niezależnie od tego, czy przejdziemy drogą na Jezioro Granta, czy Lasami Dalekiego Zachodu do Rzeki Dzielenia, zawsze dojdziemy do Parkowskiego Rozległego Widoku, a zatem do Zatoki Unii. Wszyscy zgodnie postanowili, że się nie będą zbijać gromad, ale te nie będą zbyt blisko siebie oddalać. Na pewno w gęstych lasach wyspy gnieździły się jakieś niebezpieczne zwierzęta i dlatego należało o nich być baczności. Najczęściej przodem szli Pencroff, Harbert i Nab, a przed nimi biegł Top myszkujeć po zaroślach. Inżynier z reporterem szli obok siebie, Gedeon Spilett był gotowy do notowania każdego wydarzenia; inżynier, przeważnie milczący, zbaczając od czasu do czasu z obranego kierunku po to, aby podnieść jakiś kamień albo roślinę, którą wsadza do kieszeni, nie udzielał nikomu żadnych wyjaśnień. Cóż, u diabła, tak zbiera? mrucał Pencroff. Wyrzeszczam oczy, ale nie widzę, po co opłacałoby się chylić. Około dziesiątej mała grupka schodziła już z najniższych zboczy Góry Franklina. Rosły tu jedynie krzaki i pojedyncze drzewa. Ciepła i spalona ziemia tworzyła rym i ugościła około mili, dochodziła aż do skraju lasu. Tu i tam leżały duże bloki bazaltu, które według badacza schofa \* wymagały aż trzystu pięćdziesięciu milionów lat, a żeby ostygnęły. Nie było tu nigdzie śladów lawy, gdy spłynęła ona po dwóch zboczach. Cyrus Smith przypuszczał, że bez przeszkód do potoku, którego zdaniem powinien być płynący pod drzewami na skraju rzeki; nagle zobaczył, że biegnie ku niemu Harbert, Nab

za i marynarz kryje się piesznie w rzęźaz. Co sietao, mheopcze? zapyta Gedeon Spi-let. Dym wykrztusi zdyszany Harbert. O sto krok przed nami, w rka! Czyby ludzie? zawoła reporter. Starajmy się nie zdradzać swojej obecności, zanim nie dowiemy się z kim mamy do czynienia zarządzi Cyrus Smith. Jeżeli się na tej wyspie tubylcy, to raczej należy obawiać ich niż pragnąć nimi spotkania. Gdzie jest Top? Pobiegnij naprzód. I nie szczeka? Nie. To dziwne. Spróbujmy go zawołać. W kilka chwil później inżynier, Gedeon Spilett i Harbert dołączyli się do pozostałych towarzyszy i, tak samo jak oni, ukryli się za ścianami bazaltu. Stąd wyraźnie dostrzegli kłębiący się powietrzu dym o bardzo charakterystycznej, ciemnej barwie. Podbiegnij Top przywołany cichym gwizdaniem swego pana. Inżynier dał znak towarzyszom, żeby na niego poczekali, i wyliznęli się omiły skały. Kolonijci zamarli w bezruchu, czekając z pewnym lękiem na wynik tych badań nagle usłyszeli wołanie Cyrusa Smitha i pobiegli do niego. Uderzyło ich przede wszystkim przykry zapach, który było przesycone powietrze. Ten natwy do zrozumienia zapach wystarczył w zupełności inżynierowi, a żeby zorientować się skąd wydobywał się dym, którego początkowo nie bez powodu zaniepokoił. Ten ogień raczej ten dym spowodowany jest wyłącznie siłami przyrody. Jest to tylko par siarkowe, która da nam możliwość skutecznie wszelkie choroby drógdechowych. A, to dobrze! ucieszył się encroff. Szkoda tylko, że nie mam kataru! Kolonijci zbliżyli się do miejsca, skąd wydobywał się dym, i ujrzeli par siarkowe wypływające spod skały. Woda tego par, po wchłonięciu tlenu z powietrza, wydzielała ostry zapach kwasu siarkowego. Cyrus Smith zanurzył rękę w wodzie i stwierdził, że jest ona tak ciepła jak maść. Skosztował jej i przekonał się, że ma trochę słodkawego smaku. Temperaturę określił na dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita (trzydzieści pięć stopni Celsjusza). Harbert zapytał inżyniera, w jaki sposób stali temperaturę. To bardzo proste, moje dziecko odpowiedział inżynier. Zanurzaj rękę do wody nie odczuwasz ani zimna, ani ciepła. Zatem woda ma temperaturę bliższą do temperatury ciała ludzkiego. Ponieważ par siarkowe w chwili obecnej nie przedstawia dla nich żadnej wartości, nie zatrzymuj się u niej, ruszyli w kierunku gęstego lasu rozpoczynając swoje kilkaset kroków dalej. Tak jak przypuszczali, ujrzeli niebawem potok wartko toczący swoje przejrzyste wody pomiędzy wysokimi pagórami czerwonej ziemi, która barwa zdradzała obecność lenku i elaza. Z racji tej barwy nazwali go "Czerwonym Potokiem". Był to w rzeczywistości szeroki strumień i przezroczysty, zasilany wodami z górną przemianą to płynnie spokojnie piaszczystym korytem jak zwykła rzeczka, to jak potok gęsi z szumem rwał po górzach lub też spływał w kaskadach, zdążając do jeziora, którego trumienia wynosiła blisko pięć mil, a szerokość miała się od trzydziestu do czterdziestu stóp. Woda była słodka, a zatem należy przypuszczać, że jezioro również jest słodkowodne. Stanowiło to pomyślną okoliczność wypadku, gdyby nad brzegami jeziora można było znaleźć lepsze schronienie niż w Kominach. Drzewa, które kilkaset stópiej ocieniały brzegi potoku, należały przeważnie do gatunków występujących w umiarkowanych strefach Australii i Tasmanii; nie były to drzewa iglaste, jakie rosły na zbadanej już części wyspy, o kilka mil od Paskowicz Rozległego Widoku. O tej porze roku, to znaczy na początku kwietnia (która na tej polu odpowiada naszemu październikowi), a więc na początku jesieni, nie były one jeszcze pozbawione liści. Najwięcej było kazuaryn i eukaliptusodajnych na wiosnę i podkór manna bardzo podobna do manny zbieranej na Wschodzie. Kęś cedr australijskich rosły na polankach pokrytych wysoką trawą (zwaną w Nowej Holandii "tussac"). Kolonijci nie zauważyli tu wcale palm kokosowych, tak obficie rosnących na archipelagach Pacyfiku; widać była zbyt oddalona od rka. Jaka szkoda! stwierdził



Harbert. ❖ Takie po❖yteczne drzewo i daje takie wspania❖e orzechy! Chmary ptactwa unosi❖y si❖❖r❖ukaliptus❖ kazuaryn, kt❖h stosunkowo rzadkie ga❖❖e nie przeszkadza❖y im w locie. Czarne, bia❖e i szare kakadu, r❖ gatunki papug, o upierzeniu mieni❖cym si❖arwami t❖y, jaskrawozielone z czerwonymi ❖ebkami, b❖❖tne, s❖owem ❖ ca❖a gama odcieni i barw poruszaj❖cych si❖ powietrzu w❖r❖g❖uszaj❖cego wrzasku. Nagle w g❖szczy le❖nym rozleg❖ si❖ziwny ch❖ie-zharmonizowanych d❖wi❖w. Koloni❖ci ❖owili uchem kolejno ❖piew ptak❖g❖osy czworono❖nych zwierz❖t i jakie❖ mlaskanie, jak gdyby wydawane wargami cz❖owieka. Zapominaj❖c o elementarnych zasadach ostro❖no❖ci Nab i Harbert rzucili si❖ stron❖rzak❖Na szcz❖ie nie by❖o tam ani gro❖nych drapie❖nik❖ani niebezpiecznych tubylc❖ale po prostu z p❖uzina ❖piewaj❖cych i przedrze❖niaj❖cych si❖tak❖w kt❖h rozpoznano g❖ie ba❖anty. Kilka zr❖nych uderze❖❖kami zako❖❖o ten koncert i dostarczy❖o doskona❖ego pieczystego na wieczorny posi❖ek. Harbert zwr❖ tak❖e uwag❖a przepi❖e go❖❖e o ciemnoz❖otyach skrzyd❖ach; niekt❖mia❖y wspania❖e czubki, inne zn❖ zielone upierzenie, podobnie jak ich bracia znad Mac❖uarie\*; nie uda❖o si❖ch jednak dosi❖❖❖podobnie jak kruk❖ srok, gdy❖ ucieka❖y gromadnie. Jeden ❖adunek ❖rutu z dubelt❖ spowodowa❖by prawdziw❖ rze❖ w❖r❖ych ptak❖Ale niestety my❖liwi musieli ograniczy❖i❖o kamienia ❖ jako broni miotanej, i do kija ❖ jako maczugi, a przecie❖ ta prymitywna bro❖❖a bardzo niedoskona❖a. Wady owej broni zosta❖y stwierdzone jeszcze dobitniej, gdy w pobli❖u wielkimi susami przebieg❖o stado czworonog❖kacz❖c na wysoko❖❖rzydziestu st❖te fruwan❖ce ssaki ucieka❖y ponad zaro❖lami tak szybko i w takich podskokach jak wiewi❖ skacz❖ce z drzewa na drzewo. ❖ Kangury! ❖ zawo❖a❖ Harbert. ❖ Nadaj❖ si❖o jedzenia? ❖ zapyta❖ rzeczowo Pen- croff. ❖ Ich mi❖, duszone, stanowi najwi❖zy przysmak ❖ odpowiedzia❖ reporter. Ledwo Gedeon Spilett wym❖ te podniecaj❖ce s❖owa, gdy marynarz wraz z Nabem i Harbertem rzucili si❖ladem kangur❖Na pr❖ Cyrus Smith przywo❖ywa❖ ich z powrotem. Ale my❖liwi tak❖e na pr❖ pobiegli za t❖ chybk❖ zwierzyn❖, kt❖odbija❖a si❖d ziemi jak pi❖ka. Po pi❖ominutowej pogoni byli zupe❖nie zziajani, a stado zwierz❖t znikn❖ w g❖winie. Top nie odni❖wi❖zego sukcesu ni❖ ludzie. ❖ Panie Cyrusie ❖ odezwa❖ si❖encroff, gdy in❖ynier i reporter do❖❖czyli si❖o nich ❖ panie Cyrusie, sam pan widzi, ❖e strzelby s❖ konieczne. Czy b❖ie mo❖na je zrobi❖ ❖ By❖o❖e ❖ odpar❖ in❖ynier ❖ ale zaczniemy najpierw od ❖uk❖ strza❖, a nie w❖tpi❖❖e b❖iecie si❖imi pos❖ugiwa❖ak zr❖nie jak my❖liwi australijscy. ❖❖uki, strza❖y! ❖ powiedzia❖ Pencroff krzywi❖c si❖ogardliwie. ❖ To dobre dla dzieci. ❖ Nie nale❖y grymasi❖przyjacielu ❖ wtr❖ci❖ reporter. ❖ Przez wieki wystarczy❖o ❖uk❖ strza❖, ❖eby ca❖y ❖wiat krwawi❖. Proch jest niedawnym wynalazkiem, wojna za❖ jest niestety tak stara jak rodzaj ludzki. ❖ Racja, panie Spilett ❖ przyzna❖ marynarz. ❖ Paln❖❖em g❖upstwo. Prosz❖ybaczy❖ Tymczasem Harbert, poch❖oni❖ swoim ulubionym tematem ❖ przyrod❖, zn❖owr❖ do kangur❖m❖c: ❖ Zreszt❖, widzieli❖my przed chwil❖ najtrudniejszy do schwytania gatunek. By❖y to olbrzymy o d❖ugiej, szarej sier❖ci. Je❖li si❖ie my❖istniej❖ tak❖e kangury czarne i rude, kangury skalne i kanguroszczury, kt❖jest znacznie ❖atwiej schwyta❖Jest chyba z tuzin r❖ch odmian... ❖ Harbercie ❖ powiedzia❖ po cichu marynarz ❖ dla mnie istnieje tylko jeden gatunek kangur❖ ❖kan- gur z ro❖na" i w❖a❖nie tego b❖ie mi brakowa❖o dzisiaj wieczorem. Rozbitkowie nie mogli powstrzyma❖i❖d ❖miechu, s❖ysz❖c t❖ow❖ klasyfikacj❖m❖encroffa. Poczciwy marynarz nie ukrywa❖ wcale swego ❖alu, ❖e b❖ie musia❖ zadowoli❖i❖a obiadem tylko ba❖antami; jednak i tym razem los okaza❖ si❖la niego ❖askawszy. Top, osobi❖cie zainteresowany w ❖owach, biega❖ i myszkowa❖ z instynktem zdwojonym przez w❖ciek❖y apetyt. Wygl❖da❖o nawet na to, ❖e je❖li wpadnie mu w z❖ jaka❖

zwierzyna, to nie pozostawi jej dla myśliwych i zapojuje na swój własny rachunek; ale Nab pilnował go i miał rację. Około godziny trzeciej pies zniknął w zaroślach, skąd dobiegało głośne warczenie świadczące o tym, że toczy się walka. Nab pobiegł w kierunku zarośli i dostrzegł Topa, zapewne pościgał go jakieś zwierzę. Na szczęście pies trafił na całe gniazdo i zaatakował od razu trzy sztuki; dwa pozostałe gryzonie (zwierzę należące do tego wspaniałego gatunku) leżały na ziemi zaduszone. Nab powrócił tryumfalnie w każdej rękę po jednym gryzoniem, widząc od zajęcia. Futerko tych zwierzątek usiane zielonkawymi plamami; ogony ich były w stanie szczętkowym. Obywatele Stanów Zjednoczonych nie mieli wztępliwoci, jak należało nazwać gryzonie. Były to "marsy" rodzaj aguti, trochę inne niż ich bracia z krajów tropikalnych, prawdziwe amerykańskie króliki o długich uszach i szczękach uzbrojonych w piótrzonowych zębów po każdej stronie, co wspaniale odróżnia je od aguti. Hura! krzyknął Pencroff jest piecyste! Teraz możemy wracać do domu. Przerwany na chwilę został podjęty na nowo. Czerwony Potok toczy dalej swoje przejrzyste wody pod sklepieniem kazuaryn, sosen Baobabów olbrzymich drzew gumowych. Przepiękne rośliny liliowate osiadały tu wysoko w wudziestu stopniach. Jakże inne drzewa, których nasz młody przyrodnik nie rozpoznawał, nachylały się nad strumieniem, cicho szemrzącym w rozcieleniu. Potok wyraźnie się rozszerza i Cyrus Smith przypuszcza, że wkrótce dojdzie do jego ujścia. Istotnie ujście to ukazało się niebawem, gdy wyszli z gęstej kępy piótrzych drzew. Koloniści dotarli wreszcie do zachodniego brzegu Jeziora Granta. Okolica była godna podziwu. Tafla wody o obwodzie około siedmiu mil i powierzchni około dwustu pięćdziesięciu akrów leżała w obramowaniu najrodzajniejszych drzew. Na wschodzie, poprzez zasłonięty zieleń, malowniczo miejscami uniesione, przewidywała lądowiska towarzyszą. Na półcy jezioro zataczało się pogodny łuk, kontrastujący z ostrą linią południowego brzegu. Liczne ptaki morskie obsiadły brzegi tego małego Ontario \*\*, a "tysiąc wysp" jego amerykańskiego imiennika zastawała tutaj skały wynurzające się wody w odległości kilkuset stóp od południowego brzegu. Na gładzach powaźnie i nieruchomo siedziały zimorodki i czatowały na przepływające ryby; od czasu do czasu zrywały się nurkowały z przeraźliwym krzykiem, by za chwilę kazać i zdobyć w dziobie. Tu i tam na wysepce spacerowały dzikie kaczki, pelikany, kurki wodne i miodojady, o jakich w kształcie szczypiec, oraz nieliczne okazy ptaków zwanych lirogonami, których rozłożony ogon układa się w wspaniałe linie. Jezioro było słodkowodne; jego przejrzyste wody miały ciemny odcień pierzyki powietrza i krę, ukazujące się powierzchnię, świadczą, że roiło się nim od ryb. Jezioro jest naprawdę i stwierdził Gedeon Spilett. Dobrze byłoby tu zamieszkać. Zrobimy to odrzekł Cyrus Smith. Chęć wrócić do Kominajkrów drogą, koloniści doszli do ostro wygiętego, południowego brzegu jeziora. Przedzierając się przez gęszcze i zarośla, których nie rozgarnął dotąd ręką ludzka, skierowali się strąbrzeżem, aby dotrzeć do Paskowzga Rozległego Widoku. Po przebyciu dwumil zaa ostatniej zasłonięty las wyłoniło się granitowe wzniesienie, pokryte gęstą trawą, a w oddali bezkresne morze. By znaleźć i Kominach, wystarczyło przejść około mili na ukos przez Paskowzga i zejść do pierwszego zakrętu Rzeki Dzielnienia. Ponieważ jednak inżynier chciał zbadać, jak odpływa nadmiar wody jeziora, wówoy nadłożyli około pół mili idąc skrajem lasu w kierunku północnym. Prawdopodobnie istniał jakiś przelew w szczybie granitowej skały. Jezioro było w gruncie rzeczy wielką niecką, wypełnianą stopniowo przez potok, nadmiar jego wód uchodził do morza. Gdyby te przewidywania się otwierzyły, inżynier zamierzał wyzyskać padek wody i zużytkować go sił marnując się otychczas bezużytecznie. Szli więc dalej tarasem tu nad brzegiem Jeziora Granta. Ale i po przejściu

jeszcze jednej mili Cyrus Smith nie znalazł odpływu, który musiał jednak gdzieś istnieć. Był to wpłynięcie. Koloniści postanowili wracać do A I I domu, gdy trzeba było przygotować posiłek. Zawręci więzi idąc lewym brzegiem Rzeki Dzielnienia, doszli do Komin. Rozpalono ogień z Pencroffem objął funkcje kucharskie i szybko upiekł kręgi, które wszyscy raczyli się wielkim smakiem. Po posiłku, w chwili gdy koloniści zamierzali udać się na spoczynek, Cyrus Smith wyciągnął z kieszeni prócz rodzonych minerałów powiedział kręgom: "Moi drodzy, to jest żelazo, to piryt, to żelazka, to wapno, a to węgiel. Oto co nam daje przyroda i to jest jej wkład we wspólną pracę. Jutro będzie kolej na nas. ROZDZIAŁ TRZYNASTY. Co znalezione na szyi Topa. Wyręki straż. Cegielnia. Piec garncarski. Naczynia kuchenne. Pierwsza zupa. Piosenka. Krzyk. Południe. Doniosła obserwacja astronomiczna. No i ciępanie Cyrusie, od czego zaczniemy?" zapytał Pencroff nazajutrz rano inżyniera. "Od początku" odpowiedział Cyrus Smith. Istotnie, koloniści musieli wszystko zaczynać od początku. Nie mieli nawet narzędzi do wyrobu innych narzędzi, nie byli też w takich warunkach, w jakich znajduje się przyroda, która ma czas i oszczędza wysiłku. Oni w żadnym razie nie mieli czasu, gdy musieli natychmiast zaspokoić wszystkie swoje potrzeby, i jeżeli korzystając z dotychczasowego doświadczenia nie byli zmuszeni dokonywać wynalazków to jednak musieli sami wszystko wyprodukować. Potrzebne im żelazo i stal były jeszcze rudą, wyroby garncarskie i glinę, odzież z surowymi włóknami. Trzeba zresztą powiedzieć że koloniści byli "ludźmi" w najpóźniejszym i najpełniejszym znaczeniu tego słowa. Inżynier Cyrus Smith nie miał dobrego obie bardziej inteligentnych, bardziej oddanych i gorliwych towarzyszy. Poznał już ich możliwości. Gedeon Spilett, utalentowany reporter, który nauczył się wszystkiego, aby umieć się wszystkim, męzarę gęowę, jak i ręką wydatnie przyczynił do zagospodarowania wyspy. Człowiek ten nie uchylił się przed żadnym zadaniem, a być namiłnym myśliwym, swój dotychczasowy rozrywkę znacznie traktował jako zawód. Dzielnego opiekę Harbert, posiadający dużo wiadomości przyrodniczych, wniosł poważy wkład do wspólnej pracy. Nab był uosobieniem wierności, zręczny, inteligentny, niezmordowany i silny, o żelaznym wprost zdrowiu, znający się nieco na robocie kowalskiej, na pewno okazał się mniej przydatnym od innych. Pencroff zaś, który jako marynarz przemierzył wszystkie oceany, zdążył już być i w stoczni brooklińskiej, pomocnikiem kamieniarza na budowach rządowych, a podczas urlopu pracował jako ogrodnik i hodowca; podobnie jak każdy człowiek morza umiał robić wszystko. Doprawdy trudno byłoby dobrą i ludzi bardziej nadających się o walki z losem i bardziej pewnych zwyczajów. "Od początku" powiedział Cyrus Smith. O tym początkiem była budowa urządzeń i surowych by do przetrwania bogactw naturalnych. Jest rzecz znana, jak rolę tych przetrwać odgrywa ciepło. Opa, drzewo i węgiel, był pod ręką. Chodziło tylko o to, by zbudować odpowiedni piec. "A do czego ma służyć ten piec?" zapytał Pencroff. "Do wypalania wyrobów garncarskich, które są nam potrzebne." "Z czego zrobimy ten piec?" "Z cegieł." "A cegły?" "Z gliny. W drogą przyjaciela. Aby uniknąć transportu, urządzimy warsztat w miejscu, gdzie znajduje się urowień. Nab sprowadzi tam nasze zapasy, a ognia do przyrzędzenia posiłku zabraknie." Tak wtręcił reporter "ale jeżeli zabraknie nam żywności? Przecież nie mamy czym polować." "Ach, gdybyśmy mieli bodaj jeden nawożony marynarz." "To co?" zapytał Cyrus Smith. "To co! Zaraz sprowadziłbym żuk i strażę i mielibyśmy w spiżarni dziczyzny w brzo." "Tak, nawożone dobre ostrze..." mruknął inżynier jakby sam do siebie. W tym momencie wzrok jego spoczął na Topie, uganianym się i z powrotem po brzegu. Oczy Cyru-sa zabłysły. "Top, do nogi!" zawołał. Pies przybiegł do pana, ten zaś ujął jego łeb w swoje dłonie i zdławił mu

z szyi obro?prze?ama? j? na p?m?c: ? Oto dwa no?e, Pencroff! Dwukrotne ?hura" marynarza by?o mu odpowiedzi?. Obro?a Topa zrobiona by?a z cienkiej hartowanej stali. Wystarczy?o zatem oszlifowa?? na kamieniu, a?eby uformowa??a potem naostrzy?o na drobnoziarnistym piaskowcu. Na wybrze?u by?o du?o z?om?iaskowca, tote? po dw?godzinach wyposa?enie kolonii sk?ada?o si? dw?ostrzych no?y, kt?bez wi?zego trudu osadzono w mocnych trzonkach. Zdobyte tych pierwszych narz?i zosta?o powitane jak wielkie zwyci?wo. By? to istotnie nieoceniony nabytek, kt?zjawi? si? najodpowiedniejszej chwili, Koloni?ci wyruszyli w drog?Cyrus Smith zamierza? wr? na zachodni brzeg jeziora, tam gdzie poprzedniego dnia zauwa?y? glink?z kt? pobra? pr?. Ca?a grupa posz?a brzegiem Rzeki Dzi?zynienia, przeci? P?askowzg? Rozleg?ego Widoku i po przebyciu najwy?ej pi?u mil dotar?a do polanki oddalanej o dwie?cie krok?d Jeziora Granta. Po drodze Harbert znalaz? drzewo, kt?o ga?? u?ywaj? Indianie w Ameryce Po?udniowej do wyrobu ?uk?By?o to drzewo ?crejimba" z gatunku palmowc?nie daj?ce jadalnych owoc?Uci? d?ugie i proste ga??e, odarto je z li?ci i zestrugano tak, by ?rodek by? grubszy, a ko?cie?; teraz nale?a?o tylko zdoby?o?, co by mog?o zast?pi?i?w?uku. W?owcy znale?li ro?lin?ale??c? do gatunku malwowatych, zwan? ?ketmia", o niezwykle mocnych w??ch, kt?mo?na por??o ?ci?en zwier?ch. W ten spos?en-croff uzyska? mocne ?uki; brak?o jeszcze tylko strza?. ?atwo by?o je robi? prostych i sztywnych ga?? bez s?k?ale trudno by?o o materia?, kt?m?y zast?pi?elazo i nadawa?by si?a groty. Pencroff doszed? jednak do wniosku, ?e robi? swoj? cz? pracy, a reszty powinien dokona?rzypadek. Koloni?ci doszli do poznanego wczoraj miejsca, gdzie gleba sk?ada?a si? glinki garncarskiej, takiej, z jakiej wyrabia si?eg?y i dach?, a wi?nadaj?cej si?o ich cel?Wyr?ie przedstawia? ?adnych trudno?ci. Nale?a?o tylko odt?u?ci?link?a pomoc? piasku, uformowa?eg?y i wypali?e w ?arze ogniska. Zazwyczaj ceg?y s? wyrabiane w formach, ale in?ynier zadowolil? si??nym wyrobem. Na tej pracy up?yn?? im ten dzie?nast?y. Przesycona wod? glina, wymieszana nast?ie nogami i pi?iami, zosta?a podzielona na kupki jednakowej wielko?ci. Wykwalifikowany robotnik mo?e uformowa?ez maszyny do dziewi?u tysi? cegie? w ci?gu dwunastu godzin. Jednak?e przez dwa dni pracy pi?u cegielnik? Wyspy Lincoln wyprodukowa?o zaledwie trzy tysi?ce cegie?, kt?u?o?ono jedn? obok drugiej na trzy, cztery dni, a?eby ca?kowicie wysch?y i by?y gotowe do wypalania. 2 kwietnia Cyrus Smith zaj?? si?stalaniem po?o?enia wyspy. Poprzedniego dnia zanotowa? dok?adnie godzin?kiedy s?o?skrzy?o si?a widnokr?em, uwzgl?iaj?c przy tym r?c?ywo?an? za?amaniem promieni s?onecznych. Tego ranka niemniej dok?adnie odnotowa? godzin?w kt? s?o?ukaza?o si?a nowo. Mi?y zachodem i wschodem s?o?up?yn? dwana?cie godzin bez dwudziestu czterech minut, zatem w sze??godzin i dwana?cie minut od wschodu s?o?minie po?udnik wyspy, a punkt na niebie, w kt? b?ie si?najdowa?o w owej chwili, wska?e p?c. O tej w?a?nie godzinie Cyrus ustali? poszukiwany punkt oznaczaj?c w prostej linii ze s?o? dwa drzewa, kt?mia?y mu s?u?y?a znaki orientacyjne; tak otrzyma? sta?? lini?o?udnika, potrzebn? do p?ejszych obserwacji. W ci?gu dw?dni poprzedzaj?cych wypalanie ceg?y wszyscy byli zaj? gromadzeniem opa?u. Obcinali ga??e z drzew rosn?cych wok?olanki i zbierali chrust, le??cy pod nogami. Oczywi?cie przy tej okazji troch?olowano, zw?aszcza ?e Pencroff dysponowa? ju? paroma tuzinami strza? o bardzo ostrzych ko?h. Tych grot?ostarczy? mu Top przynosz?c je?ozwierza, kt?by? ma?? zdobycz? pod wzgl?m kulinarnym, jednak bardzo warto?ciow? ze wzgl? na pokrywaj?ce go kolce. Te kolce zosta?y mocno przytwierdzone do strza?, a kierunek lotu utrzymywa?y pi?kakadu, kt?i oblepiono strza?y. Reporter i Harbert szybko nabrali wielkiej

wprawy jako uczniacy, toteż w Kominach nie brakowało zwierzyny i ptactwa, kapibar, aguti, kręgo, guszc innych. Wiżożych zwierzęt została upolowana w lesie położonym na lewym brzegu Rzeki Dziżynienia; nazwano go "Lasem Żotki" na pamiętkę tak jak Pencroff i Harbert napotkali w czasie swej pierwszej wyprawy w gęb wyspy. Zwierzędli wyspiarze na wie, przechowując jedynie na zapas szynki kapibar, uwone, po uprzednim obieniu ich wonnymi li, nad ogniskiem z wilgotnego drzewa. Jednakże jedzenie, chociaż pożywne, składało się i gęle tylko z pieczystego i biesiadnicy z przyjemnością posuchaliby, jak bulgocze nad ogniem zwykła zupa; z tym jednak trzeba było zaczekać o chwili wyprodukowania garnka, czyli do chwili postawienia pieca. W czasie wypraw, które ograniczały się o okolicy sąsiadującej z cegielni, myśliwi stwierdzili, że przechodziły tutaj jakieś duże zwierzę o potężnych pazurach, ale nie zdawali ustalić jakie. W związku z tym Cyrus Smith zalecił jak najwiżej ostrożność gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa puszczać amieszkowały niebezpieczne drapieżniki. Okazało się że miały rację Pewnego dnia Gedeon Spi-lett i Harbert zauważyli zwierzę bardzo podobne do jaguara. Na szczęście drapieżnik nie napadł ich, gdy w przeciwnym razie nie obeszłoby się bez poważniejszych ran. Gedeon Spilett obiecywał sobie, że gdy tylko zdobędzie lepszą broń oznacza strzelbę tak domagał się Pencroff, zaraz wyda ostrą walkę z drapieżnym zwierzęm i oczyści z nich wyspę. Przez tych kilka dni w Kominach nie zrobiono nic, żeby zamieszkać wygodniej, gdy inżynier miał nadzieję należeć w razie potrzeby wybudować lepsze schronienie. Ograniczono się jedynie do zrobienia wieżowego posadania z mchu i suchych liści i na tych trochę rymitywnych ośiach zmordowani robotnicy zasypiali kamiennym snem. Obliczono dokładnie dni, które upłynęły od czasu wylądowania rozbitków na Wyspie Lincoln, i odtąd notowano je skrupulatnie. W przedkwietnia miało dwanaście dni od chwili, kiedy huragan rzucił ich na ląd. 6 kwietnia od witu wszyscy zebrali się a polance, gdzie miało się odbyć wypalanie cegieł. Oczywiście zabieg ten musiał być wykonany na powietrzu, a nie w piecach; odpowiednio spieczone cegły powinny być utworzyć brzymi piec, który sam się wypali. Opał w postaci wiązki chrustu został rozłożony na ziemi, a następnie otoczony kilkoma rzędami podsuszonych cegieł, które utworzyły wielki sześciąt z wyprowadzonymi na zewnątrz dymnikami. Przygotowania trwały cały dzień dopiero wieczorem podpalono wiązki drzewa. Tej nocy nikt nie kładł się spać wszyscy baczili pilnie, aby ogień nie przygasł. Cały zabieg trwał czterdzieści osiem godzin i dał doskonałe wyniki. Dymiąca masa musiała teraz ostygnąć przez ten czas Nab i Pencroff, pod kierunkiem Cyruśa Smitha, kilkakrotnie przynosili na noszących, sporządzonych z gałęzi, bryły w kształcie wapnia, znajdujące się w wielkiej ilości na półce od jeziora. Bryły te, ulegające pod wpływem ciepła rozkładowi, zmieniały się bardzo tęguste niegaszone wapno, które silnie pękało w czasie gaszenia, a było tak czyste, jak gdyby pochodziło z wypalenia kredy albo marmuru. Po zmieszaniu z piaskiem, co miało na celu zmniejszenie kurczenia się w czasie twardnienia, z wapna uzyskano doskonałą zaprawę. Dziś tym wszystkim pracom 9 kwietnia inżynier miał do dyspozycji pewną ilość gotowego wapna i kilka tysięcy cegieł. Nie tracąc czasu przystąpiono do budowy pieca, mającego służyć do wypalania ręk naczyniowego użytku. Nie nastręczało to zbyt wielkich trudności. Po kilku dniach nałożono do pieca węgla, który odkryty pokład inżynier znalazł przy ujściu Czerwonego Potoku, i wreszcie uniósł się komina pierwszy dym. Polanka przekształciła się w fabrykę Pencroff gotował i wierzył że z pieca wyjdą wszystkie wyroby wspólnego przemysłu. Kolonicy wyprodukowali przede wszystkim najprostsze wyroby garncarskie, potrzebne do gotowania strawy. Za surowiec posłużyła ta sama

głina, do której Cyrus kazał dorzucić proch apna i kwarcu. Tak przygotowana masa stanowi prawdziwą „glinkę fajkową”; zrobiono z niej garnki uformowane na odpowiednich kamieniach, kubki, talerze, duże miski, dzbany i inne rzeczy. Przedmioty te były niezgrabne i miały nieregularne kształty, ale kuchnia Kominosta wyposażona w naczynia tak bezcenne, jak gdyby do ich wyrobu użyto najlepszych gatunków alinu. Trzeba zaznaczyć, że Pencroff, chcąc przekonać ich czy tak spreparowana glina zasługuje na nazwę linki fajkowej, zrobił sobie kilka doświadczeń rymitywnych fajek, które uznał za bardzo piękne; niestety brakowało mu do nich tytoniu. Ten brak Pencroff odczuwał bardzo dotkliwie. Tytoni białe, tak jak wszystko inne, powtarzał w chwilach przypływu lekkiego zaufania. Wszystkie te prace przeciwgnęty się o 15 kwietnia i jak można się domyślić, czas ten został wykorzystany bardzo sumiennie. Kolonicy, którzy przemienili się garncarzy, nie zajmowali się niczym innym poza garnkami. Gdy Cyrus Smith uznał za stosowne zrobić im kowalnię, był kowalami. Ale ponieważ nazajutrz była niedziela, i to Niedziela Wielkanocna, postanowili ten dzień zeznaczyć za odpoczynek. 15 kwietnia wieczorem nastąpił ostateczny powrót Komin Wzię z sobą resztę wyrobów garncarskich, a piec wygaszono do chwili nowego jego przeznaczenia. Tym razem w drodze powrotnej zdarzył się ciekawy traf: inżynier znalazł substancję, którą mógł zastąpić hubką. Jak wiadomo, ta gębczysta i aksamitna w dotyku substancja pochodzi z pewnego gatunku grzybów rosnących na drzewach. Odpowiednio spreparowana, jest bardzo łatwo zapalna, zwłaszcza gdy się ją uprzednio przesyca prochem armatnim, albo wygotuje w roztworze azotanu czy chlorku potasu. Dotychczas jednak nie znaleziono takiego grzyba ani nawet smardza, któryby mógł zastąpić hubkę statecznie. W tym dniu inżynier znalazł rośliny należące do pionowatych, które gromadzi odmianami szałwii, piołun, estragon, melisa i jeszcze kilka innych; wyrwawszy parę kielicha pokazał je marynarzowi. Proszę Pencroff, co dla pana. Pencroff uważnie przyjrzał się roślinie o długich, jedwabistych liściach i listkach pokrytych puszką podobną do bawełny. Co to jest, panie Cyrusie? zapytał. Wielkie nieba, może to tytoni? Nie odpowiedział inżynier, to jest artemiza, dla uczonych piołun chiński, a dla nas hubka. Istotnie, po odpowiednim wysuszeniu roślina okazała się substancją łatwo zapalną, zwłaszcza nieco później, gdy inżynier przesycał ją azotanem potasu, czyli po prostu saletrą, którą pokładają znajdowały się na wyspie. Tego wieczora kolonicy, zebrani w rodzimym pokoju, zjedli przyzwoitą kolację. Nab przyrządził rosół króla i szynkę kapibary, do tego podał gotowane bulwy „caladium macrorrhizum”, rodzaj rośliny trawiastej z gatunku obrazkowatych, które w strefie tropikalnej występują pod postacią drzew. Kuchnia te są doskonałe w smaku, bardzo pożywne i trochę podobne do tego, co w Anglii nazywa się „sago portlandzkie”. Mogły one w pewnej mierze zastąpić chleb, którego brakowało jeszcze mieszkańcom Wyspy Lincoln. Po kolacji, przed udaniem się do spoczynku, wszyscy wyszli przejrzeć proch i wybrzeże. Dochodziła godzina. Zapowiadała się piękna noc. Było pięknie po południu, księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale widnokrąg srebrzył się delikatnymi, bladymi tonami; można by je nazwać siwowym wschodem. Na południowym zenicie lśniły gwiazdozbiory podbiegunowe, a w pierwszym rzędzie Krzyż Południa, który parę dni temu inżynier podziwiał z G. Franklina. Cyrus Smith przez pewien czas obserwował tęspania konstelacji majowej na szczycie i u podstawy dwie gwiazdy pierwszej wielkości, w lewym ramieniu gwiazdozbioru rugiej, a w prawym trzeciej wielkości. Potem po namyśle zapytał Harberta: Czy dziś mamy 15 kwietnia? Tak, proszę pana, odpowiedział Harbert. A więc jeżeli się nie myli, jutro wypadnie jeden z tych czterech dni w roku, kiedy czas rzeczywisty pokrywa się z czasem średnim, to znaczy, że jutro z dokładnością do kilku sekund się przedzie przez południk wtedy, gdy na zegarkach

bie dwunasta godzina. Jeżeli wiapogoda dopisze, sdzę bę  
męustalięugogeograficznę wyspy z dokadności do kilku stopni. Bez  
instrumentBez sekstansu? zapyta Ge-deon Spilett. Tak cięgnę dalej inęynier. Dlatego te korzystajęc z pięej nocy postaram sięzię jeszcze okreęlięaszę  
szerokoęgeograficznę, obliczajęc wysokoęad horyzontem Krzyęa Poęudnia, czyli poęudniowego bieguna niebieskiego. Rozumiecie dobrze, moi drodzy, że zanim weęmiemy sięo  
jakichkolwiek powaęniejszych prac, zwięzanych z urzędzeniem sięutaj, nie wystarczy  
stwierdzię że ziemia jest wyspę, lecz trzeba takę w miaręonoęci ustalięw jakiej  
odlegęoęci znajduje sięna będę od kontynentu Ameryki, będę od Australii, będę od  
więznych archipelagęacyfiku. Istotnie potwierdzię reporter. Moęliwe, że zamiast  
stawiaęom, zbudujemy statek, jeżeli okaęe sięrzypadkiem, że znajdujemy się odlegęoęci  
setki mil od zamieszkaných wybrzeęy. Oto dlaczego zakoęę Cyrus Smith dzisiaj  
wieczorem bę usięowaę ustalięzerokoęgeograficznę Wyspy Lincolna, a jutro w poęudnie  
sprębliczyęugogeę Cyrus Smith powrę do KominęW wietle ogniska wystrugaę dwie  
pęaskie linijki i poęęczyę je w ten sposęęe utworzyęy coę w rodzaju cyrkla, ktęo ramiona  
moęna byęo zsuwaę rozsuwaęDo poęęczenia linijek uęyę mocnego kolca akacji,  
znalezionego w chruęcie przygotowanym na ognisko. Po zrobieniu tego instrumentu inęynier  
powrę na brzeg; wysokoęębieguna naleęaęo zmierzyęad rozlegęym horyzontem, to znaczy nad  
horyzontem morza, poniewaę jednak Przylędek Pazura zasęaniaę poęudniowę czę  
widnokrę, trzeba byęo poszukaęepszego punktu. Oczywiście najlepszym miejscem byęoby  
wybrzeęe zwręe wprost na poęudnie, ale żeby tam dojęętrzeba byęo przebyęęękę o tej  
porze Rzekęzięzynienia, co nastręaęo pewne trudnoęci. Wobec tego Cyrus Smith postanowię  
wykonaęwoje obserwacje na Pęaskowzgę Rozlegęego Widoku, oczywiście z uwzłęieniem  
wysokoęci wzniesienia ponad poziomem morza. Wysokoęęęamierzaę obliczyęazajutrz  
zwykęym sposobem geometrycznym. Kolonięci wię idęc lewym brzegiem Rzeki Dzięzynienia,  
udali sięa pęaskowzgę i ulokowali sięa jego skraju cięgnęcym się pęęnego zachodu na  
poęudniowy wschęczyli wzdęuę linii malowniczo wycięch skaę obrzeęajęcych rzekę Ta  
czę terenu wznosięa się jakieę pięziesięt stęad prawym brzegiem, ktęjednym stokiem  
opadaę do koęPrzylędka Pazura, drugim zaęę do poęudniowego kraęwyspy. Zatem nic nie  
ograniczaęo pola widzenia, obejmujęcego pęle widnokrę od przylędka aę po Cypel Pęaza.  
Na poęudniu widnokręg, oęwieltony pierwszym blaskiem księca, odcinaę sięyraęnie od  
nieba i męstanowięel obserwacji z dostateczną dokadnością. W tym momencie Krzyę  
Poęudnia przedstawiaę sięczom obserwatorę pozycji odwręej, przy czym gwiazda Alfa  
oznaczaęa jego podstawęajblięszę bieguna poęudniowego. Ten gwiazdozbięie znajduje  
sięak blisko bieguna poęudniowego, jak Gwiazda Polarna bieguna pęęnego. Gwiazda Alfa  
odsunię jest od bieguna o jakieę dwadzieęcia siedem stopni, a Cyrus Smith wiedziaę o tym i  
miaę uwzglęięędlegęoęę swoich obliczeniach. Staraę sięrzeprowadzięksperyment w  
chwili, kiedy gwiazda przechodzięa przez nięszy poęudnik, co uęatwiaęo obserwację CyrUS  
Smith WVCelowaę IPrlnn ramie flroumionor., cyrkla na widnokręg morski, drugie na gwiazdęlfa,  
tak jakby to uczynię z lunetę przyrzędu mierniczego, ustawienie zaę obydwu ramion daęo mu  
kęę odlegęoęci pomięy gwiazdę Alfa a horyzontem. Aęeby utrwalięzyskany w ten sposęęęę,  
przymocowaę kolcami obydwie linijki swego przyrzędu do trzeciej poprzecznej, dzię czemu  
odchylenie ramion zostaęo utrzymane. Potem pozostaęo juę tylko obliczyętrzymany kęę,  
sprawdzajęc obserwacjęo poziomemu morza tak, aęeby uwzglęięęklęoęęoryzontu. Do tego  
zaę naleęaęo zmierzyęysokoęęęęaskowzgę. Stopieęta pozwoli ustalięysokoęęęwiazdy

Alfa, a co za tym idzie, wysoko biegnąca nad horyzontem, czyli szeroko geograficzna wyspa; szeroko geograficzna bowiem dowolnego punktu kuli ziemskiej jest zawsze  $r \sin \theta$  wysokość biegnąca niebieskiego nad horyzontem w danym punkcie. Obliczanie zostało oddane do następnego dnia i o dziesiątej wszyscy już spali głębokim snem. A CZTERNASTY Pomiar granitowej ściany. Zastosowanie twierdzenia o podobieństwie trójkątów. Szeroko geograficzna wyspa. Wycieczka na północ. Kawica ostryg. Projekty na przyszłość. Przejście przez południk. Koordynaty Wyspy Lincoln. n. l. jutro, 16 kwietnia byłaby to Wielka Niedziela kolonistów o których opuścili Kominy i zajęli się praniem bielizny oraz czyszczeniem ubrań. Inżynier miał nadzieję, że uda mu się wyprodukować żywność, gdy tylko zdobędzie potrzebne surowce, to znaczy sod i potas, tłuszcz zwierzęcy albo olej. O nie mniej ważnej sprawie odnowienia garderoby pomyśleli także we wspaniałym czasie. Tak czy inaczej, ubrania wytrzymają jeszcze z sześć tygodni, nawet przy pracy fizycznej, gdy okazały się odporne. Wszystkie jednak plany uzależnione były od ustalenia odległości od zamieszkanego lądu, a ta sprawa mogła się rozstrzygnąć dzisiaj, o ile dopisywałaby pogoda. Słońce wschodzące na bezchmurnym niebie, zapowiadało wspaniałą pogodę jeden z tych pięknych dni jesiennych, które jakby ostatnim pożegnaniem lata. Przede wszystkim należało uzupełnić inżynierki wczorajszych obserwacji i zmierzyć wysokość askowskiej Rozległego Widoku nad poziomem morza. Czy niepotrzebny jest panu instrument podobny do tego, jakim posługiwał się pan wczoraj? zapytał Harbert inżyniera. Nie, moje dziecko, zrobimy to inaczej, ale w sposób jak samo dokładny odpowiedział inżynier. Harbert, korzystając z każdej okazji, aby się czegoś nauczyć poszedł za inżynierem. Oddalili się od podnóżka granitowej ściany i zeszli na wybrzeże. Pozostali kolonisci byli zajęci swoimi pracami. Cyrus Smith nie ostrugany przez siebie, prosty kij długości dwunastu stóp zmierzył go przez porównanie ze swoim wzrostem, które znał dokładnie. Harbert nosił sporządzony przez Cyrusa Smitha pion, czyli po prostu kamień przywiązany do głazowej liany. Gdy znaleźli się odległości dwudziestu stóp od skraju wybrzeża i mniej więcej o pięć stóp wznoszącej się prostopadle granitowej ściany, Cyrus Smith wbił żerdź na dwie stopy w piasek i za pomocą pionu ustawił ją prostopadle do płaszczyzny horyzontu. Potem cofnął się tak odległość, że gdy położył się na piasku, koniec żerdzi i szczyt ściany granitowej znajdowały się dokładnie na osi jego wzroku. Wbitym w ziemię okiem dokładnie oznaczył to miejsce. Potem zapytał Harberta: Znasz podstawowe zasady geometrii? Trochę proszona odparł Harbert nie chcąc się bytno chwalić. Czy pamiętasz, jakie są cechy podobnych trójkątów? Tak, ich odpowiednie boki są proporcjonalne do siebie odpowiedział Harbert. A więc moje dziecko, zbudowałem wspaniałe dwa podobne trójkąty, obydwa prostokątne: pierwszy, mniejszy, ma jako boki prostopadłe żerdź, linię przeczącą kątów z jej podstawą, i jako przeciwprostokątną odcinek mojego wzroku; drugi, większy, ma jako boki prostopadłe ścianę, którą wysokość żerdzi zmierzył linię przeczącą kątów z podnóżka tej ściany, i jako przeciwprostokątną także odcinek mojego wzroku, czyli przedłużenie przeciwprostokątnej pierwszego trójkąta. Ach, rozumiem, proszę pana! zawołał Harbert. Podobnie jak odległość od żerdzi jest proporcjonalna do odległości kątów od podnóżka ściany, tak samo wysokość żerdzi jest proporcjonalna do wysokości tej ściany. Tak jest, Harbercie potwierdził inżynier i gdy zmierzmy te dwie odległości, wówczas, znając wysokość żerdzi, będziemy musieli tylko rozwiąć żerdź, by otrzymać wysokość ściany bez mierzenia jej bezpośrednio. Obliczono obydwie poziome odległości za pomocą żerdzi, którą wystawiono ponad piasek dokładnie na dziesiątym stopniu odległości kątem a miejscem wbicia żerdzi wynosiła pięć razy odległość od kąta do podnóżka



Wyciany i piętost. Po dokonaniu tych pomiarów Cyrus Smith i Harbert wrócili do Komin. Inżynier wziął paski kamień przyniesiony z jednej z poprzednich wypraw, imitujący tabliczkę upków, na którą można było pisać ostrą muszlą, i wyprowadził następujące równanie:  $15 : 500 = 10 : x$   
 $500 \times 10 = 5000$  A zatem ustalono, że wysokość granitowej wyciany wynosi trzysta trzydzieści trzy stopy. Teraz Cyrus Smith sięgnął po swobodniejszy przyrząd, który rozchylone ramiona dawały odległość od gwiazdy Alfa od horyzontu. Wymierzył dokładnie rozwarcie kąta na kole, które podzielił na trzysta sześćdziesiąt sześć części. Wielkość kąta wyniosła dziesięć stopni. A zatem całkowita odległość od gwiazdy Alfa od bieguna a horyzontem, po dodaniu dwudziestu siedmiu stopni, dzielących gwiazd Alfa od bieguna południowego, i po zredukowaniu do poziomu morza wysokość paskowzga, z którego dokonane były obserwacje, wynosiła trzydzieści siedem stopni. Cyrus Smith wyciągnął z tego wniosek, że Wyspa Lincoln położona jest na trzydziestym siódmym stopniu szerokości południowej, a raczej, dopuszczając odchylenie w granicach pięciu stopni ze względu na niedokładność pomiaru, że znajduje się na pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym stopniem szerokości południowej. Aby otrzymać odcienie wyspy, należało ustalić jeszcze jej długość geograficzną. Inżynier zamierzał określić w południe, to znaczy w chwili, kiedy słońce przechodziło przez południk wyspy. Od południa dzieliło ich kilka godzin; wszyscy postanowili przeznaczyć na dłuższy spacer poświęcony ze zbadaniem części wyspy położonej pomiędzy jeziorem a Zatoką Rekina, przy czym jeżeli czas na to pozwolił zamierzali dotrzeć do północnego brzegu Południowego Przylądka Szczep. Obiad mieli zjeść przy ogniu i wrócili dopiero wieczorem. O wpół do dziewiętej rano grupka ruszyła wzdłuż kanału oddzielającego wyspę od Wysepki Zbawienia, gdzie z powagą spacerowały gromady ptaków Pencroff, który interesował się nimi tylko z punktu widzenia ich przydatności kulinarnej, dowiedziały się o swojej radości, że ich miłośnicy, chociaż czarne, doskonale nadają się do jedzenia. Jakieś duże zwierzę ziemnowodne, zapewne fok, obrały sobie rejsowe miejsce schronienia. Nie wchodziły one w rachubę jako pożywienie, gdyż ich jest bardzo mało, a przez to obrzydliwe w smaku; jednakże Cyrus Smith obserwował je uważnie i, nie zdradzając swoich planów zapowiedział, że niebawem trzeba będzie odwiedzić wysepkę Brzeg, po którą szli kolonijcy, usiany był rami muszlami, z których niejedna sprawiłaaby wielką radość zbieraczowi. Widać było między innymi limaki, przewiertki i inne małże jadalne. Pożyteczniejszą jednak była duża ławica ostryg, które po odpływie zauważył Nab pomiędzy skałami, mniej więcej o cztery mile od Komin. Nab nie zmarnował dnia! Zawołał Pencroff patrząc na cięgnące się wzdłuż brzegu ławicę. To rzeczywiście bardzo szczęśliwe odkrycie ucieszyło się reporter i jeżeli, jak twierdził, każda ostryga składała rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesiąt tysięcy jaj, mamy tu wprost niewyczerpane zasoby. Wydaje mi się jednak, że ostrygi nie są zbyt pożywne powiedział Harbert. Istotnie odparł Cyrus Smith. Ostryga zawiera bardzo mało składników żelaznych i dlatego człowiek, który żywiłby wyłącznie ostrygami, musiałby zjadać ich do szesnastu tuzinów dziennie. Dobra jest wtręć Pencroff. Możemy je pożytkować ziołkami tuzin jeszcze nie wyczerpiemy ławicy. A może byśmy tak wzięli trochę zniadanie? I nie czekajcie na odpowiedź, z gębami byłoby wiadomo, że propozycja ta spotka się z uznaniem, marynarz i Nab nazbierali trochę ostryg. Wówczasono je do siatki z węzłem ketmii, uplecionej przez Naba, gdzie spoczywały inne artykuły spożywcze, i cała grupa ruszyła dalej wzdłuż wybrzeża, pomiędzy wydymami a morzem. Cyrus Smith od czasu do czasu spoglądał na zegarek, ażeby w porę zakończyć obserwacje, które należało przeprowadzić dokładnie w południe. Cała ta część wyspy aż do cypla zamykającego

Zatok niii, nazwanego Południowym Przylądkiem Szczą", była zupełnie jałowa. Widziało się jedynie piasek i muszelki zmieszane z okruchami lawy. Pustynny brzeg odwiedzały tylko ptaki morskie: mewy, duże albatrosy oraz dzikie kaczki, które podniecały apetyt Pencroff'a. Usiłowała upolować z łuku, ale bezskutecznie, gdy kaczki nie siadały i trzeba je było trafiać locie. Dlatego marynarz zanudza inżyniera: "Widzi pan, panie Cyrusie, dopóki będziemy mieli jednej lub dwóch strzelb, nasza aprowizacja będzie pozostawiała wiele do życzenia. Ma pan rację Pencroff? odezwał się reporter ale to zależy wyłącznie od pana! Niech pan nam tylko dostarczy celaza na lufy, stali na zamki, saletry, węgla i siarki na proch, rtęci i kwasu azotowego na spłonki i wreszcie ołowiu na kule, a Cyrus zrobi pierwszorzędne strzelby. Czy powiedział inżynier wszystkie te surowce na pewno znajdziemy na wyspie, ale brońna to przyrząd bardzo dokładny i dlatego jej wyrzeka precyzyjnych narzędzi. Zresztą zobaczymy. Dlaczego więc wyrzucili my za burtą broń mieliśmy w koszu, i wszystkie narzędzia, a do scyzoryków oczywiście! biada Pencroff. Bo gdybyśmy tego nie zrobili, to balon by nas wyrzucił do morza! zawyrokował Harbert. Masz rację choćby przyznał marynarz, a następnie, myślał już o czym innym, dodał: Wyobraź sobie, jak by zaskoczony Jonathan Forster i jego niedoszli towarzysze podróży gdy następnego ranka stwierdzili, że plac jest pusty, a fruująca machina ulotniła się. To już mnie najmniej obchodzi, co oni sobie pomyśleli wzruszył ramionami reporter. A przecie to ja wpadłem na ten pomysł" > stwierdził Pencroff z zadowolonym minem. Pomysł istotnie wspaniały i uśmiechnęli się de-on Spilett dzieli niemu węgla nie znaleźli my się tutaj. Wolę tutaj niż w apach południowych zawołał marynarz zwłaszcza od chwili kiedy pan Cyrus był askaw do nas powróć! Dalibądź ja rzeć! zgodził się reporter. A zresztą, czego nam brak? Niczego! Albo... wszystkiego! powiedział Pencroff miej się jak, a mu się rzęzy potę bary. Ale przecież czy gdzie znajdziemy sposób wydobycia siarki. Może nawet wcześniej, niż przypuszczacie, przyjaciele odezwał się inżynier jeżeli Wyspa Lincoln połona jest w pobliżu jakiegoś zamieszkanego archipelagu lub kontynentu. Za godzinę będziemy to już wiedzieli. Nie mamy wprawdzie mapy Pacyfiku, ale potrafił pamiód odtworzyć obraz jego południowej części. Szerokość geograficzna, którą wczoraj określiliśmy, umiejscowiła nasz wyspę a wschód Nowej Zelandii i na zachód Chile. Ale odległość od tych punktów wynosi co najmniej sześćdziesiąt mil. Trzeba więc ustalić w jakim miejscu tej olbrzymiej przestrzeni wodnej leży wyspa, a mam nadzieję że z doświadczeniem dokładności uda nam się obliczyć o znalezieniu długości geograficznej. Prawda, że najbliższy pod względem szerokości geograficznej jest archipelag Paumotu? zapytał Harbert. Tak potwierdził inżynier ale dzieli nas od niego ponad tysiąc dwieście mil. A tam? zapytał przysuchujący się zainteresowaniem Nab wskazując ręką na południe. Tam nie ma nic odparł Pencroff. Rzeczywiście nic przytaknęli inżynier. A zatem, Cyrusie zaczął reporter jeżeli Wyspa Lincoln znajduje się dalej niż o dwieście lub trzysta mil od Nowej Zelandii lub od Chile... A zatem dokończ za niego inżynier zamiast budować dom zbudujemy statek, a Pencroff podejmie się o poprowadzić. No pewnie, panie Cyrusie ucieszył się marynarz gotowym został kapitanem... Jeżeli tylko zbuduje pan statek dostatecznie mocny, żeby utrzymał się w wodzie. Zbudujemy, jeżeli zajdzie potrzeba! zapewnił go Cyrus Smith. Była to rozmowa ludzi, którzy naprawdę nie są przed niczym. Tymczasem zbliżała się do obserwacji. Jak Cyrus Smith ustali przebieg przez południk wyspy bez instrumentu? Harbert w sposób nie do siebie tego wyobraził Byli teraz w odległości sześciu mil od Kominów w pobliżu tej części wybrzeża, gdzie znaleziono inżyniera po jego zagadkowym ocaleniu. Tu zatrzymali się

zaczę r>rzvrzadza osi ek, gdy by o iu w p o dwunastej. Harbert pobieg zacerpn ody ze strumyka, p yn czego w pobl u, i przyni j w dzbanku, kt Nab mia ze sob . Tymczasem Cyrus Smith robi przygotowania do obserwacji astronomicznych. Wybra na brzegu morza miejsce, kt odp yw dok adnie zniwelowa . Drobnutki piasek by tutaj g adki jak lustro. W a ciwie nie by o wa ne, czy wybrana powierzchnia jest pozioma, czy nie, podobnie jak nie by o istotne, czy sze ciostopowa witka wetkni w ten piasek by a ustawiona pionowo. In ynier nawet celowo pochyli j troch kierunku po udnia, czyli w stron rzeciwn s o gdy nale y pami e mieszka Wyspy Lincoln, po onej na p li po udniowej, widzieli s o w czasie jego dziennej w nad p cn cz i horyzontu, a nie nad po udniow . Dopiero teraz Harbert zrozumia , w jaki spos n ynier zamierza ustali unkt kulminacyjny s o czyli przej cie przez po udnik wyspy, inaczej m c, okre li o udnie. Cyrus Smith chcia mianowicie w braku instrument wyzyska ie ucony przez witk a piasek, co mog o da ynik zbli ony do rzeczywistego. Ot chwili kiedy cie tki osi gnie najmniesz d ugo nast pi po udnie; wystarczy zatem uwa nie obserwowa oniec cienia, a eby ustali hwil kiedy po stopniowym skracaniu si acznie si n ponownie wyd u a Pochylaj c witk stron rzeciwn s o Cyrus Smith wyd u a ten cie o sprawia o, e zmiany by y atwiejsze do zaobserwowania. Przecie im d u sza jest wskaz na tarczy, tym atwiej mo na ledzi ej przesuni a. Cie ucany przez witk ie by niczym innym ni wskaz na tarczy zegara s onecznego. Gdy in ynier uzna , e nadesza odpowiednia chwila, ukl k i za pomoc patyczk kt wtyka w piasek, zacz znaczy topniowe skracanie si ienia. Jego towarzysze e pochyleni nad nim z niezwykym zainteresowaniem e ledzili przebieg tych czynno ci. Reporter, trzymaj c w r sw hronometr, czeka na odnotowanie godziny, kiedy cie dzie najkr y. Poza tym, poniewa Cyrus Smith przeprowadza obserwacje w dniu 16 kwietnia, czyli w dniu kiedy czas rzeczywisty pokrywa si czasem rednim, godzina podana przez Gedeona Spilletta by aby rzeczywist godzin wed u g czasu waszyngto ego, co mia o bardzo upro ci yliczenia. Tymczasem s o wolno przesuwa o si o niebie; cie ucany przez witk kraca si oma u, a gdy Cyrusowi Smithowi wyda o si e zaczyna si yd u a zapyta : Kt godzina? Pi ta i jedna minuta e odpowiedzia natychmiast Gedeon Spilett. Teraz pozosta o ju tylko dokonanie obliczenia. By o to zupe nie atwe. Stwierdzono, e pomi y po udnikami Waszyngtonu a Wyspy Lincoln istnia a w zaokr gleniu r ca pi u godzin, czyli e na Wyspie Lincoln po udnie by o wtedy, gdy w Waszyngtonie by a pi ta po po udniu. Ot o o w swoim pozornym ruchu wok iemi przebiega jeden stopie ci gu czterech minut, czyli pi a cie stopni w ci gu godziny. Pi a cie stopni pomno one przez pi godzin daje siedemdziesi t pi stopni. Poniewa Waszyngton le y na 77 3'11", w przybli eniu na siedemdziesi tym si m stopniu od Greenwich e kt Amerykanie, tak samo zreszt jak Anglicy, przyjmuj za stopie rowy d ugo ci geograficznej e wynika o wi e wyspa znajduje si siedemdziesi t siedem plus siedemdziesi t pi stopni na zach d po udnika przechodz cego przez Greenwich, czyli na sto pi ziesi tym drugim stopniu d ugo ci zachodniej. Cyrus Smith poda ten wynik do wiadomo ci swoich towarzyszy. Uwzgl iaj c dopuszczalny b d w obliczeniach, podobnie jak to uczyni przy ustalaniu szeroko ci geograficznej, przyj e, e Wyspa Lincoln po ona jest pomi y trzydziestym pi tym a czterdziestym r le nikiem oraz pomi y sto pi ziesi tym a sto pi ziesi tym pi tym po udnikiem na zach d Greenwich. Dopuszczalne odchylenie, kt in ynier przypisywa niedok adno ciom obserwacji, wynosi o pi stopni w jedn i drug stron czyli licz c po sze iesi t mil na jeden stopie d m wynosi o trzystu mil

szerokości i długości. Ewentualny błąd nie mija jednak wpłynął na powzięte decyzje. Było oczywiste, że Wyspa Lincoln znajduje się tak wielkiej odległości od jakiegokolwiek lądu czy archipelagu, że nie można ryzykować przebycia takiej przestrzeni w jakiejś wstępiej nadziei. Ustalenie położenia wyspy wykazało, że znajduje się na co najmniej o tysiąc dwieście mil od Tahiti i wysp archipelagu Paumotu, o przeszło tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii i o przeszło cztery tysiące pięćset mil od brzegu Ameryki! Cyrus Smith nie miał sobie w żadnym sposobie przypomniećby na mapie Pacyfiku istniała wyspa w miejscu ustalonym obecnie dla Wyspy Lincoln.

## ROZDZIAŁ PIĄTY. Decyzja co do zimowania zapadła. Hutnictwo. Badanie Wysepki Zbawienia. Polowanie na fokę. Złowienie kolczatki. Leniwiec. Metoda dymarek. Produkcja żelaza. Jak się trzyma stal.

Nazajutrz, 17 kwietnia, pierwsze słowa marynarza skierowane były do Gedeona Spilletta: — Jak tam, proszę pana? W jakim zawodzie będziemy dzisiaj pracować? — To będzie zależało od Cyrusa — odpowiedział reporter. Okazało się, że z ceglarzy i garncarzy, którzy byli dotychczas, mieli się teraz przedzierzgnąć hutnik. Poprzedniego dnia po zniadaniu doprowadzili swoje badania aż do cypla Przylądka Szczodrego odległego od Komin blisko siedem mil. Tutaj koło siebie widm i ziemia nabierała wyglądu wulkanicznego. Nie było tu wysokich zrąb skalnych jak na Północy-wzgłędnie Rozległego Widoku, lecz dziwaczne, postrzępione góry, które otaczały w kształcie zatok i wąwozów pomiędzy dwa przylądki składające się z substancji mineralnych, wyrzuconych przez wulkan. Po dotarciu do cypla koloniści wrócili tą samą drogą i o zmierzchu znaleźli się w Kominach; nie udali się jednak na spoczynek, zanim nie rozstrzygnęli ostatecznie kwestii, czy można w ogóle wydestynować Wyspę Lincoln. Te tysiąc dwieście mil, które dzieliły wyspę od archipelagu Paumotu, to była ogromna odległość, która nie wystarczyłaby do przebycia tej przestrzeni, zwłaszcza wobec zbliżającej się pory deszczowej. Tak orzekł Pencroff. Zbudowanie zwykłego czajnika było trudnym zadaniem, nawet gdy się miało potrzebne narzędzia, a koloniści przecie nie mieli nic. Należało więc zacząć od wyrobu motosierek, toporów, pił, widr — tak dalej, co wymagało dobiegłego czasu. Postanowiono więc przetrzymać na Wyspie Lincoln i w związku z tym poszukać wygodniejszego pomieszczenia niż Komin. Przede wszystkim należało przemienić żelazo, będące w stal żelazną, którą pokładają inżynier znalazł w północno-zachodniej części wyspy. Metale znajdują się w ziemi zazwyczaj nie w stanie czystym, lecz przeważnie w postaci związków tlenem albo z siarką. Z dwupięciu przyniesionych przez Cyrusa Smitha jedna była żelazem magnetycznym wolnym od węgla, druga — pirytem, czyli siarczanem żelaza. Pierwszą próbkę, będącą tlenkiem żelaza, należało zredukować węgla, to znaczy uwolnić od tlenu, a żeby otrzymać czyste żelazo. Redukcję można przeprowadzić albo poddając rudę działaniu wysokiej temperatury w obecności węgla, albo tak zwaną metodą dymarek, która ma tę rzekawą, że przemienia bezpośrednio żelazo, albo te metody wielkich pieców, które przemieniają rudę najpierw w surowicę żeliwną, a dopiero później surowicę w żelazo, pozabawiając ją trzech do czterech procent połączonych z nią węgla. Cyrusowi Smithowi było potrzebne żelazo, a nie surowicę, dlatego musiał uciec się do szybkiej metody redukcji. Znalezione przez niego ruda była bardzo czysta i bardzo bogata. Należała do wysokiego gatunku rudy utlenionej, występującej w ciemnoszarych bryłach i dającej czarny pył w postaci regularnych, ośmiokątnych kryształków. Ta węgla nie ruda dostarcza naturalnego magnezu i siarki w Europie do wyrobu wysokogatunkowego żelaza, z którym szwecja i Norwegia. W pobliżu pokładów znajdują się badane już przez wyspiarzy pokłady węgla kamiennego. Blisko wszystkich składników łatwiejsza znacznie przerobu rudy. Ta okoliczność jest bardzo korzystna przy eksploatacji rudy w Zjednoczonym

Krętwie \*, gdzie w el potrzebny do wyrobu metalu wydobywany jest z tego samego z o a i jednocześnie z rud. No to jak, panie Cyrusie, będziemy przerabiać rudę? zapytał Pencroff. Tak, przyjacielu odpowiedział inżynier i dlatego zaczniemy od polowania na fokę, oo, jak się zdarzy przypadkiem panu do gustu. Polowanie na fokę! zdziwił się marynarz. Potem zwrócił się do Gedeona Spiletta: Czyby do produkcji żelaza potrzebne były fokę? Widocznie, skoro Cyrus tak ma odpowiedział reporter. Ale inżynier wyszedł już z Komin. Pencroff musiał przygotować się do polowania na fokę nie otrzymawszy żadnego wyrażenia. Niebawem wszyscy zebrali się na brzegu w tym miejscu, gdzie przy niskim stanie wody można było przebyć w bród. Odpływ umożliwił miłym dojściu do wysepki, tak że zamoczyli nogi tylko do kolan. Cyrus Smith znalazł się raz pierwszy na wysepce, na którego towarzysze zostali rzućeni w czasie katastrofy balonu. Setki pingwinów gapiły się na ludzi. Uzbrojeni w kije koloniści mogliby z łatwością nać ich całe mnóstwo, przez myśl im jednak nie przeszło urządzenie takiej masakry, tym bardziej że mogło to niepotrzebnie spowodować najduższe się pobliskiej fokę. Oszczędzili rękę nieszkodliwe bezłotki, o kikutach skrzydeł spłaszczonych jak płatki i obrotach podobnymi do uski. Obecnie posuwali się w kierunku północnego skraju wysepki, po terenie usianym drobnymi rozpadlinami, w których gnieździły się takie wodne. Przy brzegu wysepki widać było pływające na powierzchni wody wyraźne, czarne punkty, jak gdyby poruszające się zębki raf. Były to widać fokę, które zamierzali upolować. Trzeba było pozwolić im wyjść z lodu, gdy dzielił swojej wrzecionowatej budowie, w której miednicy oraz kręwej i gęwej sierści, fokę są wspaniałymi pływakami; na morzu widać bardzo trudno je, z łowić na lądzie natomiast mogły one tylko pozwolić to powoli, ze względu na swe kręwe, płetwiaste nogi. Pencroff, który znał obyczaje tych zwierząt, radził zacząć od wycięgnięcia się piasku i rozleniwione promieniami słońca pogrzebić się głębokim śnie. Wtedy trzeba odciąć odwrócić się o nozdrzach. Miłym przyczaili się gazami nadbrzeżnymi i zamarli w oczekiwaniu. Upłynęła dobra godzina, zanim fokę wyszły na piasek. Było ich z pięć. Wtedy Harbert i Pencroff odwróćczyli się do towarzyszy i obeszli cypel wysepki, a żeby zobaczyć drugą stronę i odciąć wierzchni odwróć. Ręcznie Cyrus Smith, Gedeon Spiletta i Nab, czegoś się zdawali gwałtownie starali się odejść jak najbliżej. Nagle marynarz skoczył na ręce nogi i wydał donośny okrzyk. Na to hasło inżynier i jego dwaj towarzysze rzucili się na fokę. Dwie sztuki, silnie uderzone, zostały na miejscu, reszta jednak dobiegła do morza i odpłynęła. Oto zamówione fokę, panie Smith! zameldował marynarz zbliżając się do inżyniera. Bardzo dobrze, zrobimy z nich miechy kowalskie. Miechy kowalskie? zdumiał się Pencroff. Ale miałyby szczęście te fokę! Istotnie, inżynier zamierzał sporządzić skafok co w rodzaju miechów potrzebnych do przerobu rudy. Zabite fokę nie były duże, miały około sześciu stopów długości. Z pyska podobne były do psów. Ponieważ dławienie tych ciękich zwierząt było zupełnie niepotrzebne, Nab i Pencroff postanowili odciąć ich skafok na miejscu; tymczasem Cyrus Smith i reporter oglądali wysepki. Marynarz i Nab zwróćnie wywiźzali się swego zadania i już po trzech godzinach Cyrus Smith miał do dyspozycji dwie skafocze, które zamierzał użyć stanie surowym, bez garbowania. Koloniści musieli zacząć od odpływ, by przejść przez kanał i wróć do Komin. Nie było to rzecz prostą tak porozpinać kł na ramach z drzewa, a żeby nadać odpowiednie wymiary; nie było to też łatwo pozyskiwać w miejscu tak, aby powietrze zbyt nie uciekało. Kilkrotnie trzeba było robić poprawki. Cyrus Smith miał do swojej dyspozycji tylko dwa ostrza zrobione z obróćy Topa, jednak posługiwał się nimi tak zwróćnie, a jego towarzysze pomagali mu tak gorliwie, że już po trzech dniach wyposażeni w kolonię wzbogacili się miechy,

potrzebne do wdmuchiwania powietrza w zwałach rudy poddanej działaniu wysokiej temperatury. , 20 kwietnia od samego rana zaczęła się "okres metalurgiczny", jak to określił reporter w swoich notatkach. Wiemy już, że inżynier postanowił produkować celulozę bezpośrednio tam, gdzie znajdowały się okady węgla i rudy. Okady te leżały u podnóżka północno-wschodnich zboczy Gór Franklina, czyli w odległości sześciu mil od Komin. Nie można było nawet marzyć tym, by codziennie wracać na nocleg. Wszyscy zgodzili się, że nocować nie w szarym zgasłym, a żeby nawet w nocy nie przerywać pracy związanej z produkcją. Decyzja zapadła i wczesnym rankiem wyruszone w drogę. Nab z Pencroffem dowiedzieli się na splecionych z gałęziach noszących miechy oraz zapasy żywności, które zamierzali uzupełnić drodze. Kolonijcy szli najgłębiej w czeluście Lasu Złoty, przecinając go ukośnie z południowego wschodu na północny zachód. Musieli w gęstym utorować obie drogi, które miały potem stać się jakby mostkami po podzieleniu pomiędzy Północną i Południową Rozległość Widoku a Gór Franklina. Wokół osady wspaniałe drzewa, należały do już rozpoznanych gatunków. Harbert zwrócił jednak uwagę na nowe okazy, między innymi na smokowce, które Pencroff nazwał "pretensjonalnymi porami", gdy pomimo dużej wysokości należały one do tej samej grupy liliowatych, co cebula, szczypior, szalotka czy szparagi. Smokowce mają drzewiaste korzenie, bardzo smaczne po ugotowaniu; poddane fermentacji, dają ponadto bardzo przyjemny napój. Zrobiono więc spore zapasy tych korzeni. Marsz przez las trwa długo. Cały dzień zderzali się przez gęwinę, ale dzięki temu mieli możliwość okadnie zapoznać się z fauną i florą. Top, który przede wszystkim interesował faunę, biegł wzdłuż i zarodził i wystawiał bez wyboru każde napotkane zwierzę. Harbert i Gedeon Spilett ustrzelili z łuku dwa kangury, a ponadto jakieś zwierzę podobne i do jeńca, i do mrójjady: do jeńca, gdy zwijało się kłosem i było najedzone igłami, do mrójjady zaś ze względu na pazury takie jak u zwierząt podziemnych, długi, wąski pyszczek zakończony jak ptasi dziób raz jak usiany drobnymi kolcami, które służyły do łapania owadów. A do czego był podobny po ugotowaniu? Harbert nie omieszkał zapytać Pencroffa. Do wspaniałej wołowiny poinformował go Harbert. Nie wymagamy od niego niczego więcej, uspokoił się Pencroff. W czasie wyprawy dostrzeżono także kilka dzikich, które nie atakowały jednak większej grupy ludzi. Nikt więc nie przypuszczał, że napotka jakiegoś niebezpiecznego drapieżnika, gdy nagle reporter zauważył w odległości kilku kroków pomiędzy dolnymi gałęziami drzewa, zwierzę, które wzięło za niedźwiedzia, i zaczął je spokojnie szkicować. Na szczęście dla reportera nie należało ono do tych groźnych zwierząt stopochodnych. Było to tylko leniwiec wielkości dużego psa, o najedzonej, brudnoszarej sierści i łapach uzbrojonych w mocne pazury, które służyły mu do łapania po drzewach, żywi się owiem liśćmi. Gdy ustalono węgla nazwę zwierzęcia, które zresztą obecnie ludzie zupełnie nie przeszkadza, reporter wykreślił słowo "niedźwiedź" ze swego opisu, zastąpił je słowem "leniwiec" i wszyscy poszli dalej. O piętej po południu Cyrus Smith zarządził postać. Cała grupa wyszła już z lasu i znajdowała się stotę zboczy, po wschodniej stronie Gór Franklina. O kilkaset kroków dalej płynął Czerwony Potok, spod którego woda była w pobliżu. Natychmiast przystąpiono do urządzenia obozowiska. W niespełna godzinę skraj lasu pomiędzy drzewami stanęła szalaska z gałęziami splecionych lianami i obrzuconych glinami, stanowiący dostateczne schronienie. Poszukiwania geologiczne odłożono do następnego dnia. Zabrano się do kolacji, przed szalaską zapalono ognisko i zaczęto obracać i gotować. Już o godzinie piętej wszyscy kolonijcy spali głębokim snem. Jeden tylko z nich czuwał dla podsycania ognia, którym odstraszał rękami, które były w pobliżu drapieżne zwierzę. Nazajutrz, 21 kwietnia, Cyrus Smith z Harbertem udali się do poszukiwania terenu starych formacji geologicznych, gdzie inżynier

znalazł ju kiedy przed rudy. Natrafili na pokłady znajdujące się prawie na powierzchni u podnóżka jednego z północno-wschodnich zboczy, nie opodal źródła potoku. Bogata w żelazo ruda, zawarta w łatwo topliwym złożeniu, szczególnie dobrze nadawała się do przerobienia systemem uproszczonym, jaki chciał zastosować inżynier, a mianowicie do przerobienia metodą dymarek. Prawdziwa metoda dymarek wymaga pieca tygla, w którym ruda i węgiel, ułożone warstwami, ulegają przemianom chemicznym i procesom redukcji. Jednak Cyrus Smith twierdził, że można obejść się bez tych urządzeń i zamierza po prostu ułożyć węgiel w szelach i tęgoczyć go produktem powietrza z miechem. Wprawdzie była to metoda stosowana w zamierzchłych czasach, ale ponieważ dotychczas jeszcze dawała pomyślne wyniki w okolicach obfitujących w rudę węgla, powinna zatem udać się także w warunkach istniejących na Wyspie Lincoln. Węgiel, podobnie jak ruda, został wydobyty bez trudu spod powierzchni ziemi. Pokruszono go na drobne kawałki i usunięto z niego powierzchowne zanieczyszczenia. Następnie ułożono go wraz z rudą warstwami w pryzmie tak jak to się robi z drzewem w czasie wypalania węgla drzewnego. Tym sposobem, pod wpływem wdmuchiwanego miechem powietrza, węgiel zamienia się w tlenek węgla, który z kolei działa redukująco na tlenek żelaza, czyli uwalnia z niego tlen. Tak też postąpił inżynier. Miech ze szkła, zaopatrzony na końcu rurki ogniotrwałej gliny, wypalony uprzednio w piecu garncarskim, został umieszczony w pobliżu pryzmy. Wprowadzony w ruch za pomocą mechanizmu złożonego z ramy, sznurka węzła oraz ciężarków, zaczął w maszynę przesuwać powietrze, które podwyższało temperaturę i powodowało rozpoczęcie reakcji chemicznej, mającej dać końcowym wynikiem czyste żelazo. Zabieg był trudny do wykonania. Wymagał wielkiej cierpliwości i nie byłby jakiejś zręczności; ale wszystko udało się doskonale, a wynikiem tej pracy była bryła żelaza w stanie gębczastym, którą trzeba było układać aby pozbyć się innych roztopionych składników macierzystego. Oczywiście naszym domorosłym kowalom brakowało przede wszystkim młota, ale ostatecznie znaleźli się w takiej samej sytuacji jak pierwszy hutnik świata, no i postąpili podobnie jak tamten. Pierwsza bryła, nadziana na kij, posuwała się za młotem do kucia na granitowym kowadlu; następnie bryła, w ten sposób trzymano mocno zanieczyszczony wprawdzie, ale nadający się do użytku metal. Wreszcie po wielkich wysiłkach i ciężkich trudach, 25 kwietnia, wyspiarze wykuli kilka sztab żelaza, które niebawem zamieniły się w narzędzia: szypce, obcęgi, kilofy, motyki i inne; Pencroff i Nab twierdzili, że są to prawdziwe arcydzieła. Najbardziej jednak przydatne jest żelazo nie w stanie czystym, lecz w postaci stali. Stal jest stopem żelaza i węgla, otrzymywanym białym z surki przez pozbycie jej nadmiaru węgla, białym też z żelaza przez dodanie brakującego węgla. Pierwszy sposób stal naturalną lub fryszowaną, drugi zaś stal cementowaną. Cyrus Smith był za tym, aby spróbować produkcji stali drugim sposobem, gdy posiadał żelazo w stanie czystym. Osiągnął też dobre wyniki, roztopiając metal wraz ze sproszkowanym węglem w tyglu z gliny ogniotrwałej. Otrzymana w ten sposób stal, nadająca się do przerobienia zarówno na gorąco, jak na zimno, poszła do kucia. Pod fachowym dkiem inżyniera Nab i Pencroff porobili z niej siekiery, które doskonale zahartowali rozgrzewając do czerwoności, a następnie szybko zanurzając w wodzie. Wykonano także inne, oczywiście bardzo prymitywne narzędzia, jak ostrza do hebli, małe siekiery, stalowe pasy do wyrobu piły, dęta ciesielskie, a następnie metalowe części motyka, kłopot, oskard, młotek oraz gwoździe. Wreszcie 5 maja skończył się pierwszy okres metalurgiczny i kowale powrócili do komin. Niebawem nowy rodzaj pracy miał ich przerzucić do innego zawodu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY. Ponowne rozpatrywanie sprawy mieszkania. Marzenia Pencroffa. Badanie północnego brzegu jeziora. Północny kraniec półwyspu. Węgiel. Skraj jeziora. Niepokojąca. Pies w wodzie. Walka pod wodą. Krowa morska. Był dzień maja, odpowiadający dniowi 6

listopada na p<sup>o</sup>li p<sup>o</sup>nej. Od kilku dni na niebie gromadzi<sup>ły</sup> si<sup>e</sup> chmury i nale<sup>ża</sup>ło pomy<sup>śle</sup>ć pomieszczeniu na zim<sup>o</sup>. Co prawda temperatura nie obni<sup>ży</sup>ła si<sup>e</sup> jeszcze zbyt i termometr Celsjusza, przeniesiony na Wysp<sup>ę</sup> Incolna, wskazywa<sup>ł</sup>by nie mniej ni<sup>ż</sup> dziesi<sup>ę</sup> do dwunastu stopni. Ta temperatura nie by<sup>ła</sup> czym<sup>ś</sup> niezwyk<sup>łym</sup>, gdy<sup>ż</sup> Wyspa Lincolna, le<sup>żą</sup>ca prawdopodobnie pomi<sup>ędzy</sup> trzydziestym pi<sup>ątym</sup> a czterdziestym stopniem szeroko<sup>ści</sup> południowej, znajdowa<sup>ła</sup> si<sup>e</sup> takich samych warunkach klimatycznych, jak Sycylia czy Grecja na p<sup>o</sup>li p<sup>o</sup>nej. Ale podobnie jak na Sycylii czy w Grecji w pewnym okresie nast<sup>ępuje</sup> gwał<sup>towny</sup> spadek temperatury, powoduj<sup>ący</sup> opady <sup>nie</sup> i zamarzanie w<sup>ła</sup> tak samo na Wyspie Lincolna w pe<sup>ł</sup>ni zimy mog<sup>ły</sup> nast<sup>ąpi</sup>ć h<sup>o</sup>dy, przed kt<sup>óry</sup>mi nale<sup>ża</sup>ło si<sup>e</sup> zabezpieczy<sup>ć</sup>. W ka<sup>ż</sup>dym razie, je<sup>żeli</sup> nawet chwilowo nie zagra<sup>ża</sup>. <sup>o</sup> zimno, to jednak zbli<sup>ża</sup>ła si<sup>e</sup> ora deszcz<sup>na</sup> tej za<sup>ś</sup> samotnej wyspie, zagubionej w<sup>ę</sup> r<sup>ę</sup>al Pacyfiku i nara<sup>ż</sup>onej na r<sup>ę</sup> wiatry od morza, s<sup>ł</sup>otne dni by<sup>ły</sup> na pewno cz<sup>ę</sup>e, a nawa<sup>ł</sup>nice <sup>z</sup> gwał<sup>towne</sup>. Nale<sup>ża</sup>ło wi<sup>ęc</sup> nie trac<sup>ąc</sup> czasu, zastanowi<sup>ć</sup> i<sup>ad</sup> spraw<sup>ę</sup> lepszego pomieszczenia ni<sup>ż</sup> Kominy i szybko powzi<sup>ę</sup>ć ak<sup>cy</sup>ę decyzj<sup>ę</sup> Pencroff, rzecz jasna, mia<sup>ł</sup> pewien sentyment do tego schronienia, kt<sup>óre</sup> sam wynalaz<sup>ł</sup>; rozumia<sup>ł</sup> jednak, <sup>e</sup> trzeba poszuka<sup>ć</sup> zego<sup>ś</sup> innego. Ju<sup>ż</sup> raz w pami<sup>ę</sup>tych okoliczno<sup>ści</sup>ach morze wtargn<sup>ę</sup> do Komin<sup>ę</sup> nie mo<sup>ż</sup>na by<sup>ć</sup>o zn<sup>ę</sup>ara<sup>ć</sup> a<sup>ż</sup> i<sup>ż</sup> podobny wypadek. <sup>z</sup> Zreszt<sup>ę</sup> <sup>z</sup> odezwa<sup>ł</sup> si<sup>e</sup> yrus Smith, kt<sup>óre</sup> tego dnia omawia<sup>ł</sup> z towarzyszami spraw<sup>ę</sup>ieszkania <sup>z</sup> musimy si<sup>e</sup> og<sup>o</sup> zabezpieczy<sup>ć</sup> <sup>z</sup> Dlaczego? Przecie<sup>ż</sup> wyspa nie jest zamieszкана <sup>z</sup> odpar<sup>ł</sup> reporter. <sup>z</sup> Tak to wygl<sup>ę</sup>da, pomimo <sup>e</sup> nie zbadali<sup>śmy</sup> jej jeszcze ca<sup>ł</sup>kowicie <sup>z</sup> przekonywa<sup>ł</sup> in<sup>ż</sup>ynier. <sup>z</sup> Ale chocia<sup>ż</sup> na wyspie nie ma istot ludzkich, obawiam si<sup>e</sup> <sup>e</sup> jest tu du<sup>ż</sup>o dzikich zwierzt. Nale<sup>ży</sup> wi<sup>ęc</sup> zabezpieczy<sup>ć</sup> i<sup>ż</sup> przed mo<sup>żliw</sup>ą napa<sup>ć</sup>ci<sup>ę</sup>, i to tak, by jeden z nas nie musia<sup>ł</sup> stale czuwa<sup>ć</sup> przy ognisku. Poza tym, przyjaciele, trzeba przewidzie<sup>ć</sup> wszystko. Znajdujemy si<sup>e</sup> cz<sup>ę</sup>i Pacyfiku ch<sup>ę</sup>ie odwiedzanej przez pirat<sup>ów</sup> alajskich... <sup>z</sup> Co? <sup>z</sup> zawo<sup>ła</sup>ł Harbert. <sup>z</sup> W takiej odleg<sup>ł</sup>o<sup>ści</sup> od jakiegokolwiek l<sup>ę</sup>du? <sup>z</sup> Tak, moje dziecko. Ci piraci s<sup>ą</sup> r<sup>ę</sup>czę<sup>nie</sup> odwa<sup>ż</sup>onymi <sup>z</sup> eglarzami i gro<sup>ź</sup>onymi z<sup>o</sup>oczy<sup>ści</sup>, tote<sup>ż</sup> musimy zastosowa<sup>ć</sup> odpowiednie <sup>z</sup> rodki ostro<sup>ż</sup>ności. <sup>z</sup> Dobra jest! <sup>z</sup> wtr<sup>ę</sup>ci<sup>ł</sup> Pencroff. <sup>z</sup> Ufortyfikuje<sup>ć</sup>\*, my si<sup>e</sup> przeciwko dwuno<sup>ż</sup>ym i czworono<sup>ż</sup>ym drapie<sup>ć</sup>com. Ale czy nie uwa<sup>ża</sup> pan, panie Cyrusie, <sup>e</sup> dobrze by<sup>ł</sup>oby zbada<sup>ć</sup> wszystkie zak<sup>ę</sup>fki wyspy, zanim co<sup>ś</sup> postanowimy? <sup>z</sup> Istotnie, tak by<sup>ł</sup>oby najlepiej <sup>z</sup> podtrzyma<sup>ć</sup> go Gedeon Spilett. <sup>z</sup> Ko wie, mo<sup>że</sup> na przeciwleg<sup>łym</sup> brzegu znajdziemy jak<sup>ę</sup>ś pieczar<sup>ę</sup>kt<sup>ę</sup> na pr<sup>ę</sup> szukali<sup>śmy</sup> tutaj. <sup>z</sup> Macie racj<sup>ę</sup> odpowiedzia<sup>ł</sup> in<sup>ż</sup>ynier <sup>z</sup> ale zapominacie o tym, <sup>e</sup> musimy urz<sup>ę</sup>dzi<sup>ć</sup> i<sup>ż</sup> dzie<sup>ć</sup> w pobli<sup>ż</sup>u rzeki, a jak widzieli<sup>śmy</sup> ze szczytu G<sup>ę</sup> Franklina, na zach<sup>ę</sup>ie sp<sup>ły</sup>wa <sup>z</sup>adna rzeka ani strumyk. Tutaj natomiast znajdujemy si<sup>e</sup> omi<sup>ę</sup>y Rzek<sup>ę</sup> Dzi<sup>ę</sup>zynienia a Jeziorem Granta, co stanowi wielki plus, o kt<sup>óre</sup> nie nale<sup>ży</sup> zapomina<sup>ć</sup>. Ponadto cz<sup>ę</sup> wybrze<sup>ża</sup> zwr<sup>ę</sup>ła na wsch<sup>ę</sup>ie jest nara<sup>ż</sup>ona na pasaty wiej<sup>ę</sup>ce na tej p<sup>o</sup>li z p<sup>o</sup>nego zachodu. <sup>z</sup> No to zbudujemy sobie dom nad brzegami jeziora, panie Cyrusie <sup>z</sup> zaproponowa<sup>ł</sup> marynarz. <sup>z</sup> Mamy teraz ceg<sup>ły</sup> i narz<sup>ę</sup>dia. Byli<sup>śmy</sup> ju<sup>ż</sup> <sup>z</sup> eglarzami, garncarzami, hutnikami i kowalami, dlaczeg<sup>o</sup> i<sup>ż</sup> u diaska, nie mieliby<sup>śmy</sup> zosta<sup>ć</sup> urarzami! <sup>z</sup> Racja, przyjacielu, ale przed powzi<sup>ę</sup>ciem decyzji musimy poszuka<sup>ć</sup> odpowiedniego miejsca. Pomieszczenie przygotowane si<sup>e</sup> ami przyrody zaoszcz<sup>ę</sup> i<sup>ż</sup> oby nam wiele pracy, a ponadto stanowi<sup>ł</sup>oby niew<sup>ę</sup>tpliwie pewniejsze schronienie, zabezpieczone zar<sup>ę</sup> od wrog<sup>ę</sup> wyspy, jak i od nieproszonych go<sup>ści</sup>. <sup>z</sup> S<sup>ę</sup>usznie, Cyrusie <sup>z</sup> odezwa<sup>ł</sup> si<sup>e</sup> eporter <sup>z</sup> ale zbadali<sup>śmy</sup> ju<sup>ż</sup> przecie<sup>ż</sup> ca<sup>ł</sup>y masyw granitowy od strony morza i nie znale<sup>ź</sup>li<sup>śmy</sup> ani jednej dziury, ani jakiegokolwiek szczeliny. <sup>z</sup> Ani jednej! <sup>z</sup> doda<sup>ł</sup> Pencroff. <sup>z</sup> Ach, gdyby<sup>śmy</sup> mogli wyku<sup>ć</sup>ieszkanie w tej skale, na takiej wysoko<sup>ści</sup>, by znajdowa<sup>ł</sup>o si<sup>e</sup> oza czyimkolwiek zasi<sup>ę</sup>em, to-by dopiero by<sup>ć</sup>o <sup>z</sup> wietnie! Widz<sup>ę</sup>e w my<sup>ś</sup>li, w<sup>ła</sup>nie w tej



fasadzie zwrócić do morza, jakie pióło lub sześć okoj. Z oknami wpuszczającymi wiatro! I miejcie się powiedzia Harbert. I ze schodami, po których można by wchodzić dodać Nab. Czego się miejecie? zirytowa się arynarz. Co w mojej propozycji jest nie do zrobienia? Czy nie mamy oskard motyk? Czy pan Cyrus nie będzie miał prochu, żeby wysadzić kawał? Prawda, panie Cyrusie, że robi pan proch, jeżeli okaże się potrzebny? Cyrus Smith przysuchiwał się jak Pencroff z entuzjazmem rozwijał swoje nieco fantastyczne projekty. Wykucie mieszkania w tej skale nawet za pomocą miny byłoby pracą iście herkulesową, tym bardziej że jak na złość natura nie wykonała najtrudniejszej części roboty. Jednak na głodne marzenia marynarza inżynier odpowiedział tylko propozycją dokładniejszego zbadania całego zło skalnego, od ujścia rzeki aż po pęczny zakrę. Cała grupka wyszła z Komin starannie zbadała skały na przestrzeni dwóch mil. Ale gładka i prosta ściana nie miała nigdzie żadnego wgłębienia. Głębokie gnieździły się dziurach wyobitych na samym szczycie i na nieregularnie postrzępionym gzymsie skalnym. Była to okoliczność niepomyślna, zwłaszcza że o porwaniu się masyw skalny z oskardem lub prochem i o uzyskaniu tym sposobem dostatecznie obszernej jaskini nie było nawet co marzyć. Przez prosty przypadek Pencroff odkrył jedyne na całej tej części wybrzeża schronienie nadające się tymczasowe mieszkanie w kominie, które wystarczy jednak na dłuższy pobyt. Po skończonym badaniu terenu kolonicy znaleźli się na pęcznym załamaniu granitowej ściany, od którego aż po brzeg oceanu ciągnęły się łagodnie opadające stoki. Od tego miejsca aż po najdalszy kraniec na zachodzie skarpa skądą się piargumocnionych roślinami, karłowatymi drzewkami i trawami, a pochylenie jej wynosiło zaledwie czterdzieści pięć stopni. Tu i tam przez wieka nagi granit tworzył ostre występy na tej przybrzeżnej skale. Na wschodnich zboczach rosły kępy drzew i pokrywała je do połowy trawa. Ale roślinność nie była poza zbocza i u stóp skarpy zaczynała się jaszczysta rzeźna, ciągnąca się do brzegu morza. Cyrus Smith śmieśnie przypuszczał, że w kominie z tej strony powinny spadaćaskad wody z jeziora. Przecież nadmiar wody przyniesionej przez Czerwony Potok musiał gdzieś uchodzić. Tymczasem inżynier dotychczas nie natrafił na to miejsce na całej zbadanej już części brzeg jeziora, to znaczy od ujścia potoku na zachodzie aż do Paskowzg Rozległego Widoku. Inżynier zaproponował towarzyszącej sobie skarpę, którą w kominie obejrżeli, i powróć Kominie grzbietem. Przy okazji mogliby zbadać i wschodnie brzegi jeziora. Wszyscy wyrazili zgodę. Harbert z Nabem w kilka minut dotarli do góry kondygnacji; Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff szli bardziej statecznym krokiem. Gdzieś o dwieście stóp przed nimi poprzez gałęzie drzew przebiegała w promieniach słonecznej światła spokojna tońdy... Krajobraz był piękny. Pośród drzew o złotawym odcieniu tworzyły malownicze kąty, piasek oko harmonii barw. Olbrzymie, wiekowe pnie, które zwalały się starość, odcinały się z żółtym korą od zielonego dywanu otulającego ziemię. Tu znów wierzgoty i kępy się kaczyc z gałęziami na gałęziach hałaśliwe papużki kakaadu, podobne do barwnych szkiełek. Odnosiło się wrażenie, że promienie słoneczne przebijają przez listowie wszystkimi kolorami tędy. Zamiast skierować się bezpośrednio do pęcznego brzegu jeziora, kolonicy obeszli skraj tarasu, żeby dotrzeć do ujścia potoku od lewej strony. Nadto byli przy tym najwyższej półmili drogi. Posuwali się do przodu, gdy rzadko rosnące drzewa pozostawiały wolne przejście. Wyczuwało się tutaj przebiegającą granicę południowej części wyspy, gdyż roślinność była mniej obfita niż w każdym miejscu pomiędzy Rzeką Dzielnienia a potokiem. Cyrus Smith i jego towarzysze idąc tą nową dla nich drogą zachowywali pewną ostrożność. Jedyne ich bronie były przecie tylko kije i okute żelazem kije. Dotychczas nie natknęli się na żadnego

drapieńnika, prawdopodobnie bowiem zwierzę te zamieszkiwało gęste lasy na południu. Niemniej niespodzianką było natknięcie się w nim, mającego ze czternastu czy piętnastu stopni długości, przed którym Top zatrzymał się jak wryty. Nabzał i zaczął gadać. Cyrus Smith obejrzał go i stwierdził, że nie był on jadowity; należało do gatunku, który się żywił w Nowej Południowej Walii. Jednak na wyspie mogły istnieć także inne węzły, których ukłucie jest śmiertelne, na przykład żmija głucha z rozwidlonym ogonem, która nagle staje pod nogami człowieka, lub węże latające, mający coś w rodzaju nauszniczek, które mogą rzucać się o przodu z niezwykłą szybkością. Po otrzymaniu się pierwszego wrażenia Top zaczął polować na gady z taką zawziętością, że wszyscy bali się niego. Toteż inżynier przywołał go co chwila do nogi. Niebawem całe towarzystwo dotarło do miejsca, w którym Czerwony Potok wpada do jeziora: Podręcznicy poznali na przeciwległym brzegu punkt, gdzie zatrzymali się podczas z G. Franklina. Cyrus Smith stwierdził, że potok toczy do ujścia łożyska wody; musiało zatem istnieć jakieś naturalne ujęcie dla nadmiaru; wody w jeziorze. Należało znaleźć odpływ, gdyż tworzy on zapewne wodospad, który można by wyzyskać jako siłę mechaniczną. Kolonijcy, idąc luźną grupką, ale nie oddalając się zbyt od siebie, zaczęli okręgać brzozy jeziora. Wyglądało ono na obficie zarybione i Pencroff obiecywał sobie zajątkową sprzątkę, aby móc żyć. Najpierw trzeba było obejść promiską z północnym wschodem. Należało się spodziewać, że w tym miejscu tu znajduje się odpływ wody, gdyż skraj jeziora przylegał niemal do krańców przylądka. Ale i tutaj nic nie wykryto, wobec czego kolonijcy dalej badali brzeg, który początkowo wyginał się lekko, a potem biegł równoległe do wybrzeża morskiego. Z tej strony stok był stromiej zalesiony, rozsiane tu i ówdzie drzewa nadawały okolicy malowniczy wygląd. Jezioro Granta widoczne było w całej swojej okazałości, a żaden powiew nie marszczył jego gładkiej tafli. Top, myszkując w krzakach, przechodził stada ptaków, do których Gedeon Spilett i Harbert wypuścili parę trzaskaczy, Harbert nawet trafił jednego, który spadł między szuwały. Top rzucił się na niego i przyniósł w zębach pięć tego wodnego ptaka koloru ciemnoszarego, o krótkim dziobie, bardzo rozwiniętej kłopotliwej, o palcach z szerokim, postrzępionym szlaczkiem i skrzydłach o białym obramowaniu. Była to duża wielkość dużej kuropatwy, należąca do grupy pośredniej między szczudlarzami i perławonogimi, nędna zdobycz o dołgotnym smaku. Ponieważ jednak Top był mniej wybredny od ludzi, postanowiono, że dostanie pyska kolacji. Kolonijcy szli wschodnim brzegiem jeziora i niebawem mieli dojrzenie zbadanego już poprzednio odcinka. Ku zdziwieniu inżyniera nigdzie nie było śladu przelewu wody. W rozmowie z marynarzem i reporterem Cyrus Smith nie ukrywał swego zdumienia. Top, zachowując się otyłocześnie zupełnie spokojnie, zaczął zdradzać objawy zaniepokojenia. Mądre zwierzę gęgało tam i z powrotem po brzegu, zatrzymywało się nagle i patrzyło na wodę uniesioną w głąb, jakby czatując na jakieś niewidoczne zwierzę. Pies to ujada w ciekło, jak gdyby był na jakimś tropie, to nagle milknął. Z początku ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali uwagi na zachowanie się psa; lecz niebawem szczekanie stało się gwałtowne, że zaniepokoiło inżyniera. Co się z nim dzieje? pytał. W kilku susach pies dopadł swego pana, zdradzając całym swoim wyglądem wyraźny lęk, a potem znopł na brzeg. Nagle rzucił się do wody. Top, do nogi! zawołał inżynier, gdy nie chciał, aby pies wraził do tego podejrzanego jeziora. Co się tam dzieje pod spodem? odezwał się Pencroff, uważnie wpatrując się w wodę. Pewnie Top zwierzy jakieś ziemnowodne zwierzę, wyraził przypuszczenie Harbert. Może aligatora? powiedziała reporter. Nie sądzę, powiedział inżynier. Aligatory nie występują na tej szerokości geograficznej. Top

posucha swego pana i wylaz na brzeg, ale nie msi spokoj skaka w wysokiej trawie i sprawia wrazenie, jakby posuszny instynktowi tropi jak nie-widzialna istot kt skrya si w wodzie jeziora tu przy brzegu. Ale tafla wody bya gadka i nawet najmniejsza fala nie mci a spokojnej toni. Kolonici parokrotnie zatrzymywali si a brzegu i bacznie obserwowali powierzchni jeziora. Nic jednak szczegogo nie zauwazyli. Krya si tym jaka tajemnica. Mocno zaintrygowany inzynier powiedzia wreszcie: Doprowadmy nasze badania do ko. Po pdzinnym marszu doszli do poudniowo-wscho-dniego rogu jeziora i znaleli si a Paskowzg Rozlegego Widoku. Tutaj ko a si yprawa majca na celu zbadanie brzeg jeziora, ale inzynier nie zdo a wykry kt y i w jaki spos woda odp ywa. A jednak przelew musi istnie powtarza e za nie ma go na zewn trz, zatem woda musia a go wydr y ewn trz nadbrze nych ska granitowych. Ale dlaczego panu tak bardzo na tym zale y, drogi Cyrusie? zapyta Gedeon Spilett. Dlatego, e je eli woda odp ywa poprzez masyw granitowy, to mo e by dzie pieczara, kt mo na by zu ytkowa a mieszkanie po skierowaniu wody inn drog. A czy nie jest mo liwe, proszana, e woda odp ywa dnem jeziora wtr ci Harbert i e uchodzi do morza przez jaki kana podziemny? To te mo liwe potwierdzi inzynier i je eli tak jest w istocie, b iemy zmuszeni wybudowa obie dom w asnymi r mi, gdy przyroda nie wykona a za nas wst ych prac konstrukcyjnych. Kolonici zamierzali wraca askowzg m do Komin gdy bya ju pi ta po po dnu, gdy nagle Top zacz zn achowywa i ardzo niespokojnie. Szczeka z furi i zanim inzynier zdo a go powstrzyma znowu rzuci si o jeziora. - Wszyscy pobiegli na brzeg. Pies oddali si przesz o dwadzie cia st gdy nagle jaki olbrzymi eb wynurzy si wody, kt nie wydawa a si tym miejscu g ka. Harbert natychmiast pozna ziemnowodne zwierz wyd onym bie z wielkimi lepiami, ozdobionym dugimi, jedwabistymi w samami. Manat! zawo a. Nie by to manat, lecz zwierz tego samego gatunku, nale ce , do syrenowatych; nazywa si no krowa morska" i ma nozdrza w g j cz i pyska. Olbrzymie zwierz zuci o si a psa, kt na pr stara si ciec w kierunku brzegu. Jego pan nie m mu pom ni go ratowa zanim Gedeon Spilett czy Harbert pomysleli o naci gni u ci wy uk Top znikn pod wod , wci gni przez napastnika. Nab, trzymaj c w r okuty elazem oszczep, chcia rzuci i a ratunek psu i by zdecydowany zaatakowa ot e zwierz awet w wodzie. Zosta abie powiedzia inzynier powstrzymuj c swego dzielnego su ce go. A tymczasem w g wody toczy a si alka, walka niepoj , gdy w tych warunkach Top przecie nie m si roni kot uj ca si owierzchnia wody wskazywa a na to, e walka bya za arta, a mog a si ako edynie mierci psa! Nagle w spienionej wodzie ukaza si op. Wyrzucony w powietrze jak tajemnicz si , przekozio kowa gdzie na wysoko ci dziesiu st ad powierzchni jeziora, spad na rodek wzburzonej wody i niebawem dop yn do brzegu bez wi zych obra e ratowany chyba tylko cudem. Cyrus Smith i jego towarzysze patrzyli na siebie, nie mog c nic poj . W dodatku, w wodzie dzia o si adal co dziwne! Walka pod powierzchni jak gdyby to- czya si alej. Zapewne krowa morska, zaatakowana przez jakie pot e zwierz pu ci a psa i walczy a teraz o swoje ycie. Woda zabarwi a si rwi , a po r zkar atnej plamy, rozszerzaj cej si wolna, wynurzy o si ia o krowy i niebawem osiad o na ma ej mieli nie, w po dniowym rogu jeziora. Kolonici pobiegli tam natychmiast. Potwie y. Bya to olbrzymia sztuka, d ugo ci pi astu do szesnastu st wa ca na pewno nie mniej ni cztery tysi ce funt. Na jego karku widnia a rana, jak gdyby zadana ostr kling . Jakie to zwierz og o takim strasznym ciosem u mierci lbrzymi krowa orsk? Na

to pytanie nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi. Bardzo przeżył tym wypadkiem, Cyrus Smith i jego towarzysze powrócili do Kominu ROZDZIAŁ SIEDMNASTY Powrót do jeziora. Przewodnik wskazujący kierunek. Projekty Cyrusa Smitha. Tęcza krwi morskiej. Użycie żurawów i żurawów. Siarczany żelaza. Jak wyrabia się licerynę? Mydło. Saletra. Kwas siarkowy. Kwas azotowy. Nowy wodospad. Nazajutrz, 7 maja, Cyrus Smith i Gedeon Spilett udali się do Parku Rozległego Widoku, zostawiając w domu Naba, który zajął się przygotowaniem posiłków. W tym czasie Harbert i Pencroff poszli w góry, aby uzupełnić zapas drzewa. Inżynier z reporterem doszli niebawem do brzegu w południowej części jeziora, gdzie poprzedniego dnia woda wyrzuciła olbrzymie cielsko. Zleciały się do stadni ptaków. Cyrus Smith musiał odpędzić kamieniami, gdy chciał zachować uszczuplenie zwierząt na potrzeby kolonii. Mięso stanowiło pożywienie; w niektórych częściach Malajów jest ono nawet uważane za specjalnie przeznaczony na stajniach księżyc. Ale o to niechaj troszczy się Naba. W tej chwili Gedeon i Cyrus zaprzętały inne myśli. Wczorajsze wydarzenie uparcie tkwiło w jego pamięci. Wiele dałoby za to, aby przeniknąć tajemniczej podwodnej walki i wiedzieć, jaki krewniak mastodont czy innych potworów krowie morskiej tężni rano. Inżynier stał na brzegu jeziora, patrząc, obserwując, ale nic nie mógł dostrzec pod spokojną tafelką wody, lecz w pierwszych promieniach słońca. Przy brzegu, na którym leżało cielsko zwierzę, woda nie była zbyt głęboka; ale już od tego miejsca dno jeziora pomału się zbijało i w końcu było prawdopodobnie bardzo głęboko. Jezioro miało kształt dużej nieckiej, wypełnionej wodami Czerwonego Potoku. Jak pan sądzi, Cyrusie? zapytał reporter. Chyba to jezioro nie wygląda podejrzanie? Nie, drogi Gedeonie, odparł inżynier. Ale naprawdę nie wiem, jak sobie wytłumaczyć wczorajszy wypadek! Muszę przyznać, potwierdził reporter, że rana zadana zwierzęciu jest co najmniej dziwna; ponadto nie umiem sobie tak wytłumaczyć w jaki sposób wyleciało z takimi siłami ponad wodę. Można by pomyśleć, że wyrzuciło go jakieś potężne ramię, a potem to samo ramię uzbrojone w sztylet, uderzyło w krowie morskie! Tak odparł inżynier w zamyśleniu. Jest w tym coś, czego nie możemy wyjaśnić. A czy pan rozumie, drogi Gedeonie, w jaki sposób sam zostałem wyratowany, kto wydarzył mi falom i zaniżył wydmę? Prawda, że nie? Dlatego też przeczuwam tu jakiejś tajemnicę, którą kiedyś pewnie wykryjemy. Obserwujmy wszystko nadal uważnie, ale przy naszych towarzyszach nie mówimy o tych dziwnych wydarzeniach. Zachowajmy nasze spostrzeżenia dla siebie i ruszmy dalej, co do nas należy. Jak wiemy, inżynier nie zdołał jeszcze wykryć, gdzie uchodzi nadmiar wody z jeziora, ale ponieważ nie było tak, że widać, aby przelewało się wierzchem, zatem odpływ musiał istnieć gdzieś indziej. Nagle, ku swemu zdziwieniu, spostrzegł na jeziorze dostrzeżony przewód. Rzucił na wodę drobnych szczap i stwierdził, że przewód unosi je w stronę południowego rogu. Idąc brzegiem w kierunku tego przewodu, Cyrus Smith doszedł do południowego krańca jeziora. Tutaj poziom wody nagle obniżył się, jak gdyby uciekała ona przez jakąś szczelinę. Przyłożywszy ucho do ziemi, Cyrus Smith nasłuchiwał uważnie; udało mu się usłyszeć pochwyciły szum podziemnego wodospadu. To tu, powiedział. Właśnie tu uchodzi woda, to tu dąży ona do morza przez ujście wykopane w skale granitowej, przez jakąś szczelinę, którą moglibyśmy zużytkować do naszych celów. Muszę zbadać. Inżynier uciął długą gałąź, oskubał ją z listkami i wetknął do wody w głąb rogu kęta utworzonego przez cztery sięgające, na wysokość zaledwie jednej stopy poniżej poziomu wody wymacał szeroki otwór. To był właśnie ten, dotychczas poszukiwany przelew, siła za przewodem była tak wielka, że gałąź została wyrwana z ręk inżyniera i skryła się natychmiast pod wodą. Teraz nie

mam już żadnych wątpliwości i powtarza Cyrus Smith. Tutaj jest wylot, ktęmuszwydobyła wiatro dzienne. W jaki sposób zapytał Gedeon Spilett. Obniżajcie poziom wody w jeziorze o trzy stopy. Ale jak pan to zrobi? Dajcie wodzie inne ujście, szersze niż dotychczasowe. W którym miejscu, Cyrusie? W części brzegu po drugiej stronie najbliższej morza. 'K! Ale tam jest granit!' zwrócił uwagę reporter. No to go rozsądź odpowiedział Cyrus Smith a woda uciekając obniży poziom jeziora i odsłoni ten wylot. A gdy runie na wybrzeże, utworzy wodospad dodał reporter. Wodospad, który wykorzystamy potwierdzi Cyrus Smith. Chodźmy prędzej! Inżynier porwał swoim projektem towarzysza, którobdarzał go tak wielkim zaufaniem, że ani przez chwilę wątpił w powodzenie jego zamiaru. A jednak, jak zrobił w tej chwili przecięcie z granitu, w jaki sposób zrobił, nie mając ani prochu, ani odpowiednich przyrządów. Czy inżynier nie porywał się przypadkiem na coś, co przekraczało jego siły? Gdy Cyrus Smith i Spilett wrócili do Komin Harbert i Pencroff rozprawiali w dzień nie traw drzewem. Drwale niebawem skończyli pracę i mieli się zwrócić do Pencroffa i jeżeli był panu potrzebni murarze... Nie tyle murarze, ile chemicy odparł inżynier. Tak dodał reporter zamierzamy wysadzić w powietrze... Wysadzić w powietrze zawołał Pencroff. Przynajmniej częściowo potwierdził Gedeon Spilett. Posłuchajcie, przyjaciele odezwał się inżynier. Po czym podzielił się z nimi wynikami swoich obserwacji. Jego zdaniem w skale granitowej, dokończonyj Północny Rozległego Widoku, musi być istnieć i czy mniejsza rozpadlina, do której inżynier zamierzał się dostać. Należy o tym przede wszystkim wydobyć i wierzch otworzyć. Uchodziła woda, i w tym celu obniży poziom wody, torując jej jakieś łatwiejsze ujście. Stąd wniosek, że trzeba wyprodukować materiał wybuchowy, mogący rozsądzić i innym punkcie brzegu jeziora. Tego w dzień spróbował dokonać Cyrus Smith przy użyciu bogactw naturalnych, jakie przyroda oddała do jego dyspozycji. Rzecz prosta, że koloniści, a w pierwszym rzędzie Pencroff, przyjęli ten projekt z entuzjazmem. To w dzień co w sam raz dla marynarza: użycie silnie działających środków i rozsądzenie skały, stworzenie wodospadu! I on, Pencroff, był nie chemikiem, jak murarzem czy szewcem, jeżeli inżynierowi potrzebni są chemicy! Był wszystkim, czym tylko Cyrus zechce, nawet profesorem i dobrych manier, jeżeli tego siłą potrzebne. Tak oświadczył Nabowi. Pencroffa i Naba obarczono przede wszystkim obowiązkiem zdjąć i uszczu z krowy morskiej i zabezpieczenia miernego przeznaczonego na pożywienie. Nie pytając więc o nic, udali się niezwłocznie nad jezioro. Obydwaj mieli do inżyniera bezgraniczne zaufanie. W kilka chwil potem Cyrus Smith, Harbert i Gedeon Spilett wzięli nosze z gałkami i poszli w górę rzeki, w stronę okładów, gdzie było dużo żupki i urytków, często spotykanych w młodszych formacjach geologicznych; Cyrus Smith znalazł już wcześniej takiego pirytu. Cały dzień spędził na znoszeniu pirytu do Komin. Pod wieczór go już parę godzin. Nazajutrz, 8 maja, inżynier zaczął co majstrowa żupki pirytowe skądają się z węgla, krzemu, glinu i dużej ilości siarczku i elaza. Chodziło o to, by oddzielić siarczek i elaza i jak najszybciej przemienić go w siarczan, z którego można wydobyć kwas siarkowy. Oto do czego zmierzał Cyrus Smith. Kwas siarkowy jest jednym z najważniejszych surowców jego użyciem można określić potencjał przemysłowy narodu. Ten kwas miał się przydać kolonistom do wyrobu wódeczki, do garbowania skóry i do innych jeszcze celów. Chwilowo inżynier przeznaczał go do czego innego. Za Kominami Cyrus Smith wybrał miejsce, które zostało starannie wyrzeźbione. Tu ułożono stertę kawałków i porobianych drewn, a na nich umieścił kawałki żupki pirytowej, jedne na drugich; na wierzchu narzucił cienką warstwę żupki i otoczonych do wielkości orzecha. Następnie czynności było zapalenie

drzewa, od którego z kolei zajęcia siłupki zawierające, jak wiadomo, węgla i siarkę. Włas narzucono nowe warstwy potłuczonego pirytu, tak że utworzył się wielki stos, który pokryto na wierzchu ziemią i trawą; do środka szły przedechy, tak jak to się praktykuje w mielerzach przy wypalaniu węgla drzewnego. Aby reakcja mogła się skończyć, pozostawiono tę dymarkę na pewien czas w spokoju, gdy potrzeba nie mniej niż dziesięć do dwunastu dni na to, żeby siarczek żelaza przemienił się w siarczan, siarczek żelaza w siarczan żelaza; obydwa te związki są jednakowo łatwo topliwe, w przeciwieństwie do pozostałych, to znaczy do krzemu, wypalonego węgla drzewnego i popiołu. W czasie kiedy przebiegała reakcja chemiczna, Cyrus Smith polecił towarzyszącej siłupce i innymi czynnościami; wszyscy wzięli się do roboty z zapałem, ba, nawet z pasją. Nab i Pencroff zaczęli gnić z krowy morskiej tłuszcz i włożyli go do wielkich, glinianych kadzi. Z tłuszczu trzeba było przez zmydlenie wydzielić jeden ze składników mianowicie glicerynę. W tym celu wystarczyło zalać tłuszcz sodą lub wapnem. Każda z tych substancji działa na tłuszcz i tworzy mydło, wytrącając glicerynę; czyli węgla nie to, co inżynier pragnął otrzymać. Jak wiemy, wapna było pod dostatkiem; jednak przez dodanie wapna otrzymuje się twardy wapień, nierozpuszczalny, a więc niezdatny do użytku, podczas gdy do "daj" sód trzyma się twardy rozpuszczalny, znajdujące zastosowanie w gospodarstwie domowym. Jako człowiek praktyczny, Cyrus Smith dążył do zdobycia sody. Czy było to trudne? Nie, gdy na wybrzeżu pełno było roślin morskich, plechocęglonów wszelkich wodorostów porostów traw morskich. Nazbierano dużej ilości roślin, wysuszone je, a następnie spalono w dołkach na otwartym powietrzu. Ogień tych dołkach był podsycony przez kilka dni, aby osiągnąć temperaturę potrzebną do stopienia popiołu; dzięki tej pracy otrzymano szarawy, spoisty maszynian od dawna jako "soda naturalna". Uzyskany sod inżynier dodał do tłuszczu i otrzymał, obok rozpuszczalnego mydła, także substancję białą glicerynę. Ale to nie wszystko. Ze względu na przyszłe prace Cyrus Smith musiał mieć jeszcze inną substancję mianowicie azotan potasowy, bardziej znany pod nazwą saletry potasowej czy po prostu saletry. Saletry Cyrus Smith mógł zdobyć łatwo dzięki, działając kwasem azotowym na węgiel potasu, łatwo do uzyskania z popiołu roślinnego. Ale nie miał kwasu azotowego, który tak łatwo chciałby otrzymać pomocą reakcji chemicznej. Powstało więc białe koło, z którego nie sposób było wybrnąć. Na szczęście tym razem przyroda sama dostarczyła saletry, trzeba było tylko pofatygować się i nazbierać jej. Harbert bowiem odkrył pokład saletry w podziemnej części wyspy, u podnóżka Franklina; należało zatem jedynie ją oczyścić. Te rodzaje prace pochłonęły jakieś osiem dni i zostały zakończone wcześniej niż przemiana siarczku w siarczan żelaza. W ciągu następujących dni koloniści mieli czas na wyprodukowanie ogniotrwałych naczyń z gliny i na postawienie z cegieł pieca specjalnej konstrukcji, który służył do destylacji siarczanu żelaza, gdy się otrzyma. Wszystkie przygotowania zostały zakończone 18 maja, prawie równocześnie z zakończeniem przemiany chemicznej. Pod wprawnym okiem inżyniera Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff stali się najrzadziej robotnikami na świecie. Zresztą potrzeba jest najlepszym ze wszystkich nauczycieli. Gdy przyzma pirytu została całkowicie strawiona przez ogień, co otrzymano po jego spaleniu, czyli siarczan żelaza, siarczan żelaza, krzem, resztki węgla i popiół wrzucono do naczynia napełnionego wodą. Wodę, którą pozostawiono, żeby się stała, potem sklarowano otrzymując przejrzysty płyn, zawierający roztwór siarczanu żelaza i siarczanu żelaza; inne składniki pozostały w stanie nierozpuszczalnym. Po cząstowym wyparowaniu płynu osadzili się siarczki siarczanu żelaza, a roztwór acierzysty, czyli płyn nie wyparowany, zawierający siarczan żelaza, został odlany. W ten sposób Cyrus Smith uzyskał do następnego znaczne ilości siarczku siarczanu żelaza, z którego teraz trzeba

byłoby wyciągnięty was siarkowy. W praktyce przemysłowej produkcja kwasu siarkowego wymaga kosztownego urządzenia. Potrzebne są duże fabryki, specjalne wyposażenie, aparaty z platyny, komory z ołowiu kwasoodpornego, w których odbywa się przemiana, i tak dalej. Inżynier nie miał do dyspozycji takiego wyposażenia, wiedział jednak, że na Węzłach produkuje się kwas siarkowy w sposób prostszy, a zarazem o tyle lepszy, że otrzymuje się go w większym stopniu. W ten sposób wyrabia się kwas siarkowy, znany pod nazwą kwasu Nordhausena. Jeden jedyny zabieg potrzebny był do otrzymania kwasu siarkowego: podgrzanie w zamkniętym naczyniu kryształki siarczynu żelaza, tak by kwas siarkowy zamienił się parę, która zostanie następnie zgromadzona i skropli się potrzebny płyn. Do tej wadliwej czynności posłużyły ogniotrwałe naczynia, w których umieszczono kryształki, oraz piec, gdzie pod wpływem wysokiej temperatury miała nastąpić destylacja kwasu siarkowego. Prace te zostały wykonane bardzo dokładnie i 20 maja, po dwunastu dniach od chwili rozpoczęcia operacji, inżynier otrzymał cenny skądś; miał go w przyszłości wyzyskać o różnych celach. Ale do czego był mu potrzebny kwas siarkowy? Po prostu do uzyskania kwasu azotowego; nie byłoby to zresztą trudne, gdyby przez działanie kwasem siarkowym na saletry trzymywano drogą destylacji kwas azotowy. Dobrze, ale do czego Cyrus Smith chciał użyć kolei tego ostatniego kwasu? To wadliwie intrygowało jego towarzyszy, którzy nie wyjawili jeszcze wszystkich swych zamiarów. Inżynier dobijał tymczasem do mety i wreszcie ostatni zabieg dał mu potrzebny związek chemiczny, którego otrzymanie kosztowało go tak wiele trudu. Po uzyskaniu kwasu azotowego inżynier połączył go z gliceryną, uprzednio zagromadzoną przez odparowanie w podgrzewaczu; otrzymał w ten sposób awet bez użycia chłodnicy kilka kwart oleistego płynu o ciemnej barwie. Ostatnią operacją Cyrus Smith wykonał sam na uboczu, z dala od Komin, gdyż groziła ona wybuchem. A chemik przynosił swoim towarzyszom naczynie z płynem, powiedział z prostotą: "Oto mamy nitroglicerynę. Byłoby to istotnie ten straszliwy produkt, o sile wybuchowej dziesięć razy więcej od prochu, który spowodował już tyle wypadków. Jednakże od chwili gdy zaczął z niego robić dynamit, czyli miesza nitroglicerynę substancjami stałymi, cukrem lub glinką, dostrzegł, by ją wchłonąć można byłoby użyć tego niebezpiecznego środka wybuchowego z mniejszym ryzykiem. Ale w tym czasie, kiedy nasi koloniści znajdowali się na Wyspie Lincoln, dynamit nie był jeszcze znany. Ten wadliwie płyn ma wysadzić skały" zapytał z niedowierzaniem Pencroff. "Tak, przyjacielu" wyjaśnił inżynier "działanie nitrogliceryny będzie tym silniejsze, że skała jest niezwykle twarda i będzie stawiała wielką opór rozsadzaniu. A kiedy to nastąpi, panie Cyrusie? Jutro, gdy tylko wyprzedzimy dziurę założenia miny" odpowiedział inżynier. Nazajutrz, 21 maja, minierzy udali się skoro świt w stronę amania utworzonego przez wschodni brzeg Jeziora Granta, w odległości zaledwie pięćset kroków od wybrzeża. W tym miejscu paskowzg znajdowała się oniej poziomej wody w jeziorze, która wiodła jedynie w skała grobla z granitu. Byłoby rzecz pewna, że jeżeli uda się zrobić obramowanie, w czas wody rzuci się wyrwać utworzyć potok, który popłynie początkowo po pochyłości paskowzga, a potem runie do morza. Nastąpi w ten sposób obniżenie powierzchni wody w jeziorze i odsłonięte otwory odpływu, co stanowiło ostateczny cel inżyniera. Chodziło więc o to, by rozsadzić granitową groblę. Pod kierunkiem inżyniera Pencroff uzbrojony w oskard, który operował z siebie i ze zwykłą sobie siłą, zaczął kucie granit po zewnętrznej stronie grobli. Otwór, który należało wykłuć rozpoczynał się poziomej krawędzi zbiegał i miał biec ukośnie w górę, tak by dojść do punktu położonego znacznie poniżej poziomu wody. W ten sposób i za wybuchu, rozsadzając skałę, pozwolił wodzie wyrwać się zerokim ujściem na zewnątrz, co z kolei

obniży poziom jeziora. Praca była trudna, gdy inżynier chciał wywołać ten efekt i zamierzał poświęcić ten cel nie mniej niż dziesięć litrów nitrogliceryny. Ale Pencroff na zmianę Nabem wziął się do pracy z takim zapędem, że już koło czwartej po południu otworzył miny gotowe. Pozostała jeszcze sprawa zapalenia nitrogliceryny. Zazwyczaj zapala się zapłonem z piorunianu rtęci, którego wybuch powoduje eksplozję. Do wywołania eksplozji potrzebny jest silny wstrząs, jeżeli bowiem nitroglicerynę po prostu zapalilibyśmy, nie eksploduje. Cyrus Smith mógł na pewno zrobić taki zapłon. Nie miał wprowadzić piorunianu rtęci, ale mógł łatwo uzyskać substancję bliższą do bawełny strzelniczej, gdyż miał przecież do dyspozycji kwas azotowy. Z takiej substancji można było zrobić abrazywność do nitrogliceryny, zapaliłby ją potem i w ten sposób wywołałby eksplozję. Cyrus Smith wiedział jednak, że do spowodowania wybuchu nitrogliceryny wystarczy jedynie wstrząs. Postanowił zużytkować jej wadliwość, a gdyby mu się nie udało, wówczas dopiero pomyśle o innym sposobie. Do spowodowania wybuchu wystarczy uderzyć w parę kropel nitrogliceryny rozlanej na twardym kamieniu. Tylko że wykonawca nie może tego zrobić sam, gdyż padłby ofiarą wybuchu. Cyrusowi Smithowi przyszedł do głowy pomysł, żeby za pomocą dwóch rozlinnych zawiesiła jakimś występe ponad otworem z min bryła żelaza ważąca kilka funtów. Druga dłuższa linka wędrowną, przesycona siarką, jednym końcem przywiązana w połowie pierwszej linki, drugi zaś jej koniec byłby odprowadzony po ziemi na odległość kilkudziesięciu stóp od otworu. Gdy zapali się drugi koniec linki, biegnie po niej aż do pierwszej. Ta z kolei zapali się i bryła żelaza spadnie na nitroglicerynę. Tak zrobiono. Inżynier, poleciwszy przezornie swym towarzyszom odejść jak najdalej, sam napełnił wykuty otwór ten sposobem nitrogliceryną się pod sam wierzch, a oprócz tego wylał kilka kropel na skałkę od zawieszonych tu brył żelaza. Następnie Cyrus Smith zapalił koniec nasiarkowanej linki i przybiegł co się w nogach do swoich towarzyszy. Linka miała się palić przez dwadzieścia pięć minut; istotnie, po dwudziestu pięciu minutach dał się usłyszeć wybuch nieopisanej siły. Wyspa zadrała w posadach w powietrze wyleciał stos kamieni, jak gdyby wypluty przez wulkan. Podmuch był tak silny, że gazy tworzące kominy zadrały. Kolonistki zacięły o ziemię, chociaż znajdowali się przeszło dwie mile od miejsca wybuchu. Podnieśli się zaraz, wspięli na paskowzgi i pobiegli do miejsca, gdzie brzeg jeziora miał być ośrodek przez wybuch. Jednogłośnie "hura" wyrwało się ich piersi! W granitowej grobli ziała szeroka szczyrba! Rwał się bystry potok, pniec się płynął paskowzgiem do urwiska. a stamtąd spadał z wysokości trzystu stóp wybrzeże! ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. Pencroff przestał wątpić. Dawny odpływ jeziora. Podziemna wyprawa. Droga w granicę. Zniknięcie Topa. Rodkowa pieczara. Studnia na niższym poziomie. Tajemnica. Oskardy w robocie. Powrót Projekt Cyrusa Smitha udało się inżynierowi jednak, swoim zwyczajem, nie okazał żadnej radości; stał nieruchomo z zacięniętymi wargami i przyglądał się wanie. Harberta ogarnął entuzjazm; Nab skakał z radości; Pencroff kiwał się potęgował i mruzczał: "Patrzcie, co nasz inżynier potrafi! Istotnie skutki wybuchu nitrogliceryny były potężne. Upust, jakiego doznało jezioro, był tak wielki, że masa wody, która przez nową wyrwę była co najmniej trzykrotnie większa niż odpływała przez dawne ujście. Należałoby się spodziewać, że w niedługim czasie poziom wody w jeziorze obniży się przynajmniej o dwie stopy. Kolonistki powróciły do Komin, żeby zabrać stamtąd oskardy, okute oszczepy, liny z wędrowną, hubkę krzesiwo; potem wróciły na paskowzgi. Top biegł za nimi. Po drodze marynarz nie mógł się powstrzymać przed śmiechem. A czy pan wie, panie Cyrusie, że za pomocą tego uroczego pęty, którego pan sfabrykował, można było wysadzić powietrze całą naszą wyspę."



Niewielki i wyspi kontynenty, i cała kul ziemski odpar inżynier. Jest to tylko kwestia ilości. Czy można by posłużyć sią nitrogliceryną do ładowania broni palnej? zapytał marynarz. Nie, Pencroff, gdyż jest to substancja zbyt silnie eksplodująca. Ale można by zrobić awanturniczy lub zwykły proch, bo mamy przecież kwas azotowy, siarkę węgla. Niestety brak nam strzelb. Ach, panie Cyrusie, przy odrobinie dobrej woli... jęknął marynarz. Jak widział Pencroff wykreślił słowo "niemożliwe" ze słownika wyspiarzy. Dotarłszy do Paskowzkiego Rozległego Widoku kolonijci niezwłocznie udali się do cypel jeziora, gdzie znajdował się wlot dawnego odpływu, który teraz powinien być siłą nury i powierzchni. Woda już nie uchodziła tam, a zatem droga odpływu powinna być stała i ostro i na pewno nietrudno będzie poznać jej wewnętrzny układ. Kolonijci szybko doszli na miejsce i jeden rzut oka wystarczył im, by się przekonać, że cel został osiągnięty. Istotnie w ścianie granitowej grobli jeziora, wystającej teraz ponad powierzchnię wody, ukazał się jak długi poszukiwany otwór. Prowadził do niego wysoki żrób, obecnie także znajdujący się ponad wodą. Wlot miał około dwudziestu stzerokoci, ale zaledwie dwie stopy wysokości. Wyglądał jak otwór cieku na brzegu chodnika. Kolonistom byłoby trudno przejść, ale Pencroff i Nab wzięli do ręki oskardę i po niespełna godzinie powięzili przejście do potrzebnej wysokości. Inżynier zbliżył się i stwierdził, że ściany kanału odpływowego, przynajmniej w górnej części, miały nachylenie nie więcej niż trzydzieści pięć stopni. Można było zatem wejść, gdyby na dalszym odcinku kąt pochylenia nie zwięzł się z łatwością zejść do poziomu morza. Jeżeli więc co zresztą było bardzo prawdopodobne, że we wnętrzu masywu granitowego istnieje jakaś obszerna pieczara, można będzie ją wyzyskać. A więc panie Cyrusie, nad czym się zastanawiamy? zapytał marynarz, który pilno było wejść, areszcie w tęskną gardziel. Widzi pan, Top już nas wyprzedził! No dobrze; ale musimy zobaczyć, co tam jest i zgodzić się z inżynierem. Utnij kilka smolnych gałązek, Nabie. Nab i Harbert pobiegli na brzeg jeziora, gdzie rosły sosny i drzewa liściaste; niebawem wróci z gałąkami, z których zrobili coś w rodzaju pochodni. Zapalono je za pomocą krzesiwa i cała grupka z inżynierem na czele weszła w ciemny korytarz, który do niedawna odpływał, a woda z jeziora. Wbrew przypuszczeniom średnica kanału zwięzła się, jak niebawem mogli posuwać się do pozycji wyprostowanej. Ściany granitowe, które woda szlifowała od niepamiętnych czasów, były gładkie i trzeba było dobrze uważać, żeby nie upaść. Toteż kolonijci przywiali się do drugiego linka, tak jak to robią alpinijci w czasie wspinaczki. Na szczęście występ skalny tworzył jak gdyby stopnie, dzięki czemu schodzenie było mniej niebezpieczne. Kropelki wody, zwisające jeszcze tu i tam ze skał, lśniły w świetle pochodni wszystkimi barwami tę, co sprawiało wrażenie, że ściany pokryte są niezliczonymi stalaktytami. Inżynier dokładnie oglądał czarny granit; nie widział w nim żadnego uwarstwienia, żadnej rysy. Skała była spoista, drobnoziarnista i bardzo zbita. Zatem kanał odpływowy powstał raczej nie z wysp, a nie był wyrobiony przez wodę. Przebiegał go Pluton, a nie Neptun \* i na ścianach można było jeszcze dostrzec ślady wybuchu lawy, której woda nie zdołała zmyć. Kolonijci schodzili bardzo wolno. Z pewnym wzruszeniem zagłębiali się wewnątrz masywu, gdzie nigdy dotąd nie stanęła stopa ludzka. Szli w milczeniu, zadumani i niejednemu przeszło przez myśl, że w wewnętrznych pieczarach, mających połączenie z morzem, mogła mieszkać jakaś ośmiornica lub inny gatunek. Trzeba było zatem posuwać się pewnie i ostrożnie. Zresztą na czele grupki biegł Top, a przecież można było polegać na mądrym psie, który nie omieszkałby w razie potrzeby zaalarmować wszystkich. Po przejściu około stu stóp drogą idący na

przedzie Cyrus Smith zatrzyma si i zaczeka na towarzyszy. Tutaj ciany kana u rozszerza y si i tworzc niewielk pieczar. Ze sklepienia spada y kropelki wody, nie pochodzcej jednak z przesikania przez ska. By y to niewtpliwie ostatnie ludy potoku, kt d ugo hucza w tej pieczarze; lekko wilgotne powietrze nie zawiera o adnych cuchn cych wyziew. No i c drogi Cyrusie? odezwa si edeon Spilett. Oto schronienie, o kt nikt nie wiedzia, dobrze ukryte we wn zu ska, a jednak nie nadajce si o zamieszkania. Dlaczego nie nadajce si o zamieszkania? zapyta Pencroff. Gdy jest za ma e i za ciemne. Czy nie moemy go powi zy wy oby przebi otwor la wiat a i powietrza? odrzek Pencroff, kt odzwyczai si d pow tpiewania. Chodmy powiedzia Cyrus Smith i prowadmy dalej badania. Mo e gdzie jeszcze ni ej przyroda oszcz i nam tej pracy. Jeste my dopiero na jednej trzeciej wysoko ci zauwa y Harbert. Prawie na jednej trzeciej poprawi go Cyrus Smith i gdy zeszli my ju o jakie sto st d wylotu; by o e, e jeszcze o sto st i ej... Gdzie jest Top? przerwa mu Nab. Rozejrzano si o pieczarze. Psa nie by o. Prawdopodobnie pobieg naprz rzek Pencroff. Chodmy za nim powiedzia Cyrus Smith. Zacz schodzi dalej. In ynier uwa nie notowa w pami wszystkie zakr i pomimo e by o ich du o, zdo a uchwyci g kierunek kana u zmierzaj cego w stron orza. Koloni ci zeszli jeszcze o jakie pi ziesi t st linii pionowej, gdy nagle do ich uszu dobieg y dalekie odg osy, dochodz ce z wn za masywu. Zatrzymali si as uchuj c. Te d wi, biegn ce przez korytarz jak przez tr b k kustychn, dociera y wyra nie do ich uszu. To szczekanie Topa! zawo a Harbert. Tak potwierdzi Pencroff i w dodatku nasz poczciwy pies szczeka z w ciek o ci. Posiadamy przecie okute oszczepy. Miejmy si a baczno ci i naprz zakomenderowa Cyrus Smith. To si taje coraz bardziej interesuj ce szepn reporter do ucha marynarzowi, ten za przytackn mu skinieniem g owy. Cyrus Smith i jego towarzysze pobiegli na pomoc psu. Coraz wyra niej s ycha y o ujadanie Topa. W jego urywanym szczekaniu brzmia a niezwyk a w ciek o. Czy by szamota si jakim zwierz em, kt u zak spok Niepomni gro cego im niebezpiecze a, koloni ci dali si orwa iepohamowanej ciekawo ci. Nie schodzili ju, lecz ze lizgiwali si ie jako wzd u cian, i w kilka chwil dotarli do Topa znajduj cego si sze ziesi t st i ej. Tutaj korytarz przechodzi w obszern i wspania pieczar po kt rzuca si op i w ciek le ujada. Potrz saj c pochodniami, Pencroff i Nab o wietlali wszystkie za omy granitu, Cyrus Smith za, Gedeon Spilett i Harbert stali w pogotowiu z przygotowanymi oszczepami. Olbrzymia pieczara by a pusta. Koloni ci przebiegli j we wszystkich kierunkach. Nie by o w niej nic, ani l adu zwierz a czy jakiej innej yj cej istoty! A jednak Top nie przestawa ujada Ani pieszczot, ani gro b nie mo na go by o zmusi eby zamilk. Musi tu by dzie szczelina, kt wody z jeziora uchodzi y do morza odezwa si n ynier. Rzeczywi cie, uwa ajmy, eby my nie wpadli w jak dziur odrzek Pencroff. Szukaj, Top, szukaj! zawo a Cyrus Smith. Zach ny s owami pana, pies pobieg w sam koniec pieczary i tam zacz szczeka e zdwojon pasj. Wszyscy poszli za nim i tu, w wietle pochodni, ukaza si tw tudni czerniej cy w granicie. T w a nie uchodzi a woda p yn ca uprzednio poprzez masyw skalny; nie by to ju uko ny korytarz, kt mo na by o si osuwa lecz prostopad a studnia, nie nadaj ca si o schodzenia. Otw wietlono pochodniami. Nic nie by o wida Cyrus Smith u ama p on c agiew i rzuci j w przepa P on ca ywica, o zwi zonej p m sile wiat a, o wietli a wn ze studni, ale i to nie pomog o. Pptem p omie as z lekkim sykiem, co wskazywa o na to, e dolecia do powierzchni wody, czyli

do poziomu morza. Inżynier obliczył czas i wyniosł, że gdyby go tylko wydobyć, to wynosiłoby mniej więcej dziewięćdziesiąt stóp. A zatem dno pieczary znajdowało się na wysokości dziewięćdziesiąt stóp powyżej poziomu morza. Oto nasze mieszkanie odezwał się Cyrus Smith. Ale chyba zajmowała je jakaś żywa istota snu przypuszczenia Gedeon Spilett, które ciekawość nie była zaspokojona. Co z tego? Ta istota ziemnowodna czy inna uciekała przez szczelinę i ustąpiła nam miejsca odparł inżynier. A jednak dodał marynarz chciałbym kwadrans temu byłby skąd Topa, gdy na pewno nie szczeka bez powodu. Cyrus Smith patrzył uważnie na psa i gdyby któryś z towarzyszy zbliżył się tym czasie do niego, usłyszałby, jak inżynier mruczy: Tak, myślałem o Top o wielu rzeczach wie znacznie więcej niż my! Tymczasem marzenia kolonistów w dużej mierze zrealizowane. Przyszedł im się przypadek, któremu przyszedła z pomocą niezwykła mądrość kierownika wyprawy. Mieli tu do swojej dyspozycji obszerną pieczarę, lecz wielkości jej nie mogli jeszcze w pełni oszacować, nie wiedząc, jak wspaniałe pochodni. Jedno było pewne: można tu było zrobić cianki z cegieł i podzielić je na pokoje, zyskując w ten sposób, jeśli już nie dom, to przynajmniej rozległe mieszkanie. Wody opuściły je bezpowrotnie. Plac boju był zdobyty. Istniały jednak dwie trudności: po pierwsze, sprawa oświetlenia pieczary wydrążonej w litym bloku skalnym, po drugie, stworzenie łatwiejszego dojścia. Co do oświetlenia, to nie było co myśleć, wybitnie otworu do góry, gdy sklepienie pieczary stanowiła bardzo gruba warstwa granitu; a nawet udało się przebić przednią ciankę zwrócić ku morzu? Cyrus Smith, który w czasie schodzenia obliczył w przybliżeniu kąt pochylenia, a na tej podstawie długość oryżarza, przypuszczał, że przednia cianka nie powinna być zbyt gruba. Gdyby udało się przebić twórczo światła, rozwiązałoby to zarazem dojście, gdy tak samo można przebić drzwi, jak i okno i postawić zewnętrzne drabiny. Cyrus Smith podzielił się towarzyszami swoim pomysłem. Biorąc roboty, panie Cyrusie, zaofiarowałem się Pencroff. Mam przy sobie oskard i spróbuję przebić ciankę. Gdzie wali? Inżynier wskazał silnemu marynarzowi dostrzeżenie w ciance, które powinno być zmniejszonej grubości. Pencroff wziął roboty i przez podziurzył w granit przy świetle pochodni, tak że odłamki fruwały dookoła, a snopy iskier ulatywały w górę. Złuzował go Nab, po nim Gedeon Spilett. Pracowano już od dwugodzin i zachodziła obawa, że w tym miejscu cianka okaże się grubsza niż długość skarda; nagle, przy ostatnim uderzeniu Gedeona Spilett, oskard przebił ciankę i wylot i wypadł na zewnątrz. Hura! Hura! krzyknęli Pencroff. Grubościany wynosił tu zaledwie trzy stopy. Cyrus Smith przyłożył oko do otworu znajdującego się dziewięćdziesiąt stóp nad ziemią. Zobaczył przed sobą skraj wybrzeża, wysepkę w oddali niezmierny ocean. Przez ten dostrzeżenie otwór, gdy skała była już zwiędła, wtargnął snop światła i rozjaśniając wspaniałą pieczarę wywołał wprost magiczny efekt. Po lewej stronie pieczara nie miała więcej niż trzydzieści stóp wysokości, tyle szerokości i około stu stóp długości, natomiast po prawej stronie była olbrzymia, a zaokrąglone sklepienie mierzyło ponad osiemdziesiąt stóp wysokości. W kilku miejscach rozrzucone nieregularnie, granitowe filary podtrzymywały łuki sklepienia, tworząc jakby nawiaty. Sklepienie wsparte na tych filarach to opadało pogodnie, to znosiło się strukami, ginąc w nieoświetlonych przejściach, które kapryśnie wygięte linie niejasno majaczyły w ciemnościach; ozdobione licznymi występami, przypominającymi wiecznie, sklepienie to stanowiło malownicze mieszanie stylów bizantyjskiego, rzymskiego i gotyckiego. A przecie nie było to dzieło rąk ludzkich, lecz tylko twórczość! Ona to wyrwała w masywie granitowym tajemniczą Alhambrę. Kolonicy zamarli z zachwytem. Tam, gdzie spodziewali się znaleźć jaskinie, zastali wspaniałą pałac;

Nab zdy z gowy czapk ak w jakiej wi ty. Z piersi wydar im si krzyk podziwu. Wo ali hura", a echo powtarza o to s owo, stemieraj c stopniowo w mrocznych nawach. Przyjaciele! przem wreszcie Cyrus Smith. Gdy dostatecznie o wietlimy wn ze tej g gdy rozmie cimy w lewej cz ci pieczary pokoje mieszkalne, sk ady i inne pomieszczenia, pozostanie nam jeszcze ta wspania a, rodkowa grota, w kt zrobimy sal auki i muzeum! A jak j nazwiemy? zapyta Harbert. Granitowym Pa acem powiedzia Cyrus Smith, a jego propozycja zosta a przyj ponownymi okrzykami rado ci. Poniewa pochodnie wypali y si rawie doszcz ie, a wraca rzeba by o ciemnym korytarzem a na p asko-wzg , postanowiono od o y r z dzenie nowego mieszkania do nast ego dnia. Przed opuszczeniem pieczary Cyrus Smith jeszcze raz pochyli si ad ciemn studni , biegn c prostopadle do morza. Nas uchiwa uwa nie. Ucho jednak nie pochwyci o absolutnie nic, ani najl ejszego szumu morza, kt przecie nawet na tej g ko ci nie mog o by upe nie spokojne. Wrzuci jeszcze jedn p on c agiew. ciany studni o wietli y si a chwil ale i tym razem, tak jak poprzednio, in ynier nie zobaczy nic podejrzanego. Je eli jakiego potwora morskiego zaskoczy o tu niespodziewane cofanie si to musia on ju dotrze o morza podziemnym korytarzem biegn cym pod wybrze em, to znaczy kana em, kt odp ywa a woda z jeziora, zanim zosta a skierowana na inn drog In ynier trwa nad studni bez s owa, nieruchomy, z wzrokiem wlepionym w otch a a y zamieniony w s uch. Marynarz zbli y si o niego i dotkn r jego ramienia. Panie Cyrusie! O co chodzi, przyjacielu? zapyta in ynier, jakby zbudzony z g kiego snu. Pochodnie niebawem zgas . s No, to w drog Grupka kolonist pu ci a pieczar zacz wspina i iemnym korytarzem. Top, biegn cy z ty u, jako dziwne warcza od czasu do czasu. Podchodzenie by o do rudne. Koloni ci zatrzymali sf a chwil g j grocie, tworzc ej jak gdyby p eze w po owie d ugo ci schod granitowych. Potem poszli dalej. Niebawem odczuli powiew wie ego powietrza. Kropelki wody zd y y wyparowa nie l ni y ju na cianach. Pe gaj ce wiat o pochodni zblad o. Pochodnia Na-ba zgas a i trzeba by o si o pieszy eby nie brn zupenych ciemno ciach. Tak te zrobili i tu przed godzin czwart , w chwili kiedy z kolei zgas a pochodnia marynarza, Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli do otworu w skale.

**ROZDZIA DZIEWI NASTY.** Plan Cyrusa. fasada Granitowego Pa acu. Drabina sznurowa. Marzenie Pencroffa. Aromatyczne zio a. Naturalna kr arnia. Doprowadzenie wody do nowego mieszkania. Widok z okien Granitowego Pa acu. Nazajutrz, 22 maja, rozpocz prace zwi zane z przygotowaniem nowego mieszkania. Kolonistom pilno by o zamieni arne pomieszczenie w Kominach na obszerne i zdrowe mieszkanie, wykute w skale, os oni zar od wody morskiej, jak i od deszczu. Jednak e Komin ie zamierzali ca kowicie porzuci gdy Cyrus Smith postanowi urz dzi nich warsztat do wi zych prac. In ynier chcia przede wszystkim ustali ok adnie, w kt miejscu znajdowa a si asada Granitowego Pa acu. Uda si a wybrze e, przeszed u podn ciany skalnej, a poniewa oskard, kt wylecia z r k reportera, musia spa ionowo, wystarczy o go odnale eby stwierdzi gdzie zosta a wybita dziura w granicie. Znalaz go z atwo ci ; o osiemdziesi t st linii pionowej powy ej miejsca, gdzie oskard zary si piasek wybrze a, widnia przebity otw Przez w sk dziu- r o wchodzi y, to wychodzi y go e skalne, tak jak gdyby Granitowy Pa ac zosta odkryty specjalnie dla nich! In ynier pragn podzieli rostok tn cz pieczary na kilka izb poprzedzonych korytarzem i o wietli e za pomoc okien i drzwi wykutych w fasadzie. Pen-croff zgadza si zupenoci na pi okien, ale nie rozumia , po co s potrzebne drzwi, skoro dawny odp yw tworzy naturalne schody, kt i zawsze bez trudu mo na b ie doj o

Granitowego Pałacu. Przyjacielu wyjaśni mu Smith. Jeżeli dojście podziemnym korytarzem nie przedstawia żadnych trudności dla nas, to będzie ono tak samo łatwe i dla innych. Mam zamiar zawalić wylot, zatkać go szczelnie i nawet, jeżeli zajdzie potrzeba, zamaskować go cakowicie, podnosząc za pomocą tamy poziom wody w jeziorze. No to jak będziemy wchodzić? zapytał marynarz. Po zewnętrznej drabinie wyjaśni Cyrus Smith po drabinie sznurowej, która ma być w każdej chwili sprzyjającą dostatecznie do naszego mieszkania. Ale po co taka ostrożność zdziwił się marynarz. Dotychczas jako zwierzę nie wyglądały zbyt groźnie. A co do ludzi, to na wyspie ich nie ma. Czy pan jest tego zupełnie pewny, Pencroff? zapytał inżynier patrząc marynarzowi prosto w oczy. No tak, oczywiście, nie ma cakowitej pewności, dopiero zbadamy dokładnie całą wyspę odpowiedział Pencroff. Właśnie cięgnąc dalej Cyrus Smith a myśmy poznali dopiero niewielki jej skrawek. W każdym razie nawet jeżeli nie mamy wroga, na miejscu, to mogą oni nadciągnąć zewnątrz, gdy znajdujemy się niepewnej części Pacyfiku. Zabezpieczmy się więc lepiej na wszelki wypadek. Cyrus Smith mądrze, toteż Pencroff już bez sprzeciwu był gotów wykonać jego rozkaz. Fasada Granitowego Pałacu miała zatem otrzymać i pięć okien oświetlających właściwie "mieszkanie", wspaniałą za nawą, przeznaczoną na salon, miała otrzymać wiatro przez wybitcie szerokiego otworu i świetlik. Fasada, wznosząca się wysoko osiemdziesiąt stóp ziemi, zwracała się na wschód zawsze witała jej pierwsze promienie słońca. Znajdowała się ścianie granitowej, zakończonej z jednej strony występem zwisającym nad ujściem Rzeki Dzielnienia, z drugiej linii biegnącej pionowo od żółtych tworzących Kominy. W ten sposób wiatry północno-wschodnie wiały na nią z boku, gdy była osłonięta występem. Zresztą, zanim powstaną futryny, inżynier miał zamiar zabezpieczyć twory grubymi, nie przepuszczającymi ani wiatru, ani deszczu okiennicami, które ma być w razie potrzeby zamaskować. Pierwszą pracą było przebitcie otworów. Kucie twardej skały oskardem zajęłoby zbyt wiele czasu, a Cyrus Smith, jak już wiemy, lubił środki radykalne. Pozostało mu jeszcze trochę nitrogliceryny, które bardzo się do tego celu przydała. Substancję wybuchową umieszczono jak należy i granit został wysadzony dokładnie w tych miejscach, które wybrał inżynier. Następnie za pomocą oskardów kilofadano ostrożkowe kształty pięciu oknom, wykonał szeroki niszczący świetlik i drzwi, z grubszymi wyciosano ramy o dozwolonym profilem i już w kilka dni od chwili rozpoczęcia pracy Granitowy Pałac był rzeźbiony oświetlony promieniami wschodzącego słońca docierającymi do najdalszych zakamarków pieczary. Według planu Cyrusa Smitha jaskinia miała być podzielona na pięć pomieszczeń widokiem na morze: na prawo przedpokój drzwiami, do których miała prowadzić rabina, potem pierwsza izba kuchnia szerokości trzydziestu stóp jadalnia na czterdzieści stóp sypialnia o tej samej szerokości i wreszcie, na wyraźne rozdanie Pencroffa, pokój przyjaciół przylegający do dużej sali. Te pokoje, a właściwie ten szereg pokoi, tworzący "apartament" w Granitowym Pałacu, nie zajmowała całej głębokości pieczary. Był tam jeszcze korytarz łączący pokoje oraz duży magazyn, gdzie swobodnie mieściły się narzędzia i wszelkie zapasy. Wszystkie uzbierane na wyspie rezerwy żywnościowe, zarówno roślinne, jak i zwierzęce, mogły leżeć w doskonałych warunkach, cakowicie zabezpieczone przed wilgocią. Przestrzeni było do każdej przedmiotowi swoje osobne miejsce. Ponadto koloniści mieli do dyspozycji jeszcze mały grot znajdujący się w dużej pieczary, która miała służyć nowemu mieszkaniu rodziny. Plan został zaakceptowany i pozostawało już tylko wprowadzić go w życie. Minierzy przedzierzgnęli się w murarzy; przeniesiono cegły i ułożono je u stóp granitowego Pałacu. Dotychczas dostatecznie do pieczary

istnia tylko od strony dawnego ujścia wody. To zmusza do wspinania się a Paskowzga Rozległego Widoku, nadkądania drogi wzdłuż brzegu rzeki, następnie do mozolnego przejścia dwustu stóp dorytarzem; w drodze powrotnej trzeba było znęcać się przez trasę Powodowa to strata czasu i duże trudności. Dlatego Cyrus Smith postanowił niezwłocznie przystąpić do zrobienia mocnej drabiny sznurowej; usuniętej tej drabiny odcina do dostępu do Granitowego Pałacu. Drabinę wykonano niespiesznie starannie. Sznurowy spleciony z wici kurczy za pomocą motewki były mocne jak grube liny. Szczeble Pencroff wystrugał po mistrzowsku z lekkich i mocnych gałązek czerwonego cedru. Poza tym zrobiono także długie sznurowy z wici roślinnych, a przy drzwiach zamocowano co w rodzaju prymitywnego kołowrotu. Za pomocą tego urządzenia można było z łatwością podnosić je do poziomu Granitowego Pałacu. Transport materiału pozostał w ten sposób bardzo uproszczony i można było natychmiast przystąpić do urządzenia mieszkania. Wapna nie brakowało i kilka tysięcy cegieł już czekało w pogotowiu. Bez trudu postawiono szkielet przepierzenia, bardzo prymitywny zresztą, i w krótkim czasie "apartament" został podzielony na pokoje i magazyny zgodnie z planem. Praca szła bardzo szybko pod kierunkiem inżyniera; sam on zresztą nie posiadał siły i kielni. Żaden rodzaj rzemiosła nie był obcy temu człowiekowi, którego widać przykładał swoim zdolnym i pilnym towarzyszom. Pracowano z zapałem i na wesoło, gdyż Pencroff zawsze umiał wszystkich rozśmieszyć na przemian ciekawymi powrotnikami, murarzem, a jego dobry humor udzielał się całej grupce. Jego zaufanie do inżyniera było bezgraniczne. Nic nie było w stanie go zachwiać. Wierzył, że inżynier może się dorwać do wszystkiego i że wszystko mu się uda. Sprawa ubrania i obuwia nie niewątpliwie ważna, sprawa oświetlenia Granitowego Pałacu w czasie długich wieczorów zimowych, wyzyskanie różnych części wyspy, przeobrażenie dzikiej flory w roślinność uprawną, wszystko to przy pomocy Cyrusa Smitha wydawało się łatwe i Pencroff wierzył, że wszystko będzie zrobione we właściwym czasie. Marzył o sławnych rzekach umożliwiających transport bogactw naturalnych wyspy, o eksploatacji kamieniołomów kopalni maszyn przemysłowych wszelkiego typu, o kolejach, tak, o kolejach, które się pewno z czasem pokryje Wyspą Lincolną. Inżynier pozwalał mu rozprawiać nie gasząc przesadnych pomysłów oczciwca. Wiedząc, jak łatwo jego zaufanie udziela się innym, umiemiał się i nawet, gdy marynarz zaczynał fantazjować. Sam nie zwierzał się nikomu ze swoich obaw co do przyszłości. A przecie jego przypuszczenia, że z tego zakątka Pacyfiku nikt ich nigdy nie zabierze, nie były pozbawione podstaw. Mogli zatem liczyć na siebie, i tylko na siebie, gdyż odległość wyspy Lincolną od najbliższego lądu była tak wielka, że zaryzykowanie przebycia jej stateczkiem nader słabej konstrukcji było sprawą bardzo ciężką i bardzo niebezpieczną. A jednak twierdził Pencroff że przewyższamy o całe niebo dawnych Robinsonów dla których każda rzecz, jak zrobili, była cudem. Miała rację, gdyż nasi rozbitkowie "wiedzieli", a człowiek, którego "nie wiedzą", muszą nie wegetować wreszcie ginąć. Harbert bardzo wyręczał się pracy. Był inteligentny i czynny, chwycił wszystko w lot i dobrze to wykonywał. Cyrus Smith coraz bardziej przywyżywał się do tego miłego chłopca. Harbert żywił dla inżyniera serdeczne i pełne szacunku uczucie. Pencroff dobrze widział ni sympatii, jaka zadzierzgnęła się między tymi dwoma, ale nie był o to wcale zazdrosny. Nabój to był Nab. Był takim, jakim miała pozostać kołyską uosobieniem odwagi, zapału, wierno-

ści i samozaparciu. Miała do swego pana zaufanie jak Pencroff, tylko że okazywała je w

sposób niej hałaśliwy. Gdy marynarz wpadał w zachwyt, "wyraz twarzy Naba zdawał się: "Przecież to jest zupełnie naturalne". Bardzo polubili się Pencroffem i niebawem zaczęli sobie po imieniu. Gedeon Spilett, wykonując przypadkiem na niego część pracy wcale nie okazywał mniej zręczności od innych, co wprawiało w podziw marynarza. Dziennikarz, który potrafi nie tylko wszystko zrozumieć, ale także wykonać każde prace. Drabina została ostatecznie założona 28 maja. Na długości osiemdziesięciu stopy przeszło sto szczebli. Na szczycie Cyrus Smith zdołał podzielić na dwie części, wyciskując występek skalny, sterujący na wysokości czterdziestu stóp nad ziemią. Występek starannie wyrównano oskardem; utworzył on coś w rodzaju podestu, do którego przymocowano pierwszą drabinę, co zmniejszyło chwiejność, ponieważ można było za pomocą sznura podciągnąć Granitowego Pałacu. Drugą drabinę przymocowano za koniec, spoczywającą na występie, oraz przy drzwiach. W ten sposób chodzenie stało się znacznie łatwiejsze. Zresztą Cyrus Smith zamierzał z czasem zainstalować windę hydrauliczną, która zaoszczędziłaby mieszkańcom Granitowego Pałacu czasu i staty czasu. Kolonijscy szybko nauczyli się obsługiwać drabinę. Byli zwinni i zręczni, a Pencroff, jako marynarz przyzwyczajony do wspinania po wantach, udzielał im lekcji. Musiał nauczyć tej sztuki także i Topa. Biedne zwierzęe swoimi czterema łapami nie były stworzone do takiej akrobacji. Pencroff jednak był takim zapalonym pedagogiem, że Top wreszcie opanował sztukę wspinania i wspinał się o drabinie tak, jak to robi jego bracia w cyrkach. Marynarz był dumny jak paw ze swego ucznia. Ale czego zdarzało się "brak psa na barana", na co zresztą Top nie uskarżał się najmiej. W trakcie tych robót prowadzonych w szybkim tempie ze względu na zbliżającą się jesienią, nie zapomniano też o sprawie żywności. Reporter i Harbert, którzy stali się ostawcami kolonii, spędzali codziennie po parę godzin na polowaniu. Dotychczas ograniczali się do Lasu Złotki, na lewym brzegu rzeki, gdy z powodu braku i mostu, i podzielić dotąd nie udało się przedostać na drugi brzeg Rzeki Dzielnienia. Cały wielki obszar leśny, nazwany Lasami Dalekiego Zachodu, pozostał nie zbadany. Ta wyprawa odbyła się do pierwszych dni wiosny. Ale i w Lesie Złotki nie brakowało zwierzęcy: kangur, dzik, wiewiórki i strzały myśliwych dokazywały eud. W dodatku Harbert odkrył koło południowo-zachodniego rogu jeziora naturalny kręgiem wilgotny i czarna porożni wierzbin i aromatycznymi ziołami, których zapach rozchodził się około; był tam tymianek, macierzanka, bazylija, i wonne gatunki z rodziny wargowych, słowem to, co kręgiem szczególnie lubi. Reporter zwrócił uwagę na to, że wobec tak zastawionego dla kręgiem to by oby dziwne, gdyby ich tu nie było; obaj myśliwi zaczęli uważnie oglądać czarna Rosę na niej moc pożytecznych roślin i przyrodnik umiałby rozpoznać wiele ciekawych okazów. Harbert nazbierał sporo bazylii, rozmarynu, melisy i innych roślin o różnych właściwościach leczniczych: jedne z nich były to zioła na pęca, inne odciążające ropnie, jeszcze przeciwgorączkowe, przeciwskurczowe i przeciwreumatyczne. Gdy Pencroff zapytał, do czego mają służyć wszystkie te zioła, chłopiec odpowiedział: "Będziemy się eczyć wypadku choroby. Dlaczego mamy chorować skoro na wyspie nie ma lekarza?" powaźnie zapytał Pencroff. Na to już nie było odpowiedzi, niemniej jednak chłopiec dalej zbierał zioła, co spotkało się z uznaniem mieszkańca Granitowego Pałacu. Niezależnie od ziołeczniczych Harbert nazbierał jeszcze duży ilość odwłaj monardy, znanej w Ameryce Północnej pod nazwą "herbaty Oswega", z której można przyrządzić doskonały napój. Wreszcie, szukając uważnie, pewnego dnia natrafili na prawdziwy kręgiem Ziemia była tu cała w dziurach jak durszłak. "Nory!" zawołał Harbert. "Tak, masz rację zgodził się reporter. Czy one są zamieszkałe? To jest właściwe pytanie! Ale pytanie to zostało niebawem

rozstrzygnię: w kilka chwil pęej setki zwierzętek podobnych do kręzierchów w r strony, i to z tak szybkości, że nawet Top nie zdołałby ich dogonić. Na nic się zdało uganianie za nimi myśliwych i psa, gryzoniemykały im przed nosa. Jednak reporter zawziął się, że nie odejdzie od tego miejsca, dopóki nie zapapie choć pęuzina zwierzętek. Chciał na razie zaopatrzyć piarnia innym razem na apa-roch-rów hodowli. Do tego celu mogły posłużyć idła, zastawione przy wejściu do nor. Ale w tej chwili nie mieli przy sobie side i nie mogli ich na oczekaniu zrobić. Musieli więc chcąc nie chcąc, schylić się przy norach i grzebać nich patykiem; cierpliwie usiada im chwilowo zastąpić lepszy sposób. Wreszcie po godzinnych poszukiwaniach wywlekli z nor cztery gryzoniemy. Były to kręi bardzo podobne do swoich europejskich braci, znane pod nazwą "kręa amerykańego". Zdobyć przenieśli do Granitowego Paacu i wszyscy raczyli się na kolację. Kręi były istotnie nie do pogardzenia, smakowały wybornie. Kręarnia stanowiła dla kolonii prawdziwą skarbnicę, w dodatku wydawała się niewyczerpana. 31 maja ukończono stawianie przepierzeozostały do zrobienia już tylko meble; na robotę przeznaczono długie zimowe wieczory. W pierwszym pomieszczeniu, służącym za kuchnię postawiono komin. Do kłopotu sprawiło naszym domorosłym zdunom zrobienie przewodu do wyprowadzenia dymu na zewnątrz. Cy-rus Smith doszedł do wniosku, że najprościej będzie zrobić rurę kamionki; ponieważ wyprowadzenie jej do gęby było niemożliwe, wykuto w tej kuchni otwór od oknem i przeciwnie do kierunku rurki komina, tak jak od żelaznego piecyka. Zachodziła wprawdzie uzasadniona obawa, że w czasie silnego wiatru wschodniego, więcejcego wprost na fasadę komin będzie dymił, ale na szczęście wiatry z tego kierunku były rzadkie; zresztą kuchmistrz Nab nie był specjalnie wrażliwy na dym. Gdy urządzenie wnętrza mieszkania zostało zakończone, inżynier zajęł się awaleniem dawnego wylotu podziemnego korytarza, by zamknąć ostrożnie z tej strony. Do otworu przycięgnię całe złoże granitu i zacementowano je. Inżynier nie wykonał dotychczas swojego projektu zatopienia otworu przez podniesienie wody w jeziorze do pierwotnego poziomu. Na razie dla zamaskowania tego miejsca w szparach pomiędzy gęzami zasadził trawy drzewka i krzaki, które na wiosnę winny bujnie się rozkrzewić. Dawne dookoło inżynier wyzyskał na doprowadzenie do nowego mieszkania strumienia spodniej wody z jeziora. Maleńki rowek odpływowy, wykopany poniżej poziomu jeziora, spełnił całkowicie to zadanie; ilość wody, płynącej z czystego i niewyczerpanego źródła, wynosiła dwadzieścia pięć do trzydziestu galonów na dobę. A zatem wody nie powinno nigdy zabraknąć. Granitowym Paacu. Wreszcie prace dobiegły końca. Czas najwyższy, gdy pora deszczowa była za pasem. Na razie, dopóki inżynier nie wyprodukował jeszcze szkła okiennego, okna Granitowego Paacu zostały zabezpieczone mocnymi okiennicami. Gedeon Spilett z wielkim artyzmem rozmieścił na występach skalnych dookoła okien różnorodne rośliny i długie, jedwabiste trawy: w ten sposób kłona były malowniczo obramowane zielenią, co wyglądało wprost uroczo. Mieszkańcy solidnego, zdrowego i bezpiecznego mieszkania mogli być naprawdę umni ze swojej pracy. Dziś oknom ich wzrok mógł swobodnie się skierować do widnokrę, które obydwa Przyłdki Szczę zamykały od północy, a Przyłdek Pazura od południa. Przed nimi rozpościerała się cała jej swobodna Zatoka Unii. Tak, dzielni kolonicy mieli słuszne powody do zadowolenia, a Pencroff nie skąpił pochwał apartamentowi na piętym piętrze nad antresolą, jak jakartobliwie nazywała nową siedzibę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Pora deszczowa. Sprawa ubrania. Polowanie na fokę. Fabrykacja węgla. Prace wewnętrzne w Granitowym Paacu. Dwa mostki. Wyprawa po ostrygi. Co Harbert znalazł w kieszeni. Zima przyszła na dobre w czerwcu, która odpowiada grudniowi na półkuli północnej. Rozpoczął się szereg przemian deszczowych w wichury. Mieszkańcy Granitowego



Pałacu mogli teraz ocenić podatnie strony mieszkania tak dobrze chroniącego przed słońcem. W Kominach na pewno odczuli by dotkliwie surowośćimy, a poza tym istniała jeszcze obawa, że przypływy, pchane wiatrem od morza, mogłyby wtargnąć do samego pomieszczenia. W przewidywaniu tej możliwości Cyrus Smith nawet trochę zabezpieczył, a żeby, o ile się da, uchronić przed zniszczeniem zainstalowaną tam kuchenkę piec. Przez cały czerwiec koloniści wykonywali różne prace, nie wyjąwszy polowania i łowienia ryb, tak że zapasy w spiżarni były wciśnięte uzupełniane. Pencroff obiecał zrobić wolnej chwili pułapki, po których spodziewał się wiele. Z wędrownych drzewnych zmajstrował sidła i nie było dnia, żeby kłownia nie dostarczała swego kontyngentu. Nab był prawie cały czas zajęty soleniem i wędzeniem mięsa, gromadząc obfite zapasy. Sprawa ubrania stała się przedmiotem bardzo poważnych dyskusji. Koloniści nie mieli ubrań za tymi, w których balon wyrzucił ich na wyspę. Ubrania były ciepłe i mocne; każdy dbał o nie jak najbardziej; cała odzież była utrzymana w stanie pedantycznej czystości, mimo to należało się spodziewać niedługo odmrożeń. W dodatku, gdyby wypadła ostra zima, chłody dałyby się olonistom porządnie we znaki. Tutaj zawiodła pomysłowośćyrysa Smitha. Musiał on myśleć o sprawach najpilniejszych, urządził mieszkanie, zapewnił wygodę, toteż mógł się darzyć mrozy nadeszłyby przed rozwinięciem sprawy odzieży. Trzeba było zatem zacisnąć i starać się o pierwsze zimę bez zbytniego narzekania. Gdy nadejdzie lato, wczas zapoluje się muflony, które zauważono w czasie wyprawy na Gó Franklina, a gdy zbiera się owoce, inżynier da już sobie radę wyrobem ciepłych i mocnych tkanin... W jaki sposób o tym dopiero pomyśli. Cóż najwyżej będziemy sobie przypiekali rydki w Granitowym Pałacu pociesza Pencroff. Opa jest pod dostatkiem i nie ma żadnego powodu, aby go oszczędzać. Zresztą odezwa się Spilett. Wyspa Lincolna nie leży zbyt daleko na południe i dlatego zimy nie są tu prawdopodobnie za surowe. Czy nie mamy nam pan, Cyrusie, że trzydziesty piąty reżerownik odpowiada mniej więcej szerokości geograficznej Hiszpanii na naszej planie? Niewątpliwie odpowiedział inżynier, ale i w Hiszpanii zdarzają się bardzo ostre zimy! Nie braknie tam wczas śniegu ani lodu; Wyspa Lincolna może być tak samo na to narażona. Jednakże jest wyspa i dlatego temperatura będzie na pewno wyższa. A to dlaczego, panie Cyrusie? zapytał Harbert. Dlatego, że morze należy uważać za olbrzymi zbiornik, który magazynuje ciepło w okresie letnim, a w zimie oddaje je z powrotem, co zapewnia okolicom nadmorskim bardziej umiarkowaną temperaturę niższą w lecie, ale wyższą w zimie. Jako to będzie wtrącił Pencroff. Nie mam ochoty przejmować się teraz, czy będzie zimno, czy ciepło. Jedno natomiast jest pewne: dni są już krótkie, a wieczory długie. Może będziemy się zastanowili nad sprawą oświetlenia. Nic łatwiejszego mruknął Cyrus Smith. Zastanowił się zapytał marynarz. Nie, rozwiązać sprawę. A kiedy się o tego zabierzemy? Jutro, rozpoczynając od polowania na fokę. Żeby zrobić? Kto to sędzi, Pencroff! Wiece! Taki był istotnie projekt inżyniera, i to projekt wykonalny; inżynier miał już wapno i kwas siarkowy, fokę zaś z wysepki mógł dostarczyć uszczu potrzebnego do fabrykacji więc. Nadszedł 4 czerwca. Była to niedziela Zielonych świętek i za zgodą postanowiono w tym dniu wzywając Przerwano pracę modlitwy wyspiarzy uniosły się do niebu. Ale teraz był to aktem dziwnym. Koloniści z Wyspy Lincolna już nie byli nędznymi rozbitkami, rzuconymi na nieznaną wysepkę. Nie prosili już o nic, jedynie wyrażali swą wdzięczność. Nazajutrz, 5 czerwca, w dość niepewnej pogodzie wyruszyli na wysepkę. Trzeba było skorzystać z odpływu, żeby przejść przez kanał w brzozy przy tej okazji koloniści postanowili, że zbudują jakkolwiek jakąś kłownię, która ułatwi im poruszanie się po wodzie, a także pozwoli popłynąć góra Rzeki

Dzielnictwo w czasie wielkiej wyprawy na południowy zachód odkądali do, pierwszych dni wiosny. Fok był młody i myśliwi, uzbrojeni w okute oszczepy, bez trudu ubili ich z pazurami. Nab z Pencroffem obłąkali je ze skądą do Granitowego Pałacu przynieśli tylko tłuszcz i skądą zamierzali zrobić niej mocne obuwie. Plonem polowania było około trzystu funtów tłuszczu, którym by cała ci zażyty na wiece. Fabrykacja ich była zupełnie prosta i jeżeli nawet wyroby nie były doskonałe, to w każdym razie nadawały się do użytku. Gdyby Cyrus Smith miał do dyspozycji tylko kwas siarkowy, wówczas, podgrzewając ten kwas z obojętnym tłuszczem na przykład z tłuszczem fok mógłby wyciągnąć glicerynę a potem już bez trudu, jedynie przy użyciu gorącej wody, oddzieliłby olej od margaryny i stearyny. Jednak dla uproszczenia operacji wolał użyć zmydliacza za pomocą wapna. Otrzymał w ten sposób dwa wapienne, łatwe do rozpuszczenia przez kwas siarkowy, które strącają wapno w postaci siarczanu i uwalniają kwasy tłuszczowe. Z otrzymanych trzech kwasów oleinowego, margarynowego i stearynowego pierwszy, biały ciecz, został z łatwością oddzielony przez odpowiednio mocne wyciskanie, dwa pozostałe zaś stanowiły w całości substancję z którą miałam siórmowa wiece. Cały ten zabieg trwało zaledwie jeden dzień. Po kilku wstępnych próbach udało się zrobić knoty z włókien roślinnych; po zatopieniu ich w podgrzanej substancji otrzymano prawdziwe wiece stearynowe, uformowane ręcznie; brakowało im jedynie wybielenia i wypolerowania. Oczywiście knoty te nie miały takich zalet jak knoty przesycone kwasem bornym, które roztopiają się przy ogrzaniu i wreszcie spalają całkowicie; ale ponieważ Cyrus Smith majstrował parę liczących szczypek do obcinania knotów wszyscy bardzo sobie chwalili wiece podczas długich wieczorów spędzonych w Granitowym Pałacu. Przez cały miesiąc nie można było narzekać na brak pracy domowej. Ciężko mieli pełne ręce roboty. Udoskonalono posiadany prymitywny narzędzia i sporządzono nowe. Między innymi udało się zrobić ołówek i kolonijci mogli wreszcie poobcinać sobie włosy; wprawdzie nie mieli czym się oliwić ale za to mogli już podstrzygać głowy, jak tylko chcieli. Harbert nie miał wcale zarostu, Nab i Saby, ale reszta kompanii obrosła tak, że na zrobienie nożyczek było już naprawdę najwygodniejszy czas. Z wielkim mozołem wykonano maty, ręczniki i teraz wreszcie można było pracować w pocie czoła, napięto i roześmieszek. Zrobiono więc do pokojów, krzesła, szafy oraz ramy łóżek, na których położono materace z trawy morskiej. Kuchnia z piecem, gdzie stały naczynia z wypalanej gliny, z paleniskiem z cegieł i z kamienną podłogą, którą można było szorować robiła bardzo dobre wrażenie, a Nab uważał w niej z taką powagą, jak gdyby to było co najmniej laboratorium chemiczne. Niebawem jednak stolarzy musieli zastąpić powrotem ciężko. Nowy odpływ wody z jeziora, uzyskany przez rozsądzenie skały, stworzył konieczność zrobienia dwóch mostków: jednego na Paskowzgł i Rozległego Widoku, drugiego na samym wybrzeżu. Teraz bowiem Paskowzgł i wybrzeże były przecięte poprzecznie strumieniem wody, które trzeba było przebywać dając się na płaską wyspę. Aby go ominąć kolonijci musieliby zbaczać drogi i obchodzić od zachodu daleko poza brzoń Czerwonego Potoku. Najprostszym wyjściem było przerzucenie na Paskowzgł i na wybrzeże mostków: jednego dwudziestu do dwudziestu piątu stąd cała materia ciesielska mogła stanowić kilka drzew okorowanych z grubszą siekierą. Zajęło to parę dni pracy. Nab i Pencroff od razu skorzystali z mostków by pójść do ławicy ostryg, odkrytej na wprost wydm. Ciężko za sobą coś w rodzaju prymitywnego wozu, zastępującego dawne, bardzo niewygodne nosze. Przynieśli parę tysięcy ostryg, które szybko zaaklimatyzowały się w rękawie tworzących jak gdyby naturalne parki przy ujściu Rzeki Dzielnictwa. Ostrygi były wspaniałe i kolonijci zająłymi siłami prawie codziennie. Jak widzimy, Wyspa Lincoln, pomimo że mieszkała zbadali ją w całej

czci, zaspokajała prawie wszystkie ich potrzeby życiowe. A przecie istniała możliwość po zbadaniu nieznanych zakłaskajdujących się zalesionym obszarze pomiędzy Rzeką Dziżynienia a Cyplem Płaza, roztoczy ona przed wyspiarzami nowe skarby. Jednego produktu kolonijcy Wyspy Lincoln byli całkowiec pozbawieni. Nie brakło im pożywienia bogatego w białko ani produktolinnych łagodzących nadmiar azotu; drzewiaste korzenie smokowca, poddane fermentacji, dawały kwaskowy napój rodzaju piwa, smacniejszy od wody; udało im się nawet wyprodukowaćukier, bez trzciny cukrowej czy buraków zbierali po prostu sok wydzielany przez "acer saccharum", rodzaj ' klonu rosnącego we wszystkich strefach umiarkowanych, które na wyspie było pod dostatkiem; parzyli herbatę przyjemnym smaku z zięzbieranych w królikami; mieli wreszcie słwaony produkt mineralny wchodzący w skład pożywienia... ale brakowało im chleba. (Kiedyś może zdołają zastąpićhleb jakimś zblionym produktem z młki sagowca lub młczki drzewa chlebowego; może te cenne drzewa rosną w lasach południowej części wyspy, ale dotychczas kolonijcy nie natrafili na nie. Tym razem, choć stopniu nieskończone małym, przyszedła im z pomocą Opatrznośćnawet Cyrus Smith przy całej swojej młdrości i pomysłowości nie mógł stworzyćego, co pewnego dnia Harbert znalazł w podszewce kurtki, którą właśnie reperował. Tego dnia padał ulewny deszcz; kolonijcy siedzieli w dużej sali Granitowego Pałacu, gdy nagle usłyszeli okrzyk Harberta: "Niemożliwe! Panie Cyrusie, ziarnko zboża! I pokażę towarzyszom ziarnko, jedno jedyne ziarnko, które z dziurawej kieszeni wypadło pod podszewkęurtki. W Richmondzie Harbert otrzymał w prezencie od Pencroffa paręoóó grzywaczy, którekarmił zbożem i stąd w kieszeni znalazło sięziarnko. "Ziarnko zboża? " zapytał z ożywieniem inżynier. " Tak, proszępana, ale tylko jedno, jedno jedyne. " Jest się czego cieszyć roześmiał się Pencroff. " Co będziemy robić tym ziarnkiem? " Zrobimy chleb! " powiedział Cyrus Smith. " Chleb, ciastka, torty! " droczył sięmarynarz. " Bez przesady! Niebawem będziemy z przejedzenia sięhlebem upieczonym z tego ziarnka. Harbert, nie przywiózłuc wielkiej wagi do swego odkrycia, miał już zamiar wyrzucićziarnko, ale Cyrus Smith wziął je do ręki, obejrzał i stwierdziwszy, że jest nienaruszone, zapytał spokojnie, patrząc w twarz marynarzowi: " Czy pan wie, ile kłosów wyrosną z jednego ziarnka? " Myślę jeden " odparł marynarz, zaskoczony pytaniem. " Właśnie, że dziesięć A wie pan, ile ziarek jest w kłosie? " Prawdęc, nie wiem. " Przecież osiemdziesiąt. Otęjeeli rzucimy to ziarnko do ziemi, pierwszy plon da nam osiemset ziaren, drugi sześćt czterdzięci tysięcy, trzeci pięć dwanaście milionów a czwarty ponad czterysta miliardziaren. Towarzysze inżyniera śuchali jego śmilczeniu, zdumieni tymi cyframi, któreprzecież były prawdziwe. " Tak, przyjaciele " cięgnę dalej inżynier. " Tak wygląda postę arytmetyczny plon przyrody. A czymże jest to rozmnażanie sięjednego ziarnka zboża, które kłosa mają osiemset ziaren, wobec maków, zawierających trzydzięci dwa tysięce ziaren, czy tytoniu, dającego trzysta sześćdziesiąt tysięcy? W ciągu kilku lat te rośliny opanowałyby całą kulęiemską, gdyby nie liczne powody ograniczające ich pęodność. Ale inżynier nie zakończył jeszcze małego egzaminu. " A czy pan wie, Pencroff, ile będzie korców tych czterystu miliardziarek? " Nie, wiem tylko, że jestem tuman! " Otętanowi to trzy miliony korcówlicząc sto trzydzięci tysięcy ziaren na korzec. " Trzy miliony! " zdumiał sięencroff. " Trzy miliony. " W cztery lata? " W cztery lata " potwierdził Cyrus Smith " a może nawet w dwa, gdyby myśleć w tej szerokości możemy otrzymaćwa zbiory rocznie. Swoim zwyczajem Pencroff odpowiedział na te wywody donośnym okrzykiem radości. " Jak widzisz, Harbercie, znalazłem co, co ma dla nas niesłychanie warto. Pamińcie, przyjaciele, że w naszych warunkach wszystko może

się przyda. Bardzo proszę nie zapominać o tym. Nie zapomniemy, panie Cyrusie \* -  
powiedzia Pencroff i jeżeli kiedykolwiek znajdziemy tytoniu, z którego rodzi się d raz trzysta  
sześćdziesiąt tysięcy, to może pan być zupełnie pewny, że go nie wyrzucę. A wiecie, co mamy  
teraz do zrobienia? Musimy zasadzić ziarno odpowiedział Harbert. Tak doda Spilett i to ze  
wszystkimi należnymi honorami, gdy nosi ono w sobie zarodek przyszłych  
naszych zbiorów. Żeby tylko zakiełkowało! zawoła marynarz. Zakiełkuje  
zapewni go Cyrus Smith. Było to 20 czerwca, a w chwili odpowiedniej do zasiania  
jedynego, bezcennego ziarnka zboża. Z początku zastanawiano się czy nie wsadzić do doniczki.  
Ale po namyśle postanowiono obdarzyć i zym zaufaniem przyrodę powierzyć ziarno ziemi.  
Zrobiono to tego samego dnia i jak można łatwo się omylić z zachowaniem wszelkich  
rodzajów ostrożności, żeby tylko operacja się udała. Gdy trochę przereżaliśmy, kolonicy  
wspięli się ponad Granitowy Pałac. Tutaj, na paskowizg, wynaleźli miejsce osłonięte od  
wiatru i wystawione na działanie południowych promieni słońca. Gleba została oczyszczona,  
starannie opielona, a nawet przetrząsnęli, żeby usunąć wady czy robaki; na wierzchu naniesiono  
dobry warstwę ziemi zaprawioną odrobiną wapna; miejsce ogrodzono, a następnie wetknięte  
ziarno w wilgotną glebę. Wyglądało to tak, jak gdyby kolonicy kładli kamień gielny pod  
jakiś gmach. Pencroffowi przypomniał sobie kiedyś zapalać jedyną zapalniczkę  
pieczonego jak to czyni. Tym razem sprawa była poważniejsza. Istotnie,  
rozbitkowie w którąkolwiek w ten czy inny sposób dobyliby ogień, żadna siła ludzka nie odtworzy  
ziarnka zboża, gdyby nieszczęśliwym trafem miało zmarnieć. ROZDZIAŁ DWUDZIESTY  
PIERWSZY. Kilka stopni poniżej zera. Badania południowo-wschodniej bagnistej części wyspy.  
Lisy. Widok morza. Rozmowa o przyszłości Pacyfiku. Nieustająca praca  
wymoczk. Przyszłości ziemskiej. Polowanie. Bagno Podgorza. Do tej chwili nie było  
dnia, żeby Pencroff nie szedł oglądać miejsca, które z całą powagą nazywa "polem". Biada  
owadom, które się tam zapuszczają! Nie mogą liczyć na miłosierdzie. Pod koniec czerwca, po  
długotrwałych deszczach, nastąpiło wyraźne oziębienie i 29 czerwca termometr Fahrenheita  
niewzmiętnie wskazywałby dwadzieścia stopni poniżej zera (około sześćdziesięciu stopni Celsjusza  
poniżej zera). 30 czerwca, które odpowiada 31 grudnia na półkuli północnej, wypadł piątek. Nab  
zauważył, że rok kończy się tym dniem, na co Pencroff zaraz znalazł odpowiedź, że za to  
nowy rok rozpoczyna się obrym dniem i a to ma wielkie znaczenie. W każdym razie rok  
rozpoczyna się od silnego mrozu. W ujściu Rzeki Dzielnienia zebrała się śniega, a wkrótce całe  
jezioro pokryło się lodem. Trzeba było parazy uzupełnienia opału. Pencroff spieszył  
się przetransportowaniem do właściwego miejsca wielkich tratw drzewa, zanim rzeka  
zamarznie. Przed wyjściem niesłabnącym się napawał, toteż korzystano z niego przy  
spawianiu drzewa aż do chwili, gdy mrozy skrzyżowały rzekę. Do tego opału, tak obficie  
dostarczanego przez lasy, dodano także parę w wata, po której trzeba było chodzić do  
podnóżka Franklina. Wielką siłą ciepłą wata można było w pełni ocenić kiedy 4 lipca  
temperatura spadła do trzynastu stopni poniżej zera. W jadalni postawiono drugi kominek i  
pracowano tam razem. Podczas mrozu Cyrus Smith mógłby być prawdziwym z pomysłu  
doprowadzenia do Granitowego Pałacu strumienia wody z Jeziora Granta. Woda ujęta poniżej  
zamarzniętej powierzchni, a następnie doprowadzona dawnym kanałem, utrzymywała się w stanie  
ciekłym i doprowadzała do wewnętrznego zbiornika, wykutego w rogu magazynu; nadmiar jej  
uchodził do studni do morza. W tym czasie, korzystając z dobrej pogody, kolonicy, ubrani  
możliwie jak najcieplej, postanowili poświęcić zbadanie terenów położonych na  
południowym wschodzie pomiędzy Rzeką Dzielnienia a Przylądkiem Pazura. Było to

rozległy, bagnisty obszar, stanowiący na pewno dobry teren myśliwski, gdyby musiano się tam roić o ptactwa wodnego. Trzeba było przebyć jedną stroną do dziwiłku mil i tyle samo z powrotem, a więc wyprawa musiała zająć trzy dni. Ponieważ chodziło o zbadanie nieznanej dotychczas części wyspy, w wyprawie miał wziąć udział cała kolonia. 5 lipca, o szesnastu, gdy ledwie zaczęła witać Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, uzbrojeni w oszczepy, siki i strzały oraz zaopatrzeni w żywność opuścili Granitowy Pałac; przed nimi podskakując biegł Top. Wybrali najkrótszą drogę, jakby było przejście po lodzie przez Rzekę Zmiany. To nie może zastąpić orzłanego mostu, a szlachetnie zauważył reporter. W ten sposób serii przyszłych prac została włożona budowa "porzucanego" mostu. Noga kolonistów raz pierwszy dotknęła prawego brzegu rzeki; posuwali się między olbrzymimi, wspaniałymi drzewami iglastymi, spowitymi mgłą. Zaledwie uszli parę kroków, gdy z gęstych zarośli, wywołana szczekaniem Topa, wyskoczyła gromada zwierząt, które obrały sobie tam schronienie. Podobne są do lisów zawołał Harbert, gdy zobaczył zmykające w pośpiechu stado. Były to istotnie lisy, i to z gatunku bardzo dużych, wydających odgłos podobny do szczekania, co wprawiło w tak wielkie zdumienie Topa, że zatrzymał się, pozwolił umknąć tym zwierzętom. Pies miał prawo się dziwić, gdy nie zna zoologii. Lisy, o szarobrudnej sierści i czarnych ogonach zakończonych białymi kitkami, zdradzały swoje pochodzenie w sposób szczekaniem. Harbert bez wahania wymienił ich w łacińskich nazwach. Lisy te spotyka się z daleka w Chile, na Maluinach i we wszystkich krajach Ameryki między trzydziстым a czterdziстым rejonem. Harbert bardzo zdziwiona, że Top nie zapamiętał żadnego z tych miłośnych zwierząt. Czy one są jadalne? zapytał Pencroff, który zawsze interesował się przedstawicielami fauny ze swego punktu widzenia. Nie powiedział Harbert. Ciekawe, że zoologowie dotychczas nie ustalili, czy zwierzęta te widzą w dzień i czy nie należą do psów. Cyrus Smith nie mógł powstrzymać śmiechu, słysząc te rozważania, i wyrażał o powątpiewającym sposobie myślenia chłopca. Co zaś do marynarza, to lisy przestały go interesować chwilę, gdy się dowiedział, że nie są jadalne. Zauważył tylko, że kiedy zaobserwował Granitowym Pałacu ptaszarni, trzeba będzie zabezpieczyć przed tymi czworonożnymi rabusiami. Nikt mu nie zaprzeczył. Gdy kolonijscy obeszli cypel, znaleźli się na obszernej plaży, omywanej falami oceanu. Dochodziła rano. Niebo było bardzo czyste, jak to się zdarza podczas długotrwałych, silnych mrozów. Rozgrzani marszem wyspiarze nie odczuwali zbyt dotkliwie skutków mrozu. Zresztą pogoda była bezwietrzna, co pomogło znieść niską temperaturę. Olbrzymia tarcza słońca wynurzyła się za oceanu i pojawiła nad horyzontem, ale jej promienie nie grzały. Powierzchnia morza była spokojna, a białe wody przywodziły na myśl zatoki i jeziora podczas pięknej pogody. W kierunku południowo-wschodnim, w odległości około czterech mil, rysowała się wyraźnie Przylądek Pazura, wygięty w kształcie jataganu \*. Na lewo linię brzoza przerywała nagle mały cypelek, nad którym promienie słońca tworzyły ognistą aureolę. Rzecz jasna, że w tej części Zatoki Unii, nie osłoniętej od morza nawet wąskim piaskiem, okręta smagane wschodnim wiatrem nie znalazłyby schronienia. Brzeg musiał tu być rwisty, a fale oceanu kryły zapewne niezliczone góry; wyczuwało się to z gładkością wody nie zmęczonej mieliznami, z jej jednolitej barwy, nie skalanej różnym odcieniem, wreszcie z braku skał podwodnych. W oddali na zachodzie, w odległości jakichś czterech mil, widać było pierwsze zarysy Laszalekiego Zachodu. Miało się wrażenie, że jest się na jakimś ponurym wybrzeżu podbiegunowej wyspy, otoczonej ze wszystkich stron lodami. Kolonijscy zrobili postój, aby zjeść śniadanie. Rozpalono ognisko z gałęziami i wyschniętymi wodorostami, a Nab przygotował posiłek, skądajcy się zimnego

mi i herbaty ziołowej. W czasie posiłku rozglądano się znacznie wokoło. Ta część Wyspy Lincoln była naprawdę nieurodzajna i stanowiła jaskrawy kontrast z jej zachodnią połacią. Reporter stwierdził, że gdyby los rzucił rozbitkąajpierw na to wybrzeże, miałby jak najgorsze zdanie o swoim przyszłym miejscu zamieszkania. A ja nawet myślałem wcale byśmy nie dopłynęli do brzegu, gdy morze jest tutaj bardzo głębokie i nie ma żadnej skały, która mogłaby się zaczepić. Przed Granitowym Pałacem są przynajmniej lawice piasku, jest wysepka, co zwiastuje szansę ratowania się. Tutaj jest tylko otchłama. Ciekawe stwierdził Gedeon Spilett że tak mała wyspa posiada tak urozmaiconą glebę. Przeciętnie, logicznie rzecz biorąc, taka różnorodność echuje kontynenty o dość znacznej powierzchni. Można pomyśleć że zachodnią część wyspy, bogatą i żyzną, opłukuje ciepły prąd z Zatoki Meksykańskiej, a płaszczyzna i południo-wo-wschodnie wybrzeże jest na Morzu Arktycznym. Młody pan racjonalnie odezwał się Cyrus Smith że ja to tak też zauważę. Ta wyspa w ogóle sprawia na mnie jakieś dziwne wrażenie, i co do kształtu, i co do przyrody. Rzekłoby się, w miniaturze obraz wszystkich rodzajów gleby znajdujących się na kontynencie, toteż wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ongi stanowiła część kontynentu. Co takiego? Kontynent na środku Pacyfiku? zawołał Pencroff. Dlaczego nie? zapytał Cyrus Smith. A dlaczego Australia, Nowa Irlandia, słowem wszystko to, co geografowie nazywają Australazją, nie miałyby nigdy tworzyć z archipelagami Pacyfiku szerszą częśći świata, tak samo wielkiej jak Azja, Afryka czy obie Ameryki? Młodym wcale nie broni się przed hipotezą, że wszystkie wyspy, wynurzające się z tego wielkiego oceanu, stanowią szczyty zatopionego kontynentu, które w pradawnych czasach istniały w tym miejscu. Tak jak nigdy Atlantyda dodał Harbert. Tak... jeżeli kiedykolwiek istniała. I Wyspa Lincoln stanowiłaby część tego kontynentu? zapytał Pencroff. Byłoby to odpowiedziało Cyrus Smith i to w żadnym razie nie tłumaczyłoby różnorodności flory, jak tutaj widzimy. A także wielką ilość zamieszkujących wysp kaczek i aury dorzucił Harbert. Tak, choćby potwierdził inżynier i w ten sposób może mi jeszcze jeden argument na poparcie mojej tezy. Na podstawie tego, cośmy widzieli, możemy stwierdzić całkiem pewno, że wyspa obfituje w zwierzęta, a co dziwniejsze, w bardzo różnorodne gatunki zwierząt. Musi to mieć jakieś uzasadnienie i według mnie Wyspa Lincoln stanowiła nigdy część jakiegoś obszernego kontynentu, które pomału zapadało się w fale Pacyfiku. A w pewnego dnia wtręcił Pencroff z niezbyt wielkim przekonaniem to, co pozostało z dawnego kontynentu, może tak z kolei zniknąć od wody i już nic nie pozostanie pomiędzy Ameryką a Azją? Będą nowe lądy, nad które budowle trudzą się teraz miliardy miliardów rąk. A co znowa murarze? zapytał Pencroff. Wymoczkę koralową wyjaśnił Cyrus Smith. To one w żadnym razie, nieustannie pracując, stworzyły wyspę lermont-Tonnerre, atole i niezliczone wyspy koralowe na Pacyfiku. Na jedno ziarnko wagi potrzeba pięćdziesiąt dziewięć miligramów otrzeba czterdziestu siedmiu milionów wymoczek. A jednak, wchłaniając sole morskie i stałe składniki wody, te rąki wytwarzają wapno z kolei formuje olbrzymie budowle podwodne, trwałe i twarde jak granit. Nigdy, w pierwszych okresach powstawania ziemi, przyroda używała ognia do wynoszenia ładunku powierzchni wody; teraz jednak mikroskopijne rąki mają obowiązek zastąpienia ognia, które się dynamicznie wewnątrz skorupy ziemskiej prawdopodobnie zmalała o czym świadczy duża ilość gęstych wulkanów na powierzchni ziemi. Myślałem po wielu, wielu wiekach, dzieł pracy niezliczonych pokoleń wymoczek Pacyfik zamieni się w obszerny kontynent, na który zamieszkać przyszłe pokolenia ludzkie i będą tam z kolei krzewiły cywilizacje. Ale to będzie trwało! odezwał się Pencroff. Przyroda ma czas odrzekł inżynier. Ale po co nowe lądy?

zapyta Harbert. Wydaje mi się, że powierzchnia zamieszkiwanych obszar wystarczy na potrzeby ludzkości. A przecie przyroda nie robi nic na próżno. Nic na próżno, istotnie potwierdzi inżynier. Ale oto jak można by sobie wytłumaczyć przyszłości potrzeb powstawania nowych lądów to wcale nie w strefie tropikalnej, gdzie znajdują się wyspy pochodzenia koralowego. Przynajmniej takie wyjaśnienie wydaje mi się rozsądne. Słuchamy pana odpowiedź za wszystkich Harbert. Oto moja myśl; uczeni zgodnie twierdzą, że pewnego dnia nasza planeta skończy się a w przeciwnym razie nie będzie mogła na niej rozwijać się życie zwierząt i rośliny wskutek znacznego ochłodzenia, jakiemu ulegnie. Dotychczas nie mogliśmy tylko zgodzić się do przyczyn takiego ochłodzenia. Jedni przypuszczają, że nastąpi ono wskutek obniżenia się o wielu milionach lat temperatury słońca inni zaś że nastąpi to wskutek stopniowego wygaśnięcia wewnątrznej energii ziemi, co ma zresztą wpływ na temperaturę naszej globie, niż się powszechnie przypuszcza. Osobiście jestem za tą ostatnią hipotezą, przy czym opieram się na fakcie, że księżyc jest istotnie wystygnięty i już nie zamieszkuje planet, podczas gdy słońce nie przestaje obdarzać tą samą ilością ciepła. Jeżeli wiążemy księżyc wystygnięty, to dlatego, że cała kowicie wygasły ogień wewnętrzny, który, podobnie jak każda gwiazda, księżyc zawdzięcza swe powstanie. Zresztą jakkolwiek będzie przyczyna, nasza kula ziemską ostygnie, tylko że to ostygnięcie będzie się odbywało stopniowo. Co się z nami stanie? To, że strefy umiarkowane w jakiejś bardzo odległej epoce nie będą nadawały się do zamieszkania, tak jak obecnie okolice podbiegunowe. A zatem zarówno ludzie, jak i zwierzęta przeniosą się na szerokości geograficzne bardziej poddane działaniu słońca. Powstanie wielka migracja. Europa, Azja środkowa i Ameryka Północna zostaną tak samo opuszczone jak cała Australazja i część Ameryki Południowej. Za kilka lat ludzie prawie roślinność Flora cofnie się a roślinność z fauny. Najgęściej zaludnionymi kontynentami staną się Ameryka Południowa i Afryka. Laponcy i Samończycy znajdą się nad Morzem Północnym warunki klimatyczne znad Oceanu Lodowego. Skąd wiemy, czy w tym okresie ziemie leżące nad równikiem nie okażą się zbyt szczupłe, a żeby pomieścić wyżywiając ludzkość? Dlaczego wiemy przewidująca przyroda nie miała już teraz zakładać przy pomocy nowego kontynentu, gdzie znalazłaby schronienie ta cała "emigracja" roślinna i zwierzęta, i dlaczego nie miała przychylić swojej pomocy wymoczkom? Cóżo rozmyślałem nad tymi wszystkimi sprawami, przyjaciele, i sądzę, że wygląd zewnętrzny naszej kuli ziemskiej ulegnie kiedyś wielkiej zmianie, wskutek wynurzenia się nowych lądów oraz zaleganie stare, i że w przyszłych wiekach nowi Kolumbowie będą odkrywali wyspy Chimborazo, Himalaje czy Mont Blanc \* i szczątki jakiejś Ameryki, Azji czy Europy, które zostały pochłonięte przez morze. Potem z kolei nowe lądy staną się zamieszkałe; ciepło skończy się jak ciepło ciała, z którego uleci dusza, i życie zniknie z ziemi, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na pewien okres. I może wtedy nasza planeta odpocznie, może odnowi się w czasie snu i odżyje kiedyś w lepszych warunkach! Ale to jest wszystko sprawa Stwórcy, przyjaciele, a w związku z pracą wymoczków pozwolę sobie może na zbyt śmiały wycieczkę krainą tajemnic przyszłości. Drogi Cyrusie odezwał się Edeon Spilett i twoje teorie są dla mnie proroczym; niewątpliwie kiedyś się spełnią. To jest tajemnica Boga i odparł inżynier. Wszystko to pięknie, ładnie i wtrącił Pencroff, który słuchał dotychczas uważnie ale czy może mi pan powiedzieć panie Cyrusie, czy Wyspy Incolna także zbudowały te państwa wymoczek? Nie odpowiedział inżynier jest ona najwyraźniej pochodzenia wulkanicznego. A wiemy pewnego pięknego dnia zniknie? Najprawdopodobniej. Mam nadzieję, że nas już wtedy nie będzie! Nie należy się niepokoić Pencroff, nas tu na pewno nie będzie, gdy wcale nie mamy zamiaru zginąć musimy

się i tak jako wydość. Na razie urządzajmy się tak, jakbyśmy mieli tu wiekwa poradzi Gedeon Spilett. Nic nie należy robić owoicznie. Na tym zakoń rozmow Po niadaniu koloni ci ruszyli dalej i doszli do miejsca, gdzie zaczyna się oczary. Było tu prawdziwe bagnisko, cięgnięce się do zaokręglonego brzegu na południowym zachodzie i zajmujące powierzchnię około dwudziestu mil kwadratowych. Utworzone było z mułu gliniasto-krzemowego, pomieszanego z resztkami roślinnymi. Pokrywały je trzciny, turzyce, sitowie, tu i tam trawy, gęste jak gruby plusz. W promieniach słońca miejscami zamrażał bajora. Tych rezerw wodnych nie mogły utworzyć ani deszcze, ani wezbrana nagłym przypływem wody rzeka. Nasuwał się niósok, że moczary zasilane były wodą przesiąkającą z ziemi, i tak było istotnie. Zachodziła obawa, czy podczas upałów powietrze nie unosi się ziazmaty wywołujące gorączki agiennę. Ponad trawami wodnymi, rosnącymi na powierzchni bajor, fruwały chmary ptactwa. Zawodowi myśliwi nie zmarnowaliby ani jednego strzału. Były tu całe stada dzikich kaczek, cyranek, kszycy te niepoohliwe ptaki pozwalały bez trudu zbliżyć się do siebie. Jednym z adunkiem rutu można by ustrzelić aruzin tak tak były stoczone. Ale trzeba było poprzestać na trafianiu ich z bluku. Oczywiście plori było mniej obfite, ale bezszumnie lecąc strzała miała tężewagę nie poroszyła ptactwa, która odgłos strzału rozpierzchnęła się najdalsze zakątki bagniska. Tym razem myśliwi zadowolili się zuzinem kaczek o białym upierzeniu z cynamonowym obramowaniem, zielonym bęku, skrzydłach czarnych, białych i rudych oraz spłaszczonym dziobie; Harbert rozpoznał w nich podgorzaki. Top żrnie pomaga wyławiać taki, którego imieniem nazwano bagnistą czą wyspy. Koloniści zyskali tutaj wielkie rezerwy ptactwa wodnego. Należało spożytkować je we wczesnym czasie; niektóre gatunki uda się prawdopodobnie jeżeli nie oswoi to przynajmniej zaaklimatyzować poblizu jeziora, tak by koloniści mieli je zamsze pod ręką. Około piętej po południu Cyrus Smith wraz z towarzyszami udali się drogą owrotną, przechodząc Bagnem Podgorzank i ponownie przebywając rzeką o mocie lodowym. O tam byli już w Granitowym Pałacu, ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI. Wilcze doły. Lisy. Pekari. Nagła zmiana wiatru na północno-zachodni. Zamieć Koszykarze. Najwięższe mrozy. Krystalizacja cukru klonowego. Tajemnicza studnia. Zamierzone badanie. Ziarnko rutu. silne mrozy utrzymywały się 15 sierpnia. Przy bezwietrznej pogodzie niskiej temperatury było łatwiej znieść jednak gdy powiał wiatr północno-zachodni, koloniści, pozbawieni ciepłego odzienia, cierpieli mocno od zimna. Pencroff zaczyna już znowa na Wyspie Lincolna nie znalazł schronienia parodzin niedźwiedzi zamiast lis fok, których futra pozostawiały wiele do zyczenia. Mawia przy tym: Niedźwiedzie są zazwyczaj dobrze odziane, a ja nie miałbym nic przeciwko wypożyczeniu sobie od nich na zimną kapoty, które noszą na grzbiecie. Ale może te niedźwiedzie wcale nie zgodzą się na odstąpienie ci kapoty? Miała się ab. Te bestie nie są zwiędym Marcinem! Zmusiłyby się, Nabie, zmusiłyby się odpowiedzia Pencroff w sposób dopuszczający sprzeciwu. Ale tych wielkich drapieżników na wyspie nie było, a przynajmniej dotychczas się nie pokazały. Mimo to Harbert, Pencroff i reporter zdecydowali się na zrobienie wilczych dołków a Paskowzg Rozległego Widoku i na skraju lasu. Zdaniem marynarza każde zwierzę jakiegokolwiek gatunku, będzie mile widziane, a gryzonie czy drapieżniki, które robi dobry poczytek, doznają w Granitowym Pałacu serdecznego przyjęcia. Zresztą pułapki były i niezmiernie proste: wykopano w ziemi doły i przykryto z wierzchu gałkami i trawami maskującymi otwory do których wrzucono przynęty, których zapach miały zwabiać zwierzęta i to wszystko. Nawiasem mówiąc, doły nie były wykopane przypadkowo, lecz w upatrzonych miejscach, tam gdzie liczne ślady wskazywały na częste przechodzenie zwierząt.



Do- y sprawdzano i w pierwszych dniach trzykrotnie znalezione w nich okazy lis- potkanych poprzednio na prawym brzegu Rzeki Dzi- zynienia. - C- o! W tym kraju nie ma nic poza lisami! - zawo- a- Pencroff, gdy po raz trzeci wyci- gn- z do- u siedz- ce tam, jakby zawstydzone zwier- - Przecie- to nic nie warte! - A jednak - powiedzia- Gedeon Spilett - one mog- si- a co- przyda- - Na przyk- ad? - Jako przyn- dla innych zwier- t. Reporter mia- racj- odt- d jako przyn- k- adziono do do- - isi- padlin- Marynarz zmajstrowa- tak- e sid- a z w- - n trzcinowych i mia- z nich wi- z- pociech- i- z wilczych do- - Nie min- - dzie- y nie z- apa- si- nie jaki- kr- . By- y to wprowadzie tylko kr- i, ale Nab przyrz- dza- je w przer- ch sosach, tak - e nikt nie m- si- skar- a- a monotoni- osi- k- Ale ju- w drugim tygodniu 'sierpnia do- y dostarczy- y my- liwym par- izy innej zwierzyny, i to bardziej przydatnej ni- lisy. Byiy to mianowicie dziki, zauwa- one ju- kiedy- na p- cnym brzegu jeziora. Pencroff nie musia- si- ypytywa- czy te zwier- s- jadalne. Wida- o by- o chocia- by z ich podobie- a do zwyk- ych - win z Ameryki czy Europy. - Ale uprzedzam ci- Pencroff, - e to nie s- - winie - ostrzega- Harbert. - Ch- opcze - prosi- marynarz pochylaj- c si- ad do- em i wyci- gaj- c stamt- d za ma- y ogonek jednego z przedstawicieli rodziny - pozw- i wierzy- - e to jest - winia! - Dlaczego? - Z- mi sprawi- rzyjemno- - Tak lubisz - winie? - Bardzo lubi- winie - - potwierdzi- Pencroff - zw- aszcza za ich n- , a lubi- bym je znacznie bardziej, gdyby mia- y po osiem n- amiaszt czterech! Zwier- , znalezione w dole, by- y to pekari, nale- - ce do jednego z czterech rodzaj- kt- liczy ta rodzina, mianowicie do gatunku - tajassous"; poznaje si- e po ciemnej sier- ci i braku d- ugich k- - stercz- cych z pyska u innych dzik- Pekari - yj- zazwyczaj stadami, tote- prawdopodobnie w zalesionych cz- iach wyspy by- o ich du- o. W ka- dym razie by- y jadalne od n- o g- - a Pencroff niczego wi- j od nich nie wymaga- . Oko- o 15 sierpnia pogoda zmieni- a si- nagle powia- wiatr z p- cnego zachodu. Temperatura podnios- a si- kilka stopni i niebawem para nagromadzona w powietrzu spad- a w postaci - niegu. Ca- a wyspa pokry- a si- ia- ym ca- unem i ukaza- a si- czom kolonist- innej szacie. - nieg pada- obficie przez kilka dni i grubo- - ego pokrywy osi- gn- dwie stopy. Potem wiatr och- odzi- si- aptownie, a z wysoko- ci Granitowego Pa- acu s- ycha- y- o, jak morze huczy rozbijaj- c si- rafy. W niekt- h za- amaniach terenu tworzy- y si- iry powietrzne. Porywa- y one masy - nie- ne i unosi- y je w postaci obracaj- cych si- olumn, podobnych do wiruj- cych s- up- odnych, kt- okr- wojenne rozbijaj- strza- ami armatnimi. Jednak- e wichura dm- ca z p- cnego zachodu atakowa- a wysp- drugiej strony i dlatego po- o- enie Granitowego Pa- acu zabezpiecza- o go od bezpo- redniego ataku wiatru. W czasie tej - nie- ycy, tak gwa- townej, jak gdyby to by- o gdzie- w kraju podbiegunowym, ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie mogli pomimo szczerych ch- wysun- - osa na zewn- trz i przez pi- dni, od 20 do 25 sierpnia, byli uwi- eni w domu. S- ycha- y- o, jak burza szaleje w Lesie Z- otki, kt- musia- bardzo ucierpie- Wiele drzew wicher zapewne wyrwa- z korzeniami, co zreszt- nie martwi- o Pencroffa: pociesza- si- y- l- , - e oszcz- i mu to trudu - cinania pni. - Wiatr bawi si- drwala, nie przeszkadzajmy mu - powtarza- . Zreszt- nie by- o - adnego sposobu, - eby mu w tym przeszkodzi- Jak- e- mieszka- Granitowego Pa- acu wdzi- ni byli Opatrzno- ci za to, - e. przygotowa- a im to mocne, niezachwiane schronienie! Cz- wdzi- no- ci s- usznie nale- a- a si- yrusowi Smithowi, ale w- a- ciwie przecie- to przyroda utworzy- a t- bszern- pieczar- on za- tylko j- odkry- . Wszyscy byli tu bezpieczni i znajdowali si- oza zasi- em nawa- nicy. Gdyby zbudowali na P- asko-wzg- Rozleg- ego Widoku'dom z ceg- y i drzewa, na pewno nie osta- by si- rzed szalej- c- wicher- . Tak samo Kominy, s- dz- c cho- z - oskotu fal, dobiegaj- cego z niezwyk- - si- - , by- y chyba zupe- nie niezdatne do za- mieszkania, gdy-

przewalaj<sup>ce</sup> si<sup>ę</sup> przez wysp<sup>ę</sup> orze bi<sup>o</sup> w nie z w<sup>o</sup>ciek<sup>o</sup> ci<sup>ę</sup>. Tutaj za<sup>o</sup>, w Granitowym Pa<sup>acu</sup>, w <sup>o</sup>rodku bloku skalnego, gdzie nie mia<sup>a</sup> dost<sup>ę</sup> ani woda, ani wiatr <sup>o</sup> mogli nie obawia<sup>ć</sup> i<sup>ę</sup> czego. Tych kilku dni przymusowego pobytu w domu koloni<sup>o</sup> ci nie sp<sup>ę</sup>ili beczynn<sup>ie</sup>. Drzewa przetartego na deski by<sup>o</sup> w magazynie pod dostatkiem, tote<sup>o</sup> poma<sup>o</sup> u uzupe<sup>o</sup>niano umebrowanie, robi<sup>o</sup> c sto<sup>o</sup>y i krzes<sup>o</sup>a; wszystko to wykonano bardzo solidnie, nie szcz<sup>o</sup> c surowca. Te nieco ci<sup>ę</sup>ie meble, cho<sup>o</sup>ie dawa<sup>o</sup>y si<sup>ę</sup> atwo przenosi<sup>o</sup> miejsca na miejsce, stanowi<sup>o</sup> y przedmiot dumy Naba i Pencroffa, kt<sup>o</sup> nie zamieniliby ich na naj-wytworniejsze sprz<sup>o</sup>. Nast<sup>o</sup>ie stolarze przedzierzgn<sup>o</sup> si<sup>ę</sup> koszykarzy i ten nowy rodzaj produkcji uda<sup>o</sup> im si<sup>ę</sup>ie najgorzej. W pobli<sup>o</sup>u wysuni<sup>o</sup>go na p<sup>o</sup>c j<sup>o</sup>ka jeziora koloni<sup>o</sup> ci odkryli obfite zaro<sup>o</sup>la wikliny,, a w<sup>o</sup> r<sup>o</sup>ich wiklin<sup>o</sup> urpurow<sup>o</sup>. Przed nadej<sup>o</sup>ciem pory deszczowej Pencroff z Harbertem naci<sup>o</sup> sporo tych po<sup>o</sup>ytecznych krzew<sup>o</sup> kt<sup>o</sup> h ga<sup>o</sup> e, odpowiednio spreparowane, bardzo si<sup>ę</sup> rzyda<sup>o</sup>y. Pierwsze wyroby by<sup>o</sup>y niezdarne, ale potem dzi<sup>o</sup> zr<sup>o</sup>no<sup>o</sup> ci i inteligencji domoros<sup>o</sup> ych koszykarzy, kt<sup>o</sup> s<sup>o</sup>u<sup>o</sup>yli sobie wzajemnie radami, przypominali sobie widziane ongi<sup>o</sup> wyroby koszykarskie i wsp<sup>o</sup>wodniczyli z sob<sup>o</sup>, uda<sup>o</sup>o si<sup>ę</sup> owi<sup>o</sup> zy<sup>o</sup> aj<sup>o</sup> tek kolonii o koszycki i kosze r<sup>o</sup> wielko<sup>o</sup> ci. Nab otrzyma<sup>o</sup> je dla magazynu i wype<sup>o</sup>ni<sup>o</sup> zbiorami k<sup>o</sup> czy, orzeszk<sup>o</sup> inii i korzeniami smokowca. W ostatnim tygodniu sierpnia pogoda jeszcze raz si<sup>ę</sup> mieni<sup>o</sup> a. Temperatura lekko spad<sup>o</sup> a, zawieja ucich<sup>o</sup> a. Koloni<sup>o</sup> ci wybiegli z domu. Na wybrze<sup>o</sup> u le<sup>o</sup> a<sup>o</sup> na pewno ze dwie stopy <sup>o</sup>niegu, ale powierzchnia jego okaza<sup>o</sup> a si<sup>ę</sup> ak twarda, <sup>o</sup> e mo<sup>o</sup> na by<sup>o</sup> o chodzi<sup>o</sup> o nim jak po sto- le. Cyrus Smith z towarzyszami wdrapali si<sup>ę</sup> a P<sup>o</sup>asko-wzg<sup>o</sup> Rozleg<sup>o</sup>ego Widoku. Co za zmiany! Lasy, kt<sup>o</sup> po raz ostatni widzieli w zielonej szacie, zw<sup>o</sup> aszcza w najbli<sup>o</sup> szych partiach, gdzie przewa<sup>o</sup> a<sup>o</sup> y drzewa szpilkowe, okryte by<sup>o</sup>y teraz jednobarwnym ca<sup>o</sup> unem. Wszystko ton<sup>o</sup> w bieli <sup>o</sup> lasy, <sup>o</sup> ki, jezioro, rzeka, wybrze<sup>o</sup> e. Wody Rzeki Dzi<sup>o</sup> zynienia p<sup>o</sup> yn<sup>o</sup> teraz pod lodow<sup>o</sup> pokryw<sup>o</sup>, kt<sup>o</sup> przy ka<sup>o</sup> dym przyp<sup>o</sup> ywie i odp<sup>o</sup> ywie <sup>o</sup> ama<sup>o</sup> a si<sup>ę</sup> kruszy<sup>o</sup> a z ha<sup>o</sup> asem. Nad zamarzni<sup>o</sup> powierzchni<sup>o</sup> jeziora kr<sup>o</sup> y<sup>o</sup> y chmary ptactwa <sup>o</sup> kaczk<sup>o</sup> i bekasy, cyranki i pod-gorza<sup>o</sup> ki. By<sup>o</sup>y ich tam tysi<sup>o</sup> ce. Ska<sup>o</sup> y, pomi<sup>o</sup> y kt<sup>o</sup> spada<sup>o</sup> z g<sup>o</sup> nadmiar w<sup>o</sup> eziora, by<sup>o</sup>y naje<sup>o</sup> one bry<sup>o</sup> ami lodu. Wygl<sup>o</sup> da<sup>o</sup> to, jak gdyby woda wyp<sup>o</sup> ywa<sup>o</sup> a z olbrzymiej rynny, wyrze<sup>o</sup> bionej z fantazj<sup>o</sup> godn<sup>o</sup> jakiego<sup>o</sup> renesansowego artysty. Szk<sup>o</sup> yrz<sup>o</sup> dzonych w lesie przez huragan nie da<sup>o</sup> o si<sup>ę</sup> eszcze oceni<sup>o</sup> trzeba by<sup>o</sup> o czeka<sup>o</sup> a<sup>o</sup> stopnieje pow<sup>o</sup> oka <sup>o</sup> nie<sup>o</sup> na. Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert nie omieszkali skorzysta<sup>o</sup> pkazji, <sup>o</sup> eby odwiedzi<sup>o</sup> ilcze do<sup>o</sup> y. Nie<sup>o</sup> atwo je odnale<sup>o</sup> li pod grub<sup>o</sup> pokryw<sup>o</sup> <sup>o</sup> nie<sup>o</sup> n<sup>o</sup>. Musieli uwa<sup>o</sup> a<sup>o</sup> eby nie wpa<sup>o</sup> o kt<sup>o</sup> z nich, gdy<sup>o</sup> by<sup>o</sup> oby to i niebezpieczne, i zarazem upokarzaj<sup>o</sup> ce: wpa<sup>o</sup> e w<sup>o</sup> asn<sup>o</sup> pu<sup>o</sup> apk<sup>o</sup> Ale jako<sup>o</sup> uda<sup>o</sup> o si<sup>ę</sup> nikn<sup>o</sup> e<sup>o</sup> j przykro<sup>o</sup> ci i odnale<sup>o</sup> o<sup>o</sup> y zupe<sup>o</sup> nie nie naruszone. Nie wpad<sup>o</sup> o w nie <sup>o</sup> adne zwierz<sup>o</sup> a jednak wida<sup>o</sup> y<sup>o</sup> o wok<sup>o</sup> iczne <sup>o</sup> lady, mi<sup>o</sup> y innymi wyra<sup>o</sup> nie zaznaczone odciski pazur<sup>o</sup> Harbert rozpozna<sup>o</sup> bez wahania, <sup>o</sup> e przesz<sup>o</sup> y t<sup>o</sup> jakie<sup>o</sup> drapie<sup>o</sup> niki z gatunku kot<sup>o</sup> co potwierdza<sup>o</sup> oby zdanie in<sup>o</sup> yniiera o istnieniu na wyspie niebezpiecznych dzikich zwierz<sup>o</sup> t. Prawdopodobnie mieszka<sup>o</sup> y one zazwyczaj w Lasach Dalekiego Zachodu, a teraz, dr<sup>o</sup> one g<sup>o</sup> odem, odwa<sup>o</sup> y<sup>o</sup> y si<sup>ę</sup> rzyj<sup>o</sup> e<sup>o</sup> na P<sup>o</sup>askowzg<sup>o</sup> Rozleg<sup>o</sup>ego Widoku. A mo<sup>o</sup> e zwietrzy<sup>o</sup> y mieszka<sup>o</sup> Granitowego Pa<sup>acu</sup>? <sup>o</sup> Ale c<sup>o</sup> o mog<sup>o</sup> by<sup>o</sup> a koty? <sup>o</sup> zapyta<sup>o</sup> r<sup>o</sup> Pencroff. <sup>o</sup> Jaguary <sup>o</sup> odpowiedzia<sup>o</sup> Harbert. <sup>o</sup> My<sup>o</sup> la<sup>o</sup> em, <sup>o</sup> e te zwierz<sup>o</sup> znajduj<sup>o</sup> si<sup>ę</sup> ylko w ciep<sup>o</sup> ych krajach. <sup>o</sup> Na nowym kontynencie obserwuje si<sup>ę</sup> e pocz<sup>o</sup> ywszy od Meksyku a<sup>o</sup> do pampas<sup>o</sup> o<sup>o</sup> Buenos Aires. Ot<sup>o</sup> poniewa<sup>o</sup> Wyspa Lincolnna le<sup>o</sup> y mniej wi<sup>o</sup> j na tej samej szeroko<sup>o</sup> ci, co prowincje La Pl<sup>o</sup> ta, nic wi<sup>o</sup> dziwnego, <sup>o</sup> e mo<sup>o</sup> na tu spotka<sup>o</sup> aguara. <sup>o</sup> Dobra, b<sup>o</sup> iemy mie<sup>o</sup> i<sup>o</sup> a baczno<sup>o</sup> ci <sup>o</sup> odpar<sup>o</sup> Pencroff. Wreszcie wskutek ocieplenia <sup>o</sup> nieg zacz<sup>o</sup> e<sup>o</sup> taja<sup>o</sup> Rozpada<sup>o</sup> si<sup>ę</sup> eszcz, rozpu<sup>o</sup> ci<sup>o</sup> <sup>o</sup> nieg i bia<sup>o</sup> y ca<sup>o</sup> un znikn<sup>o</sup> e<sup>o</sup>. Pomimo z<sup>o</sup> ej pogody koloni<sup>o</sup> ci uzupe<sup>o</sup> niali

zapasy żywności. Nazbierali orzeszków i inii, korzeni smokowca, karczmy, soku klonowego. Z wyprawyowieckiej przynieśli kręgi, aguti i kangury. W tym celu musieli kilkakrotnie pójść do lasu i stwierdzili przy tej okazji, że huragan nęłamał sporo drzew. Marynarz z Nabem dotarli nawet z wędem do pokładów i przycięgnęli paronopa. Przechodząc spostrzegli, że komin pieca garncarskiego został uszkodzony wichurą, a jego wierzchołek cię o jakieś sześć. Rzecznie z wędem uzupełniono zapasy drzewa, korzystając z tego, że Rzeka Dziżynienia uwolniła się od lodu, co umożliwiło spławienie paru tratw. Nie wiadomo było, czy okres silnych mrozie powró Koloniści odwiedzili także Kominy i odczuli wielką radość a myśla o tym, że nie musieli tam mieszkać czasie huraganu. Morze pozostawiło po sobie ślady spustoszenia. Fale, spiżone wiatrem od morza i przewalające się przez wysepki gwałtownie napłynęły do korytarzy, które były teraz na pokryte piaskiem i usłane grubą warstwą wodorostów. Podczas gdy Nab, Harbert i Pencroff polowali lub uzupełniali zapasy opału, Cyrus Smith i Gedeon Spilett oczyszczali Kominy. Kuchnia i piece okazały się prawie nie uszkodzone, gdy chroniła je warstwa naniesionego przez wiatr piasku. Zapasy opału zostały uzupełnione nie na próżno. Silne mrozy dały się kolonistom ponownie we znaki. Jak wiadomo, na północnej luty zazwyczaj odznacza się ujemnym spadkiem temperatury. Tak samo jest na północno-wschodniej i w końcu sierpnia, które odpowiada lutemu w Ameryce Południowej, wystąpiło tutaj to samo zjawisko klimatyczne. Około 25 sierpnia, po ponownym opadzie śniegu zmieszanego z deszczem, wiatr zmienił nagle kierunek, zaczął dąć z południowego wschodu i nastąpiły silne mrozy. Zdaniem inżyniera termometr wskazywałby na pewno około dwudziestu dwu stopni Celsjusza poniżej zera. Mrozy, które zaostrzały jeszcze przenikliwy wiatr, utrzymały się przez kilka dni. Koloniści musieli znowu zaszybić Granitowym Pałacem, a ponieważ trzeba było szczelnie pozamykać wszystkie otwory, pozostawiając jedynie niezbędny dopływ świeżego powietrza, zużycie ęgwiec było wielkie. Aby ich zaoszczędzić koloniści oświetlali część wewnątrz pałacu promieniem ogniska, gdy opału nie było. Parę razy ten czynszedł na wybrzeże, by pospacerować po lodu, naniesionych przypływem, ale szybko powracał do Granitowego Pałacu, z trudem trzymając się grabiami rękami drewnianych szczebli drabiny. W czasie silnych mrozy szczeble te parzyły palce. Aby zabić wolny czas, który mieszkał Granitowego Pałacu dysponowali wskutek przymusowego siedzenia w domu, Cyrus Smith zajęł się ewną pracą, nadając się do wykonania nawet pod zamknięciem na siedem spustów. Jak wiadomo, koloniści mieli tylko cukier z soku klonowego, który otrzymywali robiąc na drzewie gęskie nacięcia. Płyn ten zbierali do naczyni używali go w stanie naturalnym do ręk celulinarnych, tym bardziej że z czasem sok stawał się gęstszy i nabierał konsystencji syropu. Ale można było zrobić z niego coś lepszego i pewnego dnia Cyrus Smith oznajmił towarzyszom, że przedzierzgnę się zaraz w cukrownik. Cukrownik zawołał Pencroff. Zdaje mi się że to jest dosyć orczy fach. Nawet bardzo gorący powiedział inżynier. No to w sam raz na ten sezon stwierdził marynarz. Niechże to słowo "cukrownicy" nie wywołuje obrazu fabryk bardzo skomplikowanych pod względem urzędze pracy. Nie! żeby skrzystalizować sok klonowy, wystarczyło oczywiście za pomocą bardzo prostej operacji. Sok postawiono na ogniu w dużych naczyniach glinianych i poddano po prostu odparowaniu; niebawem na powierzchni płynu ukazała się pianina. Gdy tylko sok zaczął gęnie Nab i Pencroff mieszały go starannie drewnianymi kopyciami co przypieszało parowanie i zabezpieczało płyn przed smakiem spalenizny. Po kilku godzinach gotowania na dobrym ogniu, które działanie było tak samo pożyteczne dla cukrownika jak i dla soku, płyn przekształcił się w gęsty syrop. Syrop został zlany do glinianych form różnego kształtu, wypalonych uprzednio na miejscu, w piecu

kuchennym. Nazajutrz syrop zastygł w formie bryłek i tabliczek. Był to cukier, trochę prawdziwie brunatny, ale prawie zupełnie przezroczysty i doskonały w smaku. Mrozy utrzymywały się po owy wrzesień i w dniom Granitowego Pałacu zaczęła się dłuższy przymusowy pobyt w domu. Prawie codziennie wychodzili na kró. Ale w końcu przez cały ten czas pracowali nad wyposażeniem mieszkania. W czasie prary prowadzili rozmowy. Cyrus Smith pouczał swoich towarzyszy, a w pierwszym rzędzie wskazywał im na praktyczne zastosowanie zdobyczy nauki. Koloniści nie mieli przecie do dyspozycji księzek; na szczęście inżynier był księzką zawsze otwierając się na potrzebnej stronie, księzką, którą rozwijała wszystkie problemy, toteż często przrzucali jej kartki. Tak mijały dni, a dzielni ludzie z wiarą patrzyli w przyszłość. Był już jednak najwęższy czas, żeby ten przymusowy pobyt w domu skończył się. Każdemu było o tym, jeżeli już nie do piątej pogody, to przynajmniej do końca nieznośnych mrozów. Gdyby mieli odpowiednie ubrania, jakie piąte wyprawy mogliby robić do Bagna Podgorzank, bądź do wydm. Można było teraz łatwo podchodzić do polowania dałoby na pewno dobre wyniki. Jednak Cyrus Smith dbał o to, by nikt nie narażał zdrowia, gdy potrzebne mu były wszystkie ręce do pracy; rady jego znajdowały posłuch. Najbardziej niecierpliwym z wiśni nie licząc Pencroffa, był Top. Pies czuł się krzywdzony w Granitowym Pałacu. Wziął z kęta w kąt i na swym poszukiwał znużenia. Cyrus Smith zwrócił uwagę, gdy pies zbliżył się do gęskiej studni, której ceją się morzem, które otwierało się w magazynie, to zawsze jakoś dziwnie warczał. Pies często kręcił się do studni, zasłonił dęwnianą pokrywą. Niekiedy nawet usiłowawsunął apy pod pokrywę jak gdyby chciał ją unieść. Szczekał w czasie urywanie, w sposób dradzący jednocześnie irytację i Inżynier już parokrotnie zauważył te manewry. Cóż było w tej studni, co tak bardzo denerwowało mądre zwierzę? Studnia prowadziła do morza, to było pewne. Czyby rozgałęziała się skami kanałami i szła gdzieś przez wyspę? A może czyjaś jak inną podziemną pieczarę? Może od czasu do czasu jakiś potwórski przypływał do studni, aby zaczerpnąć powietrza? Inżynier nie wiedział, co o tym sądził i nie mógł powstrzymać myśli o jakichś dziwnych powikłaniach. Nawyk do poruszania się sferze prawdy naukowej, nie mógł sobie darować, że pozwala się cięgnąć sferę praw nieuchwytnych, nadprzyrodzonych niemal. Ale jakże sobie wytłumaczył, że Top, mądry pies, który nigdy nie tracił czasu na szczekanie do księcia, z uporem badał wtem i sęchem tę studnię? Czy nie działo się niej coś, co mogło wzbudzić jego niepokój? Zachowanie psa intrygowało Cyrusa Smitha bardziej, niż się tego przyznawał nawet wobec siebie samego. W każdym razie inżynier podzielił się wymiwanieniami tylko z Gedeonem Spilettem, gdy nie uważał za potrzebne wtajemniczać wszystkich w swoje mimowolne refleksje, spowodowane, było, po prostu fantazją Topa. Wreszcie mrozy minęły. Nastąpiły po nich deszcze, nieraz zmieszane ze śniegiem, z gradem i silnymi wiatrami, ale to nie trwało długo. Lód topniał; wybrzeża, paskowce, brzegi Rzeki Dziżynienia i las stały się dostępne dla ludzi. Ten powrót osny oczarował mieszkał Granitowego Pałacu i niebawem zaczęła swym mieszkaniu tylko godziny przeznaczone na sen i na posiłki. W drugiej połowie wrzesnia koloniści dużo polowali, co skłoniło Pencroffa do uporczywego domagania się roni palnej, którą jakoby inżynier miał mu obiecać. Ten zaś wiedząc, że bez specjalnych narzędzi produkcja nadaje się do użytku strzelby jest prawie niemożliwa, wycofał się obietnicy i odkładał sprawę na później. Zaznaczał przy sposobności, że można jeszcze poczekać, bo Harbert i Gedeon Spilett stali się znakomitymi łucznikami i że od ich strzała padał wszelkiego rodzaju wymienite zwierzęta: aguti, kangury, kapi-bary, gołębie, dropie, dzikie kaczk i bekasy.

Ale uparty marynarz nie chciał o tym słyszeć, nie zamierzał dać pokoju inżynierowi, dopóki nie spełni jego życzenia. Podtrzymał go zresztą w tych trudnościach Gedeon Spilett. Jeżeli na wyspie, jak można przypuszczać, ma się gniewdź się zikie zwierzę, trzeba pomyśleć tym, by je wybić wytę. Może nadejdzie chwila, kiedy ta sprawa stanie się ajpilniejszą. Jednakże w tym czasie Cyrusa Smitha pochłaniała nie tyle sprawa broni palnej, co kwestia ubrania. To, co kolonijcy mieli na sobie, przetrzymałoby wprawdzie pierwszą zimę, ale do następnego już nie dotrwa. Za wszelką cenę trzeba byłoby zdobyć zwierzę lub węwna, ponieważ nie brakowało na wyspie muflonów, trzeba byłoby pomyśleć o sposobem utworzenia z nich stada, które można by hodowała potrzeb kolonii. Zagroda dla zwierząt domowych i kurnik dla ptactwa, słowem, założenie w jakimś punkcie wyspy czegoś w rodzaju fermi hodowlanej – oto były dwa najważniejsze zadania do wypełnienia w czasie lata. Ze względu na przyszłe gospodarstwo stawała się również sprawa zbadania nieznanej dotychczas Czł. Wyspy Lincoln, to znaczy wysokich lasów i gęstych sił a prawym brzegu Rzeki Dziżynienia, od jej ujścia aż do zakonia Pł. Spu Serpenty, oraz całego wybrzeża zachodniego. Na to potrzebna była ustalona pogoda, toteż należało zaczekać jeszcze z miesiąca z podjęciem takiej wyprawy. Wszyscy oczekiwali tej chwili z wielką niecierpliwością. Zdarzył się jednak wypadek, który jeszcze bardziej wzmocnił kolonistów badania całej ich posiadłości. Było to 24 października. Pencroff poszedł obejrzeć do kł. do których nie zapomni wrzucić przynęty. W jednym z dołków znalazł trzy zwierzęta niezmiernie wartościowe dla celów uł. Była to samica pekari i dwoje małych. Pencroff wrócił do Granitowego Pałacu zachwycony swoją zdobyczą i, jak zwykle, chwalił się nią głośno: – Biedniemy mieli wspaniałe ucztowanie Cyrusie! Pan także coś dostanie, panie Gedeonie. – Chyba skorzystam z powieści reporter – ale co wam ciwie dostanie jedzenia? – Prosiaka! – Tylko prosiaka? – Słuchajcie pana myślałem, że przyniesie pan co najmniej kuropatki i trufkami. – Jak to? – oburzył się Pencroff. – Czyby pan przypadkiem miał zamiar pogardzić prosiakiem? – Nie – powiedział Spilett bez najmniejszego entuzjazmu. – Jeżeli nie będzie się adużywało... – Dobrze już, dobrze, panie dziennikarzu – irytował się marynarz, który nie lubił, gdy nie doceniano jego zdobyczy – niech pan nie udaje wybrednego. Siedem miesięcy temu, gdyśmy wylądowali na wyspie, byłby pan szczęśliwy mając takie jedzenie!... – Oto – potwierdził inżynier – człowiek nie jest bez skazy i nigdy nie jest zadowolony z tego, co ma. – Myślę cięgnąć dalej Pencroff – że Nab pokaże, co umie. Proszę patrzeć. Te dwie małe winki nie mają więcej niż po trzy miesiące. Będą delikatne jak przepiórki! Chodź ze mną, Nabie. Sam dopilnuję rządy pieczystego. Marynarz z Nabem poszli do kuchni i zajęli się sprawami kulinarnymi. Nikt im w tym nie przeszkadzał. Obaj z Nabem przygotowali prawdziwe ucztowanie – winki, zupa kangura, węwna, szynki, orzeszki pinii, napoje smoko-wca, herbatki i słowem, co tylko było najlepszego. Ale wśród potraw najcenniejsze miejsce miało zajmować makowite, duszone mięso pekari. O piątej wszyscy zasiedli do stołu w dużej sali Granitowego Pałacu. Na stole dymiła zupa z kangura. Bie siadnicy jednogłośnie uznali ją za wyborną. Po zupie podano mięso pekari, które Pencroff chciał koniecznie sam pokroić, kiedy otrzymał olbrzymią porcję. Prosiaki były naprawdę wspaniałe i Pencroff pałaszował kawę i miód z podziwu godnym zapałem, gdy wtem krzyknął i zaklął. – Co się stało? – zapytał Cyrus Smith. – A to... – że zżamąłem żabę! – Co! Pał prosiak jest nadziewany kamykami? – odezwał się Gedeon Spilett. – Tak wygląda – odpowiedział Pencroff wyjmując z ust coś, co przypomniało utratę z trzonowego. Nie, to nie była kamyk... Było to ziarnko rutu! PORZUCONY ROZDZIAŁ PIERWSZY. Z powodu ziarnka rutu. Zbudowanie pirogi. Polowanie. Na szczycie kauri. Nic nie

zdradza obecności człowieka. Nab i Pencroff owi ryby. Przewręży Zniknie a. Wyjaśnienie Cyrusa Smitha. Upłynęło dokładnie siedem miesięcy od chwili, gdy pasażerowie balonu zostali wyrzuceni na Wyspę Lincoln. Od tego czasu bezskutecznie szukali człowieka na wyspie. Nigdy nawet najlżejszy dymek nie zdradził tu obecności istoty ludzkiej. Nigdzie ślad, bodaj najdrobniejszy ślad pracy rąk ludzkich z minionych czy obecnych czasów wskazywała na to, że człowiek kiedykolwiek przebywał na wyspie. Nie tylko była ona nie zamieszkała obecnie, ale prawdopodobnie zawsze była bezludna. I oto nagle cały gmach przypuszczeń wobec małego ziarenka ołowiu znalezionego w ciele niewinnego prosiaka! Nie ulega wątpliwości, że żrut pochodzi z broni palnej, a ktoś, jeżeli nie człowiek miesiące poszukiwała. Gdy Pencroff położył na stole ziarenko żrutu, jego towarzysze popatrzyli na niego z niekłamnym zdumieniem. W umyśle ich stanęło nagle wszystkie możliwe skutki tego na pozór mało znaczącego, a przecież niesłychanie doniosłego faktu. Niespodziewane ukazanie się takiej nadprzyrodzonej istoty nie wywarłoby na nich większego wrażenia. Cyrus Smith nie omieszkał podzielić ich przypuszczeniami, jakie nasunęły mu się związku z tym zdumiewającym i nieoczekiwanym zdarzeniem. Wziął do ręki ziarenko żrutu, pokręcił je w palcach, obejrzał i wreszcie powiedział: „Czy pan może z całą pewnością twierdzić, Pencroff, że prosiak trafiony tym oto ziarnkiem żrutu nie miał więcej niż trzy miesiące? I to najwyżej, gdy w chwili gdy go znalazłem w dole, ssa jeszcze matka? A wią fakt ten dowodzi, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś na Wyspie Lincoln strzelał z broni palnej? I że trafił żrutem, co prawda nie śmiertelnie, to oto zwierzętko dodał Gedeon Spilett. To nie ulega kwestii, mój daleki Cyrus Smith. Należy wyciągnąć z tego faktu następujące wnioski: albo wyspa była zamieszkała przed naszym przybyciem, albo te, którzy musieli tu wylądować w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czy ludzie ci znaleźli się tu dobrowolnie, czy te wbrew woli, to znaczy wskutek lądowania czy rozbicia statku? To pytanie można być wyświechtliwej. Na razie nie jesteśmy nawet w stanie odgadnąć, czy są to Europejczycy, czy Malajczycy, wrogowie czy przyjaciele, jak rze nie wiemy, czy znajdują się jeszcze na wyspie, czy te już opuścili. Ale jedno jest bezsporne: te sprawy są dla nas zbyt ważne, abyśmy mogli pozostawać tu w niepewności, — Nie i jeszcze raz nie! Po tysiąc razy! Zawołał marynarz zrywając się do stołu. Oprę nas na Wyspie Lincoln nie ma nikogo! Co za lichy! Wyspa nie jest duża, a gdyby była zamieszkała, do tego czasu na pewno spotkalibyśmy już kogoś! Istotnie, dziwiłbym się, gdyby było inaczej, poparł go Harbert. Mam wrażenie, że byłoby jeszcze dziwniejsze, gdyby ten prosiak pekari przyszedł na świat z ziarnkiem żrutu w ciele, zauważył reporter. Chyba że Pencroff miał... nie zdziwył dokoła, ab, gdy marynarz przerwał mu żywo: Co ty sobie myślisz! Może trzymałbym przez pięć sześć miesięcy ziarenko żrutu w ustach i wcale bym tego nie zauważył? Ale gdzie ono mogłoby się schować? Pencroff szeroko otworzył usta ukazując wspaniałe uzębienie. Przypatrz się dobrze, Nabie! I jeżeli znajdziesz w tej szczeliny bodaj jeden dziurawy zęb, to masz prawo wyrwać i puzina! Przypuszczenie Naba jest nie do przyjęcia, wtręcił Cyrus Smith nie mogąc mimo powagi sytuacji powstrzymać się od uśmiechu. Jest rzecz pewna, że na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy na Wyspie Lincoln musieli paść. Jestem jednak skłonny myśleć, że jeżeli jacyś ludzie wylądowali na wyspie, musieli o siłę stać niedawno albo te pobyt ich trwał krótko, gdy nie wątpię, że gdyby wyspa była zamieszkała w chwili, kiedy my ją oglądaliśmy z wysokości Górnego Klina, zauważylibyśmy to z całą pewnością. Jest wiemożliwe, że dopiero parę tygodni temu jacyś rozbitkowie zostali wyrzuceni przez burzę gdzieś na nasz brzeg. W każdym razie musimy tę sprawę badać. Sędzię

powinniśmy postawić wielką ostrożność i powiedzieć reporter. Jestem tego samego zdania poparł go Cyrus Smith ponieważ należały się niestety, obawiam się że ci przybysze to piraci malajscy. Panie Cyrusie odezwaj się marynarz czy nie uważa pan za stosowne, zanim wyruszymy na poszukiwania, zbudować kajak pozwoli nam albo udać się górzki, albo też objechać brzoze? Nie możemy przecież dopuścić aby nas zaskoczono! Pomyśl pana jest sensowny, Pencroff odpowiedział inżynier -ale nie wolno nam tracić czasu. Na zbudowanie kajaka potrzeba co najmniej miesiąca... Tak, gdyby chodziło o prawdziwą... zaoponował marynarz. Ale nam nie jest potrzebny statek, który stawiłby czoło falom morskim, ja zaś zobowiązuje budować dalej w ciągu pięciu dni pirog ostatecznie mocny, abyśmy mogli wędrować po Rzece Dziżynienia. Zbudować w ciągu pięciu dni?! zdumiał się ab. : Tak, Nabie, na sposób indiański. Z drzewa? zapytał Murzyn niezbyt przekonany. Z drzewa, a raczej z kory odparł Pencroff. Powtarzam, panie Cyrusie, że w ciągu pięciu dni sprawa będzie załatwiona. Jeżeli w ciągu pięciu dni, to zgoda powiedział inżynier. Ale przez ten czas musimy być niezwykle czujni wtrącił Harbert. Jak najbardziej potwierdził inżynier. Dlatego też prosiłbym was bardzo, abyście ograniczyli wasze wyprawy powieckie do najbliższej okolicy Granitowego Pałacu. Obiad dobiegał ku mnie wesołym nastroju, niż się tego spodziewał Pencroff. A wiościspa jest lub była zamieszkała przez kogoś jeszcze oprócz kolonistów. Od chwili znalezienia ziarenka rutu fakt ten stał się niewątpliwym odkryciem to żywo wszystkich zaniepokoiło. Przed udaniem się na spoczynek Cyrus Smith i Gedeon Spilett długo o tym rozmawiali. Zastanawiali się czy przypadkiem wydarzenie to nie pozostawiało w jakimś związku z tajemniczymi okolicznościami uratowania inżyniera, a także z innymi dziwnymi faktami, jakie ich już niejednokrotnie zdumiewały. Wreszcie Cyrus Smith, zważywszy wszystkie "za" i "przeciw", powiedział: Chce pan wiedzieć co o tym wszystkim sądzi drogi Gedeonie? Oczywiście, Cyrusie! Otwierdzcie nasze najskrupulatniejsze przeszukiwania wyspy nie dadzą żadnego rezultatu! Następnego dnia Pencroff od rana wziął się do dzieła. Nie chodziło mu o to, aby zbudować statek o prawidłowym szkieletcie i normalnych burtach, lecz po prostu przybrać skorupę paskim dnie, nadając się do wędrowania po Rzece Dziżynienia, zwłaszcza w pobliżu brzozy, gdzie woda nie była głęboka. Pozyskiwane kawałki kory miały tworzyć lekkie cz. Gdyby w razie jakiejś przeszkody zaś była potrzeba przeniesienia go, nie byłoby to ani trudne, ani kłopotliwe. Pencroff zamierzał zszukać pomoc zaniepokojonych gwoździ pasy kory tak, aby dobrze do siebie przylegały, co miało zapewnić z pewnością. Przede wszystkim trzeba było wybrać rzewo, które elastyczne, a zarazem mocna kora nadawała się do tego celu. Ostatecznie huragan zwałił sporo sosnowo-duglaszowe przydatnych do tego rodzaju konstrukcji. Wiele tych drzew leżało na ziemi i w rzeczywistości trzeba było tylko zdjąć ich korę co w rzeczywistości było najtrudniejsze ze względu na niedoskonałość narzędzi, jakie mieli koloniści. Wreszcie i z tym jako się poradzili. W tym czasie, gdy marynarz wraz z inżynierem pracowali bez przerwy nad budową kajaka, Gedeon Spilett i Harbert także nie pozostawali bezczynni. Spoczywając na nich zadanie zaopatrzenia kolonii w żywność. Reporter nie przestawał zachwycać się i chociaż niechętnie, ale z niezwykłą zręcznością w poszukiwaniu sikiem i oszczepem. Harbert odznaczał się także wielką odwagą, poświęcając z zimną krwią i cechami, które można było sądzić sensownie nazwać rozważnym mędrem". Obydwaj myśliwi, stosując się do zaleceń rusa Smitha, nie wydalali się poza teren o promieniu dwumil wokół granitowego Pałacu; na szczęście lasy w najbliższej okolicy dostarczały potrzebnego kontyngentu aguti, kapi-bar, kangurów pekari, a jeżeli nawet do chwili ustania mrozu dobiec wpadając do wilczych dołków znacznie mniej, to

krętarńia skądada swą zwykłym daninami czemu można było wyżywić kolonię wyspy Lincolna. Cóżo w czasie polowania Harbert rozmawia z Ge-deonem Spilettem o znalezionym ziarnku rutu i o wnioskach, jakie inżynier wyciągnął z tego faktu; pewnego dnia było to 26 października powiedziało: Czy nie uważa pan za bardzo dziwne, że jacyś rozbitkowie, którzy wylądowali na wyspie, dotychczas nie pokazali się okolicy Granitowego Pałacu? Byłoby to istotnie dziwne, gdyby jeszcze znajdowali się na wyspie odparł reporter. Wcale natomiast nie jest dziwne, jeżeli ich tutaj już nie ma. A wiśdździ pan, że ci ludzie opuścili wyspę pyta dalej Harbert. To jest wiśj niż prawdopodobne, męhęopcze, jeżeli bowiem mieliby się zatrzymała dęużej, a zwłaszcza gdyby tutaj byli, jakiś przypadek musiałby zdradzić ich obecność. Ale skoro mogli odjechać zauważył chłopiec to chyba nie byli rozbitkami? Nie byli nimi istotnie, Harbercie, albo, że się tak wyrażą byli chwilowymi rozbitkami. Możliwe jest bowiem, że silny wiatr rzucił ich na wyspę ale nie uszkodził statku i gdy się ichura uciszyła, mogli znęypęynęa morze. Jedno jest pewne cięgnę dalej Harbert że pan Smith zawsze raczej obawia się takich ludzi na wyspie, niż ich pragnę. Istotnie potwierdził reporter jego zdaniem na tych wodach mogą kręęiędynie piraci malajscy, a przecię ci dęentelmeni to nicponie, których należy w miaręoęnoęci unikać. A czy nie jest możliwe, panie Spilett nie dawać za wygranę Harbert że pewnego dnia znajdziemy jakieś ślady ich lądowania i wśas bęziemy wiedzieli, jak sprawa wyględa? Nie przeczę męhęopcze. Jakiś opuszczony obęzy wygasę ognisko może nas naprowadzić a ślad, toteż wśanie takich znakęęiemy szukali podczas najbliższej wyprawy. Tego dnia myśliwi znajdowali się lasach przylegających do Rzeki Dzięzynienia. Wokęosęy niezwykle pięe drzewa; mięy innymi wznosięy się a wysokoę prawie dwustu stęspaniaęe drzewa iglaste, które mieszkaę Nowej Zelandii nazywają "kauri". Mam pomysę, panie Spilett powiedziało Harbert. Gdybym wdrapaę się a wierzchoęek któo z tych drzew, męym może zobaczyęyspę szerszym promieniu. Świetna myśl pochwalił go reporter ale czy zdęasz wdrapaęię a sam czubek któo z tych olbrzymę Spręę powiedziało Harbert. żywy jak iskra i zręny chęopak wskoczył na dolne gaęęe, które ukęad uęatwiaę wdrapanie się a drzewo, i w cięgu kilku minut dotarę na sam wierzchoęek wystajęcy ponad morze zieleni, utworzone przez korony drzew. Z wysokiego drzewa wzrok męogarnęęaę poęudniowę czę wyspy od Przyłędka Pazura na poęudniowym wschodzie aę do Cypla Pęaza na poęudniowym zachodzie. Na pęcnym zachodzie wznosię a się Franklina zasęaniajęca znaczę czę widnokrę. Wśanie z tego punktu obserwacyjnego Harbert męobejrzeęie zbadanę dotychczas czę wyspy, gdzie byłoęe ukrywali się rzybysze, o które myęleli kolonięci. Chęopiec obserwowaę okolice z najwięzę uwagę. Na morzu, jak okiem sięęę nic nie było widaę Nie dostrzegę nawet śladu śagła ani na widnokrę, ani w poblięu wyspy. Jednakęe, ponieważ wybrzeęe przesęaniaę a zwarta grupa drzew, istniaę a możliwośćęe jakiś statek, zwłaszcza po utracie omasztowania, męprzybięo samego lędu nie zauwaęony. W Lasach Dalekiego Zachodu takęe nie było nic widaę Puszcza tworzyę a nieprzeniknionę dla oka kopuęęzajmujęcę przestrzeęlku mil kwadratowych bez śadnej polanki czy porę. Nie można było nawet śledzięiegu Rzeki Dzięzynienia ani teę dostrzec, w które miejscu w gęh bierze ona poczętek; możliwe, że na zachęęynę jeszcze jakieś inne rzeki czy strumienie, ale niepodobna było tego stwierdzię Jednakęe jeżeli nawet Harbert nie mędostrzec bezpoęrednio śadnego obozowiska, to czy dym nie powinien być zdradziębecnoęci częowieka? Powietrze było przecię przejrzyste i najmniejszy obęoczek dymu odcinaęby się yraęnie na tle nieba. Przez chwilęydawaęo mu



się na zachodzie unosi się cieniutki dymek, ale gdy przyjrza się dokładniej, stwierdzi, że uległ zudzeniu. Wpatrywał się w nie swoim bystrym wzrokiem, ale nic absolutnie nie mędojrzał Harbert zszedł z drzewa i obydwaj myśliwi powróci do Granitowego Pałacu. Słuchając opowiadania chłopca Cyrus Smith w milczeniu pokręcił głowę. Dla niego było oczywiste, że bez dokładnego zbadania wyspy nie da się tej sprawy rozstrzygnąć. W dwa dni później, 28 października, zaszedł nowy wypadek, który tak bardzo wszystkim wiele do myślenia. Będącym siłą wyrzeka Harbertowi i Nabowi poszczęśliwi się zowili wspaniałą zdobycz. Było to okazanie morskiego opancy, zielonkawym panczerzu. Harbert zauważył go w chwili, kiedy przepływał pomiędzy gwałzami w kierunku morza. Nab, chodząc tu do mnie! zawołał. Nab przybiegł natychmiast. Co za piękna sztuka zachwyca się! Ale jak ją zapałał? Nic łatwiejszego, Nabie powiedziała Harbert. Przewróć ją na grzbiet, to nie będzie męcić. Weź oszczep i rękę, co ja. Czujcie niebezpieczeństwo, schował się od pancierz. Nie było widać ani łaba, ani łap; znieruchomiał jak gwałz. Wówczas Harbert z Nabem wsadzili oszczep pod mostek łaba i wspólnym wysiłkiem nie bez trudu przewrócił go do gwałzami. Zwierzę ugościło oko o trzech stąty co najmniej czterysta funtów. Wspaniale zawołał Nab a to dopiero męrzyjacieli Pencroff się cieszy! Marynarz na pewno byłby zachwycony, gdyby miał łaba, żywego morskiego, jest niezwykle smaczne. W tej chwili spod pancierza widać tylko mały, spłaszczony łeb, rozszerzający się okolicy skroni. Co teraz zrobimy z naszym zdobyczem? zapytał Nab. Nie możemy przecież cięgnąć do Granitowego Pałacu. Zostawimy ją tutaj postanowił Harbert. Nie możemy sam stanąć na nogi. Potem przyjedziemy w łódź i zabierzemy go do domu. Zgoda. Dla wiary pewności Harbert nie omieszkał podeprzeć łaba kamieniami, co zresztą Nab uważał za zbędne. Obaj myśliwi wrócili do Granitowego Pałacu plałając trochę odpoczynkiem na dużej przestrzeni. Harbert, chcąc sprawdzić Pencroffowi niespodziankę, nie powiedział o wspaniałym okazie łaba, który unieruchomili nad morzem. W parę godzin później powrócił z Nabem i z łódź na to samo miejsce. Ze wspaniałego okazie łaba" nie zostało ani śladu. Nab z Harbertem popatrzyli na siebie, a potem dookoła. Przecież nigdzie indziej, lecz w łódź nie tu zostawili łaba! Chłopiec znalazł nawet kamienie, które go podparły, a zatem nie męsiły. To dopiero! rozgniewał się łab. Czy takie zwierzę umie się odwrócić? Tak wyglądał wykrztusił Harbert, który zupełnie zbaraniał i wpatrywał się w kamienie rozrzucone na piasku. No, Pencroff nie będzie miał z czego się cieszyć? A pan Smith na pewno będzie w kłopotach, jak wytłumaczyłniknie łaba" pomyślał Harbert. Nikomu o tym nie powiemy postanowił Nab chcąc ukryć powódzenie. Wróć odwrotnie, Nabie, musimy o tym powiedzieć odparł Harbert. Po czym obaj zawróci w stronę granitowego Pałacu, cięgnąc za sobą wzięte niepotrzebnie w łódź. Harbert poszedł do "stoczni", gdzie inżynier pracował wspólnie z marynarzem, i opowiedział o tym, co zaszło. Co za niezdarzy! zawołał marynarz. Jak można było dopuścić do tego, aby co najmniej z pięćdziesiąt porcji zupy umknęło wam sprzed nosa! Ale, Pencroff wytłumaczył się łab przecież to nie nasza wina, że zwierzęciekło. Męci, że przewróciłmy je na grzbiet! To widocznie przewróciłcie je nie do łódź obrze nie dawał się rzeźbiarą marynarz. Jak to nie do łódź obrze! zirytował się Harbert. I opowiedział, jak to nie zaniechał nawet podeprzeć łaba kamieniami. To jaki cud! zawołał Pencroff. "Myślałem, panie Cyrusie mę dalej Harbert że jak łaba przewrócił na grzbiet, to o własnej sile nie zdoła stanąć łapy, zwłaszcza tak "duża sztuka. Nie mylisz się moje dziecko potwierdził Cyrus Smith. No to w jaki sposób ogłosił się łaba? W jakiej odległości od morza pozostawili łaba? zapytał

inżynier, który przestał pracować zastanawia się nad całym wydarzeniem. Naiwnej i jakieś pytania. Czy to było w czasie odpływu? pyta dalej inżynier. Tak, proszę pana. Wiątprawdopodobnie zdoła dokonać wodzie tego, czego nie mógł zrobić na piasku tłumaczy inżynier. Odwrócił się, gdy w czasie przypływu uniosła go woda, i spokojnie popłynął na pękłe morze. A to z nas niezdarzy! zmartwił się. Miałem zaszczyt jutro wam to powiedzieć oświadczył Pencroff. Cyrus Smith udzielił wyjaśnienia, które miało pozory prawdopodobieństwa. Ale czy sam był naprawdę przekonany o słuszności swoich argumentów? Nie można było tego twierdzić całkiem pewno. ROZDZIAŁ DRUGI. Spuszczenie na wodę irogi. Szczątki na brzegu. Holowanie. Cypel Skrzyni. Zawartość skrzyni: narzędzia, broń, przyrządy, odzież, książki, sprzęt. Rozczarowanie Pencroffa. Ewangelia. Słowa z Pisma wiążęgo. 29 października z kory byłą całą kowicie wykończą. Pencroff dotrzyma słowa i w ciągu pięciu dni została zbudowana piroga, która kadłub miała zebra z giętych gałązek krejimy. Jedną ławka z tyłu, druga pośrodku dla utrzymania rozchylenia burt, trzecia z przodu, poza tym listwy na burtach do przymocowania dulek na wiosła, wiosła sterowe i otoczenie wyposażenie, które miało dwa długoci i ważyła zaledwie dwieście funtów. Spuszczenie jej na wodzie nastręczało trudności. Lekki pirog przeniesiono na piasek na skraj brzegu morskiego przed Granitowym Pałacem, a przypływ morza unięjął dogodnie. Pencroff wskoczył do niej natychmiast i wypręawszy ster stwierdził, że nie nadaje się doskonale do celów, które ma służyć. Hura! zawołał, gdy nie omieszkał tym okrzykiem uczciwego wspaniałego tryumfu. W tej chwili można objechał. Kulskiem? zapytał Gedeon Spilett. Nie, wyspa Parajamieni jako obciążenie, maszt na przodzie i kawałek żagla, który pan Smith na pewno wyprodukuje, a możemy zajechać aleko! No cóż panie Cyrusie, panie Gedeonie, Harbercie i ty, Nabie, czy nie macie ochoty wypręaszyć nowego statku? Do licha! Musimy przecież sprawdzić czy zdoła unieść nas wszystkich! Miała rację należało to sprawdzić. Jednym ruchem wiosła sterowego Pencroff doprowadził do wybrzeża w wąskim przejściu pomiędzy skałami. Postanowiono zrobić tego samego dnia przepirogi, płynąc wzdłuż brzegu aż do pierwszego cypla, gdzie kończy się stę skałne na południu. W chwili wsiadania Nab zawołał: Ale ten twęstatek pije jak smok! To nic, Nabie uspokoił go Pencroff. Drzewo musi napęnieć. Za dwa dni wszystko będzie w porządku i w brzuchu naszej pirogi nie znajdzie się ani kropli wody nie w środku pijaka! Wła! Wszyscy wsiedli do i Pencroff odepchnął ją od brzegu. Pogoda była wspaniała, a morze spokojne jak tafla jeziora. Można było wypuścić i irogę tak bezpiecznie, jak gdyby się płynęło spokojnym nurtem Rzeki Dzięzynienia. Nab chwycił za jedno wiosło, Harbert za drugie, a Pencroff stanął w tyle łodzi, aby sterować. Marynarz przeprowadził przez kanał tuż w pobliżu południowego krańca wysepki. Z południa dął lekki wietrzyk. Bałwanie było ani w kanale, ani na pękłym morzu. Jedynie duża fala dogodnie wzdymała powierzchnię wody, ale cię obciążona piroga nie odczuwała tego prawie wcale. Kolonijci oddalili się jakies pięćdziesiąt jardów od brzegu, żeby zobaczyć Franklina w całej okazałości. Pencroff skręcił w stronę ujścia rzeki. Piroga popłynęła wzdłuż brzegu, która zaokręglając się do cypla, osłaniając całe Bagno Podgorzańskie. Cypel, wysunięty daleko w morze, leżał mniej więcej o trzy mile od Rzeki Dzięzynienia. Postanowiono wysunąć cypel tylko tyle, ile trzeba, aby szybko ogarnąć pojrzeniem wybrzeże do Przylądka Pazura. Piroga płynęła wzdłuż wybrzeża w odległości najwyżej dwukabli, omijając starannie rafy podwodne, które przypływ zaczął już pokrywać alami. Łąca skalna obniżała się oczwwszy od ujścia rzeki i dochodziła aż do samego cypla. Tworzyły ją spięzone zomy granitu,

malowniczo rozsiane i wyglądające bardzo niedostępie, zupełnie inaczej niż zobczcie Paskowicz Roz-, lego Widoku. Sprawia to takie wrażenie, jak gdyby ktoś oprę tu potęy w aadowany gęzami. Na ostrym cyplu, wybiegającym dwie mile przed skraj lasu, nie było żadnej roślinności; cypel wyglądał jak ramiamiennego olbrzyma wynurzające się rwa zieleni. Człuchane dwoma wiosłami posuwało się lekko. Gedeon Spilett, uzbrojony w o i notatnik, szkicowała kontury brzegu. Nab, Pencroff i Harbert gwarzyli oglądając nową posiadłości; w miarę osuwania się po południe obydwaj Przylądki Szczę jak gdyby zwierają się mocniej zaciskały wokół atoki Unii. Cyrus Smith nie odzywał sięcale; patrzył uważnie, a czujność widoczna w jego wzroku sprawiała wrażenie, jakby inżynier obserwował jak nieznane krainę. Pn i-iiTęrrro mego cypla i Pencroff zamierzał go już okrężył gdy Harbert stojąc w łodzi, wskazał ręką jak czarna plama? Ciemne leży na brzegu? Wszyscy spojrzeli w tę stronę? Istotnie? powiedziała reporter: co tam jest, jakby jakiś wrak na wpadły w piasek. (Ach? zawołał Pencroff? już widzę co tam leży? a co? zapytał Nab. Baryki, i to baryki, które mogły okazać się e?ne? powiedziała marynarz. Do brzegu, Pencroff! zakomenderował Cyrus Smith. Kilka pchnię wiosłami i piroga przybiła "do zatoczki, a pasażerowie wyskoczyli na ląd. Pencroff się nie omylił. Leżały tu "dwie beczki, Ho połowy zaryte w piasek, a w dodatku mocno przytwierdzone do dużej skrzyni; skrzynia, utrzymywana na powierzchni wody przez beczki, pękała dopóki nie osiadła na brzegu. Czyby gdzieś w pobliżu wyspy wydarzyła się katastrofa okręwa? zapytał Harbert. Najprawdopodobniej? odpowiedziała Gedeon Spilett. Ale co jest w tej skrzyni?! zawołał Pencroff z zupełnie zrozumiałym zaciekawieniem. Co w niej może być? Jest zabita gwóździami, a my nie mamy przy sobie nic, a żeby odbić ieko! Dalej wiemy spręmy kamieniami... Marynarz pochwycił cięgi gęz i zamierzał rozbić im kę bok skrzyni, ale inżynier powstrzymał go męć: Pencroff, czy męy pan pohamował woję ciekawo? odaj na jedną godzinę? Ale, panie Cyrusie, proszę tylko pomyśleć? Moę w tej skrzyni znajduje się o wszystko, czego nam brak! Dowiemy się tak, Pencroff? odparł inżynier. Proszę nie posłuchać nie rozbić skrzyni, które może się am przydać? Przetransportujemy ją do Granitowego Pałacu, gdzie będziemy mogli z łatwością otworzyć bez rozbijania. Skrzynia jest przygotowana do podnę a ponieważ dopłynę do tego miejsca, to z powodzeniem dopłynię takę do ujęcia rzeki. Ma pan rację panie Cyrusie, le chciem postępić sumitować się arnyarz. Ale człowiek nie zawsze panuje nad sobą. Rada inżyniera była sęszna. Istotnie piroga nie pomieści aby na pewno przedmiotów znajdujących się skrzyni, które musiałaby być, gdy potrzeba byłoby a dwupustych beczek, żeby utrzymać na powierzchni wody. A zatem bardzo wskazane byłoby przyholowanie jej pod Granitowy Pałac. Ale skąd się zię te przedmioty? To byłoby ważne pytanie. Cyrus Smith i jego towarzysze uważnie rozejrzeli się okoła i przeszli kilkaset kroków zdę wybrzeża. Nie dostrzegli żadnych innych szczegółów? Rzucili także okiem na morze. Harbert i Nab wdrapali się awet na wysoką skałę? ale na horyzoncie nic nie dojrżeli. Jak okiem się zię ani uszkodzonego okrę, ani agłowca. A przecie muszą tu niewętpliwie rozbić i?aki? statek. Moę ten wypadek więza się z znalezieniem ziarnka? rutu? Moę jacy przybysze wylądowali w innej części wyspy? Moę s tam jeszcze? Kolonistom musiałaby się sposobczywisty nasunęły, że ci przybysze nie mogli być iratami malajskimi, gdy wyrzucona skrzynia była niewętpliwie pochodzenia będ? amerykańskiego, będ? europejskiego. Wszyscy ponownie podeszli do skrzyni, które dęugo? ynosiła pięst? szeroko? rzy. Skrzynia była z drzewa dęwego, starannie zabita i pokryta grubą skę przytwierdzoną

mosiymi gwoździami. Dwie duże baryki, hermetycznie zatkane i puste co można by stwierdzić pukając je przyczepione były do jej boku a pomoc grubych sznurawiczanych na wózy, które Pencroff z łatwością rozpoznał jako "wózy marynarskie". Stan jej wydawał się nienaruszony, co można było wyrozumieć aktem, że została ona wyrzucona nie na skałę, lecz na piaszczysty brzeg. Przy uważnych oglądaniach stwierdzono, że nie musiała długo przebywać w wodzie i że na brzegu osiadła niedawno. Woda prawdopodobnie nie zdołała przeniknąć do wnętrza i zawarte w niej przedmioty były na pewno w dobrym stanie. Skrzynia została wyrzucona za burtę uszkodzonego statku, zdając się do wyspy to było zupełnie oczywiste. Pasażerowie statku spodziewając się że dobrą do brzegu i że być mogli przez jej znaleźnięcie zatroszczyli się to, aby zmniejszyć jej ciężar za pomocą pustych barytek. Przyholujemy łodzi Granitowego Pałacu powiedział inżynier i spisujemy jej zawartość potem, jeżeli odnajdziemy na wyspie jakichkolwiek rozbitków ocaleli z tej przypuszczalnej katastrofy, wrzemy wszystkie przedmioty prawowitym właścicielom. Jeżeli za nie znajdziemy nikogo... zatrzymamy je dla siebie! zawołał Pencroff. Ale na Boga, co w niej może być. Przypływ już zaczął dosięgać łodzi, która przy najwyższym stanie wody powinna być spłynała piasku. Koloniści czciowo rozwinięli jeden ze sznurów przytrzymujących beczki i posłużyli się nim jako linę holowniczą, a żeby przywiózła ją do pirogi. Potem Pencroff i Nab wyłobili wiosłami piasek, by ułatwić przesunięcie się łodzi, i niebawem chwycili, holując skrzynię minęła cypel, który nazwano "Cypel Skrzyni" (Flotsam-point). Skrzynia była ciężka i beczki z trudem mogły utrzymać się na wodzie, toteż marynarz obawiał się że może się ona w każdej chwili urwać i opaść na dno. Na szczęście jego obawy okazały się błędne i po paragonicznej podróży tylko bowiem trzeba było o zużyciu czasu na przebycie trzech mil piroga przybiła pod Granitowy Pałac. Człowiek i skrzynię przyciągnął do brzegu, a ponieważ zaczął się opóźniać odpływ, niebawem znalazł się na suchej ziemi. Nab wziął narzędzia, a żeby odbić łodzi starając się jak najmniej ją uszkodzić. Przygotowano się do wydobywania jej zawartości. Pencroff nie ukrywał swego wzruszenia. Przede wszystkim odwiózł beczki, które były w doskonałym stanie i, rzecz jasna, mogły się bardzo przydać. Następnie podważył zamki za pomocą obcęgi i wieko dało się łatwo otworzyć. Skrzynia była wewnątrz obita blachą cynkową, zabezpieczającą przedmioty od wilgoci. Czy to były konserwy?! - zawołał Nab. Mam nadzieję że nie odparł reporter. Ach, gdyby w niej było... westchnął pirosem marynarz. Co? zapytał Nab. Nic! Obszycie z blachy zostało rozcięte wzdłuż i rozchylone na boki, a wszystkie przedmioty wydobyto i ułożono na piasku. Przy wyciąganiu każdego z nich Pencroff wołał "hura", Harbert klaskał w dłonie, a Nab wykonywał jakiś tryumfalny taniec. W skrzyni były książki, na których widok Harbert omal nie oszalał ze szczęścia, i sprzęt kuchenny, który Nab chętnie okryłby pocałunkami. Zresztą wszyscy mieli powojak najwięcej radości, gdy skrzynia zawierała narzędzia, broń, instrumenty, odzież i książki. A oto dokładny spis, tak jak go sporządził w swoim notatniku Gedeon Spilett. Narzędzia: 3 noże o kilku ostrzach 2 topory, 2 siekiery ciesielskie, 3 heble, 2 toporki, 1 ciecica, 6 par nożyc, 2 pilniki, 3 młotki, 3 widry, 2 wiertła, 10 worków wódr i żur, 3 piły różnej wielkości, 22 pudełka igieł. Broń: 2 strzelby skałkowe, 2 strzelby kapiszonowe, 2 karabiny o wewnętrznym zapłonie, 5 kordelas 4 szable marynarskie, 2 baryki prochowe o dwadzieścia pięt 12 pudełek podsypki zapłonowej. Instrumenty: 1 sekstans, 1 lornetka, 1 luneta, 1 komplet cyrkli, 1 busola kieszonkowa, 1 termometr Fahrenheita, 1 barometr aneroidowy, 1 pudełko zawierające komplet fotograficzny: aparat, obiektyw, klisze, chemikalia itd. Odzież: 2 tuziny koszul z nieznanego materiału, 3 tuziny

po ch z tej samej we ny. Sprz domowy: 1 imbryk blaszany, 6 rondli z pobielanego mosi dzu, 3 p ski blaszane, 10 nakry luminiowych, 2 kocio ki, 1 przeno na kuchenka, 6 no y sto owych. Ksi ki: 1 Biblia, 1 s ownik narzeczy polinezyjskich 1 atlas . Ponadto: 1 encyklopedia przyrodnicza w sze ciu tomach, 3 ryzy bia ego papieru, 2 rejestry o bia ych kartkach. Trzeba przyzna stwierdzi reporter, gdy zako no spisywanie inwentarza e w a ciciel tej skrzyni by cz owiekiem praktycznym. Niczego w niej nie brakuje: s narz ia, bro instrumenty, odzie , sprz domowy, ksi ki. Mo na by pomys le e mia w projekcie katastrof ttku i z g si o niej przygotowa . Istotnie, niczego tu nie brak mrukn w zadumie in ynier. Na pewno statek, na kt p yn ta skrzynia, nie nale a do pirat alajskich doda Harbert. Chyba e w a ciciel dosta si o niewoli pirat. odezwa si encroff. To jest ma o prawdopodobne zaoponowa reporter. Raczej jaki statek ameryka czy europejski zab ka si tych okolicach, pasa erowie za, chc uratowa rzynajmniej najniezb iejsze rzeczy, za adowali je do skrzyni i wyrzucili j za burt . Czy pan jest te tego zdania, panie Cyrusie? zapyta Harbert. Tak, m rogi odpowiedzia in ynier. Tak to mog o si ta Zupe nie mo liwe, e w przewidywaniu czy te w chwili katastrofy zgromadzono w tej skrzyni przedmioty najpotrzebniejsze, eby p eej odnale e w jakim punkcie wybrze a... Nawet aparat fotograficzny! zauwa y z niedowierzaniem marynarz. Co do tego aparatu zgodzi si nim in ynier to ja tak e nie bardzo rozumiem, po co on jest potrzebny. I mam, i wszystkim rozbitkom bardziej by si rzyda pe niejszy asortyment odzie y i wi j amunicji. Ale czy na tych instrumentach, na narz iach czy na ksi kach nie ma adnej marki, adnego adresu, niczego, co by pozwoli o rozpozna ochodzenie przedmiot zapyta Gedeon Spilett. Uwaga by a s uszna. Obejrzano dok adnie ka dy przedmiot, przede wszystkim ksi ki, instrumenty i bro ecz ani bro ni instrumenty, wbrew przyjm zwyczajom, nie mia y na sobie adnego znaku fabrycznego. Wszystko by o zreszt w doskona ym stanie i wygl da o na nie u ywane. To samo, je li chodzi o narz ia i sprz domowy; wszystko by o nowiute , co wiadczy o tym, e przedmioty nie by y pozbierane przypadkowo i wrzucone do skrzyni na chybi trafi , lecz e dob ch by przemylany i pieczo owicie przygotowany. Wskazywa o na to tak e obicie skrzyni wewn trz blach , co zabezpieczy o j ca kowicie od wilgoci. Takie staranne obicie blaszane nie mog o by ykonane po piesznie i w ostatniej chwili. Zar encyklopedia przyrodnicza, jak i s ownik narzeczy polinezyjskich by y angielskie, ale nie wida y o na nich ani nazwiska wydawcy, ani te daty wydania. Biblia by a tak e w j ku angielskim, formatu in uarto\*, prawdziwy okaz sztuki drukarskiej; ksi ta nosi a na sobie ludy cz ego przegl dania. Nazwy w atlasie by y natomiast francuskie. Wspania e dzie o, zawieraj ce mapy ca ego wiata i kilka map p l wykre lonych wed ug rzutu Mercatora, tak e nie nosi o ani daty wydania, ani nazwiska wydawcy. Na adnym z przedmiot ie by o najmniejszego znaku, kt by zdradza jego pochodzenie, a zatem nie by o adnej wskaz mog cej nasun rzypuszczenie co do narodowo ci okr , kt musia niedawno t przechodzi. Niezale nie jednak od tego, sk d ta skrzynia pochodzi a, dzi niej koloni ci Wyspy Lincoln stali si ogaczami. Dotychczas, przerabiaj c bogactwa naturalne, musieli, wszystko stwarza ami i tylko dzi swej inteligencji wybrn z ci iej sytuacji. Ale czy to nie wygl da o tak, jak gdyby Opatrzno hcia a ich za to wynagrodzi sy aj c r wyroby przemys owe? Tote wszyscy jak jeden m wnie li mod y dzi zynne ku niebu. A jednak by w r ich kto niezupe nie zadowolony, mianowicie Pencroff, jak gdyby skrzynka nie zawiera a jakiego przedmiotu, na kt mu specjalnie zale a o. W miar ydobywania r ch rzeczy jego okrzyki rado ci stawa y si niej entuzjastyczne, a gdy sko no spis inwentarza,

marynarz mrukn pod nosem: Wszystko to pięknie, ładnie, ale jestem pewny, że dla mnie w tej skrzyni nie znajdzie się nic. Na to Nab krzyknął: A czego ty jeszcze chcesz, przyjacielu?! Półtora tytoniu z powagą odparł Pencroff a wtedy nic by mi już do szczęścia nie brakowało. Szczęście to kolonijcy nie mogli powstrzymać się od miechu. Ze znalezienia skrzyni wynikało niezbicie, że teraz dokładniej niż kiedykolwiek należało zbadać wyspę. Kolonijcy więc ustalili, że nazajutrz skoro świt wyruszą w drogę w głąb Rzeki Dzielnienia, tak by dotrzeć do zachodniego wybrzeża. Jeżeli jacyś rozbitkowie wylądowali w tej części wyspy, istniała obawa, że znaleźli się też i prochy życia, należało zatem niezwłocznie przyjąć z pomocą. W ciągu dnia wszystkie znalezione przedmioty przeniesiono do Granitowego Pałacu i porządkownie ułożono w wielkiej sali. Tego dnia, 29 października była to niedziela przed udaniem się na spoczynek Harbert poprosił inżyniera, aby mu przeczytał kilka ustępów z Ewangelii. Chciał powiedzieć Cyrus Smith. Wziął do ręki i już miał zamiar ją otworzyć, gdy Pencroff powstrzymał go mówiąc: Panie Cyrusie, jestem zabobonny. Niech pan otworzy Biblię a chybi trafi i przeczyta pierwsze zdanie, jakie panu wpadnie w oczy. Zobaczmy, czy da się zastosować do naszej sytuacji. Cyrus Smith uśmiechnął się i spełniając życzenie marynata, otworzył Ewangelię w miejscu, w którym tkwiła zakładka. Wzrok jego zatrzymał się na czerwonym krzyżyku, zrobionym ołówkiem przed pierwszym ustępem siódmego rozdziału Ewangelii św. Mateusza. Przeczytał zdanie, które brzmiało: Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie. ROZDZIAŁ TRZECI. Odjazd. Przypraw. Wiąz i wiązowiec. Różne rośliny. Złotka. Wygląd lasu. Olbrzymie eukaliptusy. Dlaczego nazywa się drzewami górskimi. Gromady małp. Wodospad. Nocleg. nazajutrz, 30 października, wszystko było przygotowane do zamierzonej wyprawy, która stała się silna ze względu na ostatnie wydarzenia na wyspie. Istotnie, sprawy przybrały obecnie taki obrót, że kolonijcy Wyspy Lincoln mieli już prawo uważać siebie za ludzi potrzebujących pomocy, ale za mogących nie odmówić. Postanowili pójść w głąb Rzeki Dzielnienia dopóki dopóki nie znajdą na spławie. W ten sposób mogli przebyć całą drogę bez zmiany, a rzeczywiście przetransportować zapasy żywności i broni na daleko wysunięty w kierunku zachodnim punkt wyspy. Należało zresztą myśleć tylko o przedmiotach zabranych ze sobą, ale także o ludziach, których, być może, trzeba będzie sprowadzić do Granitowego Pałacu. A jeżeli sprawdzisz rzypuszczenia, że w pobliżu wyspy wydarzyła się katastrofa okrętu, to na pewno nie zabraknie pochodzących z niego przedmiotów wyrzucanych przez falą brzeg. Będzie one niewątpliwie przydatne i trzeba je będzie zabrać. Wzrost, oczywiście, nabyłby się do tego celu lepiej niż w tej chwili; ale w tym by ci i prymitywny, a w dodatku trzeba go było ciągnąć przez co stawał się nie wygodny w użyciu. Dlatego też Pencroff wyraził żal, że w skrzyni zabrakło nie tylko "półtora tytoniu", ale także pary silnych koni z New Jersey; przecie tak bardzo by się przydały kolonii! Zadane przez Naba zapasy składowane przez siebie zakonserwowanego mięsa oraz kilku galonów iwa i sfermentowanego soku; miały one wystarczyć na trzy dni najdłuższy termin, jaki Cyrus Smith przeznaczył na wyprawę. Zresztą kolonijcy zamierzali uzupełnić zapasy w drodze i dlatego Nab nie omieszkał wziąć z sobą także i prętniczej kuchenki. Z narzędzi kolonijcy wzięli dwie siekiery, które mieli wyrębywać drogę w gęstym lesie, a z instrumentów lunetki, kieszonkowy busol. Jako broń brano dwie strzelby skałkowe, gdy potrzebny był do nich tylko materiał do zastąpienia krzemienia tymczasem drugi z posiadanych przez nich rodzajów broni wymagał podsypanki zapalniczej, której zapas przy całym użyciu szybko się wyczerpuje. Wziął z sobą także jeden karabin i naboje oraz trochę proch, który był w barykadach około pięćdziesięciu funtów inżynier miał nadzieję, że w przyszłości uda mu

się produkowa substancję buchową, co pozwoli na zaoszczędzenie prochu. Obroni palnej wziętakę piękordelas skłonych pochwach; w tych warunkach kolonijci mogli zagłębić serce kniei, licząc na pewno, że wydobę siękałej opresji. Nie trzeba dodawaćtak uzbrojeni Pencroff, Harbert i Nab nie posiadali się radości, Cyrus Smith wzię jednak od nich solenne przyrzeczenie, i nie oddadzą bez potrzeby ani jednego strażu. O szóstym rano pirogopchnię na morze. Wsiedli w niego wszyscy z Topem wczynie i czę skierowało się stronęjędzia Rzeki Dzięzynienia. Przypięw zaczę sięopiero przed pędzinę. Podręcy spodziewali sięatem, że bę mieli jeszcze przez kilka godzin sprzyjajęcy pręd, z czego naleąa skożystaę gdy potem odpięw utrudnięby posuwanie się gęrzeki. Sięa przypięwu byęa już duęa, za trzy dni bowiem miaęa następięeńnia księca; toteę piroga, ktę wystarczyęo utrzymaęa prędzie, posuwaęa sięzbytko pomięy wysokimi brzegami, a podręcy nie mieli potrzeby zwięzaęej szybkoęci za pomocę więseę. Po kilku minutach dotarli do ostrego zakrę rzeki, gdzie przed siedmioma miesięcami Pencroff zbudowaę pierwszę tratwę. Od tego miejsca koryto rzeki skręęo w kierunku poęudniowo-zachodnim, a wody jej toczyę się cieniu wielkich, wiecznie zielonych drzew iglastych. Brzegi Rzeki Dzięzynienia wyględaę przepięie. Cyrus Smith i jego towarzysze nie przestawali zachwycaęięspaniaęymi widokami, jakię przyroda takęatwo stwarza z wody i zieleni. W miaręosuwania sięaprzęystęwaęy coraz inne rodzaje drzew. Na prawym brzegu rzeki widaęyęo wspaniaęe okazy z gatunku więzowatych, bezcenne więzy, tak bardzo poszukiwane przez konstruktorękręw ze wzglę na to, że mogę dęugo przebywaę wodzie nie gnijęc. Dalej widniaęy grupy drzew naleęęcych do tego samego gatunku, mięy nimi więzowce rodzęce orzeszki, z ktęh wytęacza sięardzo dobry olej. Nieco dalej Harbert zauwaęyę kilka drzew zwanych "lardizabalami", ktęh gięie gaęęzki, wymoczone w wodzie, daję doskonaęe liny, wreszcie paręrzew hebanowych o pięej, czarnej korze, kapryęnie poprzecinanej yękami. Od czasu do czasu czę zatrzymywaęo się miejscach, gdzie brzeg byę mniej stromy. Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff ze strzelbami w rę, poprzedzani przez Topa, przeszukiwali teren. Opręzwierzyny spotykano duęo poęytecznych roęlin, ktętakę mogęy sięrzydaęMęody przyrodnik ku swej wielkiej radoęci odkryę kę dzikiego szpinaku z gatunku komosy i liczne okazy z rodzaju krzyęowych, dajęce sięucywilizowaędrogę przesadzenia; byęa tam rzeęucha, chrzan, rzepa, wreszcie jakię pokryte meszkiem, cienkie yęodyęki metrowej wysokoęci o ciemnych, prawie brunatnych ziarnkach. "Wiesz, co to za roęlina?" zapytaę Harbert Pencroffa. "Tytoę krzyknęę marynarz, ktęprawdopodobnie dotychczas widywaę swoję ukochanę roęlinęylko w fajcie. "Nie, Pencroff, to nie tytoęecz gorczyca. "Niech bęie gorczyca yę zgodzię sięencroff. "Ale gdybyę przypadkiem zauwaęyę, męhęopcze, bodaj jednę-yodyękęytoniu, bardzo cięroszęęebyę nie nie pogardzię. "Na pewno znajdziemy kiedyę tytoęuspokajaę go reporter. "Naprawdęę ucieszyę sięencroff. "Wtedy, jako yęwo, niczego już nam nie bęie brakowaęo na wyspie! Roęliny ostroęnie wykopano i przeniesiono do pirogi, ktę pilnowaę pogręęony w rozmyęlaniach Cyrus Smith. Reporter, Pencroff i Harbert kilkakrotnie wychodzili to na prawy, to na lewy brzeg rzeki. Prawy brzeg byę mniej stromy, za to lewy mniej zalesiony. Za pomocę kieszonkowej busoli inęynier stwierdzię, że od pierwszego zakrę koryto rzeki na przestrzeni okoęo trzech mil biegnie z pędnego wschodu na poęudniowy zachęi to prawie w linii prostej. Naleąaęo jednak przypuszczaęęe dalej ten kierunek sięmieni i Rzeką Dzięzynienia skręę na pęcny zachę kierunku zboczy GęFranklina, gdzie bierze poczętek. Spilettowi udaęo sięęowięwie pary yęwych kurakęByęy to ptaki o dęugich cienkich dziobach, wydęuęonych szyjach, kręch skrzydęach i bez yęladu ogona. Harbert sęusznie nazwaę je "kusakami" i

wszyscy uchwalili, że zapoczątkuj one przyszłe ptaszarnie. Dotychczas strzelby jeszcze nie przemówiły. Pierwszy strzał, jaki rozległ się w Lasach Dalekiego Zachodu, był spowodowany ukazaniem się tego ptaka, podobnego z wyglądu do zimorodka. Poznaj go! zawołał Pencroff i wystrzelił jak gdyby wbrew swojej woli. Co pan poznaje? zapytał reporter. Ptaka, który uciekł nam w czasie pierwszej wyprawy i którego imieniem nazwaliśmy tego lasu. Złotka! ucieszył się Harbert. Była to istotnie złotka, piękny ptak o dołcotywnym upierzeniu z metalicznym połyskiem. Kilka ziarenek rutu straciło ją na ziemi, a Top przyniósł do czubka razem z tuzinem chemiaków i takich wielkich gołębi, o jaskrawym, zielonym upierzeniu, skrzydłach gdzieś karmazynowych i sztywnym czubku na głowie, zakończonym białym obrzeżeniem. Zaszczycił zastrzelenia tych ptaków przypadkiem Harbertowi; był on z tego powodu bardzo dumny, gdyż chemiak stanowił lepszą zdobycz niż złotka, która jest nieco rzadka. Pencroffowi jednak nie można było wyperswadować, że nie ustrzelił on krótko. Około dziesiątej rano piroga dotarła do drugiego zakrętu rzeki, znajdując się nie więcej niż o pięć mil od ujścia. Zatrzymano się tutaj, aby zjeść śniadanie, a popas pod wielkimi, wspaniałymi drzewami przeciwnie do siebie. Szerokość rzeki wynosiła tu sześćdziesiąt siedemdziesiąt stóp, a głębokość pięćdziesiąt. Inżynier zauważył kilka wpadających do niej strumyków, a żaden z nich nie był spławny. Jak okiem się rozejrzył, widział się w Lasach Dalekiego Zachodu. Nigdzie ani w wysokim starodrzewu, ani w rzew przybrzeżnych nie było widać człowieka. Kolonistom nie udało się paść żaden podejrzany trop, a w dodatku było zupełnie oczywiste, że nigdy siekiera drwala nie tknęła tych drzew ani niońnika nie przecięła lian cięgnących się od jednego brzoła do drugiego w rzew zarośli i wysokiej trawy. Jeżeli na wyspie wylądowali jacyś rozbitkowie, to na pewno nie opuścili wybrzeża; nie tutaj zatem należało ich szukać. Dlatego inżynierowi pilno było dotrzeć do zachodniego brzegu Wyspy Lincoln, odległego, jego zdaniem, co najmniej o pięć mil. Popłynął dalej i pomimo, że rzeka na tym odcinku pozornie zdołała nie do wybrzeża, lecz w stronę Franklina, postanowili poszukiwać i irogów dopóki nie dojdą do wody, aby móc płynąć. W ten sposób na pewno nie tylko zaoszczędziliby fatygi, ale także zyskali czas, inaczej bowiem trzeba byłoby wyrzucić gdzieś drogą przez dziewięć kniej. Niebawem poczuli, że prąd przestał ich popychać, a to z powodu odpływu, który istotnie powinien był rozpocząć się tej porze, czy też dlatego, że fala morza nie docierała już na tak odległe ujście rzeki. Trzeba było chwycić wiosła. Nab i Harbert zajęli miejsca na ławkach, Pencroff stanął przy wiosłach sterowym i piroga znopłynęła w górę rzeki. Od strony Dalekiego Zachodu las zaczął się, jak gdyby przerzedzać. Skupiska drzew były mniej gęste, a niekiedy widział się tylko pojedyncze drzewa. Ale wcale nie dlatego, że miały więcej przestrzeni, korzystały przecież z wolnego i czystego powietrza i były naprawdę wspaniałe. Cóża niezwykle okazały flory spotyka się w tej szerokości! Sama ich obecność pewno wystarczyłaby przyrodnikowi, aby określił wahań rzeźnik przechodzący przez Wyspę Lincoln. Eukaliptusy! zawołał Harbert. Były to istotnie te wspaniałe drzewa, ostatnie olbrzymie strefy podzwrotnikowej, bracia eukaliptusa z Australii i Nowej Zelandii, podobnych na tej samej szerokości, co Wyspa Lincoln. Wysokość niektórych drzew sięgała dwustu stóp. Pnie ich miały u nasady dwadzieścia stóp obwodu, a kora, wyrobiona spływającą wonną żywicą, do pięciu cali grubości. Nie było nic wspanialszego, a zarazem nic dziwniejszego niż te piękne okazałe gatunki mirtowatych, których liście osadzone są bokiem do wiatru i pozwalają promieniom słonecznym przenikać na ziemię. U stóp eukaliptusów rosła soczysta trawa,



spośród nich unosi się ciemne ptaszki i innych w promieniach słońca jak skrzydlate iskierki. To mi drzewa! zawołał Nab. Tylko na co się mogą przydać? Ba! odezwał się Pencroff. Pomiędzy roślinami musimy te bylebrzemy jak pomiędzy ludźmi. Zdane są tylko do pokazywania na jarmarkach. Sędzię się Pan myli sprostował reporter. Drzewo eukaliptusowe zaczyna znajdować swoje zastosowanie w stolarstwie artystycznym. Muszę dodać powiedział Harbert że te eukaliptusy należą do rodziny, w której jest dużo pożytecznych członków gujawa, rodzica owoce tej samej nazwy; drzewo goździkowe, rodzice goździki; granatowce, o smacznych owocach granatach; Eugenia cauliflora, której owoce służą do wyrobu niezłego wina; mirt pugni, dający wymieniony sok z zawartości alkoholu; mirt caryophyllus, którego kora daje tak poszukiwany cynamon; Eugenia pimenta, dostarczająca papryki; mirt pospolity o jagodach mogących zastąpić je; Eucalyptus robusta, z którego otrzymuje się doskonałą mianę Eucalyptus Gunei, którego sok drożdż fermentacji przekształca się w piwo; wreszcie wszystkie znane pod nazwą drzewa życia czy drzewa żelaznego tak że należą do tej rodziny, a jest ich czterdzieści sześć atunków tysiąc trzysta odmian. Wszyscy się uchylili uważnie młodego przyrodnika, który poniosła chwycoszenia mającego wykładu z botaniki. Na ustach Cyrusa Smitha brzmiała się śmiech, a twarz Pencroffa promieniała nie dając się pisać. To wszystko dobrze, Harbercie odezwał się reszcie Pencroff ale przysięgam, że wszystkie te drzewa, które wymieniłeś, nie odznaczają się tak olbrzymim wzrostem jak te oto tutaj. Masz rację Pencroff. To potwierdza moją teorię upiera się arcydzieło że olbrzymie słońce nic niewarte! Myli się a więc zabrakło inżynierów gdy w czasie te olbrzymie eukaliptusy, pod którymi teraz siedzimy, do czego się jednak przydadzą. Na przykład do czego? Do polepszenia warunków zdrowotnych w krajach, w których rosną. Czy pan wie, jak je nazywają w Australii i na Nowej Zelandii? Nie wiem, panie Cyrusie. Otóż nazywają je drzewami gorączkowymi. Dlatego, że powodują febrę. Nie, dlatego, że je zwalczają. To co dla mnie, musimy zanotować odezwał się Pilett. Zanotuj, drogi Gedeonie, gdy wydaje się ewentualnie, że obecność eukaliptusów przyczynia się do zwalczania miazmaty brytyjskiej. Przeważnie zastosowanie naturalnej ochrony niektórych krajach Południowej Europy i Północnej Afryki, gdzie tereny byłyby bardzo niezdrowe, i osiagnię stopniową poprawę stanu zdrowotnego ludności. W okolicach, gdzie zasadzono lasy eukaliptusowe, febra ustąpiła całkowicie. W chwili obecnej jest to fakt nie ulegający wątpliwości i dla nas, kolonistów wyspy Lincoln, okolicznością jest bardzo pomyślna. Ach, co za wyspa! Co za bogosławiona wyspa! wzruszył się Pencroff. Mam wam, że nie brak tu niczego... z wyjątkiem... Z czasem i to także znajdziemy, Pencroff uspokoił go inżynier. Ale pójmy dalej i starajmy się o tyle daleko, jak tylko rzeka będzie mogła unieść nasz pirog. Prowadzono badania dalej, na przestrzeni co najmniej dwumil, w terenie, gdzie rosło mnóstwo eukaliptusów nad wszystkimi drzewami tej części wyspy. Eukaliptusy pokrywały obydwa brzegi Rzeki li A Dzielenia, płynącej tutaj krótkim korytem wśród wysokich, zazielenionych zboczy. Bieg rzeki hamowały cztery wysokie kęsy szuwarów ostre gązdy, co utrudniało żeglugać dalece, że nie można było posługiwać się wiosłami i Pencroff musiał odpychać się rękami. Wyczuwał się jakby, że dno rzeki podnosi się stopniowo i że wkrótce nastąpi chwila, kiedy woda już nie będzie mogła unieść. Słońce chyliło się ku zachodowi, a na ziemi padały się bardzo wydłużone cienie drzew. Cyrus Smith widząc, że nie zdąży do dnia dotrzeć do zachodniego brzegu wyspy, postanowił rozbić się w miejscu, gdzie żegluga zostanie z konieczności przerwana z powodu zbyt płytkiej wody. Oceniał odległość do wybrzeża na jakie pięćdziesiąt mil, a przestrzeń była zbyt

duża, a żeby zdecydować i przebycie jej w noc w ciemnych nieznanych lasach. Kolonista bez chwili wytchnienia popychał czółno po rzece, płynąc lasem, którego stał się świadkiem, a rzece nie robiła wrażenie bardziej zamieszkanego, marynarzowi bowiem wydało się, że dojrzał pod drzewami całe gromady małp. Od czasu do czasu pojedyncze małpy zatrzymywały się pewnej odległości od czółna i przyglądały się kolonistom bez okazywania najmniejszego strachu, jak gdyby zobaczyły człowieka po raz pierwszy i nie wiedziały jeszcze, że trzeba się obawiać. Można było z łatwością je ustrzelić, ale Cyrus Smith sprzeciwił się tej niepotrzebnej masakrze, która kusiła trochę zacieklego myśliwego, jakim był Pencroff. Wymagały tego zresztą względy bezpieczeństwa, gdyż potężne i niezwykle zręczne małpy mogły stać się groźne i lepiej było nie prowokować ich najzupełniej zbędnym napadem. Marynarz co prawda oceniał małpy wyłącznie z punktu widzenia kulinarnego, gdyż istotnie te trawożerne zwierzęta stanowiły doskonałą dziczyznę, ale mając zapas żywności, nie warto było bez potrzeby zużywać municji. Około czwartej godziny po Rzece Dzielnienia stało się jeszcze trudniejsze, gdyż coraz częściej zagradzały drogę linie wodne i wynurzające się dna gązary. Brzegi wznosiły się coraz bardziej stromo, a głębokość rzeki wiodła się coraz w najniższych partiach Górnego Frariklina. Teraz musiały być niedaleko. Zasilały je wody spływające po południowym stoku góry. Najdalej za kwadrans będziemy musieli się zatrzymać, powiedział marynarz. No to zatrzymamy się, rozbijemy obóz na noc. Jak daleko możemy być od Granitowego Pałacu? zapytał Harbert. Mniej więcej siedem mil poinformował go inżynier, nie w prostej linii oczywiście, lecz uwzględniając zakręty rzeki, które zaprowadziły nas na północny zachód. Czy popłyniemy dalej? zapytał reporter. Tak, i to tak daleko, jak daleko zdołamy, odpowiedział Cyrus Smith. Jutro skoro świt porzucimy czółno i spędzimy przez dwie godziny udając się w stronę brzozy, która przetrze nam drogę do morza. W ten sposób mieliśmy do dyspozycji prawie całą noc na badanie wybrzeża. A wiemy, naprzeciwko zawołał Pencroff. Ale niebawem piroga zaczęła ocierać o kamieniste dno rzeki, które szeroko w tym miejscu nie przekracza dwudziestu stóp. Nad wodą wznosiła się góra zieleni i pogrzebiona w rzekę pękała. Słychać było zupełnie wyraźnie szum wodospadu, świadczący o tym, że o kilkaset kroków od rzeki znajduje się naturalna przeszkoda. Istotnie, za ostatnim zakrętem oczom podróżnych ukazały się drzewami wodospad. Dotknęło dna rzeki, a w kilka chwil później przywieszono ją do pnia drzewa na prawym brzegu. Dochodziła godzina piąta. Ostatnie promienie słońca zlizwały się o górnym listowiu i padały ukośnie na mały wodospad, dookoła którego rozpyłone bryzgi wody mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. W oddali głęboko rzeki ginęła w niskopiennym lesie, gdzie zasilała ją jakieś ukryte źródło. Po drodze wpadały do niej rzeki i potoczki, czyniąc z niej nieco niżej prawdziwą rzekę, ale tu było to zaledwie pętyki, przejrzysty strumień. Rozbito obóz w tej przepięknej okolicy. Kolonista po wyjściu na brzeg rozpalili ognisko pod sklepieniem wielkiego wierzchołka, a tak rozłożystych gałęziach, które w razie potrzeby Cyrus Smith i jego towarzysze mogliby znaleźć w razie potrzeby ich schronienie na noc. Wszyscy byli głodni, toteż kolację pożyto z wielkim apetytem i nie pozostawiało nic innego, jak udać się do spoczynku. Ponieważ z nastaniem zmierzchu dały się słyszeć jakieś podejrzane ryki, kolonista postanowili podtrzymać przez całą noc ognisko, które przy pomocy miały ich chronić w czasie snu. Czuwali przy nim po kolei Nalb i Pencroff, nie szczędząc drzewa. Nie były to chyba zbudzenia, gdyż im się wydawało, że widzą kręgiące wokół obozowiska cienie zwierząt, to wierzchołki, to pomiędzy gałęziami; noc jednak minęła bez żadnego wypadku i nazajutrz, 31 października, o piętej rano wszyscy już byli na nogach, gotowi do wymarszu. ROZDZIAŁ CZWARTY. W stronę wybrzeża. Znowu gromady

ma p. Nowa rzeka. Dlaczego nie wyczuwa si r du? Las na wybrze u. Cypel P aza. Harbert zazdro ci Gedeo-nowi Spilettowi. Sztuczne ognie z bambus Po niadaniu, o sz j rano, koloni ci wyruszyli w drog z zamiarem dotarcia jak najpr ej do zachodniego wybrze a wyspy. Ile czasu mieli na to przeznaczyc Cyrus Smith przypuszcza, e dwie godziny, ale to oczywi cie b ie zale a o od rodzaju przeszk na jakie natrafi. Ta cz Dalekiego Zachodu wt oczona by a pomi y lasy o najrozmaitszych gatunkach drzew. Nie ulega o w t pliwo ci, e b musieli torowa obie drog r ysokich traw, krzak ian, posuwa i siekier w gar ci, nie wypuszczaj c jednoczenie z r strzelby z uwagi na ryki dzikich zwierz t s yszane w nocy. Miejsce obozowiska mo na by o dok adnie ustali ed u g po o nienia G Franklina, a poniewa wulkan wznosi si a p cy w odleg o ci niespe na trzech mil, trzeba by o i r osto na po dniowy zach a eby doj o wybrze a. Wyruszyli w drog o starannym przycumowaniu pi- rogi. Pencroff i Nab d wigali zapasy, kt mia y wystarczy a przeci g dw dni. Nie by o mowy o polowaniu, a in ynier nawet zaleci swoim towarzyszom unikanie wszelkich niepotrzebnych strza a eby nie zdradzi wojej obecno ci w okolicy wybrze a. Pierwsze uderzenia siekiery rozleg y si zaro lach po r rzew istacyjnych, nieco powy ej wodospadu; Cyrus Smith z busol w r wskazywa drog Las sk ada si utaj z drzew, przewa nie rozpoznanych ju w okolicach jeziora i P askowzg Rozleg ego Widoku. By y tu cedry himalajskie, sosny-duglasy, kazuaryny, gumowce, eukaliptusy, smokowce, ketmie i inne drzewa, przewa nie edniej wielko ci, gdy g szez hamowa ich rozw Koloni ci posuwali si owoli, jako e w czasie marszu musieli torowa obie drog Zdaniem in ynier kierunek ten powinien by prowadzi a tereny w pobli u Czerwonego Potoku. Od chwili wyruszenia w drog oloni ci schodzili niskimi zboczami, kt stanowi y przed u nienie systemu orograficznego wyspy. Gleba by a tu bardzo sucha, ale bujna ro linno sskazywa a na istnienie b d to w odziemnych, b d te jakiego pobliskiego strumienia. Jednak e Cyrus Smith nie przypomina sobie, eby w czasie swojej wyprawy na krater wulkanu zauwa y inne rzeki poza Czerwonym Potokiem i Rzek Dzi zynienia. W pierwszych godzinach marszu koloni ci ponownie dostrzegli gromady ma p, kt okazywa y ogromne zdziwienie na widok cz owieka, b ce go dla nich czym nowym. Gedeon Spilett zapyta dowcipnie, czy te zr ne i silne zwierz nie uwa a y jego i jego towarzyszy za swoich zdegenerowanych braci. Szczerze m c, nasi piechurzy, zatrzymywani na ka dym kroku przez zaro la, walcz cy z przeszkodami w postaci lian czy pni drzew, nie wytrzymywali por nia ze zwinnymi zwierz mi, kt bez trudu skaka y z ga na ga . Ma p by o du o, ale na szcz ie nie zdradza y adnych wrogich zamiar Zauwa ono tak e kilka dzik kangur aguti i innych gryzoni a tak e par ied wiedzy workowatych koala"; Pencroff ch ie pocz owa by je' adunkiem o owiu. Macie szcz ie, e polowanie si ie rozpocz e przemawia do nich. Uciekajcie, przyjaciele! Skaczcie i fruwaszcie w spokoju! Porozmawiamy z wami w drodze powrotnej. O wp o dziesi tej na drodze prowadz cej prosto na po dniowy zach tan nagle przeszkoda w postaci jakiej nieznanej rzeki szeroko ci trzydziestu-czter-dziesu st Szybki potok, p yn cy pochy ym korytem i przeci licznymi ska ami, rwa z g uchym oskotem. By g ki i czysty, ale absolutnie nie nadaj cy si o eglugi. Mamy odci drog zawo a Nab. Nie zaoponowa Harbert. To jest niewielki strumie na pewno zdo amy przedosta i p aw. Po co? zapyta Cyrus Smith. Jest rzecz oczywist, e potok p ynie do morza. Id my wi trzymaj c si ewego brzegu, a b bardzo zdziwiony, je eli nie znajdziemy si zybko nad morzem. W drog Chwileczk powstrzyma go reporter. A nazwa tego potoku? Nie pozostawiamy naszej geografii w niekompletnym stanie. S usznie przytakn Pencroff.

Nazwij go jako, moje dziecko zwrócić się do Harberta. A czy nie lepiej zacząć dopóki nie zbadamy go aż do ujścia? zauważył Harbert. Dobrze zgodził się Cyrus Smith. Nie zatrzymujmy się dłużej. Jeszcze chwileczkę wtrąć się Pencroff. Co takiego? zapytał reporter. Polowanie jest zabronione, ale sprzedaż iłowienie ryb jest dozwolone powiedział marynarz. Nie powinniśmy tracić czasu zaoponował inżynier. O, tylko pięć minut! błagał Pencroff. Proszę jedną minutę dla dobra naszego posiłku. Pencroff wyciągnął się u brzegu, zanurzył się w bystrej wodzie i niebawem wyłowił kilka tuzinów raków, które ponoć było miętą gązami. A to wspaniale! zawołał. Nabierzcie z pomocą marynarzowi. Mnie przecie, że na tej wyspie nie brak niczego z wyjątkiem tytoniu mruknął Pencroff z westchnieniem. Istotnie, wystarczyło pięć minut, a żeby zobaczyć świetne wyniki, gdy w potoku roiło się oprost od raków. Worek szybko napełnił się skorupiakami o pancerzu koloru błękitnego jak kobalt i ostrodozbrojonej w jeden kolec, po czym kolonijci poszli dalej. Od chwili gdy zaczął posuwać się rzekiem nowego potoku, droga stała się łatwiejsza, szli tedy szybciej. Na brzegach nie było nigdzie widać śladów człowieka. Od czasu do czasu dostrzegano tropy jakichś dużych zwierząt, które musiały przychodzić tutaj do wodopoju. To na pewno nie w tej części lasów ekari została ugodzona ziarnkiem rutu, które Pencroff przypisał z m trzonowym. Obserwując wartki potok, zdążający ku morzu, Cyrus Smith doszedł do wniosku, że znalazł się wraz z towarzyszami znacznie dalej od zachodniego wybrzeża, niż początkowo przypuszczał. Istotnie, o tej porze przypływ, toczył wody od morza, powinien być zmieniał bieg potoku, gdyby jego ujście było odległe tylko o kilka mil. O tego zjawiska nie zauważono i wody płynęły naturalnym pochyleniem koryta. Inżynier był bardzo zdziwiony i czuł się spoglądając na busola żeby się pewnie czy jakiś zakrętek nie zaprowadzi go w głąb Lasów alekiego Zachodu. Tymczasem potok rozszerzał się a nurt stawał się spokojniejszy. Lasy na prawym brzegu były tak samo gęste jak na lewym, a wzrokiem nie można było wybiec poza nie; masyw leśny był prawdopodobnie bezludny, gdyż Top nie szczekał wcale, a przecie mądre zwierzęta pewno zasygnalizowałyby obecność innych ludzi, gdyby znajdowali się поблизу. O wpół jedenastej ku wielkiemu zdziwieniu Cy-rusa Smitha Harbert, wybiegłszy nieco do przodu, stanął nagle i zawołał: Morze! W kilka chwil przed oczyma kolonistów zatrzymali się u skraju lasu, ukazało się zachodnie wybrzeże wyspy. Cóż za kontrast pomiędzy tym wybrzeżem a wschodnim, dokąd los rzucił rozbitków! Nie było tu ani ścian granitowej, ani raf podwodnych, ani nawet ślawicy piasku. Wybrzeże było zalesione po sam skraj, a najdalsze drzewa, obmywane falami, pochylały się nad oceanem. Nie było to wybrzeże takie, jakie zazwyczaj robi natura, błędnie rozkładając obszerne dywany z piasku, błędnie spieszając skały, lecz wspaniała ściana lasu, składająca się z najpiękniejszych na świecie drzew. Brzeg był wysoki, tak że nie dosięgały go nawet największe przypływy, a w żyznej glebie na granitowym podłożu pięknymi okazy drzew wydawały się zakorzenione tak mocno, jak w lasach pośród wyspy. Kolonijci znaleźli się nad małą laguną; nie mogła ona mieć żadnego znaczenia jako przystań, nie zmieściłyby się w niej nawet dwa kutry rybackie, i stanowiła jak gdyby gardziel nowego potoku. Ale, co ciekawsze, wody potoku zamiast wpadać do morza ujściem łagodnie pochyłym, spadały z wysokości ponad czterdziestu stóp przez co w czasie przypływu nie odczuwano się upięknie prądu wstecznego. Przypływy Pacyfiku nawet przy maksymalnej wysokości nie mogły osiągnąć poziomu rzeki, które koryto tworzyło jak gdyby naturalne, wysokie żłuzupię jeszcze miliony lat, zanim woda wydrężyła granitowe dno żłuz i utworzyła sobie wygodniejszy odpływ. Dlatego za wspólnie zgodnym nazwano to żłuz "Rzeką Wodospadu" (Falls-

river). W kierunku północnym ciana lasu ciągnęła się wzdłuż na przestrzeni dwumil. Potem drzewa stawały się coraz rzadsze i w oddali rysowały się alowicze ich korony, biegnące prawie równoległe z północy na południe. Natomiast wzdłuż brzozy pomiędzy Rzeką Wodospadu a Cyplem Północnym ciągnął się jednolity mur wspaniałych drzew, prostych lub pochylonych, których korzenie obmywały fale morskie. Przeszukiwanie brzozy miało iść w tym kierunku, to znaczy objąć Półsep Serpenty, gdy tutaj mogło istnieć naturalne schronienie, jakiego rozbitkowie na pewno nie znaleźliby na drugiej stronie brzozy, jałowej i dzikiej. Pogoda była piękna, niebo czyste i ze szczytu pagórków, gdzie Nab i Pencroff przygotowywali obiad, można było ogarnąć zrokiem rozległą przestrzeń idąca wzdłuż brzozy zupełnie pusty, na morzu nie widać było ani jednego żagla. Na całym brzozy, w promieniu zasięgu wzroku, nie dostrzegli ani okrętu, ani nawet szczątków jakiegoś statku. Jednak inżynier uważał, że całkowicie pewno nie od tym względem można być nieopiero wtedy, gdy się bada całe brzozy a nie po najdalszy kraniec Półspu Serpenty. Posiłono się szybko i o pół dwunastej Cyrus Smith dał hasło do wymarszu. Zamiast iść boczem pagórków czy piaszczystą plażą kolonicy posuwali się wzdłuż brzozy morza pomiędzy drzewami. Odległość od Cypla Północnego do Rzeki Wodospadu wynosiła około dwunastu mil. Idąc piaszczystym brzozy kolonicy mogliby bez potrzeby przebyć wzdłuż brzozy cięgu czterech godzin, tym razem jednak dojście do celu w tym wymagało podwójnej ilości czasu ze względu na omijanie drzew i torowanie przejścia przez zarosty i liany, które zatrzymywały ich na każdym kroku. Na brzozy nie zauważyli niczego, co by świadczyło o niedawnej katastrofie okrętu. Gedeon Spilett słusznie powiedział, że fala mogła unieść statek na pełne morze, a zatem z braku śladów należało wyciągać wniosek, że żaden statek nie został rzucony na tę wyspę. Rozumowanie reportera było logiczne, a zresztą znalezione ziarnko świadczyło w sposób niezbity, że na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy musiało tutaj paść śnieg. Dochodziła godzina piąta, a kolonicy znajdowali się jeszcze w odległości dwumil od najdalej wysuniętego punktu Półspu Serpenty. Było więc pewne, że po dojściu do Cypla Północnego Cyrus Smith i jego towarzysze nie zdążą już powrócić przed zachodem słońca do obozowiska rozłożonego w pobliżu Rzeki Dziżynienia. Powstała więc konieczność obozowania na cyplu. Na szczęście mieli ze sobą wystarczające zapasy żywności, gdyż było już przeciętnie brzozy i w lesie nie widzieli się rurszej zwierzyny. Roiło się natomiast od żółtek, pilikantów, cietrzewi, chełmiaka, papug kakadu, gołębi i wielu innych ptaków. Nie było drzewa bez gniazda, a w każdym gnieździe trzepotały jakieś skrzydła. Około godziny siódmej śmiertelnie zmęczeni kolonicy dotarli wreszcie do Cypla Północnego wysuwającego się nad morze w kształcie klumy. Koło siódmego las nadbrzozy i cała południowa część brzozy miała już zwykły wygląd, na którym składały się skały, rafy i piasek. Możliwe, że jakiś uszkodzony okręt przybił do tej części wyspy, ale ponieważ zapadała już noc, trzeba było odłożyć poszukiwania do dnia następnego. Pencroff i Harbert zaczęli natychmiast rozglądać się, jakim miejscem nadającym się do rozbitcia obozowiska. Na cyplu koło siódmego Dalekiego Zachodu, a pomiędzy ostatnimi drzewami Harbert zauważył gęste kępy bambusów. Co za cenne odkrycie! — zawołał. — Cenne? — zapytał Pencroff. — Oczywiście — potwierdził Harbert. — Nie musisz mi mówić, że kora bambusa pocięta na giętkie pasy służy do wyrobu koszyków i korbek; że ta sama kora wymoczona w wodzie i roztarta na gładką papkę służy do wyrobu tak zwanego papieru chińskiego; że kodygi, zaleźnie od grubości, służą do wyrobu lasek, cybuchów fajek, a nawet zastępcze rury doprowadzające wodę do dużych bambusów stanowią świetny materiał budowlany, lekki i trwały, który nigdy nie atakują robaki; należy dodać, że

jeżeli kolanka bambus rzepi uje si ak, e si ie uszkodzi cz i warstwy poprzecznej tworzej w , otrzylnuje si ocne i wygodne naczynia szeroko rozpowszechnione w Chinach. Ale wiem, e to wszystko ciebie niezadowolili. Natomiast... Co natomiast?... Natomiast musisz powiedzie je li tego nie wiesz, e w Indiach jada si ambusy zamiast szparag Szparagi maj ce trzydzie ci st wysoko ci? zdumia si arynarz. I to ma by obre? Wy mienite e zapewni Harbert. Z tym jednak zastrze eniem, e jadalne s nie bambusy wysoko ci trzydziestu st lecz jedynie m ode p. To wietnie, m h opcze! To wietnie! ucieszy si arynarz. Powiem ci wi j! Mi sz m odych p w, zamarynowany w occie, stanowi prawdziwy przysmak. Coraz lepiej, Harbercie. I wreszcie, bambusy wydzielaj pomi y w ami s odki sok, z kt o mo na przyrz dzi bardzo smaczny nap . To wszystko? zapyta marynarz. To wszystko. A czy przypadkiem nie mo na ich pali zamiast tytoniu? Niestety nie, m iedny Pencroffie. Harbert i marynarz nie musieli d ugo szuka ogodnego miejsca na nocleg. W nadbrze nych ska ach, bardzo zwietrza ych pod wp ywem fal i ostrych wiatr o d niowo-zachodnich, pe no by o du ych pieczar, stanowi cych doskona e schronienie na noc. Jednak w chwili gdy zamierzali ju wej o jednej z nich, powstrzyma ich dono ny ryk. Wr z zawo a Pencroff. Nasze strzelby na adowane s tylko rutem, a dla zwierzt, kt tak go o no rycz , znaczy on tyle, co ziarno soli! Marynarz chwyci Harberta za rami odci gn go pomi y ska y w chwili, gdy u wylotu pieczary ukaza o si akie pot e zwierz By to jaguar, co najmniej tak wielki, jak jego pobratymcy w Ameryce: d ugo ego od ba do nasady ogona wynosi a przesz o pi st Na p owej sier ci, odcinaj cej si askrawo od bia ego futra na brzuchu, wida y o kilka rz w regularnie rozrzuconych, czarnych plam. Harbert natychmiast rozpozna tego krwio perczego rywala tygrysa, znacznie bardziej niebezpiecznego ni kuguar, kt mo e rywalizowa ylko z wilkiem. Jaguar post pi naprz tocz c doko a wzrokiem; sier u si e y a, a oczy p on , tak jak gdyby nie po raz pierwszy zwietrzy cz owieka. W tym momencie z za wysokich ska ukaza si eporter, a Harbert, s dz c, e nie zauwa y jaguara, ju mia krzykn d gdy Gedeon Spilett da mu znak r . Nieraz zdarzy o mu si olowa a jaguara. Tote podszed na dziesi krok o drapie nika i stan nieruchomo z wycelowanym karabinem; ani jeden mi e nie drgn . Jaguar spr z si run na my liwego, ale w a nie w chwili skoku zosta trafiony kul mi y oczy i pad martwy. Harbert z Pencroffem rzucili si a jaguara. Z drugiej strony nadbieg Nab i Cyrus Smith; przez par hwil ogl dali w niemym zachwycie zwierz ozci gni na ziemi, kt o wspania a sk mia a sta i iebawem ozdoba wielkiej sali Granitowego Pa acu. Ach, panie Spilett! Jestem pe en podziwu i zazdro ci! zawo a Harbert w przyp ywie zrozumia ego entuzjazmu. Ale , m h opcze e broni si eporter e na pewno zrobi by to samo. Ja? Z tak zimn krwi?... Wyobra sobie, Harbercie, e jaguar jest zaj cem, a wtedy ustrzelisz go najspokojniej w wiecie. Prosz powiedzia Pencroff. Jakie to proste! A teraz doda Gedeon Spilett e poniewa jaguar opu ci swoj jaskini nie widz rzeszk moi drodzy, eby my j zaj na noc. Ale przecie mog przyj inne e zaoponowa Pencroff. Wystarczy rozpali gnisko przy wej ciu do pieczary, a aden nie odwa y si rzekroczy ej prog u uspokoi go reporter. Dalej wi do mieszkania jaguara! powiedzia marynarz ci gn c za sob zabite zwierz Koloni ci weszli do opuszczonej jaskini i gdy Nab ci ga sk z jaguara, jego towarzysze zgromadzili u wej cia du o suchego drzewa, kt o w lesie by o pod dostatkiem. Cyrus Smith zauwa y nie opodal k ambus naci troch w i dorzuci do drew przygotowanych na ognisko. Potem wszyscy ulokowali si grocie, gdzie na piasku le a o mn o ko ci, i nabili

brfi? wypadek nag?ego napadu. Zjedli kolacj? przed udaniem si?a spoczynek podpalili stos drzewa, u?ony przy wej?ciu do pieczary. W powietrzu rozleg?a si?atychmiast prawdziwa kanonada. To bambusy, ogarni? p?omieniem, wylatywa?y w powietrze jak sztuczne ognie. Ju? sam ten ha?s wystarczy?by, a?eby odstraszy?ajbardziej odwa?ne dra- pie?niki. Tego sposobu wywo?ywania g?o?nych wybuch?ie wynalaz? Cyrus Smith, lecz ? wed?ug Marca Pola\* ? Tatarzy, kt? od wielu wiek??ywali go z powodzeniem, gdy chcieli odstraszy?d swoich obozowisk niebezpieczne drapie?niki zamieszkuj?ce Azj?rodkow?. ROZDZIA? PI?TY. Propozycja powrotu wybrze?em po?udniowym. Ukszta?towanie wybrze?a. W poszukiwaniu domniemanych rozbitk?Szcz?tki balonu. Odkrycie ma?ego naturalnego portu. P?c nad brzegami Rzeki Dzi?zynienia. P?yn?ce cz?. cyrus Smith i jego towarzysze spali jak niewinne dzieci w pieczarze, kt?jaguar pozostawi? do ich dyspozycji. O wschodzie s?o?wszyscy byli ju? na brzegu, na samym skraju cypla, a wzrok ich zn?garnia? horyzont widoczny w dw?trzecich ca?ej swej rozci?g?o?ci. Po raz ostatni in?ynier stwierdzi?, ?e na morzu nie wida?ni ?agla, ani ?adnego wraka, i nawet przez lunet?ie m?dostrzec nic podejrzanego. Na wybrze?u tak?e nie by?o nic wida?a przynajmniej na odcinku biegn?cym prost? lini? i tworzcym po?udniowy brzeg cypla, ci?gn?cy si?a przestrzeni trzech mil; dalej wygi?e brzegu zas?ania?o reszt?ybrze?a i nawet z najdalszego kra?P?spu Serpentyzny nie mo?na by?o dojrze?rzyldka Pazura, ukrytego za wysokimi ska?ami. Pozostawa?o do zbadania po?udniowe wybrze?e. Czy przyst?pi si?iezw?ocznie do tych poszukiwa?zy te? po?wi? si?m nast?y dzie?2 listopada? Pierwotny plan tego nie przewidywa?. Pozostawiaj?c pirog? ?r? Rzeki Dzi?zynienia, koloni?ci ustalili, ?e po zbadaniu zachodniej cz?i wybrze?a odnajd? cz? i rzek? powr?do Granitowego Pa?acu. Cyrus Smith przypuszcza? w?as, ?e na zachodnim wybrze?u mog?o si?nale?ochronienie dla jakiego? statku, kt?wpad? w ci?ie tarapaty b?d? odbywa? sw?egularny rejs. Ale z chwil? gdy stwierdzi?, ?e na zachodnim brzegu nie by?o takiego miejsca, musia? poszuka?a po?udniu wyspy tego, czego nie zdo?a? znale??a zachodzie. Gedeon Spilett zaproponowa? kontynuowanie poszukiwa?k, by spraw?omniemanej katastrofy okr?wej wyja?ni?u? ostatecznie. W zwi?zku z tym zapyta?, w jakiej odleg?o?ci od Przyl?dka Pazura m?znajdo--wa?i?raniec p?spu. ? Mniej wi?j o trzydzie?ci mil ?? odpowiedzia? in?ynier ? je?eli uwzgl?imy za?amania brzegu. ? Trzydzie?ci mil ? powt?? Spilett ? to dzie?rsownego marszu. Mimo to my?l??e id?c ca?y czas po?udniowym wybrze?em, powinni?my wr? do Granitowego Pa?acu. ? Tylko ?e od Przyl?dka Pazura do Granitowego Pa?acu trzeba liczy?eszcze co najmniej dziesi?mil ? zauwa?y? Harbert. ? Powiedzmy, og? czterdzie?ci mil ? podchwyci? reporter. ? Nie tra? zatem czasu. B?iemy mogli przynajmniej obejrze?ieznane wybrze?e i nie trzeba b?ie ponawia?ego rodzaju wyprawy. ? S?usznie ? odezwa? si?encroff ? ale co b?ie z pirog? ? Pozostawili?my oirose bez dozoru u ?r? Rzeki Dzi?zynienia na jeden dzie?ozostawimy j? jeszcze na dwa dni ? powiedzia? reporter. ?? Jak dot?d nie mo?emy si?skar?a??e na wyspie s? z?odzieje. ? A jednak ?; nie ust?wa? marynarz ? jak sobie przypomn?istori? ??em, to nie mam zbyt wiele zaufania... ? ?? ? ? powt?? reporter. ? Czy pan nie s?ysza?, ?e to morze go odwr?o?, ? Kto wie ? mrukn?? in?ynier. ? Ale... ? wtr?ci? Nab. Wida?y?o, ?e Nab chcia? co? powiedzie?jednak zamilk?. ? Co masz na my?li, Nabie? ? zapyta? go in?ynier. ? Je?eli wr?y brzegiem a? do Przyl?dka Pazura ? powiedzia? Nab ? to po obej?ciu tego przyl?dka zagrozi nam drog?T ? Rzeki Dzi?zynienia! S?usznie ? podtrzyma? go Harbert ? i nie b?iemy mieli ani mostu, ani ?odzi, ?eby j? przeby? ? Tak ? rzek? Pencroff ? ale kilka p?ywaj?cych pni rozwi??am t?praw? ? A

jednak wtręci Gedeon Spilett jeżeli chcemy mieć atwy dostędo Dalekiego Zachodu, przydałoby się most. Most! zawoła Pencroff. No cóż, przecież pan Smith jest inżynierem z zawodu. Na pewno zbuduje nam most, jeżeli zajdzie potrzeba. A jeżeli chodzi o to, żeby was przeprowadzić drugi brzeg Rzeki Dzielnienia bez najmniejszego nawet zamoczenia ubrań i oręcho na siebie. Mamy jeszcze prowiant na jeden dzień i nie potrzeba; zresztą, może zwierzyny nie zabraknie tak jak wczoraj. W drodze Propozycja reportera, żywo podtrzymywana przez marynarza, zyskała ogólną aprobatę, gdy każdy chciał położyć się do snu i zadowolić sobie sprawę powrócił przez Przylądek Pazura zakładać badanie wyspy. Wobec tego nie należało tracić chwili, gdy mając przed sobą czterdziestomilowy etap można było liczyć na dotarcie do Granitowego Pałacu przed noc. O szóstej rano miała grupa wyruszyć w drogę. W przewidywaniu niebezpiecznych spotkań dwunocnymi lub czworonocnymi stworzeniami nabitą strzelby kulami, a Top, biegnący na czele pochodu, otrzymaj: rozkaz przeszukiwania skraju lasu. - Począwszy od najdalej wysuniętego krańca tworzącego ogon półwyspu - brzeg miał być linią okręgloną na przestrzeni pięciu mil. Pomimo najdokładniejszych poszukiwań zestrzeżonych podróżni przebyli szybko, nie znalazłszy najmniejszego nawet śladu dawnego czy niedawnego lądowania ani szczątków, ani pozostałości obozowiska, ani popiołu z wygaszonego ognia, ani też odcisku stopy. Doszedłszy do miejsca, gdzie brzeg skręcał w kierunku północno-wschodnim, tworząc Zatokę Waszyngtona, kolonicy mogli ogarnąć spojrzeniem południowe wybrzeże wyspy w całej okazałości. W odległości dwudziestu mil brzeg kończył się przylądkiem Pazura, ledwo zarysującym się porannej mgle. Dzielnienia zjawisku mirażu wydawało się, że jest on zawieszony pomiędzy wodą a niebem. Od punktu, gdzie znajdowali się kolonicy, a do wcięcia wielkiej zatoki ciągnący się do brzegu szeroka, rzędowa i piaszczysta plaża, obramowana w głąb drzewami. Dalej brzeg stawał się coraz bardziej nieregularny, ostre cyple wrzynały się w morze i wreszcie kilka czarnych skał grupowało się malowniczym nieładzie na samym końcu Przylądka Pazura. Tak się przedstawiała ta część wyspy, którą kolonicy widzieli po raz pierwszy, toteż przystanąwszy na chwilę szybko obrzucili ją wzrokiem. Statek, który tu zawinął, odezwał się Pencroff przypadłoby niechybnie. Lawice piasku ciągnące się na pęczne morze, a dalej rafy podwodne. Fatalne miejsce! Ale co z tego okrętu musiałyby pozostać? Na skałach pozostałyby kawałki drzewa, a na piaskach nic? odpowiedział marynarz. A to dlaczego? Dlatego, że te piaski są jeszcze bardziej niebezpieczne niż rafy i porażają wszystko, co na nie wpadnie. Kilka dni wystarczy, a żeby kadłub statku o pojemności kilkuset ton zniknął w nich bez reszty. A zatem, Pencroff zapytał inżynier, gdyby jakiś statek wpadł na lawicę, nie byłoby dziwne, jeżeliby nic z niego nie pozostało, prawda? Tak, panie Smith. Przyczyniłoby się o tego czas i burze. Jednakże nawet w tym wypadku dziwiłbym się, gdyby jakieś części omasztowania czy belki nie zostały wyrzucone na brzeg poza zasięgiem fal. A więc szukajmy dalej postanowił Cyrus Smith. O pierwszej po południu kolonicy dotarli do najgłębszej wrzynającej się ląd punktu Zatoki Waszyngtona, a przebyta do tego czasu droga wynosiła dwadzieścia mil. Zatrzymali się na posiłek. Od tego miejsca zaczynał się nieregularny, dziwacznie postrzępiony brzeg, w pobliżu którego znaczący się ługami linią rafy na przemian z lawicami piasku; gdy się zaczęło odpływać, wynurzały się pewne z wody. Widać było, jak fale, rozbijając się o skały, przemieniały się w długie frągle piany. Dalej, a do Przylądka Pazura, brzeg był wąski, wtłoczony pomiędzy rafy a las. Posuwanie się tym terenie było zapewne trudne, gdy drogę parowała liczne zwały gładkiej Granitowej ściana wznosiła się coraz wyżej i widać było tylko zielone, nie poruszane najłagodniejszym tchnieniem wiatru wierzchołki drzew rosnących poza nią. Po półdzinnym wypoczynku kolonicy ruszyli w



dalsz❧ drog❧ badaj❧c uwa❧nie wzrokiem ka❧d❧ raf❧ka❧dy punkt wybrze❧a. Pencroff i Nab w❧azili nawet pomi❧y rafy za ka❧dym razem, gdy im si❧y dawa❧o, ❧e co❧ dostrzegaj❧. Nie by❧y to jednak szcz❧tki statku, lecz dziwacznie ukszta❧towane g❧azy, kt❧wprowadza❧y ich w b❧❧d. Przy sposobno❧ci mogli stwierdzi❧❧e na pla❧y by❧o pe❧no ma❧❧❧adalnych, jednak do ich zbierania mo❧na b❧ie przyst❧pi❧opiero wtedy, gdy si❧organizuje jakie❧ po❧❧czenie pomi❧y obydwojma brzegami Rzeki Dzi❧zynienia i udoskonali ❧rodki transportu. Tak wi❧nie natrafili na ❧aden przedmiot, kt❧by ❧wiadczy❧ o katastrofie statku, a przecie❧ zauwa❧yliby niew❧tpliwie ka❧dy drobiazg wyrzucony na brzeg, tak jak to si❧ta❧o ze skrzyni❧ znalezion❧ o niespe❧na dwadzie❧cia mil od tego miejsca. Tutaj natomiast nie by❧o nic. Oko❧o trzeciej po po❧udniu Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli do w❧skiej, dobrze os❧oni❧j zatoczki, do kt❧ nie wpada❧a ❧adna rzeczka. Zatoczka tworzy❧a ma❧y naturalny port, niewidoczny od strony morza, gdy❧ prowadzi❧o do niego w❧skie przej❧cie pomi❧y rafami. W g❧❧ zatoczki jaki❧ gwa❧towny wstrz❧s musia❧ ro-zedrze❧cian❧kaln❧ i niezbyt spadzista szczyba prowadzi❧a na p❧askowzg❧ znajdu❧ce si❧ niespe❧na dziesi❧mil od Przył❧dka Pazura, czyli o cztery mile w prostej linii od P❧askowzg❧ Rozleg❧ego Widoku. W tym miejscu Gedeon Spilett zaproponowa❧ post❧. Wszyscy przystali na to ch❧ie, gdy❧ marsz zaostrzy❧ apetyty i pomimo ❧e nie by❧a to pora obiadu, nikt si❧io bronii❧ przed kawakiem pieczystego. Przek❧ska ta umo❧liwia❧a spokojne oczekiwanie na kolacj❧ Granitowym Pa❧acu. Koloni❧ci rozsiedli si❧ pobl❧u pi❧ej k❧ sosen i zabrali si❧o zjadania zapas❧kt❧Nab wyci❧ga❧ z plecaka. Teren wznosi❧ si❧i❧ziesi❧t lub sze❧❧ziesi❧t st❧owy❧ej poziomu morza. Pole widzenia by❧o dosy❧ozleg❧e, a wzrok prze❧lizguj❧c si❧onad ostatnimi ska❧ami przył❧dka si❧❧a❧ do Zatoki Unii. Nie mo❧na by❧o natomiast dostrzec ani wysepki, ani P❧askowzg❧ Rozleg❧ego Widoku, gdy❧ ukszta❧towanie terenu i zas❧ona olbrzymich drzew zakrywa❧y horyzont na p❧cy. Nie trzeba dodawa❧❧e chocia❧ mo❧na by❧o ogarn❧❧zrokiem rozleg❧y obszar i chocia❧ in❧ynier zbada❧ lunet❧ punkt po punkcie ca❧❧ p❧list❧ lini❧gdzie niebo zlewa❧o si❧ wod❧, nigdzie nie zauwa❧ono ❧adnego statku. Pozosta❧❧ jeszcze do zbadania po❧a❧ybrze❧a od pla❧y do raf podwodnych tak❧e uwa❧nie spenetrowano za pomoc❧ lunety, ale i tu nie zauwa❧ono nic, co mog❧oby ❧wiadczy❧ katastrofie. ❧ No c❧ odezwa❧ si❧edeon Spilett ❧ trzeba z tego wyci❧gn❧❧nioski i pocieszy❧i❧y❧l❧, ❧e nikt nie b❧ie kwestionowa❧ naszych praw do Wyspy Lincoln. ❧ A ziarnko ❧rutu? ❧ powiedzia❧ Harbert. ❧ Przypuszczam, ❧e nie powsta❧o w naszej wyobra❧ni. ❧ Do kr❧t diab❧❧ nie! ❧ krzykn❧❧ Pencroff przypominaj❧c sobie stracony z❧b. ❧ Wi❧co mamy o tym s❧dzi❧❧ zapyta❧ reporter. ❧ Ja my❧l❧ odpowiedzia❧ in❧ynier ❧ ❧e najwy- ❧ej trzy miesi❧ce temu jaki❧ statek dobrowolnie czy przymusowo musia❧ przybi❧o wyspy... ❧ Co? Pan przypuszcza, Cyrusie, ❧e znikn❧❧ w otch❧ani nie pozostawiaj❧c ❧adnego ❧ladu? ❧ Nie, drogi Gedeonie. Je❧eli jest pewne, ❧e jaka❧ istota ludzka wyl❧dowa❧a na tej wyspie, to wydaje si❧ak samo pewne, ❧e obecnie j❧ opu❧ci❧a. ❧ A wi❧ je❧eli dobrze pana zrozumia❧em, panie Cyrusie, statek odp❧yn❧❧?... ❧ zapyta❧ Harbert. ❧ Oczywiście! ❧ I w ten spos❧ tracili❧my bezpowrotnie okazj❧ydostania si❧ wyspy ❧ powiedzia❧ Nab. ❧ Obawiam si❧❧e bezpowrotnie. ❧ A wi❧ je❧eli stracili❧my okazj❧chod❧my dalej ❧ powiedzia❧ Pencroff, kt❧ju❧ si❧t❧ni❧ za Granitowym Pa❧acem. Ledwo zd❧❧y❧ si❧odnie❧❧gdy rozleg❧o si❧ono❧ne szczekanie Topa i z lasu wybieg❧ pies trzymaj❧c w pysku strz❧jakiej❧ tkaniny pobrudzonej b❧otem. Nab wyrwa❧ mu z pyska szmat❧By❧ to kawa❧ mocnego p❧❧. Top nie przestawa❧ szczeka❧ biega❧ tam i z powrotem, jakby zach❧j❧c swego pana do p❧ia za nim w las. ❧ Nareszcie co❧, co na pewno wyja❧ni spraw❧ego ziarnka ❧rutu! ❧ zawo❧a❧ Pencroff. ❧ Rozbitek! ❧

powiedzia Harbert. Moje ranny doda Nab. Albo nie wywy rzuci reporter. Wszyscy pobiegli ladem psa pomi y wysokie sosny, tworzące pierwszą lini asu. Zagłoli si o aleko, ale ku swemu rozczarowaniu i tutaj nie znaleli odcisk topy ludzkiej. Zarola i liany by y w stanie nienaruszonym, a nawet trzeba by o r ba e siekier, tak jak to ju robili w najwi zym g szczy le nym. Trudno by o przypuszcza eby jaki cz owiek m et? przej a przecie Top biega tam i z powrotem nie jak pies, kt dopiero co w y, lecz jak gdyby mia jaki okre lony cel. Po niespe na dziesiu minutach Top si atrzyma. Koloni ci, doszed szy do polanki obrze onej wysokimi drzewami, zatrzymali si ak e i rozejrzeli wok ale nie dostrzegli nic ani pomi y krzakami, ani te pomi y pniami drzew. Co tam jest, piesku? przem Cyrus Smith. Top zaszczeka ze zdwojon energi, skacz c na pie lbrzymiej sosny. Nagle Pencroff krzykn : A to dobre! A to wietne! Co? zapyta Gedeon Spilett. Szukamy jakiego l adu katastrofy na morzu lub na l dzie! < No i co? No i to, e znajduje si n w powietrzu. Marynarz wskaza na wielk bia aw p acht zawieszon na czubku drzewa, z kt strz k opad na ziemi Ten w a nie strz k Top przyni w z ch. Ale przecie to nie jest l ad katastrofy! zawo a Gedeon Spilett. Przepraszam bardzo powiedzia Pencroff. Jak to? To jest wszystko, co pozosta o z naszego statku powietrznego, z naszego balonu, kt spad na wierzcho ek tej sosny. Pencroff si ie myli, tote swoim zwyczajem dono nie wrzasn "hura", a potem powiedzia: To dopiero jest wspania e p ! Z tego b iemy mogli szy obie bielizn rzez d ugie lata! Z tego b iemy mieli chustki i koszule. Ha, panie Spilett, co pan powie na tak wysp gdzie koszule rosn na drzewach? By to istotnie szcz iwy zbieg okoliczno ci dla kolonist yspy Lincoln, e balon po ostatnim poderwaniu si powietrze opad na wysp e uda o si o odnale Mogli teraz b d zachowa ow ok a wypadek, gdyby chcieli spr a owrotu drog powietrzn, b d te z korzy ci dla siebie zu ytkowa ilkaset okci doskona ej tkaniny bawe nianej po usuni u z niej lakieru. atwo si omy li e rado e pencroffa udzieli a si szystkim. Ale teraz trzeba by o zdj ow ok drzewa, na kt wisia a, nast ie przenie w bezpieczne miejsce, a to wymaga o niema ej pracy. Nab, Harbert i Pencroff wdrapali si a czubek drzewa i tam musieli wyczynia prawdziwe akrobacje, a eby ci gn lbrzymi balon. Praca trwa a prawie dwie godziny. Wreszcie uda o si rzuci a ziemi ie tylko pow ok alonu z wentylem, spr nami i mosi ym okuciem, ale tak e siatk czyli wielk ilo in i sznur azem z pier cieniem i kotwic. Pow oka balonu zachowa a si w dobrym stanie z wyj tkiem rozdarcia w jednym miejscu i postrz onego r wa. By o to szcz ie, kt dos ownie spad o z nieba". My l panie Cyrusie odezwa si arynarz e gdyby my kiedykolwiek zdecydowali si pu ci ysp to chyba nie balonem. Prawda? Taki statek powietrzny nie leci tam, gdzie si hce, co o tym wiemy. Widzi pan, je eli ma pan do mnie zaufanie, zbudujemy dobry statek o pojemno ci dwudziestu ton, a pan pozwoli wyci tego p grot agiel i fok agiel. Reszt z yjemy na bielizn . Zobaczmy, Pencroff, zobaczmy powiedzia Cyrus Smith. Na razie trzeba to wszystko zabezpieczy orzek Nab. Istotnie, nie mo na by o nawet my le przeniesieniu do Granitowego Pa acu takiej masy g , lin i sznur gdy stanowi o to zbyt wielki ci r, ale zanim znajdzie si aka dogodna mo liwo r zetransportowania, nie nale a o pozostawia ych bogactw na asce pierwszego lepszego huraganu. Wsp m wysi kiem uda o si olonistom przyci gn szystko na wybrze e, gdzie znaleli do obszern grot kaln, kt dzi swoim po o eniu stanowi a dobre schronienie przed wiatrem, deszczem i wod morsk. Szukali my szafy i znaleli my j powiedzia Pencroff. Ale poniewa nie zamyka si a klucz, bezpieczniej

bie zamaskowanej otw. Nie m. tego z my. o dwun. z. odziejach, lecz o czworon. O sz. j po po. dniu pow. oka balonu by. a zabezpieczona i po nadaniu ma. jej lagunie, twor. cej zatoczki s. usznej nazwy "Portu Balonu" koloni. ci udali si. stron. rzyl. dka Pazura. Pencroff z in. ynierem omawiali r. projekty, kt. nale. a. o zrealizowa. jak najkr. ym czasie. Przede wszystkim trzeba b. ie przerzuci. ost, a. aby u. atwi. omunikacj. po. dniuow. cz. i. wyspy, potem wr. w. em po balon, gdy. cz. m nie mo. na go przetransportowa. potem zbuduje si. zalup. pok. adem, potem Pencroff osprz. uje j. jak kuter, tak. e fo. ie mo. na wyrusza. a wyprawy... dooko. a wyspy, potem... i tak dalej. Tymczasem zapad. mrok i niebo pociemnia. o ju. zupe. nie, gdy koloni. ci dotarli do Cypla Skrzyni, czyli do miejsca, gdzie znale. li cenne przedmioty. Ale tutaj, tak samo, jak gdzie indziej, nic nie wskazywa. o na katastrof. kr. w., wobec czego trzeba by. o zadowoli. i. nioskami wyci. gni. mi uprzednio przez Cyrusa Smita. St. d do Granitowego Pa. acu pozostawa. y jeszcze cztery mile i koloni. ci szybko przebyli ten odcinek drogi. By. o ju. po p. cy, kiedy id. c wybrze. em w kierunku uj. cia Rzeki Dzi. zynienia, doszli wreszcie do jej pierwszego zakr. Szeroko. oryta wynosi. a tutaj osiemdziesi. t st. przeprawi. i. a drugi brzeg by. o dosy. rudno, ale Pencroff podj. si. okona. rzeszkod. tote. nie trac. c czasu zabra. si. o roboty. Trzeba przyzna. e koloni. ci byli zupe. nie wyczerpani. Ostatni etap by. d. ugi, a znalezienie balonu sprawi. o, e nie mieli czasu odpocz. Dlatego te. pilno im by. o dotrze. o Granitowego Pa. acu, eby zje. olacj. przespa. i. gdyby wi. most przez rzek. y. ju. zbudowany, za kwadrans mogliby znale. i. domu. Noc by. a bardzo ciemna. Pencroff, chc. c dotrzyma. rzyrzeczenia, wzi. si. o zmajstrowania prowizorycznego promu, na kt. mo. na by. oby przep. yn. zek. Obaj z Nabem, uzbrojeni w siekiery, wybrali na ten cel dwa drzewa rosn. ce w pobli. u brzegu i zabrali si. o ich. cinania. Cyrus Smith i Gedeon Spilett, siedz. c na brzegu, czekali na chwil. kiedy ich pomoc b. ie potrzebna, a Harbert kr. si. am i z powrotem, nie oddalaj. c si. bytnio. Nagle ch. opiec, kt. poszed. w g. rzeki, wr. biegiem i zawo. a. wskazuj. c na wod. Tam co. p. ynie! Pencroff przerwa. prac. zac. przygl. da. i. za- uwa. y. jaki. ruchomy przedmiot, mgli. cie wynurzaj. cy si. mroku. Cz. powiedzia. . Wszyscy podbiegli bli. ej i ze zdumieniem zobaczyli jak. . p. yn. c. z pr. dem. Ahoj! Cz. ! krzykn. marynarz. Pokutowa. y w nim dotychczas zawodowe przyzwyczajenia, a przecie. w chwili obecnej lepiej by. o zachowa. isz. adnej odpowiedzi. Cz. p. yn. dalej i gdy by. o w odleg. o. ci zaledwie dziesi. u krok. marynarz zawo. a. : Ale. to przecie nasza piroga! Zerwa. a si. uwi. i pop. yn. z pr. dem. Trzeba przyzna. e znalaz. a si. u w odpowiedniej chwili. Nasza piroga? mrukn. in. ynier. Pencroff mia. racj. By. o to istotnie cz., kt. prawdopodobnie zerwa. o si. uwi. i samo p. yn. od. r. Rzeki Dzi. zynienia. Trzeba by. o bezwzgl. ie schwyta. e na drodze, zanim wpadnie w wartki nurt poni. ej uj. cia, co te. Nab i Pencroff zr. nie zrobili za pomoc. d. ugiej. erdzi. Cz. przyci. gni. do brzegu. In. ynier wsiad. pierwszy, chwyci. lin. upewni. si. otykiem, e by. a istotnie przetarta przez ocieranie si. ska. Oto. powiedzia. po cichu reporter. co si. azywa okoliczno. ci... Dziwn. szepn. Cyrus Smith. Dziwna czy nie dziwna, okoliczno. a by. a bardzo pomy. lna. Harbert, reporter, Nab i Pencroff wsiedli do cz. Nie w. tpili, e lina si. rzetar. a, ale najdziwniejsze w ca. ej tej sprawie by. o to, e piroga przyp. yn. w. a. nie w chwili, gdy koloni. ci znajdowali si. ad brzegiem. Mogli wi. j. uchwyci. inaczej bowiem zagin. by na pe. nym morzu. . Gdyby mo. na by. o wierzy. bajki, wypadek ten da. by podstaw. o przypuszczenia, e wysp. amieszkiwa. a jaka. dobra wr., kt. odda. a swoj. moc na us. ugi rozbitk. Jeszcze kilka pchni. wios. em i koloni. ci

znaleli si o drugiej stronie rzeki. Cz przyholowano a pod Kominy i wszyscy poszli w stron granitowego Paacu. Ale w tej chwili Top zaszczeka z w ciekoci i Nab, kt szuka po omacku pierwszego szczebla drabiny, wyda gony okrzyk. Drabiny nie byo. ROZDZIA SZTY. Nawo ywanie Pencroffa. Noc w Kominach. Strzaa Harberta. Projekt Cyrusa Smitha. Nieoczekiwane rozwizanie. Co si ta o w Granitowym Paacu. Nowy su cy kolonist Cyrus Smith zatrzyma si milczeniu. Towarzysze jego szukali po omacku, czy wiatr nie zarzuci czasem drabiny na cian lbo nie strci jej na ziemi. Ale drabina znikn bez ladu. W ciemno ciach nie mo na byo dostrzec, czy przypadkiem jaki nag y podmuch wiatru nie rzuci jej na podest. Je eli to ma by art zawo a Pencroff to bardzo g upi! Przyj o domu i nie znale rabin, po kt mo na wej o swego pokoju, to doprawdy nie jest pow o miechu dla zm onych ludzi. Nab nie przestawa dziwi i a gos. Przecie nie byo wiatru zauwa y Harbert. Zaczynam nabiera rzekonania, e na Wyspie Lincolna dziej si ziwne rzeczy powiedzia Pencroff. Dziwne? zaoponowa Gedeon Spilett. Ale nie, Pencroff. Zupe nie naturalne! Podczas naszej nieobecno ci kto przyszed, zaj nasze mieszkanie i schowa drabin! Kto! zirytowa si arynarz. A kt aki? Myliwy z ziarnkiem rutu odpowiedzia reporter. Po c y by w og potrzebny, je eli nie jako wyt umaczenie naszej przygody? Je eli jest kto na g o wiadczy Pencroff kln c ju ze z o ci spr o wywo a zmusz aby mi odpowiedzia. Grzmicy g osem marynarz zacz wrzeszcze ahaj", a echo dono nie powtarza o jego okrzyki. Kolonici nadstawili ucha i wyda o im si e z Granitowego Paacu dobieg jaki z o liwy chichot, ale nie mogli rozpozna kto go m wyda aden ludzki gos nie odezwa si a wo anie Pencroffa, kt bezskutecznie ponawia okrzyki. Mog o to wyprowadzi r wagi nawet zupe nie oboj ych ludzi, a przecie kolonist ie mo na byo do nich zalicza. W ich sytuacji ka de wydarzenie nabiera o szczeg j wagi, a trzeba przyzna e w ci gu siedmiomiesi nego pobytu na wyspie dotychczas aden wypadek nie by tak zastanawiaj cy. Teraz, nie bacz c na zm enie, poch oni ca kowicie niezwyk ym wydarzeniem, stali u st granitowego Paacu nie wiedzc, co my le co robi zadaj c sobie pytania, na kt nie mieli odpowiedzi, snuj c najrozmaitsze przypuszczenia, jedne bardziej nieprawdopodobne od drugich. Nab g o no lamentowa z rozpaczy, e nie mo e dosta i o kuchni, zw aszcza e z prowiantu wzi go na drog ic ju nie zosta o, a w chwili obecnej nie byo adnej mo liwo ci zdobycia czegokolwiek do jedzenia. ' Przyjaciele odezwa si yrus Smith jedyne, co mo emy zrobi to zaczeka a si ozwidni, i wtedy dzia a osownie do okoliczno ci. Chod my tymczasem do Komin. Znajdziemy tam prowizoryczne schronie nie i je eli nie da si aspokoi du, to przynajmniej b iemy mogli si rzespa. Ale c o za bezczelny typ sp ata nam takiego figla? pyta po raz setny Pencroff nie mog c si spokoi Kimkolwiek by ten bezczelny typ", jedyne, co mo na byo zrobi to przyj ropozycj n yniera wr do Komin zaczeka o rana. Top otrzyma rozkaz warowania pod oknami Granitowego Paacu, a gdy pies otrzymywa jakie polecenie, spe nia je bez wahania. Poczciwe zwierzo o y o si st granitowej ciany, a jego pan wraz z towarzyszami schronili si r ka. By oby przesad twierdzi e kolonici pomimo zm enia dobrze spali na piasku w Kominach. Pos ania by y bardzo niewygodne, ale przede wszystkim dr y ich niepok powodowany nowym wydarzeniem. Zastanawiali si czy zrz dzi je jaki przypadek, kt o przyczyn do aj pozna wietle dnia, czy te byo ono dzie em jakiej istoty ludzkiej. Tak czy inaczej, z tych czy innych powod ich domostwo byo chwilowo zaj i na razie nie mogli go odzyska. A przecie Granitowy Paac by nie tylko mieszkaniem,

ale zarazem i skądnic. Znajdowa o siamca wyposaenie kolonii: broinstrumenty, narzcia, amunicja, zapasy ywnoci i tak dalej. Gdyby wszystko zosta zrabowane, kolonici musieliby urzdza i nowo i zniedzi i ad zdobywaniem broni i narzi. Sprawa bya powana. Dlatego, nie mogc si spokojto jeden, to drugi co chwila wychodzi, aby sprawdzi czy Top waruje. Jedyne Cyrus Smith czeka ze zwyk cierpliwoci, aczkolwiek jego cis umys doprowadzony by do rozpaczy, e znalaz si obliczu faktu nie dajcego si y- ja ni Inynier burzy si a sam myl, e wokiego czy, byo e, nad nim dzieje si o, czego nie umie wytumaczy Gedeon Spilett ca kowicie podziela jego zdanie i obaj od czasu do czasu rozmawiali psem o tych dziwnych wypadkach, wymykajcych si ich przenikliwoci i dowiadczeniu. Niewtpliwie wysptacza jaka tajemnica. Ale jaka? Harbert tak e nie wiedzia, co myle i chce zapyta by Cyrusa Smitha. Co do Naba, to ten powiedzia sobie, e rozwizanie caej sprawy nie naley do niego, lecz do jego pana, i gdyby si nie obawia uraziwoich towarzyszy, przespa by tooc tak samo smacznie, jak na swoim posaniu w Granitowym Paacu. Pencroff w cieka si o prostu i adn miar nie umia opanowa wego gniewu. To gupi kawa powtarza. Spatali nam gupiego figla! Nie lubi akich kawa biada kawalarzowi, jeeli wpadnie w moje r! Gdy tylko na wschodzie ukaza si pierwsza po wiata zorzy, kolonici, odpowiednio uzbrojeni, udali si a brzeg w pobliu raf podwodnych. Promienie wschodzego s o mia y niebawem o wietli asad ranitowego Paacu; istotnie, przed pit mo na byo przez zamkni okiennice dojrze arysy otwor kiennych, obramowanych zieleni. Z tej strony wszystko byo w porzdku, ale nagle z piersi kolonist ydar si krzyk, gdy ujrzeli, e drzwi, kt przecie starannie zamkn przed wyruszeniem w drog byy otwarte na o cie. Kto wprowadzi si o Granitowego Paacu. To nie ulega o wtpliwoci. G drabina, zazwyczaj przeci gni od drzwi do podestu, bya na miejscu. Ale dolna jej cz zosta a wci gni a do progu. Byo zupenie oczywiste, e intruz chcia si zabezpieczy przed ewentualn niespodziank. Na razie nie mo na byo si orientowa czy tych intruz est wielu i w og kim oni s, gdy aden z nich dotychczas si nie pokaza. Pencroff znacz nawo ywa Nikt si nie odezwa. ajdaki! w cieka si arynarz. pi sobie spokojnie jak u siebie w domu! Ahoj! Piraci, bandyci, korsarze, synowie Johna Bulla \*! Gdy Pencroff, kt by Amerykaninem, nazwa Kogo synem Johna Bulla", znaczyo to, e jego zasbelg jest na wyczerpaniu. Zrobi o si upe nie widno i caa fasada Granitowego Paacu rozbys a w promieniach s o. Ale zar wewn trz, jak i na zewn trz panowa absolutna cisza Niewiele brakowa o, aby kolonici zwtpili w to, czy w Granitowym Paacu naprawd to si ainstalowa, a przecie po oenie drabiny byo niezbitym tego dowodem, tak samo zreszt jak fakt, e kimkolwiek byli nieproszeni go cie, nie mogli stamt d uciec. Ale jaK si o nich dosta Harbert wpad na pomys przywi zania sznura Ho strza y i puszczenia jej tak, by trafi a pomi y pierwsze szczeble drabiny zwisajcej spod progu. W ten spos o e by si a o za pomoc sznura ci gnrabin a ziemi przywr po czenie z Granitowym Paacem. Istotnie byo to jedyne wyjcie i przy odrobinie zr no ci mia o szans owodzenia. Na szczie uki i strza y byy z o one w jednym z korytarzy Komin tak samo jak zw ekkiego sznura z w n ketmii. Harbert umie ci strza a ci wie i dugo celowa mi y zwisajce szczeble drabiny. Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Pencroff i Nab odsun si o ty u, aby lepiej widzie co b ie si zia o w Granitowym Paacu. Harbert z o y si o strza u, celujc prosto w drzwi. Strza a frun ze wistem, ci gnc za sob sznur, i przesz a pomi y dwoma szczeblami drabiny. Plan powi si nakomicie. Harbert natychmiast chwyci koniec sznura, ale w

chwili gdy potrzebni nim, a żeby cięgnął rabin z otworu drzwi szybko wychylił się jakieś ramię chwycił o drabinę wciągnął ją do Granitowego Pałacu. Ajdak, po stokroć ajdak! ryknął Pencroff. Jeżeli można cię oczołować, to długo nie będziesz na niego czekał. Ale kto to był? zapytał Nab. Kto? Nie poznałem? Nie! Małpa, makak, gibbon, koczkodan, orangutan, pawian, goryl, pokraka! To małpy zrobiły najciężej na mieszkanie i wlewały tam po drabinie podczas naszej nieobecności! W tej chwili, jakby na potwierdzenie słów marynarza, trzy czy cztery małpy pchnęły okiennice i ukazały się oknie, witając prawowitych gospodarzy tej siedziby tysiącem min i łapami. Wiedzieliśmy dobrze, że to tylko gupki kawałki zawołają marynarz ale zaraz jeden z kawalarzy zapłacił nam za resztę. Marynarz cięgnął broń ramię szybko wycelował i wystrzelił. Wszystkie małpy zniknęły z wyjątkiem jednej, trafionej śmiertelnie, która spadła na brzeg. Małpa należąca do rzędu naczelnych, to nie ulegała wątpliwości. Czy to był szympan, czy orangutan, goryl czy gibbon, należąca w każdym razie do człokształtnych, tak nazwanych ze względu na podobieństwo do ludzi. Zresztą Harbert stwierdził, że jest to orangutan, a przecież chociaż znał się na zoologii. Co za wspaniałe zwierzę zachwycał się. Może i wspaniałe odparł Pencroff ale ja dalej nie wiem, w jaki sposób mogli dostać się do naszego domu. Harbert dobrze strzelał i ma przy sobie łuk powiedział reporter. Niech znów się szczeniaki. Tak, ale małpy to spryciarze złośliwi się Pencroff i na pewno nie ukazały się w oknie, abyśmy mogli do nich strzelać. A kiedy myślisz o szkodach, jakich mogą narobić w pokojach i magazynach... Cierpliwości uspokajał go Cyrus Smith. Te zwierzęta nie mogą trzymać się długo w szachu! Uwierzę dopiero wtedy, kiedy zejdziesz na ziemię upierał się Pencroff. A zresztą czy pan wie, panie Cyrusie, ile tuzinów kawalarzy jest tam na górze? Na to trudno było odpowiedzieć. Co za do ponownej próby Harberta, to miała ona małe szanse powodzenia, gdy dolny koniec drabiny został wciągnięty za drzwi, a gdy usiłowano znówocięgnąć sznur, sznur pękł i drabina nie spadła na ziemię. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Pencroff pienieł się złośliwie. Cała historia miała w sobie coś komicznego, ale Pencroff nie mógł teraz tego ocenić. Było zupełnie pewne, że prędzej czy później kolonistom uda się odzyskać posiadanie swego mieszkania i wykurzyć tam intruza ale kiedy i jak? Na to nikt nie umiał odpowiedzieć. Tak upłynęły dwie godziny, a nie pokazała się żadna małpa. Były one na pewno w mieszkaniu, gdy trzy czy cztery razy przez szparę w oknach czy drzwiach wysunęły się pyski lub łapy, na co koloniści odpowiadali strzałami. Schowajmy się zaproponował inżynier. Może małpy pomyśleły, że idą do nas, i ukazały się nowo. Spilett i Harbert niechaj się kryć za gwałami, i ognia, cokolwiek się wydarzy! Rozkaz inżyniera został wykonany. Reporter i Harbert, najlepsi strzelcy kolonii, ukryli się przed oknem małp, ale nie dalej niż na odległość trzech metrów. Nab załapał, Pencroff i Cyrus Smith wdrapali się na taras i poszli w stronę lasu, a żeby upolować jakiegoś zwierzę. Kiedy dawno minęła już pora posiłku, a z prowiantu, jak wiemy, nic nie pozostało. Po podziwianiu myśliwi wrócili niosąc kilka głazów skalnych, które natychmiast jako tako upieczono. Małpy wciąż się pokazywały. Gedeon Spilett i Harbert przyszli tak że posilił ich na czatach pod oknem pozostawiono Topa. Zjedzeniem uporano się szybko i wszyscy wrócili na stanowiska. Po dalszych dwóch godzinach sytuacja nie ulegała zmianie. Małpy nie dawały znaku życia i można było pomyśleć że już ich nie ma. Ale bardziej prawdopodobne było to, że wystraszone zwierzęta i towarzysza i hukem strzałów usłyszały się jakimś pokój Granitowego Pałacu czy nawet w magazynie. Gdy koloniści myśleli o nagromadzonych tam skarbach, cierpliwość bardzo zalecana przez inżyniera zmieniała się gwałtownie złośliwa szczerze mówiąc, było się tego irytować. To doprawdy

idiotyczne ❖ nie wytrzyma❖ reporter. ❖ W dodatku nie wiem, kiedy ta zabawa mog❖aby si❖ko❖ \_\_ Trzeba jako❖ wykurzy❖ych nicponi❖❖ zawo❖a❖ Pencroff. ❖ Damy sobie z nimi rad❖nawet gdyby ich by❖o ze dwadzie❖cia, ale musimy dobra❖i❖m do sk❖ Do licha! Czy nie ma sposobu, ❖eby si❖o nich dosta❖? ❖ Jest ❖ powiedzia❖ in❖ynier, kt❖o ol❖ni❖a nag❖a my❖l. ❖ I to jeden? ❖ zapyta❖ Pencroff. ❖ A zatem na pewno jest dobry, skoro nie ma innego. Na czym on polega? ❖ Spr❖emy dosta❖i❖o Granitowego Pa❖acu przez dawny kana❖❖❖ zaproponowa❖ in❖ynier. ❖ Do kr❖t tysi❖ diab❖❖❖e te❖ sam nie wpad❖em na ten pomys❖! ❖ wrzasn❖❖ Pencroff. By❖a to istotnie jedyna mo❖liwo❖ostania si❖o Granitowego Pa❖acu, aby podj❖❖alk❖ gromad❖ ma❖p i wykurzy❖❖ stamt❖d. Co prawda wlot kana❖u by❖ zamurowany ❖cian❖ ze scementowanych g❖az❖kt❖trzeba b❖ie zniszczy❖ale to si❖a odrobi❖Na szcz❖ie Cyrus Smith nie wykona❖ jeszcze swego projektu zatopienia wlotu wod❖ jeziora, gdy❖ w❖as musieliby straci❖poro czasu na przedostanie si❖amt❖. Min❖ ju❖ po❖udnie, gdy koloni❖ci, uzbrojeni i zaopatrzeni w kilofy i oskardy, opu❖cili Kominy, przeszli pod oknami Granitowego Pa❖acu i po wydaniu rozkazu psu, ❖eby warowa❖ na swoim posterunku, skierowali si❖rawym brzegiem Rzeki Dzi❖zynienia do P❖askowzg❖ Rozleg❖ego Widoku. Nie uszli jeszcze pi❖ziesi❖u krok❖gdy nagle us❖yszeli zajad❖e szczekanie Topa. By❖ to jak gdyby krzyk rozpacz. Stan❖ jak wryci. ❖ Biegnijmy! ❖ zawo❖a❖ Pencroff. Wszyscy rzucili si❖❖m ze stromego brzegu. Gdy dobiegli do zakr❖, zorientowali si❖❖e sytuacja uleg❖a zmianie. Istotnie, ma❖py, ogarni❖ nag❖ym strachem, spowodowanym jak❖❖ niewiadom❖ przyczyn❖, stara❖y si❖ciec. Dwie czy trzy skaka❖y od jednego okna do drugiego ze zr❖no❖ci❖ klawiaturkowych. Nie usi❖owa❖y nawet spu❖ci❖rabiny, kt❖u❖atwi❖aby im zej❖cie, a mo❖e pod wp❖ywem strachu zapomnia❖y o tym sposobie ucieczki. Niebawem pi❖czy sze❖❖a❖p znalaz❖o si❖ odleg❖o❖ci strza❖u, tote❖ koloni❖ci wycelowali spokojnie i dali ognia. Pozosta❖e, wyskakuj❖c na ❖eb, na szyj❖pozabija❖y si❖skutek upadku i w kilka minut p❖ej mo❖na by❖o przypuszcza❖❖e w Granitowym Pa❖acu nie ma ani jednej ❖ywej ma❖py. ❖ Hura ❖ zawo❖a❖ Pencroff ❖ hura, hura! ❖ Nie m❖hop" ❖ mitygowa❖ go reporter. ❖ Dlaczego? Przecie❖ wszystkie s❖ ju❖ nie❖ywe ❖ odpar❖ Pencroff. ❖ Racja, ale to nie daje nam jeszcze mo❖no❖ci dostania si❖o domu. ❖ Chod❖my wi❖kana❖em ❖ zaproponowa❖ Pencroff. ❖ Chyba tak ❖ zgodzi❖ si❖n❖ynier. ❖ Ale by❖oby lepiej... W tej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na s❖owa Cy-rusa Smitha, drabina ze❖lizn❖ si❖ progu, rozwin❖ i spad❖a na ziemi❖❖ Do kro❖t tysi❖ fajek! A to dobre! ❖ krzykn❖❖ marynarz patrz❖c na in❖yniera. ❖ Nawet bardzo dobre! ❖ mrukn❖❖ pod nosem in❖ynier rzucaj❖c si❖a pierwszy szczebel. ❖ Niech pan uwa❖a, panie Cyrusie ❖ ostrzeg❖ go Pencroff. ❖ Je❖eli tam pozosta❖ jeszcze jaki❖ ma❖pi-szon... ❖ Zobaczymy ❖ odpowiedzia❖ in❖ynier nie zatrzymuj❖c si❖ Wszyscy poszli za nim i po minucie dotarli do progu drzwi. Szukali wsz❖ie. Ani ❖ywej duszy w pokojach i w magazynie, dok❖d ma❖py zreszt❖ nie dotar❖y. ❖ To dopiero! A drabina? Kt❖o jest ten d❖entelmen, co nam j❖ pos❖a❖? ❖ dziwi❖ si❖encroff. W tym momencie rozleg❖ si❖rzask i do pokoju wbieg❖a du❖a ma❖pa, kt❖ukry❖a si❖ korytarzu, sk❖d wyp❖oszy❖ j❖ Nab. ❖ Ach, bandyta! ❖ wrzasn❖❖ Pencroff. I trzyman❖ w r❖ siekier❖ zamierza❖ ju❖ rozci❖❖eb zwierz❖u, gdy in❖ynier powstrzyma❖ go m❖c: ❖ Niech pan j❖ oszcz❖i, Pencroff. ❖ Mam darowa❖yście tej pokrace? ❖ Tak, gdy❖ to ona rzuci❖a nam drabin❖ In❖ynier powiedzia❖ to tak dziwnym tonem, ❖e trudno by❖o si❖orientowa❖czy m❖powa❖nie, czy te❖ ❖artuje. Wszyscy rzucili si❖na ma❖p❖kt❖broni❖a si❖ezskutecznie; obalono j❖ na ziemi❖ zwi❖zono. ❖ Uff! ❖ odetchn❖❖ Pencroff. ❖ A co z niej zrobimy? ❖ S❖u❖❖cego ❖ odpar❖ Harbert. M❖c to ch❖opiec niezupe❖nie ❖artowa❖, gdy❖ wiedzia❖ dobrze, jak❖ korzy❖❖o❖e przynie❖❖o inteligentne,

czwororog stworzenie. Kolonijci zbliżyli się do małp i przyglądali się jej uważnie. Był to orangutan, a zatem małpa nie tak drapieżna jak pawian czy gupia jak makak ani tak niechlujna jak saguin czy gwałtowna jak magot. Orangutan nie ma takich zwierzych instynktów pawiana. Małpy czekoczące posiadają wiele cech świadczących o ludzkiej niemal inteligencji. Osojone potrafią nakrywać stoł, sprzątać mieszkanie, czyścić buty i obuwie, sprawnie posługiwać się łyżką, widelcem i nożem, a nawet pić... nieomal tak dobrze jak najlepszy szef kuchni. Wiadomo, że Buffon \* miał taką małpę w swoim domu i gorliwie jak najwierniejszy kamerdyner. Małpa zamieszkała w Granitowym Pałacu była różna i co najmniej szalenie wysoka i harmonijnie zbudowana, o szerokiej klatce piersiowej, niezbyt dużej, głowie przy czym kąt twarzowy wynosił mniej więcej sześćdziesiąt pięć stopni o czaszce zaokrąglonej, wystającym nosie, skórą pokrytej gładką sierścią, łonem i miedzią w dotyku szorstwym, doskonały okaz czekoczących. Oczy nie mniejsze od oczu człowieka błądzącego sprytem i zwinnością. Wargi odsłaniały łon, białe zębami, a małpa, krępa brzośmia orzechowy kolor. Pięć chłopaków pochwaliło go Pencroff. Gdyby się na niego spojrzeć, można by z nim porozmawiać. Czy pan może pomóc? zapytał Nab Cyrusa Smitha. Zostawimy go jako surowego? Tak, Nabie uśmiechnął się nienawistnie. Myślałem z niego będzie wietny surowiec dodał Harbert. Jest metody i jego edukacja nie nastręczy trudności; nie będziemy musieli poskramiać go siłą ani też wyrywać kłopot jak to się zdarza w podobnych wypadkach! Na pewno przywiózł do ludzi, jeżeli będzie dla niego dobry. Na pewno będzie dobry zapewnił Pencroff zapomniawszy już o urazie, jak żywi do kawalarzy". \ Potem zbliżył się do orangutana mówiąc: No cóż, mój pan! Jak się czujesz? Orangutan odpowiedział cichym mrukiem, w którym nie czuła się siłą bynajmniej niechęć. Chcemy należeć do kolonii? pytał dalej marynarz. Chcemy wstąpić do służby pana Cyrusa Smitha? Małpa zadrżała jak gdyby potakując. I zadowolimy się żywieniem zamiast pensji? Trzecie potwierdzenie mrukiem. Rozmowa z nim jest trochę monotonna zauważył Gedeon Spilett. To nic pocieszał Pencroff. Najlepszy surowiec to właśnie ten, co ma do pensji! Szczęśliwie, mój pan! Na początek nie damy ci pensji, ale podwoimy ją, jeżeli będziemy z ciebie zadowoleni! W ten sposób kolonia wzbogaciła się o nowego członka, którego oddała jej niejednemu przysług. Co za do imienia, marynarz zaproponował nazwę orangutana na czczonej małpy, którą kiedyś znał, Jupiterem, w skrócie Jupem. Tak oto, bez dalszych ceregieli, imię zamieszkała w Granitowym Pałacu. rozdział Siódmy. Projekt do zrealizowania. Most przez Rzekę Złoty. Przekształcenie Północnego Widoku w wyspę Złoty most. Zebrane plony. Strumyk. Mostki. Ptaszarnia. Gołąb. Dwa onagry. Wódz zaprzęgi. Wycieczka do Portu Balonu. Kolonijci Wyspy Lincoln odzyskali swój siedzibę chociaż nie musieli przedostawać się do niej dawnym kanałem przelewowym, co zaoszczędziło im pracy. Ku ich wielkiej radości, w chwili gdy już zamierzali to uczynić gromada małp, zdając się nagle, jak niezrozumiałym strachem, uciekła z Granitowego Pałacu. Czyby zwierzę przeczuło, że zostaną zaatakowane z innej strony? Był to chyba jedyny sposób umacnienia tego błądliwego odwrotu. Kilka ostatnich godzin dnia zajęto na przeniesienie do lasu i zakopanie zabitych małp; następnie kolonijci musieli usunąć ładunek nieporządku sprawionego przez intruza nieporządku, a nie zniszczenia, gdyż małpy wprawdzie poprzewracały sprzęt w pokojach, ale nic nie porządkowały. Nab rozpalił ogień w kuchni i przyrzucił z zapasów obfity posiłek, a wszyscy raczyli się z apetytem. Nie zapomnieli także o Jupie; ten z przyjemnością zjadł orzeszki pinii i kawałek, którego mu nie dawano. Pencroff rozwiązał mu rękę, ale



pozostawił na nogach do chwili, kiedy można będzie liczyć na to, że ma pa się poddać. Po kolacji Cyrus Smith i jego towarzysze, siedząc przy stole, zaczęli omawiać najpilniejsze prace, jakie ich czekają. Przede wszystkim należało przerzucić most przez Rzekę Zmierznięcia, tak by stworzyć połączenie pomiędzy południową częścią wyspy a Granitowym Pałacem, a następnie trzeba byłoby zbudować zagrodę dla muflonów i innych zwierząt o wełnistej sierści, którą zamierzali oswoić. Jak z tego widać obydwa projekty miały na celu rozwiązanie sprawy ubrania, jako w tej chwili najważniejszej. Most miał ułatwić transport powłoki balonu, przeznaczonej na bielizną zagroda zaś miała dostarczyć wełnę, przeznaczonej na zimowe ubrania. Zagrodę zamierzał Cyrus Smith urządzić przy źródle Czerwonego Potoku, gdzie byłoby pod dostatkiem pastwisk, stanowiących źródło i obfitej paszy dla bydła. Droga pomiędzy pastwiskami a źródłem potoku była już ułożona, a lepszy od dotychczasowego ułatwiłby transport, zwłaszcza jeżeli się udałoby zwozić jakieś zwierzęta górskie. Nic nie stało na przeszkodzie, aby zagroda znajdowała się daleko od Granitowego Pałacu. Inaczej natomiast wyglądała sprawa ptaszarni, o którą dopominał się Ab. Istotnie ptactwo domowe powinno być znajdowane i od ręki kuchmistrza, toteż za najdogodniejsze miejsce na założenie ptaszarni uznano teren przylegający bezpośrednio do wylotu dawnego przelewu jeziora. Można byłoby tam świetnie hodować nie tylko ptaki wodne, ale także i wszelkie inne; osvajanie dzikiego ptactwa koło niego zamierzali rozpocząć parę kusek powieszonych podczas ostatniej wyprawy. Nazajutrz, 3 listopada, nowo seriarce zapoczątkowano budowę mostu; znaleźli przy niej zatrudnienie wszyscy koloniści. Wzięli piły, siekiery, druta oraz moty i jako cięble zeszli na wybrzeże. Przed wyjściem Pencroff zrobił uwagę: „Co będzie, jeżeli podczas naszej nieobecności Ju-powi strzeli do głowy sprzątnięty rabin? Nam tak uprzejmie zrzucił wczoraj?” Trzeba już przymocować dolny koniec odpowiedzi Cyrus Smith. Tak też zrobiono, używając do tego celu dwóch kłoców wbitych w ziemię. Idąc w górę rzeki, koloniści dotarli niebawem do jej zakrętu. Tu zatrzymali się aby zbadać czy miejsce to jest odpowiednie do przerzucenia mostu. Orzekli, że się tego nadaje. W istocie, od tego punktu do Portu Balonu, odkrytego wczoraj na południowym wybrzeżu, odległość wynosiła zaledwie trzy i pół mili; stąd da się z trudem przeprowadzić do portu drogę rowną, co ułatwi komunikację z Granitowym Pałacem a południową częścią wyspy. Przy okazji Cyrus Smith podzielił się swoimi towarzyszami pewnym projektem, bardzo łatwym do wykonania, a zarazem korzystnym, nad którym zastanawiał się do czasu. Mianowicie chciał zupełnie odizolować Pastwisko Rozległego Widoku, tak by się znalazło poza zasięgiem jakichkolwiek zwierząt czworonogich czy czworonogich. W ten sposób Granitowy Pałac, jak Kominy, ptaszarnia i cała góra Pastwisko, przeznaczona na zasiewy, byłaby zabezpieczona przed najściem zwierząt. Nie byłoby nic łatwiejszego niż wykonanie tego projektu, a oto w jaki sposób należy zamierzać postąpić. Pastwisko było już z trzech stron zabezpieczone wodą będącą w sposób naturalny, będącą doprowadzoną sztucznie. Na północnym zachodzie przez brzegi Jeziora Gra, od miejsca dawnego przelewu wody aż do szczelby zrobionej na zachodnim krańcu nowego odpływu wód. Na północy od tej szczelby aż do morza przez nowy potok, który wyrobił sobie koryto na Pastwisku powyżej i poniżej wodospadu; tutaj wystarczyłoby jedynie pogłębienie potoku, aby zwierzęta nie mogły przejść. Na wschodnim krańcu przez morze, na całej przestrzeni od ujścia nowego potoku, aż do ujścia Rzeki Zmierznięcia. Wreszcie na południu od ujścia aż do zakrętu przez Rzekę Zmierznięcia, na którym miała być budowany most. Pozostawał więc jedynie zachodni skraj Pastwiska, leżący pomiędzy zakrętem rzeki a

po podniowym ktem jeziora; na przestrzeni niespe na mili sta on otworem dla ka dego przybysza. Nic jednak atwiejszego ni przekopa zerok i g k fos wype ni wod z jeziora, kt nadmiar mo e si rzela rugim wodospadem do Rzeki Dzi zynienia. Oczywi cie poziom wody w jeziorze zn bni y si ieco wskutek drugiego przelewu, a in ynier zdo a si u zorientowa e wydajno zerwonego Potoku jest dostatecznie du a i pozwoli na wykonanie tego projektu. W ten spos zako in ynier P askowzg Rozleg ego Widoku stanie si prawdziw wysp, gdy b ie otoczone wod ze wszystkich stron, a z pozosta a cz i wyspy b ie si czy o jedynie za pomoc projektowanego mostu na Rzece Dzi zynienia, dw mostk u przerzuconych powy ej i poni ej wodospadu i wreszcie dw innych, kt nale y dopiero zbudowa jeden prowadz cy przez fos kt zamierzamy wykopa a drugi na lewo od Rzeki Dzi zynienia. Ot e eli te mosty i mostki dadz si owolnie zwodzi P askowzg Rozleg ego Widoku b ie zabezpieczone przed wszelkimi niespodziankami. A eby towarzysze lepiej go zrozumieli, Cyrus Smith wykre li map askowzg; wszyscy w lot uchwycili jego my l i jednog onie wyrazili aprobat Pencroff, potrzebuj c siekier ciesielsk, zawo a: Dalej, bierzmy si o robienia mostu! By a to najpilniejsza praca. Drzewa zosta y wybrane, ci, oczyszczone z ga, poci na belki, dyle i deski. Most, przytwierdzony na sta e na prawym brzegu rzeki, mia by uchomony na lewym brzegu, tak by mo na go by o podnie a pomoc przeciwwagi jak niekt mosty nad luzami. atwo si omy li e praca by a olbrzymia; pomimo zapa u i energii musia a poch on e wiele czasu, gdy szeroko zeki Dzi zynienia wynosi a oko o osiemdziesi u st. Trzeba by o w dno wbi ale, kt mia y utrzyma wigary mostu, a w tym celu nale a o zrobi afar do wbijania tych pali; zamierzano zbudowa ost oparty na dw filarach, a eby m wytrzyma u e ci ry. Na szcz ie nie brakowa o ani narz i do obr drzewa, ani elaznych cz i do wzmocnienia mostu. Nie brakowa o te pomys owoci cz owieka, doskonale znaj cego si a tych pracach, ani wreszcie zapa u jego towarzyszy, kt, pracuj c pod jego kierunkiem ju siedem miesi, zdobyli du wpraw. Trzeba przy zna e Gedeon Spilett nie nale a do najwi zych niezgrabiaszy i wsp wodniczy w zr no ci nawet z marynarzem, kt nigdy by si ego nie spodziewa po zwyczajnym dziennikarzu!" Nad przerzuceniem mostu przez Rzek zynienia koloni ci pracowali przez ca e trzy tygodnie. Obiad jedli na miejscu, a poniewa pogoda by a wspania a, do Granitowego Pa acu wracali dopiero na kolacj. W tym okresie mo na by o stwierdzi e im up zaaklimatyzowa si a kowicie, a nawet spoufali ze swoimi nowymi panami, na kt h zawsze patrzy z nies ychanym zaciekawieniem. Na razie jednak ze wzgl na ostro no encroff nie pozostawia mu jeszcze ca kowitej swobody ruch gdy s usznie chca zaczeka o chwili, gdy granice p askowzg stan si skutek zaplanowanych rob ie do przebycia. Topa czy a z Jupem jak najlepsza komitywa; zwierz ch ie si e sob bawi y, ale Jup zachowywa zawsze przy tym najwi z powag. 20 listopada most by got. Jego ruchoma cz, zr wa ona przeciwwag, z atwo ci zmienia a po o enie i wystarcza niedu y wysi ek, eby j unie. Odleg o omi y osi, na kt obraca a si uchoma cz mostu, a poprzeczk, stanowi c jej oparcie, wynosi a dwadzie cia st co uniemo liwia przej cie jakimukolwiek zwierz u. Powsta a teraz kwestia sprowadzenia pow oki balonu, gdy koloni ci chcieli jak najszybciej ulokowa w bezpiecznym miejscu. Ale eby j przetransportowa trzeba by o doci gn do Portu Balonu, co z kolei stwarza o konieczno rzebicia drogi w g ych Lasach Dalekiego Zachodu. Ta praca tak e wymaga a du szego czasu. Tote Nab z Pencroffem poszli na zwiady. koloni ci postanowili nie

przerywa hwilowo prac zwi zanych z zabezpieczeniem p askowzg. W ten spos orzek Pencroff urz dzimy pta-szarni najlepszych warunkach, gdy nie b iemy si bawiali ani odwiedzin lis ani napadu innych drapie nik. Nie m c o tym doda Nab e b iemy mogli wykarczowa askowzg i przesadzi am ro liny dziko\*rosn ce... I przygotowa runt pod drugie pole! zawo a marynarz z tryumfem. Duma jego by a uzasadniona, gdy dzi jego staraniom pierwsze pole, na kt zasiano jedno jedyne ziarno zbo a, da o nad podziw bogaty plon. Z ziarnka wyros o dziesi k os apowiedzianych przez in yniera, a poniewa ka dy k os zawiera osiemdziesi t ziaren, kolonia by a ju w posiadaniu o miuset ziaren, i to po sze ciu miesi cach, co zapowiada o dwukrotny plon w ci gu roku. Te ziarna, z kt h na wszelki wypadek pi ziesi t od o ono, koloni ci mieli zasia a nowym polu, dok adaj c do tego nie mniej stara przy oddawaniu ziemi jedynego ziarnka. Pole zosta o przygotowane i otoczone mocnym cz oko em, wysokim i ostrym, prawie nie do przebycia dla zwierz t czworono nych. Aby odstraszy taki, niewyczerpany w pomys ach marynarz wykombinowa ' piszcz ce wiatraczki i przer strachy. Po tych przygotowaniach zasiano w r ch rowkach siedemset pi ziesi t ziarek; reszty powinna dokona atura. 21 listopada Cyrus Smith zacz szkicowa lan fosy, maj cej odgrodzi askowzg od zachodu, pocz wszy od po udniowego kra Jeziora Granta a do zakr Rzeki Dzi zynienia. By o tu dwie do trzech st ro- dzajnej gleby, a pod spodem granit. Trzeba by o zatem zn rzyrz dzi itrogliceryn kt wywo a a oczywi cie spodziewany skutek. W ci gu niespe na pi astu dni w twardej skale p askowzg wy obiono fos zerok na dwana cie st g k na sze W ten sam spos osta a przebita jeszcze jedna szczyba w skalistym obramowaniu jeziora i woda rzuci a si o nowego o yska tworzc rzeczk azwan Glicerynowym Potokiem". Potok ten sta si op ywem Rzeki Dzi zynienia. Zgodnie z przewidywaniami in yniera poziom wody w jeziorze obni y si ale bardzo nieznacznie. Wreszcie, a eby zamkn askowzg, poszerzono znacznie koryto strumienia na wybrze u i powstrzymano podw m cz oko em nap iasku. W po owie grudnia wszystkie te prace by y ostatecznie zako ne, a P askowzg Rozleg ego Widoku, tworzc nieregularny pi obok o obwodzie blisko czterech mil, zosta o za pomoc pasa wody cakowicie zabezpieczone od wszelkiej napa ci. W grudniu panowa silny upa . Jednak e koloni ci nie chcieli przerywa racy nad wykonaniem swoich plan a poniewa najpilniejsz spraw by o urz dzenie ptaszarni, wzi si o tego niezw ocnie. Rzecz jasna, e z chwil gdy p askowzg zosta o otoczone wod , im up zacz korzysta cakowitej swobody. Chodzi krok w krok za kolonistami i nie zdradza najmniejszej ch do uciezki. By o to zwierz ardzo agodne, a jednocze nie bardzo silne i nies ychanie zr ne. Gdy sz o o szybkie wdrapanie si a drabin rzy Granitowym Pa acu, nikt nie m z nim rywalizowa Obarczano go ju pewnymi pracami: przyci ga drzewo i nosi kamienie wydobyte z o yska Glicerynowego Potoku. Nie jest to jeszcze murarz, ale ju prawie ma pa! artowa Harbert. U ywaj c s owa ma pa" mia na my li przewisko, kt murarze obdarzaj swoich terminator W tym wypadku przewisko by o trafniejsze ni kiedykolwiek. Ptaszarnia zaj na po udniowo-wschodnim brzegu jeziora teren o powierzchni dwustu jard wadratowych. Otoczono j parkanem i zbudowano r pomieszczenia dla ptak aj cych tam zamieszka Niebawem domki z ga wyposa one w odpowiednie przegr czeka y ju na swoich lokator Jako pierwsza para znalaz y tam schronienie kusaki, kt w kr m czasie wysiedzia y liczne stado piskl t. Do towarzystwa przyby o im niebawem z p uzina kaczek z owionych nad brzegiem jeziora. Niekt z nich nale a y do gatunku kaczek chi ch, odznaczaj cych si krzyd ami w kszt cie wachlarza, kt barw i po yskiem upierzenia

mogły rywalizować z ocistym bałanem. W kilka dni później Harbertowi udało się zapaść urak zaokrąglonych długich ogonach i wspaniałych czubaczy; niebawem oswoiły się one całkowicie. Pelikany, zimorodki i kurki wodne same zjawiały się ptaszarni i całe to towarzystwo, po paru tygodniach, gruchając, gładząc i piejąc doszło wreszcie do porozumienia. Ptaszarnia zaczęła się rozmnażać tempie otwierającym wspaniałe perspektywy zaopatrzenia kolonii w żywność. Cyrus Smith, chcąc dołożyć do sprawy, zbudował w rogu ptaszarni gołębik. Umieszczono w nim około tuzina gołębi przebywających dotychczas na wysokich skałach paskowzga. Ptaki te szybko przyzwyczały się i wracała noc do nowego mieszkania i wykazywały wiernie skłonności do oswojenia się i grzywacze, które zresztą rozmnażają się tylko w stanie dzikim. -- Wreszcie przyszedł czas, aby użytkować ową okolonę. Przechowywanie jej bowiem w dotychczasowej postaci po to, by opuścić balonie napełnionym rozgrzanym powietrzem i zaryzykować o ponad niezmierną przestrzeń wodną, byłoby do pomyślenia tylko w tym wypadku, gdyby stanowiło jedyną drogę ataku. Cyrus Smith był zbyt rozsądny, a żeby poważnie o tym myśleć. Chodziło więc o przetransportowanie powłoki do Granitowego Pałacu. Kolonijci zakrzętni się o swoje cięgie w, przerabiając go na bardziej zwrotny i lekki. Teraz mieli już pojazd, ale brakowało wci jeszcze siły pociągowej. Czyby na wyspie nie było zwierząt mogących zastąpić onę, osła, wołu czy krowę? Oto pytanie do rozstrzygnięcia. Doprawdy może Pencroff takie zwierzę bardzo by się przydało, zanim pan Cyrus nie będzie miał zbudować takiego w parowego lub tej lokomotywy. Nie wątpię, że pewnego piętego dnia będziemy mieli linię olejową od Granitowego Pałacu do Portu Balonu z bocznikami na GFranklina! Poczciwy marynarz wierzy w to, co mówi, wielką jest bowiem potęgą wyobraźni, szczególnie gdy do czegoś się wierzy! Ale nie przesadzajmy. Zwyczajnie zwierzęciągowe także zadowoliliby Pencroffa, a ponieważ los miał widocznie jakiegoś saba o niego, nie dał mu długo czekać. Pewnego dnia, było to 23 grudnia, usłyszano okrzyki Naba i ujadanie Topa. Kolonijci zajęci pracą w Kominach przybiegli natychmiast, obawiając się jakiegoś przykrego zajścia. I co? Parę dużych zwierząt, samca i samicę, które nieopatrznie zapuściły się na paskowzga w czasie, gdy mostki były opuszczone. Zwierzęta podobne były do koni, a raczej do osła zgrabne, bujanej masy, o białych nogach i ogonach, z czarnymi pręgami na bokach, szyjach i tułowiu. To onagry! zawołał Harbert. Co poprzedniego pomiędzy zebrali zwierzęciem zwanym kwagga". A czemu nie osła? zapytał Nab. Dlatego, że nie mają długich uszu, a poza tym są bardziej kształtne. Osły czy konie wtręci Pencroff w każdym razie są to motory" jakby powiedział pan Smith, a zatem należały je schwytać. Nie puszczając zwierzęt, marynarz podczołgał się trawie a do mostka na Glicerynowym Potoku, podniósł go i onagry znalazły się potrzasku. A teraz należało się zastanowić czy schwytać zwierzę gwałtem i oswojać je przemocą? Nie! Postanowiono, że przez kilka dni pozwoli się im korzystać z swobody na paskowzga, gdzie rosła pięta trawa. Inżynier kazał natychmiast zbudować poblizu ptaszarni stajenkę w której onagry miałyby dobrą opiekę i schronienie na noc. I tak parę wspaniałych zwierząt pozostawiono całkowicie swobodą a kolonijci unikali nawet zbliżenia się do nich, żeby ich nie spłoszyły. Jednakże kilka razy onagry, przyzwyczajone do rozległych przestrzeni i cienistych lasów zdradzały chęć ucieczki z paskowzga, które było dla nich zbyt ciasne. W takich chwilach brodziły wzdłuż pasa wody, stanowiłycego zaporę do przebycia, ryczały donośnie, a potem przez całe godziny spoglądały tętnie na gószczy leżący, dokąd nie mogły już powrócić. Przez ten czas przygotowano uprzęgi i lejce z włóknami rolinnymi. W parę dni po schwytaniu

onagry tylko w by gotowy do uytku, ale czeka a tak e pro- sta droga, a raczej przebity trakt w Lasach Dalekiego Zachodu od Zakr Rzeki Dzi zynienia do Portu Balonu. Mo na wi by o je dzi em i pod koniec grudnia koloni ci po raz pierwszy spr ali zaprz c onagry. Pencroff tak zgrabnie chodzi ko o tyc i zwierz t, e jad y ju z r i pozwala y si bli y o siebie bez obawy, ale gdy je zaprz no, stan d i tylko z wielkim wysi kiem uda o si e poskromi Niebawem jednak wdroy y si o swej nowej pracy. Onagry s ! mniej odporne ni zebry i w g stych cz iach Po udniowej Afryki cz o u ywa si ch jako si y poci gowej, a nawet aklimatyzuj si stosunkowo zimnych strefach Europy. Wszyscy koloni ci z wytkiem Pencroff a, kt prowadzi za uzdo woje zwierz , wdrapali si a w i odbyli przeja d k o Portu Balonu. Oczywi cie w trz s okropnie na prymitywnej drodze, ale dotar bez powa niejszego wypadku do celu. Za adowano tam na niego pow ok ca e wyposa enie powietrznego statku. Tego samego wieczora w powr do Granitowego Pa acu.

ROZDZIA MY. Bielizna. Obuwie z foczej sk Fabrykacja piroksyliny. Ro ne nasiona. Rybo wo. Jaja e. Post im upa. Zagroda. Polowanie na muflony. Nowe bogactwa ro linne i zwierz . Wspomnienia o dalekiej ojczy nie. Pierwszy tydzie ycznia po wi no na szycie bielizny, bardzo potrzebnej wszystkim. Znalezione w skrzyni ig y miga y nie tyle w delikatnych, ile mocnych palcach, tote robot a by a solidna co si owie. Nici by o pod dostatkiem dzi pomys owi Cyrusa Smitha, eby u ywa ocnej dratwy, kt by y pozszywane pasy pow oki. Gedeon Spilett i Harbert z bezprzyk adn cierpliwoci pruli tkanin natomiast Pencroff wycofa si tej pracy, gdy w ciekle go nudzi a, za to kiedy przyst piono do szycia, nikt mu nie m dor Wiedomo przecie , e do tej czynno ci marynarze s szczeg e uzdolnieni. P z pow oki balonu zosta o po rozpruciu odt uszczone za pomoc sody i potasu otrzymanego ze spalenia ro lin, a pozbawiona lakieru tkanina bawe niana odzyska a swoj normaln mi o o elastyczn o pod odbarwiaj cym dzianiem powietrza i s o sta a si ieskazitelnie bia a. Uszyto par uzin oszul i zrobiono par uzin karpet e te ostatnie oczywi cie nie sposobem dziewiarskim, lecz po prostu z p . C o by a za rozkosz dla kolonist gdy mogli wreszcie w o y a siebie bia a bielizn wprawdzie bardzo grub , lecz kt y si ym przejmowa ! Sporz dzono tak e prze ciera a, dzi kt w Granitowym Pa acu sta y si upe nie przyzwoitymi pos aniami. Mniej wi j w tym samym okresie uszyto z foczej sk obuwie, a eby zast pi rzewiki i buty pochodz ce jeszcze z Ameryki. Nowe obuwie by o d ugie i szerokie i wszyscy byli pewni, e nie b ie uwiera o w stopy. Na pocztku roku 1866 da y si e znaki d ugotrwa e upa y, lecz mimo to nie zaniechano polowa guti, pe-kari, kapibary, kangury i inna zwierzyna y a w lesie w wielkiej obfito ci, Gedeon Spilett za i Harbert stali si ak dobrymi my liwymi, e nie marnowali ani jednego naboju. Cyrus Smth stale zaleca jak najwi z oszcz o o municji, a r cze nie nie zaniedbywa uzupe niania zapasu prochu i kul, gdy znalezione w skrzyni wola zachowa a czarn godzin Czy m przewidzie dok d ich rzuci los, gdy pewnego dnia postanowi opu ci ysp Trzeba wi by o przygotowa i a wszelkie niespodzianki nieznanego jutra i oszcz a municj zast j c j czym , co mo na by o z atwo ci wyprodukowa a miejscu. Jako namiastk o owiu, kt o nie zdo a wykry a wyspie, Cyrus Smith zastosowa z nie najgorszym skutkiem atwy do zrobienia rut elazny. Poniewa elazo jest l ejsze od o owiu, trzeba by o robi rubszy rut, przez co mniej go wchodzi o do naboju. Jednak e zr no o trzelc yr wa a ten mankament. Je li za chodzi o proch, to in ynier, maj c do dyspozycji sale- tr siark w el, m y pokusi i sfabrykowanie go; produkcja prochu wymaga jednak nies ychanej staranno ci i specjalnego wyposa enia, bez kt o

trudno uzyskać dobry gatunek. Dlatego Cyrus Smith wolał zrobić iroksylinę czyli bawełnę trzelniczą substancję do której bawełna nie jest konieczna, gdyż występuje jedynie jako drzewnik, tkanka wchodząca w skład wszystkich roślin. Znajduje się w stanie czystym nie tylko w bawełnie, ale także we włoskach lnu i konopi, w papierze, piśmie, rdzeniu czarnego bzu itd. Otóża wyspie w pobliżu Czerwonego Potoku było dużo tych krzewów których jagody wiali kolonijci jako namiastki kawy. Należałoby więc tylko zbierać dzienia czarnego bzu dla otrzymania drzewnika. Drugim składnikiem potrzebnym do produkcji piroksyliny jest kwas azotowy dymiący. Otóżając do dyspozycji Kwas siarkowy Cyrus Smith mógł z łatwością uzyskać kwas azotowy przez zadziałanie na saletrę a tej dostarczyła mu przyroda. Postanowił więc produkować używać iroksyliny, pomimo że zdawało się sobie sprawę jej poważnych niedogodności, polegających na nierównomiernym działaniu, na wielkiej łatwości zapaleniu i piroksyliną bowiem zapala się już przy temperaturze stu siedemdziesięciu stopni, a nie dwustu czterdziestu i wreszcie na zbyt szybkim spalaniu, co grozi zniszczeniem broni. Piroksyliną ma jednak i duże zalety, a więc nie psuje się od wpływem wilgoci, nie zanieczyszcza lufy, a jej siła wybuchowa jest czterokrotnie większa niż siła wybuchowa zwykłego prochu. Aby otrzymać iroksylinę wystarczy przez kwadrans moczyć drzewnik w dymiącym kwasie azotowym, następnie wypłukać w wodzie białej i wysuszyć. Jak widać sposobem otrzymywania jest bardzo łatwy. Cyrus Smith miał jednak do dyspozycji tylko zwykły kwas azotowy, a nie kwas dymiący, który zetknięty z wilgotnym powietrzem wydziela białą parę. Zastając go zwykłym kwasem, zmieszonym w stosunku trzy do pięciu ze stężonym kwasem siarkowym, można uzyskać ten sam wynik; wolał więc nie w ten sposób, a raczej postąpił. Niebawem myśliwi z Wyspy Lincoln mieli doskonale zrobioną piroksylinę a używając jej z umiarem, osiągnęli świetne wyniki łowów. Mniej więcej w tym czasie kolonijci wykarczowali trzy akry ziemi na Pastwiskach Rozległego Widoku, pozostawiając resztę pastwisko dla onagr. Kilkakrotnie podejmowali wyprawy do Lasów Łotki i Dalekiego Zachodu, przynosząc stamtąd mnóstwo dziko rosnących warzyw: szpinak, rzęchuchrzan, rzep. Przez umiejętną hodowlę amierzali przeobrazić je w rośliny uprawne, co znakomicie wpłynęło na zagospodarowanie nadmiaru białka w ich dotychczasowym pożywieniu. Przywieziono także duże ilości węgla i drzewa. Każda wyprawa służyła raczej do polepszenia dróży niż do ubijania się od kłami w. Królestwo nie przestawało dostarczać swojego kontyngentu do spiżarni Granitowego Pałacu. Ponieważ znajdowała się o drugiej stronie Glicerynowego Potoku, królestwo nie mogło odwiedzić Pastwisk ani niszczyć owej plantacji. Nawica ostryg, znajdujących się przy brzoziach plaży, dostarczała codziennie świeżych, wspaniałych mierek. Ponadto rybołówstwo na jeziorze i Rzece Dzielnienia zaczęło także dawać namacalne wyniki, gdyż Pencroff zastosował w sieci nowe, zaopatrzone w stalowe haczyki, na którychapały się z pomocą pięt pstręgi i inne nadzwyczaj smaczne ryby o srebrzystych bokach, usianych różnymi plamkami. Toteż Nab, mający w swej pieczy sprawy kulinarne, mógł przyjemnie urozmaicić każdy posiłek. W jadłospisie kolonistów brakowało tylko chleba i wszyscy odczuwali ten brak w sposób oczywisty. Urządzano także polowania na różne morskie, odwiedzając plażę przy brzoziach. W tym miejscu wybrzeże było po prostu najeżone małymi wypukłościami, w których miejscach siedziały kuliste jaja białe o twardej, białej skorupie. Białko ich ma taką właściwość że się nie ścina tak jak białko jaj ptasich. Trudność wysiadywania tych jaj bierze na siebie sokoł. Jaj było mnóstwo, gdyż jeden mógł znieść do dwustu jaj w roku. Prawdziwe pole jajowe zauważył Gedeon Spi-lett. Nie pozostaje nic innego do roboty, tylko zebrać je. Kolonijci nie poprzestawali na jajach,

lecz przystąpili także do polowania na ich wytwór, co pozwoliło w rezultacie przynieść do Granitowego Pałacu tuzin ryb, bardzo cennych jako pożywienie. Rosła, zaprawiony ziołami aromatycznymi z dodatkiem roślin zastójnych w oszczyznicyga zaszuone pochwały na kuchmistrza Naba. Należy zwrócić uwagę jeszcze jedną szczególną okoliczność, która pozwoliła powięzyć apasy zimowe. Do Rzeki Dziżynienia wtargnęły ososie i popłynęły parą pod prąd. Był to okres, kiedy samice, szukając dogodnego miejsca do tarła, wyprzedzają samców posuwając się wielkim hałasem w górę rzeki. Przeszło tysiąc ososów, długości około dwu metrów, wtoczyło się do rzeki i teraz wystarczyło założyć rzęzgrody, aby je schwytać. W ten sposób owiono kilkaset sztuk i nasolono, aby mieć pas na zimę, kiedy lokuje rzeki i nie pozwoli nałowienie ryb. W tym czasie mądra matka Jup zaczął pobierać nauki sędziwego ludzimu. Ubrano ją w kubrak, krótkie spodnie z białego perłowego i fartuch z kieszeniami, z których Jup był niezmiernie dumny i nikomu nie pozwalał wsadzać do nich ręki. Zręny orangutan został doskonale wytresowany przez Naba i tak go szukał, jak gdyby rozumiał, co Murzyn do niego mówił. Jup szczerze przywiłżał się do Naba, a ten odpowiadając mu wzajemną sympatią. Gdy Jup nie musiał nosić rewolw albo nie wdrapywał się na czubek jakiegoś drzewa, w czasie przeważnie spędzał czas w kuchni, usiłując naśladować Naba we wszystkich jego czynnościach. Nauczyciel wykazywał niesłychaną cierpliwość i nawet gorliwość kształceniu swego ucznia, ten zaś, niezwykły spryt, toteż korzystał w całej pełni z lekcji. Można sobie wyobrazić, jak ucieszył się Jup, kiedy dnia zebranim przy stole kolonistom, gdy z serwetki przewieszoną przez ramiona podawał stołowi! Była to dla nich prawdziwa niespodzianka. Zręny i uważny Jup doskonale wywodził swoje swoich obowiązków, zmieniając talerze, przynosząc pęski i nalewając napój do kubków, robił to wszystko z niezmierną powagą, która serdecznie ubawiła wszystkich. Pencroffa zaś wprowadził w istny zachwyt. "Jup, proszę upy! Jup, proszę rochoguti! Jup, proszę alerz! Brawo, Jup! Poczciwy Jup! Nic innego nie byłoby sędziwego Jup nie tracił nigdy rezonu spełnienia wszystkich życzeń, czuwał uważnie nad kolonistami, a gdy Pencroff powtórzył swą kartę, mówił: "Stanowczo, Jup, trzeba będzie ci podwoić pensję orangutan tylko pokiwał mądrym głowem. Oczywiście, orangutan w tym czasie już się wam kowicie zadomowił w Granitowym Pałacu i człowiek towarzyszy ludzimu do lasu, nigdy nie zdradzałby cię ucieczki. Trzeba byłoby widzieć, jak zabawnie kroczył niosąc na ramieniu zamiast strzelby kij otrzymany w prezencie od Pencroffa. Gdy kolonista chcieli zerwać taki owoc rosnący na czubku drzewa, orangutan już tam był. Gdy ktoś w niego wpadał w jakiegoś dziurawy silny Jup jednym ruchem ramienia wyciągał go na dobrą drogę. Jaki z niego zuch! Cóż zdumiewa się Pencroff. Gdyby tak byłby zręliwy, jak jest poczciwy, nie można by było z nim wytrzymać. Dopiero w końcu stycznia kolonista wzięli się do wielkich robót produkcyjnej części wyspy. Postanowiono urządzić pobliskiej rzeki Czerwonego Potoku, u stóp Franklina, zagrodzić zwierzęt przebiegających, gdy nie można było hodować zbyt blisko Granitowego Pałacu. Chodziło przede wszystkim o muflony, które miały dostarczyć mięso przeznaczonej na uszycie zimowych ubrań. Każdego ranka biegała kolonia w komplecie, biegała też Cyrus Smith, Harbert i Pencroff udawali się do rzeki potoku; dzień onagrom była to piąta omiłowana przejażdżka pod sklepieniem zieleni nowo utworzonej drogi, nazwanej "Drogą do Zagrody". Na południowym stoku góry wybrano duży teren; była to łąka, gdzie rosły krzewy drzew, ponieważ ona u stóp boczka zamykał ją z jednej strony. Z tego zbocza spływała na ukos małe strumyczki i wpadała do Czerwonego Potoku. Łąka porastała soczysta trawa, a rzadko rozsiane drzewa nie tamowały przewiewu. Wystarczyło zatem otoczyć łąkę listym

czokołem wspierającym się w kłosa i tak wysokim, a żeby nawet najrzadziej  
zwierz nie mógł go przeskoczyć. W takim corralu \* zmieści się nie tylko blisko  
setka rogacizny i muflony z dzikich kozic, ale także mały, który przyjdzie tutaj na świat.  
Inżynier wytyczy obwód agrody i można było przystąpić do ścięcia drzew potrzebnych na  
palisadę. Ponieważ już przedtem, przy torowaniu drogi, wycięto wiele drzew, wystarczyło je  
tylko zwieźć i dostarczyć one blisko setki pali, które wkopano głęboko w ziemię. W  
przedniej części palisady zrobiono szerokie przejście zamykane na dwuskrzydłowe wrota, zbite z  
tęch dyli, wzmocnionych na zewnątrz poprzeczkami. Na stawianie corralu koloniści zużyli  
przez trzy tygodnie, gdy oprócz palisady Cyrus Smith postanowił zbudować szopy z  
desek, gdzie zwierzę mogłoby znaleźć schronienie. Zresztą wszystkie te roboty musiały  
być wykonane bardzo solidnie, gdyż muflony są niezwykle silne i należało spodziewać się że  
będą walczyły o wolność. Pale ostro zakończone i opalone u góry wzmocniono za pomocą poprzeczek  
przymocowanych sznurkami i podstemplowano tu i tam, co wzmocniało całość. Gdy  
corral na pastwiskach u stóp Franklina, gdzie miały przebywać zwierzęta, był już  
gotowy, należało zorganizować nagonkę. Obawiano się, że wzięty udział wszyscy  
koloniści, zrobiono 7 lutego, w pięć dni później ujęto one już onagry posługujące  
Gedeonowi Spilettowi i Harbertowi za wierzchowce; oddali one kolonistom nieocenione usługi.  
Cały manewr polegał na tym, żeby zacieńcaj stopniowo kłosa nagonki zapieć corralu  
muflony i kozic. Corral (hiszp.) to zagroda dla bydła, ce. Cyrus Smith, Pencroff, Nab i Jup zajęli  
stanowiska w różnych częściach lasu, a dwaj jeźdźcy i Topkuszowali w promieniu pięciu  
mili wokół agrody. W tej części wyspy muflony było mnóstwo. Pięć te zwierzęta wielkości daniela, o  
rogach potężniejszych niż rogi barana, o runie szarawego koloru, bardzo przypominały argale \*.  
Pełen znoju był ten dzień wędrowny na polowanie. Ile to się szyscy musieli  
nabiegać i najeżdżać nakrzyżem. Z blisko setki otoczonych muflonów prawie dwie trzecie zdołały  
umknąć. Ale w rezultacie udało się ognać stronę corralu około trzydziestu muflonów  
z dwanaście kozic; rozwarła brama zdawała się otwierać drogę swobodę toteż zwierzęta  
do zagrody, gdzie je natychmiast zamknęli. Ogłębiorąc, wyniki nagonki były zadowolające i  
koloniści nie mogli się skarżyć. Wśród muflonów przeważały ciemne samice. Było zatem  
pewne, że stado będzie się rozmnażało i że w niedługim czasie nie zabraknie ani wędrowny, ani  
skó. Wieczorem koloniści wrócili do Granitowego Pałacu ledwo stojąc na nogach ze zmęczenia.  
Jednak nazajutrz nie wytrzymali i powrócili obejrzenie corral. Uwidoczono zwierzę, rzecz jasna,  
przez którą już obalili palisadę, ale ponieważ przez ich spełnienie na niczym, musiały w  
końcu pogodzić się z losem. Przez cały luty nie zaszło na wyspie nic godnego uwagi. Koloniści  
systematycznie wypełniali swoje codzienne obowiązki, naprawiali drogę do Portu Balonu i do  
zagrody, a równocześnie zaczęli budować zagrody w stronach południowego wybrzeża trzecią  
drogę. Nie zbadano jeszcze wyspy pozostawały nadal nieprzebyte lasy. Argale i jej kłosa w  
południowej Syberii i Indiach gatunek dzikich kłosa olbrzymich rogach. pokrywające Półsep  
Serpentyny, gdzie się nie zdarzyły dzikie zwierzęta; Gedeon Spilett zamierza uwolnić  
kolonistów. Przed nastaniem chłodu atroszczono się także o plantację dzikich roślin, przesadzonych  
z lasu na Półskowzgi Rozległego Widoku. Z okazji wycieczki Harbert przynosił  
pożyteczne rośliny. Raz były to okazy z gatunku cykorii, z których ziarna można  
wytłoczyć doskonały olej; kiedy indziej znaleziono to zwykły szczaw o właściwościach  
przeciwskorbutowych; to znaleziono kilka cennych bulw z dawien dawna hodowanych w Ameryce  
Południowej, a mianowicie ziemniak dzisiaj mamy ich już ponad dwieście odmian. Dobrze  
utrzymany warzywnik, podlewany i zabezpieczony przed ptactwem, został podzielony na grządki;



rosła tu sałata, ziemniaki, szczaw, rzodkiew, chrzan i inne warzywa. Ziemia na pensylwanii była bardzo żyzna, toteż można było liczyć na obfite zbiory. Nie brakowało kolonistom także przeróżnych napojów pod warunkiem, że nikt nie zażąda wina i nawet najbardziej wybredni mogli znaleźć odpowiedzącego ich gustowi. Raczyli się "herbatą Oswego" z podwójną monardą i sfermentowanym piwem z korzeni smokowca, a Cyrus Smith produkował nawet prawdziwe piwo; robił je z miodowych piw jodowych "abies nigra", które po przegotowaniu poddawał fermentacji, dzięki czemu otrzymywał nie tylko smaczny, ale i wyjątkowo zdrowy napój nazywany przez Amerykanów "spring-beer", czyli piwo jodowe. Pod koniec lata ptaszarnia wzbogaciła się piórami parafrosi należącego do gatunku "hubara", odznaczających się jak gdyby paszczykiem z piórami przybyłymi także paszkonosy, których dzioby poszerzone są z każdej strony przez białoniste wyrostki, oraz wspaniałe koguty o czarnych grzebieniach, czarnych koralach i czarnej skórze, przypominające koguty z Mozambiku. Ptaki dumnie spacerowały nad brzegami jeziora. Tak więc wszystko rozwijało się omyślnie dzięki pracy dzielnych i mądrych ludzi. Opatrzność miała ich w swojej opiece, ale, wierni starej zasadzie, starali się adziobnie sami, nie czekając, aż Niebo przyjdzie im z pomocą. Po upalnych dniach, gdy wszystkie prace były ukończone i gdy zrywał się wiaterek od morza, lubili siadywać wieczorem na skraju Pensylwanii. Rozległ się widok, w altanie okrytej pięknymi roślinami, skleconej przez Naba. Tutaj rozmawiali, pouczali się wzajemnie, snuli plany na przyszłość, a jowialny i prosty dowcip marynarza pobudzał stale do śmiechu każde towarzystwo, w którym zawsze panowała idealna harmonia. Rozmawiali także o ojczyźnie, o wielkiej, kochanej Ameryce. Jakie były losy wojny secesyjnej? Zapewne musiały skończyć się prawdopodobnie Richmond szybko dostać się ręką generała Granta. Owładnięcie stolicy konfederatów było statym aktem tej walki. Teraz na pewno już Północ odniosła zwycięstwo w sprawie. Ach, z jaką radością mieszkałyby Wypły Lincolna powitaliby gazetę. Przecież wszelką rzeczowość omiemy nimi a resztę świata urwałaby się przed jedenastoma miesiącami i niebawem, 24 marca, będzie obchodziła rocznicę, kiedy balon wyrzucił ich na nieznaną brzeg. Wtedy byli tylko rozbitkami, którzy nie wiedzieli, czy zdążą wywalczyć sobie możliwość egzystencji. A teraz, dzięki wiedzy swego przywódcy i dzięki swoim własnym zdolnościom, byli prawdziwymi kolonistami, zaopatrzonymi w broń, przyrzędy, umiejętnościami podporządkowanymi potrzebom zwierząt, roślin i bogactwa mineralne wy-

spły — te trzy podstawowe elementy królestwa przyrody. Tak, czekali rozmawiali o tym wszystkim i planowali wiele rzeczy na przyszłość. Cyrus Smith, jak zwykle małym, najczęściej służył swoich towarzyszy nie zabierając grosu. Niekiedy użył uwagi Harberta czy jakiś koncept Pencroffa, ale zawsze i wszędzie nurtowała go uporczywa myśl o niepojętych wydarzeniach, o tej dziwnej zagadce, którą tajemnicy nie umiała jeszcze rozwinąć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTY. Zmiana pogody. Winda hydrauliczna. Fabrykacja szkła okiennego i wyrobki z gliny. Drzewo chlebowe. Cztery wizyty w zagrodzie. Powiolenie się. Pytanie reportera. Dokładne wspomnienie Wyspy Lincolna. Propozycja Pencroffa. zmiana pogody nastąpiła w pierwszym tygodniu marca. Na początku miesiąca, podczas pełni księżyca, panowała niespokojna uroda. Wyczuwano się atmosferę jest nadawana elektrycznie, i należało się obawiać, że nastąpi dłuższy czy krótki okres burz. Istotnie, 2 marca rozległy się niezwykle silne grzmoty. Wiatr dął ze wschodu, a grad stukał o fasadę granitowego Pałacu jak kule karabinowe. Trzeba było szczelnie zamknąć drzwi i okiennice, gdy inaczej pokoje

zostałyby zalane wodą. Na widok ziarenek gradu, osiągających niekiedy wielkości jego jaja, Pencroffa ogarnął wielki niepokój: zasiewy zboża były w niebezpieczeństwie. Marynarz pobiegł niezwłocznie na pole, gdzie koski zaczynały już unosić się, zielone gęsto, i osłonił je starannie wielkim kawałkiem płótna. Sam został przy tym nieomal ukamienowany gradem, ale nie narzekał. Słota trwała tydzień przez cały czas syczący gdzieś w głuchym grzmocie. Nawet w przerwach pomiędzy burzami dobiegały z daleka, jakby spoza horyzontu, głuche pomruki, po czym burza szalała ze zdwojonym wyciekiem. Niebo cięgle przecinały błyskawice, a piorun kilkakrotnie uderzył w drzewa na wyspie, między innymi w wysoką sosnę rosnącą w pobliżu jeziora, na samym skraju lasu. Dwa czy trzy razy piorun trafił w plażę roztopiając piasek i przemieniając go w szklistą masę. Znajdując potem te bryłki inżynier wpadł na pomysł, żeby zaopatrzyć kłosa w mocne i grube szyby, nie lękając się ni wiatru, ani deszczu, ani gradu. Nie mając specjalnie pilnych prac w terenie, kolonijcy korzystali z niepogody, a żeby udoskonalać uzupełnienie wyposażenia Granitowego Pałacu. Inżynier zainstalował prymitywny tokarko-dzięk czemu mowy toaletowe i kuchenne, a przede wszystkim guziki, których brak dawał się czuć we znaki. Zrobiono stojak na broń trzymany zawsze z niezwykłą starannością. Wykonane przez kolonistów tańcerki i szafy były bez zarzutu. Piłowano, heblowano, szlifowano i toczono. Przez cały czas niepogody syczały tylko zgrzyt narzuci i warkot tokarki; widać jej głuche pomruki burzy. Kolonijcy nie zapomnieli także o Jupie, który mieszka w osobnym "pokoju" przy głównym magazynie; w izdebce tej znajdowała się krzemia napełniona zawsze świeżym powietrzem, co w zupełności może odpowiadać. Ten poczciwy Jup nie ma o nic pretensji, nigdy nie odpowie niegrzecznie i czuło powtarza Pencroffa. "Co za wspaniały stworzenie, Nabie! To może odpowiadać Nab i a niebawem doręczy nauczycielowi. Przewyższy go na pewno i zmiażdży siarynarz i gdy ma trzewagę nie ma a ty masz. Jup zna już doskonale swoje obowiązki stworzonego. Trzepa ubrania, obraca rożen, zamiata w pokojach, podaje do stołu, układa drzewo i co wprawiało w zachwyt Pencroffa i nigdy nie kładł się spać zanim nie otulił pościelą leżącym w marynarza. Zdrowie wszystkich członków kolonii, dwunożnych i dwuręcznych, czworonożnych i czwororęcznych, nie pozostawiało nic do życzenia. Przebywając na świeżym powietrzu w dobrym klimacie strefy umiarkowanej, pracując i górować, i rami, zapomnieli w ogóle istnienia choroby. Rzeczywiście wszyscy czuli się znakomicie, Harbert urządził przez ten rok o dwa cale. Twarz jego kształtowała się stawała się bardziej mądra i wszystko zapowiadało, że wyrośnie z niego wspaniały mężczyzna, zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Chłopak wykorzystywał każdą wolną od pracy chwilę na czytanie księzek znalezionych w skrzyni, a po zajęciach praktycznych, przypadających na niego, tak jak i na pozostałych towarzyszy, znajdował w osobie inżyniera, jeżeli chodzi o nauki ścisłe, a w osobie reportera, jeżeli chodzi o języki, nauczycieli, którzy z przyjemnością uzupełniali jego wykształcenie. Inżynier dążył do tego, aby przekazać Harbertowi całość swojej wiedzy raz uczyło zarówno przykładem, jak i słowem, Harbert zaś w pełni korzystał z nauk swojego profesora. "Gdy umrę myślał Cyrus Smith i on mnie zastąpi!" Burze przeminęły około 9 marca, niebo jednak pozostało zachmurzone przez cały ten ostatni miesiąc lata. Atmosfera silnie zakłócona wyładowaniami elektrycznymi nie odzyskała swojej czystości, toteż prawie stale padały deszcze i utrzymywały się gęste, z wyjątkiem trzech czy czterech pogodnych dni, kiedy można było wyruszyć na dalsze wyprawy. W tym czasie samica onagra wydała na świat pięć rebię samej pięćcico matka, z czego wszyscy bardzo się cieszyli. W zagrodzie także nastąpiło powiększenie sił: tada muflon w szopach beczało już kilka jagnięt ku wielkiej

radości Naba i Harberta, gdy každy z nich miał w rękawowodkach swoich ulubie. Prano także oswoi ekari, co udało się a kowicie. W pobliżu ptaszarni zbudowano chlew i niebawem było w nim już kilka małych winek nabierających ogady, to znaczy tuczonych siźzi staraniom Naba. Imup, obarczony obowiązkiem przynoszenia im codziennie posiłki i odpadkiuchennych, wywizywa siź umiennie ze swojego zadania. Zdarzało siź iekiedy, że zabawia siź osztem swoich małych wychowanki ciogn je za ogon, ale robi to nie przez złośliwośćlecz przez figle, gdy ma e, zakręne ogonki cieszyły go jak zabawka, a przecie z usposobienia podobny był do dziecka. Kto z tych marcowych dni Pencroff w rozmowie z inżynierem przypomni mu obietnicękt Cyrus Smith dotychczas nie miał czasu spełni? M mi pan kiedy, panie Cyrusie, o urządzeniu, które pozwoli skasować e długie drabiny wiodące do Granitowego Paacu. Czy nie zastanawia siź an nad zaopiniem czego takiego? Ma pan na myśli windę? spyta Cyrus Smith. Nazwijmy to windę, jeżeli pan chce zgodzi siź arynarz. Nazwa nie gra roli, aby tylko machina bez fatygi wciąga nas do mieszkania. Nic łatwiejszego, Pencroff, ale czy to jest potrzebne? Oczywiście, panie Cyrusie. Mamy teraz wszystko, co jest nam niezbę, pomylimy wiźtrochkomforcie. Dla ludzi ta winda będzie luksusem, ale dla ciźrest konieczna. Doprawdy z ciźim adunkiem nie jest zbyt wygodnie wazieo długiej drabinie. A zatem, Pencroff, spręmy spełnićana yczenie powiedzia Cyrus Smith. Ale przecie nie ma pan odpowiedniej maszyny. To jź zrobimy. Parow? Nie, wodn. x Istotnie, ażeby uruchomićakie urządzenie, inżynier miał do dyspozycji siźnaturaln, które wykorzystająez wielkiego trudu. W tym celu wystarczyło zwiźzydyjajnoalego strumienia, dostarczającego wodę jeziora do Granitowego Paacu. W gęm otworze dawnego przelewu powiźzono wylot zrobiony w rękami i traw, dziź czemu uzyskano w gę korytarza doilny wodospad, który nadmiar wchodzą przez wewnęzn studniPod wodospadem inżynier zainstalował walec z opatkami, połączony na zewnętrz z kołem, na którebyła nawinię mocna lina, wciągająca klatkęindy. Za pomoc długiego sznura, opadającego a do ziemi, wczazo siźlbo wyczazo motor hydrauliczny i w ten sposóbna było dojechaćind a pod drzwi Granitowego Paacu. 17 marca ku wielkiej radości mieszka Granitowego Paacu winda została uruchomiona. Od tej chwili wszystkie ciźie przedmioty, jak drzewo, w el, ywno i oraz sami koloniści wjeđali w ten prosty sposóbzastjcy ca kowicie drabinęo które nikt już nie wspomina. Najbardziej zachwycony tym ulepszeniem był Top; nie miał on bowiem i nie miałalentu Jupa do wdrapywania siźo drabinie i bardzo czodbywa drogęo Granitowego Paacu na plecach Naba, a nawet mały. W tym okresie Cyrus Smith przeprowadzi także pręfabrykacji szkła, przy czym musiał dostosowaćawny piec garncarski do nowych cel. Było to bardzo trudne, ale wreszcie po kilku nieudanych próh inżynier zmontował warsztat szklarski, a Gedeon Spilett i Harbert, wierni pomocnicy inżyniera, nie wychodzili stamtęd przez kilka dni. Surowce wchodzące w skład szkła to jedynie piasek, kreda i soda (w an lub siarczan sodu). Otęiasku dostarczyło wybrzeże, kredy wapno, sody roliny morskie, kwasu siarkowego piryty, ziemia za da a w el, którebyły niezbę, aby ogrzaćieć do waściwej temperatury. Cyrus Smith miał zatem wszystko, czego potrzeba do produkcji. Przedmiotem, któnastręy najwięj trudności, była piszczel szklarska, czyli rurka elazna długości pię do sześciu stęsuca do nabierania jednym ko pęynnej substancji. Pencroffowi udało siźrobićpiszczel z długiego i cienkiego paska elaza zwinięgo na kształt lufy strzelby. 28 marca piec został silnie rozgrzany. Masa, umieszczona w tyglach z gliny ogniotrwałej, skadała siźe stu części piasku, trzydziestu pię kredy,

czterdziestu siarczanu sodu z dodatkiem dwulub trzech części sproszkowanego w. Gdy temperatura pieca doprowadzi mieszk do stanu płynnego, a raczej gdy powsta cięgnąca się masa, Cyrus Smith zaczerpnął dolnym kołyszki piszczeli odrobinę tej masy i zaczął obracać ją we wszystkie strony na uprzednio przygotowanej płytce metalowej w taki sposób, by dmuchając jednocześnie w górę koniec nadał się odpowiedni kształt; następnie inżynier oddał piszczel Harbertowi, każe mu dalej dmuchać. Tak jak się uszcza bałmydlane? zapytał chłopiec. Tak samo odpowiedział inżynier: Harbert, nadymając policzki, z takim zapałem dmuchał w piszczel, nie przestając jednocześnie nią obracać, że masa szklana zaczęła pęknąć. Wówczas przez zanurzenie na krótko jeszcze trochę płynnej masy na piszczel i powstała bałwa o średnicy jednej stopy. Cyrus Smith wziął piszczel z rąk Harberta i nadał jej ruch wahadłowy, dzięki czemu elastyczna jeszcze bałwa wydłubała się przybierając kształt walcowaty. W rezultacie wydmuchiwanie dało szklany walec przegradzony z obydwu stron, którego kołyszki odcięte za pomocą stalowego ostrza, zmoczonego w zimnej wodzie; następnie w ten sam sposób walec został przecięty wzdłuż, ponownie podgrzany dla uzyskania elastyczności, rozciągnięty na płytce i wyrwany drewnianym wałkiem. Pierwsza szyba była zatem wyprodukowana, a teraz pozostało tylko powtórzyć ten zabieg, aby uzyskać więcej szyb. Niebawem okna Granitowego Pałacu pyszniły się szklanymi taflami szkła, wprawdzie niezbyt przezroczystego, lecz przepuszczającego dostateczną ilość światła. Zrobienie szklanek i butelek było już fraszką. Zresztą przyjmowano je bez grymasów, jak schodziły z piszczeli. Pencroff chciał także mieć aszyt dmuchania w piszczel, gdy sprawiało mu to niekiedy radość, ale dmuchał tak mocno, że przedmioty jego fabrykacji przybierały najzabawniejsze kształty. Podczas jednej z podróży w tym okresie wypraw odkryto nowy gatunek drzewa, dzięki czemu wzbogaciły się lasy kolonistów. Któregoś dnia podczas polowania Cyrus Smith z Harbertem zapuścili się do lasów Dalekiego Zachodu, na lewym brzegu Rzeki Dzielnienia; chłopiec jak zwykle zadawał tysiące pytań inżynierowi, a ten odpowiadał mu z wielką gotowością. Ale z polowaniem jest tak samo jak z każdą inną pracą: jeżeli nie wkłada się nie zapędu, to i wyniki są znikome. Ponieważ Cyrus Smith nie był myśliwym, Harbert zaczął zajmować go rozmową o chemii i fizyce, tego dnia wiele kangurka-pibar i aguti przemknęło obok nich w odległości strzału, a strzelba Harberta nie wyrzuciła im krzywdy. Było już do tego i wyglądało na to, że wyprawa nie przyniesie żadnej zdobyczy, gdy nagle Harbert zawołał z radością: Ach! Widzi pan to drzewo, panie Cyrusie! I wskazał na drzewo, a raczej na drzewko, które miało piekryty uskokat korę i liście poprzecinane równoległymi żyłkami. Co za drzewo tak podobne do młodej palmy? zapytał Cyrus Smith. To jest "cycas revoluta", widziałem rysunek w naszej encyklopedii przyrodniczej. Ale drzewko to nie ma żadnych owoców. Słusznie, panie Cyrusie, odpowiedział Harbert. Za to w jego pniu znajduje się taka, którą natura dostarcza od razu w stanie zmielonym. Czyby to było drzewo chlebowe? Tak jest. Zrobię, moje dziecko, cenne odkrycie: pozwoli ono nam spokojnie czekać na nasze zboże. A zatem do roboty i dajmy Bógom twoje przypuszczenie okazało się trafne. Harbert się omylił. Rozczupany piezówka zawiera mączysty miąższ, przerośnięty zdrewniałymi włókami i poprzedzielany takimi samymi koncentrycznymi pierścieniami. Mączka była zmieszana z substancją klejową o przykrym smaku, którą kołyszki można było usunąć przez wyciskanie; pozostało natomiast tak wysokogatunkowe i tak niezwykle pożywną mączkę, której nigdy prawa japońska zabraniała jej eksportu. Cyrus Smith i Harbert zbadali dokładnie też las Dalekiego Zachodu, gdzie rosły drzewa chlebowe, oznakowali drogę do nich i po

powrocie do Granitowego Pałacu podzielili się z towarzyszami. Nazajutrz kolonicy udali się do "niwa", a Pencroff, coraz bardziej oczarowany wyspą, zagadną inżyniera: "Jak pan myśli, panie Cyrusie, czy są specjalne wyspy dla rozbitek? Co pan chce przez to powiedzieć? Te są chyba wyspy stworzone po to, żeby można było się przyzwyczoić rozbić gdzie biedacy nie zginą z głodu. To możliwe i umiechną się inżynier. Nie tylko możliwe, ale pewne, proszę pana upiera się Pencroff i widać, że Wyspa Lincoln jest jedną z takich. Do Granitowego Pałacu przyniesiono duży zbiór chlebowego. Inżynier urządzi prasę, aby odciąć gnój olejowy sok zanieczyszczający miód, i otrzymał sporą ilość, którą w trzech dniach Naba szybko przekształcił w ciastka i budynie. Wprawdzie nie były to jeszcze pszenne bułki, ale co już bardzo do nich zbliżonego. W tym czasie samica onagra, kozy i owce z zagrody dawały codziennie tyle mleka, ile go kolonia potrzebowała. Toteż widać, że widać ciwie lekka bryczka, którą zastąpiła, odbywała cztery kursy do zagrody; gdy kolej wypadała na Pencroffa, zabierał ze sobą Jupa i pozwalał mu powozić mapę, trzaskając z bicia, z widać ciwym sobie sprytem wywodziła się tego znakomicie. Jak widzimy, zarówno w Granitowym Pałacu, jak i w zagrodzie wszystko szło doskonale. I doprawdy kolonicy nie mieli się o co skarżyć wyjątkiem tego, że znajdowali się daleko od ojczyzny. Tak się udało wdrożyć w to życie i przyzwyczaili do wyspy, że gdyby musieli opuścić gościnnie skrawek ziemi, uczyniliby to z chęcią. A jednak miłość ojczyzny jest tak głęboko zakorzeniona w sercu ludzkim, że gdyby zniemacka w pobliżu wyspy ukazał się jakiś statek, kolonicy niewątpliwie przywołałby go znakami i odjechali!... Na razie wiedli szczęśliwy żywot i raczej obawiali się niż życzyli sobie jakiegokolwiek zmiany, którą mogłaby przerwać. Ale kto może obiecać, że ustalił swój los na zawsze i że jest zabezpieczony od wszelkich przeciwności? Wyspa Lincoln, gdzie kolonicy przebywali już przeszło rok, stanowiła niewyczerpany temat ich rozmów. Pewnego dnia padła sprawa, która nieco później miała poważne skutki. Było to 1 kwietnia, w Wielką Niedzielę Cyrus Smith i jego towarzysze uczcili dzień modlitwy i wypoczynkiem. Dzień piąty, tak jak to bywa czasami w październiku na polu pracy. Przed wieczorem wszyscy siedzieli w altanie na skraju Parkowskiego Rozległego Widoku i patrzyli, jak powoli zapada zmrok. Nab przygotował zastawę kawowywar z ziarenek czarnego bzu. Rozmawiano o wyspie, o tym, że jest taka odosobniona na Pacyfiku, gdy wtem odezwał się Gedeon Spilett: "Drogi Cyrusie, czy pragnie pan ponownie określić położenie wyspy sekstansem znalezionym w skrzyni? Nie odpieraj inżynier. Może dobrze byłoby zrobić teraz, mając dokładniejszy instrument niż ten, który pan używa za pierwszym razem. A po co?" zapytał Pencroff. "Wyspa ma się obrze tam, gdzie jest. Niewątpliwie zgodzi się Gedeon Spilett, ale przecie możliwe, że niedokładnie przyrządzone na wyniki pomiarów, ponieważ łatwo można teraz sprawdzić. Ma pan rację drogi Gedeonie przerwać inżynier. Powinienem być sprawdzić pomiary już dawno, chociaż przypuszczam, że jeżeli nawet popełniłem jakiś błąd, nie może on przekraczać kilku stopni w jednym lub drugim kierunku. Kto wie, upiera się reporter. Kto wie, czy nie jesteśmy bliżej jakiegoś zamieszkanego lądu, niż nam się wydaje. Dowiemy się jutro przyrzekł Cyrus Smith. Gdyby nie tak wielki nawał pracy, że nie miałem dotąd wolnej chwili, już byłoby dawno to wiedzieli. Pan Cyrus jest zbyt dobrym obserwatorem, a żeby się mylił, że zaproponował Pencroff. Jeżeli wyspa nie ruszy się z miejsca, to jest tam, gdzie ją ulokowałem! Zobaczmy. Nazajutrz inżynier za pomocą sekstansu poczyni potrzebne obserwacje dla sprawdzenia już uprzednio otrzymanych współrzędnych wyspy; a oto uzyskany wynik: Pierwsza

obserwacja ustaliła, że Wyspa Lincoln leży pomiędzy 150° a 155° długości zachodniej i 30° a 35° szerokości południowej. Druga obserwacja skorygowała te dane, ustalając, że długość zachodnia wynosi 150°30', szerokość południowa zaś 34°57'. A zatem pomimo niedokładności przyrzędy Cyrus Smith zmierzył podobnie, że błąd nie przekroczy piątego stopnia. A teraz powiedz Gedeon Spilett ponieważ mamy nie tylko sektans, ale także i atlas, zobaczymy, w jakiej części Pacyfiku wyspa się znajduje. Harbert poszedł po atlas, na którym wszystkie nazwy były po francusku, gdy jak wiadomo wydany został we Francji. Rozważono mapę Pacyfiku i inżynier zamierzał ustalić sytuację wyspy. Nagle cyrkiel drgnął w jego ręku. Ale przecie w tej części Pacyfiku jest już wyspa! Wyspa? zdumiała się Pencroff. Zapewne nasza powiedz Gedeon Spilett. Nie wyjaśnił Cyrus Smith. Ta wyspa leży na 153° długości i 37°11' szerokości, czyli o dwa i pół stopnia bardziej na zachód o dwa stopnie bardziej na południe od Wyspy Lincoln. A co za wyspa? zapytał Harbert. Wyspa Tabor. Czy to jakaś wiśza wyspa? Nie, to jest wysepka zagubiona na Pacyfiku, której, być może, nikt nigdy nie odwiedza. No to my ją odwiedzimy powiedz Pencroff. My? Tak, panie Cyrusie, zbudujemy zagłowy, a ja już podejmuję i poprowadzi. W jakiej odległości jesteście od wyspy Tabor? Mniej więcej o sto pięćdziesiąt mil w kierunku północno-wschodnim odpowiedział Cyrus Smith. Sto pięćdziesiąt mil! Co jest? ruszył ramionami Pencroff. Przy dobrym wietrze w czterdzieści osiem godzin sprawa będzie załatwiona. Ale po co? zapytał reporter. Nic nie wiadomo, zobaczymy! Postanowiono zbudować statek, aby w październiku, gdy powróciła letnia, można było wyruszyć do morza. ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. Budowa statku. Drugie plony. Polowanie na koala. Nowa roślina bardziej przyjemna niż pożyteczna. Wieloryb. Harpun z Vineyard. Rozpoczęcie wieloryba. Zużytkowanie fiszbin. Koniec maja. Wszystkie życzenia Pencroffa są zaspokojone. Gdy Pencroff wbił sobie coś do głowy, nie znalazł spokoju i zadrżał wszystkich, dopóki nie dopięł celu. Teraz na przykład chciał zwiedzić wyspę Tabor, a ponieważ do takiej podróży potrzebny byłby więcej stateczek, uparł się i że go zrobi. W tym celu wspólnie z inżynierem ustalili następujący plan. Długość kila \* miała wynosić trzydzieści pięć stóp a rozchylenie burt dziewięć co przy odpowiednim dnie i linii wodnej miało zapewnić ostateczną szybkość zanurzenia przewidywano na sześć stopni aby zabezpieczyć statek przed dryfowaniem \*. Na całej długości ułożono siłki od z dwoma lukami prowadzącymi do dwóch kabin oddzielonych przepierzeniem; statek będzie ożaglowany jak siup, będzie miał grot i kliwer \* łatwe do zwijania w razie wichury i bardzo wygodne do rozwijania. Poszycie miało być robione na styk, to znaczy, że deski nie zachodziłyby na siebie, lecz jedynie by się stykały. Jeżeli chodzi o szkielet statku, to wręcz dopasuje się a gorzej co po ułożeniu pokładników które będą umocowane na wzdłużnikach \*\*. Jakiego drzewa użyć do zbudowania statku? Wiąże się z wierkami które pełnią rolę na wyspie? Wybrano ostatecznie wierkę, gdy zdaniem ciepli jest on wprowadzić trochę upiścy się ale za to łatwy do obróbki, a zanurzenie w wodzie znosi tak samo dobrze jak wiąz. Po omówieniu szczegółów postanowiono, że ponieważ ciepła pora roku nie nadejdzie wcześniej niż za sześćdziesiąt, nad budowę statku będzie pracował tylko Cyrus Smith i Pencroff. Gedeon Spilett i Harbert nadal zajmowali się rolami, natomiast ani Nab, ani jego pomocnik Jup nie mogli zaniedbywać powierzonych im prac domowych. Gdy drzewa zostały wybrane, ciepli je, okorowano porznię na deski tak zgrabnie, jakby inżynier i Pencroff byli zawodowymi traczami. Po tygodniu w zagłowie pomiędzy cieplą skalną a Kominami wznosiło się w rodzaju doku i niebawem na piasku leżała kil długości trzydziestu piątych stóp zaopatrzone z tyłu w grubą stwardniającą \*\*\*, a z przodu w dziobnicę Cyrus Smith nie podjął tej nowej pracy na

lepo. Zna si a budowie okrw, tak jak i na wielu innych rzeczach, tote model swojego statku rozwi za najpierw na papierze. Bardzo mu si rzyda do tego Pencroff, kt przez kilka lat pracowa w stoczni brookli ej i by dobrym praktykiem w tym zawodzie. Dlatego te nadburcia \* zosta y umieszczone na kilu dopiero po dok adnych obliczeniach i powa nym naszymy le. Pencroff, jak mo na si atwo domy li zapali si gromnie do tej nowej pracy i nie chcia jej porzuci ni na chwil Jedna jedyna sprawa zdo a a go oderwa d "stoczni", i to tylko na kr . By y to mianowicie drugie niwa, wyznaczone na 15 kwietnia. Uda y si ak jak i pierwsze i uzyskano z nich przewidzian z g ilo iarna. Pi korc panie Cyrusie stwierdzi Pencroff po skrupulatnym odmierzeniu swoich skarb Pi korc podchwyci in ynier czyli, liczc po sto trzydzie ci tysi ziaren na korzec, mamy sze t pi ziesi t tysi ziaren. No to tym razem zasiejemy wszystko, zatrzymuj c jedynie male rezerw S usznie, Pencroff. I je eli nast y zbi e zawiedzie, b iemy mieli cztery tysi ce korc I b iemy jedli chleb? Tak, b iemy jedli chleb. Ale musimy zrobi yn. To go zrobimy. Trzecie pole by o bardziej rozleg e ni dwa poprzednie. Ziemia, przygotowana z niezwyk pieczo owito- Nadburcie pionowe przed u enie burty statku, wystaj ce ponad g pok ad. ci, przyj cenne ziarno. Pencroff powr tedy do swej poprzedniej pracy. Gedeon Spilett i Harbert oddawali si ami ie polowaniu i, nie poprzestaj c na najbli szej okolicy, ze strzelbami na adowanymi kulami zag palili si o aleko w nie zbadane dot d cz i Las alekiego Zachodu. By tu nieprzebyty g szcz wspania ych drzew, rosn cych tak blisko siebie, jakby brak o im wolnej przestrzeni. Zbadanie tej kniei by o nies ychanie trudne i reporter nigdy nie wyrusza w drog ez busoli, gdy s o tak sk po przedziera o si rzez g win a e, e odnalezienie drogi wed ug niego by oby niepodobie em. Rzecz jasna, e w tych okolicach by o mniej zwierzyny, bo... nie mia a ona tutaj dostatecznej swobody. W ostatnich tygodniach kwietnia uda o si m jednak upolowa rzy du e okazy zwierz t trawo er-nych. By y to koala, kt koloni ci spotkali ju na p c od jeziora. Zabito je pomi y grubymi konarami drzew, gdzie szuka y schronienia. Sk przyniesiono do Granitowego Pa acu i za pomoc kwasu siarkowego poddano prowizorycznemu garbowaniu, dzi czemu sta y si datne do u ytku. Podczas jednej z wypraw owieckich Gedeonowi Spi-lettowi uda o si okona iezmiernie cennego odkrycia. By o to 30 kwietnia. Obydwaj my liwi zag ali si po udniowo-zachodni cz Las alekiego Zachodu. Nagle reporter, id c o jakie pi ziesi t krok rzed Harbertem, dotar do niewielkiej polanki, gdzie rzadziej rosn ce drzewa przepuszcza y troch romieni s onecznych. Gedeona Spiletta zadziwi w pierwszej chwili zapach wydzielany przez pewne ro liny o odygach prostych, okr g ych i rozga onych, na kt h ros y kwiaty . - u o one w grona i przekwitaj ce w drobniutkie owocki. Reporter zerwa par ody ek i wr do Harberta, m c: Popatrz, Harbercie, co to mo e by Gdzie pan znalaz t o lin panie Gedeonie? Tu, na polance, jest ich nawet dosy u o. No, panie Gedeonie powiedzia Harbert dokona pan odkrycia, kt zapewni panu dozgonn wdzi no encroff a! -, Czy by to by tyto Tak! Mo e nie jest pierwszor z y, ale w ka dym razie tyto Ach, jak e si cieszy nasz poczciwy Pencroff! Ale chyba nie wypali wszystkiego, zostawi troch dla nas? Mam wietny pomys , panie Gedeonie! zawo a Harbert. Nie m nic Pencroffowi, spreparujmy sami li cie i pewnego pi ego dnia podajmy mu do zapalenia nabit fajk Zgoda, Harbercie. Od tego dnia nasz zacny towarzysz nie b ie mia ju wi j adnych ycze Reporter i Harbert zebrali spore nar e cennej ro liny i powr i ze zdobycz do Granitowego Pa acu, dok d przemycili j z takimi rodkami ostro no ci, jakby Pencroff by najbardziej surowym celnikiem. Cyrus Smith i Nab zostali wtajemniczeni w spisek;

marynarz nie podejrzewa absolutnie nic. Przez doługi okres czasu cienkie listki schy; potem trzeba je byo pokraja lekko przyprażya rozgrzanych kamieniach. Trwa to razem ze dwa miesiace, ale udao sierobiszystko w tajemnicy przed Pencroffem, gdy pochoni prac przy budowie statku, wraca do Granitowego Paacu tylko na noc. 1 maja po raz drugi ulubion pracencroffa przerwa a wbrew jego woli przygoda rybacka, w kt wzi udzia caa kolonia. Od kilku dni mo na byo zaobserwowa a morzu, w odlegoci dw czy trzech mil od wyspy, jakie olbrzymie zwierzBy to wieloryb najwi zego kalibru, nalecy prawdopodobnie do gatunku yjcego w morzach po dniowych, zwanego wielorybem z Cap".

◆ Dobrze byoby go zowi zawowa marynarz. ◆ Bodaj to nieodpowiedni stateczek i dobry harpun, pierwszy bym krzykn: ◆ Dalej na wieloryba, gdy ta sztuka warta jest zachodu!"

◆ Ach, Pencroff, chcia bym zobaczy jak pan manewruje harpunem! To musi byniezwykle ciekawe odezwa siereporter. ◆ Bardzo ciekawe i nie pozbawione ryzyka wtraci inzynier. ◆ Ale poniewa nie mamy mo no ci zaatakowania zwierza, nie naley si im d u ej zajmowa ◆ Dziwi mnie bardzo, e wieloryb zawowa na t o n aczn stosunkowo szeroko eograficzn powiedzia Spilett. ◆ Dlaczego, panie Spilett? ◆ odpar Harbert. ◆ '◆ Znajdujemy si cz i Pacyfiku, kt rybacy angielscy i ameryka nazywaj ◆ Whale-Field", czyli Pole Wieloryb i w a nie tu, pomi y Now Zelandi a Ameryk Po dniow, spotyka si i ej wieloryb i gdziekolwiek na poli po dniowej. ◆ Szczera prawda popar go Pencroff. ◆ Dziwi mnie, dlaczego nie widzimy ich wi j. Ale poniewa i tak nie mo emy si o niego zbli y pal go sze Pencroff wr do swojej pracy, ci o wzdychaj c z alu, gdy ka dy marynarz jest po trosze rybakiem, a poniewa zadowolenie rybaka z wynik o owu jest wprost proporcjonalne do wielo ci zdobyczy, atwo mo na zrozumie co odczuwa Pencroff na widok wieloryba. Gdyby to zreszt sz o tylko o zadowolenie! Co tu du o gada przecie taka zdobycz byaby bardzo na r kolonistom, gdy tran, t uszcz i fiszbiny mog y si m przyda o r ch cel ◆ A tymczasem wieloryb wcale nie mia z zamiaru oddali i d wyspy. Tote Harbert i Gedeon Spilett w chwilach wolnych od polowania oraz Nab w przerwach mi y przyrz dzaniem posi k ie odejmowali od oczu lunety, przez kt obserwowali z okien Granitowego Paacu lub z P askowzg Rozleg ego Widoku ka dy ruch wieloryba. Zwierz abrn g ko do Zatoki Unii i teraz przemierza o j od Przyl dka Szcz do Przyl dka Pazura, odpychaj c si ot p etw ogonow, na kt opiera o si posuwa o susami z szybko ci dochodz c do dwunastu mil na godzin ◆ Niekiedy zbli a o si o wyspy na tak odleg o e mo na je byo widzie ok adnie. By to istotnie wieloryb po dniowy, ca y czarny, o g owie bardziej sp aszczonej ni u wieloryb cnych. Wida y o tak e, jak wyrzuca przez wydechy na du wysoko b pary czy... wody, gdy e jakkolwiek si o wyda nieprawdopodobne ◆ przyrodniczy i wielo-rybnicy dotychczas jeszcze nie uzgodnili swego pogl du na ten temat. Czy wieloryb wyrzuca w ten spos owietrze, czy wod Na og i rzyjmuje, e jest to para skraplaj ca si zybko w zetkni u z zimnym powietrzem i opadaj ca w postaci deszczu. Blisko ego ssaka morskiego niepokoi a jednak kolonista przede wszystkim Pencroff a, kt nawet troch aniedbywa si pracy. Dosz o do tego, e zachcia o mu si ieloryba, jak dziecku zachciewa si a-kazanei zabawki. W nocv m o nim przez sen i na pewno gdyby tylko mia mo no aatakowania go, gdyby ich piroga nadawa a si o tego celu, nie zawaha by si pop yn by za wielorybem. Nagle przypadek dokona tego, czego koloni ci nie mogli zrobi ami. 3 maja Nab, wygl daj c przez okno kuchni, oznajmi z radosnym okrzykiem, e wieloryba fala wyrzuci a na brzeg. Harbert i Gedeon Spilett, kt mieli w a nie wyruszy a



polowanie, odłożyli strzelby. Pencroff cisnął w kąt siekierę Cyrus Smith i Nab doczyli się o towarzyszy i wszyscy pobiegli na brzeg. Wieloryb osiadł na piasku Cypla Skrzyni, o trzy mile od Granitowego Pałacu, i to przy wysokim stanie wody, prawdopodobnie zatem nie będzie męstwo się wy dostał. W każdym razie trzeba było działać szybko i odwrócić się odwrócić. Koloniści pobiegli co się w nogach, uzbrojeni w kilofy i okute oszczepy, przez most na Rzece Dzielnienia, następnie prawym jej brzegiem, potem wzdłuż wybrzeża morskiego i w niespełna dwadzieścia minut byli przy wielorybie, nad którym unosiły się całe chmary ptactwa. Co za potwór! zawołał Nab. Dobrze to określić, gdyby to wieloryb południowy długości osiemdziesiąt sześć prawdziwy olbrzym, wagi co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. Tymczasem potwór osiadłszy na piasku, nie poruszał się zupełnie i nawet nie usiłował przez szamotanie się przynajmniej fale wias, kiedy stan wody był jeszcze wysoki. Koloniści zrozumieli powłóko bezwładny, gdy po odpływie obeszli zwierzęokoło. Było martwe. W jego lewym boku sterczał harpun. Czyby gdzie tutaj kręśli się wielorybnicy? zdziwił się Gedeon Spilett. Bo ten harpun tkwi w nim jeszcze... To niczego nie dowodzi, panie Gedeonie, odparł marynarz. Widziało się wieloryby w odległości tysiące mil z harpunem w boku i wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten oto został ugodzony na półcy Atlantyku, a przypłynął umierał na południu Pacyfiku. A jednak... upierał się Gedeon Spilett, gdy wyjątkowo nie trafiało mu do przekonania. To jest najzupełniej możliwe, wtręcił się Cyrus Smith. Ale obejrzyjmy ten harpun. Może zgodnie z dozwyczajnym zwyczajem wyryto na nim nazwisko, z którego pochodzi? Istotnie, gdy Pencroff wyciągnął sterczący z boku zwierzęca harpun, można było na nim odczytać "MARIA STELLA" Vineyard. Statek z Vineyard! Statek z moich stron! zawołał. "Maria Stella"! Na Boga! Piękny statek wielorybniczy, znam go dobrze! Ach, przyjaciele! Statek z Vineyard! Wielorybnik z Vineyard! Marynarz, potrzebuję harpunem, powtarzał ze wzruszeniem nazwisko, które zapadło mu w sercu, nazwisko jego kraju rodzinnego. Ponieważ jednak nie można było się spodziewać, że "Maria Stella" zgłosi się upolowanego przez niego wieloryba, postanowiono przystąpić do rozłupania go, zanim zacznie się suwać. Drapieżne ptaki, czyhające od kilku dni na łup, zdobyć, chciały niezwłocznie dokonać łupu padliny i trzeba było je rozprząsać z dubeltami. Wieloryb okazał się łupem, który dostarczył dużej ilości mleka; jest ono, zdaniem przyrodnika Dieffenbacha, niezmiernie podobne do mleka krowiego. Istotnie nie różniło się od niego ani smakiem, ani kolorem, ani gęstością. Pencroff szukał nigdy na statku wielorybniczym i umiał dobrze pokierować przy łupieniu wieloryba; praca była dość przyjemna, zajęła trzy dni czasu, ale łup z kolonistów nie się uchylał, nawet Gedeon Spilett. Jak mawiał Pencroff, reporter powinien wyrosnąć koła zupełnie przyzwoitego rozbitka". Łup pokrajano w płyty grubości dwiema płytami, potem podzielono na kawałki wagi co najmniej tysiąc funtów. Następnie, aby nie zapowietrzały kłody płasko-wzrost, stopiono go w dużych naczyniach glinianych przyniesionych na miejsce. W czasie topienia łup stracił na wadze około jednej trzeciej. Było go jednak nadal pod dostatkiem: sam tylko otrzymał sześć tysięcy funtów leju, a dolna waga cztery tysiące. Oprócz łupu, mającego na długo zaopatrzyć kolonistów w steryn i glicerynę, były jeszcze fiszliny, które bardzo się kolonistom miały przydać, chociaż mieszkańcy Granitowego Pałacu nie nosili ani parasoli, ani gorsetów. W głębi szczeliny wieloryba tkwiło po obu stronach sześć rogów pętek, bardzo elastycznych, wyostrzonych na końcach jak wielkie grzebienie o trzech długości sześciu stopów. Służyły one do zatrzymywania tysięcy ryb i miękak stanowiły żywność wieloryba. Gdy ku uciesze kolonistów

została ukończona, odpadki pozostawiono na kup ptaków. Ktęś spał, a szawa była bezładna, i mieszkał Granitowego Pałacu wrócił do przerwanych robót. Przed powrotem do stoczni Cyrus Smith wpadł na pomysł zmajstrowania pewnych przyrządów, co wywołało żywe zaniepokojenie jego towarzyszy. Wzięto mianowicie około tuzina fiszbin, począwszy od każdego z sześciu tych czepów i zaostrego na końcu. A to zapytał Harbert, gdy inżynier zakończył robotę: do czego posłuży?... Do łapania wilk lis, nawet jaguar poinformował go inżynier. Teraz? Nie, w zimie, gdy będziemy mieli lodo dyspozycję. Nie rozumiem... odrzekł Harbert. Zaraz zrozumiesz, moje dziecko, powiedziała inżynier. Ten przyrząd nie jest moim wynalazkiem; czep używają go myśliwi aleucy w rosyjskiej części Ameryki\*. Widzicie, przyjaciele, gdy przyjdzie mróz, zegnęte fiszliny w pałacu i będzie polewała wodą, dopóki nie pokryje ich warstwa lodu, przez co wygięte utrzyma się. Następnie otoczone warstwami tłuszczu i rozrzucą i nie na niego. I ciekawostką ze zgodnym zwierzęciem, gdy położy tak przynęty. Otóż od wpłynięcia ciepła w jego otoczeniu stopnieje, a fiszlin, prostując się, przebiegnie ciany otoczenia zaostroszonymi końcami. A to dobry pomysł, chwalił Pencroff. I w dodatku zaoszczędzi prochu i kul, dodał Cyrus Smith. To lepsze niż wilcze doły, dorzucił Nab. Zaczekajmy więc do zimy! Zaczekajmy! Tymczasem prace przy stateczku posuwały się przodem, już pod koniec miesiąca był on do połowy posyty. Po rysujących się u dołków kształtach można było poznać, że będzie znakomicie trzymał się a morzu. Pencroff pracował z bezprzykrytym zapachem, ale dzięki swojej mocnej naturze wytrzymał wszystkie trudy; towarzysze przygotowali mu w tajemnicy nagrodę, a jego wysiłki i 31 maja miał on przeżyte z najradośniejszych chwil w swoim życiu. Tego dnia, gdy kolonijci kończyli wspaniale obiad i Pencroff zamierzał wstać do stołu, poczuł, że ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Był to Gedeon Spilett, który powiedział: Chwileczkę, panie Pencroff, przecie nie można tak uciekać! Zapomniał pan o deserze? Dziękuję, panie Spilett, odparł marynarz, pędził już do pracy. A może filiżankę awy, przyjacielu? Tak, dziękuję. No to może fajkę. Pencroff zerwał się do stołu, a jego pocziwa twarz zbladła, gdy reporter podał mu nabitą fajkę, a Harbert, żarzący się elektryką. Marynarz usiłował coś wykrztusić, ale mu się nie udało, chwycił więc fajkę w ręce, do ust, przytknął do niej w elektrykę i chciwie raz po raz zaciągał się zymem. Otoczył go wonny, białawy obłoczek, z którego rozległ się jego zamierzający z zachwytem głos: Tyto prawdziwy tyto. Tak, Pencroff odpowiedział Cyrus Smith, i to nawet doskonały tyto. O, wielkie nieba! O, wiw! Stwósz wszechrzeczy! A wiończego już nie brakuje na naszej wyspie! I Pencroff palił, palił, palił. A kto go odkrył? zapytał wreszcie. Pewnie ty, Harbercie? Nie, Pencroff. To pan Spilett. Pan Spilett!... zawołał marynarz, przyciskając do piersi reportera, który prawdopodobnie nigdy w życiu nie doznał takiej pieczyoty. Uff, Pencroff! wreszcie Gedeon Spilett, apiąc z trudem oddech. Niechże pan czepstwo swojej wdzięczności przeleje na Harberta, gdy rozpozna on tożsamość Cyrusa, gdy spreparował tyto na Nabab, którymś dużo kłopotu z utrzymaniem naszej tajemnicy. Wiedźcie, przyjaciele, że odpowiadając w odpowiedniej chwili, wzruszył się marynarz. Teraz to już na śmierć życia...

PORZUCONY (ciąg dalszy). ROZDZIAŁ JEDENASTY. Zima. Folowanie wędny. Natrąca myśli Pencroffa. Fiszliny. Do czego przydad się łbatros. Paliwo przyszłości. Top i Jup. Wichury. Zniszczenia w ptaszarni. Wycieczka na bagna. Cyrus Smith pozostaje sam. Badanie studni. Zima nadeszła w czerwcu, który jest odpowiednikiem grudnia na półkuli północnej, i najpilniejszą sprawą

stało się porządkiem ciepłych i mocnych ubrań. Muflony w zagrodzie zostały ostrzyżone, a z ich runa, stanowił cenny surowiec włócznie, należało wyprodukować tkaninę. Rzecz jasna, że Cyrus Smith, nie mając zgrzeblarek, czesarek, gadziarek, wycięgarek ani żadnych maszyn do przędzenia wełny, ani warsztatów kackich, musiał bardzo uprościć pracę, aby uniknąć żrudu różnego przędzenia i tkania wełny. Miał on zamiar wykorzystać ewentualnie w celu ciwotek wełny, polegając na tym, że zbijając się i szepiając pod wpływem ugniatania, przez co tworzy się materia zwany filcem. Filc można otrzymać pomocą prostego spłócenia wełny, zwanego także folowaniem, które wprowadzi zmniejsza elastyczność tkaniny, ale znacznie bardzo zwiększa jej zdolność trzymania ciepła. Wełna muflonów bardzo kręta w włóknach, co znakomicie ułatwia jej spłócenie. Inżynier przy pomocy swoich towarzyszy, w tej liczbie także Pencroffa i biedak musiał jeszcze raz porzucić wstętek i rozpocząć prace wstępne, polegające na oczyszczeniu wełny z lepkiej i tłustej substancji, zwanej tłuszczopotem, które jest przesycone. Odtłuszczenie odbyło się kadziach, napełnionych wodą podgrzaną do siedemdziesięciu stopni, w których wełna moczyła się przez dwadzieścia cztery godziny; następnie wyprano ją starannie w wodzie z sodą. Gdy wełnocyfelnicy, była ona już w stanie nadającym się do folowania, to znaczy do wyrobu mocnej, chociaż ordynarnej tkaniny, która pewno nie miałaby najmniejszego powodzenia w jakimś ośrodku przemysłowym Europy czy Ameryki, lecz była czymś zupełnie wspaniałym na rynkach zbytu" Wyspy Lincoln. Zatem siłomoliwe ten rodzaj materiału musiał być znany w najdawniejszych czasach, gdyż pierwsze na świecie tkaniny wełniane były produkowane w sposób stosowany przez Cyrusa Smitha. Przy konstruowaniu maszyny do folowania wełny Cyrusowi przydał się bardzo jego zawrotny inżynier, gdyż dzięk niemu umiał zrobić wykorzystano jako napęd folusza marnując siły i czas bezużytecznie siły mechaniczne wytwarzane przez wodospad nadbrzeżny. Urządzenie było niesłychanie prymitywne: drewniany walec z uchwytemi, na przemian podnoszącymi i opuszczającymi prostopadle tłuczki, koryta na wełnę do których tłuczki spadały, i mocna rama ciesielskiej roboty, otaczająca i wiążąca całość. Tak wyglądała ta maszyna, taka była przez całe wieki, aż do chwili kiedy ludzie wpadli na pomysł zastąpienia tłuczkami ugniatającymi i poddania surowca nie tłuczeniu, lecz walcowaniu. Pod kierunkiem Cyrusa Smitha praca została wykonana bez zarzutu. Wełna, nasycona uprzednio roztworem mydlanym, powodującym z jednej strony zwiększenie poślizgu, zmniejszenie włóknów i ułatwienie zbijania się z drugiej zapobiegającym samaniu się włókna w czasie tłuczenia, wyszła z folusza w postaci grubej filcowej pachty. Nierówności i prętki włókna wełny tak mocno się siebie zacięły i poszepiały, że utworzyły tkaninę nadającą się do ubrania, jak i na koce. Oczywiście nie była to wełna z merynosów, niemuślin czy kaszmir szkocki, ani ryps, ani jedwab chiński, ani alpaka, ani sukno czy flanela. Była to filc "linkolnijski" i w ten sposób na Wyspie Lincoln powstała nowa gałąź przemysłu. Kolonicy zdobyli wreszcie nie tylko dobre ubrania, ale także ciepłe koce, toteż bez strachu mogli oczekiwaćimy 1866 roku. Około 20 czerwca nastąpiły silne mrozy i Pencroff musiał z czasem przerwać udowieteczku, który miał być kołony na wiosnę. Marynarz wbił sobie do głowy, że musi odbyć zwiadowczy na wyspęabor, i to tylko dla zaspokojenia ciekawości, gdyż było rzecz pewną, że po tej pustynnej i prawdopodobnie jałowej skale nie ma się czego spodziewać. Cyrus Smith nie popierał tego projektu. Myśl o przepłynięciu stu pięćdziesięciu mil stosunkowo małym stateczkiem po nieznanym oceanie wzbudzała w nim duże obawy. Co będzie, jeżeli statek, znalazłszy się na pełnym morzu, nie będzie mógł dopłynąć do wyspy Tabor ani też powróci na Wyspę Lincoln? Co się stanie z marynarzem na tym Pacyfiku, który

tonie pochłoniętych tylko statków Cyrus Smith czuł, że omawia ten projekt z marynarzem i zawsze zastanawia go jakiś dziwny upór z jakim Pencroff dąży do tej podróży, upór, którego może nawet sam marynarz nie zdawał sobie dobrze sprawy. Muszł reszcie zwrócić panu uwagę, przekonywał go inżynier, że po tylokrotnym podkreśleniu zalet Wyspy Lincoln i zapewnianiu, że opuściłby ją pan z wielkim zaniem, w końcu pan pierwszy chce się niej wyrwać. Ale wyrwał się nagle na kilka dni przed Pencroffem. Tylko na parę dni, panie Cyrusie. Tyle, że pojedź zobaczyć, co tam jest na tej wysepce, i zaraz wróć. Ale ona na pewno nie umywa się o Wyspy Lincoln. Jestem tego z pewnością. No to po co ryzykować podróżą, żeby wiedzieć, co się dzieje na wyspie Tabor. Ale tam nic się nie dzieje! Nic nie może się zdarzyć. Kto wie? A jeżeli zapanuje burza? W czasie lata nie ma się czego obawiać odparł Pencroff. Ale ponieważ trzeba wszystko przewidzieć, poprosiłbym o pozwolenie zabrania ze sobą w podróż Harberta. Pencroff powiedział inżynierowi, że mu rękę na ramieniu, gdyby jakieś nieszczęście przytrafiło się panu czy temu chłopcu, którego przypadek uczyni naszym synem, czy sądzi pan, że moglibyśmy się w jakikolwiek pocieszyć. Nie sprawimy panu tej przykrości, panie Cyrusie, odpowiedział Pencroff z niezachwianą pewnością siebie. Zresztą powróćmy jeszcze do sprawy podróży w najbliższym czasie. Poza tym nie wątpię, że gdy zobaczy pan stateczek wykończony i dobrze osprzętowany, gdy oceni pan, jak on się porusza na morzu, kiedy będziemy objeżdżać wyspę, a zrobimy to sądzę razem, nie będzie pan miał żadnych zastrzeżeń do mojej podróży. Mogłaby pan zapewnić, że ten pana stateczek będzie prawdziwym arcydziełem. Niech pan przynajmniej powie "nasz stateczek" i umiechnie się inżynierowi Smithowi zupełnie rozbrojony. Rozmowa, do której mieli jeszcze powrócić, zakończyła się tym, że każdy z nich pozostał przy swoim zdaniu. Pod koniec czerwca spadł pierwszy śnieg. Corral był wcześniej zaopatrzony w paszaki, że nie trzeba było chodzić codziennie. Postanowiono jednak odwiedzić chociaż w tygodniu. Zastawiono znów otrzaski na zwierzęta, ponadto wypręto przyrzędy zrobione przez Cyrusa Smitha. Zgromadziły się zamarznięte w bryły lodu i pokryte grubą warstwą tłuszczu, rozrzucono na skraju lasu w miejscach, które zazwyczaj zwierzęta szły do jeziora. Pomysł ten, zapożyczony od myśliwych aleuckich, dał pierwszorzędną wyniki. Złapano kilkanaście lisów, parę zikaw, nawet jaguara; kości martwych zwierząt były przebite rozprostowanymi fiszbinami. W tym czasie koloniści podjęli próby, o których warto wspomnieć, a ona bowiem na celu nawiązanie kontaktu ze światem. Gedeon Spilett myślał już niejednokrotnie o tym, by wrzucić do morza jakiegoś notatkę zamkniętą w butelce, którą mógłby zanieść na jakiś zamieszkały brzeg, albo też powierzyć wiadomości o sobie. Ale czy można się spodziewać, że gołęb lub butelka zdąży przebył brzozi odległymi wyspami, dzieląc się wyspami najbliższego lądu? Byłoby to raczej nieprawdopodobne. Ale oto 30 czerwca złapano z niemałym trudem albatrosa, lekko drażnił go przez Harberta, przelatując w nogę. Jest to wspaniały ptak, którego skrzydła mają z dziesięć stopni. Może on przebywać z trudem tak olbrzymie przestrzenie wodne, jak Pacyfik. Harbert miał wielką ochotę zatrzymać wspaniałego ptaka, którego rana goiła się szybko, i oswoiło, lecz Gedeon Spilett upierał się, że nie wolno zmarnować takiej okazji i że trzeba sprząść przez tego posłańca nawiązać kontakt z lądami na Pacyfyku. Harbert ustąpił, rozumiejąc, że jeżeli albatros przylecia z jakiegoś zamieszkanego lądu, to z pewnością powróci tam, gdy tylko będzie wolny. Możliwe, że Gedeon Spilett, w którym niekiedy odzywała się jakaś reporterska, w głębi duszy myślał o tym, aby na los szczęścia puścić go, świat pasjonujący artykuł o przygodach Kolonistów Wyspy Lincoln. Co to byłoby za sukces dla stałego reportera gazety New York Herald i dla numeru zawierającego tak ciekawą kronikę, gdyby

reporta? ten dotar? kiedykolwiek do r?k wydawcy, pana Johna Benetta! Gedeon Spilett zredagowa? wi?kr?, ale tre?ciw? notatk?w?o?y? j? do woreczka z mocnego, nugu- mowanego p?? i za??czy? uprzejm? pro?b?o znalazcy o przes?anie listu pod adresem dziennika New York Herald. Woreczek przywi?zono do szyi albatrosa, a nie do ?apy, gdy? ptaki te maj? zwyczaj odpoczywa?a falach; nast?ie wypuszczono na wolno??krzydla- tego pos?a? i koloni?ci przygl?dali si? z wielkim wzruszeniem, jak poszybowa? na zach? znikn?? we mgle. ? Dok?d polecia?? ? zapyta? Pencroff. ? W stron?owej Zelandii ? odpowiedzia? Harbert. ? Szcz?iwej podr? ? zawo?a? marynarz, aczkolwiek niewiele si?podziewa? po tym sposobie nawi?zania kontaktu ze ?wiatem. Z nastaniem zimy prace domowe w Granitowym Pa?acu zn?uszy?y ca?? par?. Naprawa ubra?lecenie rozmaitych sprz?w, a tak?e szycie ?agli z pow?oki balonu, stanowi?cej niewyczerpane zasoby p??, mocno absorbowa?y wszystkich. Przez ca?y lipiec trwa?y silne mrozy, nie ?a?owano tedy drzewa ni w?a, Cyrus Smith postawi? drugi kominek w du?ej sali, gdzie sp?ano d?ugie wieczory zimowe. W czasie pracy gaw?ono, w przerwach czytano i tak czas up?ywa? z po?ytkiem dla wszystkich. Z jak?? przyjemno?ci? przesiadywali koloni?ci w tej sali jasno o?wietlonej ?wiecami, dobrze ogrzanej, po smacznym obiedzie, przy fili?ance gor?cej ?kawy" z czarnego bzu, otoczeni k??mi wonnego dymu z fajek, zw?aszcza gdy z zewn?trz dochodzi?y odg?osy wichury! Najcz?iej rozmawiali o ojczy?nie, o pozostawionych tam przyjacio?ach, o pot?e Republiki Ameryka?ej, kt? wp?ywy wskutek wojny mog?y si?edynie zwi?zy?Cyrus Smith, obracaj?cy si?iegdy? w ko?ach rz?dowych Stan?jednoczonych, opowiada? s?uchaczom r? ciekawe rzeczy, dzieli? si?woimi pogl?dami i przewidywaniami. Pewnego dnia Gedeon Spilett zada? nast?j?ce pytanie: ? Prosz?i powiedzie?Cyrusie, czy temu oczekivanemu przez pana, wspania?emu rozwojowi handlu i przemys?u nie grozi ca?kowite zahamowanie? ? Zahamowanie? Z jakiego powodu? ? ? Z powodu braku w?a, kt? mo?na s?usznie nazwa?ajcenniejszym z bogactw naturalnych. ? Istotnie, najcenniejszym ? zgodzi? si?n?ynier ?? i nawet natura sama to potwierdzi?a tworzc?c diamenty, nie b?ce niczym innym, jak tylko czystym, skryzalizowanym w?em. ? Nie chce pan chyba przez to powiedzie? wtr?ci? si?encroff ? ?e diamentami mo?na pali? paleniskach kot??amiast w?em? ? Nie, przyjacielu ? odpowiedzia? Cyrus Smith. ? Upieram si?ednak przy swoim zdaniu ? ci?gn?? dalej Gedeon Spilett. ? Nie zaprzeczy pan, ?e pewnego dnia w?el zostanie ca?kowicie wyczerpany. ? Ach! Pok?ady w?a s? jeszcze bardzo bogate, sto tysi? za? g?k?ydobywaj?cych rocznie sto milion?etnar?iepr?o jeszcze je wyczerpie. ? Przy wzrastaj?cym u?yciu w?a kamiennego ? upiera? si?pilett ? mo?na ju? teraz przewidzie??e liczba stu tysi? g?k? wzro?nie niebawem do dwustu tysi?, przez co ilo??wydobywanego w?a podwoi si?ak?e. ? Niew?tpliwie, ale poza w?em europejskim, kt?dzi? nowym maszynom wkr? b?ie wydobywany z g??ej po?o?onych pok?ad?kopalnie Ameryki i Australii jeszcze przez wiele lat b? zaspokaja?y potrzeby przemys?u. ? Ale jak d?ugo? ? zapyta? reporter. ? Co najmniej przez dwie?cie pi?ziesi?t do trzystu lat. ? To jest pocieszaj?ce dla nas ? stwierdzi? Pencroff ? ale niepokoj?ce dla naszych ciotecznych wnuk? ? Wtedy wynajdzie si?co? innego ? powiedzia? Harbert. ? Miejmy nadziej? zgodzi? si?edeon Spilett ? gdy? bez w?a nie by?oby maszyn, bez maszyn nie by?oby ani kolei, ani parostatk? ani fabryk, s?owem ? tego wszystkiego, co wp?ywa na post?wsp?esnego ?ycia, ? Ale c c si?wynajdzie? ? zapyta? Pencroff. ? Czy pan to sobie wyobra?a, panie Cyrusie? ? Mniej wi?j, przyjacielu. ? Czym b?ie si?tedy pali? ? Wod? ? powiedzia? Cyrus Smith. ? Wod?? ? zdumia? si?encroff. ? Woda w kot?ach parostatk? lokomotyw i woda do grzania wody? ? Tak, ale woda

rozkożona na czynniki pierwsze' wyjaśnił Cyrus Smith i to rozkożona prawdopodobnie za pomoc elektryczności, które stanie się źródłem potężnym i łatwo dostępnym, gdy skutek jakiegoś tajemniczego prawa wszystkie wielkie wynalazki są zgodne ze sobą i w pewnym momencie uzupełniają się wzajemnie. Tak, przyjaciele. Sądząc nadejście dziejedy woda będzie używana jako paliwo, woda i tlen, z których się składa, użyte oddzielnie lub łącznie, będzie stanowił niewyczerpane źródło ciepła i światła, i to znacznie silniejsze niż węgla. Pewnego piętego dnia do kładowni na parostatkach i do tendrów arowozowych zamiast węgla wtoczy się płynny gaz, który będzie się palił z olbrzymią wydajnością kaloryczną. Nie mamy się zatem czego obawiać. Dopóki ziemia będzie zamieszkała, z pewnością ci zaspokoi potrzeby ludzkości i nigdy nie zabraknie jej ani światła, ani ciepła, ani produktów chemicznych, mineralnych czy zwierzęcych. Dlatego też wierzę, że gdy pokłady węgla ulegną wyczerpaniu, ludzie będą palić ogrzewać się. Woda jest węglem przyszłości. Chciałbym to zobaczyć mruknął marynarz. Za wcześnie się rodzi, Pencroff powiedział. Nab. Były to jedyne słowa, jakie Murzyn dorzucił do dyskusji. Rozmowę przerwał szczekanie Topa, w którym znów ychał o dziwną nutę tak niepokojącą inżyniera. Ręcznie pies zaczął kręcić i okładowaniu studni, znajdując się rogu wewnętrznego korytarza. Czego on znak szczeka? zapytał Pencroff. Jup tak wydaje jakieś dziwne pomruki dodał Harbert. Istotnie, mapa przyjrzy się o psa, zdradzając wyraźnie objawy podniecenia, przy czym rzecz dziwna zwierzę wydawało się bardziej zarfęto-kojone niż rozszoszczone. Jest rzecz pewną stwierdził Gedeon Spilett że ta studnia łączy się bezpośrednio z morzem i chyba jakieś zwierzę orskie odwiedza ją od czasu do czasu, aby odetchnąć powietrzem. Tak, to jest pewne zgodził się nim marynarz i prawdopodobnie nie ma iryńskiego wytęmaczenia. No spokojnie Top dodał zwracając się o psa a ty, Jup, idź do siebie. Mapa i pies zamilkły. Jup poszedł spać Top zaś pozostał w sali i przez cały wieczór czasu do czasu głocho warczał. Nie męno już wiódł o tym zajęciu, a jednak od tej chwili inżynier już się nie rozchmurzył. Do końca lipca na przemian padały deszcze i chwytają mrozy. Temperatura nie była jednak tak niska jak poprzedniej zimy i nie przekroczyła ani razu ośmiu stopni Fahrenheita (trzynastu stopni Celsjusza) poniżej zera. Ale chociaż zima nie była surowa, to jednak bardzo dokuczały śoty i wichury. Parazy morze tak gwałtownie natarło na wyspę że znała o Kominy. Wyglądało to, jakby nagły przypływ morza, spowodowany jakimiś wstrząsami podwodnymi, unosił fale i ciskał nimi o mury Granitowego Pałacu. Kolonijci obserwowali przez okna potężne zwały wody, rozbijające się ich oczach, i nie przestawali zachwycać się spaniałym widokiem tej bezsilnej furii oceanu. Bawiany odskakiwały pokrywając się lśniewającą białą pianą, ale całe wybrzeże znikało pod tym wściekłym zalewem, masyw skalny zaś wynurzał się jak gdyby wprost z morza rozsiewając pył wodny na wysokość ponad stu stóp. W czasie tych sztormów nie tylko trudno, ale wręcz niebezpiecznie wychodzić domu, gdy wichurę przewracała na drodze drzewa. A jednak kolonijci przynajmniej raz w tygodniu odwiedzali zagrodę. Na szczęście, osłonięte południowo-wschodnimi zboczami Góry Franklina, nie ucierpiała ona zbyt wiele wskutek huraganu, który oszczędził tutaj drzewa, szopy i choć natomiast ptaszarnia, znajdująca się na Paskowzgu Rozległego Widoku, narażona bezpośrednio na wiatry wschodnie, doznała doładowanych zniszczeń odmuch dwukrotnie zerwał dach gołębika i przewrót. Wszystko to trzeba było naprawić bardzo solidnie, gdy jak kolonijci zdawali się uorientować. Wyspa Lincoln leżała w najgorszym punkcie Pacyfiku. Niekiedy odnosiło się do prostego wrażeń, że wyspa znajduje się samym źródłem strefy potężnych cyklonów ktęsmagały

jak biczem. W pierwszych tygodniach sierpnia wichury uciszyły się, a w powietrzu zapanowała spokojna, siła utracona na zawsze. Różnie temperatura spadała i nadeszły ostre mrozy, a termometr Fahrenheita wskazywał osiem stopni poniżej zera. 3 sierpnia kolonista wyruszył na projektowaną od kilku dni wycieczkę po południowy wschód wyspy, w stronę agna Podgorza. Myśliwych nęciło ptactwo wodne przybywające tutaj na zimowisko. Roiło się od dzikich kaczek, kszycorów, cyranek, perkozów, toteż postanowiono poświęcić dzień na polowanie. Nie tylko Gedeon Spilett z Harbertem, ale także Pencroff i Nab wzięli udział w wyprawie. Jedynie Cyrus Smith pod pozorem jakiejś pilnej roboty nie dołączył do swoich towarzyszy i został w Granitowym Pałacu. Myśliwi obiecali powrót nad wieczorem i wyruszyli drogą w kierunku Portu Balonu, aby tam dotrzeć do kąpieliska. Zabrali ze sobą Topa i Jupa. Gdy tylko znaleźli się na drugiej stronie mostu na Rzece Dzielnienia, inżynier podniósł go i wrócił do domu z zamiarem zrealizowania pewnego projektu; w tym względzie celu chciał zostać. O projekt ten polegało na dokładnym zbadaniu wewnętrznej studni, wychodzącej z jednej strony na korytarz w Granitowym Pałacu, a z drugiej strony łączącej się niewątpliwie z morzem, gdy niegdyś odpływały wody z jeziora. Dlaczego Top tak często kręcił się wokół otworu tej studni? Dlaczego szczekał tak dziwnie i wiedziony jakimś niepokojem zbliżał się do jej wylotu? Dlaczego Jup podzielał podniecenie Topa? Czy studnia miała jeszcze jakieś odnogi poza otworem prowadzącym prostopadle do morza? Czy odgadywała się o jakichś innych częściach wyspy? Oto co Cyrus Smith chciał wiedzieć, a wszelkie cenę to wiedzieć. Dlatego też postanowił zbadać studnię, korzystając z nieobecności swoich towarzyszy i w tym celu nadarzyła mu się okazja. Najłatwiej było zejść do studni po drugiej drabinie sznurowej, nie używanej już od czasu zainstalowania windy. Tak też inżynier zrobił. Przyciągnął drabinę do otworu o średnicy około sześciu stóp, wpuścił ją do studni po dokładnym umocowaniu gągi koło. Następnie zapalił latarni, wziął rewolwer do ręki, przypięty do pasa kordelas i zaczął schodzić po szczeblach. Ścianki studni były gładkie; jedynie od czasu do czasu widać było niewielkie występy skalne, po których jakieś rzęsy stworzenie mogło wdrapać się do jej gągi wylotu. Takie było spostrzeżenie inżyniera. Jednakże oświetlając starannie latarnią te występy nie znalazł ani odłupanego brzoška, ani żadnego śladu wskazującego na to, by dawniej czy ostatnio ktokolwiek się o nich wdrapywał. Cyrus zszedł niżej, oświetlając dokładnie ściany. Nie zauważył jednak nic podejrzanego. Gdy doszedł do ostatnich szczebli, poczuł pod stopami jej powierzchnia była zupełnie spokojna. Ani na poziomie wody, ani w żadnym innym miejscu nie odchodził w bok korytarz, którym stanowił dążenie wiodące w głąb masywu skalnego. Cyrus Smith obstukał rękami kordelasa ścianki studni, ale nigdzie nie pochwycił odłupanego kamienia. Studnia była przebita w jednolitym bloku, przez którą przechodziła istota nie mogła sobie utorować drogi. Aby dotrzeć do niej, musiałby wdrapać się góra, nie było innej drogi niż zawsze zalany wodą kanał łączący studnię z morzem poprzez dolne warstwy skał nadbrzeżnych; a zatem tą drogą mogło się przedostać jedynie zwierzę orskie. Natomiast nie udało się inżynierowi dojść w jakimś punkcie wybrzeża ani na jakiejś głębokości, jeśli znajdowałby kanał. Skończywszy oglądanie studni, Cyrus Smith wszedł na górę, wciągnął drabinę, zakrył otwór powrót do dużej sali, mrużąc w głąbie zadumie: „Nic nie widziałem, a jednak coś tam musi być”. ROZDZIAŁ DWUNASTY. Osprężanie statku. Najciszej Jup ranny. Pielęgnowanie Jupa. Jup wyleczony. Wykonanie statku. Tryumf Pencroffa. „Bonawentura”. Przejście statku. Nieoczekiwany dokument. tego wieczora myśliwi, którzy polowanie nad wyraz się dało, powróciwszy objuczeni zwierzęmi, dźwigając tyle, ile tylko mogli

unie zterech silnych mzyn. Top mia na karku wianek roew, Jup za ozdoby by pasem z kszyk Proszobaczy wo a uradowany Nab ile bziemy mieli roboty! Ile z tego bie konserw i pasztet Ale kto musi mi pom Licza ciebie, Pencroff! Nie, Nabie powiedzia marynarz. Tym razem musisz si bej eze mnie, gdy czas ju, abym zaj si sprz waniem statku. A pan, panie Harbercie? Musz utro do corralu. No to chyba pan mi pomo e, panie Spilett? Zrobi o tylko dla ciebie, ale uprzedzam ci e je eli ujawnisz mi swoje recepty, zaraz je opublikuj Proszardzo, panie Spilett zgodzi si ab proszardzo. W ten sposast ego dnia Gedeon Spilett zosta pomocnikiem Naba i obaj zasiedli w laboratorium kulinarnym. Przedtem jednak in ynier zd y podzieli i reporterem wynikiem swoich bada eporter zgodzi si a kowicie ze zdaniem Cyrusa Smitha, e chocia nic nie znaleziono, to jednak w tym wszystkim tkwi jaka tajemnica. Mrozy trzyma y przez ca y nast y tydzie ote koloni ci opuszczali Granitowy Pa ac tylko po to, by zajrze o ptaszarni. W ca ym mieszkaniu unosi y si makowite zapachy wynik uczonych praktyk Naba i reportera; jednak e nieca y plon polowania na bagnisku zosta przerobiony na konserwy, a poniewa w czasie tych silnych mroz i przechowywa o si oskonale, koloni ci jedli dzikie kaczki, kszyki i ro e na wie o i uznali, e s one smaczniejsze od wszystkich znanych na wiecie ptak odnych. Przez ten tydzie ncroff korzystaj c z pomocy Harberta, kt ju znie pos ugiwa si g , pracowa z takim zapa em, e uko zycie wszystkich agli. Liny balonu i sznury siatki zrobione by y z doskona ego gatunku konopi, tote marynarz chie z nich korzysta .agle zako no bardzo mocnymi liklinami; pozosta o tak e dosy ateria u, aby zrobi a y, wanty i sztagi \*. Z pomoc Pencroffa Cyrus Smith wykona na tokarce potrzebne bloki. Ca e o aglowanie i takielunek \*\* by y gotowe jeszcze przed wyko niem statku. Pencroff uszy nawet tr lorow bander iebiesko-bia o-czerwon ; barwnik o ufarbowania materia u dostarczy y pewne ro liny, obficie wy stepuj ce na wyspie. Do trzydziestu siedmiu gwiazd, l ni cych zazwyczaj na flagach Stan jednoczonych i reprezentuj cych trzydzie ci siedem stan marynarz doda trzydziest gwiadz stanu Lincolna", gdy uwa a, e wyspa jest ju przy czona do wielkiej republiki. Je eli nie jest przy czona faktycznie, to sercem na pewno. Na razie bandera zosta a wywieszona w rodkowym oknie Granitowego Pa acu i koloni ci powitali j trzykrotnym okrzykiem. Zima dobiega a ko i wszyscy mieli ju nadzieje przeminie bez jakiegokolwiek powa niejszego wydarzenia, gdy nagle 11 sierpnia w nocy nad P asko-wzg m Rozleg ego Widoku zawis a gro ba zniszczenia. Po pracowitym dniu koloni ci twardo spali, gdy wtem oko o czwartej nad ranem zbudzi o ich szczekanie psa. Tym razem pies nie szczeka w pobli u otworu studni, lecz na progu drzwi i rzuca si a nie tak, jak gdyby chca je wy awia Jup ze swej strony wrzeszcza przera liwie. Co ci jest, Top?! zawo a Nab budz c si ierwszy. Pies dalej ujada z w ciek o ci . Wszyscy ubrali si po piechu, rzucili si o okien i otworzyli je na o cie . Przed oczami rozci ga a si okrywa nie na, kt biel by a ledwie widoczna w ciemno ci nocy. Koloni ci nie mogli nic dojrze ale syszeli dziwne szczekanie dobiegaj ce z mroku. By o rzecz oczywist, e wybrze e opanowa y jakie zwierz , lecz po ciemku nie mo na by o ich rozpozna . Co to jest? zawo a Pencroff. \_\_ Wilki, jaguary albo ma py wyrazi przypuszczenie Nab. \_\_ Do diab a! Przecie mog si osta a p asko-wzg przerazi si eporter. A nasza ptaszarnia! Nasze plantacje! rozpacza Harbert. Kt y mog y przej dziwi si encroff. Prawdopodobnie przez mostek na wybrze u; pewnie kt z nas zapomnia go podnie powiedzia in ynier. Rzeczywi cie przyzna si pilett. Przypominam sobie, e zostawi em drog twart . A to pan nam sp ata figla! obruszy si ary narz.



Co sietao, to sie odstanie odpar Cyrus Smith. Pomylmy lepiej o tym, co robi Taka oto szybka wymiana saspia pomiyy Cyrusem Smithem a jego towarzyszami. Jedno byo pewne: jakiegokolwiek byy to zwierze, przeszly one przez mostek, opanowaly wybrzeze i mogly lewym brzegiem Rzeki Dzizynienia dotrzeo Paskowzg Rozlegego Widoku. Trzeba wiabyo wyprzedzie i w razie potrzeby stoczy nimi walk. Ale co za zwierze? zapyta kto po raz drugi, w chwili gdy rozlego sie onowne szczekanie, gonijsze ni dotychczas. Na ten dawiHarbert drgn, gdy przypomnial sobie, ze sypszaj takie odglosy w czasie swojego pierwszego pobytu u r Czerwonego Potoku. To to lisy! zawoaa. Dalej na wroga! krzykn marynarz. Uzbrojeni w siekiery, karabiny i rewolwery, kolonisci pobiegli do windy i niebawem byli na wybrzeu. W wizej gromadzie, zwaszca gdy gm dokuczy, lisy staj siaprawdniebezpieczne. Kolonisci jednak bez chwili wahania rzucili sia zwierze, a pierwsze strzały z rewolweru, przerywajce baskawicami ciemnooci, wprowadzily popoch w najblisze szeregi napastnik. Najwazniejsza rzecz byo nie dopuscicabusi Paskowzg Rozlegego Widoku, gdy wtedy zar plantacje, jak i ptaszarnia byyby zdane na ich ask. Z cao pewnooci nie daoby sienikn pas niepowetowanych szkzwaszca jeeli chodzi o zasiewy zboa. Najcie na paskowzg moliwe byo tylko od strony lewego brzegu rzeki, wystarczyo zatem stworzydpowiedni zaporaa wskim odcinku wybrzea, wtoczonym pomiyy rzek granitow ocian. Wszyscy zrozumieli to w lot i na rozkaz Cyrusa Smitha pobiegli na wskazane miejsce, podczas gdy gromada lismiotajc sia wszystkie strony, znikn w ciemnoociach. Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Pencroff, Harbert i Nab ustawili siak, by utworzyaporie do przebycia. Top z szeroko otwart, pot paszcz biegn przed nimi, a za nim Jup uzbrojony w set pakktwywija jak maczug. Noc bya bardzo ciemna. Jedyne w wietle strza z kt h aden nie chybia celu, moana byo dojrzeapastnikbyo ich co najmniej ze stu, a lepia lniyy im jak rozparzone w e. Nie moana dopuscic aby przeszly t! zawoaa Pencroff. I nie przejd powiedzia inynier. Lisy istotnie przeszly, ale bynajmniej nie dlatego, ze nie prały; ostatnie szeregi bezustannie napierały na pierwsze. Kolonisci z siekierami i rewolwerami w r walczyli zaarcie bez chwili wytchnienia. Ziemia usiana bya trupami lisale stado wcale sie nie zmniejszyo; przeciwnie, zdawa o si e coraz wijsz lisrzybywa przez mostek na wybrzeu. Niebawem kolonisci byli z tak bliska osaczeni przez lisy, ze nie obeszo siez paru zranienaa szczie lekkich. Strzaem z rewolweru Harbert uwolni Naba, ktu lis wskoczy na plecy jak tygrys. Top walczy z prawdziw furi, skaka lisom do gardaa i dusi je od razu. Uzbrojony w maczugup wali na lepo i na pr starano si dci gn o do tyu. Obdarzony wzrokiem pozwalajcym widzie ciemnoociach, pcha si najwijszy wir walki i od czasu do czasu wydawa ostry gwizd, co byo u niego oznak najwijszej radooci. W pewnej chwili zapie siawet tak daleko, ze w wietle strzaewolwerowych moana byo go dostrzec otoczonego przez pi czy szeu ych lis kt stawia czoo z niezwykle zimn krwi. Walka skoaa si wyci wem kolonistale dopiero po dobrych dwgodzinach. Pierwszy brzask dnia zmusi napastniko ucieczki, lisy uciekaly na p c przez mostek, a Nab pobieg, aby natychmiast go podnie. Gdy rozwidni o si ostatecznie, kolonisci policzyli na polu walki blisko pi dziesit zabitych lisozrzuconych po wybrzeu. A Jup?! zawoaa Pencroff. Gdzie jest Jup? Jup znikn. Nab woaa go, ale po raz pierwszy jego przyjaciel nie przybiegn na zawoanie. Wszyscy poszli szukaapy, dr c z ebawy, ze znajd j niew. Oczyszczono teren z padliny, kt krew zabarwi aa nieg czerwieni, wreszcie znaleziono Jupa. Leaa

w rękach i zmiażdżonych pyskach i przetłuczonych grzbietach, co" świadczyło, że zwierzę te przed śmiercią musiały zetknąć się z strasliwą maczugą nieulejonej maczugi. Na piersi Jupa widniały głębokie rany, w rękawie trzymał jeszcze kawałek ułamanej maczugi; widocznie wtedy dopiero uległ przeważającej liczbie napastników, gdy został pozbawiony broni. "Ojciec!" krzyknął Nab pochylony nad Jupem. "Uratujemy go" odrzekł marynarz. "Będziemy go pielęgnować tak, jakbyśmy pielęgnowali jednego z nas. Maczuga, jakby rozumieć sens słów skonięła się na ramiączkach, prawdopodobnie na znak podziwiania. Marynarz był także ranny, ale zarówno on, jak i jego towarzysze odnieśli powierzchowne obrażenia, gdy dzielił broni palnej w wiązoci wypadku, dało im się trzymać napastnika w przyzwyczajonej odległości. Jedynie stan maczugi budził obawy. Pencroff i Nab wzięli Jupa na ramię i zanieśli go do windy, przy czym maczuga nie wydała nawet najmniejszego jęku. Ostrożnie zawieźli go do Granitowego Pałacu. Tutaj ułożyli go na sienniku zdjętym z jednego z posągów, jak najtroskliwiej przemyśli jej rany. Nie wyglądało na to, żeby uszkodzony był jakiś ważny narząd, ale Jup był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi i niebawem dostał wysokiej gorączki. Pozostawiono go w spokoju, opatrzone rany i zastosowano ściśle dietę, zupełnie jak u prawdziwego człowieka", jak stwierdził Nab; przygotowano także kilka filiżanek orzeźwiającego naparu z ziołami, znajdujących się w apteczce Granitowego Pałacu. Jup zasnął. Początkowo miotał się, ale potem jego oddech stał się coraz bardziej regularny. Od czasu do czasu Top, skradając się jak gdyby "na palcach", przychodził odwiedzić swojego przyjaciela i zdał się ochwalać opiekę, jak go otaczano. Rano Jup zwisała niekiedy z posągu i Top lizał go z miną pełną smutku. Tego samego dnia kolonijscy zaciężnicy padli o Las Dalekiego Zachodu i zakopali go głęboko. Najbardziej skutecznym sposobem obrony w skutkach, było dobre nauczanie i od tego czasu kolonijscy nie kładli się spać, zanim jeden z nich nie upewnił się, że wszystkie mostki zostały podniesione i że wszelka inwazja jest niemożliwa. Tymczasem Jup, który żył przez parę dni, był poważnie zagrożony, przemchorob. Mocny organizm zwyciężył, gorączka powoli spadała i Gedeon Spi-lett, będący po trosze lekarzem, uznał niebawem, że niebezpieczeństwo minęło. 16 sierpnia Jup zaczął jeść. Nab przyrzekał mu pyszne, słodkie smakołyki, a chory zjadał je z rozkoszą, gdy jeżeli miał w ogóle jakikolwiek niewielki wadł, to chyba tylko takim, jakomczuchem; Nab zaś nigdy nie starał się uleczyć go z tej przywary. "Co pan chce?" mawiał do Gedeona Spiletta, któremu zarzucał nieraz, że zbyt rozpieszcza Jupa. "Przecież jedynym przyjemności tego biednego Jupa jest to, że zje coś smacznego, ja zaś chętnie wynagradzam go w ten sposób jego usługi. Po dziesięciodniowym leżeniu w łóżku, 21 sierpnia, imię wstał po chorobie. Rany zablizny się widać było, że niebawem odzyska swój zwykły zrost. Jak wszyscy rekonwalescenci był wiecznie głodny, a reporter pozwalał mu jeść, co woli, gdy ufał, że instynkt, który czuje brak istotom rozumnym, ochroni maczugi przed skutkami obłędów. Nab był zachwycony, że jego uczeń odzyskał apetyt. "Jedź, przyjacielu" przemawiał do niego niczego sobie odmawiając! Przelał za nas swój krew, a jedynie sposób, jaki mogliśmy dwudzięty to pomysł, który odzyskał 25 sierpnia Nab zwołał nagle swoich towarzyszy. "Panie Cyrusie, panie Gedeonie, Harbercie, Pencroff, chodźcie prędo! Kolonijscy, zgromadzeni w dużej sali, poderwali się, a to wołanie. "Co się stało?" zapytał reporter. "Proszę opatrzyć" odpowiedział Nab patrząc ze zmiechu. Okazało się, że imię, że skrzyżowanymi po tu-recku nogami, siedział w drzwiach Granitowego Pałacu, ze spokojem i powagą paląc fajkę. "Moja fajka!" zawołał Pencroff. "Wziął moją fajkę" Ach, męczący Jup, daruj mi ją! Pal, przyjacielu, pal! Jup poważnie wypuszcza kłęby dymu z

tak min, jakby mu to sprawiało niezwykłą rozkosz. Cyrus Smith nie okazał szczególnego zdziwienia i "opowiedział o paru wypadkach, kiedy oswojone małpy stały się aroganckimi palaczami. Od tego dnia Jup miał własny fajkowy fajkarynarz, który powiesił w swoim pokoju obok zapasu tytoniu. Nabijał je własnoręcznie, zapalał od rozżarzonego węglaka i wydawał się najszlachetniejszym z czworonogich zwierząt. Można się łatwo domyślić, że ta wspaniała upodobała się niemało jeszcze mocniej wiernym przyjacielom, którzy czekali już sympatycznego małpki poczciwym marynarzem. A może to jest człowiek? zastanawiał się teraz Pencroff w obecności Naba. Czy bardzo by się dziwił, gdyby któregoś dnia Jup do nas przemógł? Na Boga, nie! odparł Nab. Dziwi mnie raczej to, że nie ma go, gdy wspaniałowie tego jedynie mu brak". — A jednak byłoby bardzo zabawne, gdyby cięgnął dalej marynarz, gdyby pewnego dnia Jup zwrócił się do mnie ze słowami: "A może byśmy się zamienili fajkami, Pencroff?" Tak zgodził się nab. Co za nieszczęście, że on jest niemy od urodzenia. We wrześniu zima skończyła się statecznie i podjęto dalsze prace z nowym zapasem. Budowa statku posuwała się szybko naprzód. Obydwie burty były już gotowe i wykano je od wewnątrz, wycięto poszczególne części kadłuba z wrzaskami, wygięto na gorąco w parze i całkowicie dostosowanymi do modelu. Ponieważ drzewa były pod dostatkiem, Pencroff zaproponował inżynierowi, aby wewnątrz kadłuba zrobić jeszcze jedno szczelne poszycie, co mogło zapewnić i wytrzymałość statku. Cyrus Smith nie wiedząc, co czeka ich w przyszłości, zaaprobował pomysły marynarza, aby uczynić statek tak mocnym, jak tylko można. Poszycie i pokład zostały całkowicie wykończone około 15 września; aby uszczelnić wszystkie szwy, przygotowano pakiety z suchej trawy morskiej i upchano je klepakiem pomiędzy deski kadłuba, poszycia i pokładu. Następnie zalano gorące smoły, które sosny dostarczyły w potrzebnej ilości. Wyposażenie statku było zupełnie proste. Przede wszystkim wielkie żelazne kamienie, wagi około dwunastu tysięcy funtów odpowiednio ustawiono na dnie statku i unieruchomiono zaprawą murarską. Nad tymi gałkami ułożono pokład, a pod nim zrobiono dwa pomieszczenia, w których cięgnęły się awanki sznurów ręcznie za skrzynie. Pierwszą maszt był jednocześnie filarem podtrzymującym przepierzenie pomiędzy obydwoma kabinami, do których wchodziło się przez luki znajdujące się na pokładzie i zaopatrzone w pokrywy. Pencroff znalazł bez trudu drzewo odpowiednie na maszt. Wybrał do tego celu miodowy wierk, prosty i bez szwów, który trzeba było ociosać ramiastem u dołu i okrężyć u góry. Okucia masztu, steru i kadłuba zrobiono w kuchni w Kominach w sposób rymitywny, ale solidny. Wreszcie reje, maszt, stęga i wiosła, szowem, całe osprzętowanie zostało wykończone w pierwszym tygodniu października; aby się orientować, jak statek będzie się poruszała na morzu i jak dalece zasługuje na zaufanie, postanowiono wyprawa do pobliskiej wyspy. Przez cały ten czas nie zostały zaniedbane inne prace bieżące. Należało przystosować nowych potrzeb zagrody, gdy stado muflonów kłowiło się o nowe pokolenie, które trzeba było gdzieś umieścić i czym żywić. Koloniści nie zapominali także o parku ostrzyg i o kręciakach ani o pokładach węgla i rudy, ani o odwiedzaniu nie zbadanych dotąd części Lasu Alekiego Zachodu, gdzie roiło się dzikie zwierzęta. Odkryto także nowe gatunki roślin i chociaż nie nadawały się do natychmiastowego użytku, to jednak zwiędziały zasoby Granitowego Pałacu. Były to odmiany figo-watych, niektóre podobne do tych, jakie rosną w okolicy Przylądka Dobrej Nadziei, o miękkich, jadalnych liściach, inne znaleziono w ziarnach zawierających coś w rodzaju maki. 10 października statek został spuszczonej na wodę. Pencroff promieniał radością. Wszystko udało się doskonale. Całkowicie osprzętowany siup zepchnięty na rolkach na sam skraj wybrzeża, skąd uniosł się do morza w czasie przypływu; statek utrzymał się na wodzie, co wywołało

Wszystko radością kolonistów a zwłaszcza Pencroffa, który nie wykazywał przy tej okazji ani odrobiny skromności. Zresztą miał on powód do dumy, nawet po zakończeniu budowy statku, gdyż miał zostać jego dowódcą. Jedynego nie przyznano mu bowiem stopień kapitana. Aby zadość uczynić żądaniom kapitana Pencroffa, trzeba było przede wszystkim nadać statkowi nazwę po wielu zaciekle dyskutowanych propozycjach zdecydowano się wreszcie na „Bonawenturę” imię jakie poczciwy marynarz otrzymał na chrzcie. Gdy tylko przypłynął do „Bonawentury” można było natychmiast stwierdzić że doskonale utrzymuje się w wodzie i bardzo dostosowuje się do ruchów szybkości. Postanowiono wyprawa jeszcze tego samego dnia na pełnym morzu. Pogoda była piękna, dął lekki wietrzyk i węgługa nie sprawiała kłopotu, zwłaszcza na południu wyspy, gdyż od godziny już utrzymywała się i atrapno zachodni. Na pokład! Na pokład! wołał kapitan Pencroff. Ale przed wypłynięciem na morze trzeba było zjeść posiłek, a nawet wziąć z sobą na statek trochę żywności na wypadek, gdyby wycieczka przeciągnęła się do wieczora. Inżynierowi tak było pilno wyprawy, bo przecie on to wykonał plan, jakkolwiek za poradą marynarza musiał doznać zmiany szczegółów jednakże statek nie wzbudzał w nim takiego zaufania jak w Pencroffie. Cyrus Smith miał nadzieję że marynarz już zrezygnował z wyprawy na wyspę, ponieważ przestał o niej na razie mówić. Z najwiśzsz niechęcią zgodziłby się na to, aby dwaj czy trzej spośród towarzyszy mieli odpowiedzialność dalej tym szeregiem, zresztą bardzo małym, mającym najwyższą pojemność ton wyporności. O wpół jedenastej wszyscy już byli na pokładzie, nawet Jup z Topem. Nab i Harbert wyciągnęli kotwicę w piasku w pobliżu Rzeki Dzielenia, podnieśli żagiel, banderę amerykańską zaopotała na szczycie masztu i „Bonawentura”, kierowany przez Pencroffa, wyszedł na morze. Aby wydostać się z Zatoki Unii, trzeba było z początku zapaść przeciwny wiatr; kolonistów stwierdzili, że przy takim ustawieniu żagla statek utrzymuje dostatecznie szybko. Po opłynięciu Cypla Skrzyni i Przylądka Pazura statek, płynąc wzdłuż południowego brzegu, musiał iść bliżej lądu; Pencroff zauważył przy tym, że „Bonawentura” trzyma się kursie i nie daje się nosić. Statek dobrze skręcał pod przednim wiatrem i miał, jak mówił marynarz, dobry zryw, gdyż w czasie obrotu potrafił zwinąć się szybko. Pasażerowie „Bonawentury” nie posiadali się radości. Mieli dobry statek, który w razie potrzeby mógł im oddać ocienione usługi, wycieczka zaś w tak pogodnych warunkach przy pogodnym wietrze była naprawdę czymś uroczym. Pencroff wypłynął na pełne morze o trzy czy cztery mile od brzegu, w linii prostopadłej do Portu Balonu. W oczyma podróżnych Wyspa Lincoln ukazała się całkiem inną i w nowej postaci, z malowniczymi panoramami wybrzeża od Przylądka Pazura do Cypla Pazura, z lasami o miodowej zieleni ledwo rozwiniętych drzew liściastych, z panującą nad okolicą Gęstą Franklina oraz plamami błękitnymi na jej szczycie. Jakże to pięknie! zawołał Harbert. Tak, nasza wyspa jest piękna i dobra powiedział Pencroff. Kocham ją, jak kochałem moją biedną matkę. Wyspa nas przytuliła, nędżnych i pozbawionych wszystkiego, a teraz czegóżakuje jej pięknemu dziecku, które spadło na nią z nieba! Niczego, kapitanie poparł go Nab. I obaj poczciwcy wydali trzykrotny okrzyk „hura” na czysto! W tym czasie Gedeon Spilett oparty o maszt szpiczowatą panoramę rozciągał się przed jego oczami. Cyrus Smith zachowywał milczenie. No i co panie Cyrusie? zagadnął go marynarz. Co pan powie o naszym stateczku? Zdaje się że dobrze się pisuje odparł inżynier. Dobra jest. Czy wobec tego pan przypuszcza, że można zaryzykować z nim dłuższy rejs? Jaki rejs, Pencroff? Na wyspę, na przykład. Przyjacielu odezwał się Cyrus Smith sądząc że gdyby zaszła pilna potrzeba, to można by bez wahania zawierzyć „Bonawenturę” nawet na dłuższy dystans,

ale pan dobrze wie, jak niechcie zgodzi bym si a podr a wyps abor, skoro przecie nic pana do tego nie zmusza. Naley odwiedza swoich s siad nalega Pencroff obstajc przy swoim pomysle. Wyspa Tabor jest nasz s siadk, i to jedyn! Grzeczno yma-ma, eby zo yej przynajmniej jedn wizyt Do licha! wtr ci Gedeon Spilett. Nasz przyjaciel Pencroff da si onie onwenansom! Nie da em si onie iczemu! odpar Pencroff, kt o zirytowa troch przeciw in yniera; nie chcia jednak zrobi u najmniejszej przykro ci. Niech pan pomysli, Pencroff ci gn daley Cyrus Smith e pan nie mo e uda i am na wysp Tabor. \_ Wystarczy mi jeden towarzysz. Zgoda powiedzia in ynier. Ale w ten spos hce pan pozbawi oloni a Wyspie Lincolna dw jej cz onk og j liczby pi u. Sze ciu poprawi Pencroff. Zapomnia pan o Jupie. Siedmiu doda Nab bo przecie Topa tak e trzeba liczy Nie ma adnego ryzyka, panie Cyrusie nalega Pencroff. Mo liwe. Ale powtarzam panu, e to jest nara anie si ez potrzeby. Uparty marynarz nic nie odpowiedzia i przerwa rozmow aczkolwiek by zdecydowany powr do niej przy najbli szej okazji. Nie spodziewa si cale, e z pomoc przyjdzie mu przypadek i to, co dotychczas by o jego niezbyt uzasadnionym kaprysem, zamieni w akt humanitaryzmu. Bonawentura" wraca z pe nego morza w stron ybrze a, kieruj c si a Port Balonu. Trzeba by o sprawdzi rzej cie pomi y awicami piasku a rafami, a eby w razie potrzeby oznakowa rog gdy zatoczka mia a stanowi ort macierzysty statku. Znajdowali si u w odleg o ci p ili od brzegu i trzeba by o lawirowa a eby p yn od wiatr. Szybko Bo ntury" by a bardzo niewielka, gdy wiatr powstrzymywany przez wysoki brzeg atwo wydyma a gale, morze za , g adkie jak lustro, marszczy o si ieznacznie tylko wtedy, gdy po jego powierzchni przebiega y fale. Harbert sta na dziobie i wskazywa drog nagle krzykn : Z wiatrem, Pencroff! Z wiatrem! Co si ta o? zapyta marynarz unosz c si Ska a? Nie... Zaczekaj... odrzek Harbert. Nie widz obrze... Skr jeszce z wiatrem... Dobrze... Troch o przodu. Przy tych s owach Harbert po o y si a pok adzie, zanurzy szybko r do wody, po czym podni si okrzykiem: Butelka! W r trzyma zakorkowan butelk wy owion o kilka kabli od brzegu. Cyrus Smith wzi butelk nie m c ani s owa odkorkowa j i wyci gn z niej wilgotny papier, na kt by o napisane: Rozbitek... Wyspa Tabor: 153 d ugo ci zachodniej, 37 11' szeroko ci po duniowej.

ROZDZIA TRZYNASTY. Zgoda na podr Domys y. Przygotowania. Trzej pasa erowie. Pierwsza noc. Druga noc. Wyspa Tabor. Poszukiwania na wybrze u. Poszukiwania w lesie. Nie ma nikogo. Zwierz . Ro liny. Opuszczone domostwo. Rozbitek zawo a Pencroff porzucony o jak setk il od nas na wyspie Tabor! Ach, panie Cyrusie, teraz ju nie b ie si an sprzeciwia mojemu projektowi. Nie, Pencroff odpar Cyrus trzeba p yn i to jak najpr ej. Zaraz jutro? Zaraz jutro. In ynier trzyma w r skrawek papieru wyci gni z butelki. Zastanawia si ad nim przez par chwil, a potem powiedzia: Przyjaciele, tre forma tego dokumentu nasuwaj nast j ce wnioski: po pierwsze, rozbitek z wyspy Tabor jest cz owiekiem posiadaj cym do u wiedz eglarsk, gdy podaje nam d ugo szeroko eograficzn wyspy zgodnie z tym, co my znale li w atlasie, z dok adno ci do jednej minuty; po drugie, jest on Anglikiem lub Amerykaninem, gdy dokument jest napisany w j ku angielskim. OT Rozumowanie jest bardzo logiczne przyzna Gedeon Spilett i obecno ci tego rozbitka mo na wyt umaczy fakt znalezienia skrzyni na naszym wybrze u. Musia a wydarzy i atastrofa, skoro jest rozbitek. Kimkolwiek jest ten cz owiek, ma szcz ie, e Pencroff wpad na pomys zbudowania statku i wypr ania go w a nie dzisiaj, gdy o dzie niej butelka mog a rozbi i rafa. Istotnie zgodzi si arbert to jest

wyjtkowo pomylny zbieg okoliczności, a e "Bonawentura" przejeżdża w a nie wtedy, kiedy butelka jeszcze pływa. Czy to siłanu nie wydaje dziwne? zapytał Cyrus Smith Pencroffa. Chyba raczej bardzo pomyślne odpar marynarz. A czy pan widzi w tym coś dziwnego, panie Cyrusie? Cskoro ta butelka musiała dokąd popłynąć to dlaczego miała aby trafić gdzie indziej, a nie tu? Może pan ma rację Pencroff zgodził się nienier a jednak... Ale nie wie wiadczy o tym, że ta butelka już długo pływa po morzu zauważył Harbert. Istotnie, nic! potwierdził Gedeon Spilett. -I nawet dokument robi wrażenie niedawno napisanego. Co pan o tym myśli, Cyrusie? To trudno ustalić. A zresztą dowiemy się. W czasie tej rozmowy Pencroff nie pozostał bezczynny. Zrobił zwrot i "Bonawentura" na pełnych żaglach szybko mknęła w stronę przylądka Pazura. Każde myślało o rozbitku z wyspy Tabor. Czy nie za późno na uratowanie go? Było to wielkie wydarzenie w życiu kolonistów. Sami byli rozbitkami, lecz należało się bawić tamtemu człowiekowi nie poszczęśliwo się jak im, toteż ich obowiązkiem było popieścić na ratunek. Po opłynięciu Przylądka Pazura statek około czwartej po południu rzucił kotwicę przy ujściu Rzeki Dzielnienia. Jeszcze tego wieczora ustalono wszystkie szczegóły zamierzonej wyprawy. Wydawało się rzecz najstosowniejszą, żeby wziąć w niej udział tylko Pencroff z Harbertem, gdy umieli dobrze obchodzić się statkiem. Wyruszą 11 października, mogli dotrzeć na wyspę rzynastego, gdy przy pomylnym wietrze na przebycie stu pięćdziesięciu mil nie trzeba będzie więcej na drogę wrotną. Można zatem liczyć że 17 października będą już w domu. Pogoda była piękna, barometr szedł do góry bez większych wahań i ustalił się toteż wszystko układało się najlepiej dla dzielnych kolonistów. Ich obowiązek nakazywał oddalić ich od wyspy. Postanowiono zatem, że Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Nab pozostaną w Granitowym Pałacu. Ale Gedeon Spilett, który nie zapominał o tym, że jest reporterem dziennika New York Herald, nagle energicznie zaproponował i oświadczył, że prędzej uda się na wyspę Tabor wpław, niż przepłynąć tak okazję. Wobec tego pozwolono mu uczestniczyć w podróży. Wieczorem przeniesiono na pokład "Bonawentury" pościel, narzędzia, broń, municję, busolę i zapas żywności mniej więcej na tydzień. Porawszy się szybko z tą pracą, kolonistów powróci do Granitowego Pałacu. Nazajutrz o piętej rano po wzruszającym pożegnaniu Pencroff, rozwiniętszy żagle, skierował statek na Przylądek Pazura, zamierzając opłynąć go, a następnie wziąć kurs na południowy zachód. Gdy "Bonawentura" znajdowała się o jakieś kilka mil od brzegu, żeglarze zauważyli, że Cyrus Smith i Nab z wysokości Granitowego Pałacu dają im jeszcze znaki pożegnalne. Przyjaciele zawołała Gedeon Spilett rozstajemy się po raz pierwszy od pięciu miesięcy! Pencroff, reporter i Harbert pomachali rękami na pożegnanie i niebawem Granitowy Pałac zniknął im z oczu za wysokimi skałami przylądka. Podczas pierwszych godzin podróży pasażerowie "Bonawentury" mogli bez przerwy obserwować południowy brzeg Wyspy Lincoln, który niebawem stał się podobny do wielkiego kosza zieleni ze sterczącego pośrodku Góry Franklina. Odległość dogodnie wzniesienia, a cała wyspa miała z daleka wygląd małego zachodzącego do lądowania. Około godziny pierwszej żeglarze minęli Cypel Pazura, ale już w odległości dziesięciu mil. Z tego punktu nie można było nic rozstrząsać zachodnim wybrzeżem, cięgnącym się do zboczy Góry Franklina; po dalszych trzech godzinach cała Wyspa Lincoln zniknęła za horyzontem. "Bonawentura" spisywała się doskonale. Z lekkociągi wspinając się fale i szybko posuwając się naprzód Pencroff wciągnął lator i płynął teraz pod pełnymi żaglami trzymając się kursu według busoli. Od czasu do czasu Harbert zmieniał go przy sterze; choćopak miała tak pewną rękę, że marynarz nie mógł mu zarzucić ni jednego zbyt ostrego manewru. Gedeon Spilett rozmawiał to z jednym, to z

drugim, a w razie potrzeby przykłada się do pracy. Kapitan Pencroff był zupełnie zadowolony ze swojej załogi i przez cały czas wspominał o tym, że trzeba ją dobrze wynagrodzić kwartą wina za każdą wachtę. Wieczorem Rebek młodego księcia, wchodzącego dopiero szesnastego w pierwszą kwadrantę rozbił na chwilę zaraz zgasła. Noc była ciemna, ale niebo bardzo wygwieżdżone i na następnym dniu powiadała się pogoda. Pencroff przez ostrożność cięgnął latacz, gdy nie chciał, żeby jakiś nagły podmuch wiatru zaskoczył go z piętrem na przodzie masztu. Był to, była to zbyt ostrożność tak spokojnej noc, ale Pencroff był przezornym żeglarzem i nie można mu było o niego zażaleć. Reporter spał przez całą noc. Pencroff i Harbert zmieniali się o dwie godziny przy sterze. Marynarz ufał Harbertowi jak sobie samemu, a jego zaufanie usprawiedliwiały cała kowicie opanowanie i rozsądek młodego chłopca. Pencroff podawał mu kurs jak kapitan swojemu sternikowi i Harbert nie pozwalał, aby "Bonawentura" zboczyła z drogi. Noc minęła spokojnie, tak samo zresztą jak dzień poprzedni. Utrzymywano dokładnie kierunek południowo-zachodni i jeżeli "Bonawentura" nie znosiła jakiegoś prądu, to powinien płynąć do przodu na wyspach. Na morzu nie było nic widać. Niekiedy tylko w odległości strzału szybowała jakiś wielki ptak, albatros czy fregata, i Gedeon Spilett zastanawiał się czy to nie jemu w końcu nie powierzy swój ostatni kronikę adresowaną do redakcji New York Herald. - Wydawało się że te ptaki są jedynymi żyjącymi istotami, jakie przebywają w tej części oceanu pomiędzy wyspami Tabor a Wyspami Lincolna. Przecież zauważył Harbert że teraz jest okres, kiedy wielorybicy udają się zazwyczaj w południowe strefy Pacyfiku. Doprawdy, nie ma chyba bardziej bezludnego morza niż to. Wcale nie jest znakiem bezludności zaoponował Pencroff. Jak pan to rozumie? zapytał reporter. No bo przecież my tutaj jesteśmy. Czyby pan uważał, że nasz stateczek to jakiś pływający wrak, a my to morzowiny? I Pencroff sam rozemniał się swojego dowcipu. Wieczorem dokonano prowizorycznych obliczeń okazało się że "Bonawentura" od chwili opuszczenia Wyspy Lincolna, czyli w ciągu trzydziestu sześciu godzin, przebyła sto dwadzieścia mil: przeciętnie szybkość wynosiła jakieś trzy i pół mil na godzinę. Wiatr był słaby i wydawało się że zupełnie ucichnie. Jednakże należało się spodziewać że nazajutrz o świcie, jeżeli obliczenia nie zawiodą i statek utrzyma się na kursie, żeglarze zobaczą wyspach. Toteż ani Gedeon Spilett, ani Harbert, ani Pencroff nie zmrugnęli oka w tym z 12 na 13 października. Podnieceni, nie mogli wprost doczekać i żądania. Przecież podjęła wyprawę tak ryzykowną! Czy znajdowali się istotnie w pobliżu wyspy Tabor? Czy był na niej jeszcze rozbitek, któremu spieszyli z pomocą? Kim był ten człowiek? Czy nie wniesie on jakiegoś rozdzwień do harmonii, jaka panowała dotychczas w małym zespole? A zresztą, czy zgodzi się amieniedno wiązanie na drugie? Te wszystkie wątpliwości, które prawdopodobnie miałyby być rozstrzygnięte nazajutrz, spływały im sen z powiek i gdy biała poświata dnia ukazała się na niebie, wszyscy wywrócili wzrok w kierunku zachodnim. Ziemia krzyknęła wreszcie Pencroff około szóstego rano. Nie do pomyślenia było, żeby Pencroff się mylił; na pewno musiał dojrzeć taki ląd. Cóża radość garnął mała załoga "Bonawentury"! Nim minie kilka godzin, będzie już na wyspie! Niski brzeg wyspy Tabor, ledwie wynurzający się fal, znajdował się nie dalej niż o jakieś pięćdziesiąt mil. Dziś "Bonawentura", skierowany dotychczas na południowy kraniec wyspy, otrzymał kurs na wprost. W miarę jak się podnosiło się na niebie, można było zauważyć jasne zarysy wierzchołków. Ta wysepka jest znacznie mniejsza od Wyspy Lincolna zauważył Harbert i powstała prawdopodobnie tak samo wskutek wynurzenia się na morskiego. O jedenastej "Bonawentura" znajdowała się już zaledwie o dwie mile od

wyspy. Pencroff, szukajcie dogodnego miejsca do rzucenia kotwicy, sterowa na tych nie znanych sobie wodach z wielką ostrożnością. Można już być o ogarniętym zrokiem całej krajobraz wyspy z odcinającymi się i niekiedy zielonych drzew gumowych oraz innych, należących do gatunków oznaczonych na Wyspie Lincoln. Ale rzecz dziwna, nie widać najmniejszego dymu, któryby wskazywał na to, że wyspa była zamieszkała, a na wybrzeżu tego nie pozostawiono żadnych znaków. A przecież istnieje dokument, że na wyspie znajduje się ożbitek; człowiek ten powinien być widoczny. Tymczasem "Bonawentura" w wąskich przejściach prześlizgiwała się przez rafy, a Pencroff z niesłychaną uwagą obserwował zarysy brzegu; oddał ster Harbertowi, sam stanął na dziobie i z ręką na podnośnicy wpatrywał się w wodę gotką każdej chwili zreflowała. Gedeon Spilett oglądał brzeg przez lunetę, ale nie mógł dostrzec nic szczególnego. Wreszcie około południa "Bonawentura" otarła się dziobem o piaszczysty brzeg. Rzucono kotwicę zwinioną nagle i załoga małego stateczku wyszła na ląd. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że znajdowali się na wyspie Tabor, gdy według najnowszych map na Pacyfiku, pomiędzy Nową Zelandią a wybrzeżem amerykańskim, nie ma żadnej innej wyspy. Statek został mocno przycumowany, żeby nie porwał go odpływ; następnie Pencroff i jego towarzysze, uzbrojony jak mogli najlepiej, poszli brzegiem pędzili w kierunku stożka wznoszącego się wysoko w wstępnym piżysiu do trzystu stóp. Z wierzchołka tego pagórkę powiedział Gedeon Spilett: "Będziemy mogli bodaj pobieżnie rozejrzeć się o wyspę, co niewątpliwie ułatwi poszukiwania. Czyli zrobimy tutaj to, od czego pan Cyrus zaczął na Wyspie Lincoln, wdrapując się na Górkę Franklina i odparł Harbert. Identycznie to samo potwierdził reporter i to jest najlepszy sposób ostrożności w takim wypadku. Tak rozmawiając posuwali się krajem, kiedy kołosej się stęga. Idąc poszły gromady gołębiskalnych i jaskół morskich, podobnych do ptaków Wyspy Lincoln. Wśród trzewi rosnących na lewo od pagórkę wyszli szeleści i w zarostach mogli dostrzec alowanie trawy, świadczące o obecności jakichś bardzo puchliwych zwierząt, jednakże nic nie wskazywało na to, że wyspa jest zamieszkała. Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett doszli do podnóżka, w kilka chwil wdrapali się na jego szczyt i rozejrzeli po okolicy. Istotnie byli na wysepce mającej najwyższej sześciu obwodu; linia brzegu nie obfitowała w cypelki, przylądki, zatoki i laguny; wyspa miała kształt mocno wydłużonego owalu. Wokoło niej było po sam widnokrąg, zupełnie puste morze. Nie widać ani lądu, ani pagła! Porożni lasem wysepka nie miała tak urozmaiconego krajobrazu jak Wyspa Lincoln, któryby ją wprawdzie jałowa i dzika w jednej chwili, lecz żywna i bogata w drugiej. Tutaj widać tylko gęsty kopuścieli i wynurzające się z niej dwa czy trzy nieco wyższe pagórkę. Ukośnie do linii brzegu poprzez rękę połonę kęspę strumyk i wpadał na zachodnim wybrzeżu do morza tworząc wąskie ujście. Ta posiadłość jest niewielka, stwierdził Harbert. Tak przyznał Pencroff. Dla nas byłaby trochę ciasna. Ponadto wydaje mi się, że zamieszkała, dodał reporter. Istotnie, nic nie wskazuje tu na obecność człowieka, zgodził się Harbert. Zejdźmy i poszukajmy, zaproponował Pencroff. Marynarz z towarzyszami zeszli na wybrzeże, tam gdzie pozostawili "Bonawenturę". Przed udaniem się na wyspę postanowili obejrzeć dookoła, a żeby nic nie uszło ich obserwacji. Posuwanie się brzegiem nie nastręcało żadnych trudności, jedynie w paru miejscach przecinały drogę gazy, które można było zresztą łatwo obejść. Ruszyli na południe. Na ich widok podrywały się niezliczone gromady ptactwa wodnego, a stada fok rzucały się do morza, gdy tylko dostrzegały ich z dala. Te zwierzęta widząc człowieka nie po raz pierwszy zauważył reporter. Boj się ludzi, a wi ich znaj. Po godzinie trzech podtarli do południowego krańca wyspy, zakończył ostrym



przyłokciem, a następnie powróci na północ zachodnim brzegiem, tak samo piaszczystym i kamienistym; w oddali wznosiła się ściana lasu. Na całym wybrzeżu, dokładnie przemierzonym w ciągu czterogodzinnego marszu, nie dostrzegli nigdzie ani śladu domostwa, ani nawet odcisku stopy ludzkiej. Było to co najmniej dziwne i nasuwało przypuszczenie, że wyspa Tabor nie jest zamieszkała. Przecież mogło się zdarzyć, że dokument był pisany przed kilkoma miesiącami, a nawet latami, a przez ten czas rozbitek mógłby abstrahować z wyspy albo też zmarł na niej z głodu. Snując mniej lub bardziej prawdopodobne przypuszczenia, Pencroff, Spilett i Harbert szybko posilili się i pokładzie "Bonawentury", aby znów odjąć poszukiwania i prowadzić je aż do zmroku. O piętej po południu byli już po obiedzie i poszli w stronę lasu. Na ich widok pierzchały liczne zwierzęta, prawie wyłącznie kozy i winie należące jak można było łatwo stwierdzić do gatunków europejskich. Z pewnością jakiś wielorybnik wysadził je na wyspie, gdzie szybko się rozmnożyły. Harbert przyrzekł sobie solennie, że znowu żywcem jedną czy dwie pary i przywiezie na Wyspę Lincoln. Nie ulegało zatem wątpliwości, że w jakimś okresie na wyspawitali ludzie. Stało się jeszcze bardziej oczywiste, gdy w lesie ukazały się torowane ścieżki, pnie drzew zrębanych siekierami oraz inne ślady ludzkich rąk. Jednak drzewa zaczynały już prawie musiały być ścięte przed kilkoma laty. Nacięta siekiery porosły mchem, a na ścieżkach rozkrzewiło się yso-kie i sztywne zielsko, tak że trudno nawet było poznać w jakim kierunku one idą. Żadnego świadczyłoby to zauważył Gedeon Spilett, że ludzie nie tylko wylądowali na wysepce, ale że mieszkali tutaj przez pewien czas. Kim byli ci ludzie? Ilu ich było? Ilu pozostało? Dokument wspomina o jednym rozbitku i że Harbert. Jeżeli pozostaje on jeszcze na wyspie, byłoby nieprawdopodobne, żebyśmy go nie znaleźli oświadczył Pencroff. Szukano więc dalej. Marynarz i jego towarzysze poszli drogą przecinając ukośnie wyspę dotarli do strumyka biegnącego ku morzu. Nie tylko zwierzęta pochodzenia europejskiego i niektóre prace wykonane przez ludzi świadczyły o niezbyt dawnej obecności człowieka na wyspie, ale i na wyspie musiały kiedyś przebywać zwierzęta; świadczyły o tym także niektóre rośliny. Gdzieś na polankach leżących można było poznać że sadowano tu ongi warzywa. Toteż wielką radością Harberta, gdy rozpoznał ziemniaki, cykorię, szczaw, marchewkę, rzepę. Wystarczyło przecież pozbić trochę, żeby wzbogacić lantację na Wyspie Lincoln. A to dobre powiedział Pencroff. To co dla Naba i dla nas. Jeżeli nawet nie znajdziemy rozbitka, to i tak nasza wyprawa nie była daremna i Pan Bas Wynagrodzi. Niewątpliwie potwierdził Gedeon Spilett. Ale sędziąc ze stanu, w jakim znajduje się enwarzyw-nik, obawiam się że wyspa jest nie zamieszkała od dawna. Rzeczywiście przyznał mu rację Harbert. Kimkolwiek byłby mieszkaniec tej wyspy, na pewno nie zaniedbałby tak cennych roślin. Tak, rozbitka już nie ma dorzucił Pencroff. Przynajmniej tak należało przypuszczać. Z tego by wynikało, że dokument pisany był dawno. Oczywiście. I że butelka przypłynęła do brzegów wyspy Lincoln po dłuższym przebywaniu w morzu. Dlaczego by nie? potwierdził Pencroff. Ale oto zapada już zmrok i, moim zdaniem, trzeba przerwać poszukiwania. Wracajmy na pokład statku, a jutro wyruszymy na nowo powiedział reporter. Była to najmądrzejsza rada, toteż wszyscy zamierzali jej posłuchać, gdy nagle Harbert, wskazując jakieś niejasne zarysy pomiędzy drzewami, zawołał: Domek! Cała trójka pobiegła natychmiast we wskazanym kierunku. W ostatnich odblaskach dnia można było dojrzeć hat budowany z desek, pokrytych mocnym, smołowanym papierem. Pencroff pchnął na wpół rzymkni drzwi i szybko wszedł do środka... Chata była pusta. ROZDZIAŁ CZTERNASTY. Co znaleziono w domku? Noc, Kilka liter. Dalsze poszukiwania. Rośliny i zwierzęta. Harbert w niebezpieczeństwie. Na pokładzie. Odjazd. Niepogoda. Przebłysk

pencroff, Harbert i Gedeon Spilett stali chwil ciemnościach, nie móc ani słowa. Potem Pericroff zawołał donośnie. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Marynarz skrzesał ognia i zapalił suchą gałązkę. Pomieścił na chwilę izdebkę, którą robiła wrażenie opuszczonej. W głąb widać było prymitywny komin z warstwami wystygłego popiołu i narostem suchych drewn. Pencroff rzucił przed siebie gałązkę drzewo zajęło się w izdebce zrobiło się jasno. "Widziasz marynarz i jego towarzysze ujrzeni pozostawione w nieładzie posiedzenie; wilgotna i popękana podłoga świadczyła o tym, że dawno już nie była używana. W jednym rogu na kominie stały dwa zardzewiałe czajniki i przewrócony rondel; w szafie wisiały jakieś ubrania marynarskie na wpółbutwie; na stole miedziane nakrycie i Biblia zarta przez wilgoć. W rogu poniewierały się narzędzia: topata, motyka, oskard; dwie strzelby myśliwskie, przy czym jedna połamana; na pół tworzącej etykiety nienaruszona beczka prochu, beczka ołowiu i parokulek spłonka. Wszystko to pokrył było grubą warstwą kurzu, nagromadzoną prawdopodobnie w ciągu wielu lat. Nie ma nikogo" mruknął reporter. "Nikogo" potwierdził Pencroff. "Ta izba jest już od dawna nie zamieszkała" zauważył Harbert. "Tak, od bardzo dawna" przytaknął reporter. "Panie Spilett odezwał się do Pencroffa zamiast wracać statek, myślę lepiej będzie przenocować tutaj." "Racja, Pencroff" zgodził się Heon Spilett. "A jeżeli widać ciel wróżno to może nie będzie miało za złe, że ktoś się tutaj rozgości." "On już nie wróci" pokręcił głową marynarz. "Sądzi pan, że opuścił wyspę?" zapytał reporter. "Gdyby opuścił wyspę to zabrałby ze sobą broń narzędzia" powiedziała Pencroff. "Pan dobrze wie, jak wagarzywi żyją rozbitkowie do tych przedmiotów taniości ostatnich deskatunku. Nie, nie!" powtarzał marynarz z przekonaniem. "Nie, on nie opuścił wyspy! Gdyby miało odpłynąć jakimś człm skleconym przez siebie samego, to tym bardziej nie zostawiłby tu tych przedmiotów pierwszej potrzeby! Nie, on jest na wyspie!" żywy? "zapytał Harbert żywy albo martwy. Ale nawet jeżeli umarł, to przecie sam siebie nie pochował; wtedy znajdziemy jego zwłoki" cięgnął swoje wywody Pencroff. Postanowili więc przenocować opuszczonej chacie; w kącie leżało dołóżko, aby je ogrzać. Zamknęły drzwi Pencroff, Harbert i Spilett usiedli na ławie; odzywali się rzadko, gdy kiedy pogrochony był w rozmowach. Znajdowali się takim stanie ducha, kiedy człowiek skłonny jest wszystko przypuszczać wszystkiego się podziwiać toteż uważali uchem kiedy odgłos z zewnątrz. Gdyby nagle otwarły się drzwi i stanął przed nimi jakiś człowiek, nie zdziwiliby sięcale, pomimo że chata wyglądała na całkowicie opuszczoną; ich dźwięki gotowe były ucisnąć tego człowieka, rozbitka, tego nieznanego przyjaciela, na którego czekali jak przyjaciele! Ale z zewnątrz nie dobiegał żaden odgłos, drzwi się nie otwarły i tak mijały godziny. Jakże dłużyła się noc marynarzowi i jego towarzyszą! Jedynie Harbert zdrzemnął się dwa godziny, gdy w jego wieku sen o nic nie pyta. Pilno im było i całej trójki dalej prowadziła przerwane poszukiwania i spenetrowały sepek po jej najdalsze zakątki. Wnioski Pencroffa wydawały się zupełnie logiczne i było prawie pewne, że skoro domek został opuszczony i skoro pozostawiono w nim narzędzia i broń, to gospodarz jego zginął. Należało więc szukać jego zwłok i przynajmniej pochować je po chrześcijańsku. Zaczęła więc Pencroff wraz z towarzyszami natychmiast dokonać dokładnego przeglądu chaty. Stała rzeczywiście w bardzo dobrym miejscu, na zboczu niewielkiego pagórk, osłoniła kilkoma wspaniałymi drzewami gumowymi. Przed chatą wyrębano w lesie dołóżko zeroki trakt, zyskując

w ten sposób idok na morze. Otoczona wałowym siarkanem czka dochodziła do brzegu rzeki nie opodal jej ujścia. Chatę budowano z desek pochodzących, jak można było bez trudu stwierdzić z kadłuba i pokładu statku. Było zatem prawdopodobne, że przy brzegu wyspy rozbił się jakiś statek, że uratował się przynajmniej jeden człowiek z załogi i mając do dyspozycji narzędzia, zbudował ze szczątków statku ten właśnie domek. To przypuszczenie potwierdziło się jeszcze bardziej, gdy Gedeon Spilett, po obejściu chaty dookoła, zobaczył na jednej z desek, pochodzącej prawdopodobnie z pawozu rozbitego statku, na wpadnięte litery: BR.TAN..A – Britannia! – krzyknął Pencroff, gdy reporter zawołał go do siebie. – To jest nazwa wielu statków nie umiałbym powiedzieć czy chodzi tu o statek angielski, czy amerykański. – Mniejsza o to, Pencroff. – Istotnie, mniejsza o to zgodzi się marynarz. – Jeżeli ten, kto ocalał z załogi, żyje jeszcze, to dowiemy się jakiej narodowości był statek! Ale zanim podejmiemy dalej, wróćmy w pierwszej kolejności do Bonawentury Pencroffa ogarnięty jakiegoś dziwny lęk jakąś niewytłumaczoną obawą o statek. Jeżeli pomimo wszystko wyspa była zamieszkała i ktoś zawładnął... Ale wzruszył tylko ramionami na to nieprawdopodobne przypuszczenie. Tak czy owak, marynarz chętnie poszedł zjeść posiłek na statku. Prowadząca tam, prosta zresztą, droga nie była długa; wynosiła zaledwie kilka mil. Idąc w owym kierunku wpatrywali się uważnie w las i zarośla i widzieli setki uciekających kaczek. W dwadzieścia minut po opuszczeniu chaty zobaczyli wschodnie wybrzeże wyspy i Bonawentura stojącego na kotwicy mocno zarytej w piasek. Pencroff nie mógł powstrzymać estchnienia ulgi. Przecież ten statek był jego dzieckiem, a ojcowie mają prawo denerwować i czasami bardziej, niż wymagałoby tego rozszedeł. Na pokładzie kapitan i jego towarzysze zjedli obfity

posiłek, tak by nie spieszył o obiad. Po posiłku udali się na dalsze poszukiwania, które prowadzili niesłychanie skrupulatnie. Możliwe było przecież, że jedyny mieszkaniec wyspy zginął. Toteż szukali raczej szczątków marynarza niż załogi człowieka! Jednakże wysiłki ich spełzły na niczym i przez pół dnia na przespierali po lasach pokrywających wyspę. Trzeba było zatem przypuszczać o ile rozbitek zmarł, to z jego zwłok nie pozostało już nic, gdy jakieś drapieżne zwierzę zjadło je zapewne do ostatniej kosteczki. – Wracamy jutro o wiecznie – zwrócił się Pencroff do swoich towarzyszy, gdy około drugiej wycięgnął się z cienia drzew, by na chwilę odpocząć. – Myślę, że możemy bez skrępowania zabrać z sobą narzędzia należące do rozbitek – powiedział Harbert. – Jestem tego samego zdania – przyrzekł s'io Gedeon Spilett. – Broń i nasiona uzupełnił dobytek Granitowego Pałacu. Jeżeli się nie mylił zapas prochu i ołowiu jest także do użycia. – Słusznie – przyznał Pencroff – ale nie zapomnijmy także schwytać jednej, czy dwóch kaczek – jeżeli nie mamy ich na Wyspie Lincoln... – Ani pozbięrasion – dodał Harbert – które zaopatrzą nas w warzywa starego i nowego kontynentu. – No, to może byłoby wskazane pozostać jeszcze jeden dzień na wyspie Tabor, a żeby zebrać wszystko, co może się przydać – zastanawiał się reporter. – Nie, panie Spilett – zaproponował Pencroff. – Bardzo proszę, żebyśmy wyjechali jutro skoro tylko będzie wiat. Mam wrażenie, że wiatr zaczyna zmieniać kierunek na zachód – mielibyśmy w drodze powrotnej takie same dobre warunki jak w drodze – No to nie trać czasu – orzekł Harbert wstając. – Nie trać czasu – poparł go Pencroff. – Ty, Harbercie, zajmij się zbieraniem nasion, gdy znasz się na tym lepiej od nas. Przez ten czas pan Spilett i ja zapolujemy na winie i mam nadzieję, że nawet bez Topa uda nam się schwytać kaczki. Harbert poszedł więc prowadząc do uprawnej części wyspy, marynarz zaś i reporter udali się prostą drogą do lasu. Wiele okazów widać było im przed nosa.

Zwierzę by przedziwnie zrone, co budzi o obawę się nie uda ich schwytać. Jednak po pędzinnej gonitwie myśliwi zdawali zapałarwiłt h legowisko znajdowało się gęcych zaroślach. Nagle o kilkaset kroków d nich w kierunku np pęc rozległ się ozpaczliwy krzyk. Do krzyku tego doczyli się taki przeraźliwy bełkot, nie mający w sobie nic ludzkiego. Pencroff i Gedeon Spilett zerwali się a r nogi, a winie skorzystały z tego, by uciec w chwili, kiedy marynarz przygotowywał już sznury, a żeby je związać. To głos Harberta zaniepokoił się Gedeon Spilett. Biegnijmy tam! zawołał Pencroff. Marynarz i Gedeon Spilett pobiegli co się w nogach w trętronęskę d sęychały o krzyki. Całe szczęście, że się o pieszyli, gdy na zakręcie cieki w pobliżu polanki zobaczyli nagle Harberta powalonego na ziemi przez jakieś dzikie stworzenie, prawdopodobnie olbrzymie ma pędradzajęc wyrażenie zę zamiary. Rzucenie się a potwora, powalenie jego z kolei na ziemię wyrwanie mu z ręk ofiary i obezwładnienie go, wszystko to było dla Gedeona Spilett i Pencroffa sprawą jednej chwili. Marynarz posiadał się cie herku-lesow, a z reportera tak nie był uomek. Toteż potworem i się ydzierał, został związany tak mocno, że nie mógł zrobić najmniejszego ruchu. Nic ci się nie stało, Harbercie? zapytał Gedeon Spilett. Nie! Nie! Ach, jeżeli ci raniła ta ma pa!... zawołał Pencroff. Przecież to nie jest ma pa powiedział Harbert. Sęyszęc to Pencroff i Gedeon Spilett przyjrżeli się dziwnej istocie leęc na ziemi. Rzeczywiście to nie była ma pa, lecz istota ludzka! Był to człowiek! Ale jaki człowiek! Dzikus w najgorszym znaczeniu tego słowa, tym straszniejszy, że zupełnie przypominający zwierzę. Włosy zmierzwiłone, broda się jęca a po piersi, prawie nagi z wyjątkiem strzęp koca na biodrach, wzrok dziki, ręk olbrzymie, niezmiernie długie paznokcie, skę ciemna jak maho na nogach stwardniała, jak gdyby zrogowaciała. Taka oto była ta nieszczęśna kreatura, której trzeba było pomimo wszystko nazwać zowiekiem. Doprawdy nie od rzeczy byłoby pytanie, czy w tym ciele pokutuje jeszcze dusza, czy te pozostałe w nim tylko instynkt zwierzęcy. Jest pan zupełnie pewny, że to człowiek albo że był nim kiedyś? zapytał Pencroff reportera. Niestety, to nie ulega wątpliwości. Więto ma być en rozbitek? zdziwił się Harbert. Tak, ale nieszczęśliwie zatracił wszystkie cechy ludzkie odpowiedział Gedeon Spilett. Reporter miał rację. Było rzecz jasną, że jeżeli roz-

w\ST\f)\\$m bitek należał ongi do ludzi cywilizowanych, to samotność robiła z niego dzikusa, a nawet że co gorsza prawdziwego leńego człowieka. Z ust jego wydobywały się iartykułowane dęwi, a zę, ostre jak u drapieżnika, przystosowały się o rozdzierania surowego mięsa. Pamięć zanikała prawdopodobnie zupełnie, toteż już od dawna nie umiał posługiwać się narzędziami i bronią ani rozniecać ognia. Sprawiał wrażenie zęnego i pręiego, ale te cechy fizyczne rozwinęły się ewno kosztem cech umysłowych. Gedeon Spilett przemówił do niego, ale ten jakby nie rozumiał go czy nie sęyszał... A jednak, patrzęc uważnie w jego oczy, reporter miał wrażenie, iż zauważył w nich przebieżyski myśli. Więe szamotał się nie usiłował uwolnić pę. Może był zdruzgotany obecnością ludzi, do których był ongi podobny? Może odnajdywał w jakimś zakamarku mę mgliste wspomnienia zęczęce go z ludzkością? Gdyby go uwolnił czy usiłowałby uciec? A może pozostałby na miejscu? Trudno było przewidzieć. Dlatego koloniści nie chcieli go wystawiać a prę. Przyjrząwszy się jeszcze temu człowiekowi z niezwykłą uwagą, Gedeon Spilett powiedział: Kimkolwiek jest, kimkolwiek był czy będzie, naszym obowiązkiem jest zabrać o z sobą na Wyspę Incolna. Tak, tak ucieszył się Harbert. Może troskliwą opieką uda nam się ykrzesać niego jako przebieżysk inteligencji. Dusza jest nieśmiertelna powiedział

reporter i wyrwanie tego boego stworzenia ze stanu dzikości byoby wielk zasug. Pencroff kręgow, a mina jego wyraża powzięcie. r W każdym razie trzeba sprzą oświadczy reporter. Uczucia ludzkie nakazują nam to zrobić. Istotnie wszyscy trzej dobrze rozumieli swobowiznek i byli pewni, że Cyrus Smith pochwali ich za ten sposobostowania. Czy pozostawimy go w więzach? zapytał marynarz. A może poszedby sam, gdyby mu rozwięzani? zaproponował Harbert. Spręmy powiedzia Pencroff. Sznury z nęia zostały zdję, ale r byy nadal skręwane. Więta dobrowolnie i nie zdradza najmniejszej chę do ucieczki. Jego pęnce oczy przeszywały wzrokiem trzech męzyn idęcych obok niego, ale nic nie wskazywało na to, aby sobie przypomina, że jest lub że kiedy by ich bliżnim. Z jego warg wydobywał się ieustanny gwizd; wyględ miał dziki, ale nie usiowa stawiaęporu. Za radę reportera zaprowadzono nieszczęlika do jego domu. Moę widok przedmiotęstawięcych ongię jego węasnoęwyrze na nim jakieę wraęenie? Moę wystarczy jakaę iskierka, aęby zbudzięogręone w mroku myęli, aęby na nowo rozpalięygasęę duszę. Chata byęa niedaleko. Dotarli do niej w cięgu kilku minut, ale więęc nie poznawaę i sprawiaę wraęenie, że zatracię wiadomoęętaczajęcej go rzeczywistoęci. Cęona byęo wywnioskowaę tego caękowitego zdżczenia, w jakie wpadę ten nieszczęliki? Chyba to, że byę uwięony na wyspie juę od bardzo dawna, że przybyę tam w pęni węadz umysęowych i dopiero samotnoęęoprowadzięa go do tego stanu. Reporterowi przyszęo na myęli, że moę widok ognia podzięa na samotnika; w jednej chwili na kominie za- CO pęonęę jaskrawy ogieętęrobi wraęenie nawet na zwierzęch. W pierwszej chwili pęomienie jak gdyby przykuęy uwagęieszcęlika, ale niebawem cofnęę się wzrok jego przygasę z powrotem. Oczywiście nie pozostawaęo, przynajmniej na razie, nic innego, jak zaprowadzięo na pokęad "Bonawentury". Pencroff wzięę rozbitka pod rę, a Harbert i Gedeon powręi na wysepkęaby zakoęęam swóję pracę. W cięgu kilku godzin przenieęli na brzeg narzęia i broęasiona warzyw, kilka sztuk upolowanej dziczyzny i dwie pary więszystko to zaęadowano na statek i "Bonawentura" gotęyę do podniesienia kotwicy, gdy tylko następi przypęyw poranny. Więia umieszczono w przedniej kabine, gdzie pozostaę spokojny, milczęcy, gęuchy i niemy. Pencroff podaę mu jedzenie, lecz ten odepchnęę gotowane mię, gdyę prawdopodobnie ten rodzaj jadęa mu nie odpowiadaę. Rzeczywięcie, gdy marynarz pokazaę mu upolowanę przez Harberta kaczkęwięęucię sięa nię ze zwierzę chciwoęcię i poęarę ję w okamgnieniu. Myęli pan, że mu to przejdzie? rzucię Pencroff z powęzięciem. Byęoęę odparę reporter. Przypuszczam, że nasze starania odniosę w koęjakię skutek. Do tego stanu, w jakim sięnajduje obecnie, doprowadzięa go przecię samotnoęęa teraz nie bęie juę sam! Ten biedak na pewno od dawna jest w tym stanieę litowaę sięarbert. Moęliweę potwierdzię Gedeon Spilett. W jakim moęe byęieku? dopytywaę sięhęopiec. To trudno okreęlię powiedziaę reporter gdyę pod gęym zarostem, okrywajęcym twarz, trudno nawet dostrzec rysy, ale na pewno nie jest juę pierwszej męodoęci i przypuszczam, że\* ma okoęo pięziesiętki. Czy zauwaęyę pan, panie Gedeonie, jak gęęko ma osadzone oczy? pytaę dalej chęopiec. Tak, Harbercie, ale muszęrzyznaęęe oczy te sę bardziej ludzkie, nię moęna sięego spodziewaęo caęej jego postaci. Zresztę zobaczymyę zakoęę rozmowęencroff. Jestem tylko bardzo ciekaw, co powie pan Cy-rus Smith o naszym dzikusie. Popęynęęmy po jakęę ludzkę istotęa przywozimy potwora! No cęRobi sięco moęna. Minę noc; nikt nie wiedziaę, czy więęaę, czy nie, w każdym razie nie rzucaę siępomimo że byę rozwięzany. Zachowywaę sięak dzikie zwierzęktęw pierwszych chwilach niewoli

jest oszołomione, a dopiero później szaleje ze zdwojonej siły. O dwiecie następnego dnia, 15 października, nastąpiła zmiana pogody przewidziana przez Pencroffa. Powiała wiatr z północnego zachodu, co sprzyjało żeglowaniu na Wyspę Lincoln, ale rano wiatr stał się silniejszy, a to znaczyło trudności w nawigacji. O piętej rano podniesiono kotwicę. Pencroff zrefowował duży żagiel i skierował dziobem na północny wschód, tak aby płynąć prostą na Wyspę Lincoln. W ciągu pierwszego dnia nie wydarzyło się nic szczególnego. Wiedzieli spokojnie w przedniej kabynie, a ponieważ musiał być kiedyś marynarzem, wydawało się, że fale morza wywierają na niego raczej dodatni wpływ. Może nawiedzały go jakieś wspomnienia związane z dawnym zawodem? W każdym razie zachowywał się spokojnie i był bardziej zdziwiony niż przygnębony. Nazajutrz, 16 października, wiatr ochłodził się znacznie i dął bardziej z północy, a zatem w kierunku mniej korzystnym dla kursu „Bonawentury”. Statek zaczął coraz mocniej podskakiwać na fali i niebawem Pencroff musiał skręcić gwałtownie. Nie zwierzał się nikomu, ale zaczynał ogarniać niepokoju wywołany stanem morza. Fale rozbijały się dziobem bardzo gwałtownie, było to rzecz pewna, że jeżeli wiatr nie zmieni kierunku, to na dotarcie do Wyspy Lincoln trzeba będzie zużyć więcej czasu niż na dopłynięcie do wyspy Tabor. Istotnie 17 października rano minęło czterdzieści osiem godzin od czasu, kiedy „Bonawentura” wyruszyła w powrotną drogę, a jednak nic nie wskazywało na to, że znajduje się w pobliżu Wyspy Lincoln. Zresztą niepodobnym było określić, a około przebycia drogi, gdy kierunek i szybkość wiatru zbyt często ulegały zmianie. Po dalszych dwudziestu czterech godzinach na widnokręgu nie ukazała się jeszcze ląd. Wiatr wzrosł znacznie, a fala była ogromna. Należało szybko manewrować gwałtownie, refowal robił zwinne zwroty, gdy statek jechał pod uderzeniami burzy. 18 października olbrzymia fala zwała się na „Bonawenturę” i gdyby pasażerowie zawczasu nie przywitali się o pokład, zostaliby zmyci przez morze. Pencroffowi i jego towarzyszom, pochłoniętym wylewaniem się lin, nieoczekiwanie przyszedł z pomocą wiecieć. Rzucił się na pokład przez luk, jak gdyby popchnął go nagle instynkt marynarza, i potężnym uderzeniem masztownicy zrobił wyrwę w burcie, tak by woda zalewająca pokład mogła szybko spłynąć, gdy niebezpieczeństwo minęło, bez słowa powrócił do swojej kabiny. Pencroff, Spilett i Harbert osłupieli ze zdziwienia. Tymczasem sytuacja stawała się coraz groźniejsza i marynarz przypuszczał, że zabędzie na niezmiernym obszarze wodnym i że nie ma już sposobu na to, by odnaleźć drogę. Noc z 18 na 19 października była bardzo ciemna i zimna. Jednakże około godziny jedenastej wiatr zaczął się spokojnie, fala stała się mniejsza i statek, nierzucający już z boku na bok, nabierał wiatru coraz szybko. Zresztą trzeba przyznać, że trzymał się w wodzie doskonale. Ani Pencroff, ani Gedeon Spilett, ani Harbert nawet przez chwilę zmrużyli oka. Czuwali z wytężoną uwagą, Wyspa Lincoln bowiem „mogła być niedaleko i wtedy zobaczą ją z nastaniem świtu albo też „Bonawentura” uniesiony prądem i wiatrem zdryfował i wtedy byłoby prawie niemożliwe naprowadzić go na właściwy kurs. Pencroff, zaniepokojony w najwyższym stopniu, nie tracił jednak nadziei, gdy posiadał niezwykły hart ducha. Siedział przy sterze, uparcie usiłował przebić zrokiem otaczające go ciemności. Nagle oko do drugiej nad ranem zerwało się i ręką nogi z okrzykiem: „Ogień!” Istotnie, w odległości jakichś dwudziestu mil na północny wschód, dały się zobaczyć jasne punkty. Wskazywały żeglarzom drogę. Pencroff, który sterował zbyt mocno, wziął teraz kurs na ogień, oncy jak gwiazda ponad horyzontem. ROZDZIAŁ PIĄTY. Powrócił Cyrus Smith i nieznajomy. Port Balonu. Ofiarość nymfery. Wzruszające doświadczenia. Jedna zła. Nazajutrz, 20 października o siódmej rano, po czterodniowej podróży „Bonawentura” dogodnie

przybił do brzegu w pobliżu ujścia Rzeki Dziżynienia. Cyrus Smith i Nab, bardzo zaniepokojeni niepogodą i przedurajcą się nieobecności towarzyszy, już od wiatru czuwali na Paskowzgu Rozległego Widoku, Wreszcie dojrżeli w oddali statek którego wyglądali z takim utępieniem. Dziż Bogu! Wracaj! zawołał Cyrus Smith. Uszczęśliwiony Nab kręcił się koło, klaszcząc w dłonie i powtarzając: "O mianie", co było bardziej wymownym objawem radości niż niejedno piśmię przemienie. Gdy inżynier policzył wzrokiem osoby znajdujące się na pokładzie "Bonawentury", pierwszą jego myśl było, że Pencroff nie odnalazł rozbitka albo że nieszczęśliwie nie chciał opuścić wyspy Tabor i zamienił jednego więźnia na drugie. Istotnie, na pokładzie "Bonawentury" widał tylko Pencroffa, Gedeona Spiletta i Harberta. AA W chwili gdy statek przybijał do brzegu, inżynier i Nab byli już nad morzem i zanim pasażerowie wyskoczyli na piasek, Cyrus Smith powiedział: "Byliśmy bardzo zaniepokojeni, że się paście, przyjaciele. Czyby się nam przytrafiło coś z tego?" Nie, wprost przeciwnie odparł Gedeon Spi-lett "wszystko poszło jak najlepiej. Opowiemy to ze szczegółami. A jednak cięgnij dalej inżynier "wasze poszukiwania spełzły chyba na niczym, gdy jest was trzech, tak jak w chwili odjazdu. Przepraszam, panie Cyrusie "wtrącił się marynarz "jest nas czterech! A wiź znaleźliście rozbitka? Tak. I wzięliście go ze sobą? Tak. Żywego? Tak. Gdzie on jest? Kto to? To jest... "mruknął reporter "a w paściwie to był człowiek! To wszystko, Cyrusie, co możemy na ten temat powiedzieć. Inżyniera poinformowano o tym, co zaszło w czasie podróży w jakich warunkach prowadzone były poszukiwania, jak znaleźli na wyspie jedyne, od dawna opuszczone domostwo i wreszcie, w jakich okolicznościach schwytali rozbitka, którego ztratili już wszelkie cechy ludzkie. I to do tego stopnia dodał Pencroff "że nawet mam wątpliwości, czymy dobrze zrobili przywołanie go tutaj. Na pewno postąpił pan słusznie, Pencroff! zawołał żywo Cyrus Smith. Ale ten nieszczęśliwy postradał zmysły. Na razie to możliwe" powiedział Cyrus Smith. Ale zaledwie przed kilkoma miesiącami ten biedak mógłby być takim samym człowiekiem jak pan czy ja. Kto wie, co stałoby się o wieloletniej samotności z tym sposobem, którego przeżyłby wszystkich towarzyszy? Biada samotnemu, przyjaciele! Niewątpliwie samotność ozbawiła go zmysłów skoroście go znaleźli w tak opłakany stan! Ale, panie Cyrusie "wtrącił Harbert "na jakiej podstawie sądzi pan, że ten biedak wpadł w obłądzenie dopiero przed kilkoma miesiącami? Dlatego, że znaleziony przez nas dokument został napisany niedawno, a przecie tylko ten człowiek mógł go napisać. Chyba że napisał go przed śmiercią jaki towarzysz tego rozbitka dodał Gedeon Spilett. To niemożliwe, drogi Gedeonie. Dlaczego? zapytał reporter. Dlatego że w dokumencie byłaby mowa o dwóch rozbitkach, a "tymczasem wyraźnie wymieniony jest jeden. Harbert w kilku słowach opowiedział o wydarzeniach w czasie rejsu, podkreślając ciekawy fakt, jak to rozbitek doznał jakiegoś przelotnego rozjaśnienia umysłu i w czasie najwścieższego nasilenia wichury stał się na chwilę marynarzem. Słusznie, Harbercie, masz rację że przywiózł cię do tego wagi tego faktu "powiedział inżynier. "Nieszczęśliwy człowiek na pewno nie jest nieuleczalnie chory, a do tego stanu, w jakim się znajduje, doprowadziła go niewątpliwie rozpacz. Ale tutaj będzie wśród was bliźnich, a ponieważ kołacie się nim jeszcze dusza, wiźna pewno ją uratujemy. Rozbitek z wyspy Tabor został wyprowadzony z kabiny na dziób "Bonawentury"; jego wygląd wzbudził wielką litość inżyniera i niesłychane zdumienie Naba. Pierwszym odruchem dzikusa, gdy dotknął stopą ziemi, był chęć ucieczki. Cyrus Smith zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu ruchem pełnym powagi i popatrzył mu w oczy pogodnym, uważnym spojrzeniem. Nieszczęśliwy człowiek uspokoił się wbił wzrok w

ziemi pochyli głow nie stawia ju żadnego oporu. Biedny, opuszczony szepn do siebie inżynier. Cyrus Smith obserwowa uwa nie nieszczęśliwego rozbitka. Sądząc z pozor nie pozosta o w nim nic z człowieka, a przecie inżynier, tak jak poprzednio reporter, dostrzeg w jego spojrzeniu jaki nieuchwytny przebieg inteligencji. Postanowiono, że rozbitek, a w rzeczywistości nieznajomy gdy tak go od tej chwili zaczę nazywa owi towarzysze zostanie ulokowany w jednym z pokoj granitowego Pałacu, skąd zreszt nie będzie mógł się wydostać. Przybysz pozwoli się am zaprowadzić bez żadnego sprzeciwu i w kolonistach wspiął nadzieja, że jeżeli nie będzie szczęśliwszym to przecie kiedy zyska jeszcze jednego pożytecznego towarzysza. Podczas obiadu, przyrządzonego przez Naba naprę, gdy reporter, Harbert i Pencroff wprost umierali z głodu, Cyrus Smith dowiedzia się najdrobniejszymi szczegółami o wszystkim, co zaszło w czasie wyprawy badawczej na wyspabor. Zgodził się towarzyszami co do tego, że nieznajomy musiał być Anglikiem albo Amerykaninem, gdy to przypuszczenie nasuwała nazwa statku "Britannia". Ponadto inżynierowi wydawało się, że mimo głębiego zarostu na twarzy rozbitka i zmierzwiionych kudł a głowie rozpoznaje w nim charakterystyczne cechy rasy anglosaskiej. Ale, ale zwrócił sięagle Gedeon Spilett do Harberta i dotychczas nie powiedziałe nam, w jaki sposób nastąpiło twoje spotkanie z tym dzikusiem, i na dobre sprawdziemy tylko tyle, że byłby ci dusi, gdyby nie udało się am przybiec na czas. Cór- odezwał się Harbert i jestem w prawdziwym kłopotcie, jak opowiedzieć tym, co się stało. O ile pamiętam, zbierałem w rzeczywistości rośliny, gdy nagle usłyszałem w gęstych szum i co run na mnie z wysokiego drzewa. Nie zdążyłem nawet spojrzeć. Ten nieszczęśliwy, przyczajony prawdopodobnie w koronie drzewa, rzucił się a mnie tak szybko, że wszystko razem trwało krótko ni moje opowiadanie, i gdyby nie pan Spilett i Pencroff... Drogie dziecko t- przerwał mu Cyrus Smith byłe naprawdę wielkim niebezpieczeństwem, ale może inaczej mimo poszukiwań biedak wymknąłby się am i nie pozyskalibyśmy nowego towarzysza. A wiadna pan nadziejo Cyrusie, że udało się am zrobić czegoś człowieka? zapytał reporter. Tak oświadczył inżynier. Po obiedzie Cyrus Smith z towarzyszami wyszli z Granitowego Pałacu i wrócili na wybrzeże. Rozmawiano statek, ale nawet po dokładnym zbadaniu broni i narzędzi inżynier nie zauważył nic, co by pomogło ustalić kim był nieznajomy. Wszyscy uznali, że schwytanie było bardzo korzystne dla mieszkańcy Wyspy Lincoln, i zwierzę zostało od razu zainstalowane w chlewie. Beczki z prochem i ołowiem oraz paczki z podsypką wywołały zrozumiałe radość. Postanowiono nawet zrobić specjalny magazyn na proch będną poza Granitowym Pałacem, będną też w gęstym pieczarze, gdzie można było nie obawiać się wybuchu. Nie znaczyło to bynajmniej, że kolonistom zrezygnowali z piroksyliny, gdyż była ona bardzo dogodna w użyciu i nie mieli powodu zastawiać jej całkowicie prochem. Gdy zakończono wyładowywanie statku, Pencroff odezwał się. Sądząc panie Cyrusie, że należałoby ulokować Bonawenturę w jakimś pewnym miejscu. A czy może mu jest w ujściu Rzeki Dzielnienia? zapytał Cyrus Smith. Może odparł marynarz. Przeważnie siedzi na piasku, a to go męczy. Bo, widzi pan, to dobry statek i zachowuje się spokojnie podczas wichury, które nas tak gwałtownie zaatakowała w drodze powrotnej. A może trzymało na rzece? Można by, panie Cyrusie, ale ujście rzeki nie da -> je żadnej osłony i dlatego myślimy, że w czasie wiatrówachodnych "Bonawentura" może bardzo ucierpieć od fali. No to gdzie chciałoby go pan ulokować Pencroff? W Porcie Balonu zdecydował marynarz. W rzeczywistości ta zatoczka, osłonięta skałami, wydaje mi się wymarzoną przystanią dla naszego statku. A czy to aby nie za daleko? Ba, przecie to zaledwie trzy mile od Granitowego Pałacu, a w dodatku po



doskonałej drodze. No dobrze, Pencroff zgodzi się inżynier. Niech pan tam zaprowadzi Bonawenturę chociaż wolałbym mieć statek bliżej pod ręką. Gdy będziemy mieli trochę czasu, trzeba będzie jednak wybudować prawdziwy port. A to wspaniałe! ucieszy się Pencroff. Prawdziwa latarnia morska, z falochronem i suchym dokiem! Naprawdę panie Cyrusie, gdy się jest z panem, wszystko wydaje się jasne! Tak, mój drogi Pencroff, ale pod warunkiem, że pan mi pomoże, gdy we wszystkich naszych pracach pan reprezentuje trzy czwarte wkładu. Harbert z marynarzem udali się na statek, podnieśli kotwice, postawili żagle i korzystając z pomyślnego wiatru zaprowadzili Bonawenturę do Przylądka Pazura. W dwie godziny później statek kołysał się na spokojnych wodach Portu Balonu. Czy w ciągu pierwszych dni, spędzonych przez nieznanego w Granitowym Pałacu, były jakieś podstawy do przypuszczenia, że jego dzika natura ulegnie przemianie? Czy zaledwie jakieś jaśniejsze światło w jego mrocznym umyśle? Czy wreszcie dusza wraca do ciała? Niewątpliwie tak. I to nawet do tego stopnia, że Cyrus Smith i reporter zadawali sobie pytanie, czy naprawdę jeszcze kiedykolwiek całkowicie postradają zmysły. Z początku, przyzwyczajony do ciągłego przebywania na powietrzu i do nieograniczonej swobody, z jakiej korzystał na wyspie Tabor, nieznanemu miewały napady jakiejś hamowanej wściekłości, tak że zachodziła obawa, czy nie rzuci się z któregoś okna Granitowego Pałacu. Pomału jednak uspokajał się, można mu było pozostawić swobodę. Już to jedno dawało wielkie nadzieje. Stopniowo, zapominając o swoich instynktach zwierzęcego, nieznanemu zaczął przyjmować niechętnie krowie pożywienie nie na swojej wyspie, a gotowane mięso nie wywołowało już u niego odruchu obrzydzenia, jak to było na pokładzie "Bonawentury". Cyrus Smith skorzystał z jego snu, aby obciążyć go wosy i brodaty, razem jak gdyby grzywną nadawał mu zupełnie dziki wygląd. Następnie inżynier zabrał okrywający go płaszcz i ubrał go w sposób bardziej odpowiedni. Dzięki tym staraniom nieznanemu nabrał ludzkiego wyglądu, a nawet jego spojrzenie stało sięagodniejsze. Nie ulegało wątpliwości, że nigdy, gdy był w pełni władzy umysłowych, twarz tego człowieka musiała odznaczać i ewną urodę. Cyrus Smith wziął na siebie obowiązek spędzania codziennie kilku godzin w towarzystwie rozbitka. Pracował przy nim i praca robiła rzeczy tak, aby zwrócić na siebie uwagę. Mogło się bowiem zdarzyć, że jakiś jeden błąd olśni tego człowieka, że jakieś jedno wspomnienie przeszyje jego mózgi przywróci mu rozum. Przecież tak się stało na pokładzie "Bonawentury" podczas szalejącej burzy. Aby przeniknąć do głębi upionej inteligencji rozbitka jednocześnie za pomocą narzędzi słuchu i wzroku, inżynier nie zapominał o tym, by mieć przy nim głocho. Dołączali się do niego na zmianę jeden, to paru towarzyszy, którzy rozmawiali w czas najczęściej o sprawach związanych z węglug. Zdarzało się iekiedy, że nieznanemu jakby zwracał nieco uwagi na to, co się działo, i niebawem kolonijci doszli do przekonania, że częściowo ich rozumie. Czasami twarz jego przybierała gęsto bolesny wyraz, co świadczyło o tym, że przeżywał jakby wewnętrzny rozterk. Wciąż jednak nie mówił nic, chociaż kilkakrotnie zdawało się, że już, już jakieś słowo wyrwie się z jego warg. Biedak był zawsze spokojny i smutny. Ale czy ten spokój był pozorny? Czy przyczyną jego nie było uwięzienie? Ktoś stwierdził, że chociaż na pewno? Nieznanemu widział zawsze te same przedmioty, i to w ograniczonym zasięgu, był w stałym kontakcie z kolonistami, do których musiał się wreszcie przyzwyczaić, nie miał żadnych pragnień zaspokojenia, był dobrze odżywiany, lepiej ubrany niż dotąd, nic też dziwnego, że pod względem fizycznym zachodził w nim pomału pewne zmiany; ale czy to nowe życie przenikało w niego głębiej? Czy, używając słowa, które tutaj szczególnie się nadaje, nie oswoił

się po prostu, jak to bywa niekiedy ze zwierzęciem w stosunku do jego pana? To bywa ważne pytanie, które inżynierowi pilno by o rozstrzygnięcia jednocześnie nie chciały wywierać żadnej presji na chorego, gdy dla niego nieznajomy był wcale nie chorym. Czy stanie się kiedyś rekonwalescentem? Inżynier nie przestawał go obserwować. Jakże czatował na jego duszę, jeżeli tak można powiedzieć. Jakże się przygotowywał, żeby ją pochwycić. Koloniści ze szczerym wzruszeniem obserwowali wszystkie fazy leczenia zastosowanego przez Cyrusa Smitha. W tej humanitarnej pracy pomagali mu wszyscy i z wyjątkiem może sceptycznie nastawionego Pencroffa wszyscy zarazili się niebawem od inżyniera jego nadzieją i wiarą. Nieznajomy trwał w zupełnym otępieniu i wykazywał tylko pewne przywiązanie do inżyniera, ulegając w sposób idoczny jego wpływowi. Cyrus Smith postanowił więc doświadczyć przybysza i przenieść go do innego środowiska, na brzeg oceanu, którego oczy przyzwyczały się oglądać na skraj lasu, który miał mu przypomnieć uszczę gdzie spędził tyle lat swojego życia. Ale czy możemy się podziwiać zapytał Gedeon Spilett? Czy pozostawiony na wolności nie będzie usiłował zbiec? Na tym wcale nie polegała odpowiedź Smitha. Zobaczmy powiedział Pencroff. Gdy to chłopsko będzie miało przed sobą wolną przestrzeń wicięgnie w płuca powietrze cała piersi, zwieje, a będzie się kurzył! Nie sędz bronisz się tyrus Smith. Spróbujemy podtrzymać go Gedeon Spilett. No to spróbujemy zakończ rozmowę inżynier. Było to 30 października, a w dziesięć dni po tym, jak rozbitek z wyspy Tabor został zamknięty w Granitowym Pałacu. Na dworze było ciepło i piękne słońce zalewało złotymi promieniami całą wyspę. Cyrus Smith i Pencroff poszli do pokoju nieznajomego i zastali go leżącego w pobliżu okna z wzrokiem utkwionym w niebo. Chodź, przyjacielu powiedział inżynier. Nieznajomy wstał natychmiast, poszedł nie spuszczać oka z Cyrusa Smitha, marynarz zaś szedł za nim bez wiary w pomyślny wynik doświadczenia. Gdy doszli do drzwi, Cyrus Smith i Pencroff ulokowali nieznajomego w windzie, podczas gdy reszta towarzystwa czekała na dole. Klatka zjechała i po kilku chwilach wszyscy razem znaleźli się na wybrzeżu. Koloniści oddalili się nieco od nieznajomego, tak by pozostawić mu pewną swobodę. Zrobił on kilka kroków kierunku morza i oczy jego zajął niezwykłym ożywieniem, ale wcale nie usiłował uciec. Patrzył na drobne fale, zamajające się przy wysepce i zamierające powoli na piasku. To tylko morze zauważył Gedeon Spilett. Możliwe, że ono nie wywołuje w nim chęci ucieczki. Susznie zgodził się tyrus Smith. Trzeba go zaprowadzić na paskowzgę, na skraj lasu. Tam doświadczenie będzie bardziej miarodajne. Zresztą i tak nie będzie mógł uciec, gdy mosty są podniesione dodał Nab. Czego? wtręcił Pencroff. Przecież jego na pewno nie wprowi w zakłopotanie strumyk tej szerokości, co Glicerynowy Potok. Szybko znajdzie się na drugim brzegu, i to pewno jednym susem. Zobaczmy krę odpowiedział Cyrus Smith nie odrywając wzroku od oczu swojego pacjenta. Zaprowadzono nieznajomego do ujścia Rzeki Dzielnienia, a stąd, idąc lewym brzegiem, na Paskowzgę Rozległego Widoku. Doszedłszy do miejsca, gdzie rosły pierwsze okazałe drzewa, których listowiem igrał lekki wietrzyk, nieznajomy jakby w upojeniu wciągnął w płuca mocny zapach przesycający powietrze, a z piersi jego wydarło się rzucił głośne westchnienie. Koloniści stali za nim, gotowi do powstrzymania go, w razie gdyby zrobił ruch zdradzający chęć ucieczki. Istotnie, biedak miał już zamiar rzucić o potoku przegradzającego drogę lasu i przez chwilę jego napięty się jak sprężyna... Ale prawie natychmiast zgarbił się skurczył w sobie, a z oczu jego potoczyły się wielkie łzy! Ach zawołał Cyrus Smith pączesz, a wista e się z owiekiem! ROZDZIAŁ SZESNASTY. Tajemnica do wyjaśnienia. Pierwsze słowa

nieznajomego. Dwanaście lat na wyspie. Zwierzenia. Zniknięcie. Zaufanie Cyrusa Smitha. Budowa młyna. Pierwszy chleb. Dowodzenie. Uczciwe rzeź. Tak, nieszczęśliwy zapłakał! Prawdopodobnie jakieś wspomnienie przeszłości jego matki, według seryusa Smitha, który uczynił z niego człowieka. Koloniści pozostawili go przez pewien czas na paskowzgu, a nawet oddalili się od niego, aby nieborak poczuł się samotny; ponieważ jednak nie miał najmniejszego zamiaru skorzystać z wolności, Cyrus Smith zdecydował się niebawem zaprowadzić go z powrotem do Granitowego Pałacu. W dwa dni później nieznajomy jakby zapragnął w życiu kolonistów. Było to rzecz pewna, że seryusza i rozumiał wszystko, ale ten niemiernie pewny był fakt, że trwa w jakimś dziwnym uporze, aby nie odzywać się do nikogo; pewnego bowiem wieczoru Pen-croft, stojący pod drzwiami jego pokoju, usłyszał następującą słowami: "Nie! Tutaj!! Ja! Nigdy!" Marynarz powtórzył te słowa swoim towarzyszom. W tym wszystkim kryje się jakaś bolesna tajemnica – orzekł Cyrus Smith. Nieznajomy zaczął posługiwać się narzędziami rolnymi i pracować w warzywniku. Zdarzało mu się, że nagle przerywał pracę, trwał jakby w głębokiej zadumie. Za sprawą inżyniera koloniści szanowali samotność, którą nieznajomy pragnął zachować. Gdy ktoś z nich zbliżał się do niego, biedak cofał się natychmiast i zdławione okrzyki wstrząsały jego piersią. Czyby dręczyły go tak bardzo wyrzuty sumienia? Takie wstrząśnienie sprawiało wrażenie, toteż pewnego dnia Gedeon Spilett nie mógł powstrzymać się od następującej uwagi: "Przyczyną jego milczenia jest prawdopodobnie to, że musiałby wyznać zbyt wiele. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać. W parę dni później, 3 listopada, nieznajomy przerwał nagle pracę i opuścił rydel na ziemi. Cyrus Smith, obserwujący go z pewnej odległości, zobaczył ponownie, że pędził z jego oczu. Jakaś nieprzeparta litość inżyniera w jego stronę dotknęła lekko ramienia biedaka mówiąc: "Przyjacielu! Oczy nieznajomego unikały spotkania ze wzrokiem inżyniera, a gdy Cyrus chciał chwycić go za ramię, ten cofnął się wzdornie. "Przyjacielu" – powtórzył Cyrus Smith bardziej stanowczym tonem – "proszę spojrzeć mi w oczy. Wyświadcz mi to. Nieznajomy spojrzał na Cyrusa Smitha nieprzytomnie jak człowiek znajdujący się pod mocą hipnotyzera. Chciał uciec. Ale nagle twarz jego uległa przeobrażeniu. Oczy zapłonęły. Na usta cisnęła się śmiałość. Nie mógł ich powstrzymać. Wreszcie skrzyknął: "Raczej i zapytał głuchym głosem: "Kim jesteście? Rozbitkami tak jak pan odpard inżynier gwałtownie wzruszony. "Sprowadziliście pana tutaj, żeby znaleźć się wśród waszych bliźnich. Moich bliźnich?... Nie mam ich! Znajduje się w waszym przyjacielu. "Przyjacielu... Moich!... Przyjacielu" zawołał nieznajomy chowając głowę w dłoniach. "Nie... Przenigdy... Zostaw mnie pan, zostaw! Po czym uciekł na skałę wznosząc się nad morzem, i zastygł w bezruchu. Cyrus Smith powrócił do towarzyszy i opowiedział im o całym zajściu. Tak. W życiu tego człowieka istnieje niewątpliwie jakaś tajemnica – stwierdził Gedeon Spilett. "Przypuszczam, że stał się ponownie człowiekiem jedynie dzięki wyrzutom sumienia. Doprawdy nie wiadomo, kogo sprowadziliście sobie tutaj – powiedział marynarz. "Ma jakieś tajemnice... Ktoś uszanujemy – przerwał mu wywołany Cyrus Smith. "Jeżeli popełnił jakiś błąd, to cię go odpokutował i w naszych oczach jest już rozgrzeszony. Przez całe dwie godziny nieznajomy pozostawał na wybrzeżu, szarpany prawdopodobnie wspomnieniami, które przywołały mu na myśl całe jego przeszłość i to na pewno przeszłość – onurzył kolonistów za, nie tracąc go z oczu, nie zakłócając tej samotności. Po dwugodzinach nieznajomy pod wpływem jakiejś nagłej decyzji przyszedł do Cyrusa Smitha. Oczy miał czerwone od przelanych łez, ale już nie płakał. Twarz jego tchnęła głębką pokorą. Sprawiało wrażenie wylężonego, zawstydzonego i poniżonego, a wzrok jego nie

odrywa się d ziemi. Czy pan i pana towarzysze jesteście Anglikami? zwrócił się do Cyrusa Smitha. Nie odparł inżynier jesteście Amerykanami. Ach tak mruknął nieznajomy, a potem wyszeptał: To wolę. A pan, przyjacielu? zapytał inżynier. Jestem Anglikiem szybko odpowiedział nieznajomy. Po wyrzuceniu tych kilku słów jakby cię spadł mu z serca; wrócił na wybrzeże i w niesłychanym podnieceniu zaczął je przemierzać wodospadu a do Rzeki Dzielnienia. W pewnej chwili, przechodząc obok Harberta, zatrzymał się zapytał zdławionym głosem: Jaki teraz miesiąc? Listopad poinformował go Harbert. A rok? 1866. Dwanaście lat! Dwanaście lat zawołał i oddalił się w stronę miasta. Harbert powtórzył kolonistom swój rozmowę z nieznajomym. Ten niebezpiecznie stracił rachubę lat i zauważył Gedeon Spilett. Tak dodał Harbert i w chwili gdy my go znaleźli na wyspie, przebywał tam już dwanaście lat! Dwanaście lat powtórzył Cyrus Smith. Dwanaście lat samotności po życiu, na które może cię czekać jakieś przekleństwo, to okres mogący niewątpliwie przyprawić pomieszenie zmysłów. Zaczynam podejrzewać powiedział Pencroff że ten człowiek nie dostał się na wyspę przez katastrofę okrętową, lecz że został tam wysadzony po popełnieniu jakiejś zbrodni. Ma pan chyba rację Pencroff poparł go reporter. Jeżeli tak jest, to możliwe tak, że ci, którzy go pozostawili na wyspie, przybyli kiedyś po niego. No i nie znajdą go tam dodał Harbert. Trzeba by może wrócić i... zaczął Pencroff, ale przerwał mu inżynier. Przyjaciele, nie zastanawiajmy się nad tą sprawą, zanim nie dowiemy się czegoś więcej. Wydaje się że ten niebezpiecznie dużo wycierpiał i jakiegokolwiek by był jego winy, cię za nie odpokutował. Teraz za dawaj go chętnie zwierzenia się o nim. Nie prowokujmy go do tego. Na pewno opowie swoje dzieje sam i dopiero wtedy będziemy mogli zdecydować co robić dalej. Zresztą tylko tam może nam powiedzieć czy zachował co więcej nadzieję czy ma pewno że kiedyś powróci do ojczyzny, w co zresztą osobiście wątpię. A to dlaczego? zapytał reporter. Dlatego, że gdyby był pewien powrotu w jakimś określonym czasie, w was czekałby na chwilę wolności i nie wrzucałby do morza tego dokumentu. Wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że został on skazany na pozostanie na wyspie do końca życia i że nie spodziewa się nigdy zobaczyć swoich bliźnich. Jednak w tym wszystkim jest coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć zauważył marynarz. Co mianowicie? Jeżeli ten człowiek został pozostawiony na wyspie Tabor przed dwunastu laty, to można przypuszczać że w tym stanie zdziwienia, w jakim my go znaleźli, trwa już od kilku lat. To jest zupełnie prawdopodobne zgodził się rus Smith. A wiadomo od czasu kiedy napisał ten dokument, musiało upłynąć kilka lat. Niewątpliwie... A przecie dokument robi wrażenie, jakby był napisany niedawno. Zresztą czy można przypuszczać że butelka zawierająca dokument potrzebowała a kilku lat na przebycie przestrzeni pomiędzy wyspą Tabor a Wyspą Lincolną? To nie jest takie niemożliwe odparł reporter. Czy nie mogła znajdować się dawna w pobliżu wyspy? Nie powiedział Pencroff ponieważ butelka jeszcze pływała. Nie można nawet przypuszczać że po dłuższym czy krótkim leżeniu na brzegu mogła być onownie porwana przez fale gdy od strony południa są tutaj tylko skały, więc rozbiłyby się nie natychmiast. Słusznie mruknął Cyrus Smith pogrążony w zadumie, Poza tym cięgnę dalej marynarz gdyby dokument pochodził sprzed kilku lat, gdyby już od kilku lat leżał w butelce, musiałyby go uszkodzić wilgoć a przecie tego nie stwierdziliśmy; papier był w doskonałym stanie. Uwaga marynarza była bardzo słuszna. Cała ta sprawa kryła w sobie coś niezrozumiałego, w chwili bowiem kiedy koloniści znaleźli butelkę z dokumentem sprawiało wrażenie pisanego niedawno. Ponadto zawarte w nim dane

o po- eniu wyspy Tabor, jej szeroko- d- ugo- odane by- y z tak- dok- adno- ci- , e autor dokumentu musia- posiada- runtown- znajomo- eglarstwa, kt- zwyk- y marynarz na pewno nie m- mie- . Zn- tan- my wobec czego- zagadkowego- powiedzia- in- ynier. . Jednak- e nie prowokujemy na- szego nowego towarzysza do wynurze- . Gdy zechce, b- iemy gotowi go wys- ucha- . W ci- gu nast- ych dni nieznajomy nie przem- ani s- owa i ani razu nie wydali- si- oza obr- p- asko-wzg- . Pracowa- na roli bez wypoczynku, ale zawsze w odosobnieniu. W porze posi- k- ie powraca- do Granitowego Pa- acu, pomimo - e zapraszano go tam kilkakrotnie, i zaspokaja- g- urowymi warzywami. Gdy nadchodzi- zmrok, nie wraca- tak- e do przeznaczonego mu pokoju, lecz pozostawa- na dworze pod pierwsz- lepsz- k- drzew, a gdy by- a brzydka pogoda, wtula- si- jak- - szczelin- kaln- . - y- tak jak na wyspie Tabor, nie uznaj- c innego schronienia opr- drzew, a poniewa- wszelkie wysi- ki, - eby go sk- oni- o zmiany trybu - ycia, spe- za- y na niczym, kolonistom nie pozostawa- o nic innego, jak tylko cierpliwie czeka- . Ale zbli- a- a si- chwila, gdy wbrew swojej woli, nieodparcie zmuszony wyrzutami sumienia, musia- da- j- cie straszliwym wyznaniem. 10 listopada oko- o - j wieczorem, w chwili gdy na dworze robi- o si- u- szaro, nieznajomy zjawi- si- agle w- r- olonist- gromadzonych na werandzie. Jego oczy pa- a- y dziwnym blaskiem, a ca- a posta- abra- a ponownie dzikiego wygl- du jak w najgorszych dniach. Cyrus Smith i towarzysze z wielkim przygn- eniem spostrzegli, - e nieszcz- y znajduje si- stanie niezwyk- ego wzburzenia, a z- jego szcz- j- jak w napadzie febry. C- u si- ta- o? Czy- by widok ludzi by- dla niego niezno- ny? A mo- e mia- ju- dosy- ego - ycia w - rodowisku ludzi uczciwych? Mo- e chwyt- a go t- nota za - yciem dzikiego zwierz- a? Mo- na tak by- o my- le- gdy si- - ysza- o jego bez- adne s- owa: . Dlaczego tu jestem? Jakim prawem wyrwali- cie mnie z mojej wyspy? Czy mo- e istnieje- aka- wi- po- mi- y wami a mn- ?... Czy wiecie, - kim jestem... co robi- em... dlaczego by- em tam... samotny? A kto wam powiedzia- , - e mnie tam nie porzucono... - e nie by- em skazany na pozostanie tam do ko- - ycia? Czy znacie mo- e przesz- o- - . Sk- d wiecie, czy nie krad- em, nie zabija- em.; czy nie jestem n- nikiem... przekl- istot- ... nadaj- c- si- o p- enia - ycia jak dzikie zwierz- . z dala od wszystkich... powiedzcie... Wiecie? Koloni- ci nie przerywali biedakowi, kt- u te bez- adne s- owa wrywa- y si- ak gdyby wbrew jego woli. Cyrus Smith chc- c go uspokoi- bli- y- si- o niego, ale ten cofn- - si- wa- townie, . Nie, nie!... . krzykn- . . Jeszcze jedno s- - ... Czy jestem wolny? . Jest pan wolny . powiedzia- in- ynier. . A wi- egnajcie! . zawo- a- nieznajomy i uciek- jak szalony. Nab, Pencroff i Harbert pobiegli natychmiast na skraj lasu... ale wr- i z niczym. . Niech robi, co chce . orzek- Cyrus Smith. . On nie wr- ju- nigdy . twierdzi- Pencroff. . Wr- - upiera- si- n- ynier. Wiele dni up- yn- od tego czasu. A jednak Cyrus Smith, wiedziony przecuciem, trwa- w niezachwianej pewno- ci, - e wcze- niej czy p- ej nieszcz- iwy cz- owiek do nich wr- . . To by- ostatni bunt tej nieokie- znanej natury . m- in- ynier. . Poruszy- y go wyrzuty sumienia, a przera- a my- l o ponownym osamotnieniu. W tym okresie koloni- ci nadal prowadzili r- rodne prace zar- na P- askowzg- Rozleg- ego Widoku, jak i w zagrodzie, gdzie Cyrus Smith zamierza- zbudowa- arm- . Oczywi- cie wszystkie nasiona pozbierane przez Harberta starannie zasiano. P- askowzg- tworzy- o ju- w tym czasie obszerny ogr- arzywny, dobrze rozplanowany i utrzymany, nie pozostawiaj- cy kolonistom czasu na pr- wanie. Stale wrza- a tam robota. W miar- ozplenia si- arzyw trzeba by- o powi- zy- a- e pocz- tkowo gr- dki, z kt- h kosztem dzikiej - - ki robi- y si- eraz prawdziwe pola uprawne. Jednak- e - - k by- o pod dostatkiem w innych cz- iach wyspy i onagry mog- y si- e obawia- - e zabraknie dla nich paszy. Zreszt- lepiej by- o za- o- y- arzywnik na

piaskowcem zabezpieczonym pierścieniem wodnym, a pozostawił ją z nim, nie wymagając ochrony przed jej skutkami spustoszenia zwierzęmi czworonogimi i czworonogimi. 15 listopada zebrano trzeci plon. Powierzchnia pola powiększyła się gromnie w ciągu tych osiemnastu miesięcy, od kiedy zasiano pierwsze ziarno zboża. Szesćset tysięcy ziaren drugiego zbioru dało tym razem ponad pięć milionów ziaren. Kolonia była już teraz zasobna w zboże, gdy wystarczyło zasiać jakieś dziesięć korców, aby zapewnić roczne plony, które mogłyby wyżywić ludzi i zwierzę. Po dniach ostatnie dwa tygodnie miesiąca poświęcono pracom związanym z przetrąceniem zboża na chleb. Kolonicy mieli już ziarno, ale nie mieli jeszcze młyna, toteż sprawa budowy młyna stała się pilną. Cyrus Smith wprowadził wyzyskanie tego celu drugi wodospad na Rzece Dzielnienia, pierwszy bowiem został już użyty do poruszania folusza, jednak po naradzie postanowiono zbudować piaskowcem zwykły wiatrak. Wykorzystanie siły wodnej nie było wprowadzić trudne, ale kolonicy mieli absolutną pewność na piaskowcem, wystawionym na działanie wiatru od morza, nie zabraknie nigdy siły poruszającej skrzydła wiatraka. Nie mów już o tym powiedział Pencroff, że taki wiatrak jest weselszy i zdobi krajobraz. Przysięgnęli roboty i wybrano drzewa na szkielet i mechanizm młyna. Duże złoże piaskowca, znajdujące się blisko jeziora, mogły z łatwością zamienić się w żarno, jeżeli chodzi o skrzydła, to potrzebne do obciążenia ich miały dostarczyć niewyczerpana powłoka balonu. Cyrus Smith narysował plan i na budowę młyna wybrano miejsce nieco na prawo od ptaszarni, w pobliżu brzegu jeziora. Klatka wiatraka miała spoczywać na osi podtrzymywanej grubymi belkami, tak by mogła się obracać razem z całym mechanizmem w zależności od kierunku wiatru. Prac wykonano szybko. Nab i Pencroff stali się bardzo zręcznymi cieślami i robili wszystko dokładnie według szkiców inżyniera. Toteż wkrótce w wybranym miejscu stanęło coś w rodzaju walcowatej budki, uwieńczonej ostrym dachem. Cztery ramy tworzące skrzydła mocno osadzono w belce osiowej pod odpowiednim kątem, a następnie przytwierdzono za pomocą żelaznych klamer. Potem już bez trudu sporządzono poszczególne części mechanizmu wewnętrznego w skrzyni przeznaczony na obydwie kamienie młyńskie, kamień ruchomy oraz kamień protowy, kosz w kształcie dużej, kwadratowej rynny, szerokiej u góry i zwężonej u dołu, z której ziarna spadają między kamienie, dalej korytko wahadłowe, regulujące doprowadzenie ziarna, nazwane z racji swojego rytmicznego stukania "gadulem", i wreszcie pytel odsiewający otrąbę od młki. Kolonicy mieli dobre narzędzia, toteż praca poszła im łatwo, zwłaszcza że części mechanizmu wiatraka są bardzo proste. Była to tylko kwestia czasu. W pracy nad postawieniem wiatraka brali udział wszyscy bez wyjątku i ukończono ją 1 grudnia. Pencroff jak zwykle był zachwycony nowym urządzeniem i nie wątpił, że wiatrak jest arcydziełem. Teraz jest nam tylko potrzebny odpowiedni wiatr, a wspaniale zmielimy nasze pierwsze plony. Racja, odpowiedni wiatr przyda się bardzo, byle nie było go za dużo odpar inżynier. Ba! Najwyżej skrzydła będą się szybciej obracały. To zupełnie niepotrzebne odpar Cyrus Smith. Wiemy z doświadczenia, że młyn ma najwięcej wydajność, kiedy ilość brotów krzydeł w ciągu minuty wynosi sześćdziesiąt, więc nie szybko, a natychmiast obliczona w stopach na sekundę. Przy średnim wietrze o szybkości czterech stopów na sekundę ilość brotów krzydeł wyniesie dwadzieścia cztery na minutę, to jest w sam raz tyle, ile nam potrzeba. Właśnie dmucha piły wietrzyk z północnego wschodu, akurat taki, o jakim marzymy! ucieszył się Herbert. Nie było żadnego powodu do odkładania inauguracji wiatraka, gdy kolonistom pilno było poczuć smak pierwszego kawałka chleba pochodzącego z Wyspy Lincoln. Jeszcze tego samego dnia z rana zmielono dwa czy trzy korce zboża i nazajutrz przy niadaniu na stole w jadalni Granitowego Pałacu widniała wspaniała

bochenek chleba, może tylko trochę a ci, pomimo że użyto do rozczywu drożdży piwnych. Wszyscy raczyli się z wielkim apetytem i z prawdziwą przyjemnością, co było zresztą zrozumiałe. Nieznajomy dotychczas nie wrócił. Gedeon Spilett i Harbert kilkakrotnie przemierzali lasy w pobliżu Granitowego Pałacu, lecz nie spotkali go nigdzie ani nawet nie natrafili na jego ślad. Ta przedłużająca się nieobecność ich poważnie niepokoiła. Dawny dzikus z wyspy Tabor nie mógł oczywiście zginąć gwałtownie w obfitujących w zwierzętach Dalekiego Zachodu, ale należało się bawić wrócić do swoich dawnych obyczajów z powodu skutku tej niezależności od cywilizacji jego dzikie instynkty. Jednakże Cyrus Smith, wiedziony przecuciem, upierał się przy twierdzeniu, że nieznajomy powróci. Tak, on powróci na pewno i powtarza z ufnością, którą jakoś nie udzielała się jego towarzyszom. Gdy nieszczyli byli na wyspie Tabor, wówczas wiedział, że jest sam, tutaj zaś wie, że czekają na niego jego bliźni. Ponieważ zaczął coś mówić o swoim życiu, żałuje za grzechy i na pewno wróci aby opowiedzieć o sobie wszystko. Od tego dnia będzie już do nas należał. Późniejsze wydarzenia potwierdziły słusność rozumowania inżyniera. 3 grudnia Harbert opuścił paraskowzga i poszedł z powroty na południowym brzegu jeziora. Był nieuzbrojony, dotychczas bowiem nigdy nie musiał zachowywać ostrożności, gdyż dzikie zwierzę nie ukazywały się tej części wyspy. W tym czasie Pencroff i Nab pracowali w ptaszarni, Cyrus Smith zaś i reporter zajęci byli w Kominach fabrykacji sody, ponieważ zapas mydła był już na wyczerpaniu. Nagle rozległo się okrzyki: Ratunku! Na pomoc! Cyrus Smith i reporter byli zbyt daleko, aby usłyszeć te krzyki. Pencroff i Nab wybiegli z ptaszarni i popędzili w stronę jeziora. Ale ubiegł ich nieznajomy, o którego nikt nie myślał, że się w tym miejscu znajduje. Przesadziwszy jednym suszem Glicerynowy Potok, oddzielający paraskowzga od lasu, pomknął na przeciwległy brzeg. Tu Harbert znalazł się nagle w oko z olbrzymim jaguarem podobnym do drapieżnika zabitego na Cyplu Północnym. Zaskoczony zniechęcony, stał oparty o pień drzewa, podczas gdy zwierzę sprężyło się do skoku, miało już na niego runąć. Wtem nieznajomy, nie mając innej broni oprócz noża, rzucił się na zwierzę i zwrócił się stroną przeciwnika. Walka trwała krótko. Nieznajomy był niezwykle silny i zręczny. Nie zważając na to, że pazury drapieżnika rozdzierały mu ciało, schwycił jaguara za gardło mocnymi jak kleszcze palcami jednej ręki, drugą zaś ręką uzbrojony w nóż wbił go w serce. Jaguar upadł. Nieznajomy kopnął go nogą i zamierzał uciec, gdy na polu walki ukazali się olonowcy, ale Harbert przywarł do niego mocno, wołając: Nie! Nie! Pan nie odejdzie! Na widok zbliżającego się inżyniera zmarszczył się brwi nieznajomego. Krew spływała mu z rany na ramieniu, widocznej przez rozdarty rękaw, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Przyjacieli odezwał się Cyrus Smith: oto zaciągnęliśmy wobec pana dług wdzięczności. Aby ocalić nasze dziecko, nie zawahał się ani zaryzykować swojego życia. Moje życie! mruknął nieznajomy. Cóż jest warte? Mniej niż nic! Pan jest ranny! To nieważne! Czy zechce mi pan podać wodę? Ale gdy Harbert usiłował pochwycić go, uratował go jego życie, nieznajomy skrzyknął ramionem, pierś uniosł do westchnienia, wzrok zaszedł mgłą i zdawało się, że lada chwila rzuci się do ucieczki. Wreszcie opanował się z trudem, powiedział szorstkim tonem: Kim jesteście? Jakie macie do mnie prawo? W ten sposób omagał się im to po raz pierwszy, usłyszenia dziej olonowców. Było to, gdy poznał ich historię wówczas wyjawili swoją. W kilku słowach Cyrus Smith opowiedział, co zaszło od chwili ich wystartowania z Richmondu, w jaki sposób dało im się życie i co mają teraz w swoim dorobku. Nieznajomy słuchał z napiętą uwagą. Potem inżynier opowiedział o każdym z nich, o Gedeonie Spilettie, o Harbercie, Pencroffie, Nabie i o sobie samym. Dodał, że najwięcej

rado jakiej doznali od chwili wydowania na Wyspie Lincoln, sprawi im fakt, że po powrocie z wyspy Tabor pozyskali jeszcze jednego towarzysza. Słyszcie te słowa nieszczęsny obla się sem, zwiesi głowa pier, a cała jego postawa wyraża gęskie zawstydenie. A teraz, gdy my się u poznali doda Cyrus Smith czy nie zechciałby pan podać mi swej ręki? Nie odpar nieznajomy głuchym głosem. Nie! Gdy wy jesteście ludźmi uczciwymi, a ja... ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. Zawsze na uboczu. Proba nieznajomego. Farma w zagrodzie. Od dwunastu lat! Bosman z "Britannii". Porzucony na wyspie Tabor. Ręk Smitha. Tajemniczy dokument. Te ostatnie słowa potwierdzają przecucia kolonistów. W życiu nieszczęślika kryła się jakaś tajemnicza zbrodnia, może nawet odpokutowana wobec ludzi, ale z której nie zdawało go jeszcze rozgrzeszyć umienie. W każdym razie winowajca miał wyrzuty sumienia, a owa za grzechy i nie czuł się odnym podania ręki uczciwym ludziom, a przecie nowi przyjaciele uścisknęłyby serdecznie jego prawicę. Po zajęciu z jaguarem nie powrócił do lasu i od tego dnia przebywał w pobliżu Granitowego Pałacu. Co stanowiło tajemnicę jego życia? Czy wyjawia ją kiedykolwiek? Była to sprawa przyszłości. W każdym razie zgodnie postanowiono nigdy nie wypytywać o nic i zachowywać się jak gdyby nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Przez parę najbliższych dni życie kolonistów było ustalonym trybem. Cyrus Smith i Gedeon Spilett pracowali razem bądź jako chemicy, bądź jako fizycy. Reporter opuszczał inżyniera po to, by zapolować razem z Harbertem, gdy ze względu na bezpieczeństwo niewskazane było puszczanie samego do lasu, należało bowiem zachować wszelką ostrożność. Nab i Pencroff mieli pełne roboty. To w stajni, to w ptaszarni, to w zagrodzie, nie licząc już Granitowego Pałacu. Nieznajomy pracował w odosobnieniu i wrócił do swojego normalnego trybu życia, polegającego na tym, że nie brał udziału w ogólnych posiłkach, spał na parkowisku pod drzewami i nie przychodził nigdy do kolonistów. Można było doprawdy pomyśleć o towarzysztwo ludzi, którzy go uratowali, było dla niego nie do zniesienia... Nie rozumiem tylko, dlaczego zwraca się o swoich bliźnich o pomoc? Dlaczego wrzucił do morza ten dokument? On sam to kiedyś opowie i twierdził niezmiennie Cyrus Smith. Kiedy? Może wcześniej, niż pan przypuszcza, Pencroff. Istotnie, dzieje się bliższe. 10 grudnia, czyli w tydzień powrotu do Granitowego Pałacu, nieznajomy przyszedł do Cyrusa Smitha i powiedział mu spokojnie, pokornym tonem: Miałbym do pana prośbę. Słucham, ale pozwól pan, że przedtem mu coś powiem. Słyszcie te słowa nieznajomy zarumienił się i miał już zamiar odejść. Cyrus Smith zrozumiał, co musiał zrobić duszy winowajcy, obawiającego się prawdopodobnie, żeby inżynier nie wypytywał go o jego przeszłość. Inżynier powstrzymał go za rękę, mówiąc: Jesteśmy nie tylko pana towarzyszami, ale także przyjaciółmi. To wszystko, co chcę panu powiedzieć, a teraz słucham. Nieznajomy przetarł oczy dłońmi. Ogarnął go jakieś drżenie i przez parę chwil nie mógł wykrztusić słowa. Wreszcie odezwał się: Proszę pana o wywiadczenie mi o psiki. Jakiej? O cztery czy pięć mil stąd, u stajni znajduje się zagroda dla zwierząt domowych. Zwierzęta te wymagają opieki. Czy nie zechciałby pan mi zezwolić, żeby zamieszkał tam razem z nimi? Przez parę chwil Cyrus Smith przyglądał się nieszczęśliwemu z głęokim współczuciem, wreszcie powiedział: Przyjacielu, w zagrodzie są tylko szopy nadające się tylko dla zwierząt... To w sam raz dla mnie. Nie chcielibyśmy panu odmówić czegokolwiek, przyjacielu. Ma pan ochotę zamieszkać w zagrodzie, proszę bardzo. Zresztą będzie pan zawsze mile widziany w Granitowym Pałacu. Ale ponieważ chce pan być w zagrodzie, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby stworzyć panu przyzwoite warunki. To niepotrzebne. I tak będzie mi tam dobrze. Przyjacielu powiedział Cyrus Smith podkreślając





Patagonii, gdzie według pierwszej interpretacji dokumentu kapitan Grant został przypuszczalnie uwięziony przez tubylców "Duncan" wysadził pasażera na zachodnim wybrzeżu Patagonii i odpłynął, a żeby spotkać ich nimi na wschodnim wybrzeżu, na przykładzie Corrientes. Lord Glenarvan przeszedł przez Patagonię rzymając się trzydziestego siódmego rebelienika, ale nie trafił na ślad kapitana Granta, wrócił więc 13 listopada na pokład jachtu, a żeby kontynuować poszukiwania na oceanie. Po bezowocnym przeszukaniu leżących na trasie wysp Tristan d'Acunha i Amsterdam "Duncan", jak już powiedziałem, dotarł do przylądka Bernouilli na wybrzeżu australijskim 20 grudnia 1854 roku. Lord Glenarvan chciał przemierzyć Australię, jak to uczynił w Ameryce, i dlatego wylądował tutaj. O kilka mil od wybrzeża znajdowała się farma należąca do Irlandczyka, któremu ofiarował gościnną odzież. Lord Glenarvan opowiedział Irlandczykowi, co przywiodło go w te strony, i zapytał, czy nie słyszał o trawstowcu angielskim "Britannia", która rozbiła się przed niespełna dwoma laty na zachodnim wybrzeżu Australii. Irlandczyk nigdy nie słyszał o tej katastrofie. Ale ku wielkiemu zdziwieniu obecnych do rozmowy wtoczył się jeden z ludzi pracujących na farmie młody: "Milordzie, chwała Bogu i podziękuję Mu. Jeżeli kapitan Grant pozostał przy życiu, przebywa tylko na australijskiej ziemi". "Kim pan jest?" zapytał lord Glenarvan. "Szkotem, tak jak pan, milordzie" odpowiedział ten człowiek "jestem jednym z towarzyszy kapitana Granta, jednym z rozbitków "Britannii". Człowiek ten nazywa się Ayrton. Jak opiewają jego dokumenty, był on bosmanem na "Britannii". Znajdując się daleko od kapitana Granta w chwili gdy okręto rozbiło się o skałach, myślałem, że kapitan jego zginął razem z całą załogą i że on, Ayrton, jest jedynym, który pozostał przy życiu. Tylko dodać "Britannia" poszła na dno nie przy zachodnim wybrzeżu Australii, lecz przy wschodnim i jeżeli, jak to wynika z dokumentu, kapitan Grant żyje, to jest on wiekiem tubylców australijskich i trzeba go szukać przeciwległym brzegu". Gdy tak mówił, w głosie jego brzmiała szczerokość i patrzył prosto w oczy. Nie można było wątpić prawdziwość jego słów. Zresztą rzyli za niego Irlandczyk, u którego Ayrton służył już przeszło rok. Lord Glenarvan uwierzył w lojalność tego człowieka i postanowił przemierzyć Australię wzdłuż trzydziestego siódmego rebelienika. Grupa składająca się z lorda Glenarvana, jego żony, dwojga dzieci, majora, Francuza, kapitana Manglesa i kilku marynarzy miała do wodzić Ayrton, "Duncan" zaś pod dowództwem zastępcy kapitana, Toma Austina, miała udać się do Melbourne i tam oczekiwać dalszych rozkazów lorda Glenarvana. Wyruszyli w drogę 3 grudnia 1854 roku. Teraz trzeba wyjaśnić ten Ayrton był zdrajcą. Istotnie, był on bosmanem na "Britannii", ale po kłótni z kapitanem usiłował nakłonić załogę do buntu i zawładnąć statkiem, wobec czego kapitan Grant wysadził go 28 kwietnia 1852 roku na wybrzeżu Australii, sam zaś popłynął w dalszą drogę co zresztą było całkiem sprawiedliwym postępowaniem. W ten sposób Ayrton, ta nędzna kreatura, nie wiedział o katastrofie "Britannii". Dowiedział się niej dopiero z opowiadania lorda Glenarvana. Po wylądowaniu w Australii został pod imieniem Ben Joyce'a hersztem zbiegłych z więzienia przestępców jeżeli twierdzi bezczelnie, że katastrofa wydarzyła się na wschodnim wybrzeżu, jeżeli skłonił lorda Glenarvana do udania się tym kierunkiem, to jedynie dlatego, że chciał oderwać go od jego statku, zawładnąć "Duncanem" i uczynić jego jachtu okręto korsarski na Pacyfiku. Tu nieznajomy przerwał na chwilę głos mu zadrżał, ale cięgnął swój opowieść dalej: "Ekspedycja wyruszyła w drogę skierowana była przez ląd australijskiego. Oczywiście los jej był opłakany, gdy kierował nim Ayrton czy Ben Joyce (jak wolicie go nazywać a przed nimi lub za nimi czaiła się graja wciąganych do spisku zbiegłych opryszków Tymczasem "Duncan" został odesłany do Melbourne w celu dokonania napraw. Chodzi o wiec teraz o to, a żeby

nam lorda Glenarvana do wydania polecenia, aby jacht opuścił Melbourne i udał się na wschodnie wybrzeże Australii, gdzie będzie patrolował. Po doprowadzeniu ekspedycji w pobliżu tego brzegu, gdzie znalazła się rozległa lasa dana na poszukiwanie, Ayrton wydukał list i podjął się ostatecznie zastępcy kapitana na "Duncanie". List zawierał polecenie, aby jacht udał się natychmiast na wschodnie wybrzeże do zatoki Twofold, czyli o kilka dni marszu od miejsca, gdzie zatrzymała się ekspedycja. Tutaj wkrótce Ayrton naznaczył sobie spotkanie ze swoimi kamratami. W chwili gdy zdrajca miał już otrzymać list do ręki, został zdemaskowany i nie pozostało mu nic innego jak ucieczka. Musiał jednak za wszelką cenę zdobyć list oddający w jego ręce jacht. Ayrtonowi udało się wydrzeć list i po dwóch dniach był już z nim w Melbourne. Dotychczas wszystkie niktzemne projekty udawały się zbrodniarzowi znakomicie. Nareszcie będzie wprowadził "Duncana" do zatoki Twofold, a tam jego kamraci zawładną nim bez trudu, wymordują za niego i Ben Joyce stanie się ofiarą tych morderstw. Jednakże Pan Buntownik pokrzykował o zbrodnicze zamiary. Po przyjeździe do Melbourne Ayrton wręczył list zastępcy kapitana, Tomowi Austinowi, który zapoznał się z jego treścią i natychmiast dał rozkaz podniesienia kotwicy; prosił obie jednak wyobrazić sobie oczarowanie i wyciekło z niego, gdy nazajutrz po wyruszeniu na morze dowiedziało się, że zastąpił kapitana prowadzi statek nie na wschodnie wybrzeże Australii do zatoki Twofold, lecz na wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii. Usiłował się przeciwstawić, ale Austin pokazał mu list... Istotnie wskutek opatrności pomyślnego francuskiego geografów, który redagował ten list, statkowi wyznaczono kierunek na wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii. Wszystkie plany Ayrtona wzięte w łeb. Chciał się buntować. Wsadzono go do aresztu. W ten sposób znalazł się przy brzegach Nowej Zelandii nie wiedząc, co się dzieje z jego kamratami i z lordem Glenarvanem. "Duncan" krążył przy brzegach Nowej Zelandii do 3 marca. Tego dnia Ayrton usłyszał detonację. To strzelały armaty "Duncana" i niebawem lord Glenarvan ze swoimi towarzyszami znalazł się na pokładzie. A stało się w ten sposób. Po niezliczonych trudach i niebezpieczeństwach lord Glenarvan zakończył wreszcie swój wędrówkę i dotarł do wschodniego wybrzeża Australii, do zatoki Twofold. "Duncana" nie było. Zatelegrafował do Melbourne. Odpowiedziano: "Duncan" wypłynął z portu 18 bieżącego miesiąca w niewiadomym kierunku". Lord Glenarvan miał pomyśleć tylko jedno: jacht wpadł w ręce Ben Joyce'a i stał się łupem pirackim. Jednakże lord Glenarvan nie dawał za wygraną. Był to człowiek odważny i wspaniałomyślny. Zaokrężyła się statek handlowy płynący do Nowej Zelandii, wylądował na jej zachodnim wybrzeżu i przemierzył całe wyspy do trzydziestego siódmego września, nie napotykając nigdzie śladu kapitana Granta. Ale na przeciwległym brzegu, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, odnalazł "Duncana" pod dowództwem Toma Austina, który czekał tu na niego od pięciu tygodni. Było to 3 marca 1855 roku. Lord Glenarvan był wina pokładzie swojego jachtu, ale Ayrton znajdował się tam również. Przyprawiono go przed oblicze lorda, który chciał wyciągnąć z niego wszystko, co bandyta mógł wiedzieć o kapitanie Granta. Ayrton odmówił wyjawienia, chociaż lord Glenarvan oświadczył, że na pierwszym postoju odda go w ręce władz angielskich. Ayrton milczał w dalszym ciągu. "Duncan" płynął dalej wzdłuż trzysta trzeciego września. Tymczasem lady Glenarvan podjęła się rzeźni i pacyfikacji. Po długich trudach Ayrton uległ jej wpływom i zaproponował, że w zamian za jego zeznania wysadzi się na jednej z wysp Pacyfiku i odda w ręce władz angielskich. Lord Glenarvan, zdecydowany na wszystko, byle dowiedzieć się czegoś o kapitanie Gracie, zgodził się na tę propozycję. Wówczas Ayrton opowiedział całą prawdę sobie i można było stwierdzić, że wiadomości jego urywały się z dnia, kiedy kapitan Grant pozostawił go na wybrzeżu

australijskim. Pomimo to lord dotrzyma danego słowa. Płynąc dalej "Duncan" dotar wreszcie do wyspy Tabor. Tutaj miałby być osadzony Ayrton i w tym właśnie tu, jakim cudownym zrządzeniem losu, odnaleziono kapitana Granta i jego dwóch ludzi, dokładnie na trzydziestym siódmym relikwiarzu. Zbrodniarz miał ich zastąpić tej bezludnej wysepce. W chwili gdy Ayrton opuszczał statek, lord Glenarvan wyrzekł do niego następujące słowa: "Tutaj, Ayrton, będzie pan z dala od jakiegokolwiek lądu i bez możliwości porozumienia się z ludźmi. Z tej wysepki, gdzie zostawi pana "Duncan", nie będzie pan mówić. Będzie pan sam pod okiem Wszechmogącego, który przenika do najtajniejszych zakamorków duszkiego serca, ale nie będzie pan ani zgubiony, ani zapomniany jak kapitan Grant. Jakkolwiek nie zasłucham się pan wcale, by o panu pamiętać, jednakże ludzie nie zapomną. Wiem, gdzie pan jest, Ayrton, i wiem, gdzie pana znaleźć. Nie zapomną tym nigdy". "Duncan" odbił od brzegu i niebawem zniknął z oczu. Było to 18 marca 1855 roku \*. Ayrton pozostał sam, ale nie brakowało mu ani amunicji, ani broni, ani narzędzi, ani zbóż. Do dyspozycji tego zbrodniarza pozostał domek zbudowany przez kapitana Granta. Mówił mim zamieszkał pokutować samotności za popełnione grzechy. Prosił Ayrtona o pomoc za grzechy, wstydził się ich i był bardzo nieszczęśliwy. Postanowił, że jeżeli pewnego dnia ludzie przybędą po niego na wyspę to muszą zastać go godnym powrotu do nich. Jakże ten człowiek cierpi! Jakże pracował, żeby przez pracę i czynnym człowiekiem! Jakże się odlił! Tak minę dwa czy trzy lata. Ayrton przybitym osamotnieniem, wpatrując się w morze, czy jakimś okiem nie ukaże się jakaś widnokręć, i zadając sam sobie pytania, czy czas przeznaczony na pokutę dobiega już ku cierpieniu jak potępień. Jakże cięża jest samotności dla człowieka drętego wyrzutami sumienia! Ale widocznie kara była jeszcze niedostateczna: nieszczęśliwy zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że powoli dziczeje. Czując, że staje się zwierzęciem. Nie może wam powiedzieć czy to nastąpiło po dwóch czy po czterech latach osamotnienia, ale w końcu stał się takim, jakim go znaleźliście. Nie muszę chyba dodawać, że Ayrton, Ben Joyce i ja to jedna i ta sama osoba. Pod koniec opowiadania Cyrus Smith i jego towarzysze wstali z krzesła. Trudno opisać do jakiego stopnia byli wzruszeni. Zobaczyli przed sobą całe morze niedoli, cierpienia i rozpacz. "Ayrton przemówił Cyrus Smith był pan wielkim zbrodniarzem, ale Opatrzność znała, że odpokutował pan za swoje grzechy. W dowód tego sprowadziła pana do nas. Ayrton, uzyskał pan przebaczenie! A teraz, czy chce pan zostać moim towarzyszem? Ayrton cofnął się krok. "Oto moja rzecz" powiedział inżynier. Ayrton rzucił sięby uściskać przyjaciela, a z oczu jego potoczyły się łzy. "Czy chce pan zamieszkać z nami?" zapytał Cyrus Smith. "Panie Smith, niech pan pozostawi mnie jeszcze przez pewien czas samego w domku przy zagrodzie. Jak pan sobie życzy zgodzi się Cyrus Smith. Ayrton zamierzał już odejść, gdy inżynier zadał mu ostatnie pytanie: "Jedno słowo, przyjacielu. Jeżeli pan zdecydował się pozostać samotności, to dlaczego wrzucił pan do morza ten dokument, który naprowadzi nas na pana ślad? Dokument?" powtórzył Ayrton, a mima jego świadcząca, że nie bardzo wie, o czym mowa. "Tak, dokument zamknij w znalezionej przez nas butelce, określając dokładnie położenie wyspy Tabor. Ayrton przetarł czoło dłonią. Wreszcie po namyśle odpowiedział: "Nigdy nie wrzucę do morza żadnego dokumentu. Nigdy! Zawołał Pencroff. "Nigdy! Ayrton skłonił się cofnął do drzwi i wyszedł.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. rozmowa. Cyrus Smith i Gedeon Spi-lett. Pomysł inżyniera. Elektryczny telegraf. Bateria. Alfabet. Letni sezon. Dorobek kolonii. Fotografia. Złodziejstwo. Dwa lata na Wyspie Lincoln. biedak! "powiedział Harbert. Chłopiec rzucił się do drzwi,

ale wnet powr<sup>o</sup>, gdy<sup>o</sup> Ayrton, uchwyciwszy si<sup>e</sup>iny windy, znikn<sup>o</sup> w ciemno<sup>ci</sup>ach. Wr<sup>o</sup> pociesza<sup>o</sup> go Cyrus Smith. Panie Cyrusie, co<sup>u</sup> diab<sup>a</sup> ma to wszystko znaczy<sup>o</sup> zawo<sup>a</sup> Pencroff. A wi<sup>o</sup>to nie Ayrton rzuci<sup>o</sup> butelk<sup>o</sup>o morza? No to kto? Doprawdy, by<sup>o</sup> to najw<sup>a</sup>ciwsze w tej chwili pytanie. To na pewno on<sup>o</sup> odezwa<sup>o</sup> si<sup>e</sup>ab<sup>o</sup> tylko<sup>o</sup> biedak ju<sup>o</sup> wtedy by<sup>o</sup> na p<sup>b</sup>kany. Tak<sup>o</sup> potwierdzi<sup>o</sup> Harbert<sup>o</sup> i nie zdawa<sup>o</sup> sobie sprawy z tego, co czyni. Tylko w ten spos<sup>o</sup>na to wszystko wyt<sup>o</sup>umaczy<sup>o</sup> ywo dorzuci<sup>o</sup> Cyrus Smith. Teraz ju<sup>o</sup> rozumiem, dlaczego Ayrton m<sup>o</sup>z tak<sup>o</sup> dok<sup>o</sup>adno<sup>ci</sup> poda<sup>o</sup>o<sup>o</sup>enie wyspy Tabor: pozna<sup>o</sup> je podczas wypadk<sup>o</sup>oprzedzaj<sup>o</sup>cych pozostawienie go na tej wyspie. A jednak<sup>o</sup> upiera<sup>o</sup> si<sup>e</sup>encroff<sup>o</sup> je<sup>o</sup>eli by<sup>o</sup> jeszcze cho<sup>o</sup>roch<sup>o</sup>ormalny, kiedy pisa<sup>o</sup> ten dokument, to znaczy, <sup>e</sup> musia<sup>o</sup> wrzuci<sup>o</sup>o do morza siedem czy osiem lat temu; jak<sup>e</sup> wi<sup>o</sup>si<sup>o</sup>ta<sup>o</sup>, <sup>e</sup> papier nie uleg<sup>o</sup> zniszczeniu pod wp<sup>o</sup>ywem wilgoci? To dowodzi<sup>o</sup> odpar<sup>o</sup> Cyrus Smith<sup>o</sup> <sup>e</sup> Ayrton popad<sup>o</sup> w ob<sup>o</sup>znacznie p<sup>o</sup>ej, ni<sup>o</sup> mu si<sup>o</sup>ydaje. Chyba <sup>e</sup> tak<sup>o</sup> ust<sup>o</sup>pi<sup>o</sup> Pencroff<sup>o</sup> gdy<sup>o</sup> inaczej ca<sup>a</sup> ta sprawa staje si<sup>e</sup>upe<sup>o</sup>nie niepoj<sup>o</sup>. Pan ma racj<sup>o</sup>zupe<sup>o</sup>nie niepoj<sup>o</sup> uci<sup>o</sup> in<sup>o</sup>ynier, jak gdyby nie chcia<sup>o</sup> przed<sup>o</sup>u<sup>a</sup>ej rozmowy. A czy Ayrton powiedzia<sup>o</sup> prawd<sup>o</sup>o zn<sup>o</sup>apyta<sup>o</sup> marynarz. Tak<sup>o</sup> odrzek<sup>o</sup> reporter. Opowiedziane przez niego wydarzenia s<sup>o</sup> najzupe<sup>o</sup>niej<sup>o</sup> cis<sup>o</sup>e. Przypominam sobie, <sup>e</sup> pisma donosi<sup>o</sup>y o wyprawie podj<sup>o</sup>j przez lorda Glenarvana i o wynikach jego poszukiwa<sup>o</sup>o Ayrton powiedzia<sup>o</sup> prawd<sup>o</sup>o doda<sup>o</sup> Cyrus Smith. Nie nale<sup>o</sup>y w to w<sup>o</sup>tpi<sup>o</sup>Pencroff, gdy<sup>o</sup> ca<sup>a</sup> ta sprawa przedstawia go w okropnym<sup>o</sup> wietle. Gdy kto<sup>o</sup> w ten spos<sup>o</sup>am siebie oskar<sup>o</sup>a, to na pewno m<sup>o</sup>prawd<sup>o</sup>' Nazajutrz, 21 grudnia, koloni<sup>o</sup>ci udali si<sup>e</sup>a brzeg oceanu, a potem wspi<sup>o</sup> si<sup>e</sup>a p<sup>o</sup>askowzg<sup>o</sup>, ale Ayrtona tam ju<sup>o</sup> nie zastali. W nocy musia<sup>o</sup> wr<sup>o</sup> do swego domku w zagrodzie i koloni<sup>o</sup>ci uwa<sup>o</sup>ali za stosowne nie narzuca<sup>o</sup>u swego towarzystwa. Czas zrobi to, czego nie mog<sup>o</sup>y dokona<sup>o</sup>ch pe<sup>o</sup>ne otuchy s<sup>o</sup>owa. \* Harbert, Pencroff i Nab powr<sup>o</sup>i do swoich zwyk<sup>o</sup>ych zaj<sup>o</sup> Tego w<sup>a</sup>nie dnia Cyrus Smith i reporter pracowali wsp<sup>o</sup>e w Kominach. Czy pan wie, drogi Cyrusie<sup>o</sup> odezwa<sup>o</sup> si<sup>e</sup>edeon Spilett<sup>o</sup> <sup>e</sup> wyja<sup>o</sup>nienia, jakich pan udzieli<sup>o</sup> w sprawie butelki, absolutnie nie trafi<sup>o</sup>y mi do prze- konania! Jak mo<sup>o</sup>na przypuszcza<sup>o</sup>o<sup>o</sup> ten nieszcz<sup>o</sup>ik sam napisa<sup>o</sup> dokument i wrzuci<sup>o</sup> butelk<sup>o</sup>o morza nie zachowuj<sup>o</sup>c w pami<sup>o</sup> ani<sup>o</sup> <sup>o</sup>ladu swego uczynku? Tote<sup>o</sup> butelk<sup>o</sup>cale nie on wrzuci<sup>o</sup> do morza, drogi Gedeonie. My<sup>o</sup>li pan wci<sup>o</sup>o jeszcze... Nic nie my<sup>o</sup>l<sup>o</sup> nic nie wiem! przerwa<sup>o</sup> Cyrus Smith reporterowi. Po prostu zaliczy<sup>o</sup>em ten incydent do spraw, kt<sup>o</sup>h do dnia dzisiejszego nie zdo<sup>o</sup>a<sup>o</sup>em rozwik<sup>o</sup>a<sup>o</sup> Rzeczywi<sup>o</sup>cie, Cyrusie, to s<sup>o</sup> jakie<sup>o</sup> nieprawdopodobne historie. Fakt uratowania pana, skrzynia wyrzucona na brzeg, napady w<sup>o</sup>ciek<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ci Topa, a wreszcie ta butelka... Czy<sup>o</sup> nigdy nie wyja<sup>o</sup>nimy tych zagadek? A jak<sup>e</sup> <sup>o</sup> odpar<sup>o</sup> ywo in<sup>o</sup>ynier. A jak<sup>e</sup>! Ale dopiero wtedy, kiedy spenetrujemy wysp<sup>o</sup> do jej wn<sup>o</sup>za. A mo<sup>o</sup>e przypadek da nam do r<sup>o</sup> klucz tej tajemnicy? Przypadek? Nie, Gedeonie, nie wierz<sup>o</sup> przypadek, tak samo jak nie wierz<sup>o</sup> jakie<sup>o</sup> nadprzyrodzone si<sup>o</sup>y. Wszystkie niepoj<sup>o</sup> rzeczy, jakie si<sup>o</sup>u dziej<sup>o</sup>, musz<sup>o</sup> mie<sup>o</sup>ak<sup>o</sup> przyczyn<sup>o</sup> t<sup>o</sup>rzyczyn<sup>o</sup>usz<sup>o</sup>dkry<sup>o</sup>Na razie jednak obserwujmy nie przerywaj<sup>o</sup>c pracy. Nadszed<sup>o</sup> stycze<sup>o</sup>aczyna<sup>o</sup> si<sup>o</sup>ok 1867. Letnie prace prowadzono systematycznie. W pierwszych dniach stycznia Gedeon Spilett i Harbert, b<sup>o</sup>c w pobl<sup>o</sup>u zagrody mogli stwierdzi<sup>o</sup>o<sup>o</sup>e Ayrton na dobre zadowowi<sup>o</sup> si<sup>e</sup> przygotowanym dla niego pomieszczeniu. Zajmowa<sup>o</sup> si<sup>e</sup>owierzonym mu stadem oszcz<sup>o</sup>aj<sup>o</sup>c w ten spos<sup>o</sup>olonistom przychodzenia tam co dwa czy trzy dni. Ze wzgl<sup>o</sup> na pewne podejrzenia, jakie powzi<sup>o</sup> in-<sup>o</sup>ynier i Gedeon Spilett, nie by<sup>o</sup>o tak<sup>e</sup> spraw<sup>o</sup> zb<sup>o</sup> poddanie tej cz<sup>o</sup>i wyspy ci<sup>o</sup>g<sup>o</sup>ym obserwacjom. Dlatego te<sup>o</sup> zobowi<sup>o</sup>zano Ayrtona, <sup>e</sup>by natychmiast da<sup>o</sup> zna<sup>o</sup>ieszka<sup>o</sup> Granitowego Pa<sup>o</sup>acu, w razie gdyby zaszed<sup>o</sup> jakikolwiek wypadek. Mog<sup>o</sup>o jednak sta<sup>o</sup>i<sup>o</sup>ak,

Je wypadek bnie nagy i trzeba bnie poda o niezwocznie do wiadomoci inyniera. Niezalenie od faktajcych jaki zwizek z tajemnic Wyspy Lincolna mogy zajzozmaite inne wydarzenia, wymagajce natychmiastowej interwencji kolonistjak na przykad ukazanie siatku na morzu od strony zachodniego wybrzea, katastrofa okrwa na zachd wyspy, najcie pirat tak dalej. Dlatego te Cyrus Smith postanowi przeprowadziyskawicznyczoomi y zagroda Granitowym Paacem. 10 stycznia inynier przedstawi towarzyszom swprojekt. To nadzwyczajne, ale w jaki sposamierza pan si do tego zabra panie Cyrusie? zapyta Pen-croff. Czyby pan myla przypadkiem o zaoeniu telegrafu? Wanie. Elektrycznego? zdumia siarbert. Tak jest potwierdzi Cyrus Smith. Mamy wszystkie elementy do zrobienia baterii, najtrudniejsze bnie wyprodukowanie drutu, ale mylame damy sobie z tym rada pomoc wycigarki. Jeeli tak owiadczy marynarz to ju wcale nie wtpiame pewnego pi ego dnia pojedziemy przez wyspoci giem. Wzi siido pracy zaczynajc od rzeczy najtrudniejszej, czyli od zrobienia drutu, w razie bowiem gdyby ta prspez na niczym, to i bateria, i wszystkie inne czci aparatu byy niepotrzebne. Jak wiadomo, Wyspa Lincolna posiadaa wspania y gatunek elaza, doskonale nadajcy sio rozci gania. Cyrus Smith zacz przed wszystkim od zrobienia wycigarki, czyli stalowej p ytki usianej okr g ymi otworami r go kalibru. Przechodz c przez odpowiednie otwory drut nabiera potrzebnej gruboci. P ytki stalowa zosta doskonale zahartowana, a nastie przymocowano j na sta e do wkopanej w ziemi mocnej ramy w odlegoci zaledwie kilku st du ego wodospadu, ktin inynier mia z zamiar zu ytkowa ako si ap w, By tam przecie zainstalowany, obecnie nieczynny, folusz, kt o wa, obracany z niezwyk si mpos u y o nawijania i wyci gania drutu. Czynno a wymaga a wielkiej uwagi. elazo, przygotowane w d u gich i w skich prch o spi owanych r nie ko h wk adano do najwi zego otworu p yty stalowej i wyci gano nawijaj c na wa; tak otrzymywa o si w d u go ci dwudziestu pi u do trzydziestu st Nastie zw ozkr no i drut przepuszczano przez coraz mniejsze otwory. W ko in inynier otrzyma druty d u go ci od czterdziestu do pi ziesi u st kt mo na by o po czy z atwo ci przeci gn a przestrzeni pi u mil dziel cych zagrod d Granitowego Pa acu. Na tej pracy zesz o kilka dni; inynier, po puszczeniu ca ego urz dzenia w ruch, pozostawi towarzyszom wyko nie rob ruciarskich, sam za zaj z przygotowaniem baterii. Chodzi o mu o to, by otrzyma ateri r du sta ego. Jak wiadomo, elementy nowoczesnych baterii sk adaj si azwyczaj z wa retortowego, cynku i miedzi. Miedzi nie mia in inynier zupe nie, gdy pomimo starannych poszukiwa e znalaz jej na Wyspie Lincolna. Trzeba wi by o jako si ez niej obej W el retortowy, czyli twardy grafit otrzymywany w retortach gazowni przez cakowite usuni e wodoru, mo na by ostatecznie uzyska ale w tym celu trzeba by zbudowa pecjalne aparaty, co kosztowa oby wiele pracy. Co za do cynku, to jak sobie zapewne wszyscy przypominaj, znaleziona na brzegu skrzynia by a obita blach z tego metalu; nie mo na by o jej lepiej wykorzysta i do wyrobu baterii. Po g kim namy le Cyrus Smith postanowi sporz dzi roste ogniwo, podobne do wynalezonego przez Bec uerela \* w 1820 roku, gdy potrzebny by do tego tylko cynk. Inne substancje, jak kwas azotowy czy potas, mia do dyspozycji. Ogniwo wytwarzaj ce pr d wskutek reakcji zachodz cej pomi y kwasem a potasem wykonano w spos ast j cy: Wyprodukowano pewn ilo aczy klanych i wype niono je kwasem azotowym. Inynier zatka je korkiem, przez kt przechodzi a szklana rurka z jednego ko zatopiona; drugi, g koniec mia by anurzony w kwasie poprzez tampon z gliny, przymocowany p m. Do rurki tej przez g otw n inynier wla

roczyn potasu otrzymanego ze spopielenia r $\dot{c}$ h ro $\dot{c}$ lin i w ten spos $\dot{c}$ was azotowy i potas mog $\dot{c}$ y oddzia $\dot{c}$ ywa $\dot{c}$ a siebie wzajemnie poprzez glink $\dot{c}$ . Nast $\dot{c}$ ie Cyrus Smith wzi $\dot{c}$  dwie p $\dot{c}$ ytki cynkowe i zanurzy $\dot{c}$  jedn $\dot{c}$  w kwasie azotowym, drug $\dot{c}$  w rozczy-nie potasu. Wytworzy $\dot{c}$  si $\dot{c}$ atychmiast pr $\dot{c}$ d, przechodz $\dot{c}$ cy od p $\dot{c}$ ytki zanurzonej w naczyniu do p $\dot{c}$ ytki w rurce; po po $\dot{c}$ czeniu drutem obu p $\dot{c}$ ytek p $\dot{c}$ ytka w rurce sta $\dot{c}$ a si $\dot{c}$ iegunem dodatnim, p $\dot{c}$ ytka za $\dot{c}$  w naczyniu  $\dot{c}$  biegunem ujemnym. W ka $\dot{c}$ dym naczyniu wytwarza $\dot{c}$  si $\dot{c}$ atem pr $\dot{c}$ d, a  $\dot{c}$ cz $\dot{c}$ c odpowiednio ilo $\dot{c}$ aczy $\dot{c}$ na by $\dot{c}$ o otrzyma $\dot{c}$ r $\dot{c}$ d dostatecznie silny do wywo $\dot{c}$ ania wszelkich zjawisk zachodz $\dot{c}$ cych w telegrafie elektrycznym. Taki oto by $\dot{c}$  pomys $\dot{c}$ owy, a zarazem bardzo prosty aparat zbudowany przez Cyrusa Smitha. Mia $\dot{c}$  on umo $\dot{c}$ liwi $\dot{c}$ n $\dot{c}$ ynierowi telegraficzne po $\dot{c}$ czenie pomi $\dot{c}$ y Granitowym Pa $\dot{c}$ acem a zagrod $\dot{c}$ . W dniu 6 lutego zacz $\dot{c}$  wkopywa $\dot{c}$ upy zaopatrzone w szklane izolatory. S $\dot{c}$ upy mia $\dot{c}$ y prowadzi $\dot{c}$ ruty do zagrody. Po paru dniach druty by $\dot{c}$ y przeci $\dot{c}$ gni $\dot{c}$  i gotowe do przekazywania pr $\dot{c}$ du elektrycznego z szybko $\dot{c}$ ci $\dot{c}$  stu tysi $\dot{c}$  kilometr $\dot{c}$ a sekund $\dot{c}$ ziemia za $\dot{c}$  mia $\dot{c}$ a go doprowadzi $\dot{c}$  powrotem do punktu wyj $\dot{c}$ ciowego. Zrobiono dwie baterie', jedn $\dot{c}$  dla Granitowego Pa $\dot{c}$ acu, drug $\dot{c}$  dla zagrody, a $\dot{c}$ eby nie tylko zagroda mia $\dot{c}$ a po $\dot{c}$ czenie z Granitowym Pa $\dot{c}$ acem, ale tak $\dot{c}$ e i odwrotnie. Odbiornik i nadajnik by $\dot{c}$ y bardzo proste. Na obu stacjach drut by $\dot{c}$  zako $\dot{c}$ ny elektromagnesem, czyli kawa $\dot{c}$ kiem mi $\dot{c}$ iego  $\dot{c}$ elaza oplecionego cienkim drutem. Gdy obydw $\dot{c}$ a bieguny by $\dot{c}$ y po $\dot{c}$ czone, pr $\dot{c}$ d, p $\dot{c}$ yn $\dot{c}$ c od bieguna dodatniego, przechodzi $\dot{c}$  przez drut, nast $\dot{c}$ ie przez elektromagnes, kt $\dot{c}$ ulega $\dot{c}$  czasowemu namagnesowaniu, i powraca $\dot{c}$  ziemi $\dot{c}$  do bieguna ujemnego. Gdy pr $\dot{c}$ d przerywano, elektromagnes natychmiast ulega $\dot{c}$  rozmagnesowaniu. Wystarczy $\dot{c}$ o wi $\dot{c}$ umie $\dot{c}$ ci $\dot{c}$  przed elektromagnesem p $\dot{c}$ ytk $\dot{c}$  mi $\dot{c}$ iego  $\dot{c}$ elaza, kt $\dot{c}$ by przy zamkni $\dot{c}$ u obwodu by $\dot{c}$ a przyci $\dot{c}$ gana, po przerwaniu za $\dot{c}$   $\dot{c}$  opada $\dot{c}$ a. Po wypr $\dot{c}$ aniu ruch $\dot{c}$ cytki Cy- rus Smith m $\dot{c}$ ju $\dot{c}$  z  $\dot{c}$ atwo $\dot{c}$ ci $\dot{c}$  przytwierdzi $\dot{c}$ o niej ig $\dot{c}$ oruszaj $\dot{c}$ c $\dot{c}$  si $\dot{c}$ o tarczy z literami alfabetu u do $\dot{c}$ u i w ten spos $\dot{c}$ orozumiewa $\dot{c}$ i $\dot{c}$ e stacjami. Dwunastego instalacja zosta $\dot{c}$ a ca $\dot{c}$ kowicie uko $\dot{c}$ na. Cyrus Smith natychmiast w $\dot{c}$ czy $\dot{c}$  pr $\dot{c}$ d i zapyta $\dot{c}$ , czy w zagrodzie wszystko jest w porz $\dot{c}$ dku; po kilku chwilach otrzyma $\dot{c}$  od Ayrtona odpowied $\dot{c}$ . Pencroff nie posiada $\dot{c}$  si $\dot{c}$  rado $\dot{c}$ ci; ka $\dot{c}$ dego ranka i wieczora nadawa $\dot{c}$  do zagrody depesz $\dot{c}$  zawsze otrzymywa $\dot{c}$  odpowied $\dot{c}$ . Ten spos $\dot{c}$ orozumiewania si $\dot{c}$ ia $\dot{c}$  dwie realne korzy $\dot{c}$ ci: po pierwsze  $\dot{c}$  pozwala $\dot{c}$  na stwierdzenie,  $\dot{c}$ e Ayr-ton jest na miejscu, a nast $\dot{c}$ ie  $\dot{c}$  nie pozostawia $\dot{c}$  go w zupe $\dot{c}$ nej samotno $\dot{c}$ ci. Zreszt $\dot{c}$  Cyrus Smith co najmniej raz w tygodniu bywa $\dot{c}$  w zagrodzie, Ayrton za $\dot{c}$  tak $\dot{c}$ e od czasu do czasu odwiedza $\dot{c}$  Granitowy Pa $\dot{c}$ ac, gdzie doznawa $\dot{c}$  zawsze jak najserdeczniejszego przyj $\dot{c}$ a. Lato min $\dot{c}$  w $\dot{c}$ r $\dot{c}$ wyk $\dot{c}$ ej codziennej pracy. Zasoby kolonii, zw $\dot{c}$ aszcza je $\dot{c}$ li chodzi o warzywa i zbo $\dot{c}$ e, wzrasta $\dot{c}$ y z ka $\dot{c}$ dym dniem, a przywiezione z wyspy Tabor nasiona wzesz $\dot{c}$ y i da $\dot{c}$ y wspania $\dot{c}$ e plony. P $\dot{c}$ askowzg $\dot{c}$  Rozleg $\dot{c}$ ego Widoku nabra $\dot{c}$ o bardzo dostatniego wygl $\dot{c}$ du. Czwarte  $\dot{c}$ niwa da $\dot{c}$ y niezwykle obfity plon i jak mo $\dot{c}$ na si $\dot{c}$ atwo domy $\dot{c}$ li $\dot{c}$ nikt nie liczy $\dot{c}$  ziarenek, aby sprawdzi $\dot{c}$ czy jest ich naprawd $\dot{c}$ zteryista miliard $\dot{c}$ Pencroff mia $\dot{c}$  wprawdzie zamiar to zrobi $\dot{c}$ ale Cyrus Smith przekona $\dot{c}$  go,  $\dot{c}$ e nawet gdyby zdo $\dot{c}$ a $\dot{c}$  przeliczy $\dot{c}$ rzysta ziaren na minut $\dot{c}$ czyli dziesi $\dot{c}$ tysi $\dot{c}$  na godzin $\dot{c}$ to jeszcze musia $\dot{c}$ by zu $\dot{c}$ y $\dot{c}$ ko $\dot{c}$ o pi $\dot{c}$ u tysi $\dot{c}$  lat na t $\dot{c}$ rac $\dot{c}$ wobec takiego argumentu poczciwy "marynarz zrezygnowa $\dot{c}$  ze swego zamiaru. Pogoda by $\dot{c}$ a wspania $\dot{c}$ a, w dzie $\dot{c}$ nowa $\dot{c}$ y upa $\dot{c}$ y, ale wieczorem wiatr od morza ch $\dot{c}$ odzi $\dot{c}$  rozpra $\dot{c}$ one powietrze, tak  $\dot{c}$ e noce nie by $\dot{c}$ y duszne. Kilka burz, niezbyt d $\dot{c}$ ugotrwa $\dot{c}$ ych wprawdzie, ale niezwykle gwa $\dot{c}$ townych, nawiedzi $\dot{c}$ o wysp $\dot{c}$ Przez par $\dot{c}$ odzin b $\dot{c}$ ysskawice bez przerwy przecina $\dot{c}$ y niebo i s $\dot{c}$ ycha $\dot{c}$ y $\dot{c}$ o ci $\dot{c}$ g $\dot{c}$ y huk grzmot $\dot{c}$  Kolonistom w tym czasie  $\dot{c}$ wietnie si $\dot{c}$ owodzi $\dot{c}$ o. Ptaszarnia rozmna $\dot{c}$ a $\dot{c}$ a si $\dot{c}$  ka $\dot{c}$ dym dniem i do spo $\dot{c}$ ycia wystarcza $\dot{c}$  przyrost drobiu, gdy $\dot{c}$  trzeba by $\dot{c}$ o utrzyma $\dot{c}$ ego ilo $\dot{c}$  jakich $\dot{c}$  racjonalnych granicach. Maciory

oprosi si tak e dogladanie i karmienie trzody zabiera o wiele czasu Nabowi i Pencroffowi. Onagrom przybyly dwa rebaki. Najczniej je dzi na nich Ge-deon Spilett i Harbert, kt sta si nakomitym je d-cem. Onagry zaprzno tak e do w, by przewie o Granitowego Paacu drzewo, w el b d te r minera y potrzebne in ynierowi. Mniej wi j w tym samym czasie zrobiono par ypraw w najdalsze zak tki Las alekiego Zachodu. Mo na by o wybra i am pomimo wielkiego upa u, gdy promienie s oneczne z trudem przebija y si rzez g kopy a i li ci. Zbadano wi ca y lewy brzeg Rzeki Dzi zynienia, wzdu kt o bieg a droga wiod ca od zagrody do uj cia Rzeki Wodospadu. Na wyprawykoloni ci wyruszali dobrze uzbrojeni, gdy cz o spotykali niebezpieczne i z e dziki, z kt i trzeba by o stacza owane walki. W czasie lata wydano tak e bezlitosn wojn aguarom. Gedeon Spilett pa a do nich specjaln nienawi ci, a jego ucze rbert bynajmniej nie ust wa mu pod tym wzgl m. B c teraz dobrze uzbrojeni, nie obawiali si u spotkania z tymi drapie nikami. Har-berta cechowa a nadzwyczajna odwaga, reporter za mia zdumiewaj co zimn krew, tote ze dwadzie cia pi ych sk dobi o ju wielk sal ranitowego Paacu, a gdyby dalej tak posz o, niebawem polowania na jaguary nale a yby na Wyspie Lincolna do przesz o ci. In ynier bra niekiedy udia w wyprawach badawczych, przeprowadzanych w nie znanych dot d cz iach wyspy, i zawsze obserwowa wszystko z nie s abn c uwag. Szuka on innych lad i zwierz w tych dalekich, le nych ost ch, ale nie znalaz dotychczas nic podejrzanego. Towarzysz cy mu w wyprawach pies i ma pa nie zdradza y swoim zachowaniem adnego zaniepokojenia, a przecie nadal zdarza o si e Top ujada przy otworze studni, kt in ynier zbada, aczkolwiek bez adnego rezultatu. Gedeon Spilett robi w tym czasie przy pomocy Har-berta kilka zdj najbardziej malowniczych cz i wyspy. Przedtem znaleziony w skrzyni aparat fotograficzny le a bezu ytecznie. Aparat mia pot y obiektyw i by wyposa ony we wszystko, co potrzeba. W skrzyni znaleziono odczynniki do wywo ywania klisz i robienia odbitek, kolodium do poci gania szklanych p ytek, azotan srebra do uczulania, siarczan sodu do utrwalania klisz, chlorek amonowy do k pania papierowych odbitek, octan sodu i chlorek z ota do impregnowania wiat oczu ego papieru. By y tam nawet nachlorowane papiery, kt wystarczy o zanurzy ylko na kilka minut w wodnym roztworze srebra przed na o eniem ich na negatywy. Reporter ze swym pomocnikiem stali si kr do wiadczonymi fotografami i niebawem mieli ju wcale adne zdj a, jak na przykad og widok wyspy z p askowzg z rysuj c si a horyzoncie G Franklina, uj cie Rzeki Dzi zynienia malowniczo obramowane wysokimi ska ami, polank zagrod rzyle pion do dolnych zboczy g ciekaw panoram rzyl dka Pazura, Cypla Skrzyni i tak dalej. Fotografowie nie zapomnieli o zrobieniu zdj ka dego z mieszka wyspy, nie czyni c adnego wy jtku. To zape nia pokoje mawia Pencroff. Marynarz by zachwycony tym, e jego fotografia, bardzo zreszt udana, zdobi ciany Granitowego Paacu, i ch ie przystawa przed swoim zdjem, tak jak gdyby by na jakiej pi ej wystawie na Broadwayu. Trzeba jednak stwierdzi e najbardziej uda o si dj e im upa. Pozowa on z powag nie daj c si prost opisa jego portret by pe en wyrazu. Jakby za chwil ia robi ak min zachwyca si encroff. Doprawdy, Jup musia by by hyba bardzo wybredny; gdyby nie by zadowolony z tego zdj a. Na szcz ie jednak nie grymasi i przygl da si wojej podo bi nie z min wzruszon, aczkolwiek nie pozbawion pewnej dozy zarozumia o ci. Wielkie upa y letnie sko y si marcu. Zacz od czasu do czasu pada eszcze, ale powietrze by o nadal ciepe. Marzec, odpowiadaj cy wrze niowi na p li p cnej, nie by jednak tak adny, jakby si o na tego spodziewa. Mo e zapowiada wczesn i ostr zim Pewnego ranka by o to dwudziestego



pierwszego zdawało się awet, że spadł pierwszy śnieg. Harbert, który wstał rano i wyrzucił oknem, nagle zawołał: „Patrzcie, wysepka pokryta jest śniegiem! Śnieg o tej porze?” zdziwił się reporter i podszedł także do okna. Dołączyli się do nich niebawem pozostali towarzysze i wszyscy stwierdzili zgodnie, że nie tylko wysepka, ale także całe wybrzeże w pobliżu Granitowego Pałacu pokryte było białą warstwą, równomiernie otulającą ziemię. „Ale to śnieg!” powiedziała Pencroff. „Albo coś bardzo podobnego do śniegu” dodał Nab. „Przecież termometr wskazuje pięćdziesiąt osiem stopni (14 Celsjusza) powyżej zera” zauważył Ge-deon Spilett. Cyrus nic nie mógł przyglądać się takiej powoście; nie wiedział, jak wytłumaczyć to zjawisko o tej porze roku i przy takiej temperaturze. „Do kogoż diabła wrzask?” powiedział Pencroff „przecież nasze plantacje pomarańczy! Marynarz chciał już biec, lecz wyprzedził go zręczny Jup i w okamgnieniu był na dole. Ale ledwie orangutan dotknął ziemi, gdy olbrzymia powość nie na uniosła się rozproszyła w powietrzu w takiej masie pękającej przez parę minut nie widać słońca. Ptaki! zawołał Harbert. Były to istotnie chmary ptaków orskich o nieskazitelnie białym upierzeniu. Obsiadły wysepki i wybrzeże, a potem pozostawiając zdumionych kolonistów w oddali. Wydawało się, że to jakaś błądliwa zmiana dekoracji, która jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przemieniła zimne lato. Niestety, była ona tak szybka, że ani reporter, ani Harbert nie zdążyli zabić żadnego ptaka, wobec czego nie mogli określić gatunku. W parę dni później, 26 marca, przypadała druga rocznica wylądowania rozbitków powietrznych na Wyspie Lincoln. ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆNASTY. Wspomnienia ojczyzny. Widoki na przyszłość. Projekt zbadania wybrzeży. Odjazd 16 kwietnia. Półsep Serpenty. Widok na morze. Bazalty na zachodnim wybrzeżu. Słota. Nadchodzi noc. Nowe wydarzenie. Już dwa lata! Od dwóch lat koloniści byli pozbawieni wszelkiej styczności ze swymi rodakami. Nie mieli żadnych wiadomości ze świata cywilizowanego, zagubieni byli na tej wyspie jak na jakiejś mikroskopijnej planecie układowej szalonego. Co mogli się zapytać ich kraju? Przed oczyma mieli zawsze obraz ojczyzny rozdartej wojną domową, tak jak to było w chwili, gdy ją opuszczali; może lały się jeszcze potoki krwi, spowodowane rebelią Południa? Myślał ta napawała ich wielkim bólem i czło rozmawiali o tym, nie wątpiąc jednak nigdy, że zwycięska sprawa Państwa, na chwałę Ameryki. Przez te dwa lata nie przepłynął ani jeden statek, a przynajmniej koloniści nie dostrzegli nigdy żagla na widnokrę. Było oczywiste, że Wyspa Lincoln leży poza szlakiem okrążym i że jest zupełnie nieznana i o czym zresztą najlepiej świadczyły mapy. Brak portu w pobliżu powinien być ciężką przeszkodą dla wysp; statki pragnące zaopatrzyć się w wodę tymczasem morze, jak daleko się wzrok ludzki, było zupełnie pustynne. Koloniści więc chcąc powrócić do kraju, musieli liczyć wyłącznie na siebie samych, Istniała tylko jedna szansa powrotu i ją to właśnie omawiali koloniści, zebrani pewnego kwietniowego poranka w dużej sali Granitowego Pałacu. Ktoś wspominał o Ameryce i to wywołało długą rozmowę kraju ojczystym. „Stanowczo mamy tylko jeden jedyny sposób opuścić wyspę Lincoln” odezwał się Ge-deon Spilett. „Mianowicie trzeba zbudować statek dostatecznie silny, aby zdołał przebyć kilkaset mil. Sądząc jeeli nam się dało zbudować statek, to tak samo możemy zrobić statek. I że tak, jak popłynęliśmy na wyspę abor, możemy popłynąć archipelag Puamotu” dodał Harbert. „Nie przeczę” powiedziała Pencroff, „która miała zawsze ostateczny głos, gdy chodziło o żeglarsstwo” nie przeczę pomimo że to nie jest zupełnie samo. Jeeli nawet w czasie podróży na wyspę abor przeżyliśmy parę ich chwil, to przecież wiedzieliśmy dobrze, że z tej czy z tamtej strony mamy do portu niedaleko; ale tysiąc dwieście mil to już żaden rejsik, a najbliższy ląd jest

właśnie w odległości tysiąca dwustu mil. Czy w razie czego nie zaryzykowałby pan takiej wyprawy? zapytał reporter. Zaryzykuj wszystko, co będzie trzeba, panie Ge-deonie. Przecież pan chyba wie, że nie należą do ludzi, którzy cofają się przed niebezpieczeństwem. Nie trzeba zapominać, że teraz mamy wkrętas o jednego marynarza więcej zauważył Nab. C

Kogo masz na myśli? zapytał Pencroff. Ayrtona. Racja potwierdził Harbert. Jeżeli zgodzi się racją o kraju wyraził powzięcie Pencroff. A co pan sądzi obruszył się reporter że gdyby jacht lorda Glenarvana zawinął na wyspę Tabor wkrętas, gdy Ayrton jeszcze tam przebywał, to on odmówiłby powrotu? Zapominacie, drodzy przyjaciele, że w ostatnich latach Ayrton nie był w pełni świadomych uspokoił ich Cyrus Smith. Zresztą to nie jest istotne. Musimy się zastanowić czy może o powrocie mamy szansę dzięki przyjazd tego szkockiego statku, czy nie. Oportord Glenarvan obiecał Ayrtonowi, że przyjedzie po niego, gdy uzna, że minął do czasu na odpokutowanie grzechów Osobiście jestem zdania, że lord wrępo Ayrtona. Słusznie zgodził się reporter i nawet myśleliśmy nastąpi to niebawem, gdy właśnie mija dwanaście lat od chwili, kiedy Ayrton został osadzony na wyspie. Zgadza się wami całkowicie, że lord powróci powiedział Pencroff. Ale dokąd? Przecież nie tu, tylko na wyspęabor. Tym bardziej dodał Harbert że Wyspy Lincolnia nie ma nawet na mapie. Toteż musimy na wyspie Tabor pozostawić wiadomość że razem z Ayrtonem znajdujemy się na Wyspie Lincolnia zdecydował inżynier. Oczywiście przytaknął reporter. Nic łatwiejszego, jak złożyć domku, któryby schronieniem zarządkapitana Granta, jak i Ayrtona, jak notatkę odajcie dokądnie położenie naszej wyspy. Lord Glenarvan czy ktoś z jego żąłogi z całą pewnością znajdzie ten dokument. Szkoda, że w czasie naszej bytności na wyspie Tabor nie pomyśleliśmy o tym ubolewał Pencroff. A w jaki sposób to nam przyjdzie gowy? zreflektował go Harbert. Przecież wtedy nie znaliśmy jeszcze dzieł Ayrtona, nie wiedzieliśmy, że ktoś ma po niego kiedy przyjechał. Gdy się tym dowiedzieli, pora byłaby już nieodpowiednia, aby przedsięwziąć wyprawę na wyspęabor. Słusznie poparł go Cyrus Smith jest już za późno. Trzeba odłożyć wyprawę wiosną. Tak, a jeżeli tymczasem szkocki jacht przybędzie? niepokoił się Pencroff. To jest mało prawdopodobne odparł inżynier gdy lord Glenarvan na pewno nie wybierze pory zimowej na tak trudną podróż o dalekich morzach. Albo przez te pięć miesięcy, w czasie których Ayrton jest z nami, zdoła już być na wyspie Tabor, no i odpłynął z powrotem, albo przybędzie dopiero później, a wtedy mamy czas w pierwszych dniach października, gdy się ogoda ustali, wybrać i wyspęabor i pozostawić notatkę. Trzeba przyznać że byłoby to doprawdy nieszczęśliwy traf, gdyby "Duncan" złożył w ciągu ostatnich miesięcy odwiedzić morza. Mam nadzieję że tak nie będzie uspokoił go Cyrus Smith i że Opatrzność pozbawi nas jedynej szansy, jaka nam pozostała. Jestem zdania wtręcił reporter że tak czy inaczej będziemy wiedzieli, jak sprawa wygląda, dopiero po powrocie na wyspęabor, w razie bowiem gdyby Szkoci już tam wcześniej wylądowali, zostawiliby niewątpliwie jakiś ślad swego pobytu. To jest więcej niż pewne zgodził się nim inżynier. A zatem, przyjaciele, ponieważ istnieje jeszcze taka możliwość powrotu do kraju, czekajmy na nią cierpliwie, a gdyby się okazało, że jej nie ma, wówczas zastanowimy się co robić dalej. W każdym razie mruknął Pencroff jeżeli kiedykolwiek w ten czy inny sposób puścimy Wyspę Lincolnia, to z całą pewnością nie dlatego, że nam tu źle. Nie, Pencroff powiedział inżynier zrobimy to jedynie dlatego, że jesteśmy tu z dala od wszystkiego, co człowiek najbardziej kocha na świecie, mianowicie z dala od rodziny, od przyjaciół ziemi ojczystej. Sprawa zbudowania dużego statku, na którym na by

zaryzykowała odrzucić na pół, w stronę archipelagu na zachód w kierunku Nowej Zelandii, na razie upadła. Kolonicy zajęli się tymczasem zwykłymi pracami, związanymi z przygotowaniem do trzeciego zimowania w Granitowym Pałacu. Zdecydowali jednak skorzystać ze słupki i przed nastaniem mrozu przynieść żywność. Dokładne badanie wybrzeży nie było jeszcze zakończone i kolonicy mieli do siebie niewiele wiadomości o tym, jak wygląda wybrzeże północne i zachodnie od ujścia Rzeki Wodospadu do Przylądka Szczepa, a także w skała zatoka wrzynająca się głęboko w kształcie paszczy rekina. Gdy Pencroff zgłosił projekt wycieczki, Cyrus Smith przyklasnął mu gorąco, gdy sam także chciał obejrzeć ich posiadłości. Pogoda była zmienna, ale barometr nie robił skoku, można było liczyć, że warunki atmosferyczne nie staną na przeszkodzie. Właśnie w pierwszym tygodniu kwietnia, po dużym niżu barometrycznym, silny wiatr zachodni, dmący przez północ, zapo-

czyna ponowny wycieczki; następnie barometr ustalił się, wskazując ciśnienie 759,45 mm i ten moment uznano za odpowiedni do wyruszenia w drogę. Odjazd wyznaczono na 16 kwietnia i "Bonawentura", stojący na kotwicy w Porcie Balonu, został zaopatrzony na drogę, którą mógłby potrwać około tygodnia. Cyrus Smith poinformował Ayrtona o zamierzonej wyprawie i zaprosił go do wzięcia w niej udziału. Jednak Ayrton wolał pozostać na wyspie, wobec czego postanowiono, że na czas nieobecności kolonistów przeniesie się do Granitowego Pałacu. Towarzystwo miało mu dotrzymać słowa, które zresztą nie wzdraga się przed tym. 16 kwietnia rano kolonicy wsiedli na stateczek w towarzystwie Topa. Duży, dosyć silny wiatr z południowego zachodu i "Bonawentura" musiała lawirować wychodząc z Portu Balonu, aby dojść do Cypla Północnego. Cały obwód wyspy wynosił dziesięć mil, z czego na południowe wybrzeże, od portu do cypla, przypadało około dwudziestu. Te dwadzieścia mil trzeba było przepłynąć jak najbliżej lądu ze względu na silny wiatr. Dotarcie do cypla zajęło całe dziesięć godzin, po wyjściu z portu statek zaledwie przez dwie godziny wykorzystał odpływ, przez sześć godzin natomiast musiał walczyć z falami przypływu. Dlatego też cypel opuścił kolonicy dopiero o zmroku. Pencroff zaproponował inżynierowi, aby dalej posuwać się w kierunku przylądków, ale Cyrus Smith wolał rzucić otwierać kilka kabli od wyspy, aby lepiej obejrzeć wybrzeża w świetle dziennym. Kolonicy postanowili więc, że ze względu na cel wyprawy, dokładne zbadanie wybrzeża nie będzie możliwe, lecz z nastaniem zmroku rzucą kotwicę i nie opodal brzegu, o ile oczywiście pogoda na to pozwoli. Pierwszą noc spędzili pod osłoną cypla, a ponieważ mgła opadła i wiatr się uspokoił, nie było tak ciszy. Wszyscy pasażerowie oprócz marynarza spali, może nie tak wygodnie jak w swoich pokojach w Granitowym Pałacu, ale jakoś przecie spali. Nazajutrz, 17 kwietnia, z nastaniem świtu Pencroff wyciągnął kotwicę. Po zwolnieniu żagli i przymocowaniu chwytu przy lewej burcie przemieścił się blisko zachodniego wybrzeża. Kolonicy znaleźli już dobrze ten zalesiony brzeg, gdy doszli pieszo na sam skraj lasu, a mimo to widok jego wzbudził w nich znowu niekłamany zachwyt. Aby przyszykować dokładne obejrzeli zmniejszili szybko przemieścił się tak blisko brzegu, jak tylko było możliwe, jednocześnie uważając na przylątki tu i tam nie ma drzew. Parokrotnie nawet stanął na kotwicy, a Gedeon Spilett robił zdjęcia przepięknego wybrzeża. Około południa "Bonawentura" dotarła do ujścia Rzeki Wodospadu. W oddali, na prawym brzegu, ukazywały się słabo drzewa, ale rosły one o wiele rzadziej, o jakie za trzy mile dalej tworzyły one już tylko kępy rozrzucone po zachodnich zboczach góry, którą pozbawiony roślinności grzbiet schodził aż do samego oceanu. Jakiś kontrast pomiędzy południowym a północnym wybrzeżem wyspy! Jedno zalesione i pokryte zielenią, drugie jałowe i dzikie. Zupełnie "nieelastyczne wybrzeże", jak

to m<sup>o</sup> w niekt<sup>o</sup>rych krajach, a dziwny uk<sup>o</sup>lad, ska<sup>o</sup> <sup>o</sup>wiadczy<sup>o</sup> o tym, <sup>o</sup>e w odleg<sup>o</sup>lych epokach geologicznych nast<sup>o</sup>pi<sup>o</sup> tu gwa<sup>o</sup>towne och<sup>o</sup>odzenie p<sup>o</sup>ynnego bazaltu. Zaiste, spi<sup>o</sup>zenie g<sup>o</sup>az<sup>o</sup> <sup>o</sup>zgl<sup>o</sup>da<sup>o</sup>o tak gro<sup>o</sup>nie, <sup>o</sup>e gdyby los rzuci<sup>o</sup> rozbitk<sup>o</sup>ajpierw na ten brzeg, to na pewno byliby przera<sup>o</sup>zeni widokiem wyspy. Z G<sup>o</sup>Franklina trudno im by<sup>o</sup>o dojrze<sup>o</sup>e ponure zarysy wybrze<sup>o</sup>a, ale z morza widok by<sup>o</sup> tak niesamowity jak chyba nigdzie na <sup>o</sup>wiecie. <sup>o</sup>Bonawentura" p<sup>o</sup>yn<sup>o</sup> w odleg<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ci p<sup>o</sup>ili od brzegu. Mo<sup>o</sup>na by<sup>o</sup>o bez trudu stwierdzi<sup>o</sup>e wybrze<sup>o</sup>e sk<sup>o</sup>ada<sup>o</sup>o si<sup>o</sup> blok<sup>o</sup>kalnych r<sup>o</sup>j wielko<sup>o</sup>ci, pocz<sup>o</sup>wszy od g<sup>o</sup>az<sup>o</sup>ierz<sup>o</sup>cych dwadzie<sup>o</sup>cia st<sup>o</sup>ysoko<sup>o</sup>ci do trzystustopowych z<sup>o</sup>om<sup>o</sup>Kszta<sup>o</sup>ty ich by<sup>o</sup>by naj-r<sup>o</sup>odniejsze: walcowate jak wie<sup>o</sup>e, w kszta<sup>o</sup>cie gra-niastos<sup>o</sup>upa jak dzwonnice, piramidalne jak obeliski \*, sto<sup>o</sup>kowate jak kominy fabryczne. Bariera wiecznych lod<sup>o</sup>a' morzach podbiegunowych w swojej majestatycznej grozie nie tworzy<sup>o</sup>aby dziwaczniejszego widoku. Tu mostki przerzucone z jednej ska<sup>o</sup>y na drug<sup>o</sup>, tam <sup>o</sup>uki, jakby w jakiej nawie, kt<sup>o</sup> g<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ko<sup>o</sup>ci oko nie zdo<sup>o</sup>a przenikn<sup>o</sup>o<sup>o</sup>tu zn<sup>o</sup>lbrzymie pieczary o monumentalnych sklepieniach; w innym miejscu prawdziwa ci<sup>o</sup>ba iglic, piramidek, strza<sup>o</sup>ek, i to w takiej ilo<sup>o</sup>ci, <sup>o</sup>e nie zmie<sup>o</sup>ci<sup>o</sup>yby si<sup>o</sup> <sup>o</sup>adnej katedrze gotyckiej. Takie oto wybryki natury, bardziej r<sup>o</sup>odne ni<sup>o</sup> twory wyobra<sup>o</sup>ni ludzkiej, sk<sup>o</sup>ada<sup>o</sup>y si<sup>o</sup>a majestatyczn<sup>o</sup>ca<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ybrze<sup>o</sup>a ci<sup>o</sup>gn<sup>o</sup>cego si<sup>o</sup>a przestrzeni o<sup>o</sup>miu-dziewi<sup>o</sup>u mil. Cyrus Smith i jego towarzysze przygl<sup>o</sup>dali si<sup>o</sup>emu ze zdziwieniem granicz<sup>o</sup>ym z ekstaz<sup>o</sup>, nie mog<sup>o</sup>c wykrztusi<sup>o</sup> siebie s<sup>o</sup>owa. Jedynie Top nie kr<sup>o</sup>wa<sup>o</sup> si<sup>o</sup>cale i szczeka<sup>o</sup> tak dono<sup>o</sup>nie, <sup>o</sup>e echo tysi<sup>o</sup>cem g<sup>o</sup>os<sup>o</sup>dbija<sup>o</sup>o si<sup>o</sup>od bazaltowej <sup>o</sup>ciany. In<sup>o</sup>ynier zauwa<sup>o</sup>y<sup>o</sup> nawet, <sup>o</sup>e ujadanie to by<sup>o</sup>o tak samo dziwne jak przy wylocie studni w Granitowym Pa<sup>o</sup>acu. <sup>o</sup>Wyjd<sup>o</sup>my na brzeg <sup>o</sup> zaproponowa<sup>o</sup>. <sup>o</sup>Bonawentura" podp<sup>o</sup>yn<sup>o</sup> pod same ska<sup>o</sup>y. Mo<sup>o</sup>e by<sup>o</sup>a tu jaka<sup>o</sup> grota, kt<sup>o</sup>nale<sup>o</sup>a<sup>o</sup>o zbada<sup>o</sup>Ale Cyrus Smith nie zauwa<sup>o</sup>y<sup>o</sup> nic, ani pieczary, ani szczeliny, kt<sup>o</sup>mog<sup>o</sup>aby s<sup>o</sup>u<sup>o</sup>y<sup>o</sup>omukolwiek za schronienie. Niebawem Top przesta<sup>o</sup> ujada<sup>o</sup>Statek powr<sup>o</sup> na swoje miejsce o kilka kabli od brzegu. W p<sup>o</sup>cno-zachodniej cz<sup>o</sup>i wybrze<sup>o</sup>e sta<sup>o</sup>o si<sup>o</sup><sup>o</sup>askie i piaszczyste. Z nizinej i bagnistej ziemi wyrasta<sup>o</sup>y tu i <sup>o</sup>ie pojedyncze drzewa, kt<sup>o</sup>koloni<sup>o</sup>ci widzieli ju<sup>o</sup> uprzednio z g<sup>o</sup> W przeciwie<sup>o</sup>ie do tamtego, zupe<sup>o</sup>nie pustynnego brzegu <sup>o</sup> tutaj <sup>o</sup>ycie przejawia<sup>o</sup>o si<sup>o</sup>od postaci<sup>o</sup> chmar wodnego ptactwa. Wieczorem <sup>o</sup>Bonawentura" rzuci<sup>o</sup> kotwic<sup>o</sup> lekkim wg<sup>o</sup>o<sup>o</sup>eniu l<sup>o</sup>du na p<sup>o</sup>cnym kra<sup>o</sup>wyspy tu<sup>o</sup> przy brzegu, gdy<sup>o</sup> woda by<sup>o</sup>a tu bardzo g<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ka. Noc przesza<sup>o</sup> spokojnie, wiatr bowiem uciszy<sup>o</sup> si<sup>o</sup>raz z ostatnimi promieniami s<sup>o</sup>o<sup>o</sup>i zerwa<sup>o</sup> si<sup>o</sup>n<sup>o</sup>opiero z pierwszym brzaskiem. Poniewa<sup>o</sup> wyj<sup>o</sup>cie na l<sup>o</sup>d nie przedstawia<sup>o</sup>o <sup>o</sup>adnych trudno<sup>o</sup>ci, zaprzysi<sup>o</sup>ni my<sup>o</sup>liwi kolonii, Harbert i Ge-deon Spilett, poszli na dwugodzin<sup>o</sup> przechadz<sup>o</sup> wr<sup>o</sup>i ob<sup>o</sup>adowani kaczkami i kszykami. Top sprawowa<sup>o</sup> si<sup>o</sup>wietnie i dzi<sup>o</sup> jego staraniom oraz zr<sup>o</sup>no<sup>o</sup>ci nic z ustrzelonej zdobyczy nie posza<sup>o</sup>o na marne. O <sup>o</sup>j rano <sup>o</sup>Bonawentura" podni<sup>o</sup>o<sup>o</sup>agle i pop<sup>o</sup>yn<sup>o</sup> w kierunku p<sup>o</sup>onej cz<sup>o</sup>i Przyl<sup>o</sup>dka Szcz<sup>o</sup> z wiatrem, kt<sup>o</sup>stawa<sup>o</sup> si<sup>o</sup>oraz ch<sup>o</sup>odniejszy. <sup>o</sup> Nie by<sup>o</sup>by wcale zdziwiony, gdyby nagle zerwa<sup>o</sup> si<sup>o</sup>ilny wicher z zachodu <sup>o</sup> stwierdzi<sup>o</sup> Pencroff. <sup>o</sup> Wczoraj s<sup>o</sup>o<sup>o</sup>zachodzi<sup>o</sup>o czerwono, a dzi<sup>o</sup> ju<sup>o</sup> od samego rana w<sup>o</sup>o<sup>o</sup> si<sup>o</sup>hmurki nie wr<sup>o</sup>e nic dobrego. Te chmurki, nazwane przez Pencroffa <sup>o</sup>kocimi ogonami", by<sup>o</sup>by to rozsiane tu i <sup>o</sup>ie po niebie pierzaste ob<sup>o</sup>oki, kt<sup>o</sup>nigdy nie schodz<sup>o</sup> poni<sup>o</sup>ej pi<sup>o</sup>u tysi<sup>o</sup> st<sup>o</sup>onad poziom morza i wygl<sup>o</sup>daj<sup>o</sup> jak lekkie strz<sup>o</sup>i waty. Ich obecno<sup>o</sup>o<sup>o</sup>apowiada zwykle bliskie zaburzenia atmosferyczne. <sup>o</sup> No c<sup>o</sup> odezwa<sup>o</sup> si<sup>o</sup>yrus Smith <sup>o</sup> postawmy tyle <sup>o</sup>agli, ile mo<sup>o</sup>na, i poszukajmy schronienia w Zatoce Rekina. My<sup>o</sup>l<sup>o</sup>o<sup>o</sup>e tam <sup>o</sup>Bonawentura" b<sup>o</sup>ie odpowiednio zabezpieczony. <sup>o</sup> <sup>o</sup>wietnie! <sup>o</sup> ucieszy<sup>o</sup> <sup>o</sup>i<sup>o</sup>encroff. <sup>o</sup> Zreszt<sup>o</sup> p<sup>o</sup>cne wybrze<sup>o</sup>e sk<sup>o</sup>ada si<sup>o</sup>y<sup>o</sup>o<sup>o</sup>cznie z zupe<sup>o</sup>nie nieciekawych wydm. <sup>o</sup> Nie mia<sup>o</sup>by nic przeciwko temu, <sup>o</sup>eby<sup>o</sup>my sp<sup>o</sup>ili w tej zatoce nie tylko noc, ale i dzie<sup>o</sup>trzejszy <sup>o</sup> powiedzia<sup>o</sup> in<sup>o</sup>ynier. <sup>o</sup> Zatok<sup>o</sup>ale<sup>o</sup>y

starannie zbada? ? My?l?e b?iemy do tego zmuszeni ? odpar? Pencroff. ? Od strony zachodu niebo zaczyna wygl?da?ro?nie. Prosz?opatrzy?ile to si?ego gromadzi! ? W ka?dym razie mamy dobry wiatr, a?eby dop?yn?o Przym?dka Szcz? ? zauwa?y? reporter. ? Wiatr jest ?wietny ? zgodzi? si?arynarz ? ale ?eby wej?o zatoki, trzeba b?ie lawirowa?a chocia?bym to zrobi?jeszcze za dnia, gdy? nie znam dobrze tych stron. ? Morze jest tam zapewne usiane rafami ? dorzuci? Harbert ? jak mo?na przypuszcza?a podstawie tego, co?my widzieli w po?udniowej cz?i Zatoki Rekina. ? Niech pan robi, jak pan uwa?a, Pencroff ? zdecydowa? in?ynier ? mamy do pana ca?kowite zaufanie. ? Mo?e pan by?pokojny, panie Cyrusie ? zapewni? marynarz ? na pewno nie b? si?ara?a? bez

potrzeby. Wola?bym otrzyma?ios no?em w sw?asny kad?ub, ni? ?eby ?Bonawentura" nadzia? si?na rafy! Jak widzimy, Pencroff bardziej dba? o statek ni? o swoj? w?asn? sk? ? Kt?godzina? ? zapyta? marynarz. ? Dziesi?ta ? odpowiedzia? Gedeon Spilett. ? Jak daleko mamy jeszcze do przyl?dka, panie Cyrusie? ? Oko?o pi?astu mil. ? No, to zejdzie nam jeszcze ze dwie i p?odziny ? o?wiadczy? marynarz. ? B?iemy w pobli?u przyl?dka mi?y dwunast? a pierwsz?. Niestety, zmieni si?tedy kierunek pr?du i zacznie si?dp?yw. Obawiam si???e trudno nam b?ie wej?o zatoki, maj?c przeciwko sobie wiatr i morze. ? Tym bardziej ?e jest teraz pe?nia ksi?ca, a w og?przyp?ywy i odp?ywy w kwietniu s? bardzo silne ? doda? Harbert. ? No to co, Pencroff? ? wtr?ci? si?yrus Smith. ? Czy nie mo?e pan zakotwiczy?rzy samym cyplu? ? Zakotwiczy? pobli?u l?du, maj?c w perspektywie z?? pogod? ? krzykn?? marynarz. ? Co panu przysz?o do g?owy, panie Cyrusie! Znaczy?oby to, ?e chcemy si?ozbi?obrowolnie! ? Wi?co pan robi? ? B? usi?owa? utrzyma?si?na pe?nym morzu, dop?nie zacznie si?rzyp?yw, i wtedy, je?eli b?ie jeszcze widno, spr??ej?o zatoki; je?eli mi si?ie uda, to ca?? noc b?iemy kr?li si?a morzu i dopiero o wschodzie s?o?wejdziemy do zatoki. ? Powiedzia?em ju?, Pencroff, ?e zdajemy si?a?kowiec na pana ? odpowiedzia? Cyrus Smith. ? Ach! Gdyby? na tym wybrze?u by?a latarnia mor? ska! ? zawo?a? Pencroff. ? Jaka? to by?aby wygoda dla ?eglarzy! ? Tak, zw?aszcz?a ?e tym razem nie b?iemy mieli uprzejmego in?yniera, kt?by nam zapali? ognisko wskazuj?ce drog?o portu ? doda? Harbert. ? Istotnie, drogi Cyrusie ? odezwa? si?edeon Spilett ? jeszcze?my panu dotychczas nie podzi?wali; ale, m?c szczerze, bez tego ognia nigdy by?my nie dobrn?... ? Bez ognia? ? powt?? in?ynier, szczerze zdziwiony s?owami reportera. ? Chcemy powiedzie? panie Cyrusie ? dorzuci? Pencroff ? ?e przez par?odzin poprzedzaj?cych nasz powr?yli?my w wielkim k?opocie na pok?adzie ?Bo-nawentury". Przeszliby?my jak nic obok wyspy, gdyby pan nie rozpali? w nocy z dziewi?astego na dwudziesty pa?dziernika ogniska na p?askowzg? przy Granitowym Pa?acu. ? Tak... tak... Istotnie wpad?em wtedy na szcz?iwy pomys? ! ? mrukn?? in?ynier. ? A tym razem ? doda? marynarz ? nikomu nie przyjdzie do g?owy taka szcz?iwa my?l, chyba ?e Ayrtonowi... ? Nie, nikomu ? pokr?? g?ow? in?ynier. W par?hwil p?ej, znalaz?szy si?a dziobie statku sam na sam z reporterem, in?ynier pochyli? si? szepn?? mu do ucha: ? Je?eli jest na tym ?wiecie cokolwiek pewnego, Gedeonie, to chyba tylko to, ?e w nocy z dziewi?astego na dwudziesty pa?dziernika nie rozpala?em ?adnego ogniska ani na p?askowzg? w pobli?u Granitowego Pa?acu, ani w ?adnym innym punkcie wyspy! ROZDZIA? DWUDZIESTY. Noc na morzu. Zatoka Rekina. Zwierzenia. Przygotowania do zimy. Wczesne s?oty. Mrozy. Prace wewn?trz domostwa. Po sze?ciu miesi?cach. Klisza fotograficzna. Nieoczekiwane zdarzenie. wszystko sta?o si?ak, jak to przewidzia? Pencroff, gdy? do?wiadczenie nie mog?o go omyli? Wiatr przybra? na sile

i z bryzy stał się ichrem, to znaczy, osiągnęło szybko czterdziestu do czterdziestu piątu mil na godzinę. Statek znajdujący się takiej chwili na pełnym morzu musi skręcić gwałtownie. Dochodziła szesnasta, gdy "Bonawentura" znalazła się poblisko zatoki, a ponieważ odpływ trwał nadal, nie sposób było do niej wpłynąć. Trzeba było pozostać na pełnym morzu, gdyż nawet przy najlepszych warunkach Pencroff nie zdążyłby dotrzeć do ujścia Rzeki Dzielnienia. Wciąż gnący wobec tego żagiel sztormowy, czekał utrzymać statek dziobem do lądu. Na szczęście, dzień osłonie wybrzeża, fala pomimo silnego wiatru nie była zbyt wysoka. Nie trzeba było obawiać się wiatrowych uderzeń tak bardzo niebezpiecznych dla małych stateczek. Może nawet "Bonawentura" by się przewróciła, gdyby było dobrze obciążony, jednak ciężkie zwały wody, przelewające się szturmem pokład, mogłyby uszkodzić pokład, gdyby poszycie nie wytrzymało. Marynarz miał, oczywiście, duże zaufanie do swego stateczka, jednak oczekiwał rozwoju nie bez pewnej niecierpliwości. Tej nocy Cyrus Smith i Gedeon Spilett nie mieli już okazji porozmawiać sobie bez świadka, a przecie słowa wyszeptane przez inżyniera do ucha reporterowi na pewno zasługuje na to, by się jeszcze raz zastanowić nad tajemniczymi zjawiskami zachodzącymi na Wyspie Lincoln. Gedeon Spilett bezustannie rozmyślał o tym nowym, zagadkowym wydarzeniu, o ukazaniu się ognia na wybrzeżu. Przecie sam widział ten ogień własnymi oczami! Jego towarzysze, Harbert i Pencroff, widzieli go także. Ogień zwołał im rozpoznanie wyspy w ciemnej noc i nikt z nich ani przez chwilę nie wątpił, że rozpaliła go ręka inżyniera. I nagle Cyrus Smith kategorycznie stwierdza, że nic podobnego nie zrobił. Gedeon Spilet przyrzekł sobie, że wznowi rozmowę, gdy tylko "Bonawentura" wróci z wycieczki, i skłoni inżyniera, aby opowiedział reszcie towarzyszy o tych dziwnych wydarzeniach. Może poweźmie się do postanowienia, aby wspólnie zbadać najskrupulatniej całą wyspę. Tak czy owak, tej nocy na nie znanym dotychczas wybrzeżu, stanowił cym wejście do zatoki, nie zapłonęła żadna wiatro i mały stateczek a do rana starała się trzymać na pełnym morzu. Gdy pierwszy brzask dnia rozjaśnił horyzont na wschodzie, wiatr, nieco łagodniejszy, wykręcił się dwa kwadranty, pozwalając Pencroffowi łatwiej wprowadzić "Bonawenturę" do wąskiej cieżniny zamykającej zatokę. Około godziny siódmej rano statek, wzięwszy kurs na północny Przylądek Szczeciński, ostrożnie wchodził do cieżniny, a potem do zatoki otoczonej malowniczym obramowaniem z zastygłej lawy. Oto zachwycał się Pencroff kawałek morza stanowiłcy wspaniałą przystań, gdzie niejedna flotylla mogłaby swobodnie manewrować. Najciekawsze jest to, że zauważył Cyrus Smith, że zatoka została utworzona przez dwa wylewy lawy wyrzuconej przez wulkan, a potem stopniowo nagromadzonej w czasie następujących wybuchów. Wskutek tego zatoka jest osłonięta ze wszystkich stron i należał przypuszczać, że podczas najsilniejszej burzy woda w niej jest spokojna jak w jeziorze. Z pewnością się usznie potwierdził Pencroff. Wiatr może się wędrować przez wąskie gardło pomiędzy dwoma przylądkami, a w dodatku przylądek północny jest dalej wysunięty w morze niż południowy, a więc silne podmuchy wiatru mają tu dostatek bardzo utrudniony. "Bonawentura" może tu chyba stać przez okrągły rok, a nawet kotwicy nawet by się nie napięła. Tu jest trochę dużo miejsca dla niego, zwróć uwagę reporter. Ach, panie Spilett, odparł marynarz, zgadzam się, że dla "Bonawentury" ta zatoka jest trochę obszerna, ale jeżeli dla floty Unii potrzebne jest bezpieczne schronienie na Pacyfiku, to gwarantuję ci, że gdzieś nie znajdzie lepszego niż w tym miejscu. Jesteśmy w paszczy rekina, odezwał się Harbert, abymając na myśli kształt zatoki. I to gówno w paszczy, drogi Nabie, dodał Harbert. Ale chyba nie obawiasz się, że paszcza się zamknie i my w niej zostaniemy? Nie, panie Harbercie, ale jednak ta zatoka jako mi się niezupełnie podoba. Ma tak nieprzyjemną powierzchnię.

◆ Masz tobie! ◆ zawo◆a◆ Pencroff. ◆ Teraz zn◆ab krytykuje moj◆ zatok◆w◆a◆nie w chwili kiedy zamierzam z◆o◆y◆ w darze Ameryce! ◆ Ale czy przynajmniej jest tu do◆◆◆◆ko? ◆ zapyta◆ in◆ynier. ◆ Pami◆jmy, ◆e to, co wystarczy dla kilku ◆Bonawentury", na pewno nie zadowoli naszych pancernik◆ ◆ Nic ◆atwiejszego, jak sprawdzi◆ odpowiedzia◆ Pencroff i natychmiast wyrzuci◆ za burt◆in◆u◆c◆ mu za sond◆Na ko◆liny uwi◆zany by◆ kawa◆ ◆elaza. D◆ugo◆◆ej wynosi◆a oko◆o pi◆ziesi◆u s◆◆ni, mimo to rozwini◆ si◆a◆a, nie dotykaj◆c dna. ◆◆ Ho, ho! Nasze pancerniki mog◆ tu zawija◆ orzek◆ Pencroff. ◆ Nie osi◆d◆ na mieli◆nie. ◆ Rzeczywi◆cie ◆ pokr◆◆ g◆ow◆ Cyrus Smith ◆ ta zatoka to istna otch◆a◆ednak je◆li si◆e◆mie pod uwag◆ulkaniczne pochodzenie wyspy, nie nale◆y si◆ziwi◆◆e dno morza ma tutaj takie zag◆◆enia. ◆ Odnosi si◆ra◆enie ◆ zauwa◆y◆ Harbert ◆ ◆e brzegi zosta◆y wykute oskardem w skale; sk◆onny jestem my◆le◆◆e u podn◆tych ska◆ nawet pi◆o- czy sze◆ciokrotnie d◆u◆sz◆ sond◆ Pencroff nie zgruntowa◆by dna. ◆ Wszystko to pi◆ie ◆ odezwa◆ si◆eporter ◆ ale musz◆asmuci◆encroffa, ◆e w tej jego przystani brakuje bardzo wa◆nych rzeczy. ◆ A czego, panie Gedeonie? ◆ Jakiegokolwiek szczeliny w skale czy innego dost◆ do samej wyspy. Nie widz◆u zupe◆nie miejsca, w kt◆ mo◆na by wyj◆◆a l◆d. Reporter mia◆ racj◆Wzd◆u◆ brzegu zatoki, w◆r◆ysoko spi◆zonych i bardzo stromych z◆om◆awy, nie by◆o nigdzie miejsca dogodnego do l◆dowania. Niedost◆e ◆ciany skalne przypominaj◆y brzegi fiord◆Norwegii, a nawet by◆y od nich jeszcze bardziej strome. ◆Bonawentura" p◆yn◆c tak blisko brzegu, ◆e prawie dotyka◆ go burt◆, nie natrafi◆ na ◆adnej szczyb◆przez kt◆pasa◆erowie mogliby wyj◆◆a l◆d. Pencroff pociesza◆ si◆◆e w razie potrzeby ska◆y mo◆na rozsadzi◆a pomoc◆ min. Na razie jednak, stwierdziwszy, ◆e w tej zatoce nie maj◆ absolutnie nic do roboty, skierowa◆ stateczek w stron◆ie◆niny i oko◆o godziny drugiej wyprowadzi◆ go na pe◆ne morze. ◆ Uf! ◆ odetchn◆◆ z ulg◆ Nab. Poczciwy Murzyn czu◆ si◆ako◆ nieswojo w tej potwornej paszczy. Od Przyl◆dka Szcz◆ do uj◆cia Rzeki Dzi◆zynienia by◆o zaledwie osiem mil. Pencroff wzi◆◆ kurs na Granitowy Pa◆ac i ◆Bonawentura", zwolniwszy ◆agle, pop◆yn◆◆ w odleg◆o◆ci mili od brzegu. Niebawem olbrzymie z◆omy lawy ust◆pi◆y miejsca malowniczym wydmom, w◆r◆t◆h niegdy◆ w tak nieoczekiwany spos◆dnaleziono in◆yniera; obecnie unosi◆y si◆ad nimi setki ptak◆orskich. Oko◆o czwartej Pencroff, pozostawiaj◆c z lewej burty cypel wysepki, wszed◆ do kana◆u dziel◆cego j◆ od wybrze◆a, a o godzinie pi◆tej kotwica ◆Bonawentury" zary◆a si◆ piasek przy uj◆ciu Rzeki Dzi◆zynienia. Nieobecno◆◆olonist◆rwa◆a trzy dni. Na brzegu oczekiwa◆ ich Ayrton, a im◆up rzuci◆ si◆u nim z rado◆ci◆, wydaj◆c pomruki zadowolenia. W ten spos◆nie natrafiwszy na ◆aden podejrzan ◆lad, dokonano ogl◆in ca◆ego wybrze◆a. Je◆eli mieszka◆a tu jaka◆ tajemnicza istota, to chyba tylko w nieprzebytym g◆szczu las◆a P◆spie Serpenty, dok◆d koloni◆ci dotychczas jeszcze nie dotarli w swoich poszukiwaniach. Gedeon Spilett porozumia◆ si◆ in◆ynierem i oby- dwaj ustalili, ◆e zwr◆uwag◆woich towarzyszy na niezwyk◆y charakter pewnych wydarze◆akie zasz◆y na wyspie. M◆c o ogniu rozpalonym na wybrze◆u przez jak◆◆ nieznan◆ osob◆Cyrus Smith nie m◆si◆owstrzyma◆d zapytania, po raz dwudziesty chyba, Gedeona Spiletta: ◆ Czy jest pan zupe◆nie pewny, ◆e pan dobrze widzia◆? A mo◆e by◆ to jaki◆ odblysk wybuchu wulkanu czy przelatuj◆cy meteor? ◆ Nie, Cyrusie ◆ oponowa◆ reporter ◆ to by◆ na pewno ogie◆zniecony r◆ cz◆owieka. Zreszt◆ prosz◆apyta◆encroffa i Harberta. Om widzieli ◆wiat◆o tak jak ja i potwierdz◆ moje s◆owa. W wyniku tej rozmowy, w kilka dni p◆ej, 25 kwietnia wieczorem, w chwili gdy wszyscy koloni◆ci zebrali si◆a P◆askowzg◆ Rozleg◆ego Widoku, Cyrus Smith zabra◆ g◆os i przem◆ do towarzyszy: ◆ Drodzy przyjaciele, musz◆wr◆ wasz◆ uwag◆a pewne wydarzenia, kt◆zasz◆y na naszej wyspie; chcia◆bym bardzo

usłysze ich wasze zdanie. Wydarzenia te wkraczają, że tak powiem, w sferę nadprzyrodzoną... Nadprzyrodzoną?! zawoła marynarz puszczając kłęb dymu z fajki. Czyżby nasza wyspa była nadprzyrodzona?... Nie, Pencroff, ale bardzo tajemnicza, to pewne odpar inżynier. Chyba że zdoła pan nam wytłumaczyć, czego ani Spilett, ani ja nie mogliśmy dotychczas zrozumieć. Słucham, panie Cyrusie, o co chodzi? A widać pan rozumie, jak to się mogło stać cięgnąc dalej inżynier że po tym, jak spadłem do morza, nagle znalazłem się gdzieś wyspy o którejś od brzegu? Nie mogłoby absolutnie uwiadomić bym przebył tęrog w pasnych siach. Chyba że w zamroczeniu bęknę Pencroff. To jest niemożliwe odpar inżynier. Ale przejdźmy nad tym fio porządku dziennego. Czy może pan powiedzieć w jaki sposób odnalazł wasze schronienie o piemił od miejsca, gdzie leżałem nieprzytomny? Instykt psa... zaczął Harbert. Przedziwny instykt! zauważył reporter. Przecież pomimo wiatru z deszczem, szalejącego tej nocy, Top przybiegł do Kominucha, wcale nie powalany bótem! Idźmy dalej przerwał inżynier. Czy zdołacie wyjaśnić jakąś w tak niesamowity sposób wyrzucił z jeziora naszego psa po walce z krową morską? Przyznam, że nie bardzo pokręcił głowę Pencroff. Tak samo zresztą nie rozumiem, kto zadał krowie morskiej ranę bok jakim ostrym narzędziem. Pomiędzy to także kontynuował swoje wywody inżynier. Czy rozumiecie, przyjaciele, w jaki sposób ciele pekari znalazło się iarnko rutu, jak mogła przybić aż szczywie do brzegu skrzynia, pomimo że nie znaleźliśmy ani śladu katastrofy okrojowej, w jaki sposób tedy, kiedy my po raz pierwszy wyruszyliśmy na morze, tak w sam porządek siam butelka zawierająca dokument, dlaczego nasze czół, zerwawszy się uwił, trafiło do nas w chwili, gdy było nam najbardziej potrzebne; jak podczas najcia ma p drabina została w najodpowiedniejszym momencie zrzucona z wysokości Granitowego Paacu, no i wreszcie, jak dokument, który Ayrton, jak sam twierdzi, nigdy nie napisał, trafił do naszych ręk? Cyrus Smith wymienił kolejno wszystkie te dziwne fakty, które zaszły na wyspie. Harbert, Pencroff i Nab patrzyli na siebie i nie wiedzieli, co powiedzą gdyby cały ten aah wydarzenie raz pierwszy tak przez kogoś zgrupowanych, zaskoczył ich niesłychanie. Na Boga! odezwał się reszcie Pencroff. Ma pan rację panie Cyrusie! Istotnie, trudno znaleźć wytłumaczenie na to wszystko. Ot moi drodzy nie poprzestał na tym inżynier muszę tego dodać statni fakt, nie mniej zagadkowy niż poprzednie. Co znowu, panie Cyrusie? żywo zapytał Harbert. Mój pan, Pencroff, że gdy wracaliście z wyspy Tabor, dostrzegł pan ogień na Wyspie Lincolna? Nie inaczej przytaknął marynarz. I jest pan absolutnie pewny, że pan go widział? Tak, jak widzę teraz pana! I ty także, Harbercie? Ach, panie Cyrusie zawołał Harbert przecież to światło lśniło jak gwiazda pierwszej wielkości! A może była to istotnie gwiazda? pytał inżynier z naciskiem. Nie zaoponowała Pencroff gdy niebo pokryte było ciemnymi chmurami, a gwiazda w żadnym wypadku nie świeciłaby tak nisko nad horyzontem. Ale przecież pan Spilett widział tak samo jak my i może to potwierdzić. Muszę dodać że światło było bardzo jaskrawe i dawało taki odblask jak elektryczność. Tak! Tak! Właśnie!... dorzucił Harbert. I na pewno umieszczone było gdzieś na wysokości Granitowego Paacu. A więc przyjmijcie do wiadomości, przyjaciele, że w nocy z dziewięstego na dwudziesty października ani Nab, ani ja nie rozpalaliśmy żadnego ogniska na wybrzeżu. To pan nie... wymamrotał Pencroff tak zdumiony, że nie mógł nawet dokończyć. Nie opuszczaliśmy Granitowego Paacu upewnił go Cyrus Smith i jeżeli widzieliście na wybrzeżu ogień to musi być jakaś inna rzecz. Pencroff i Harbert stali jak rażeni gromem. Nie mogli tu być owoy o jakimś zrudzeniu. Przecież na własne oczy



widzieli p<sup>o</sup>nce <sup>o</sup>wiat<sup>o</sup> w nocy z 19 na 20 pa<sup>o</sup>dziernika. Tak! Musieli si<sup>e</sup> zgodzi<sup>o</sup> istnia<sup>a</sup> jaka<sup>a</sup> tajemnica. Dzia<sup>a</sup> tu jakie<sup>e</sup> zagadkowe moce, z pewno<sup>o</sup>ci<sup>e</sup> przychylne kolonistom, niemniej jednak dra<sup>o</sup>ni<sup>o</sup>ce ich ciekawo<sup>o</sup>. Czy<sup>o</sup>by gdzie<sup>o</sup> w nieznanym zak<sup>o</sup>tku Wyspy Lincolna ukrywa<sup>a</sup> si<sup>e</sup> jaka<sup>a</sup> tajemnicza istota? Trzeba to zbada<sup>a</sup> wszelk<sup>e</sup> cen<sup>e</sup>. Cyrus Smith przypomnia<sup>o</sup> towarzyszom o dziwnym zachowaniu si<sup>o</sup>pa i Jupa, gdy zwierz<sup>e</sup> kr<sup>o</sup>y<sup>e</sup>y wok<sup>o</sup>ylotu studni <sup>o</sup>cz<sup>e</sup>cej Granitowy Pa<sup>o</sup>ac z morzem. Opowiedzia<sup>o</sup> tak<sup>e</sup>, <sup>e</sup>e obejrza<sup>o</sup> dok<sup>o</sup>adnie studni<sup>o</sup>ale nic podejrzanego w niej nie odkry<sup>o</sup>. Ostatecznym wynikiem tej rozmowy by<sup>o</sup>o postanowienie, powzi<sup>o</sup> jednog<sup>o</sup>nie przez wszystkich cz<sup>o</sup>onk<sup>o</sup>olonii, <sup>e</sup>e z nastaniem wiosny przyst<sup>o</sup>pi<sup>o</sup> do starannego zbadania ca<sup>o</sup>ej wyspy. Od tego dnia Pencroff chodzi<sup>o</sup> zatroskany. Wyspa, kt<sup>o</sup>uwa<sup>a</sup> za swoj<sup>e</sup> w<sup>o</sup>asno<sup>o</sup>ju<sup>o</sup> jak gdyby nie nale<sup>a</sup>a do niego ca<sup>o</sup>kowicie. Musia<sup>o</sup> dzieli<sup>o</sup> z tajemniczym wsp<sup>o</sup>a<sup>o</sup>cicielem i w dodatku by<sup>o</sup> mu, chc<sup>e</sup>c nie chc<sup>e</sup>c, podporz<sup>o</sup>dkowany. Cz<sup>o</sup>o rozmawia<sup>o</sup> o tych niezrozumia<sup>o</sup>ych sprawach z Nabem i obaj, sk<sup>o</sup>onni z natury do wiary w cuda, bliscy byli my<sup>o</sup>li, <sup>e</sup>e Wyspa Lincolna znajduje si<sup>e</sup> mocy jakiej<sup>e</sup> istoty nadprzyrodzonej. W maju <sup>o</sup>odpowiedniku listopada na p<sup>o</sup>li p<sup>o</sup>cnej <sup>o</sup>nasta<sup>o</sup>y s<sup>o</sup>otne dni. Zima zapowiada<sup>a</sup> si<sup>e</sup>czesna i surowa, tote<sup>o</sup> nie trac<sup>e</sup>c czasu przyst<sup>o</sup>piono do prac zwi<sup>o</sup>zanych z przygotowaniem si<sup>o</sup>o zimowania. Zreszt<sup>e</sup> tym razem koloni<sup>o</sup>ci mogli wytrzymaj<sup>o</sup>ostrzejsz<sup>e</sup> zim<sup>e</sup>. Zaopatrzeni byli w ubrania z filcu, liczne za<sup>o</sup> ju<sup>o</sup> w<sup>o</sup>as muflony dostarczy<sup>o</sup>y dostatecznej ilo<sup>o</sup>ci we<sup>o</sup>ny do dalszej fabrykacji tej ciep<sup>e</sup>ej tkaniny. Ayrton, rzecz prosta, tak<sup>e</sup> otrzyma<sup>o</sup> dobre ubranie. Cyrus Smith zaproponowa<sup>o</sup> mu, aby na zim<sup>o</sup>rzeni<sup>o</sup>si<sup>o</sup>o Granitowego Pa<sup>o</sup>acu, gdzie mia<sup>o</sup>by lepsze warunki ni<sup>e</sup> w corralu. Ayrton przyrzek<sup>o</sup>, <sup>e</sup>e si<sup>e</sup>am ulokuje, gdy tylko uko<sup>o</sup> wszystkie swoje prace. Nast<sup>o</sup>pi<sup>o</sup>o to w po<sup>o</sup>owie kwietnia. Od tej chwili Ayrton mieszka<sup>o</sup> ju<sup>o</sup> razem ze wszystkimi cz<sup>o</sup>onkami kolonii i niejednokrotnie okaza<sup>o</sup> si<sup>e</sup>ardzo przydatny. Jednak zawsze pe<sup>o</sup>en pokory i smutku, nie bra<sup>o</sup> nigdy udzia<sup>o</sup>u w rozrywkach swoich towarzyszy. Przez wi<sup>o</sup>z<sup>e</sup> cz<sup>e</sup> trzeciej zimy, sp<sup>o</sup>onej na Wyspie Lincolna, koloni<sup>o</sup>ci nie ruszyli si<sup>e</sup>rokiem z domu. Rozszala<sup>o</sup>y si<sup>e</sup>akie wichury i <sup>o</sup>nie<sup>o</sup>yce, <sup>e</sup>e ska<sup>o</sup>y dra<sup>o</sup>y w posadach. Niewiele brakowa<sup>o</sup>, by gwa<sup>o</sup>towne przyp<sup>o</sup>ywy zala<sup>o</sup>y ca<sup>o</sup> wysp<sup>o</sup> biada statkom, kt<sup>o</sup>by zakotwiczy<sup>o</sup>y si<sup>e</sup>rzy brzegu: posz<sup>o</sup>yby na dno z lud<sup>o</sup>mi i dobytkiem. Dwukrotnie w tym czasie Rzeka Dzi<sup>o</sup>zynienia tak przybra<sup>a</sup>, <sup>e</sup>e grozi<sup>a</sup> zerwaniem most<sup>o</sup>. Trzeba by<sup>o</sup>o zabezpieczy<sup>o</sup>ostki na wybrze<sup>o</sup>u, zatopionym przez w<sup>o</sup>ciekle bij<sup>o</sup>ce fale. Oczywi<sup>o</sup>cie taka wichura, podobna do tr<sup>o</sup>by powietrznej, porywaj<sup>o</sup>cej w swym p<sup>o</sup>ie krople deszczu i p<sup>o</sup>at-ki <sup>o</sup>niegu, poczyni<sup>a</sup> wiele zniszcze<sup>o</sup>. P<sup>o</sup>askowzg<sup>o</sup> Rozleg<sup>o</sup>ego Widoku. Ucierpia<sup>o</sup> m<sup>o</sup>yn, a szczeg<sup>e</sup>e pta-szarnia. Koloni<sup>o</sup>ci musieli tam cz<sup>o</sup>o naprawia<sup>o</sup>i<sup>o</sup>ze uszkodzenia, gdy<sup>o</sup> inaczej <sup>o</sup>yecie ptactwa by<sup>o</sup>oby powa<sup>o</sup>nie zagro<sup>o</sup>one. W czasie tej niepogody par<sup>o</sup>aguar<sup>o</sup> bandy ma<sup>o</sup>p dociera<sup>o</sup>y a<sup>o</sup> na sam skraj p<sup>o</sup>askowzg<sup>o</sup> i zawsze mo<sup>o</sup>na si<sup>e</sup>y<sup>o</sup>o obawia<sup>o</sup> <sup>e</sup>e najz<sup>o</sup>niejsze z nich, rozzuchwalone g<sup>o</sup>odem, zdo<sup>o</sup>aj<sup>o</sup> przedosta<sup>o</sup>i<sup>o</sup>rzez potok, kt<sup>o</sup> <sup>o</sup>zw<sup>o</sup>aszcza po zamarni<sup>o</sup>u <sup>o</sup>stawa<sup>o</sup> si<sup>e</sup>atwy do przebycia. Warzywnik i zagroda zosta<sup>o</sup>yby niechybnie zniszczone, gdyby nie sta<sup>o</sup>e pilnowanie. Cz<sup>o</sup>o trzeba by<sup>o</sup>o ucieka<sup>o</sup>i<sup>o</sup>o broni palnej, <sup>e</sup>eby niebezpiecznych intruz<sup>o</sup>trzyma<sup>o</sup> przyzwoitej odleg<sup>o</sup>o<sup>o</sup>ci. Tote<sup>o</sup> kolonistom nie brak<sup>o</sup>o zaj<sup>o</sup>a, gdy<sup>o</sup> opr<sup>o</sup>pracy na zewn<sup>o</sup>trz mieli jeszcze setki drobnych rob<sup>o</sup> domu. Podczas wielkich mroz<sup>o</sup>rz<sup>o</sup>dzano kilkakrotnie wspania<sup>o</sup>e polowania na rozleg<sup>o</sup>ym Bagnie Podgorza<sup>o</sup>ek. Gedeon Spilett i Harbert, korzystaj<sup>o</sup>c z pomocy Jupa i Topa, nie marnowali ani jednego naboju strzelaj<sup>o</sup>c do dzikich kaczek\*, kszyk<sup>o</sup>cyranek, czajek i ro<sup>o</sup>e<sup>o</sup>. Dost<sup>o</sup>do tych teren<sup>o</sup>y<sup>o</sup> <sup>o</sup>atwy <sup>o</sup>b<sup>o</sup>d<sup>o</sup> drog<sup>o</sup> prowadz<sup>o</sup>c<sup>o</sup> do Portu Balonu po przej<sup>o</sup>ciu przez most na Rzece Dzi<sup>o</sup>zynienia, b<sup>o</sup>d<sup>o</sup> szlakiem wiod<sup>o</sup>cym dooko<sup>o</sup>a g<sup>o</sup>az<sup>o</sup>a Cyplu Skrzyni. My<sup>o</sup>liwi wi<sup>o</sup> nigdy prawie nie oddalali si<sup>e</sup>d Granitowego Pa<sup>o</sup>acu ponad dwie--trzy mile. Tak up<sup>o</sup>yn<sup>o</sup> cztery miesi<sup>e</sup>ce tej srogiej zimy,

mianowicie czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, Granitowy Pałac nie ucierpiał zbyt mocno od wicherów, tak samo zresztą jak i zagroda mniej odkryta niż paskowzg i w wieżach swej części osłonięty Głęboki Franklina; docierające tam podmuchy wiatru były znacznie zmiękczone przez lasy i wysokie skały wybrzeża. Dlatego też, gdy w drugiej połowie października Ayrton powrócił do zagrody na kilka dni, jego zręczne i pracowite ręce szybko naprawiły uszkodzenia. Przez całą zimę wydarzyło się wiele godnego uwagi, chociaż Pencroff i Nab czatowali wprost na najbardziej błahsze fakty, aby móc zaliczyć do rzeczy tajemniczych. Ani pies, ani małpa nie kręczyły już wokół studni i nie zdradzały objawów niepokoju. Można było pomyśleć, że seria wydarzeń przyrodzonych dobiegła końca. Mimo to czegoś o nich w Granitowym Pałacu podczas długich zimowych wieczorów wszyscy trwali w postanowieniu zbadania najbardziej niedostępnych zakątków wyspy. Jednakże niezwykle doniosły fakt, który się okazał gubny w skutkach, nagle odwrócił Cyrusa Smitha i jego towarzyszy od tych projektów. Było to w październiku. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Pod promieniami słońca przyroda przybierała nową szatę pośród zielonych drzew iglastych, stanowiących obramowanie lasu, zaczęła tu i tam przebijać od listki wierzchososen Bałtycki cedrimalajskich. Jak wiadomo, Gedeon Spilett i Harbert niejednokrotnie robili zdjęcia różnych fragmentów wyspy. Otóż 7 października, około trzeciej po południu, Harbert urzeczony czystości nieba, wpadł na pomysł sfotografowania leżącej naprzeciwko Paskowzga Rozległego Widoku całej Zatoki Unii od Przylądka Szczep do Przylądka Pazura. Horyzont rysował się niezwykle czysto, a morze, lekko falujące pod wpływem delikatnego wietrzyka, wyglądało w oddali nieruchomo jak jezioro, tu i tam pośyskujące zocistymi ciałami. Aparat, umieszczony w jednym z okien wielkiej sali Granitowego Pałacu, obejmował obiektywem całą zatokę wybrzeża. Harbert tak jak zwykle zrobił zdjęcie, a potem poszedł wywołać i ciemni, gdzie przechowywał wszystkie odczynniki. Po utrwaleniu negatywu chłopi obejrzał go uważnie pod światło i dostrzegł na kliszy małą, ledwie widoczną plamkę rysującą się gdzieś na horyzoncie, nad morzem. Wypukał kliszę jeszcze, aby usunąć plamę, ale nic nie pomogło. "Na pewno jakaś skała w szkło" pomyślał. Wiedziony ciekawością, wykręcił z łupy mocną soczewkę i popatrzył przez nią na kliszę. Ale gdy tylko spojrzał, z piersi wydarł mu się krzyk, a klisza omal nie wypadła mu z ręki. Pobiegł pędem do pokoju, w którym znajdował się inżynier, podał mu bez słowa kliszę i soczewkę, wskazując na małą plamkę. Cyrus Smith obejrzał wskazany punkt, potem chwycił lunetę i pobiegł do okna. Luneta wolno przeszukała horyzont i wreszcie zatrzymała się na podejrzany punkt; Cyrus Smith opucił ją i wyszeptał: "Statek! Istotnie, z Wyspy Lincoln widać statek TAJEMNICA WYSPY ROZDZIAŁ PIERWSZY. Zguba czy wybawienie? Wezwanie Ayrtona. Ważna dyskusja. To nie Duncan". Podejrzany statek. Należy przedsięwziąć ostrożności. Statek się bliża. Strzały armatni. Bryg rzuca kotwicę poblizu wyspy. Nadchodzi noc. Od czasu kiedy rozbitkowie statku powietrznego zostali rzućeni na Wyspę Lincoln, czyli od dwójki roku, nie zdołali nawiązać kontaktu ze światem. Wprawdzie reporter przerażony raz przesłuchał wiadomości o jakimś zamieszkanym lądzie, powierzając skrzydlatemu posłańcy kartkę zawierającą opis ich sytuacji, ale na powodzenie tej próby trudno było poważyć. Jedynym człowiekiem, który powiadał w znanych już okolicznościach liczbę mieszkańców kolonii, był Ayrton. A tu nagle 17 października jacyś ludzie ukazali się poblizu wyspy, na pustynnym zazwyczaj oceanie! Co do tego nie można było mieć wątpliwości! Nie opodal znajdował się statek! Ale czy przepływnie obok, czy też przybije do wyspy? Za kilka godzin kolonijcy na pewno będą wiedzieli, co o tym sądzi.

Cyrus Smith i Harbert zawołał natychmiast Gedeona Spilett, Pencroffa i Naba do dużej sali Granitowego Pałacu i poinformowali ich o najnowszych wydarzeniach. Pencroff chwycił lunetę szybko przebiegł wzrokiem horyzont i zatrzymał się a wskazanym punkcie. Potem głośnie nie zdradającym szczegółu uradowania zawołał: „Do krośt diabła! To to na pewno statek! Czy płynie w naszym kierunku?” zapytał Gedeon Spilett. „Trudno w tej chwili powiedzieć” odparł Pencroff „gdy na razie widać tylko maszty nad horyzontem i ani kawałka kadłuba!” „Więc co mamy robić?” zapytał chłopiec. „Czekać” powiedziała Cyrus Smith. Przez dłuższą chwilę koloniści stali w milczeniu, całkowicie pochłonięci swoim wzruszeniem, obawami i nadzieją, które zostały wywołane przez to najważniejsze od chwili ich przybycia na Wyspę Lincolną wydarzenie. Rzecz jasna, koloniści nie byli w sytuacji rozbitków wyrzuconych na jakiegoś skalistym wysepku walczących z przyrodą-macochą o własną egzystencję pośperanych wprost chęć jak najszybszego powrotu na zamieszkaną ląd. Przeciwnie, Pencroff i Nab uważali się za tak szczęśliwych i bogatych, że gdyby musieli opuścić wyspę zrobiliby to z wolem. Przyzwyczaili się już do nowego życia na tym skrawku ziemi doprowadzonym do kwitnącego stanu dzięki ich własnej inteligencji. A jednak statek ten przynosi chyba jakieś wiadomości ze świata, może nawet zbliża się do nich płynąca cząstka ojczyzny? W każdym razie można łatwo zrozumieć serca ich zabiły mocniej na widok statku, na którym na pewno znajdowali się ludzie, ich bliźni. Pencroff od czasu do czasu brał lunetę i stawał A A A

w oknie. Z tego punktu obserwował z wielką uwagą statek znajdujący się jakieś dwadzieścia mil na wschód wyspy. Koloniści nie mieli jeszcze możliwości dać na siebie jakimś sygnałem. Chociażby nie dostrzeżono, strażu nie uszyszono, ogień tak nie byłby widoczny. Jedno było pewne, że wyspa ze wznoszącym się ośrodkiem G. Franklina nie mogła ujawnić marynarza-obszernika w bocianim gniedzie. Ale po co statek miałby do niej zawinąć? Zapewne zwykły przypadek przywioł go do tej części Pacyfiku, w której według mapy nie ma żadnego lądu z wyjątkiem wyspy Tabor, leżącej przecież poza szlakiem uczczonym zazwyczaj przez statki udające się do archipelagu polinezyjskiego, na Nową Zelandię na wybrzeża Ameryki. Każdemu chodziło o pytanie tego rodzaju, gdy nagle Harbert znalazł na nie odpowiedź: „A może to „Duncan”? Wszyscy zapewne pamiętają, że „Duncan” był to jacht lorda Glenarvana, który wysadził niegdyś Ayrtona na wyspie Tabor i miał po niego wrócić. Otęyspa Tabor nie leżała tak daleko od Wyspy Lincolną, żeby statek udający się do jednej z nich nie męprzepłynął pobliską drugą. Przecież pośnienie ich rękami sięaledwie o sto pięćdziesiąt mil długości i siedemdziesiąt pięć mil szerokości geograficznej. Trzeba dać na Ayrtonowi powiedzieć Gedeon Spilett i wezwać go tutaj natychmiast. Tylko on może nam powiedzieć czy ten statek to „Duncan”. Wszyscy zgodzili się reporter, podszedłszy do aparatu fotograficznego zagroził Granitowym Pałacem, nadał następujący telegram: „Proszę przyjechać natychmiast”. Po kilku chwilach zabrzą aparat. A A „f” Idzie brzmiała odpowiedź Ayrtona. W tym czasie koloniści bez przerwy obserwowali statek. „Jeżeli to jest „Duncan” odezwę się do Harberta to Ayrton pozna go bez trudu, gdy przez pewien czas płyną na nim. „Jeżeli go pozna” dodał Pencroff „będzie to dla niego wzruszenie nie lada. Tak potwierdzi Cyrus Smith ale teraz już Ayrton jest godny tego, by powrócić na pokład „Duncan”. Daj Boże, by to był istotnie jacht lorda Glenarvana, gdy kiedy inny statek wzbudziłby we mnie podejrzenia. Na tych wodach krę się niedobre towarzystwo i zawsze obawiam się żeby na naszą wyspę zawitali

piraci malajscy. Potrafilibyśmy ją obronić zawołał Harbert. Oczywiście, moje dziecko umiechnę się inżynier ale lepiej, żebyśmy nie musieli tego robić. Chciałbym zwrócić uwagę na jedno odezwał się Gedeon Spilett. Żeglarze nie znają Wyspy Lincoln, gdy nie ma jej nawet na najnowszych mapach. Czy nie uważa pan zatem, Cyrusie, że to jest wystarczający powód dla kogoś statek, znalazłszy się niespodziewanie w pobliżu tego nieznanego lądu, chciałby go raczej odwiedzić ominąć? Słusznie zgodził się Pencroff. Jestem tego samego zdania dodał inżynier. Można nawet twierdzić że do obywateli kapitana statku należała stara i okazała gdy nie zbadany dotychczas ląd albo wyspę zaznaczyła na mapie; Wyspa Lincoln jest wcale nie w takim położeniu. Wiadomo przypuścić, że statek zawinął tu i stanął na kotwicy w odległości kilku kabli od wyspy. Co wtedy zrobimy? zapytał Pencroff. To nieoczekiwane pytanie pozostało przez parę chwil bez odpowiedzi. Jednak po pewnym namyśle Cyrus Smith odpowiedział swoim spokojnym tonem: Oto co zrobimy, przyjaciele, i co powinniśmy zrobić skomunikujemy się ze statkiem, zaokrąjemy się opuścimy naszą wyspę wszyscy już uprzednio w posiadanie w imieniu Stanów Zjednoczonych. Potem powrócy w towarzystwie tych, którzy zechcą przybyć tutaj z nami, a żeby skolonizować wyspę ofiarowa publicznie amerykańskiej polityczny punkt oparcia w tej części Pacyfiku. Hura! krzyknął Pencroff. Nie byle jaki prezent zrobilibyśmy naszej ojczyźnie! Skolonizowanie jest prawie zakończone, wszystkie części wyspy mają już nazwy, jest naturalny port, istnieje możliwość zaopatrzenia okrętu w wodę, drogi, linia telegraficzna, stocznia, fabryka, słowem, nie pozostaje już nic więcej, tylko nanieść wyspę Lincoln na mapę. A jeżeli w czasie naszej nieobecności ktoś nie zawładnie? zwrócił uwagę Gedeon Spilett. Do kogo? tyś diabła obruszył się Ayrton. Przejmę pozostanę tutaj sam, żeby jej pilnować i jakem Pencroff, nie ukradliby mi jej jak zegarka z kieszeni gapia! Przez następną godzinę sposobem określili całkiem pewnie, czy statek płynął w kierunku Wyspy Lincoln. Wprawdzie zbliżył się nieco, ale jaki był jego kurs, tego Pencroff nie mógł rozpoznać. Jednakże wiatr dął z północnego wschodu, było zatem prawdopodobne, że statek płynął prawym halsiem \* wcale nie do brzegu wyspy, przy spokojnym za morzu zbliżenie się do niej nie nasuwało obaw, pomimo że głęboko przybrzeżna nie była na mapie podana. Około czwartej, a więc w godzinę wezwaniu, Ayrton przybył do Granitowego Pałacu. Wszedł do dużej sali, młc: Jestem do usług. Jak zwykle Cyrus wyszedł do niego i prowadził go w stronę kina, powiedział: Ayrton, ważny powołanie nas do tego, by poprosić pana tutaj; dostrzegliśmy statek na morzu. W pierwszej chwili Ayrton pobrał nieco, a w oczach jego można było dostrzec lekkie zmieszanie. Potem wychylił się okna, obejrzał widnokrąg, ale nie zauważył nic. Niech pan weźmie lunetę powiedział Gedeon Spilett i popatrz przez nią uważnie. Możliwe, że ten statek to "Duncan", który przybył tu po pana. "Duncan" szepnął Ayrton. Już! To ostatnie słowo wyrwało mu się jakby mimo woli. Chwyci się siłami za głowę. Czyby dwanaście lat pobytu na bezludnej wysepce wydawało mu się niedostateczną pokutą? Czyby skruszony grzesznik nie czuł się jeszcze rozgrzeszony ani we własnych oczach, ani w oczach innych ludzi? Nie! powiedział. Nie! To nie może być "Duncan". Niech pan popatrz, Ayrton odezwał się inżynier gdy dla nas jest to niezmiernie ważne, żebyśmy zawczasu wiedzieli, co mamy robić. Ayrton wziął lunetę skierował ją na wskazane miejsce. Przez kilka minut stał nieruchomo i bez słowa obserwował horyzont. Wreszcie powiedział: Rzeczywiście, widz jakiś statek, ale nie sądzę żeby to był "Duncan". A dlaczego? zapytał Gedeon Spilett. Dlatego, że "Duncan" jest jachtem parowym, ja za nie widzę najmniejszego ładunku dymu ani w górze, ani za

statkiem. A może on idzie tylko pod aglami? zauważył Pencroff. Zdaje się, że ma pomyślny wiatr dla swojego kursu, może wiździe mu na tym, by oszczędzić, gdy jest daleko od zamieszkanego lądu. Możliwe, że ma pan rację panie Pencroff odpar Ayrton i że statek wygasi kotły. Pozwól mu podejść bliżej do wyspy, a wtedy zorientujemy się lepiej. Po tych słowach Ayrton odszedł od okna, usiadł w rogu dużej sali i nie odzywał się więcej, chociaż koloniści dalej dyskutowali na temat nieznanego statku. Wszyscy byli wytręceni z równowagi i nie umieli zabrać o przerwanej pracy. Zwłaszcza Gedeon Spilett i Pencroff wpadli w stan takiego zdenerwowania, że krętili się i z powrotem, nie mogąc znaleźć obie miejsca. Harbert po prostu pomyślał z ciekawości. Jedyne Nab zachował zwykły spokój. Czy jego ojczyzna nie była tam, gdzie znajdował się tego pan? Inżynier natomiast pogromiony był w rozmyślaniami i w głębi serca bardziej obawiał się tego statku, niż pragnął, a żeby przybić do brzegu wyspy. Tymczasem statek zbliżył się nieco. Przez lunetkę na pewno już poznał, że był to jakiś statek dalekomorski, a nie jedna z owych łodzi malajskich, jakimi na Pacyfiku posługują się zazwyczaj piraci. Można było zatem przypuszczać, że obawy; inżyniera okazały się słonne i że obecność tego statku na wodach Wyspy Lincoln nie zagrozi bezpieczeństwu kolonistów. Po dokładnych oględzinach Pencroff stwierdził, że statek był osprężony jak bryg, że sunął ukośnie do brzegu prawym halsem, pod aglami małymi i gniezdowymi oraz bramslami. Potwierdził to zresztą Ayrton. Płynąc dalej w kierunku wyspy statek powinien niebawem zniknąć. Przylądkiem Pazura, gdy trzymał wyraźnie kurs na południowy zachód, a żeby nie wypuścić go z pola widzenia, trzeba było udać się na wysokość atoki Waszyngtona w pobliże Portu Balonu. Stanowiło to niepomyślną okoliczność, gdy dochodziła już piąta po południu i niebawem zmrok mętrudnił wszelkie obserwacje. Co zrobimy, gdy zapadnie ciemność? zapytał Gedeon Spilett. Czy zapalimy ognisko, a żeby zwrócić na siebie uwagę? Pytanie było ważne i pomimo niejasnych przeczuć inżyniera rozstrzygnięto zostało pozytywnie. W ciągu nocy statek zmiznął z widnokrętu, oddalił się i zawsze, a czy w czas inny jakiś statek przybił kiedykolwiek na wody Wyspy Lincoln? Kto przewidzie, co los zgotuje kolonistom? Tak cięgnąc dalej reporter bez względu na to, do kogo statek należał, musimy zasygnalizować, że wyspa jest zamieszkała. Jeżeli przeoczmy okazję, jaka się nam w tej chwili nadarza, na pewno będziemy tego żałować. Postanowiono zatem, że Nab i Pencroff pójdą do Portu Balonu i z nastaniem nocy rozpalą tam wielkie ognisko. Ale w chwili kiedy Nab z marynarzem zamierzali już wyjść Granitowego Pałacu, statek zmienił kurs i wyraźnie zderzył się w stronę wyspy, kierując się do Zatoki Unii. Był to bryg szybkobieżny, toteż odległość, którą przebiegał od lądu, zmniejszała się w miarę. Nab i Pencroff zostali w domu; Ayrtonowi wrócić do lunetki, a żeby ostatecznie powiedzieć, czy to zbliża się Duncan, które tak było osprężony jak bryg. Należało więc stwierdzić, czy pomiędzy dwoma masztami statku, które w tej chwili jest nie dalej niż o jakieś dziesięć mil, wznosi się ośmin. Było jeszcze zupełnie widno, toteż Ayrton bez trudu rozpoznał statek i opowiedział o nim słowami: To nie Duncan. Pencroff ponownie chwycił lunetkę, przyjrzał się statkowi i stwierdził, że był to bryg mający trzysta lub czterysta ton wyporności, o smukłej sylwetce, świetnych proporcjach i wysokich masztach, co zapewniało mu dużą szybkość. Ale do jakiego państwa należał? Trudno było to ustalić. A jednak powiedział marynarz na jego maszcie powiewa jakaś bandera. Nie mógł tylko rozpoznać koloru. Nim minie północy, będziemy co wiedzieli na ten temat i uspokoi go reporter. Zresztą z całą pewnością kapitan ma zamiar przybić do lądu i dlatego jeżeli nie dziś, to najdalej jutro poznamy statek z bliska. A jednak upierał się Pencroff, że lepiej jest

zawczasu wiedzie z kim się a do czynienia; nie miałbym nic przeciwko temu, żeby już teraz rozpoznać arwy naszego gościa! Młoc to marynarz ani na chwilę nie odejmowa od oczu lunety. Zaczę się ciemniała wraz ze zmierzchem uspokaja się i atr więcej od morza. Zwiotczała bandera brygu zaplętała się linkach i coraz trudniej było ją obserwować. To nie jest bandera amerykańska ani mruca od czasu do czasu Pencroff ani angielska, gdy rzuciłaby się oczy czerwieni francuska czy niemiecka, ani biała bandera Rosji, ani te Hiszpanii... Wygląda, jak gdyby była jednobarwna... Chwileczkę. na tych wodach... jak to można najczściej spotkać.. Bander hilijska? Ale ona jest trolorowa... Brazylijska? Zielona... Japońska? Jest czarno-... gdy tymczasem ta... W tej chwili powiew wiatru zaopota nieznaną banderę. Ayrton schwycił lunetę i marynarz wypuścił z ręki, podniósł ją do oczu i powiedział guchym głosem: Banderę jest czarna! Istotnie, na maszcie powiewała czarna tkanina i teraz już na pewno można było uznać bryg za podejrzany. A zatem inżyniera nie omyliły przecucia. Więto był statek piracki! Czyby grasował na wodach Pacyfiku robiąc konkurencję odzium malajskim, nawiedzającym te strony? Czego szuka w pobliżu Wyspy Lincoln? Może uważa, że ten zagubiony na Pacyfiku, nikomu nie znany skrawek ziemi będzie stanowił dobry kryj dla niego? A może szuka tu schronienia na okres zimy? Czyby spokojna posiadłość kolonistów i ich kryj bandytów w rodzaju stolicy pirackiej na Pacyfiku? Takie oto myśli mimo woli cisnęły się kolonistom do głowy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, co znaczy czarna barwa bandery. Ta sama bandera powiewała na "Duncanie", gdyby szajce opryszkowiodły się ich zbrodnicze plany. Nie było czasu na dyskusje. Przyjaciele powiedzieli Cyrus Smith a może ten statek chce tylko poznać brzeża wyspy? Może zaogaga nie wyjdzie na ląd! To byłoby nasza jedyna szansa. Tak czy inaczej, musimy zrobić wszystko, a żeby ukryć się obecność na wyspie. Wiatrak na pasko-wzgro widziała daleka. Niechaj Ayrton z Nabem id tam zaraz i rozmontuj skrzydła. Zamaskujemy tak gęzmi gałkami okna Granitowego Pałacu. Wszystkie ognie muszą być wygaszone. Niech nic nie zdradza obecności człowieka na wyspie! A nasz statek? zapytał Harbert. Ach odparł Peneroff "Bonawentura" jest dobrze ukryty w Porcie Balonu i zaogaga i ci idący tam go nie znajdą! Polecenia inżyniera zostały natychmiast wykonane. Nab z Ayrtonem wdrapali się na paskowzgro i zrobili wszystko, a żeby zatrzeć wszelkie ślady pobytu ludzi. Przez ten czas pozostali towarzysze poszli na skraj Lasu Złotki i przynieśli stamtąd całe naręga i lian mających wywołać pewnej odległości zrudzenie naturalnej zieleni i zamaskowała twory w granitowej ścianie. Amunicję brońieszczono tak, żeby były pod ręką w razie niespodziewanego napadu. Gdy wszystko to zostało wykonane, Cyrus Smith odezwał się do umiłowców: Przyjaciele, jeżeli ci nie nicy zecheć zawadnąć w ysp Lincoln, będziemy jej bronić prawda? Tak, Cyrusie powiedział w imieniu wszystkich reporter i jeżeli trzeba, zginiemy w jej obronie. Inżynier podał dowodów, a ci ucisnęli ją serdecznie. Jedynie Ayrton pozostał na uboczu i nie przychylił się do kolonistów. Może jako dawny opryszek nie czuł się jeszcze godnym ich zaufania. Cyrus Smith zrozumiał, co się dzieje w duszy Ayrtona, i podszedł do niego ze słowami: Ayrton, a pan co zamierza robić? Spełnił swój obowiązek!

Po tych słowach Ayrton stanął przy oknie i zaczął wpatrywać się w morze przez zasłonę gałkami. Była godzina pięć. Już od dwudziestu przeszło minut słono skrył się Granitowym Pałacem. Horyzont na wschodzie powoli ciemniał. A tymczasem bryg coraz bardziej zbliżał się do Zatoki Unii. Był już w odległości nie więcej niż osiem mil, i to na wprost

Praskowzg Rozległego Widoku. Korzystajc bowiem z przypływu skr na wysoko Przydka Pazura, zataczajc wielki łuk na p. Można byo nawet przypuszczae ju jest w obszernej zatoce, gdy prosta linia przecigni od Przydka Pazura do Przydka Szcz pozostaaby na zachodzie, za praw jego burt. Czy bryg wejdzie gzej do zatoki? To byo pierwsze pytanie. A jeżeli wejdzie, to czy rzuci tam kotwic? To byo pytanie drugie. A może opynwszy wybrzeże wyjdzie zn a pe ne morze, nie wysadzajc zaogi na l d? O tym kolonici mogli siowiedzieajwczej za godzin a teraz nie pozostawa im nic innego, jak tylko czeka Cyrus Smith, bardzo zaniepokojony, obserwowa czarn bander a maszcie podejrzanego statku. Czy nie zagraa ona dzieu, kt on i jego towarzysze tak wytrwale dotychczas prowadzili? Czyby piraci gdy nie byo adnej w tpliwo ci, e to w a nie oni stanowili zaogrygu odwiedzali ju kiedy t ysp dlatego przybijajc do niej wci gn swój bander? Czyby wychodzili kiedy tutaj na l d, co zreszt mogoby stanowi yt umaczenie pewnych dot d nie wyja nionych tajemnic? A może mieli tu, w nie zbadanych dotychczas cz iach wyspy, jakiego kompana, wyczekujcego ich przybycia? Cyrus Smith zadawa sobie w duchu takie pytania, ale nie umia znale a nie odpowiedzi. Czuj jedynie, e pojawienie si rygu bardzo powa nie zagraa istnieniu kolonii. W ka dym razie zar on sam, jak i jego towarzysze byli zdecydowani walczyo ostatka. Czy pirat y o wielu i czy byli oni lepiej uzbrojeni od kolonist? To nale a o stwierdzi rzedzie wszystkim. Ale jak? Noc zapad a ju ca kowicie. Znik w ski sierp ksi ca. G ekie ciemno ci spwi y wysp morze. Ci e chmury, k ece si a horyzoncie, nie przepuszczay ani odrobiny wiat a. Wiatr uciszy si upe nie; ani jeden listek nie zaszele ci, nie s ycha y o plusku fal. Wszystkie wiat a na statku wygaszono i jeżeli nawet znajdowa si n blisko brzegu, to nie można byo dojrze w kt miejscu. Kto wie rzek Pencroff może ten przekl statek nie przerwie swego kursu w nocy, a wtedy o wicie nie zobaczymy go ju tutaj! Jak gdyby w odpowiedzi na t wag a morzu zab ys o jaskrawe wiat o i w ciszy nocnej rozleg si uk armatniego wystrza u. Statek nigdzie nie odp yn, a w dodatku mia na pok adzie armaty. Od b ysku do wybuchu up yn sze sekund. Bryg znajdowa si atem mniej wi j o mil er d brzegu. R czenie us yszano brz a h puszczanych do kluzy \*. Statek rzuci kotwic a wprost Granitowego Pa acu. ROZDZIA DRUGI. Dyskusje. Przeczucia. Propozycja Ayrto-na. Wyra enie zgody. Ayrton i Pencroff na Wysepce Zbawienia. Zbiegli bandyci z Norfolku. Ich projekty. Bohaterski czyn Ayrtona. Powr Sze ciu przeciwko pi ziesi u. Intencje piracie pozostawia y ju adnej w tpliwo ci. Rzucili kotwic ie opodal wyspy i sta o si upe nie oczywiste, e nazajutrz rano b chcieli przeby en pas wody w odziach i wyj a brzeg. Jakkolwiek Cyrus Smith i jego towarzysze gotowi byli do czynu i zdecydowani na walk wrogiem, nie wolno im byo zapomina ostro no ci. Może uda im si kry woj obecno e eli piraci ogranicz si ylko do zej cia na brzeg i nie zapuszcz si g b wyspy. Mog o przecie tak si darzy e zamiarem ich byo jedynie zaopatrzenie si s odk wod Rzeki Dzi zynienia; możliwe tak e, e most znajduj cy si p erej mili od uj cia rzeki oraz urz dzenia w Kominach ujd ich uwagi. Ale po c a bandera powiewaj ca na brygu? Po co strza armatni? Czyby to tylko piracka fanfaronada lub te znak obj a wyspy w posiadanie? Cyrus Smith

orientowa si u teraz, e statek by doskonale uzbrojony. A czym kolonici Wyspy Lincoln mogli odpowiedzie a armaty pirat? Mieli zaledwie kilka strzelb. Zajmujemy pozyc nie do zdobycia powiedzia Cyrus Smith. Nieprzyjaciele nie zdo aj odnale awnego wylotu,

gdy zamaskowany jest krzakami i trawami, a zatem nie mają możliwości wdarcia się Granitowego Pałacu. "Ale nasze plantacje, ptaszarnia, corral, no i w ogóle wszystko!" wykrzyknął Pencroff tupiąc nogami. "Przecież oni mogą wszystko splądrować i zniszczyć cięgu kilku godzin. Wszystko, Pencroff!" odparł Cyrus Smith "my zaś nie mamy żadnego sposobu, żeby ich powstrzymać. Ilu ich jest? To chyba najważniejsze pytanie odezwał się reporter. "Jeżeli jest ich kilkunastu, to zdołamy im przeszkodzić, ale jeżeli jest ich czterdziestu, pięćdziesięciu, a może i więcej... Proszona wtrąciła się Ayrton podchodząc do inżyniera. "Chciałbym pana prosić o zezwolenie... Na co, przyjacielu? Na przedostanie się na statek, aby stwierdzić, czy liczebny załoga. Ale, Ayrton zawahał się inżynier "przecież pan ryzykuje życie... A dlaczego nie, proszona? To już jest więcej niż pał obowiązek. Bo te mam do wypełnienia co więcej niż obowiązek" powiedział Ayrton. "Zamierza pan podpłynąć do pirogi a pod sam statek?" zapytał Gedeon Spilett. "Nie, proszona. Myślałem o pirogach. Piroga nie przeleci nie siłak jak czowiek. Czy pan wie, gdzie bryg znajduje się przed milami od brzegu?" zapytał Harbert. "Jestem dobrym pływakiem, panie Harberci. Powtarzam panu, ryzykuje pan życie i upiera się inżynier. To nieważne!" odparł Ayrton. "Panie inżynierze, proszona o to jak o łaskę. Może to przynajmniej podniesie mnie we własnych oczach. No to dobrze, Ayrton zgodził się inżynier czując, że odmowa go dotknęła by dawnego opryszka. "Bardzo panu towarzyszy" zaproponował Pencroff. "Nie ma pan do mnie zaufania!" żywo zawołał Ayrton, a potem dodał z pokorą: "Niestety! Nie, nie!" szybko zaprzeczył Cyrus Smith. "Nie, Ayrton! Pencroff nie wątpi w pana. Pan może zrozumieć jego słowa. Tak jest" potwierdził marynarz. "Proponuję Ayrtonowi, że będzie mu towarzyszył tylko do wysepki, możliwe, chociaż wydaje mi się mało prawdopodobne, że któryś z tych łajdaków już tam wylądował i w tym wypadku dwójka ludzi to nie za wiele, a żeby nie pozwolić zaalarmować pozostałych kamratów. Zaczekam tam na Ayrtona, który sam popłynie na statek, tak jak się odfiarował. Gdy decyzja zapadła, Ayrton zaczął przygotowywać wyprawę. Projekt jego był bardzo śmiały, ale mój liczył na powodzenie wobec niezwykle ciemnej nocy. Może się uda po dopłynięciu do statku uczepić się lub sztag zorientować i ilość ludzi, a może nawet dowiedzieć się zamiarach opryszków. Ayrton i Pencroff, odprowadzeni przez towarzyszy, zeszli nad wodę. Ayrton rozebrał się natarcia o tuszczem, a żeby mniej odczuwał jeszcze podstępnie temperatury, w której by oboje byłoby musiało pozostać przez kilka godzin. Pencroff i Nab poszli po pirogę przycumowaną o kilkaset kroków od rzeki, a gdy wrócił Ayrton był już gotowy do drogi. Na plecy zarzucono mu koc, po czym kałdy z kolonistów cisną na pożegnanie jego do. Obydwaj marynarze wsiedli do pirogi. Było około pół jedenastej, gdy zniknęli w ciemnościach. Towarzysze ich wrócił do Kominów a żeby tam na nich poczekał Ayrton i Pencroff bez trudu przebyli kanał i piroga przybiła do wysepki. Oczywiście zachowywali przy tym pewną ostrożność, gdyż piraci mogli się tu tutaj kryć. Stwierdzili jednak, że na wysepce nie było nikogo. Szybkim krokiem przeszli na drugi kraniec, poszli cicho gnieść się w rozpadlinach skalnych, po czym Ayrton bez wahania rzucił się do morza i cicho popłynął w stronę statku; niedawno zapalono na nim parawiatę, co wystarczyło, żeby znaleźć właściwy kierunek. Pencroff skulił się zagłębieniu skalnym i czekał na powrót towarzysza. Tymczasem Ayrton parę naprzótymi wyrzutami ramion. Głowa jego ledwie wynurzała się z wody, a oczy były utkwione w ciemnej sylwetce brygu, który latarnie odbijały się do morza. Myślał jedynie o podjęciu zobowiązaniu, niepomny na niebezpieczeństwo grożące mu nie tylko na pokładzie statku, ale także w wodzie, gdy w tych stronach czło



pokazywały się siłki. Unoszony przedem, szybko oddalał się od brzegu. Podziwiał, nie zauważony i nie usłyszany przez nikogo, podpełznął do statku i chwycił linę szprytu. Odetchnął pełną piersią i czepiał się aghwci się o głowę. Tutaj na sznurze schwył ubrania marynarzy. Włożył na siebie jakieś spodnie, uczepił się mocno liny i zaczął nasłuchiwać. Na pokładzie nikt nie spał. Słychać było rozmowy, śpiewy i śmiechy. A oto parę zreplatanych zresztą przekleśkami zdał się usłyszeć uderzenie Ayrtona: "Dobry nabytek ten nasz bryg! Szybko się usza ten nasz Speedy \*"! Zastępuje na swój nazwę. Cała flota z Norfolku może puścić i a nim w pogodziech spręgo apa. Niech żyje nasz dowódca! Niech żyje Bob Harvey! Co odczuł Ayrton słysząc ten urywek rozmowy, zrozumie czytelnik dopiero wtedy, gdy dowie się, że Bob Harvey był jednym z jego dawnych kompanów Australii, niesłychanie odważnym marynarzem, który objął po Ayrtonie funkcję szefa zbrodniarzy. Bob Harvey zawładnął w okolicy wyspy Norfolk brygiem wiozącym na wyspy Sandwich ładunek broni, amunicji, narzędzi oraz przeróżnych towarów wziętych na pokład cała swój band. Zbiegł opryszkami stał się piratami i grasował na Pacyfiku, napadając na statki i mordując ich załogi w sposób bardziej okrutny niż Malajczycy. Bandyty rozmawiali głośno i chwaliли się swoimi wyczynami, pijąc przy tym ponad miarę. Oto co Ayrton zdążył ustalić na podstawie ich rozmowy: Załoga "Speedy" składała się wyłącznie z więźniów angielskich zbiegłych z Norfolku.

A czym jest Norfolk? Na wschód Australii, pod 29°2' szerokości południowej i 165°42' długości wschodniej, leży mała wysepka, mająca sześć mil obwodu, uwieńca G. Pitta, która wznosi się o tysiąc stóp ponad poziom morza. Jest to wyspa Norfolk. Mieści się na niej zakład, w którym odosobniono najbardziej niepoprawnych zbrodniarzy z więzień angielskich. Liczba ich się pięćuset; trzymani są w ścisłej dyscyplinie, poddawani najsurowszym karom, pilnuje ich załoga stu pięćdziesięciu żołnierzy i stu pięćdziesięciu strażników podległych miejscowemu gubernatorowi. Trudno sobie wyobrazić więzienie gorszych opryszków. Niekiedy, chociaż zdarza się bardzo rzadko, niektórzy z nich udają się na wycieczki, a w czasie zawładnąwszy jakimś statkiem, grasują po archipelagach polinezyjskich. Tak właśnie wyglądała sprawa Boba Harveya i jego kamratów. Po zawładnięciu brygiem "Speedy", stojącym na kotwicy, nie opodal wyspy Norfolk, bandyci wymordowali załogę od roku bryg ten hulała po Pacyfiku jako sfatek piracki pod dowództwem Boba Harveya, niegdyś kapitana żeglugi dalekomorskiej, a w dodatku dobrego znajomego Ayrtona. Więźni opryszków najdługo siedzą w kajucie na rufie statku, kilku zaś leżą na podłodze prowadząc głośne rozmowy. Przerywano je hałaśliwymi okrzykami i potęgami śmiechów. Z rozmów Ayrton wywnioskował, że "Speedy" znalazł się поблизу Wyspy Lincoln tylko przypadkiem. Bob Harvey nie był tu jeszcze nigdy, ale zgodnie z przeczuciem Cyrusa Smitha, znalazłszy na swoim szlaku nieznaną łódź, nie zaznaczony na żadnej mapie, wpadł na pomysł odwiedzenia wyspy i w razie gdyby się o tego nadawała załoga tutaj portu macierzystego. Więźniowie czarnej bandery i strażnicy z armaty były tylko fanfaronadą piratów naładujących zwyczajnie panujące w marynarce wojennej. Nie było to bynajmniej jakimś hasłem, gdyż nie istniała jeszcze żadna organizacja zbiegami z Norfolku a Wyspę Lincoln. Jak widać posiadają oni w wielkim niebezpieczeństwie. Oczywiście zbiegom bardzo odpowiadałaby wyspa z dogodnym brzegiem sódki wody, z portem, różnymi bogactwami, umiejętnie wykorzystanymi przez kolonistów i bezpiecznym schronieniem w Granitowym Pałacu; w ich rzeczach stałaby się doskonała kryjówka, ponieważ załoga była nieznana nikomu, zapewniłaby im, byłoby na długo, całkowite bezkarnie i bezpiecznie. Rzecz jasna, że

bandyci nie uszanowaliby życia kolonistów pierwszą czynnością Boba Harveya oraz jego kamraty byłoby bezlitosne wymordowanie wszystkich mieszkańców wyspy. Cyrus Smith i jego towarzysze nie mieliby nawet możliwości ucieczki i ukrycia się na wyspie, gdyby zbiegli zbrodniarze powzięli zamiar ułokowania się tam na dobre. Nawet w wypadku gdyby "Speedy" wyruszył na jakąś wyprawę cząstką załogi pozostałaby prawdopodobnie na łodzi, a żeby opiekować się gospodarstwem. Należałoby zatem podjąć walkę do nogi wybitnych niegodnych litości nienik. Takie byłoby zdanie Ayrtona; wiedział on zresztą dobrze, że Cyrus Smith podzieli jego opinię. Ale czy opiera w którymś wyniku zwycięstwo byłoby możliwe? Zależałoby to od uzbrojenia brygu i od liczebności jego załogi. Te właśnie informacje Ayrton postanowił zdobyć wszelką ceną. Ponieważ w jakiejś godzinie wrzaski zaczęły cichnąć i wiązki opryszków zapadła w pijacki sen, Ayrton bez wahania postanowił dotrzeć do pokładu statku, gdzie po zgaszeniu światła panowały już zupełne ciemności. Wdrapał się po wantach i przedostał się do przedniego pokładu. Przemykając się omiędzy epicyrjami piratami, obszedł statek dookoła i zorientował się, że "Speedy" ma cztery armaty, które mogły wyrzucać miodzio- i dzie-siofuntowe pociski. Sprawdził, że armaty ładowano odtylcowo; były to zatem działa nowoczesne, łatwe do obsługi i straszliwe w skutkach. Epicyrjów na pokładzie było chyba z dziesięciu, jednak należało przypuszczać, że znacznie więcej ludzi jest w pomieszczeniach pod pokładem. Zresztą na podstawie głosów Ayrton ocenił, że stan załogi wynosi około pięćdziesięciu osób. Dużo jak na sześciu kolonistów Wyspy Lincoln! Ale dzięki powiędzeniu Ayrtona Cyrus Smith przynajmniej nie będzie zaskoczony i znajdzie się przeciwnika, odpowiednio się przygotuje. Ayrtonowi nie pozostało nic więcej, jak tylko wrócić do towarzyszy i poinformować ich o wyniku misji, którą się odbył; toteż zamierzał przedostać się do dziatku, a żeby tam zsunąć się do morza. Nagle temu człowiekowi, który jak powiedział inżynier, chciał zrobić coś, nie do niego należało, przyszedł do głowy bohaterki pomysły. Co prawda stawka byłoby jego życie, ale chodziło o niezawodny sposób ratowania wyspy i kolonistów. Rzecz oczywista, że kolonistów nie mogli oprzeć się pięćdziesięciu bandytom posiadającym broń wszelkiego rodzaju, która była to wędrować się rzemoc do Granitowego Pałacu, była to otaczając go skałkami oblężonych na śmierć podwodów. Ayrton ujrzał oczami wyobraźni swoich zbawców, którzy uczynili zeń nową część człowieka, i to człowieka uczciwego, ludzi, którzy zawdzięcza wszystko, bezlitośnie zamordowanych, pracach zniweczonych, wyspami zamienioną w jaskinię iracką. I wtedy pomyślał, że to właśnie on, Ayrton, jest przyczyną wszystkich tych przyszłych klęsk. Przecież jego dawny kompan Bob Harvey realizuje tylko jego własne projekty. Na tył ową adn Ayrtonem straszliwe obrzydzenie, a raczej nie nieprzeparta chęć wysadzenia w powietrze brygu razem z całą załogą. Sam zginie od wybuchu, ale spełni swój obowiązek. Nie wahał się u siebie. Nic łatwiejszego, jak dostać się do prochowni znajdującej się zazwyczaj na rufie okrętu. Na pewno na statku uprawiającym taki proceder nie braknie prochu i wystarczy jednej iskry, aby go zniszczył w okamgnieniu. Ayrton wsunął się ostrożnie na miętynok przed epicyrjów ludźmi, których zmorzył nie tyle zmęczenie, ile pijaństwo. Do nasady masztu przytwierdzona była zapalona latarnia, oświetlająca stojaki z przetrzebroni. Ayrton zdjęł ze stojaka rewolwer, upewnił się, czy jest nabity. Po czym, a żeby dokonać zniszczenia, przekradł się do rufy gdzie jego zdaniem powinna znajdować się prochownia. Jednakże trudno byłoby przemycić tam prawie ciemnym miętynokiem tak, by nie nadeprnąć kogoś z nie do końca epicyrjów bandytów. Toteż raz po raz rozlegały się rzekłoby i ciosy pięści. Parazyty Ayrton musiał się utrzymać. Wreszcie dotarł do przepierzenia oddzielającego pomieszczenie na rufie i odnalazł drzwi prowadzące do

prochowni. Wzięli się natychmiast do ich otwierania. Trudno było uniknąć katastrofy, należało bowiem ukryć się. Wreszcie ktoś pukał w potężnej drzwi Ayrtona i drzwi się otworzyły... W tej chwili czyjąś ręka dotknęła ramienia Ayrtona. Co tu robisz? zapyta ostro jakiś człowiek wysokiego wzrostu, który nagle wynurzył się ciemności i szybko oświetlił latarnią twarz Ayrtona. Ayrton cofnął się wzdławionym. W krótkim błysku światła zobaczył swojego dawnego kompana, Boba Harveya. Herszt bandy myślał, że Ayrton nie żyje już od dawna, nie poznał go. Co tu robisz? powtórzył Bob Harvey chwytając Ayrtona za pasek u spodni. Ayrton zamiast odpowiedzi mocno go odepchnął i usiłował wtargnąć do prochowni. Jeden wystrzał z rewolweru w kierunku prochów i koniec... Do mnie, chłopcy! krzyknął Bob Harvey. Na ten okrzyk obudzili się w sypialni trzech piratów. Zerwali się pod nogi i rzuciwszy się na Ayrtona, usiłowali go obezwładnić. Silny Ayrton odrzucił ich od siebie. Rozległy się dwa strzały z rewolweru i dwaj bandyci padli na ziemię, jednak jednym, którego Ayrton nie zdążył odparować rozciął mu ramię. Własnie zrozumiał, że nie zdąży wykonać swojego projektu; Bob Harvey zamknął drzwi prochowni, na miłą pokładzie zaś wszczęli się krzyki i wiadomości o tym, że wszyscy piraci są już na nogach. Wobec takiej sytuacji Ayrton musiał ocalić siebie, a żeby miał przy sobie Cyrusa Smitha. Jedyne, co mu pozostawało to ratowanie się. Ale czy ucieczka jest możliwa? Raczej nie, chociaż Ayrton był zdecydowany na wszystko, byle tylko przedostać się do swoich. Pozostały mu jeszcze cztery kule. Strzelił dwukrotnie, w tym raz do Boba Harveya, jednak nie trafił go, a przynajmniej nie do końca. A żeby wydostać się z pokładu, skorzystał z chwili, kiedy przeciwnicy się cofnęli, i rzucił się na trap. Przebiegając obok latarni rozbił ją kolbą rewolweru, wskutek czego zapłonęły zupełnie ciemności sprzyjające ucieczce. W tym momencie jeszcze dwaj czy trzej obudzeni hałasem piraci zbiegli po trapie. Piąty strzał rzucił jednego z nich na dolne stopnie, reszta, nie rozumiejąc, o co chodzi, usunęła się na bok. Dwoma susami Ayrton znalazł się na pokładzie brygu, a w trzy sekundy później, strzeliwszy ostatni raz wprost w twarz jakiegoś bandycie, który chwycił go za kark, wdrapał się na linę i skoczył w morze. Nie zdążył nawet odpłynąć kilka sekund, gdy wokół niego jak grad posypały się kule. Jakiś niepokój przeżywał Pencroff, ukryty w rękawce na wysepce! Gdy przychajeni w Kominach pozostali towarzysze uszyszeli strzelaniną na pokładzie brygu, z bronią w ręku wybiegli na wybrzeże, gotowi do odparcia wszelkiej przynapaści. Nie mieli żadnych wątpliwości. Piraci zapanowali na statku i zamordowali go; może nawet pod osłoną nocy niektórzy zamierzali dokonać brojnego lądowania na wyspie. Podziwiali uprzednio w nieśmiertelnej trwodze. Strzelanina tymczasem ustała, lecz ani Ayrton, ani Pencroff nie pokazywali się. Czyżby piraci opanowali wysepkę? A może należało biec na ratunek Ayrtonowi i Pencroffowi? Ale jak? W czasie przypływu kanał był nie do przebycia. Pirogi przecie nie było pod ręką! Można sobie wyobrazić jak wielki niepokój garnął Cyrusa Smitha i jego towarzyszy. Wreszcie około godziny pięć pierwszej po południu do brzegu przybiła piroga, w której znajdowało się dwóch ludzi. Byli to Ayrton, lekko ranny w ramię i Pencroff. Towarzysze przyjęli ich z otwartymi ramionami. Wszyscy natychmiast schronili się do Komin. Tu Ayrton opowiedział o tym, co zaszło, nie ukrywając bynajmniej swojego projektu wysadzenia brygu. Reszta towarzyszy wyciągnęła się do niego, on zaś bez ogródki przedstawił całą groźną sytuację. Piraci otrzymali przestrożkę. Wiedzieli już, że Wyspa Lincoln jest zamieszkała. Wobec tego wyjdą na ląd w odpowiedniej liczbie i należą do uzbrojeni. Nie uszanują niczego. Jeżeli koloniści wpadną w ich ręce, to niechaj nie spodziewają się im pomóc. Trudno! Będziemy umieli umrzeć powiedział reporter. Chodźmy do domu i czuwajmy zaproponował inżynier. Czy mamy jaką szansę wydostania się z opresji? zapytał

marynarz. ❖ Tak, Pencroff. ❖ Hm! Sze❖ciu przeciwko pi❖ziesi❖u! ❖ Tak! Sze❖ciu!... Nie licz❖c... ❖ Kogo? ❖ zapyta❖ Pencroff. Cyrus Smith zamiast odpowiedzi wyci❖gn❖ d❖o❖niebu. ROZDZIA❖ TRZECI. Mg❖a si❖odnosi. Zarz❖dzenia in❖yniera. Trzy posterunki. Ayrton i Pencroff. Pierwsza ❖❖ Dwie nast❖e. Na wysepce. Sze❖ciu opryszk❖a l❖dzie. Bryg podnosi kotwic❖Pociski ze ❖Spee-dy". Rozpaczliwa sytuacja. Nieoczekiwane rozwi❖zanie. Noc min❖ bez wypadku. Koloni❖ci czuwali bez przerwy na posterunku w Kominach. Piraci ze swej strony nie robili pr❖❖dowania. Od chwili kiedy przesta❖y si❖ozlega❖trza❖y wymierzone w Ayrtona, ani detonacja, ani nawet najmniejszy ha❖as nie zdradza❖y obecno❖ci brygu na wodach wyspy. Mo❖na by❖o pomy❖le❖❖e statek podni❖kotwic❖mo❖e piraci s❖dzili, ❖e maj❖ do czynienia z silniejszym przeciwnikiem, i odp❖yn❖ w inne strony? Jednak❖e gdy zacz❖❖wita❖koloni❖ci dostrzegli we mgle porannej jakie❖ niejasne kontury. By❖ to ❖Spe-edy". ❖ Pos❖uchajcie, przyjaciele ❖ odezwa❖ si❖n❖ynier. ❖ Chc❖am powiedzie❖co nale❖y uczyni❖zanim si❖g❖a uniesie w g❖. Ukrywa nas ona przed oczami pirat❖ dlatego mo❖emy dzia❖a❖ie ❖ci❖gaj❖c na siebie ich uwagi. Najwa❖niejsze jest wpojenie w pirat❖ przekonania, i❖ mieszka❖ wyspy s❖ bardzo liczni, a wi❖zdolni do stawiania oporu. Proponuj❖atem, by❖my si❖odzielili na trzy grupy, z kt❖h pierwsza ulokuje si❖ samych Kominach, druga za❖ przy uj❖ciu Rzeki Dzi❖zynienia. Co do trzeciej, to nale❖a❖oby j❖ umie❖ci❖a wysepce, a❖eby uniemo❖liwi❖ub przynajmniej powstrzyma❖rzez jaki❖ czas wszelkie pr❖l❖dowania. Mamy do dyspozycji dwa karabiny i cztery strzelby. Ka❖dy z nas b❖ie zatem uzbrojony, a poniewa❖ prochu i kul mamy pod dostatkiem, nie b❖iemy szcz❖ili ognia. Strzelb, a nawet armat brygu mo❖emy si❖ie obawia❖Co nam zrobi❖ w tych ska❖ach? Poniewa❖ nie b❖iemy strzelali z okien Granitowego Pa❖acu, piratom nie przyjdzie do g❖owy posy❖a❖am pocisk❖a przecie❖ tylko w ten spos❖ogliby nam zada❖iepowetowane straty. Najbardziej powinni❖my si❖bawia❖alki wr❖, gdy❖ ich jest znacznie wi❖j od nas. Dlatego te❖ nale❖y przede wszystkim przeciwdzia❖a❖yl❖dowaniu nie demaskuj❖c si❖ednak. Nie oszcz❖ajmy wi❖amunicji. Strzelajmy cz❖o i celnie. Na ka❖dego z nas przypada sze❖ciu czy o❖miu wrog❖o zabicia, tote❖ ka❖dy musi zrobi❖woje. Cyrus Smith wyra❖nie naszkicowa❖ sytuacj❖m❖ za❖ tak spokojnym g❖osem, jak gdyby chodzi❖o o jak❖❖ zwyk❖❖ prac❖a nie o walk❖ wrogiem. Towarzysze w milczeniu przyj❖ do wiadomo❖ci jego zarz❖dzenia. Ka❖dy musia❖ obj❖❖skazany posterunek przed rozwianiem si❖g❖y. Nab z Pencroffem poszli niezw❖ocznie do Granitowego Pa❖acu i przynie❖li odpowiedni❖ ilo❖❖municji. Gedeon Spilett i Ayrton, obaj wyborni strzelcy, otrzymali dwa precyzyjne karabiny, kt❖h no❖no❖❖i❖❖a mili. Pozosta❖e cztery strzelby rozdzielono pomi❖y Cyrusa Smitha, Naba, Pencroffa i Harberta. Nast❖ie koloni❖ci podzielili si❖a grupy. Cyrus Smith wraz z Harbertem pozostali w Kominach, sk❖d mieli pod obstrza❖em wybrze❖e u podn❖Granitowego Pa❖acu, i to w do❖❖ozleg❖ym promieniu. Gedeon Spilett i Nab ukryli si❖❖r❖ka❖ przy uj❖ciu Rzeki Dzi❖zynienia, na kt❖ wszystkie mosty i mostki zosta❖y podniesione. Zadaniem tej grupy by❖o nie przepu❖ci❖a drugi brzeg ani ❖odzi, ani cz❖owieka. Wreszcie Ayrton i Pencroff zepchn❖ na wod❖irog❖ przygotowali si❖o przep❖yni❖a kana❖u, a❖eby zaj❖❖dwa oddzielne posterunki na wysepce. W ten spos❖trza❖y, rozlegaj❖ce si❖ czterech r❖ch miejscach naraz, nasun❖ opryszkom przypuszczenia, ❖e na wyspie znajduje si❖iele ludzi, kt❖ b❖ si❖a❖arcie broni❖W razie gdyby Pencroff i Ayrton nie zdo❖ali przeszkodzi❖❖dowaniu lub gdyby grozi❖o im odci❖e przez jak❖❖ ❖❖z brygu, maj❖ w❖as wsi❖❖❖o pirogi, przybi❖o wyspy i zaj❖❖ozycj❖ najbardziej zagro❖onym miejscu. Przed wyruszeniem na posterunki koloni❖ci po raz ostatni u❖cisn❖ sobie d❖onie. Pencroff z trudem zdo❖a❖ zapanowa❖ad wzruszeniem, w chwili gdy ❖ciska❖ Harberta, swoje dziecko... i tak

się rozdzielali. Po paru minutach Cyrus Smith z Harbertem i reporter z Nabem zniknęli w rozróżnieniu, a po dalszych paru minutach Ayrton i Pencroff, szczęśliwie przepłynęwszy kanał, wylądowali na wysepce i skryli się w rozpadlinach skalnych na wschodnim brzegu. Żadnego z nich na pewno nie można było dojrzeć daleko, gdy oni sami ledwo rozróżniali we mgle sylwetkę brygu. Było późno w nocy. Niebawem mgła w gęstym powietrzu lekko się rozgadała i z oparzonej mgły opadła deszczowa kropla. Jeszcze przez chwilę mgła przewalała się nad powierzchnią morza, potem zerwała się i szybko je rozproszyła. Wówczas "Speedy" stojący na dwukotwicach, dziobem na przód i lewą burtą do wyspy, ukazał się całej swej okazałości. Tak jak powiedział Cyrus Smith, bryg znajdował się nie dalej niż o milę od wyspy. Powiewała na nim ta sama czerwona, czarna bandera. Inżynier patrząc przez lunetę stwierdził, że wszystkie cztery armaty, stanowiące uzbrojenie statku, były wycelowane na wyspę gotowe do ognia na pierwszą komendę. Na razie "Speedy" milczał. Na pokładzie krężyło się trzydziestu piratów. Kilku z nich poszło na rufę, dwaj inni z reji na bramslu uważnie oglądali wyspę przez lunetę. Bob Harvey i jego ludzie nie bardzo umieli sobie zdać sprawę z tego, co zaszło w nocy na pokładzie brygu. Co to było za człowiek, na pokładzie, który wyważył drzwi prochowni, walczył z nimi i szeptał do nich strzelając zabijając jednego z członków załogi i raniąc dwunajmniejszych? Czy zdołał uniknąć kul? Czy wrócił wpław na brzeg? Skąd się pojawił? I po co? Czy istotnie zamierzał wysadzić bryg w powietrze, tak jak przypuszczał Bob Harvey? Wszystko to jakoś nie mogło pomieścić się w głowach piratów. Co do jednego tylko nie było wątpliwości: wyspa, przy której znalazł się "Speedy", była zamieszkała, może nawet przez całą kolonię gotową do obrony swojej ziemi. Jednak nikt nie ukazywał się na wybrzeżu, ani na skałach. Robiła ona wrażenie całkowicie bezludnej. W każdym razie nie widać było śladu jakiegokolwiek domostwa. A może mieszkawcy odeszli w gęstym lodu? Takie oto pytania zadawał sobie herszt piratów jako człowiek ostrożny, przed wysadzeniem na lód swojej bandy wolał zbadać dokładnie sytuację. Przez parę godzin na brygu nie widać było ruchu zwiastującego rozpoczęcie napadu czy lądowania. Prawdopodobnie Bob Harvey się bał. Najlepsze lunety nie pozwoliły mu dostrzec żadnego z kolonistów kryjących się w ukryciu. Uwagi jego nie zwróciła uwagę zielonych liści i lian, odcinających się od skalnej ściany i maskujących okna Granitowego Pałacu. Jakże bowiem mógł sobie wyobrazić, że ktoś potrafi wykuć mieszkanie w granitowym bloku na takiej wysokości? Na całej przestrzeni Zatoki Unii, od Przylądka Pazura aż po Przylądek Szczepny, nic nie mogło nasunąć przypuszczenia, że wyspa była lub jest zamieszkała. Jednakże około godziny jedna kolonista zauważył pewien ruch na pokładzie brygu. Przygotowywano na blokach łodzi, a jeden z nich spuszczone na wodę. Wsiadł do niej siedmiu ludzi uzbrojonych w strzelby. Jeden stanął przy sterze, czterech usiadł przy wiosłach, a dwaj pozostali przycupnęli na dziobie i z palcem na cynglu, uważnie oglądali wyspę. Prawdopodobnie mieli oni tylko przeprowadzić pierwsze rozpoznanie, gdyż w wypadku lądowania na pewno byłoby ich więcej. Piraci, uczepliwszy maszt po reje bramsła, prawdopodobnie dostrzegli wysepki oddzielone od brzegu kanałem szerokości mniej więcej pięćdziesiąt stóp. Cyrus Smith, obserwujący uważnie manewry łodzi, upewnił się, że niebawem, że piraci nie zamierzali przedostać się do kanału, lecz stosownie zachowując ostrożność, chcieli najpierw przybić do wysepki. Pencroff i Ayrton, wcinając się z innej strony

rozpadliny skalnej, widzieli zbliżając się do siebie i czekali, aby się znalazła w odległości strzału. Łódź posuwała się niezwykle ostrożnie. Wiosła zanurzały się w wodzie w długich odstępach czasu. Jeden z siedzących na dziobie opryskany w rękę sondą

usiłowana zgruntowana wysko wyobione przez Rzeki zynienia. Znacząco to, że Bob Harvey miał zamiar podpłynąć rygiem jak najbliższej wyspy. Ze trzydziestu piratów uczepliwszy się, nie spuszczało z oka łodzi, notując w pamięć wszelkie szczegóły mające ułatwić bezpieczne lądowanie. W odległości mniej więcej dwukabli od wysepki się zatrzymała. Sternik stojąc szukał najdogodniejszego miejsca, aby przybić do brzegu. W jednej chwili rozległy się strzały. Lekki dymek uniósł się nad skałami wysepki. Sternik i człowiek z sondą upadli na wznak do łodzi. Kule Ayrtona i Pencroffa dosięgły obydwój w tej samej chwili. Prawie równocześnie rozległa się donośniejsza detonacja. Z boku brygu wytrysnęła piśusz dymu i pocisk uderzył o skały, osłaniając Ayrtona i Pencroffa; posypały się dżdżamki, jednak strzelcy nie ponieśli szwanku. Z której rozlegały się straszliwe przekleństwa, ruszyła niebawem dalej. Sternika zastąpił jeden z kamratów wiosła zaczął szybko pracować. Jednakże zamiast skierować ją do brzegu, jak to można było przypuszczać, popłynęła wzdłuż wysepki, tak by przybić do niej po okrężeniu południowego cypla. Piraci szybko robili wiosłami, a żeby znaleźć i ożazić kul. W ten sposób bliżyli się do odległości kilku kabli do wklęsłości wybrzeża, zakończonej Cyplem Skrzyni; opłynęwszy go polem, wciśnięci pod osłoną armat brygu, skierowali się do ujścia Rzeki Dziżynienia. Ill Oczywiście intencją piratów było wpłynąć do tej strony do kanału, a żeby odciągnąć wrogów do przyczółka na wysepce; w ten sposób, niezależnie od liczby, zostaliby wzięci w dwa ognie z łodzi i z brygu i znaleźliby się w bardzo niekorzystnej pozycji. Upłynęła kwadrans, a wciąż posuwała się tym samym kierunkiem. W powietrzu i na morzu panowała zupełna cisza i spokój. Pencroff i Ayrton, chociaż zrozumieli, że manewr ten zmierza do odciążenia im drogi, nie opuścili jednak swoich posterunków. Być może nie chcieli się okazywać apastnikom i narażać strzały armatnie z brygu, a może liczyli na pomoc Naba i Gedeona Spilett, czuwających przy ujściu rzeki, czy też na Cyrusa Smitha i Harberta, ukrytych w rękawie Komin. W dwadzieścia minut po pierwszych strzałach przybyła już na wprost Rzeki Dziżynienia w odległości niespełna dwukabli. Ponieważ zaczęła się przypływać, jak zwykle gwałtowny w tym wąskim przesmyku, piraci poczuli, że przed wciągnięciem ich do rzeki, i tylko dzięki wiosłom zdążyli utrzymać ją w środku kanału. A gdy zbliżyli się do odległości trzasku do ujścia rzeki, powitały ich dwie kule i znów bandyci upadli do łodzi. Nab i Spilett nie spuścili. Z brygu natychmiast wysłano drugi pocisk w miejsce, gdzie dym zdradził strzelców, ale zaledynym rezultatem było obupanie skały. Teraz już w łodzi zostało zaledwie trzech zdolnych do walki mężczyzn. Uniesiona przedem przemieknęła przez kanał jak strzała i przepłynęła obok Cyrusa Smitha i Harberta; ci jednak uważając, że nie stanowi ona dobrego celu, przepuścili ją bez strzału. Popychana już tylko dwoma wiosłami, opłynęła cały cypel wysepki, skierowała się do brygu. Jak dotąd koloniści nie mieli powodu do narzekania; zaczęła się niepowodzeniem wrogów liczyli oni bowiem już czterech ciał rannych czy zabitych, podczas gdy koloniści wyszli bez szwanku, nie zmarnowawszy ani jednego strzału. Gdyby piraci w dalszym ciągu atakowali ich w ten sposób, gdyby podejmowali ponowne próbowanie wysp za pomocą ludzi, wówczas można by ich wystrzelać jak kaczki. Teraz dopiero okazało się, jak mądre były zarządzenia inżyniera. Piraci mogli przypuszczać, że mają do czynienia z liczebnie silnym i dobrze uzbrojonym wrogiem i że nie tak łatwo dadzą sobie z nim radę. Upłynęła pół godziny, zanim zaczęła walczyć z falami od morza, dobiła do brygu. Rozległy się od niego niesamowite wrzaski, gdy na pokładzie zobaczono rannych. Piraci wystrzelili trzy czy cztery pociski armatnie, ale bez żadnego rezultatu. Wówczas dwunastu pijanych wódek zbrodniarzy rzuciło się do łodzi. Po chwili na wodę puszczone

także drugi do którego wszedł oboje piraci. Podczas gdy pierwsza skierowała się prosto na wysepki druga manewrowała tak, by wejść do ujścia Rzeki Dzielnicy. Sytuacja stawała się niebezpieczna dla Pencroffa i Ayrtona, toteż zrozumieli w lot, że muszą powrócić na wyspę. Zaczekali jednak, dopóki pierwsza nie zbliżyła się do odległego brzoza, a wtedy dwie celne kule znę prowadziły zamęt w rzece. Następnie Pencroff i Ayrton, opuszczając posterunki, pobiegli co się w nogach przez wysepki ostrzeliwując się biegu, rzucili się do pirogi i w chwili gdy druga osięgnęła południowy cypel wysepki, przepłynęła kanał chroniąc się w Kominach. Ledwo zdężyli dobiec do brzoza Cyrusa Smitha i Harberta, już wysepki panowali piraci z pierwszej łodzi i natychmiast rozproszyli się po jej terenie. Prawie równocześnie w pobliżu ujścia rzeki, dokąd szybko zbliżyła się druga łódź rozległy się strzały. Kule Gedeona Spilett i Naba śmiertelnie ugodziły dwóch spośród obojga. Załoga, nie przeparcie pchana na rafy, roztrzaskała się przy ujściu Rzeki Dzielnicy. Sześciu pozostałych przy życiu opryszkęnosz c wysoko nad górami strzelby, a żeby uchronić je od zetknięcia z wodę, wyskoczyło na prawy brzeg rzeki. Zdając sobie sprawę że znaleźli się zbyt blisko strzelców uciekli co tchu w kierunku Cypla Skrzyni i niebawem znaleźli się poza zasięgiem kul. Sytuacja wyglądała teraz w sposób następnym: na wysepce było dwunastu piratów z tego czę prawdopodobnie rannych, jednakże mających do swej dyspozycji także na wyspie natomiast było ich sześciu, lecz ci nie mogli dostać się do Granitowego Pałacu ani przebyć zeki, gdyż wszystkie mosty były zniszczone. — Głęboko! — wołała Pencroff wpadając do Komin. — Głęboko, panie Cyrusie! Co pan na to? — Ja myślę że walka przybierze jeszcze zupełnie inny obrębie możemy przypuszczać że piraci są na tyle nierozgarnięci, żeby nadal walczyli tak niekorzystnych dla siebie warunkach. — W każdym razie nie zdęją przedostać się przez kanał — stwierdził marynarz. — Karoiny Ayrtona i pana Spilett na pewno ich powstrzymają. Wiemy przecie, że nie noszą one na miękko. Niewątpliwie — wtręciła się Harbert — ale co znaczą dwa karabiny przeciwko armatom brygu! — No, wydaje mi się że bryg jeszcze nie jest w kanale — zaoponowała Pencroff. — A jeżeli tam wejdzie? — zapytała Cyrus Smith. — To niemożliwe, gdyż ryzykowałoby, że osiędzie na mieliźnie, a to oznaczałoby jego zgubę. — Właśnie, że to jest możliwe — odezwała się Ayrton. — Piraci mogą skorzystać z przypływu, żeby wejść do kanału, z tym że podczas odpływu osiędą na mieliźnie. Wtedy pod ostrzałem ich armat nie zdęamy utrzymać naszych posterunków. — Do kroćt diabła — zakrzyknęła Pencroff. — Wydaje mi się że te łajdaki naprawdę przygotowały się do podniesienia kotwicy! — Może będziemy zmuszeni schronić się w Granitowym Pałacu? — zauważyła Harbert. — Zaczekajmy — odparł Cyrus Smith. — Ale Nab i pan Spilett?... — martwi się Pencroff. — Na pewno zdęją odnaleźć nas we właściwym czasie. Niech pan będzie w pogotowiu, Ayrton. Teraz muszą odezwać się karabiny, pana i Spilett. Tymczasem — Speedy — obręciła kotwicy i wszystko wskazywało, że za chwilę znacznie zbliżyła się do wyspy. Przypływ miał trwać jeszcze pół godziny, a ponieważ przed rzeki było już załamane, zatem bryg z łatwością manewrowała. Jednakże Pencroff, wbrew opinii Ayrtona, nie przypuszczał, żeby statek obo mieli się śmiać ryzykować zejście do kanału. Przez ten czas znajdujący się na wysepce piraci zbliżyli się do przeciwległego brzegu i teraz od wyspy dzieliła ich tylko szeroka łana. Uzbrojeni jedynie w strzelby, nie mogli wyrządzić żadnej szkody kolonistom ukrytym bądź w Kominach, bądź przy ujściu rzeki. Sami natomiast byli narażeni na strzały ze strony mieszkańcy wyspy, posiadających dalekonożne karabiny. Ponieważ jednak piraci nie wiedzieli o tym, kręli się po wysepce nie kryjąc sięcale. Zniszczenia ich trwały krę. Karabiny Ayrtona i Gedeona Spilett przemęły nagle i

dwopryszkpado na wznak. Wtedy zaczął się popoch. Pozostali przy yciu bandyci, nie zabrawszy nawet swoich rannych i zabitych towarzyszy, póm uciekli na drugi brzeg wysepki, wskoczyli do odzi i popyn szybko w stronę statku. Omiu mniej! zawoła Pencroff.

Doprawdy można pomyśle że pan Spiletti Ayrton umawiają się aby strzelać jednocześnie. Proszę pan powiedział Ayrton adując ponownie karabin sytuacja staje się owa. Bryg szykuje się o podniesienia kotwicy. Ju to robi! zawoła Pencroff. Tak, już j wyciągaj! Istotnie, sychało wyraźnie zgrzyt aha w kluzie. Speedy" posłusznie szarpnął się stronomotwicy, ale potem, gdy już wyciągnął ją z dna, zaczął go znosić kierunku wyspy. Dął wiatr od morza. Podniesiono fokągiel oraz agiel gniezdny i statek powoli zbliżał się o lędu. Z posterunkad Rzek Dziżynienia i w Kominach przyglądano się ym manewrom z pewnym zaniepokojeniem, nie dając jednak znaku ycia. Rozpacзлиwa byłaby sytuacja kolonist gdyby musieli zapoznać się bliskim ogniem armat brygu, nie mogąc skutecznie odpowiedzieć. W jaki sposób doaj powstrzymać iratę d lędowania? Cyrus Smith dobrze zdawał sobie z tego spraw zastanawiając się co robi. Niebawem będzie musiały powziąć akcję decyzję. Ale jak? Może zamknąć i Granitowym Pałacu i pozwolić im oblegać. Wytrzymałoby tygodnie, a nawet miesiące całe, gdy żywności byłoby pod dostatkiem. Dobrze, ale co potem? Piraci przez ten czas zawładną wysp, splądrują wszystko, co im się tylko będzie podobało, i w końcu zwyczajnie tak uwiędzonych w Granitowym Pałacu kolonist. Pozostała jedna jedyna nadzieja, że Bob Harvey nie odważy się prowadzić statku do kanału i że zakotwiczony oza wysepki. Włas od brzegu będzie go dzieliła odlegośćo najmniej pięć i z tak daleka pociski armatnie może nie będą wyrzuciły zbyt wielkich szk. Nigdy nie powtarza Pencroff. Bob Harvey za nic nie wejdzie do kanału, gdy jest zbyt dobrym żeglarzem! Wie chyba dobrze, że znaczyłoby to przy mniej spokojnym morzu naraziłby ryg na rozbicie. A co on zrobi bez statku? Tymczasem bryg zbliżył się o wysepki i widać było, że stara się odejść o jej wewnętrznego brzegu. Dął lekki wietrzyk, a ponieważ prąd bardzo stracił na sile, Bob Harvey miał możnożanewrowa jak, jak chciał. Tęsa, która poprzednio pynła odzie, pozwoliła mu zorientować się o dysku kanału, toteż teraz beczelnie wprowadza do niego statek. Plan jego był zupełnie wyraźny: miał zamiar stanąć okiem do wiatru przed Kominami i stąd odpowiadać ociskami na kule, które zdłżyły zdziestkować go zaog. Niebawem Speedy" osięgnął cypel wysepki i okrężył go bez trudu; włas piraci postawili skońnik i niebawem bryg znalazł się a wprost ujęcia rzeki. Ach, bandyci! Pyn tu! zawoła Pencroff. W tej chwili do Cyrusa Smitha, Ayrtona, marynarza i Harberta dołączyli się ab i Gedeon Spilett. Reporter i jego towarzysze uznali za stosowne opuścić osterunek nad rzeką, na której nie mogli już nic zdziałać. Mieli zresztą rację gdy lepiej było, aby w chwili decydującej akcji kolonist trzymali się razem. Gedeon Spilett i Nab biegnąc kryli się a skałami; pociski gwizdały im koło uszu, ale na szczęście nie trafiały. Gedeonie, Nabie! krzyknął inżynier. Nie jesteście ranni? \_ Nie odparł reporter tylko lekko kontuzjowani, i to rykoszetem! Ale ten przeklęty bryg wchodzi do kanału! Tak powiedział Pencroff i nim upłynęło dziesięć minut, rzucił kotwicę a wprost Granitowego Pałacu! Czy ma pan jakiś projekt, Cyrusie? zapytał reporter. Musimy schronić się o Granitowego Pałacu zawczasu, zanim bandyci nas dostrzegą. Jestem tego samego zdania powiedział Gedeon Spilett. Ale gdy będziemy tam zamknięci... Włas postąpimy tak, jak nakażą nam okoliczności owiadczył inżynier. A wiw drogę spieszymy się zawołał reporter. Nie chciałby pan, panie Cyrusie, żebyśmy zostali tu razem z Ayrtonem? zapytał marynarz. A to



po co? Nie, nie rozczajmy się! Nie było chwili do stracenia. Wszyscy opuścili Kominy. Niewielki występ skalny zasłaniał ich przed zaogłębieniem brygu. Niebawem paratonacji i uderzenia pocisków skały upewniły kolonistów, że "Speedy" jest już blisko. W ciągu sekundy kolonista wskoczył do windy, podciągnął się do Granitowego Pałacu, gdzie Top i Jup przebywały w zamknięciu od wczoraj, i wpadli do wielkiej sali. Był już czas najwyższy: poprzez zasłony gałęzi zobaczyli, że "Speedy", otoczony kłębami dymu, wchodzi do kanału. Musieli nawet odsunąć się na bok, gdy z czterech armat strzelano bez przerwy, pociski waliły na ślepo to w posterunek nad Rzeką Dziżynienia, to w Kominy. Odłamki skały fruwały w powietrzu, a każdej detonacji towarzyszyło radosne wycie bandytów. W kolonistach wstawała nadzieja, że Granitowy Pałac uniknie zniszczenia. Cyrusowi Smithowi, który w poręmyślał o zamaskowaniu okien, gdy nagle przez framugę drzwi wpadł pocisk na korytarz. — Przekleństwo! Odkryli nas! — zawołał Pencroff. Prawdopodobnie nikt jeszcze nie odkrył kolonistów, gdy Bob Harvey wysłał pierwszy pocisk w kierunku podejrzanej zieleni, zasłaniającej pewną część wysokiej ściany skalnej. Wzmontował przecie obstrzał dopiero wtedy, gdy zauważył, że drugi pocisk, przebiwszy draperię liści, odsłonił zięcy w granicy otw. Sytuacja kolonistów stała się rozpaczliwa. Odkryto ich schronienie! Nie mogli przeciwdziałać pociskom ani zabezpieczyć uru skalnego, które odłamki fruwały wokół kartacze. Nie pozostawiało wiżim nic innego, jak schronić się do gętego korytarza i zostawić mieszkanie na pastwę osu. Nagle usłyszeli gęchy huk, a po nim przeraźliwe wrzaski. Cyrus Smith z towarzyszami rzucił się do okien... Bryg, uniesiony w gę jak gdyby trębą wodną, przeżamiał się w niespełna dziesięć sekund zniknął pod wodę wraz ze swoją bandycką zaogłębieniem. ROZDZIAŁ CZWARTY. Kolonista na wybrzeżu. Ayrton i Pencroff wyjawiają szczegóły. Rozmowa przy śniadaniu. Rozumowanie Pencroffa. Dokładne oględziny wraka. Nienaruszona prochownia. Nowe skarby. Ostatnie drzazgi. Szczegóły rozerwanego cylindra. wylecieli w powietrze! — zawołał Harbert. — Tak wylecieli, jak gdyby Ayrton podpalił prochownię — krzyknął Pencroff rzucając się do windy ręcznie z Nabem i Harbertem. — Ale jak to się stało? — pyta Gedeon Spilett, wciwając jeszcze nie otręsnęty z dumienia wywołanego tym niespodziewanym obrotem sprawy. — Teraz nareszcie się dowiemy — żywo odparł inżynier. — Czego się dowiemy? — — Pój, pój! Chodźmy, Gedeonie. Najważniejsze jest to, że piraci już nie istnieją. Męc to Cyrus Smith pociągnął za sobą reportera oraz Ayrtona i razem pobiegli na wybrzeże do pozostałych towarzyszy. Brygu nie było już wcale widać nawet czubki masztów wystawały nad wodę. Gdy uniosła go tręba wodna, położyła się na boku i w tej pozycji poszedł na dno. Woda prawdopodobnie musiała wdrzeć się do środka przez jakiegoś olbrzymiego wyrwę. Ponieważ jednak kanał w tym miejscu nie miał więcej niż dwadzieścia stóp głębokości, z pewnością burty statku wynurzały się z czasem odpływu. Na powierzchni wody pływają jakieś szczętki. Widać co najmniej kilka pęzapasowych rej i masztów skrzynki na kury z żywym jeszcze ptactwem; coraz więcej skrzybek wypływało na wierzch przez luki. Dziwne jednak było, że przed nie unosił desek z pokładu czy z burt. Całe to nagłe pochłonięte brygu przez morze było do zagadkowe. Po pewnym czasie obydwa maszty, ułamane o kilka stóp nad poziom, zmiażdżywszy wieże przednie i boczne, wypłynęły nad wodę z flagami. Niektóre nagle były rozwinięte, inne ścięgnięte. W żadnym wypadku nie należało pozwolić aby odpływ porwał te skarby, toteż Ayrton z Pencroffem wskoczyli do pirogi z zamiarem przyholowania wszystkiego będo do brzegu wyspy, będo do wysepki. W chwili gdy mieli odbijać powstrzymała ich uwaga Gedeona Spilletta: — A co będzie z sześcioma opryszkami, które

wylądowali na prawym brzegu Rzeki Dzielnicy? Istotnie, nie wolno było zapominać przecież o sześciu ludzi, których rozbiła się skała, wyszło na ląd w pobliżu Cypla Skrzyni. Wszyscy spojrzeli w tym kierunku, ale nie dostrzegli żadnego ze zbiegów. Możliwe, że po katastrofie brygu uciekli gdzieś w głąb wyspy. Zajmiemy się nimi później, powiedziała Cyrus Smith. Mogą oni wprowadzić jeszcze stanowiącą niebezpieczeństwo, ale sześciu przeciwko sześciu to już szansa. Nie trać teraz czasu! Ayrton z Pencroffem popłynął szybko w stronę zrzutka. Morze było spokojne, a stan wody bardzo wysoki, gdy od dwóch dni trwał wrak brygu młynurzyły wody nie wcześniej niż za godzinę. Ayrton i Pencroff przycumowali maszty i bierwiona za pomoc lin, które koźprymocowano na wybrzeżu pod Granitowym Pałacem. Tu kolonijcy wspomnieli sobie wyciągnąć wszystko na piasek. Potem piroga pozbiła i wywajała sprzęt, klatki z kurami, baryłki i skrzynie; wszystko to niezwłocznie przeniesiono do Granitowego Pałacu. Na powierzchni kanału pływało kilka trupów. Ayrton rozpoznał w jednym z nich ciało Boba Harveya i wskazał go swemu towarzyszowi, młodym gościem ze wzruszenia: Oto kim byłem, Pencroff! I kim już nie jesteś, przyjacielu i odparł marynarz. Dotychczas wypłynął zaskakująco mało trupów. Prawdopodobnie gdy statek położył się na boku, piraci nie mogli się dostać pod nadburcie. Odpływ, unosząc na pełne morze zwłoki kilku opryszków, oszczędził kolonistom smutnego obowiązkowego pogrzebania ich w jakimś zakątku wyspy. Przez dwie godziny Cyrus Smith i towarzysze zajęci byli wyjątkowo wyciąganiem masztów, odejmowaniem reu i suszeniem żagli, które były zresztą w doskonałym stanie. Rozmawiano niewiele, gdyż wszyscy byli pochłonięci pracą i własnymi myślami. Przecież posiadanie brygu, a właściwie tego, co na nim było, to prawdziwy skarb! Kiedy statek jest małym światem, toteż dobytek kolonii powiższy się wiele pożytecznych przedmiotów. Było to jak gdyby odpowiednikiem znalezionej poprzednio skrzyni, oczywiście w powiększeniu. Dlaczego nie wydobyć brygu z wody? myślał Pencroff. Jeżeli jest tylko jedna dziura, to na pewno można ją zatkać. Przecież bryg o pojemności trzystu do czterystu ton to prawdziwy statek w porównaniu z Bonawenturą! Takim statkiem można popłynąć daleko, gdzie się chce! Musimy razem z panem Cyrusem i Ayrtonem zbadać, czy jest warta zachodu". Rzeczywiście, jeżeli bryg nadawał się jeszcze do żeglugi, to szansa dostania się kolonistom na Wyspy Lincolna zwiżyła się niezmiernie. Jednak przed powzięciem decyzji w tej ważnej kwestii trzeba było poczekać na odpowiedź, gdy w czas dopiero będzie można dokładnie zbadać bryg... Gdy wydobyte przedmioty zostały jako tako zabezpieczone na brzegu, Cyrus Smith i jego towarzysze zrobili krótką przerwę na posiłek, gdy dosłownie umierali z głodu. Na szczęście spiżarnia była niedaleko, Nab zaś zasługiwał w pełni na miano doskonałego kuchmistrza. Posiłono się w pobliżu Komin. Można sobie wyobrazić, że podczas jedzenia nie rozmawiano o niczym innym, tylko o wydarzeniu, które w tak cudowny sposób uratowało kolonistów z zagłady. W cudowny sposób to najważniejsze określenie powtarzał Pencroff, gdy trzeba przyznać te nagrody wyleciały w powietrze w najodpowiedniejszej chwili. Granitowy Pałac zaczynał się robić jakoś dziwnie nieprzytulny. Czy może pan zrozumieć, Pencroff, w jaki sposób wszystko się stało i co mogło spowodować wybuch na brygu? zapytał reporter. Ciężko, nie prostszego odparł Pencroff. Na statku pirackim nie ma takiego porządku jak na okręcie wojennym! Zbiegli bandyci to nie marynarze. Z pewnością, ponieważ strzelano do nas bez przerwy, a prochownia na brygu była otwarta, wystarczyło, żeby znalazł się jakiś nieostrożny lub niezgrabny osobnik, aby cała machina wyleciała w powietrze. Najbardziej dziwi mnie to, panie Cyrusie, że skutki wybuchu były mniejsze, niż należało się spodziewać.

odezwa siarbert. Detonacja nie bya silna i na wodzie poywa stosunkowo ma o drewna i wyrwanych lin. Wyglada na to, e statek poszed na dno raczej wskutek uszkodzenia ni wskutek wybuchu. Dziwi ci o, m h opcze? zapyta inzynier. Tak, panie Cyrusie. Mnie tak e, Harbercie. S dz ednak, e po obejrzeniu wraka znajdziemy jakie wytumaczenie. Ach, panie Cyrusie zirytowa si encroff nie zamierza pan chyba twierdzi e Speedy" p ostu poszed na dno, jak gdyby wpad na raf Dlaczeg y nie? odezwa si ab. Przecie w kanale s ska y podwodne. Ale, Nabie odpar Pencroff chyba nie otworzy e oczu w odpowiedniej chwili. Doskonale widzia em, jak na moment przed zatoni em bryg uni si a olbrzymiej fali, a potem opad na bakburt. Ot dyby wpakowa si a raf to zatoni by najspokojniej w wiecie jak ka dy uczciwy statek id cy na dno. Ale w a nie to nie by uczciwy statek powiedzia Nab.

Wkr przekonamy si Pencroff pogodzi ich inzynier. Przekonamy si powt marynarz ale r g ow, e w kanale nie ma ska podwodnych, Czy by pan chca powiedzie e i w tym wydarzeniu by o tak e co cudownego? Cyrus Smith nie odezwa si W ka dym razie wtr ci Gedeon Spilett je eli nawet by o to uderzenie o ska to zgodzi si an, Pencroff, e nast pi o w sam por Tak... Tak... ci gn dalej marynarz ale nie o to chodzi. Pytam si ana Smitha, czy widzi w tym co nadprzyrodzonego? Nie chc ypowiada i a ten temat, Pencroff odpar inzynier. To wszystko, c o mog powiedzie Ta odpowied nie zadowoli a bynajmniej Pencroffa. Stawia on na wybuch" i nie chca ust pi Nie zgodzi si igdy, eby w kanale, przez kt cz o przechodzi w br rzy niskim stanie wody i kt o dno, pokryte podobnie jak pla a drobnym piaskiem, zna doskonale, mog a si nale aka nie zauwa ona ska a podwodna. Zreszt w chwili katastrofy bryg stan morza by wysoki, a wi w kanale by o wi j wody, ni potrzeba, by przep yn onad wszystkimi rafami. Statek zatem nie wpad na ska lecz wylecia w powietrze. Trzeba przyzna e rozumowanie marynarza nie by o pozbawione sporej dozy s uszno ci. Oko o p o drugiej koloni ci za adowali si o pirogi i pop yn na miejsce katastrofy. Wielka szkoda, e nie uda o si ratowa adnej z dw odzi pirat jak wiadomo, jedna roztrzaska a si rzy uj ciu Rzeki Dzi zynienia i by a zupe nie niezdatna do u ytku, druga za znikn w chwili zatoni a brygu i ju nie wyp yn na powierzchni prawdopodobnie zgnieciona przez statek. Kad ub Speedy" iacz w a nie wynurza i wody. Statek by teraz przechylony jeszcze bardziej. Przesuwaj cy si alast zdruzgota maszty, bryg wi le a prawie do g dnem. Zosta on istotnie przewr y przez jak nieznan, straszliw si odwodn, kt w momencie katastrofy przejawia si postaci pot ej tr by wodnej. Koloni ci op yn wrak doko a; w miar asilania si dp ywu mogli pozna e eli ju nie przyczyn kt spowodowa a katastrof to przynajmniej jej skutki. Na przodzie statku, z obydwu stron kilu w odleg o ci siedmiu czy o miu st d stewy dziobowej \*, boki statku by straszliwie rozdarte na przestrzeni co najmniej dwudziestu st Zia y tam szerokie otwory, nie nadaj ce si o zatkania. Nie tylko mosi e poszycie i drewniane klepki znikn, jak gdyby starte na proszek, ale nie by o tak e ladu wr elaznych oku ni den-rik Wzd u ca ego kad uba a do rufy wzd u niki by y potrzaskane. Nadst a \*\* wyrwana z nies ychan gwa towno ci, sama za st a, wy amana w kilku miejscach, p i na ca ej d ugo ci. Do kro t diab zawa Pencroff ten statek bie do rudno doprowadzi do porz dku! Jest to zupe nie niemo liwe doda Ayrton. W ka dym razie zauwa y Gedeon Spilett je eli by tu jaki wybuch, to skutki jego s przedziwne. Rozwali on

kadub statku w dolnych częściach zamiast wysadził okład i nadbudę. Te wielkie otwory sprawiają wrażenie, że powstały wskutek uderzenia o rafię za od wybuchu prochowni. W kanale nie ma rafy upiera się marynarz. Zgodziliśmy się na wszystko, co pan chce, z wyjątkiem uderzenia o rafię. Postarajmy się przedostać do wnętrza brygu zaproponowałem inżynier. Może wtedy będziemy wiedzieli, co myśleliśmy przyczynie katastrofy. Było to istotnie najlepsze wyjście, a ponadto należało obejrzeć wszystkie skarby znajdujące się w pokładzie i przygotować do wydobywania. Dostanie do wnętrza statku nie nastręcza trudności. Woda w dalszym ciągu opadała i można już było przedostać się do spokoju, którego wskutek odwrócenia się kadłuba znalazła się góra. Balast składający się z brygów żeliwnych przebił go w kilku miejscach. Słychać było szum wody uciekającej przez wyrwy w kadłubie. Kolonicy uzbrojeni w siekiery weszli pod rozbity pokład. Ponieważ się u rufy skrzynie; ponieważ przebywają w wodzie bardzo krótko, należało przypuszczać, że ich zawartość uległa uszkodzeniu. W pierwszym rzędzie zajęliśmy się przeniesieniem ładunku w bezpieczne miejsce. Przeprowadziliśmy następną operację za kilka godzin, czas ten widziałem w sposób najbardziej racjonalny. Ayrton z Pencroffem przymocowali obok dziury wybitej w kadłubie wielokrętek do podnoszenia baryłek i skrzyżowano je na pirogu natychmiast odwołano na platformę. Zabierano wszystko bez wyboru, sortowanie miało nastąpić później. Przede wszystkim kolonicy stwierdzili z wielką przyjemnością, że bryg posiada niesłychanie urozmaicony ładunek w postaci różnych artykułów narzędzi, wyrobów przemysłowych i przyrządów jak to często bywa na statkach żeglugi przybrzeżnej w Polinezji. Istniało duże prawdopodobieństwo, że znajdzie się tutaj wszystkiego po trochu, a to właśnie najbardziej odpowiadało kolonistom. Jednakże Cyrus Smith ze zdumieniem zauważył, że nie tylko kadłub brygu wielce ucierpiał od wstrząsu, lecz ponadto całe urządzenie wewnętrzne, zwłaszcza na dziobie, było w drzazgach. Grodzie poprzeczne i filary były strzaskane, jak gdyby olbrzymi pocisk rozerwał się wewnątrz brygu. Po usunięciu skrzyżowaniu ich po jednej do pirogi kolonicy mogli z łatwością przejść dziobą na rufę. Dotarli wreszcie na tył brygu, w miejsce, na którym wznosiła się kabina rufowa. Według wskazania Ayrtona tam właśnie należało szukać prochowni. Cyrus Smith przypuszczał, że nie wyleciała ona w powietrze i że paradyżek, który bywał zazwyczaj wewnątrz obite blachą, mogło ocaleć proch między zamkniętymi i tak też było. Po niewielkiej liczbie pocisków rmatnich znaleziono ze dwadzieścia baryłek obitych wewnątrz blachą miedzianą; wydobyto je z wielką ostrożnością. Pencroff przekonał się, że w czasie oczy, że zniszczenie brygu nie było spowodowane wybuchem prochu, gdyż wcale najmniej ucierpiała ta część statku, gdzie była prochownia. Możliwe, że z uporem powtarza marynarz, ale co do skał podwodnych, to nie ma ich w kanale. Co się z nią stało? pyta Harbert. Nie wiem, odpowiedział Pencroff. Pan Cyrus tego nie wie, nikt nic nie wie i nie będzie wiedział. Na tych poszukiwaniach upłynęło niepostrzeżenie parę godzin i wreszcie rozpoczęła się praca. Trzeba było przerwać pracę. A <rs. s> Zresztą nie było obawy, że fala uniesie wrak statku na pełne morze, gdyż ugrzęzł już w piasku tak mocno, jakby się zakotwiczył. Z ponownym podjęciem prac należało poczekać na odpływ. Sam statek był jednak skazany na zagładę a nawet musieli się spieszyć z wydobywaniem szczątków kadłuba, gdyż niebawem mogły go wchłonąć ruchome piaski zacielające dno kanału. Była piąta po południu. Kolonicy tego dnia cięło się pracowali, toteż spożyli posiłek z wielkim apetytem. Następnie, pomimo zmęczenia, nie mogli się przeokusić zajrzenia do skrzyżowania żelaznych ongi ładunek "Speedy". Znaleziono w nich gotowe ubrania przyjeźdźcy, jak można się łatwo domyślić z wielką radością. Było tego tyle, że starczyłoby dla całej wielkiej kolonii, bo i wszelkiego rodzaju

bielizny, i r<sup>o</sup>ch rozmiar<sup>o</sup> buwia by<sup>o</sup> w br<sup>o</sup> Jeste<sup>my</sup> teraz zbyt bogaci! zawo<sup>a</sup> Pencroff. Co b<sup>ie</sup>my z tym wszystkim robi<sup>e</sup> Co chwila rozlega<sup>y</sup> si<sup>e</sup>ono<sup>ne</sup> okrzyki rado<sup>ci</sup> marynarza, gdy odkrywa<sup>o</sup> bary<sup>ki</sup> rumu, worki tytoniu, bro<sup>ln</sup> i bia<sup>o</sup>, bele bawe<sup>ny</sup>, narz<sup>ia</sup> rolnicze, ciesielskie, stolarskie, kowalskie, skrzynie z r<sup>o</sup>mi gatunkami ziarna, kt<sup>h</sup> kr<sup>o</sup> pobyt w wodzie nie zdo<sup>a</sup> uszkodzi<sup>e</sup> Jak<sup>e</sup> by si<sup>e</sup>o wszystko przyda<sup>o</sup> dwa lata temu! Ale nawet i teraz, pomimo <sup>e</sup> przemy<sup>lni</sup> koloni<sup>ci</sup> sami zaopatrzyli si<sup>e</sup> wszystko, takie skarby nie by<sup>y</sup> do pogardzenia. W magazynach Granitowego Pa<sup>acu</sup> by<sup>o</sup> miejsca pod dostatkiem, ale tego dnia nie starczy<sup>o</sup> ju<sup>o</sup> czasu i dlatego nie zdo<sup>ano</sup> przenie<sup>o</sup>am wszystkiego. Nie nale<sup>a</sup>o jednak zapomina<sup>o</sup> tym, <sup>e</sup> sze<sup>ciu</sup> pozosta<sup>ych</sup> przy <sup>yciu</sup> cz<sup>onk</sup>a<sup>ogi</sup> "Speedy" wyl<sup>dowa</sup>o na wyspie i <sup>e</sup> byli to prawdopodobnie <sup>otrzykowie</sup> pierwszej klasy, kt<sup>h</sup> nale<sup>a</sup>o si<sup>e</sup>ostrzega<sup>o</sup> Wprawdzie most na Rzece Dzi<sup>zynienia</sup> i ma<sup>e</sup> mostki zosta<sup>y</sup> zwiedzione, jednak rzeka czy, te<sup>o</sup> strumyk nie stanowi<sup>y</sup> dostatecznej przeszkody dla bandyt<sup>nie</sup> maj<sup>c</sup> nic do stracenia, mogli oni sta<sup>i</sup>o<sup>aprawd</sup>gro<sup>ni</sup>. Koloni<sup>ci</sup> uradzili, <sup>e</sup> zastanowi<sup>o</sup> si<sup>e</sup>ej, jakie kroki nale<sup>y</sup> przedsi<sup>i</sup>o<sup>o</sup> na razie bowiem trzeba by<sup>o</sup> czuwa<sup>rzy</sup> skrzyniach i pakunkach zgromadzonych w pobli<sup>u</sup> Komin<sup>o</sup> Wart<sup>o</sup>rzymali na przemian przez ca<sup>o</sup> noc. Zbiegli bandyci nie podj<sup>o</sup> pr<sup>napadu</sup>. Im<sup>o</sup>up, a tak<sup>e</sup> Top, czuwaj<sup>c</sup> u podn<sup>o</sup> Granitowego Pa<sup>acu</sup>, nie omieszka<sup>y</sup>by da<sup>na</sup>o ich pojawieniu si<sup>e</sup> Nast<sup>e</sup> trzy dni, 19, 20 i 21 pa<sup>dziernika</sup>, zosta<sup>y</sup> u<sup>yte</sup> na wydobywanie wszystkiego <sup>b</sup>d<sup>o</sup> z <sup>adunku</sup>, b<sup>d</sup>o z osprz<sup>wania</sup> brygu <sup>o</sup> co mia<sup>o</sup> jak<sup>o</sup>kolwiek warto<sup>o</sup>ub przydatno<sup>o</sup> W czasie odp<sup>yu</sup> wypr<sup>ano</sup> komory statku, w czasie za<sup>o</sup> przyp<sup>yu</sup> przenoszono uratowane przedmioty do magazynu. Zdo<sup>ano</sup> r<sup>e</sup>o<sup>o</sup> oderwa<sup>o</sup> kad<sup>uba</sup> du<sup>y</sup> p<sup>at</sup> mosi<sup>ego</sup> poszycia. Statek grz<sup>z</sup>o co dzie<sup>rdziej</sup>, ale zanim piasek poch<sup>on</sup>o<sup>o</sup> ci<sup>e</sup>ze przedmioty, kt<sup>o</sup>posz<sup>y</sup> na dno przez dziury w kad<sup>ubie</sup>, Ayrton i Pencroff, nurkuj<sup>c</sup> kilkakrotnie na dno kana<sup>u</sup>, odnale<sup>li</sup> <sup>a</sup>hy i kotwice, bry<sup>y</sup> <sup>eliwne</sup>, stanowi<sup>o</sup>ce balast, a nawet cztery armaty, kt<sup>o</sup>uda<sup>o</sup> si<sup>e</sup>y<sup>o</sup>gn<sup>o</sup>a l<sup>o</sup>d przywi<sup>o</sup>zuj<sup>c</sup> do nich puste bary<sup>ki</sup>. Jak widzimy, arsena<sup>o</sup> kolonii zyska<sup>o</sup> na tej akcji ratowniczej nie mniej ni<sup>o</sup> spi<sup>arnia</sup> i magazyny. Pencroff, jak zwykle entuzjasta w swoich projektach, m<sup>o</sup> ju<sup>o</sup> nawet o ustawieniu baterii strzeg<sup>o</sup>cej kana<sup>u</sup> i uj<sup>o</sup>cia rzeki. Maj<sup>c</sup> do dyspozycji cztery armaty, zobowi<sup>o</sup>zy- wa<sup>o</sup> si<sup>e</sup>ie dopu<sup>o</sup>ci<sup>o</sup>adnej eskadry, <sup>o</sup>nawet najpot<sup>o</sup>iejszej", na wody Wyspy Lincoln. W czasie tych prac, gdy z brygu pozosta<sup>o</sup> ju<sup>o</sup> tylko bezu<sup>o</sup>yteczny szkielet, nadesz<sup>y</sup> burze i doko<sup>o</sup>o<sup>o</sup> dzie<sup>o</sup>a zniszczenia. Cyrus Smith zamierza<sup>o</sup> nawet wysadzi<sup>o</sup> rak w powietrze i pozbiera<sup>o</sup>ego szcz<sup>o</sup>tki przy brzegu, ale silny wiatr z p<sup>o</sup>nego wschodu i bardzo niespokojne morze przyczyni<sup>y</sup> si<sup>e</sup>o zaoszcz<sup>o</sup>enia prochu. W nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty fale po<sup>o</sup>ama<sup>y</sup> na drobne cz<sup>o</sup>i kad<sup>ub</sup> statku i reszt<sup>o</sup>zcz<sup>o</sup>tk<sup>o</sup>yrzuci<sup>y</sup> na brzeg. Cyrus Smith przeszuka<sup>o</sup> starannie wszystkie szafy messy, a<sup>o</sup>eby znale<sup>o</sup>o<sup>o</sup> dokumenty statku, niestety, na pr<sup>o</sup>. Prawdopodobnie piraci zniszczyli wszystko, co dotyczy<sup>o</sup>o kapitana czy armatora brygu, a poniewa<sup>o</sup> na rufie nie by<sup>o</sup>o tabliczki z nazw<sup>o</sup> portu macierzystego, trudno by<sup>o</sup>o si<sup>e</sup>o<sup>o</sup>my<sup>o</sup>li<sup>o</sup>z jakiego kraju statek pochodzi. Jedynie z kszta<sup>o</sup>tu dziobnicy Ayrton i Pencroff wysnuli przypuszczenie, <sup>e</sup> bryg m<sup>o</sup>by<sup>o</sup>onstrukcji angielskiej. Osiem dni po katastrofie, a w<sup>o</sup>a<sup>o</sup>ciwie po szcz<sup>o</sup>iwym, aczkolwiek tajemniczym wydarzeniu, kt<sup>o</sup>u kolonia zawdzi<sup>o</sup>a<sup>o</sup> swoje wybawienie, statku nie by<sup>o</sup>o wida<sup>o</sup>u<sup>o</sup> nawet w czasie odp<sup>yu</sup>. Szcz<sup>o</sup>tki unios<sup>o</sup>a woda, Granitowy Pa<sup>ac</sup> za<sup>o</sup> wzbogaci<sup>o</sup> si<sup>e</sup>o ca<sup>o</sup>y prawie jego <sup>o</sup>adunek. Tajemnica osnuwaj<sup>o</sup>ca t<sup>o</sup>ziwn<sup>o</sup> katastrof<sup>o</sup>rawdopodobnie nigdy nie wysz<sup>o</sup>aby na <sup>o</sup>wiat<sup>o</sup>o dzienne, gdyby 30 listopada Nab, kr<sup>o</sup>c si<sup>e</sup>o wybrze<sup>o</sup>u, nie znalaz<sup>o</sup> szcz<sup>o</sup>tk<sup>o</sup>rubego, <sup>o</sup>elaznego cylindra, kt<sup>o</sup>nosi<sup>o</sup>y na sobie <sup>o</sup>lady eksplozji. Cylinder by<sup>o</sup>o powykr<sup>o</sup>ny i rozdarty, jak gdyby pod wp<sup>o</sup>ywem dzia<sup>o</sup>ania substancji wybuchowej. Nab przyni<sup>o</sup>ten kawa<sup>o</sup>ek metalu swojemu panu, za-

je mu w was z towarzyszami prac w Kominach. Cyrus Smith uważa nie obejrza cylinder i zwrócił się o Pencroffa ze słowami: Czy pan, przyjacielu, w dalszym ciągu upiera się "Speedy" nie zginął wskutek zderzenia? Tak, panie Cyrusie. Pan wie tak samo dobrze jak ja, że w kanale nie ma skał podwodnych. A jeżeli zderzy się tym oto kawałkiem żelaza? zapytał inżynier pokazując rozerwany cylinder. Co?! Z tym ogryzkiem rury? zawołał Pencroff tonem pełnym niedowierzania. Przyjaciele powiedzcie Cyrus, Smith czy przypominacie sobie, że przed pięć lat na dno bryg unięsiła szczyt prawdziwej trąby wodnej? Tak, panie Cyrusie odpowiedział Harbert. Ot chciecie wiedzieć co spowodowało trąbę wodną? Właśnie to inżynier pokazał z ręką rury. To? Zdumienie Pencroffa nie miało granic. Tak. Ten cylinder to wszystko, co pozostało z miny! Z miny? powtórzyli wszyscy chętnie. A kto tam umieścił tę minę? zapytał Pencroff nie chcąc się jeszcze poddać. Jedyne, co mogłem powiedzieć to tylko tyle, że nie ja odrzekł Cyrus Smith. A jednak jako znalazła się kanale i sami mogliście ocenić jej niezwykłość siłę.

## ROZDZIAŁ PIĄTY. Twierdzenie inżyniera. Ciekawe przypuszczenia Pencroffa. Bateria powietrzna. Cztery pociski. Rozmowa o pozostałych przy życiu opryszkach. Wahanie Ayrtona. Wspaniałomyślność Cyrusa Smitha. Pencroff ustępuje. A wiódł wszystko tłumaczył o siłach podwodnym wybuchem miny. Cyrus Smith nie mówił do tego mylił gdy podczas wojny miał moją nożycę straszliwy ród zniszczenia. Właśnie pod wpływem cylindra na adowanego materiałem wybuchowym nitrogliceryn, pikryniem czy inną substancją w tym rodzaju w kanale wytworzyła się trąba wodna i bryg, zdruzgotany od dołu, poszedł natychmiast na dno. "Speedy" nie męprzeżenie, które przecie niszczy nawet opancerzoną fregatę jak atwo, jakby to była barka rybacka. Wskutek ciężkiego uszkodzenia kadłuba nie nadawała się do naprawy. Tak, wszystko dało się wytłumaczyć wszystko... z wyjątkiem tego, skąd mina znalazła się kanale. Przyjaciele powiedzcie Cyrus Smith nie możemy już dłużej podawać w wątpliwość istnienia na tej wyspie jakiejś tajemniczej istoty. Może to jest rozbitek tak jak my. Powtarzam to raz jeszcze dlatego, aby Ayrton wiedział o wszystkich dziwnych wydarzeniach, jakie zaszły w ciągu dwóch lat. Kim jest ten nieznaną dobroczyńcą którego interwencja w niezliczonych okolicznościach okazała się dla nas tak zbawienną? Nie umiem sobie wyobrazić jaki cel ma w tym, aby działać pozostając w ukryciu po tyłu oddanym nam usługach. Nie mogę tego zrozumieć. Przysięgi wywiadczone przez niego są wielkiej wagi i należą do tych, jakie może oddać tylko człowiek posiadający niezwykłą potęgę. Ayrton ma wobec niego nie mniejsze obowiązki niż ci niemy, gdy jeżeli ten nieznaną wyratował mnie z fal po upadku balonu, to niewątpliwie nie kto inny, lecz właśnie on napisał dokument i podrzucił na naszej drodze butelkę z czem mogliśmy się dowiedzieć sytuacji naszego towarzysza! Skrzyni tak wspaniale wyposażoną we wszystko, czego nam brakowało, także on wyrzucił na cyplu. To on zapalił gdzieś na wyżynach ogień którego mogliście dopłynąć do brzegu. Ziarnko ołowiu, znalezione w miękko pekarzy, pochodziło z jego strzału, minę którą zniszczyła bryg, także on umieścił w kanale; słowem wszystkie te nie dające się wytłumaczyć fakty, z których nie umieliśmy sobie zdać sprawy, mamy do zawdzięczenia tej tajemniczej istocie. A zatem kimkolwiek on jest rozbitkiem czy wygnanym byłibyśmy niewdzięcznikami, gdybyśmy się uważali za zwolnionych od obowiązku wobec niego. Zaciągamy dług i mam nadzieję że kiedyś zdamy go spłacić. Ma pan rację drogi Cyrusie powiedział Gedeon Spilett. Tak, jest tu gdzieś ukryta na wyspie jakaś wszechmocna istota, która pod wpływem okazała się nadzwyczaj pożyteczny dla naszej kolonii. Muszę dodać że ten nieznaną dysponuje prawie nadprzyrodzonymi siłami, jeżeli oczywiście w wydarzeniach codziennego życia

uznamy istnienie si- nadprzyrodzonych. Mo- ukradkiem pods-uchuje nas przez studni- Granitowym Pa-acu i w ten spos-oznaje nasze projekty? Je-!li bowiem on podrzuci- nam t-utelk-!gd-!y piroga odbywa-!a pierwszy rejs po morzu, je-!li wyrzuci- z jeziora Topa i zada-! !miertelny cios krowie morskiej, je-!li wreszcie on, jak wszystko zreszt- na to wskazuje, wyratowa-! pana z oceanu i dokona-! tego w warunkach, w jakich -aden zwyk-!y cz-!owiek nie zdo-!a-!by tego uczyni-! to niew-!t-!pliwie posiada on moc, kt-!go czyni panem -ywio-!-!-! Ka-!dy z obecnych czu-! -e uwaga reportera by-!a s-!uszna. - Tak - zgodzi-! si-!yrus Smith - je-!eli nie w-!tpimy, -e wszystko zawdzi-!amy interwencji nieznanego cz-!owieka, to musz-!i-!godzi-!-!e posiada on -rodki, jakimi ludzko-!-!oty-!czas nie dysponuje. W tym tak-!e tkwi tajemnica, ale gdy odnajdziemy tego cz-!owieka, w-!as on sam uchyla r-!bka tajemnicy. Powstaje wi-!nast-!j-!ce pytanie: czy mamy uszanowa-!ncognito \* tej wielkodusznej istoty, -czy te-! powinni-!my zrobi-!szystko, co w naszej mocy, aby do niej dotrze-!Jakie jest wasze zdanie? - Moim zdaniem - odezwa-! si-!encroff - kimkolwiek ten cz-!owiek jest, nale-!y do przyzwoitych ludzi i zas-!u-!y-! sobie na szacunek. - Zgoda - powiedzia-! Cyrus Smith - ale to nie jest odpowied-!. - Jestem pewien - wtr-!ci-! Nab - -e mo-!emy szu-! Incognito (w-!.) - zatajenie swego nazwiska i stanu. ka-!ego cz-!owieka dzie-!noc, a i tak nie znajdziemy go wcze-!niej, ni-! jemu si-!-!ie podoba-!o. - To wcale nieg-!upia uwaga, Nabie - pochwali-! Pencroff. - Jestem tego samego zdania, co Nab - doda-! Ge-deon Spilett. - Jednak to nie jest pow-!o zaniechania poszukiwa-!zy znajdziemy t-!ajemnicz-! istot-!czy nie, w ka-!dym razie b-!iemy mieli poczucie spe-!nionego obowi-!zku. - A ty, m-!h-!opcze, jakiego jeste-! zdania? - zwr-! si-!n-!ynier do Harberta. - Ach! - zawo-!a-! Harbert z p-!on-!cymi oczami. -!-! Chcia-!bym mu podzi-!wa-!a to, -e uratowa-! naprz-!ana, a potem nas wszystkich. - Zupe-!nie s-!usznie, m-! ch-!opcze - powiedzia-! Pencroff - ja tak-!e chcia-!bym to zrobi-! chyba wszyscy! Nie nale-!o ciekawskich, ale odda-!bym jedno oko, -eby stan-!-!warz-! w twarz z tym jegomo-!ciem. Wydaje mi si-!-!e musi on by-!i-!y, wysoki, silny, ze wspania-!-! brod-!, w-!osami jak promienie s-!oneczne i -e le-!y sobie na ob-!okach z wielk-! kul-! w d-!oni! - Ach, Pencroff - zawo-!a-! Gedeon Spilett - przecie-! pan nam tu namalowa-! portret Boga Ojca! - To mo-!liwe, panie Gedeonie, ale w-!a-!nie tak go sobie wyobra-!am. - A pan? - zapyta-! in-!ynier Ayrtona. - Panie Smith - odezwa-! si-!yrton - niestety, nie mog-!ic powiedzie-! tej sprawie. Tak jak pan postanowi, b-!ie dobrze. Je-!li zechce pan wzi-!-!nie ze sob-! na poszukiwania, jestem got-!-!-! - Dzi-!j-!anu bardzo, Ayrton, jednak chcia-!bym otrzyma-!ardziej -cis-!-! odpowied-! na moje pytanie. Jest pan naszym towarzyszem, kilkakrotnie narazi-! pan dla nas -ycie i gdy chodzi o powzi-!e wa-!nej decyzji, nale-!y pana zapyta-! zdanie tak jak ka-!dego z nas Prosz-!-!. - Moim zdaniem, panie Smith, powinni-!my zrobi-!szystko, a-!eby odnale-!-!aszego dobroczy-! Mo-!e on jest samotny? Mo-!e cierpi? Mo-!e ma w -yciu co-! do naprawienia? Przecie-! ja te-!, jak sam pan powiedzia-!, mam wobec niego d-!ug wdzi-!no-!ci. Przecie-! to tylko on m-!si-!da-!a wysp-!abor, odnale-!-!nie w tym rozpaczliwym stanie, w jakim by-!em, gdy-!cie mnie poznali, i da-!am zna-!-!e znajduje si-!am nieszcz-!a istota, kt-!czeka na ratunek!... Przecie-! dzi-! niemu sta-!em si-!n-!z-!owiekiem. Nie, nie zapomn-!u tego nigdy! - A wi-!postanowione - odrzek-! Cyrus Smith. - Rozpoczniemy poszukiwania jak najwcze-!niej. Nie pozostawimy najmniejszego zak-!tka wyspy bez zbadania. Przepatrzymy wszystkie najtajniejsze zakamarki i niechaj nasz nieznan-! przyjaciel wybaczy to nam w imi-!asz-!ych dobrych intencji. Przez kilka dni koloni-!ci intensywnie zajmowali si-!ianokosami i -niwami. Przed przyst-!pieniem do zamierzonego przeszukania ca-!ej wyspy chcieli zako-!-!ajpilniejsze prace. W tym czasie nale-!a-!o tak-!e zebra-!-! warzywa wyhodowane z

nasion przywiezionych z wyspy Tabor. Trzeba było wnieść wszystko do Granitowego Pałacu, gdzie na szczęście nie brakowało miejsca, można byłoby bowiem zmagazynować wszystkie bogactwa całej wyspy. Plony zebrane przez kolonistów zostały porządnie ułożone w bezpiecznym miejscu, gdzie nie groziło im nic ze strony zwierząt ani ludzi. W tym litym bloku skalnym nie trzeba było obawiać się wilgoci. Kilka naturalnych pieczar, znajdujących się w korytarzu, poszerzono i powiększono bardzo za pomocą oskardżbów, dzięki czemu Granitowy Pałac stał się doskonałym składnicą, w której mieściły się rowiandy, amunicja, zapasowe narzędzia i instrumenty, słowem cała dobytek kolonii. Armaty pochodzące z brygu były to piękne sztuki z kutej stali. Ulegając namowom Pencroffa wciągnięły je za pomocą dźwigarów wielokrętów podest Granitowego Pałacu. Między oknami wykuto wgłębienia i niebawem z granitowych ścian wynurzyły się piękne paszcze dział. Z tej wysokości armaty rzeczywiście trzymały w szachu cała Zatokę. Był to prawdziwy Gibraltar w miniaturze i každy statek, ukazujący się z drugiej strony wysepki, niewątpliwie byłby powitany ogniem tej powietrznej baterii.

— Panie Cyrusie — odezwał się pewnego dnia Pencroff — Teraz, gdy ukończyliśmy uzbrojenie wyspy, trzeba przecie wyprawa jak daleko niosą nasze działa. Myśli pan, że to jest potrzebne? — Wiem, że nie jest potrzebne, to jest konieczne! Jakże inaczej poznałbyś opana jak możemy wysłać nasze liczne pociski? — No to spróbujmy, Pencroff — zgodzi się inżynier. — Słusznie tylko, że do tego doświadczenia trzeba użyć zwykłego prochu, gdy nie chciałbym uszczuplać zapasów, lecz piroksyłu, którego zawsze będziemy mieli pod dostatkiem. — Ale czy te armaty wytrzymają wybuch piroksyłu? — zapytał reporter, palący nie mniej niż Pencroff chęć wyprawa artylerii. — Myślę, że tak. Zresztą zachowamy należytą ostrożność. — Inżynier, jako znawca, ocenił, że armaty są znakomite. Z kutej stali, ładowane od tyłu, mogą wytrzymać nabój nie bardzo daleko. Aby zapewnić skuteczną działania, tor pocisku powinien być jak najbardziej stromy, co można uzyskać tylko wtedy, gdy pociskowi nada się wielką szybkość początkową. — Otóż tłumaczył Cyrus Smith towarzyszom — szybkość początkowa zależy od ilości zużytego prochu. W produkcji dział całe zagadnienie sprowadza się do użycia jak najbardziej wytrzymałego metalu; stal niewątpliwie ma tę właściwość. — Przypuszczam więc, że nasze armaty wytrzymają bez ryzyka rozpręgnię się z piroksyłu i że otrzymamy świetne wyniki. — Będziemy mieli jeszcze wiązanie pewno o prędkość — mruknął Pencroff. Wszystkie cztery armaty były w doskonałym stanie. Od chwili wydobywania ich z wody marynarz nie szczędził trudu i starannie. Wiele godzin poświęcił na wycieranie, oliwienie, polerowanie i czyszczenie mechanizmu zatyczki, zamka, iglicy. Teraz te wszystkie części tak lśniły, jak gdyby działa stały na pokładzie fregaty należącej do marynarki Stanów. Tego dnia, a było to 8 listopada, w obecności wszystkich członków kolonii, nie wyznaczając im Topa i Topa, wyprawa po kolei wszystkie armaty. Naładowano je piroksylem, uwzględniając oczywiście jego siłę wybuchową, czterokrotnie jak wiadomo — wiązanie od siły zwykłego prochu; pocisk, którego koloniści zamierzali wystrzelić był cylindryczno-stożkowy. Pencroff, trzymając w rękach lont, gotowy do oddania strzału. Na znak dany przez Cyrusa Smitha rozległ się huk. Pocisk wycelowany w morze przeleciał ponad wysepki i spadł daleko, w odległości, której nie można było dokładnie określić. Z drugiej armaty wycelowano na najdalsze skały Cypla Skrzyni i pocisk, trafiwszy w ostry grzązki znajdujący się w odległości o trzy mile od Granitowego Pałacu — rozbił go na drobne odłamki. Z drugiej armaty celował Harbert, bardzo dumny ze swojego pierwszego strzału. Ale jeszcze bardziej niż Harberta rozpierała dumą Pencroffa. Taki wspaniały strzał przynosił przecie niemały zaszczyt jego ukochanemu chłopcu! Trzeci pocisk wystrzelono na wydmy



tworzące gęsty brzeg Zatoki Unii; odbiśnie od piasku w odległości co najmniej czterech mil i wpadł do morza, wzbijając się w spienioną wodę. Przy czwartym strzale Cyrus Smith, by zorientować się o maksymalnej nośności dział, zwiążył trochę ładunek. Wszyscy odsunęli się o kilka kroków, na wypadek gdyby armata ożerwała, po czym zapalono drugiego lont. Rozległa się odniesiona detonacja, lecz armata wytrzymała; koloniści dostrzegli, że pocisk zawadził o skały na Przylądku Szczepnym, znajdując się jakieś pięć mil od Granitowego Pałacu, i zniknął w Zatoce Rekina. — No i cóż panie Cyrusie! — wołał Pencroff, który przez cały czas wydawał okrzyki mogące rywalizować strzałami "armatnimi". — Co pan powie o naszej baterii? Teraz wszyscy piraci Pacyfiku mogą usiłować ostatecznie Granitowego Pałacu. — Jeden z nich nie wyłduje bez naszego zezwolenia. — Proszę wierzyć Pencroffowi — odparł inżynier — że wolałbym nie robić tego do wiadomości. — Ale, ale — ciągnął dalej marynarz — a co zrobimy z tymi sześcioma hajdakami, które są po naszej wyspie? Czy pozwolimy im tak spacerować po lasach, polach i łąkach? Przecież to prawdziwe jaguary i wydaje mi się, że możemy bez wahania potraktować ich jak dzikie zwierzę. Co pan o tym sądzi? — dodał zwracając się do Ayrtona. Ayrton zawahał się odpowiedzieć, inżynierowi zaś zrobiło się przykro, że Pencroff trochę kłótnie zadał to pytanie. — Byłem jednym z takich jaguarów — powiedział Pencroff, i dlatego nie mam prawa zabierać ich do osy. Po tych słowach Ayrton oddalił się o kilka kroków. — Cóża przekłócił był — powiedział Pencroff. — Biedny Ayrton, przecież on ma takie samo prawo do osy jak każdy z nas!... — Tak — odezwał się Spilet — ale jego powściągliwość przynosi mu zaszczyt i należy uszanować jego stosunek do smutnej przeszłości. — Zgoda, panie Spilet — odparł marynarz. — To się już więcej nie powtórzy. Wolałbym się zgryźć jak nie sprawi przykro Ayrtonowi. Ale powróć do sprawy. Wydaje mi się, że ci bandyci nie zasługują na żadną litość — że powinniśmy jak najszybciej pozbyć się ich z wyspy. — Takie jest pana zdanie? — zapytał inżynier. — Takie, nie inne. — I zanim zaczną ich pan bezlitośnie traktować — nie zaczeka pan na jakieś wrogie wystąpienie z ich strony? — Czy nie wystarczy tego, co już zrobili? — zapytał Pencroff nie mogąc pojąć żałości inżyniera. — A może znaleźć do nich jakieś inne uczucia — powiedziała Cyrus Smith. — Może odczuwać skruch. — Skruch — Oni! — wzruszył ramionami marynarz. — Pomyśl o Ayrtonie, Pencroff — powiedziała Harbert biorąc go za rękę. — Przecież on stał się czciwym człowiekiem. Pencroff uważnie popatrzył na swoich towarzyszy. Nigdy nie przypuszczał, że jego propozycja spotka się jakimkolwiek zastrzeżeniami. Jego prymitywna natura nie mogła zrozumieć, że można wchodzić ukłonić — ono dy z przebywającymi na wyspie opryszkami, z kamratami Boba Harveya, z mordercami za "ogi Speedy". Dla niego byli oni drapieżnymi zwierzęmi, które należy wytrącić z wyspy bez wahania i bez skrupułów. — Masz tobie — powiedziała — mam wszystkich przeciwko sobie! Chcecie zabawić się we wspaniałomyślność — obec tych hajdaków — Dobra! Niech tak będzie. — żebyśmy tylko tego nie poważowali! — Co nam może grozić — zapytał Harbert — skoro zawsze będziemy się mieli na baczności? — Hm — mruknął dotychczas milczący reporter. — Jest ich sześć, i to dobrze uzbrojonych. Niech kiedy z nich zaczął się jakimś kłóćcie i strzeli do jednego z nas, to niebawem staną się anami kolonii. — Dlaczego więc nie zrobili tego dotychczas? — zapytał Harbert. — Prawdopodobnie nie mają takich zamiarów — Zresztą nas też jest sześć. — Dobra, dobra — zakończył się Pencroff, nie przekonany tym rozumowaniem. — Dajmy tym pocziwcom swobodę — zajmowania się czym chcą, i nie troszczmy się o nich. — Nie bądź taki złośliwy, Pencroff — wtrącił się Harbert. — Gdyby który z tych nieznajęcych się przed tobą, w zasięgu twojej strzelby, na pewno by nie strzelił do niego... — Strzeliłbym jak do wściekłego psa, Nabie — odparł chłodno

Pencroff. ◆ Pencroff ◆ zwr ◆ si ◆ o niego in ◆ ynier ◆ wielokrotnie post ◆ wa ◆ pan zgodnie z moimi radami. Czy nie zechcia ◆ by pan tym razem tak ◆ e mi zaufa ◆ ◆ I tak, i nie ◆ odrzek ◆ Pencroff ◆ a raczej nie. Uj ◆ cie Rzeki Dzi ◆ zynienia nie jest dogodnym miejscem dla statku, no i fala jest tam wi ◆ za. ◆ Ale gdyby ◆ my go wyci ◆ gn ◆ na piasek pod same Kominy... ◆ Mo ◆ e i tak ◆ zastanawia ◆ si ◆ encroff. ◆ W ka ◆ dym razie, poniewa ◆ mamy uda ◆ i ◆ a do ◆ ◆ ◆ ug ◆ wypraw ◆ opu ◆ ci ◆ ranitowy Pa ◆ ac, my ◆ l ◆ ◆ e podczas naszej nieobecno ◆ ci ◆ Bonawentura" b ◆ ie bezpieczniejszy tutaj i ◆ e lepiej zrobimy, pozostawiaj ◆ c go w Porcie Balonu. ◆ Jestem tego samego zdania ◆ zgodzi ◆ si ◆ eporter. ◆ Przynajmniej w razie niepogody statek b ◆ ie mniej nara ◆ ony na uszkodzenie ni ◆ w uj ◆ ciu rzeki. ◆ A co b ◆ ie, je ◆ eli zbiegowie zechc ◆ go jeszcze raz zwiedzi ◆ ◆ zapyta ◆ Harbert. ◆ C ◆ robi ◆ m ◆ ch ◆ opcze? ◆ powiedzia ◆ Pencroff. ◆ Je ◆ eli przyjd ◆ i nie zastan ◆ go tutaj, na pewno poszukaj ◆ go w okolicy Granitowego Pa ◆ acu, a przecie ◆ w czasie naszej nieobecno ◆ ci nic nie stanie im na przeszkodzie w o'w ◆ adni ◆ u statkiem. Dlatego te ◆ zgadzam si ◆ panem Spilettem, ◆ e trzeba zostawi ◆ Bonawentur ◆ w Porcie Balonu. Ale po powrocie, je ◆ eli nie uda si ◆ am pozby ◆ tych ◆ ajdak ◆ bezpiecniej b ◆ ie przyprowdzi ◆ tatek pod Granitowy Pa ◆ ac i trzyma ◆ o tam dop ◆ dop ◆ nie minie obawa jakiej ◆ niepo ◆ danej wizyty. ◆ Zgoda. W drog ◆ ◆ rzuci ◆ reporter. Po powrocie do Granitowego Pa ◆ acu wszyscy trzej na wy ◆ cigi opowiedzieli in ◆ ynierowi o tym, co zasz ◆ o; Cyrus Smith zaaprobowa ◆ ich post ◆ wanie zar ◆ w chwili obecnej, jak i na przysz ◆ o ◆ ◆ Przyrzek ◆ nawet marynarzowi, ◆ e zbada cz ◆ kana ◆ u pomi ◆ y wysepk ◆ a wybrze ◆ em, ◆ eby si ◆ orientowa ◆ czy nie mo ◆ na b ◆ ie za pomoc ◆ tamy zbudowa ◆ ztuczno go portu. W ten spos ◆ Bonawentura" by ◆ by zawsze na oczach kolonist ◆ a w razie potrzeby ◆ jak gdyby zamkni ◆ na klucz. Tego ◆ jeszcze wieczora wys ◆ ano do Ayrtona depesz ◆ prosz ◆ c go, a ◆ eby sprowadzi ◆ z zagrody par ◆ ◆ kt ◆ Nab chcia ◆ hodowa ◆ a ◆ ◆ ce porastaj ◆ cej p ◆ asko-wzg ◆. Rzecz dziwna, Ayrton nie potwierdzi ◆ odbioru telegramu, jak to robi ◆ zazwyczaj. Da ◆ o to wiele do my ◆ lenia in ◆ ynierowi. Ale przecie ◆ mog ◆ o si ◆ darzy ◆ ◆ e Ayrtona w ◆ a ◆ nie w tej chwili nie by ◆ o w domu albo znajdowa ◆ si ◆ drodze do Granitowego Pa ◆ acu. Od jego odej ◆ cia up ◆ yn ◆ przecie ◆ ju ◆ dwa dni, zgodnie za ◆ z decyzj ◆ mia ◆ on powr ◆ dziesi ◆ tego wieczorem, a ju ◆ najp ◆ ej jedenastego rano. Koloni ◆ ci oczekiwali ukazania si ◆ yrtona na P ◆ a-skowzg ◆ Rozleg ◆ ego Widoku; Nab z Harbertem czuwali nawet w pobli ◆ u mostu, aby go opu ◆ ci ◆ gdy tylko zobacz ◆ swojego towarzysza. Dochodzi ◆ a ju ◆ dziesi ◆ ta wieczorem, Ayrton za ◆ nie dawa ◆ znaku ◆ ycia. Postanowiono wi ◆ wys ◆ a ◆ eszcze jedn ◆ depesz ◆ prosz ◆ c o natychmiastow ◆ odpowied ◆. Dzwonek elektryczny w Granitowym Pa ◆ acu milcza ◆ nadal. Koloni ◆ ci powa ◆ nie si ◆ aniepokoi. Co tam si ◆ ta ◆ o? Czy ◆ by Ayrtona nie by ◆ o ju ◆ w zagrodzie, a je ◆ eli znajdowa ◆ si ◆ am, to czy nie utraci ◆ swobody ruch ◆ Mo ◆ e trzeba natychmiast w t ◆ iemn ◆ noc biec do zagrody? Powsta ◆ a na ten temat dyskusja. Jedni chcieli i ◆ ◆ araz, inni ◆ pozosta ◆ ◆ Mo ◆ e aparat telegraficzny jest uszkodzony i nie funkcjonuje? ◆ wyrazi ◆ przypuszczenie Harbert. i ◆ To mo ◆liwe ◆ powiedzia ◆ reporter. ◆ Zaczekajmy do jutra ◆ rozstrzygn ◆ ◆ spraw ◆ y-rus Smith. ◆ Mo ◆liwe, ◆ e Ayrton nie odebra ◆ naszej depeszy albo wys ◆ a ◆ odpowied ◆, a my ◆ my jej nie otrzymali. Koloni ◆ ci czekali wi ◆ jak mo ◆ na si ◆ omy ◆ li ◆ pe ◆ ni niepokoju. 11 listopada, gdy tylko zacz ◆ ◆ wita ◆ Cyrus Smith ponownie w ◆ ◆ czy ◆ pr ◆ d do aparatu telegraficznego, ale nie otrzyma ◆ odpowiedzi. Druga pr ◆ da ◆ a taki sam wynik. Wreszcie zawo ◆ a ◆: ◆ W drog ◆ Do zagrody! ◆ Oczywi ◆ cie z broni ◆! ◆ doda ◆ Pencroff. Uradzono nie pozostawia ◆ ranitowego Pa ◆ acu bez opieki. Czuwanie nad nim zlecono Nabowi. Odprowdziwszy towarzyszy do Glicerynowego Potoku, mia ◆ on podnie ◆ ◆ ost, ukry ◆ i ◆ a drzewem i czeka ◆ a nich lub na Ayrtona. W wypadku gdyby piraci zjawili si ◆ usi ◆ owali przeprawi ◆ rzez

strumie ab powinien powstrzymać strażami, a gdyby to nie poskutkowało schronięciu Granitowego Paacu, gdzie po wciśnięciu windy byłoby całkiem bezpieczny. Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff mieli udać się bezpośrednio do zagrody, a w wypadku gdyby nie zastali tam Ayrtona przeszukać koliczne lasy. O szóstym rano cała czwórka przeszła na drugą stronę licerynowego Potoku, Nab zaś ulokowała się na lewym brzegu strumienia za niewielką skarpą porośniętą dużymi smokowcami. Po przebyciu Paskowzga Rozległego Widoku koloniści poszli do zagrody krótką drogą. Brodzili w pogotowiu, aby mistrzela atychmiast, gdy ukaże się rękawicy Karabiny oraz strzelby nacięto kulami. Zaraz po obu stronach drogi były tak gęste, że zoczyli mogli ukryć ich z łatwością: dzięki posiadanej broni byłoby wówczas bardzo groźni dla kolonistów Ci- posuwali się szybko i w milczeniu. Top otwierał pochłonięty trzymając się rogów, bębniąc dając niekiedy nura w gęstym lasu; nie szczekał wcale i nie sprawiał wrażenia, że wyczuwa coś niezwykłego. Można było liczyć, że wiernie zwierzę pozwoli się askoczyć szczekaniem da znać najmniejszym nawet niebezpieczeństwie. Po drodze Cyrus Smith i jego towarzysze sprawdzali rzetelnie linię telegraficzną przeczącą zagrodzie Granitowym Paacem. Przeszli już prawie dwie mile i dotychczas nie zauważyli najmniejszego uszkodzenia. Szopy były w dobrym stanie, izolatory nienaruszone, drut prawidłowo nacięty. Jednakże w pewnej chwili inżynier zauważył, że drut jest nieco słabiej nacięty, a gdy doszli do szopy siedemdziesiątego czwartego, Harbert idący na przedzie zatrzymał się okrzykiem: Drut jest przerwany! Wszyscy przyspieszyli kroku, aby dojść do miejsca, gdzie sięchł opiec zatrzymał. Tu w poprzek drogi leżała przewręta szopy. Teraz było już rzecz zrozumiałą, dlaczego depesze z Granitowego Paacu nie mogły dotrzeć do zagrody i odwrotnie. Chyba to nie wiatr przewręcił ten szopy zauważył Pencroff. Raczej nie zgodzi się nim Gedeon Spilett. Ziemia dokoła niego jest rozkopana, a sam szopy wyrwany rękami ludzkimi. W dodatku drut zerwano się dodał Harbert wskazując obydwie końcówki drutu. Czy ład rozerwania jest wiejący? zapytał Cyrus Smith. Tak odpowiedział Harbert niewątpliwie stało się niedawno. Do zagrody! Do zagrody! zawołał marynarz. Koloniści znajdowali się połowie drogi pomiędzy Granitowym Paacem a zagrodą. Mieli do przebycia jeszcze dwie i pół mili. Ruszyli więc szybko naprzód. Istotnie, należało się bawiać w zagrodzie zaszły jakieś poważne wydarzenia. Powodem zaniepokojenia nie był brak depeszy od Ayrtona; bardziej niezrozumiałym był fakt, że Ayrton, który przyszedł w poprzedniego dnia wieczorem, dotychczas się nie pokazał. Wreszcie przecie nie bez powodu została przerwana komunikacja pomiędzy zagrodą a Granitowym Paacem, a któryś mógłby tym zainteresowany, jeżeli nie zbiegli bandyci. Koloniści przyspieszyli kroku, gnani niepokojem. Szczerze przywołali się swego towarzysza. Czyby mieli go znaleźć abitego rękawicy tych, którzy nigdy przewodził jako herszt? Niebawem doszli do miejsca, skąd droga biegła równoległe do Czerwonego Potoku, nawadniającego zagrodę. Zwolnili kroku, ażeby w chwili kiedy byłoby walka zaczęła się dobrze, nie przybież tchu. Nabit brodzili w pogotowiu. Kiedy wpatrywała się skraj lasu. Top warczało gęcho, w sposóbie wręcy nic dobrego. Wreszcie pomiędzy drzewami ukazała się alisada corralu. Nie dostrzegano żadnych zniszczeń rama była zamknięta jak zwykle. Wokół anowa gęsta cisza, nie słychać ani beczenia muflonów ani głosów Ayrtona. Wejdźmy powiedział Cyrus Smith. Inżynier poszedł pierwszy, towarzysze zaś jego zaczęli się dwadzieścia kroków z nim, gotowi w każdej chwili do otwarcia ognia. Cyrus Smith odsunął wewnątrz zasuw zamierzał pchnąć pierzeję gdy nagle Top zaczął szczekać w ciekoci. Nad palisadą rozległ się trza, odpowiedział mu okrzyk bę Harbert ugodzony kulą osunął się na ziemię

ROZDZIAŁ SIÓMY. Reporter i Pencroff w zagrodzie. Przetransportowanie Harberta. Rozpacz marynarza. Narada reportera z inżynierem. Leczenie. Nadzieja wstaje w kolonistę. Jak uprzedziłaby? Pewny i wierny posłaniec. Odpowiedź Naba. słyszyc krzyk Harberta Pencroff rzucił broń i skoczył do chłopca, wołając: Zabili go! Zabili mi dziecko! Zabili! Cyrus Smith i Gedeon Spilett pobiegli w stronę Harberta. Reporter zbadał, czy serce chłopca bije. Powybiegł powiedzieć, ale trzeba go przynieść. Do Granitowego Pałacu? To niemożliwe odparł inżynier. No to do zagrody zaproponował Pencroff. Chwileczkę powstrzymał go Cyrus Smith. To mój pobiegł na lewo, aby okrążyć ogrodzenie. Stał tu oko w oko ze zbiegłym bandytą; ten wymierzył do niego i przeszył mu kulą kapelusz. W chwilę, zanim bandyta zdążył wystrzelić raz drugi, został ugodzony w samo serce kordelasem, którego Cyrus Smith wada pewniej niż strzelec. W tym samym czasie Gedeon Spilett i marynarz wdrapali się na ogrodzenie, przelecieli przez sztachety, skoczyli do zagrody, przewrócili podpory przytrzymujące wieżę od wewnątrz i wpadli do domku; był pusty, niebawem więdnący Harbert spoczył na dywaniku Ayrtona. Po kilku chwilach Cyrus Smith był przy nim. Na widok leżącego bez życia chłopca marynarz wpadł w nieopisaną rozpacz. Szlochał, płakał, chciał tuż obok niego odcianić. Inżynier i reporter na próżno uspokoił. Ich samych zresztą dawała rozpacz, tak że nie mogli wykrztusić słowa. Pomimo to robili wszystko, co było w ich mocy, ażeby wyrwać miarę konającego w ich oczach chłopca. Gedeon Spilett bywał już w swoim życiu w takich opresjach, że nawet praktyka lekarska nie była mu obca. Miał pobieżne wiadomości z wielu dziedzin i już niezliczoną ilość zdarzeń, o których się nie dowiedzieli, że zadane bronią białą czy też palną. Przy pomocy Cyrusa Smitha wykonywał wszystkie zabiegi, jakich wymagał stan Harberta. Reportera przede wszystkim niepokoiło odrzucenie chłopca. Miałe spowodować krwotok, bledną tę wstrząs, jeżeli kula uderzyła o kość, znaczną siłą. Harbert był trupio bledny, a puls jego uderzał tak słabo, jak gdyby miał w ogóle chwilę stał. Gedeon Spilett ledwie go wyczuwał, i to z dużymi przerwami. Ręce nie dawały się zauważyć prawie całkowity zanik czucia i wiadomości. Harbertowi zatamowano krew chustkami do nosa i obmyto obnażoną pierś zimną wodą. Cyrus Smith i Gedeon Spilett zauważyli wkrótce wielką, owalną ranę, którą trzecim i czwartym palcem obrócił biednego chłopca. Wydał on tak słaby jęk, jakby to było jego ostatnie tchnienie. Na plecach Harberta, w miejscu, gdzie wyszła kula, ziała druga rana. Bogu dzięki powiedziała reporter, że kula nie utkwiła w ciele i nie będziemy musieli jej wyciągać. A serce? zapytał Cyrus Smith. Serce jest nie uszkodzone, gdyby inaczej Harbert byłby już nieżywy. Nie żywy! krzyknął Pencroff nie swoim głosem, gdy usłyszał tylko ostatnie słowo reportera. Nie, nie, Pencroff uspokoił go Cyrus Smith. Harbert nie umarł. Puls jego bije jeszcze! Słyszeliśmy nawet jego jęk. Niech się pan uspokoi dla dobra tego dziecka. Musimy teraz zachować zimną krew. Niech pan nam w tym pomoże, przyjacielu! Pencroff zamilkł, ale o tym, co przeżywał, świadczyły jego wielkie jak groch, spływające po jego twarzy. Gedeon Spilett przypomniał sobie wszystkie swoje wiadomości medyczne i starał się ostatecznie pewną metodą. Po obejrzeniu Harberta nie wątpił już, że kula trafiła w pierś, a wyszła plecami. Ale jakie spustoszenie uczyniła w organizmie? Jakie wewnętrzne narządy zostały naruszone? Te pytania wprawiłyby w tej chwili w rozpacz nawet zawodowego chirurga, a dopiero dziennikarza. Wiedziało tylko jedno: musi zapobiec rozszerzeniu się zakażenia, a potem zwalczyć zapalenie miejscowe i gorączkę spowodowaną raną. Ale jakich środków w jaki sposób zwalczyć ten zapalny? W każdym razie najpilniejszą sprawą było niezwłoczne opatrzenie obu ran. Gedeon Spilett uznał, że przemywanie rany ciepłą wodą i

ściskanie brzeg powoduje nowy niepokój i dany upływ krwi. Krwotok i tak byłby bardzo obfity i wyczerpał Harberta a nadto. Wobec tego reporter poprzestał na obmyciu rany zimną wodą. Chorego ułożono na lewym boku. Teraz nie powinien się ruszać. Ta pozycja jest najkorzystniejsza, a żeby z rany na piersiach i na plecach mógł swobodnie odpływać ropa. Chłopcowi potrzebny jest absolutny spokój. Jak to? Wiemy nie możemy go przetransportować do Granitowego Pałacu? Nie, Pencroff odparł reporter. Przekleństwo! zawołał marynarz unosząc ku niebu zaciśnięte pięści. Pencroff! powstrzymaj go Cyrus Smith. Gedeon Spilett zaczął ponownie badać rannego chłopca z największą uwagą. Harbert był w dalszym ciągu śmiertelnie blady. Cyrusie; odezwał się reszcie reporter nie jestem lekarzem. Znajdujesi się w wielkiej rozterce... Musi mi pan dopomóc w radzie, swoim doświadczeniem... Niech się pan uspokoi, przyjacielu powiedz inżynierowi ścisnąć ci mu dłoń. Niech pan rozważy wszystko z zimną krwią, myśląc tylko o jednym: trzeba za wszelką cenę uratować Harberta. Te słowa przywróciły Gedeonowi Spilettowi opanowanie, które na chwilę tracił pod wpływem przytłaczającego poczucia odpowiedzialności. Usiadł przy chorego. Cyrus Smith stał w pobliżu, Pencroff zaś machinalnie skubał szarpie ze swojej podartej koszuli. Gedeon Spilett wyjaśnił Cyrusowi Smithowi, że przede wszystkim należy koniecznie zatamować krwotok, ale nie zamykać ran i nie przyspieszać zabliźnienia. Wobec tego, że uszkodzone są narządy wewnętrzne, nie można dopuścić, aby ropa gromadziła się w klatce piersiowej. Cyrus Smith zgodził się z nim całkowicie. Postanowili więc opatrzyć obydwie rany, nie usiłując zamknąć ich przez zbliżenie brzegów. Na szczęście nie trzeba było nacinać ani. Ale czy koloniści mieli do skutecznego lekarstwa, a żeby zwalczyć zapalenie, które musiało nastąpić? Tak, mieli taki środek, gdy przyroda wytworzyła go szczerze. Mieli mianowicie zimną wodę, to najpotężniejsze lekarstwo, jakiego można użyć przy zapaleniu ran, najskuteczniejszy sposób leczniczy w powaganych przypadkach, szeroko stosowany przez lekarzy. Ponadto zimna woda ma tę zaletę, że zapewnia ranie całkowity spokój zapobiega każdej zmianie opatrunku jest to niewątpliwie wielką zaletą, gdy, jak wykazało doświadczenie, zetknięcie rany z powietrzem w pierwszych dniach bywa zgubne. Gedeon Spilett i Cyrus Smith opierali się swoich rozumowaniach po prostu na zdrowym rozsądku i... postąpili tak, jak by to uczynił na ich miejscu najlepszy chirurg. Na rany biednego Harberta nałożono kompresy z piętrem, stale zwilżane zimną wodą. Marynarz przede wszystkim rozpał ogień w domku, gdzie nie brakowało artykułów pierwszej potrzeby. Cukier klonowy i zioła lecznicze te same, które chłopak zbierał kiedyś na brzegu Jeziora Granta pozwoliły na przyrzucenie orzeźwiających naparów. Harbert pożył je nie zdając sobie z tego sprawy. Miała duży gorączki przez całkowitą nieodzyskanie przytomności. Życie jego wisiało na włosku, a włoszek ten w każdej chwili mógł się zerwać. Nazajutrz, 12 listopada, w Cyrusa Smitha i jego towarzyszy wstąpiła nadzieja, Harbert bowiem odzyskał przytomność. Otworzył oczy, poznał inżyniera, reportera, Pencroffa, wymówił dwa czy trzy słowa. Chłopiec nie wiedział, co się z nim stało. Opowiedziano mu więc wszystko, a Gedeon Spilett błagał go, a żeby zachował całkowity spokój twierdził, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, a rany zaizolują się w ciągu kilku dni. Zresztą Harbert prawie wcale nie cierpił, stale zaś zmieniana zimna woda zapobiegała zapaleniu ran. Wydzielanie ropy było normalne, gorączka nie wykazywała tendencji do związania się można było się spodziewać, że ta okropna rana nie stanie się przyczyną katastrofy. Pencroffowi powoli spadała ciężar z serca. Zachowywał się jak siostra miłośniczka, jak matka przy swoim dziecku. Wreszcie Harbert zasnął i tym razem sen jego wydawał się drowszy. Niech mi pan powtórzy, że pan nabrał nadziei, panie Spilett

Baga Pencroff. Niech pan powtórzy, że pan uratuje Harberta! Tak, uratujemy go powiedział reporter. Rana jest poważna i może nawet kula przeszła przez płuco, ale przebicie tego narządu nie jest śmiertelne. Oby Baga wysłuchał i powtarzał Pencroff. Przez pierwszą dobę w zagrodzie kolonistów myśleli tylko o uratowaniu Harberta. Nie zastanawiali się wcale nad groźnym niebezpieczeństwem w wypadku powrotu bandytów nad rzekami ostrońcami, jakie należało podjąć przyszłości. Następnego dnia, gdy Pencroff czuwał przy chorego, Cyrus Smith z reporterem zaczął się radzić nad tym, co należy robić. Przede wszystkim obeszli zagrodę. Nigdzie nie było śladu Ayrtona. Czyby nieszczęśliwy został uprowadzony przez swoich dawnych kamratów? Czyby napadli go znieścaki w zagrodzie, on zaś w walce z nimi uległ? To ostatnie przypuszczenie było najbardziej prawdopodobne. W chwili przechodzenia przez potok Gedeon Spilett widział wyraźnie, jak jeden z bandytów ciekawo podniowym zboczem G. Franklina i nawet Top rzucił się na nim. Był to niewątpliwie jeden z piratów, który rozbił się na rafach Rzeki Dzielnienia. W samej zagrodzie nie widać było żadnych zniszczeń, rota były pozamykane, tak że zwierzę nie mogło rozproszyć się o lesie. Nigdzie ani śladu walki i zniszczenia w domu czy w zagrodzie. Jedyne amunicja Ayrtona zniknęła razem z nim. Na pewno napadli biedaka znieścaki, a ponieważ się ronił, więc go zabili – powiedział Cyrus Smith. Istotnie, tego należy się bawiać – potwierdził reporter. Prawdopodobnie bandyci zainstalowali się corralu, gdzie mieli wszystkiego pod dostatkiem, i dopiero kiedy nas zobaczyli, wzięli nogi za pas. Jestem zupełnie pewny, że w tym momencie Ayrton, żywy czy martwy, nie znajdował się tutaj. Trzeba będzie przeszukać się oświadczył inżynier i oczyścił się tych hajdaków. Przeczucia Pencroffa nie zawiodły go. Miała rację, gdy chciał urządzić ich polowanie jak na dzikie zwierzę. Oszczędziłoby to nam wielu nieszczęść! Tak potwierdził reporter, ale teraz mamy już prawo wyzbycia się im. W każdym razie powiedział inżynier, jesteśmy zmuszeni odczekać ewentualnie czas i pozostać w zagrodzie, ponieważ nie można bez ryzyka przetransportować Harberta do Granitowego Pałacu. A Nab? zapytał reporter? Nab jest bezpieczny. A jeżeli zaniepokojony nasz nieobecności odważy się przyjechać? Nie można do tego dopuścić, żywo odparł Cyrus Smith. Mogliby go zamordować o drodze! A jednak wydaje mi się prawdopodobne, że będzie się u nas dotrzeć. Ach, gdyby to telegraf funkcjonował, można by go uprzedzić. Ale teraz to niemożliwe! Nie możemy tak pozostawić samego Pencroffa z Harbertem.. A więc pojeżdż do Granitowego Pałacu sam. Nie, nie, Cyrusie! zaproponował reporter. Nie może się pan narażać. Pana odwaga na nic by się zdała! Potrzebnie prawdopodobnie pilnuj zagrody; zaczęli się otaczających lasach i gdyby pan wybrał się do domu, mielibyśmy do opłakiwania dwa nieszczęścia zamiast jednego! Ale co z Nabem? powtarzał inżynier. Od dwudziestu czterech godzin nie ma od nas żadnych wiadomości. Będzie chciał tu się przedostać. A ponieważ będzie znacznie mniej ostrożny niż my, dodał Gedeon Spilett, na pewno go zastrzelą!... Czy nie ma jakiego sposobu, żeby go ostrzec? Inżynier zastanawiał się nad tym, gdy nagle wzrok jego padł na Topa, który kręcił się sam i z powrotem, jakby chciał powiedzieć: "Co, czy mnie tu nie ma?" Top! zawołał Cyrus Smith. Pies przybiegł do pana. Tak, poślemy Topa – powiedział reporter zrozumiał intencję inżyniera. Top przemknął się sam, gdzie my byśmy nie dali rady. Zaniesie do Granitowego Pałacu wiadomości zagrody i przyniesie nam odpowiedź Naba. Szybko! zawołał Cyrus Smith. Szybko! Gedeon Spilett wydarł kartkę ze swego notatnika i skreślił następujące słowa: Harbert ranny. Jesteśmy w zagrodzie. Miej się baczności. Nie opuszczaj Granitowego Pałacu. Czy zbiegowie pojawili się w okolicy? Odpowiedz przez Topu.

Ten związy list zawiera wszystko, co interesowało Naba, a raczej nie zapytywał o to, co chcieli wiedzieć koloniści. Kartkę ołono i w sposób bardzo widoczny przyczepiono do obroży Topa. Top, mieszkając powiedział inżynier głośno: Nab! Top! Nab! Idź! Idź! Po tych słowach Top zerwał się z miejsca. Rozumiał, zgadywał, czego od niego oczekiwano. Drogę zagrody do Granitowego Pałacu znał dobrze. Mój przebieg niespełna godzinny. Należałoby spodziewać się tam, gdzie ani inżynier, ani reporter nie zdołaliby się bezpiecznie przedostać. Top, przemykając się przez trawę i skrajem lasu, dobiegł nie zauważony. Inżynier poszedł do zagrody i otworzył skrzydło bramy. Nab! Top! Nab! powtórzył raz jeszcze, wyciągając ramię kierunku Granitowego Pałacu. Top wybiegł za ogrodzenie i prawie natychmiast zniknął z oczu. Dobiegł powiedział reporter. Tak i na pewno przybiegnie z powrotem, poczciwe zwierzę. Ktęgodzina? zapytał Gedeon Spilett. Dziesiąta. Za godzinę był powrotem. Będziemy go wyładowali. Inżynier i reporter zamknęli bramę zagrody i weszli do domu. Harbert był pogrzebony w głębokim śnie. Pen-croff dbał o to, żeby kompresy były stale wilgotne. Gedeon Spilett widząc, że nic nie ma w tej chwili do roboty, zajęty się przygotowaniem lekkiego posiłku, raczej nie uważnie obserwując tęczę ogrodzenia, które przylegało do zbocza góry skąd można było się spodziewać napadu. Koloniści pełni niepokoju czekali na powrót. Parę minut przed jedenastą Cyrus Smith z reporterem, uzbrojeni w karabiny, stanęli przy bramie, gotowi otworzyć ją przy pierwszym szczeknięciu psa. Nie wątpili ani przez chwilę jeżeli Top zdoła szczęśliwie dotrzeć do Granitowego Pałacu, to Nab odeśle go natychmiast z powrotem. Czekali już tak z dziesięć minut, gdy nagle rozległ się huk wystrzału i w chwili tej donośne szczekanie. Inżynier szybko otworzył bramę widząc w odległości jakichś stu kroków dym, strzelił w tym kierunku. Prawie w tej samej chwili Top wpadł do zagrody. Natychmiast zamknął za nim bramę. Do obroży Topa przyczepiona była kartka, na której niezgrabnym pismem Nab nakreślił następujące słowa: Piraci ma w pobliżu Granitowego Pałacu. Nie ruszam się z miejsca. Biedny Harbert! ROZDZIAŁ IV. Piraci w pobliżu zagrody. Tymczasowy pobyt. Dalsze leczenie Harberta. Pen-croff zaczyna się cieszyć. Rzucił okiem w przeszłość. Co gotuje przyszłość? Pogląd Cyrusa Smitha na tę sprawę. A wię piraci, zdecydowani wymordować kolonistę jednego po drugim, wciąż jeszcze krążyli w pobliżu zagrody, ledźc ję uważnie. Należałoby czym prędzej podjąć odpowiednie środki ostrożności. Na razie ci nie mieli przewagi albowiem widzieli, sami nie będą widziani, i mogli zaskoczyć szybko cię ataku, sami nie mogą być zaskoczeni. Cyrus Smith zarządził, by nikt nie wychodził z zagrody; zresztą nagromadzone tu zapasy żywności mogły wystarczyć a dłuży czas. Domek Ayrtona zaopatrzone był obficie, bandyci zaś, spłoszeni przybyciem kolonistów zdążyli go obrabować. Według opinii Gedeona Spilletta wydarzenia prawdopodobnie potoczyły się w sposób następujący: sześciu zbiegłych bandytów wylądowaniu na wyspie poszło po południowym wybrzeżu, obeszli brzeg Półwyspu Serpenty, a nie chcąc zapuszczać się do Lasów Dalekiego Zachodu, dotarli do ujścia Rzeki Wodospadu, Dalej poszli prawym brzegiem potoku i w ten sposób doszli do zboczy Góry Franklina, gdzie zaczęli szukać jakiegoś schronienia i oczywiście trafili na nie zamieszkaną wioskę zagrodę. Ulokowali się zekając na odpowiedni moment, aby wprowadzić czyn swoje nieuczciwe zamiary. Przybycie Ayrtona zaskoczyło ich, ale zdołali obezwładnić jednego, no... i dalszego cięgu można łatwo sobie wyobrazić. Teraz dobrze uzbrojeni bandyci, których liczba co prawda zmniejszyła się o pięć, krążyli w lesie; toteż zapuszczanie się tam byłoby wystawianiem się na kule, gdy w lesie koloniści nie mogli ani zaskoczyć przyszkolonych odparowujących napaści. Musimy czekać. Nic innego nie pozostaje nam do roboty powtarza Cyrus Smith. Gdy Harbert wyzdrowieje, wioskę

zorganizujemy wielką obławę pokonamy tych norników. Będzie to celem naszej wyprawy rzeczywiście z... ..poszukiwaniem naszego tajemniczego protektora i doda Gedeon Spilett kość myślnik inżyniera. Ach! Trzeba przyznać drogi Cyrusie, że tym razem poskopi nam swojej opieki, i to w chwili, kiedy byłaby najbardziej potrzebna. Kto wie? mruknął inżynier. Co pan chce przez to powiedzieć? zapytał reporter. że nie jesteśmy jeszcze u kresu naszych tarapatów drogi Gedeonie; może to a opatrnościowa interwencja będzie jeszcze miała okazję objawić. Ale nie o to chodzi. Najważniejsze jest życie Harberta. Tak, to byłoby istotnie najpoważniejsze zmartwienie kolonistów. Na szczęście upłynęło kilka dni, a w stanie zdrowia biednego chłopca nie nastąpiło pogorszenie. A przecie zyskanie na czasie dużo znaczy w każdej chorobie. Zimna woda, utrzymywana zawsze w odpowiedniej temperaturze, całkowicie zapobiega wytworzeniu się stanu zapalnego ran. Reporterowi nawet się wydało, że ta woda, trochę siarkowa i co można byłoby wyumaścić lisko ci wulkanu i miała jakiś bardziej bezpośredni wpływ na zablężnianie się ran. Ropa wydzielała się niej obficie, dzięki za nieustannej opiece, jak otaczano Harberta, gorączka zmniejszała się i chłopak powraca do siebie. Trzymano go na tak ciszej diecie, że osłabienie było i musiało być duże. Nie dawano mu natomiast napar z ziół i bezwzględny spokój i zawienny wpływ. Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff nabrali wielkiej zręczności w opatrywaniu rannego. Na bandaż położyli na całość znajdując się domu bieliznę. Okłady i szarpie, które pokryte były rany Harberta, sprzyjały zablężnianiu się i wywoływaniu reakcji zapalnej. Reporter przywiózł do opatrunków ich znaczenie, dobrze wiedząc, jak ważne jest, by rany nie były bandażowane ani zbyt słabo, ani zbyt mocno, i powtarza towarzyszom to, co zresztą potwierdza wiarygodnie lekarzy. Rzadziej zdarza się idzie obrze zrobiony opatrunek niż dobrze zrobioną operacją. Po dziesięciu dniach, 22 listopada, Harbert poczuł się znacznie lepiej. Zaczęła przyjmować drobiny i pożywienia, lekki rumieniec powrócił mu na policzki, a jego dobre oczy uśmiechały się o opiekunów. Zaczęła też widzieć więcej mimo wysiłku Pencroffa, który aby nie dopuścić Harberta do snu, gadał bez przerwy i opowiadał najbardziej nieprawdopodobne historie. Harbert zapytał o Ayrtona; sędził, że jest on w zagrodzie, i dziwił się, że nie widzi go w pobliżu siebie. Marynarz nie chciał martwić chłopca i powiedział, że Ayrton poszedł do Naba, by bronić granitowego Pałacu. Ach, ci piraci! i powtarza. Ci dżentelmeni utracili już prawo do jakichkolwiek względów. A pan Smith chciał ich wziąć i sentyment! Połóż trochę sentymentu, ale w postaci dobrej kuli z ołowiu. Nie pokazali się im? pytał Harbert. Nie, - moje dziecko, ale znajdziemy ich sami, a kiedy wyzdrowiejesz, sprawdzimy, czy te koty, strzelające zza węgła, odważą się stanąć rzeczywiście nam twarzą w twarz. Ale jestem jeszcze bardzo słaby, mówi Pencroff. Cieszą się wrócić trochę. Co to jest kula przez pierze? To bagatela! Już nie takie rzeczy się zdarzają, a przecie czujcie się najgorzej. Jeżeli nie znajdą jakieś komplikacje, wyzdrowienie Harberta można uważać za rzecz pewną. powiedziała ktoś dnia Gedeon Spilett. Ale czy możemy zrobić, gdyby stan zdrowia chłopca uległ pogorszeniu? Gdyby na przykład kula utkwiła w ciele, gdyby trzeba było mu amputować nogę albo rękę? Nie możemy myśleć o takiej ewentualności bez drżenia. A przecie, gdyby trzeba było zrobić pewno by się ran nie zawahał i stwierdził Cyrus Smith. Nie, Cyrusie. Ale Bogu niech będzie, że nam oszczędzi takiego zmartwienia. Zdawało się im, że wszystko układa się imyślnie. Jak w wielu innych okolicznościach, tak i tym razem kolonisci uciekali się do prostu do zdrowego rozsądku i posiadanych wiadomości. Już tyle razy oddali im one usługi i dzięki nim osiągnęli dobre wyniki. Ale czy nie przyjdzie chwila, kiedy cała ich wiedza nie zda non



się na nic? Byli sami na wyspie. A przecie ludzie żyją w gromadzie uzupełniają się jedni drugim są potrzebni. Cyrus Smith wiedział o tym dobrze i niekiedy zadawał sam sobie pytanie, czy nie zajdzie taka okoliczność wobec której okażą się silni. Inżynierowi wydawało się że koloniści, dotychczas tak szczęśliwi, weszli w jakiś fatalny okres. Od przeszło dwudziestu lat, czyli od chwili gdy uciekli z Richmondu, wszystko, można powiedzieć, szło im jak z płatka. Wyspa dostarczała szczerze kruszczoł i zwierzęt. Przyroda więc nie skąpiła im darów a oni dzięki swojej wiedzy umieli z nich korzystać. Dobrobyt kolonii nie pozostawiał nic do życzenia. Co więcej, w pewnych okolicznościach jakieś niezwykłe siły przychodziły im z pomocą!... Ale to wszystko się skończyło. Królem, Cyrusowi Smithowi zdawało się że szczęście się od nich odwróciło. Chociaż korsarski statek został zniszczony, jeżeli się tak można wyrazić w cudowny sposób a piraci zgładzeni, to jednak pięciu pozostałych przy życiu było nieuchwytnych. Nie ulegało wątpliwości, że Ayrton został przez tych czterech zamordowany; mieli broń i od ich kuli padł Harbert, ugodzony niemal śmiertelnie. Czyż nie były to pierwsze dowody tego, że los obrócił się przeciwko kolonistom? Oto co inżynier powtarzał często reporterowi i obu im się wydawało, że ta niezwykła, lecz skuteczna interwencja, która tyle razy oddała im usługi, teraz z jakiegoś powodu zawiodła. Czyżby owa tajemnicza istota, która istnieniu nie mogli zaprzeczyć kimkolwiek byłaby, opuściła wyspę? A może z kolei ona również ulegała czyjejś przemocy? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Nie należały jednak sądzić że Cyrus Smith i Gedeon Spiletta poruszali te sprawy dlatego, że stracili wszelką nadzieję. Dalecy byli od takiej myśli. Patrzyli sytuacji prosto w oczy, analizowali szanse przygotowywali się w każdym okoliczności na spotkanie przyszłości zdecydowani i z podniesionym czołem, gdyby zaś przeciwności usiłowała zadać cios, napotkałyby ludzi gotowych do walki.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTY.

Brak wiadomości od Naba. Odrzucona propozycja Pencroffa i reportera. Wypadki Gedeona Spiletta. Strzępki tkaniny. Wiadomości. Nagły wymarsz. Przybycie lica Paskowicz. Rozległy widok. Rekonwalescencja chorego przebiegała prawidłowo. Należało teraz zająć się jedną jedyńszą rzeczą a mianowicie stan zdrowia Harberta pozwolił na powrót Granitowego Pałacu. Jakkolwiek domek w zagrodzie był dobrze urządzony i zaopatrzone, to jednak nie merytalizował komfortowym i zdrowym mieszkaniem z granitu. Poza tym nie stanowił on dostatecznego schronienia, Pomimo bowiem stałego czuwania kolonistów w każdej chwili mogli być atakowani na napaść z strony opryszków. Tam zaś, w Granitowym Pałacu, w niedostępnej skale nie mieli się czego obawiać, gdyż wszystkie zakusy przeciwko nim bezwzględnie musiały spełznąć niczym. Toteż z niecierpliwością oczekiwali chwili, gdy Harberta można będzie przetransportować bez szkody dla zdrowia. Byli zdecydowani na to, pomimo że przebycie Lasu Żółtki nastręczało duże trudności. Nab nie dawał znaku życia, ale to nie wzbudzało w nikim niepokoju. Dzielny Murzyn, ukryty w grotach Granitowego Pałacu, na pewno nie da się askoczyć. Topa nie posłano do niego więc, żeby nie narażał bez potrzeby wiernego pomocnika. Koloniści czekali więc dalej, chociaż pilno im było powrócić do Granitowego Pałacu. Inżynier ubolewał nad tym, że siły ich są rozdzielone i że jest to na rękę piratom. Od czasu zniknięcia Ayrtona kolonistów o czterech przeciwko pięciu, Harberta bowiem nie można było jeszcze brać pod uwagę. Stanowiło to zresztą powód martwienia dzielnego chłopca, gdyż rozumiał, ile kłopotów przyniesie swoim przyjaciołom.

29 listopada trzech towarzyszy korzystając z tego, że opiekcy Harbert ich nie słyszy, omawiali kroki, jakie w danej chwili należały podjąć przeciwko opryszkom. Przyjaciele powiedzieli reporter, gdy poruszono sprawę iemotliwości skomunikowania się z Nabem że popieram wasze zdanie, że wyjdzie droga prowadząca do zagrody że znaczy narazić i że kule bez możliwości odpacenia piętym za

nadobne. Czy nie uważacie wi- e najw-aciwsze by-oby obecnie po prostu urz-dzenie polowania na tych -otr- Ja te- o tym my-la-em - doda- Pencroff. - Przypuszczam, -e nikt z nas nie obawia si-uli, i je-eli pan Cyrus zgodzi si-e mn-, jestem got-atychmiast ruszy-o lasu. Do diab-a! -aden z nas nie jest mniej wart ni- oni. - Ale czy ka-dy z osobna znaczy tyle, co pi-u? - Przy- czy- bym si-o Pencroffa i obydwaj, dobrze uzbrojeni, w towarzystwie Topa... - Drodzy przyjaciele - zwr- si-o nich Cyrus Smith - zastan- si-a zimno. Gdyby-my znali miejsce, gdzie si-kryli piraci, i gdyby chodzi-o tylko o to, by ich stamt-d wykurzy-rpzumia-by- celowo- bezpo-redniego ataku. Ale czy nie nale-y si-bawia-r- odwrotnej sytuacji, to znaczy, -e w-a- nie im przypadnie zaszczyt pierwszego strza-u? - C- panie Cyrusie - zawo-a- Pencroff - nie ka-da kula trafia pod w-a- ciwy adres! - Jednak ta, kt-dosi-a Harberta, jako- nie zb-dzi-a - odpar- in-ynier. - Zreszt- zwracam wam uwag--e je-eli obaj opu-ciecie zagrod-b- jej musia- broni-am jeden. Czy mo-ecie r-y-a to, -e bandyci nie zobacz- was, gdy b-iecie wychodzi--e nie dadz- wam si-apu-ci--ej w las i wiedz-c, -e w zagrodzie przebywa tylko chory ch-opiec i jeden m-zyzna, nie dokonaj- napadu w czasie waszej nieobecno-ci? - Ma pan racj-panie Cyrusie - przyzna- Pencroff, mimo -e rozpiera-a go niepohamowana w-ciek-o-- Ma pan racj- Oni zrobi- wszystko, a-eby ponownie zaw-adn--agrod-, gdy- wiedz-, -e jest dobrze zaopatrzona. A pan sam jeden nie oprze si-m na pewno! Ach, gdyby-my byli w Granitowym Pa-acu! - Gdyby-my byli w Granitowym Pa-acu, sytuacja wygl-da-aby zupe-nie inaczej. Tam nie obawia-by- si-ozostawi- arberta z jednym z nas, trzej za- pozostali przeszukaliby lasy na wyspie. Lecz na razie jeste-my w zagrodzie i musimy pozosta-u a- do chwili, kiedy b-iemy mogli opu-ci-- wszyscy razem! Nie mo-na by-o nie zgodzi-i- tym rozumowaniem Cyrusa Smitha i towarzysze jego zdawali sobie z tego spraw- - Gdyby Ayrton by- z nami - ubolewa- Gedeon Spilett. - Biedak! Nie na d-ugo powr- do -ycia w-r-udzi. - By-o-e, -e -yje - dorzuci- Pencroff jakim- dziwnym tonem. - Czy-by mia- pan nadziej--e ci -ajdacy oszcz-ili go? - zapyta- Gedeon Spilett. - Tak, je-eli mieli w tym jaki- interes. - Jak to?! To pan przypuszcza, -e Ayrton, odnalaz-szy swoich dawnych kamrat-zapomnia- o wszystkim, co nam zawdzi-a?... - Kto wie? - mrukn-- marynarz, kt-z pewnym wahaniem odwa-y- si-yowiedzie-o smutne przypuszczenie. - Pencroff - odezwa- si-yrus Smith bior-c marynarza pod r- - ma pan niedobre my-li i zmartwi-by mnie pan bardzo upieraj-c si-rzy swoich s-owach! Paj-ow-a wierno--yrtona! - Ja tak-e! - -ywo dorzuci- reporter. - Tak, tak, panie Cyrusie... -le m-. Mia-em istotnie niedobr- my-l, zreszt- zupe-nie bez powodu. Ale co pan chce? Po prostu trac-u- g-ow- To uwi-enie w zagrodzie przygn-a mnie okropnie! Nigdy nie by-em tak zdenerwowany jak teraz. - Cierpliwoci, Pencroff - powiedzia- in-ynier. - Jak pan s-dzi, drogi Gedeonie, kiedy b-iemy mogli przetransportowa- arberta do Granitowego Pa-acu? - Trudno powiedzie- Cyrusie, gdy- najmniejsza nieostro-no--og-aby spowodowa-gubne skutki. Poniewa- jednak rekonwalescencja przebiega prawid-owo, to mo-e Harbert za tydzie-zyska si-y, a w-as zobaczymy. - Ca-y tydzie-A zatem powr-o Granitowego Pa-acu m-y nast-pi-opiero w pierwszych dniach grudnia. . Wiosna trwa-a ju- od dw-miesi-. Pogoda by-a pi-a i zaczyna-y si-o--ilne upa-y. Lasy na wyspie okry-y si-i-- i zbli-a-a si-ora zbior-Po powrocie na P-askowzg- Rozleg-ego Widoku czeka- n A p; -y kolonist-ielkie prace rolne, kt-przerwa-ia-a jedynie zamierzona przez nich wyprawa. -atwo mo-na zrozumie-jak bardzo przymusowa beczynno-- zagrodzie dawa-a si-m we znaki, tote- nie bez sarkania poddawali si-ej konieczno-ci. Raz czy dwa reporter odwa-y- si-yj-- zagrody i obszed-

palisadę koło, trzymając nabity karabin w pogotowiu. Przygotowany był na wszelki ewentualność a Top siedział przy nodze. Nie spotkał jednak żadnego ze zbrodniarzy i nie natrafił na żaden podejrzany ślad. Gdyby istniało jakiekolwiek niebezpieczeństwo, pies nie omieszkaby go zasygnalizować. Należałoby więc przypuszczać, że przynajmniej w tej chwili nie ma się czego obawiać, że piraci grasują w jakiejś innej części wyspy. 27 listopada, podczas drugiej wyprawy, Gedeon Spi-lett, zapuściwszy się przez las na południowym stoku góry zauważył, że Top stracił swój dotychczasowy obojętny postawę. Biegał tam i z powrotem, myszkował po kęsch trawy i zarostach, jakby wyczuwał coś podejznanego. Gedeon Spilett pobiegł za psem szczując go, zachęcając go osę, a raczej nie czujnie rozglądając się wokół kryjąc za drzewami, z karabinem gotowym do strzału. Nie wyglądało na to, by Top wyczuwał obecność człowieka, gdy w tym wypadku w szczekaniu jego byłoby słychać coś więcej. Ponieważ nie warczał wcale, znaczyło to, że nie ma w pobliżu niebezpieczeństwa. Tak upłynęło około pięciu minut; Top wyczuł i myszkował, reporter ostro nie siedział za nim, gdy nagle pies dał susa w górę krzaki i wyciągnął stamtąd kawałek jakiejś tkaniny. Był to strzęp ubrania, pobrudzony i poszarpany; Gedeon Spilett przyniósł go zaraz do zagrody. Kolonicy poznali filc własnej produkcji, z którego była uszyta marynarka Ayrtona. Widzi pan, Pencroff odezwał się Cyrus Smith, że nieszczęśliwy Ayrton stawia opór. Bandyty porwali go wbrew jego woli. Czy pan jeszcze wątpi w jego uczciwość? Nie, panie Cyrusie, już dawno zapomniałem o swoim chwilowym braku zaufania. Wydaje mi się jednak, że z tego faktu trzeba wyciągnąć pewne wnioski. Jakże mianowicie? zapytał reporter. Że Ayrton nie został zabity w zagrodzie. Porwano go żywcem, ponieważ się ronił. Może więc jeszcze żyje? Istotnie! powiedział inżynier w zamyśleniu. Był to ciebie dzieci, któremu się atychmiast uczepili. Początkowo sądzili, że Ayrton, napadnięty z nienacką w zagrodzie, padł ugodzony kulami tak jak Harbert. Ale jeżeli bandyci nie zamordowali go od razu, jeżeli uprowadzili go żywcem w jakąś inną część wyspy, to czy nie należałoby mieć nadzieję, że Ayrton żyje jeszcze jako więzień, a nawet ktoś z opryszków poznał w nim dawnego kamrata, Ben Joyce'a, herszta zbiegłych zbrodniarzy, a może projektował przeciwko Ayrtonowi na swoją stronę? Gdyby tylko mogli nakłonić go do zdrady, bardzo by się im na pewno przydał. Odtąd odnalezienie Ayrtona nie wydawało się niemożliwe. Jeżeli Ayrton był w niewoli, to ze swej strony na pewno zrobi wszystko, a żeby wymknąć i ręk bandytów wtedy kolonicy zyskaliby potężnego sprzymierzonego. W każdym razie zauważył Gedeon Spilett, gdyby szczęśliwym trafem Ayrtonowi udało się uciec, to na pewno poszedłby wprost do Granitowego Pałacu. Nic bowiem nie wie o tym, że Harbert został ranny, a zatem nie może mu przyjechać gołowy, że jestemy uwięzieni w zagrodzie. Chciałbym bardzo, żeby on już był w Granitowym Pałacu i zawołał Pencroff i ja my z nim! Jeżeli nawet bandyci nie mogą zaszkodzić naszemu mieszkaniu, to mogą splądrować pastwiska, plantacje i ptaszarnię. Najbardziej pilno byłoby do Granitowego Pałacu Harbertowi. Zdawał sobie bowiem sprawę, jak konieczna byłaby tam obecność kolonistów, a przecie to on zatrzymywał ich w zagrodzie. Owe adn nim całkowicie myślał: opuścił zagrodę i to za wszelką cenę. Wydawało mu się, że znieśie niewygody transportu do Granitowego Pałacu. Zapewniał wszystkich, że się powróci mu szybciej, gdy będzie w swoim pokoju z widokiem na morze, pełnym morskiego powietrza. Kilkakrotnie ponaglał Gedeona Spilett, lecz ten obawiając się, że może zabić rany Harberta mogłoby się drodze utworzyć nie dawał hasła do powrotu. Tymczasem jednak zaszedł wypadek, któskłonił reportera i jego obu przyjaciół o ustąpienia chłopców. Było to 29 listopada o godzinie siódmej rano. Kolonicy rozmawiali w pokoju

Harberta, gdy nagle usłyszeli donośne szczekanie Topa. Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett chwycili za broń, trzymając ją w pogotowiu, wyskoczyli z domu. Top biegnąc wzdłuż palisady, skakał i szczekał nie ze złości, lecz z wielkiego uradowania. Kto idzie? Tak? I to nie wróć? Może Nab? Albo Ayrton? Zaledwie zdążyli zamienić parę słów, gdy co przesadziło palisadę skoczyło na ziemię. Był to Jup. Imię w tej osobie, a Top witał go jak prawdziwego przyjaciela. Jup! zawołał Pencroff. To Nab przyszedł tutaj do domyślił się reporter. Jeżeli tak powiedział inżynier, to ma przy sobie na pewno jakąś kartkę. Pencroff popędził do orangutana. Jeżeli Nab chciał się odzielić od swoim panem jak wiadomości, to na pewno nie mógłby tego celu pewniejszego i szybszego posłać umiętego przemknąć i tam, gdzie ani kolonistom, ani nawet psu by się nie udało. Cyrus Smith się nie mylił. Na szyi Jupa zawieszony był mały woreczek, a w nim znajdowała się kartka skreślona ręką Naba. Można sobie wyobrazić rozpacz kolonistów, gdy przeczytali następującą wiadomość: Piątek, szóstego rano. Paskowzg opalone przez piratów Nab Popatrzyli na siebie bez słowa i weszli do domu. Co mieli robić? Piraci na Paskowzgu Rozległego Widoku oznaczało to nieszczęście, zniszczenie, klęskę. Harbert widząc wchodzących towarzyszy zrozumiał, że sytuacja musiała się pogorszyć, a gdy w dodatku zobaczył Jupa, nie wątpił już, że jakieś nieszczęście zawisło nad Granitowym Pałacem. Panie Cyrusie, boga chcę, żeby wy dostał. Na pewno dobrze zniosł. Ora Gedeon Spilett zbliżył się do niego, przyjrzał mu się uważnie i powiedział: No to ruszamy. Szybko rozstrzygniemy kwestię, czy Harbert ma być przeniesiony na noszach, czy w wozie sprowadzonym do zagrody przez Ayrtona. Nasze zaoszczędzoneby choremu wstrząs, ale wymagały dwóch osób, obsługi, a w razie napadu zabrakłoby dwóch strzelców. Czy używając wozu nie można wykorzystać wszystkich ręk do obrony? Czy nie można umieścić na nim siennik, posuwając ostrożnie, żeby Harbert uniknął wstrząs? Na pewno można. Przyprawiono więc Pencroffa zaprzęgając onagra, Cyrus Smith i reporter przenieśli Harberta razem z siennikami i ułożyli go na wozie. Pogoda była piękna. Przez gałęzie drzew przeświecały jaskrawe promienie słońca. Czy broń w pogotowiu? zapytał Cyrus Smith. Wszystko szło sprawnie. Inżynier i Pencroff z dubeltami w garści oraz Gedeon Spilett ze swoim karabinem byli gotowi do drogi. Jak tam, Harbercie? zapytał inżynier. Ach, panie Cyrusie, może pan być spokojny, nie umrę drodze. Gdy to mówił, widział, że biedne dziecko przywołuje na pomoc całą swoją energię, siłą, aby powstrzymać łaty, że serce inżyniera cisnęło się do przodu. Wahał się jeszcze z podaniem hasła do wymarszu. Ale dalszy pobyt w zagrodzie doprowadziłby Harberta do rozpacz, a rozpacz mogła go zabić. W drogę zawołał inżynier. Otwarto wrota zagrody. Jup i Top wiedząc, kiedy trzeba zachować milczenie, rzucili się do przodu. Wyprowadzono więc zamkniętą bramę kierowaną przez Pencroffa, onagr ruszył wolnym krokiem. Oczywiście byłoby lepiej wybrać inną oś drogą, którą prowadziła bezpośrednio z zagrody do Granitowego Pałacu, ale wozem trudno byłoby jechać przez las. Nie pozostawało nic innego, jak trzymać się prostej drogi, pomimo że zbiegli bandyci musieli już ją znać. Po obu stronach wozu szli Cyrus Smith i Gedeon Spilett, gotowi odeprzeć każdy atak. Piraci na pewno byli jeszcze na Paskowzgu. Nab skreślił i wysłał kartkę, zapewne od razu, gdy tylko ich zauważył. Ota kartka była podana szóstego rano, zwinna za pomocą, przyzwyczajona do częstych odwiedzin w zagrodzie, zużyła nie więcej niż trzy kwadransy na przebycie pięciu mil. A zatem droga nie powinna być przedstawić tej chwili żadnego niebezpieczeństwa i jeżeli miało dojść do strzelaniny, to prawdopodobnie nie wcześniej niż w pobliżu Granitowego Pałacu. Mimo to kolonisci na wszystko zwracali baczną uwagę. Top z Jupem, uzbrojonym w

swoje maczugi to biegnęc przodem, to znękrajem lasu, nie sygnalizowaęy ęadnego niebezpieczeńęa. Węierowany przez Pencroffa posuwaę sięowoli. Po godzinie z pięu mil drogi przebyli cztery, i to bez ęadnego wypadku. Na drodze, jak zresztę w caęej częi Lasu Zęotki poęoęonej pomięy Rzekę Dzięzynienia a jeziorem, nie byęo ęywego ducha. Nic nie męcięo ciszy. Zaroęła wydawaęy sięak samo bezludne jak wtedy, gdy kolonięci wylędowali na wyspie. Zblięano sięo pęaskowzgę. Jeszcze mila i moęna bęie dojrzeęostek na Glicerynowym Potoku. Cy- rus Smith nie wętpię ani przez chwilęęe bęie on opuszczony, gdyę albo bandyci musieli po nim przejęę albo po przedostaniu się przez pieręcieęd opuęcili mostek, ęeby zapewnięobie odwrę. Wreszcie poprzez ostatnie drzewa bęysnę morze. Węoczyę sięalej, gdyę ęaden z jego obroę nie chciaę nawet myęleę tym, by go tu pozostawię. W pewnym momencie Pencroff zatrzymaę onagra i krzyknęę straszliwym gęosem: ę Ach, nęnicy! I wskazaę rę na gęy dym kęęęcy sięonad męynem, stajnię i budynkami ptaszarni. W kęęch dymu uwijaę sięakię częowiek. Byę to Nab. Towarzysze jego wydali okrzyk. Posęyszaę i rzucię sięu nim. Piraci opuęcili pęaskowzgę przed niespeęna pęodzinę, po dokęadnym zniszczeniu wszystkiego. ę A co z Harbertem? ę zapytaę Nab. Gedeon Spilett powrę do wę. Harbert leęaę nieprzytomny.

ROZDZIA ę DZIESIęTY. Harbert w Granitowym Paęacu. Nab opowiada o tym, co zaszęo. Cyrus Smith oględa pęaskowzgę. Zniszczenie i zgliszczęa. Kolonięci bezbronni wobec choroby. Kora wierzby. Zęoęliwa febra. Top znęzczekęa. Nikt juę sięie przejmowaę ani bandytami, ani niebezpieczeńęem zagraęajęcym Granitowemu Paęacowi, ani spustoszeniem pęasko-wzgę. Najpowaęniejszę sprawę byę stan zdrowia Harberta. Czyęby transport, wywoęujęc jakieę obraęenie wewnęzne, okazaę sięgubny w skutkach? Reporter nie umiaę na to odpowiedzieę. Węoprowadzono do zakrę rzeki. Tu zrobiono z gaęę nosze i uęoęono na nich, na siennikach, zemdlonego Harberta. W dziesięminut pęej Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff byli juę u podnęGranitowego Paęacu, a Nab miaę zaprowadzięęa pęaskowzgę. Uruchomiono windę niebawem Harbert spoczywaę juę na swoim posęaniu. Dzię usilnym staraniom doprowadzono go wreszcie do przytomnoęci. Uęmiechnęę sięęabo, poznajęc swęokęi z trudem zdoęaę wyszeptaęaręęętak bardzo byę wyczerpany. r\ r- A Gedeon Spilett obawiaę sięczy zablęnione rany nie otworzyęy sięa nowo. Obejrzaę je i stwierdzię ęe byęy w porzędku. Skęd więta niemoc? Dlaczego stan Harberta ulegę pogorszeniu? Chęopiecz zapadę znę goręczkowy sen. Reporter z Pencroffem czuwali u jego wezgęowia. Przez ten czas Cyrus Smith opowiedziaę Nabowi o tym, co zaszęo w zagrodzie, Nab zaę opisaę wydarzenia, jakie rozegraęy sięa pęaskowzgę. Dopiero ubiegęej nocy bandyci pokazali sięa skraju lasu, nie opodal Glicerynowego Potoku. Nab, czuwajęcy w poblęu ptaszarni, bez wahania strzelię do jednego z nich w momencie, gdy ten przygotowywaę sięo przepęynięa potoku, ale poniewę noc byęa ciemna, nie wie, czy trafię ęajdaka. W kaędym razie nie odstraszyęo to bandy i Nab ledwo zdoęaę umknęęo Granitowego Paęacu, gdzie byę przynajmniej bezpieczny. Ale co miaę robięalej? Jak zapobiec zniszczeniom zagraęajęcym pęaskowzgę? W jaki sposęaęnaęowarzyszom, o ktęh nie wie, w .jakiej sytuacji sięnajduję? Wyruszyli przecię 11 listopada, a byę juę dwudziesty dziewięty. Upęynę zatem dziewięaęcie dni od chwili, kiedy Nab otrzymaę fatalnę wiadomoęęrzyniesionę przez Topę. Ayrton zniknęę, Harbert byę cięo ranny, inęynier, reporter i marynarz byli niemal uwięeni w zagrodzie. Nab sam nie miaę sięzego obawiaęgdyę piraci nie mogli do niego dotrzeęale gnęęa go ęwiadomoęęęe budynki, plantacje i wszystkie urzędzenia znalazęy sięa ich ęasce! Czy nie naleęaęo zatem

pozostawił ecyzji Cyrusowi Smithowi i przynajmniej uprzedził o groźnym niebezpieczeństwie? Was Nab wpadł na pomysł wysłania Jupa ORR z kartką. Znał przecie niezwykłą inteligencję rangutana i niejednokrotnie wystawiał ją na próbę. Jup rozumiał słowo "zagroda", choć przy nim wymawiane; nieraz nawet powoził je gdzieś tam w towarzystwie Pencroffa. Było jeszcze zupełnie ciemno, więc zwinna mapa na pewno przemknęła się niepostrzeżenie, a zresztą gdyby nawet piraci dostrzegli Jupa, to weźmą go niewątpliwie za dzikiego mieszkańca. Nab nie wahał się ani chwili dłużej. Napisał kartkę i zawiesił ją na szyi mapy. Następnie przyprowadził Jupa do drzwi Granitowego Pałacu, skąd spuścił długie, siłki do samej ziemi i powtórzył kilkakrotnie: "Jup! Jup! Zagroda! Zagroda! Zwierz się, rozumiasz, chwyci się za linę i szybko zsunie się i wybrzeże i zniknie w ciemnościach, nie budź najmniejszych podejrzeń. Dobrze zrobię, Nabie powiedz Cyrusowi Smithowi ale może lepiej by zrobił, gdyby nas nie zawiadamiał! Może to Cyrus Smith miał na myśli Harberta, którego przewiezienie bardzo zaszkodziło. Nab kołował swą opowieść. Piraci wcale nie pokazali się i wybrzeża. Może nie znając ilości mieszkańcy wyspy przypuszczali, że Granitowego Pałacu broni jakaś wiła grupa. Może przypomnieli sobie, jak to w czasie ataku brygu zostali powitani licznymi strzałami, i dlatego nie chcieli narażać się ponownie. Ale Paskowzga Rozległego Widoku było poza zasięgiem ostrzału z Granitowego Pałacu. Toteż tam pofolgowali swoim niszczycielskim instynktom, sięjąc spustoszenie i pogogwyższanie dla przyjemności robienia zła; wycofali się tamtędy na jakieś podszyny przed przybyciem kolonistów przypuszczając zapewne, że znajdą ich jeszcze w zagrodzie. ORR Nab wybiegł wraz ze swego mieszkania. Wdrapał się Paskowzga Rozległego Widoku i narażając się na kule, usiłował bezskutecznie ugasić ogień trawicy zabudowania ptaszarni; tak walczył z ogniem do chwili, gdy na skraju lasu ukazał się najważniejsze wydarzenie. Obecnie bieżących zbrodniarzy stanowiła dla kolonistów wyspa Lincolna nieustannie groźba dotychczas byli tak szczęśliwi, a teraz gromadziła się nad ich głowami ciemna chmura. Gedeon Spilett i Pencroff pozostali w Granitowym Pałacu przy Harbercie, Cyrus Smith zaś wyszedł w towarzystwie Naba, aby zorientować się w rozmiarach klęski. Na szczęście warsztaty w Kominach uniknęły zniszczenia, ponieważ piraci nie dotarli do podnóżka Granitowego Pałacu. Co prawda szkody w Kominach można by łatwiej naprawić i spustoszenia na Paskowzgu. Udali się w kierunku Rzeki Dziżynienia, a potem szli prawym jej brzegiem, nie napotykając żadnego śladu opryszków. W gęszczu leśnym, na drugim brzegu, także nie dostrzegli nic podejrzanego. Rozumując logicznie, można było przypuszczać albo piraci wiedzieli o powrocie kolonistów do Granitowego Pałacu, gdy dostrzegli ich na drodze, albo że po spustoszeniu Paskowzga, idąc brzegiem Rzeki Dziżynienia, zagłębili się. Las Złotki i dlatego nie orientowali się w sytuacji. W pierwszym wypadku na pewno udali się do niebronionej zagrody, gdzie byłyby cenne dla nich zasoby, w drugim wrócił do swego obozowiska, aby zaczekać na okazję dokonania nowego napadu. Trzeba było zatem ich uprzedzić jednakże wszelkie projekty wyparcia ich z wyspy były uzależnione od stanu zdrowia Harberta. Istotnie, Cyrus Smith musiał do tego celu mieć wszystkich pod ręką, a przecie nikt w tej chwili nie mógł opuścić Granitowego Pałacu. Inżynier z Nabem dotarli do Paskowzga przedstawiającego obraz całkowitej ruiny. Pola były stratowane. Kosy zboża, czekające na żniwie, leżały na ziemi. Inne plantacje ucierpiały nie mniej. Warzywnik był zupełnie spustoszony. Na szczęście w Granitowym Pałacu była rezerwa nasion, pozwalająca na naprawienie szkód. Co zaś do młynów i innych zabudowań jak ptaszarnia i stajnia onagr to ogień sprawił je doszczętnie. Kilka wystraszonych zwierząt błąkało się po Paskowzgu. Płactwo, które w czasie pożaru uciekło

na jezioro, powraca o ju na zwykłe miejsce i pluska o si przy brzegu. Tu wszystko da si drobni. Twarz Cyrusa Smitha, bledsza niz zazwyczaj, zdradza hamowane z trudem oburzenie. Jednak z ust jego nie padlo ani jedno slowo. Rzucil ostatnie spojrzenie na zrujnowane pola, na unoszacy si jeszcze nad zgliczczami dym, a potem wr do Granitowego Paacu. Nastepne dni byly chyba najsmutniejsze ze wszystkich, jakie kolonisci spili na wyspie. Szabo Harberta wzmaga si sposobny. Grozi mu jaka powazna choroba, spowodowana prawdopodobnie doznany wstrzosem. Gedeon Spilett przewidywal, ze moze nastapi takie pogorszenie stanu zdrowia, ktore nie bnie umia zwalczyc. Harbert znajdowal si i gale prawie w odrzuceniu i od czasu do czasu majaczy. Jedynymi lekami, jakie kolonisci mieli do dyspozycji, byly r orzeviajace napary. Gorczka nie byla jeszcze zbyt duza, ale niebawem zaczl wystawa postaci regularnych atak. Gedeon Spilett rozpoznal chorob grudnia. Harbertowi zbladly mocno palce, nos i uszy, potem biedny chlopiec dostal lekkich, a nastepnie mocnych dreszczy. Puls byl saby i nieregularny, sksucha; chlopca mlyo wielkie pragnienie. Potem zrobilo mu si oroco. Twarz ozywila si skzaczerwienila, puls stal si rzyspieszony, nastepnie wystply silne poty, po ktch gorczka jak gdyby spadla. Atak trwa mniej wiuj piogodzin. Gedeon Spilett nie opuszcza ani na chwila Harberta, ktmia atak malarii to bylo wiuj ni pewne. Chorobrzeba bylo zwalczyc wszelk cenzanym stan chlopca nie ulegnie pogorszeniu. Zeby przerwal chorobe potrzebny jest rodek przeciwgorczkowy stwierdzi Gedeon Spilett. Ze rodek przeciwgorczkowy? powt inzynier. Przecie nie mamy ani kory chinowej, ani siarczanu chininy. Tak odpar Gedeon Spilett ale na brzegu jeziora rosn wierzby, kora za ich moze niekiedy zastapihinin. No to sprmy nie trac ani chwili odrzek Cyrus Smith. Podobnie jak kasztan indyjski, li cie ostrokrzewu, kokornaka itp., kor wierzby susznie uwal si a namiastkory chinowej. Chocia substancja ta nie mia takiej wartosci jak kora chinowa, trzeba bylo jej sprawa w dodatku stosowac w stanie naturalnym ze wzgl na brak mo liwosci wycignila z niej alkaloidu, czyli salicyny. Cyrus Smith wyci z drzewa nalecego do gatunku wierzby czarnej parawakory. Przyni je do Granitowego Paacu i starl na proszek, ktjeszcze tego wieczora kazano za y Harbertowi. Noc upyn bez powazniejszych wydarzarbert jeszcze majaczy, ale w cigu nocy gorczka nie powrta, tak samo zreszt jak i nastepnego dnia. Ciedziei wstapi w Pencroffa. Gedeon Spilett nic nie m. Moliwe, ze nawroty febr nie wystj codziennie, lecz co drugi dzie wi gorczka powrbyo dopiero nazajutrz. Tote czekano tego dnia z najwiym niepokojem. Zauwono poza tym, ze w okresach bezgorczkowych Harbert byl zupe nie wycieny, mia ci gow atwo ulega zamroczeniom. Wystply te inne objawy, ktprzerazily po prostu reportera: nastapi obrzwetroby, a niebawem jeszcze wi ze majaczenie zaczl wskazywala to, ze mjest tak zaatakowany. Ta nowa komplikacja zupe nie przybila Gedeona Spiletta. Odcign inzyniera na bok i szepnel: To jest zoliwa febra. Zoliwa febra! zawoala Cyrus Smith. Pan siyli, Gedeonie. Zoliwa febra nie przychodzi tak nagle. Trzeba nosi sobie jej zaltek!... Niestety, nie myli odpar reporter. Harbert na pewno nabawi si jej na bagnach. Czy trzeba wiuj? Mia ju pierwszy atak. Jeeli po drugim nie zdoamy zapobiec trzeciemu chlopiec jest stracony!... No a kora wierzbowa? Za saba powiedzial reporter a trzeci atak febr, jeeli nie przerwie si o chinin, bywa zawsze miertelny! Na szczepie Pencroff nie syszal tej rozmowy, gdy z pewnosci oszalboby z rozpacz. Kiedy rozumie, jak bardzo denerwowali si inzynier i reporter przez cay dzie przez cay nastep noc. Oko poudnia nastapi

drugi atak, i to niezwykle silny. Harbert czuje, że kona. Wyciąga rękę do Cyrusa Smitha, do Gedeona Spilett, do Pencroffa. Nie chce umierać. Była to rozdzierająca serce scena. Pencroffa trzeba było wyprowadzić. Atak trwa pięć godzin. Nie ulegało wątpliwości, że trzeciego Harbert nie przetrzyma. Następną noc pełna grozy. Harbert mający, wygadywać rzeczy raniące serce kolonistom. Bredzi, walczy z piratami, woła Ayrtona. Baga o pomoc tajemniczego istotę tego opiekuna, który teraz nie dawał znaku życia; jego obraz wciąż się jawia w umyśle chorego chłopca. Potem Harbert zapada w głębokie omdlenie, wyczerpujące go niesłychanie... Gedeon Spilett kilkakrotnie już myślał, że Harbert nie żyje. Nazajutrz, 8 grudnia, chłopiec leżał zupełnie bez życia. Jego wychudzone ręką kurczowo ścisnęły go powłoki. Podano mu startą na proszek korale reporter nie oczekiwał pomyślnych rezultatów. Jeżeli do jutra rana nie damy mu mocniejszego środka przeciwgorączkowego powiedziały, że Harbert umrze. Nadeszła noc może ostatnia w życiu dzielnego, dobrego, inteligentnego i ponad wiek poważnego chłopca, którego wszyscy kochali jak własne dziecko. Jedyne lekarstwo, jakie istniało przeciwko tej strasznej złośliwej febrze, jedyne lekarstwo zwalczające ją było na wyspie nie do osiągnięcia! W nocy z 8 na 9 grudnia Harbert zaczął jeszcze silniej majaczyć. Wtóra była bardzo obrzmiała, męzkaatakowany i chłopiec nie poznawał już nikogo. Czy dożyje następnego dnia, czy wytrzyma trzeci atak? Było to mało prawdopodobne. Siły jego były już zupełnie wyczerpane i w przerwie między atakami leżał jak nieżywy. Około trzeciej nad ranem Harbert krzyknął, przejmując. Wydawało się, że ciało jego wykrękał przedmierny kurcz. Czuwający przy nim Nab przestraszył się, wpadł do sąsiedniego pokoju, gdzie feyli pozostali towarzysze. W tej samej chwili Top dziwnie zaszczekał. Wszyscy rzucili się natychmiast do pokoju Harberta i ledwo zdążyli utrzymać onajęcego chłopca, który chciał wyskoczyć. Gedeon Spilett, wzięwszy go za rękę, poczuł, że to jest trochę cięższe. Była piąta nad ranem. Promienie wschodzącego słońca wyliznęły się do Granitowego Pałacu. Zapowiadał się piękny dzień, on był statkiem w życiu biednego Harberta... Promyk słońca spadł na stół stojący przy łóżku. Nagle Pencroff krzyknął i wskazał ręką jakiś przedmiot na stoliku. Było to podługne pudełeczko, a na pokrywce widniał napis: Siarczan chininy. ROZDZIAŁ JEDENASTY. Przedziwna zagadka. Rekonwalescencja Harberta. Tereny, które należą/zbadania Przygotowania do wymarszu, pierwszy dzień. Drugi dzień. Parakazuar. Siady stół. Na Cyplu Półnym. Gedeon Spilett otworzył pudełeczko. Zawierało ono około dwustu ziaren białego proszku; wzięły kilka okruchów i jęk; niezwykle gorycz tej substancji nie mogła go mylić. Było to cenny alkaloid kory chinowej, najlepszy środek przeciwmalaryczny. Nie tracąc ani chwili należało dać Harbertowi proszek do zacycia. W jaki sposób znalazł się tutaj? Na zastanawianie się nie było czasu. Kawy! rzucił krzyk Gedeon Spilett. Po paru chwilach Nab przyniósł filiżankę orzechowego napoju. Gedeon Spilett wrzucił do niej osiemnaście ziarenek chininy i wszystko to dano do wypicia Harbertowi. Był już czas najwyższy, gdy lada chwila nastąpiłby trzeci atak febrze. Ale do trzeciego ataku już nie doszło. Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów. Tajemnicze moce znają o sobie znały i to w ostatnim momencie, kiedy wszyscy już w nie wątpili. Po paru godzinach sen Harberta stał się spokojniejszy, koloniści mogli więc porozmawiać o tym wydarzeniu. Interwencja nieznanego istotę była bardziej oczywista niż kiedykolwiek. Ale w jaki sposób w nieznanym źródła przedostał się do Granitowego Pałacu? Tego nikt nie umiał sobie wytłumaczyć, trzeba przyznać, że sposób istnienia "ducha wyspy" był nie mniej dziwny niż sam duch. Od tego dnia regularnie co trzy godziny choremu dawano do zacycia siarczan chininy. W stanie zdrowia Harberta następną wyrażoną poprawą. Oczywiście nie był on jeszcze zdrowy, a w dodatku w febrze



zdarzają si<sup>ę</sup> z<sup>o</sup> niebezpieczne nawroty, tote<sup>ż</sup> wszyscy postanowili czuwać nad nim w dalszym ciągu. Mieli już przecie<sup>ż</sup> odpowiedni lek, a gdzie<sup>ś</sup> w pobli<sup>żu</sup> musia<sup>ły</sup> znajdować<sup>si</sup>e, kt<sup>ó</sup>go dostarczą. Nareszcie radosna nadzieja ogarn<sup>ę</sup> wszystkich. Nadzieja ta nie zawiod<sup>ła</sup> kolonist<sup>ów</sup>. Po dziesi<sup>ęciu</sup> dniach Harbert zacz<sup>ę</sup>ł wyra<sup>źnie</sup> powraca<sup>ć</sup> do zdrowia. By<sup>ł</sup> jeszcze bardzo os<sup>ł</sup>abiony i pozostawa<sup>ł</sup> na <sup>ł</sup>cis<sup>zej</sup> diecie, ale ataki już si<sup>e</sup> powtarzają. Pos<sup>ł</sup>uszny ch<sup>ę</sup>ć opiec tak ch<sup>ę</sup>ć poddawa<sup>ł</sup> si<sup>e</sup> wszystkim zaleceniom! Tak bardzo chcia<sup>ł</sup> wyzdrowie<sup>ć</sup> Pencroff czu<sup>ł</sup> si<sup>e</sup> jak cz<sup>ł</sup>owiek, kt<sup>ó</sup>o wydobyto z przepa<sup>ści</sup>. Jego wybuchy rado<sup>ści</sup> podobne by<sup>ły</sup> do sza<sup>łu</sup>. Gdy pora trzeciego ataku min<sup>ę</sup>ł szc<sup>zę</sup>liwie, porwał reportera w ramiona z tak<sup>imi</sup> si<sup>ł</sup>ami, <sup>ż</sup>e ma<sup>ł</sup>o go nie zadusi<sup>ł</sup>. Od tej chwili nie zwraca<sup>ł</sup> si<sup>e</sup> o niego inaczej ni<sup>ż</sup> "doktor" Spilett. Ale trzeba by<sup>ło</sup> wykry<sup>ć</sup> jak<sup>iego</sup> prawdziwego doktora. <sup>ż</sup> Znajdziemy go <sup>ż</sup> powtarzają marynarz. Niew<sup>ę</sup>tpliwie, kimkolwiek by<sup>ł</sup> ten cz<sup>ł</sup>owiek, m<sup>o</sup>liczy<sup>ł</sup>o pot<sup>ę</sup>żny u<sup>ci</sup>ścisł pocziwego Pencroffa. Grudzie<sup>ń</sup> biega<sup>ł</sup> ko<sup>ło</sup> a wraz z nim i rok 1867, w kt<sup>órym</sup> koloni<sup>ści</sup> Wyspy Lincoln do<sup>świ</sup>adczyli tyłu ci<sup>ę</sup>żkich przej<sup>ę</sup>ć. Rok 1868 rozpocz<sup>ę</sup>ł si<sup>e</sup> spania<sup>mi</sup> upaln<sup>ymi</sup> pogod<sup>ami</sup>. Na szc<sup>zę</sup>liwie tropikaln<sup>ymi</sup> temperatur<sup>ami</sup> h<sup>o</sup>dzi<sup>ły</sup> powiewy od morza. Harbert wraca<sup>ł</sup> do zdrowia i le<sup>ż</sup>ąc na <sup>ł</sup> przysuni<sup>ę</sup>m do okna wdycha<sup>ł</sup> o<sup>czy</sup>wiście, przesycone sol<sup>ami</sup> morsk<sup>imi</sup> powietrze, kt<sup>óre</sup> przywraca<sup>ł</sup>o mu si<sup>ły</sup>. Zaczyna<sup>ł</sup> nabiera<sup>ć</sup> petytu, tote<sup>ż</sup> Nab wci<sup>ę</sup>ł przyrz<sup>ę</sup>dza<sup>ł</sup> mu lekkie i smakowite potrawy. <sup>ż</sup> Przecie<sup>ż</sup> nawet umierają<sup>cy</sup> skusi<sup>ł</sup>by si<sup>e</sup> o te smako<sup>ty</sup>ki <sup>ż</sup> mawia<sup>ł</sup> Pencroff. Przez ca<sup>ły</sup> ten czas piraci ani razu nie ukazali si<sup>e</sup> w pobli<sup>żu</sup> Granitowego Pa<sup>ł</sup>acu. Ayrton nie dawa<sup>ł</sup> znaku <sup>ż</sup>ycia. Jedyne in<sup>ż</sup>ynier i Harbert zachowali cie<sup>ż</sup>dziej, <sup>ż</sup>e go kiedy<sup>ś</sup> odnajd<sup>ą</sup>, dla pozosta<sup>łych</sup> natomiast nie ulega<sup>ł</sup>o w<sup>ę</sup>tpliwo<sup>ści</sup>, <sup>ż</sup>e biedak zosta<sup>ł</sup> zamordowany. Ten stan niepewno<sup>ści</sup> ci<sup>ę</sup> nie m<sup>o</sup>trwa<sup>ł</sup>iecznie, tote<sup>ż</sup> postanowiono, <sup>ż</sup>e skoro tylke Harbert stanie na nogi, natychmiast podejmie si<sup>e</sup> wypraw<sup>ę</sup> wynik jej by<sup>ł</sup> przecie<sup>ż</sup> dla kolonist<sup>ów</sup> akwa<sup>ny</sup>. Ale na to, by zmobilizowa<sup>ć</sup> wszystkie si<sup>ły</sup> i pokona<sup>ć</sup> przysz<sup>łą</sup> k<sup>ł</sup>otrzeba by<sup>ło</sup> zaczeka<sup>ć</sup> jeszcze oko<sup>ło</sup> miesi<sup>ęca</sup>. Harbert by<sup>ł</sup> z ka<sup>ż</sup>dym dniem zdrowszy. Obrz<sup>ę</sup>w<sup>ę</sup>troby ust<sup>ę</sup>pi<sup>ły</sup>, rany zagoi<sup>ły</sup> si<sup>e</sup> o<sup>czy</sup>wiście. W ci<sup>ę</sup>gu stycznia na P<sup>ł</sup>askowzg<sup>ę</sup> Rozleg<sup>łego</sup> Widoku wykonano wa<sup>ż</sup>ne prace polegaj<sup>ące</sup> niestety wy<sup>ż</sup>ecznie na ratowaniu tego, co mo<sup>ż</sup>na by<sup>ło</sup> jeszcze ocali<sup>ć</sup> o<sup>czy</sup>wiście zbior<sup>ów</sup> o<sup>czy</sup>wiście i warzyw. Skrz<sup>ę</sup>nie pobierano nasiona i sadzonki, a<sup>by</sup> zabezpieczy<sup>ć</sup> o<sup>czy</sup>wiście zbiory. Cyrus Smith postanowi<sup>ł</sup> wstrzyma<sup>ć</sup> i<sup>ę</sup> o<sup>czy</sup>wiście z napraw<sup>ę</sup> budynk<sup>ów</sup> t<sup>ł</sup>asarni, m<sup>ł</sup>yna i stajni. Piraci bowiem mo<sup>ż</sup>e zn<sup>ę</sup>chc<sup>ę</sup> nawiedzi<sup>ć</sup> o<sup>czy</sup>wiście askowzg<sup>ę</sup> nie nale<sup>ży</sup> wi<sup>ę</sup>dawa<sup>ć</sup> ym rabusiom i podpalaczom okazji do ponownego popisania si<sup>e</sup> o<sup>czy</sup>wiście o<sup>czy</sup>wiście o<sup>czy</sup>wiście naprawach pomy<sup>ś</sup>li si<sup>e</sup> wtedy dopiero, gdy wyspa b<sup>ę</sup>dzie wolna od z<sup>ł</sup>oczy<sup>ł</sup>. W drugiej po<sup>ł</sup>owie stycznia m<sup>ł</sup>ody rekonwalescent zacz<sup>ę</sup>ł po trosze wstawa<sup>ć</sup> <sup>ż</sup> o<sup>czy</sup>wiście, pocz<sup>ę</sup>tkowo na godzin<sup>ę</sup> dziennie, potem na dwie i trzy. Mia<sup>ł</sup> zdrowy organizm, tote<sup>ż</sup> si<sup>e</sup> przybywa<sup>ł</sup>o mu po prostu w oczach. Sko<sup>ł</sup> o<sup>czy</sup>wiście już w<sup>ę</sup>ślas osiemna<sup>ć</sup>cie lat. By<sup>ł</sup> wysoki i wszystko zapowiada<sup>ł</sup>o, <sup>ż</sup>e wyro<sup>ż</sup>nie z niego m<sup>ł</sup>ożyzna o pi<sup>ę</sup>ty i szlachetnym wygl<sup>ę</sup>dzie. Od tego czasu jego rekonwalescencja, aczkolwiek wymagaj<sup>ące</sup> jeszcze pewnych stara<sup>ń</sup> o<sup>czy</sup>wiście o<sup>czy</sup>wiście, kt<sup>óre</sup> "doktor" Spilett przestrzega<sup>ł</sup> z ca<sup>ł</sup> o<sup>czy</sup>wiście surowo<sup>ści</sup> o<sup>czy</sup>wiście, regularnie post<sup>ę</sup>wa<sup>ł</sup>o o<sup>czy</sup>wiście naprz<sup>ę</sup> Pod koniec miesi<sup>ęca</sup> Harbert odbywa<sup>ł</sup> już spaceru po p<sup>ł</sup>askowzg<sup>ę</sup> i wybrze<sup>żu</sup>. Doskonale zrobi<sup>ły</sup> mu k<sup>ł</sup>piele morskie, kt<sup>óre</sup> h<sup>o</sup> za<sup>ł</sup>żywa<sup>ł</sup> w towarzystwie Pen-croffa i Naba. Cyrus Smith doszed<sup>ł</sup> wi<sup>ę</sup>do wniosku, <sup>ż</sup>e mo<sup>ż</sup>na już ustali<sup>ć</sup> at<sup>ę</sup> ymarszu. Postanowiono wyruszy<sup>ć</sup> drog<sup>ę</sup> 5 lutego. Noce, bardzo jasne o tej porze roku, sprzyja<sup>ły</sup> zamierzonym poszukiwaniom. Zacz<sup>ę</sup>ł jak najstaranniej przygotowują<sup>ci</sup> o<sup>czy</sup>wiście wyprawę. Koloni<sup>ści</sup> zaprzysi<sup>li</sup> sobie, <sup>ż</sup>e nie powr<sup>ę</sup>do Granitowego Pa<sup>ł</sup>acu, zanim nie zg<sup>ę</sup>adzą oprysk<sup>nie</sup> odnajd<sup>ą</sup> Ayrtona, je<sup>ż</sup>eli o<sup>czy</sup>wiście jeszcze <sup>ż</sup>yje, oraz dop<sup>nie</sup> odszukaj<sup>ą</sup> osoby, kt<sup>óre</sup> wywierają tak wielki wp<sup>ły</sup>w na losy kolonii. Koloni<sup>ści</sup> dok<sup>ł</sup>adnie znali ca<sup>ł</sup>e wschodnie wybrze<sup>że</sup> Wyspy Lincoln od Przyl<sup>ę</sup>dka Pazura do Przyl<sup>ę</sup>dka Szcz<sup>ę</sup>, a wi<sup>ę</sup> rozleg<sup>łe</sup> Bagno

Podgorza, okolice Jeziora Granta, Las Złoty, leżący pomiędzy Drogą do Zagrody a Rzeką Dziwnią i Czerwonym Potokiem, i wreszcie zbocza Góry Franklina, gdzie znajdowała się zagroda. Zdołali już zbadać bardzo pobieżnie co prawda, przylegający do Zatoki Waszyngtona duży pas wybrzeża od Przylądka Pazura do Cypla Północnego, zalesiony i bagnisty brzeg zachodni oraz niekończące się łąki, dochodzące aż do półwyspu paszczy Zatoki Rekina. Natomiast zupełnie nie znali dotychczas wielkich lasów okrywających Półwysep Serpentyzny ani prawego brzegu Rzeki Dziwnią, lewego brzegu Rzeki Wodospadu oraz falistego terenu, na którym wspierały się czwarte podstawy Góry Franklina od zachodu, północy i wschodu, a przeciętnie musiało tam istnieć wiele nieprzystępnych kryjówek. Zatem parę osób akrowierzchni wyspy dotychczas nie zostało zbadanych. Postanowiono, że aby przepatrzyć teren położony na prawym brzegu Rzeki Dziwnią, wyprawa przejdzie Lasami Dalekiego Zachodu. Zastanawiano się czy nie lepiej byłoby skierować ją najpierw do zagrody, gdy istniały obawy, że piraci będą w celu rabunku, będą też szukać dachu nad głowami i schronili się tam ponownie. Lecz jedno z dwojga: jeżeli spustoszenie zagrody było już faktem dokonany, to usiłowania, ażeby temu zapobiec, były śmieszne, jeżeli bandyci natomiast mieli jakiś cel, by się tam usadowić to zawsze będzie czas, by ich stamtąd wyprzeć. Toteż po dyskusji zaakceptowano pierwszy projekt i kolonista postanowili przejść przez lasy do Cypla Północnego. Idąc zamierzali wyrębywać drogę gdzieś, zapoczątkowując w ten sposób drogę szesnastu-siedemnastu mil szlak biegnący pomiędzy Granitowym Pałacem a najbardziej wysuniętym punktem półwyspu. Wody w doskonałym stanie, wypoczątek onagry mogący zmniejszyć trudności marszu. Na wyznaczonych miejscach zapasy żywności, sprzęt obozowy, przenośne kuchnie i

narzędzia, a także broń amunicję starannie wybrane w obficie zaopatrzonej arsenale Granitowego Pałacu. Nie wolno było zapominać, że bandyci mogli przebywać w lesie, z góry szczytu za drzewa łatwo trafić do celu. Dlatego też grupa kolonistów i trzymając ich i nie rozdzielać od żadnym pozorem. Postanowiono, że w Granitowym Pałacu nie pozostanie nikt. Nawet pies i młoda miętwa wzięta w wyprawie. Niedostatek domostwa nie wymagał niczyjej opieki. Wigilią marszu, niedzielą 4 lutego, poświęcono na wypoczynek i modlitwę. Dla Harberta, zupełnie już zdrowego, ale jeszcze trochę słabego, przygotowano specjalne miejsce na wozie. Nazajutrz z nastaniem świtu, zgodnie z poleceniem Cyrusa Smitha, wykonano ostatnie prace zabezpieczające Granitowy Pałac przed niespodziewanym najazdem. Drabiny, po których niegdyś wchodził do domu i które po powrocie mieli się osłonić przeniesiono do Kominów zakopano głęboko w piasku. Ben windy zdemontowano i z całego urządzenia wyciągowego nie pozostawiono nic. Prace wykonał Pencroff; pozostał najdłużej w Granitowym Pałacu, po czym opuścił się do podwójnej linii. Po przecięciu tej linii na ziemi odcienie pomiędzy podestem Granitowego Pałacu a wybrzeżem zostało przerwane. Pogoda była wspaniała. Czekają nas gorący dzień radośnie oznajmił reporter. Ba, doktorze Spilett odpard Pencroff będziemy szli w cieniu drzew i nawet nie zauważymy słońca. W drogę dał nas inżynier. Wzjechał na wybrzeże przed Kominami. Reporter

kazał Harbertowi jechać przynajmniej przez pierwsze godziny podróży chłopiec musiał usłyszeć o lekarza. Nabór prowadzi onagry. Cyrus Smith, reporter i marynarz poszli przodem. Top biegnie dookoła, pełen radości. Harbert zaofiarował Jupowi miejsce przy sobie i młoda przyjechała bez ceregieli. Wkrótce najpierw w stronę ujścia rzeki, potem za, ujechawszy jak milowym brzegiem, przeprawił się przez most, skąd zaczyna się droga do

Portu Balonu; tutaj koloniści pozostawili drogę po prawej stronie i zagłębili się zielone sklepienia Lasów Dalekiego Zachodu. Przez pierwsze dwie mile rzadko rosnące drzewa pozwalają na swobodny przejazd wozu. Od czasu do czasu tylko trzeba było wyrębać liany i krzewy, ale w rzeczywistości żadna poważniejsza przeszkoda nie stanęła na ich drodze. Pod gęstym listowiem drzew panował chłodny cień, jak okiem się widać, cedry himalajskie, sosny--duglasy, kazuaryny, banksje, gumowce, smokowce i inne znane już drzewa. W powietrzu ptaki zamieszkujejących wysp tutaj w komplecie: kuraki, zębotki, bałanty, chemiaki, cała gadatliwa rodzina kakadu. Widok ten przywiódł kolonistom na myśl ich pierwsze wyprawy po przybyciu na wyspę. Muszę twierdzić, odezwał się Cyrus Smith, że wszystkie te zwierzęta, zarówno czworonogie, jak i ptactwo, są bardziej pochliwe niż ongi. Tymi lasami musieli niedawno przechodzić iraci i na pewno trafimy na ich ślad. Istotnie, w wielu miejscach widniały mniej lub bardziej wieżowe słupy, świadczące o przejściu grupy ludzi: tu nacięta na drzewach, zrobione byłoby w celu znakowania drogi, tam popiół wygaszonego ogniska, to znadcziski stała gliniastej glebie. Ale nic nie wskazywało na ślad jakiegokolwiek stałego obozowiska. Inżynier zalecił swoim towarzyszom, aby powstrzymali się od polowania. Strzały z broni palnej mogłyby zwrócić uwagę cichych sokołów w lasach piratów. Zresztą myślicy na pewno nie oparliby się o kusie odejścia w bok od wozu, a przeciwko chodzenie w pojedynkę było surowo zabronione. Po południu, gdy oddalono się niewiele o sześć mil od Granitowego Pałacu, droga stała się bardzo uciążliwa. Aby przejechać przez gęszczę leśną, trzeba było przecinać drzewa i przedzierać przez zarośla. Przed zagłębieniem się gęstwiny Cyrus Smith za każdym razem wysyłał naprzód Jupa; zwierzę sumiennie wypełniało swój obowiązek, a gdy powracało nie objawiało zaniepokojenia, można było mieć absolutną pewność, że nic nie zagraża kolonistom ani ze strony opryszków ani ze strony czworonogich drapieżników. Te dwa gatunki żywych istot bowiem dzięki instynkty sprowadziły do tego samego poziomu. Pierwszego wieczora koloniści rozbili obóz odległszy o kilka mil od Granitowego Pałacu, na brzegu małego dopływu Rzeki Dzielnienia, o którym dotychczas nic nie wiedzieli; wchodził on w system hydrograficzny wyspy, nadając jej niezwykły kształt. Po spożyciu z wielkim apetytem sutoj wieczerzy koloniści pomyśleli o zabezpieczeniu się przed napadem w nocy. Gdyby mieli do czynienia z jakimiś dzikimi zwierzęmi w rodzaju jaguara, po prostu rozpaliliby wokół ogniska i to stanowiłoby dostateczną obronę, ale piratgic nie odstraszyły, lecz odwrotnie przyciągnęły, toteż lepiej było zaszyć się jak najwięcej w ciemności. Ustalono więc, że koloniści będą czuwać po dwóch zmieniając się co dwie godziny. Ponieważ mimo gorącego sprzeciwu Harberta zwolniono go od tego obowiązku, Pencroff z reporterem oraz inżynier z Nabem kolejno obejmowali wartę pobliskiego obozu. Zresztą noc trwała zaledwie kilka godzin. Cisza była tylko ochrypłe wycia jaguara, chichot małp, szczególne drapanie Jupa. Noc minęła bez żadnego wypadku i nazajutrz, 16 lutego, rozpoczął nie tyle trudny, ile powolny marsz przez knieje. Tego dnia koloniści zdobili ułamek, gdy co chwila trzeba było siekierą wycinać drogę. Jako prawdziwi "osadnicy" koloniści oszczędzali wielkie i piękne okazy, których przecinanie byłoby zresztą połączone z olbrzymim wysiłkiem, i poświęcili raczej małe drzewa. Skutkiem tego droga nie biegła po linii prostej, lecz wydułała już niezliczone zakręty. W ciągu dnia Harbert odkrył nowe gatunki drzew, których nie zauważył dotychczas na wyspie: paprocie drzewiaste ze zwisającymi liśćmi, podobnymi do przelewającej się kielicha wody, drzewa wiązowe, z których onagry z przyjemnością oskubywały długie strączki o słodkim, bardzo smacznym miększu. Tu i tam rosły kłmi wspaniałe kauri; ich walcowate pnie, uwieczne stołkiem zieleni, wznosiły się wysoko w wstępnym Były to kręskie drzewa

Nowej Zelandii, tak samo słynne jak cedry Libanu \*. Fauna nie zaprezentowała niczego nowego ponad to, co myśliwi zdali już poznać przednio. Zobaczyli jedynie z daleka, nie mogli się do nich zbliżyć parielkich ptaków potykanych przede wszystkim w Australii. Była to odmiana kazuara wysoko ci piąto brunatnym upierzeniu, zwanych także emeusami, należących do rzędu szczudłowatych. Top rzucił się na nimi z całą szybkością swoich czterech łap, ale kazuary uciekły mu bez trudu, gdy biegają niezwykle prędo. W lesie znaleziono jeszcze parę ładówozostawionych przez piratów. Przy niedawno wygaszonym ognisku kolonistów dostrzegli odciski stóp zaczął je uważnie badać Mierzwić szeroko długiego odcisku stopy, z łatwością ustalili, że przeszło tu pięć ludzi. Niewątpliwie pięć opryszków zatrzymało się na popas, ale i to było wcale nie przedmiotem skrupulatnych badań nie zdano wykryć żądgo ładu: odcisku stopy Ayrtona. Ayrtona nie ma z nimi! zawołał Harbert. Nie odrzekł Pencroff. A jeżeli go tutaj nie było, to znaczy, że ci nancy już go zabili! Ale czy ciż nie mają jakiego legowiska, gdzie można by osaczyć jak tygrysa? Chyba nie odpowiedział reporter raczej błąkał się o los szczęścia i tak pewnie mają zamiar postawić dopnie stan się anami wyspy. Panami wyspy?! wykrzyknął marynarz. Panami wyspy! powtórzył zdławionym głosem, jak gdyby żelazna dół wycięła go za gardło. Potem dodał spokojniejszym tonem: Czy pan wie, panie Cy-rusie, jak to kulę nabiłem moją strzelbą? Nie, Pencroff, nie wiem. To, które przeszło pierze Harberta. I przysięgam panu, że nie chybi ona celu. Jednakże nawet taki słuszny odwet nie może przy- Ol A wrócić Ayrtonowi życia, a łady stępiestety nie budzą już nadziei zobaczenia go kiedykolwiek. Tego wieczora rozbito obóz czternaście mil od Granitowego Pałacu. Według obliczeń rusa Smitha wyprawa powinna się znaleźć dalej niż o pięć mil od Cypla Północy. Rzeczywiście, następnego dnia kolonistów idąc lasem dotarli na sam skraj półwyspu. Jednakże nie odszukali ani miejsca, gdzie mogli się schować, ani też kryjącego tajemniczego nieznajomego.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY. Zbadanie Półwyspu Serpenty. Obchód ujściu Rzeki Wodospadu. O sześć kroków od zagrody. Rekonesans przeprowadzony przez Gedeona Spilletta i Pencroffa. Ich powrót. Wszyscy naprzeciw. Otwarte wrota. Oświetlone okno w blasku księżyca. Następnego dnia 8 lutego, po południu na zbadanie zalesionej części wyspy, cięgnąc się wybrzeżem od Cypla Północy aż do Rzeki Wodospadu. Kolonistów dokładnie spenetrowali las pokrywający całe Półwyspie Sefpenty pasem o szerokości od trzech do czterech mil. Wysokość drzew oraz ich potężne konary świadczyły o znakomitej jakości gleby, jeszcze więcej tutaj niż gdziekolwiek indziej na wyspie. Było to jak gdyby zakątek dziewiczych lasów meryki czy Afryki tropikalnej, przeniesiony w strefę umiarkowaną. Nasuwało to przypuszczenie, że ta wspaniała roślinność znalazła w glebie i wilgotnej powierzchni, w głębokich warstwach ogrzanej przez wulkan warunki nie spotykane w klimacie umiarkowanym. Do najczęstszych drzew należały opisane już kauri i eukaliptusy, osiągające wprost gigantyczne rozmiary. Jednakże celem wyprawy kolonistów było podziwianie wspaniałych okazów roślinnego. Wiedzieli oni dobrze, że pod tym względem Wyspa Lincoln zasługuje aby na zajęcie pierwszego miejsca w grupie Wysp Kanaryjskich, nazywanych pierwotnie Wyspami Szczęścia. Niestety, teraz wyspa nie należała już niepodzielnie do nich. Wtargnęli tu i zawładnęli wyspą zbrodniarze, których trzeba było wytężyć ostatniego. Na zachodnim wybrzeżu, pomimo najstarszych poszukiwań nie znaleziono już żadnych dalszych ładów. Nie było tam ani odcisków ani nacięć na drzewach, ani wystygłego popiołu, ani opuszczonych obozowisk. Nie dziwi mnie to wcale powiedział Cyrus Smith do swoich towarzyszy. Piraci wylądowali w pobliżu Cypla Skrzyni i natychmiast zaszyli się. Lasy Dalekiego Zachodu przez Bagno Podgorza. Poszli zatem

mniej wiemy tam sam drogę, co my po opuszczeniu Granitowego Pałacu. W ten sposób na wytumaczyłady wykryte przez nas w lesie. Jednakże doszedłszy do wybrzeża bandyci zrozumieli, że nie znajdą tu dogodnego schronienia, zawróci więc na powrót i wtedy wcale nie odkryli zagrody. Do którego, by o to, powróci... dodał Pencroff. Nie 's' dz odpar inżynier gdy powinni przypuszczać że nasze poszukiwania p wcale nie w tym kierunku. Zagroda stanowi dla nich jedynie bazę opatrzenia, lecz nie schronisko na dłuższą metę. Zgadza się tym całkowicie dorzucił reporter. Moim zdaniem, piraci znaleźli sobie kryjówkę gdzieś na zboczach Gó Franklina. No to chodźmy, panie Cyrusie, wprost do zagrody! zawołał Pencroff. Trzeba nareszcie z nimi skończyć dotychczas marnowali tylko czas! nie. Nie, przyjacielu zaoponował inżynier pan zapomina, że musimy stwierdzić czy w Lasach Dalekiego Zachodu nie kryje się jakieś domostwo. Przecież nasza wyprawa ma podwójny cel, Pencroff. Z jednej strony musimy ukarać brodniaków z drugiej przecież mamy do spełnienia dług wdzięczności. Świetnie powiedziane, panie Cyrusie odpar marynarz. Jestem jednak zdania, że tego dentelmena znajdziemy tylko wtedy, gdy on sam tego zapragnie. W gruncie rzeczy Pencroff wyraził opinię. Kryjówkę nieznajomego być może prawdopodobnie nie mniej tajemnicza niż on sam. Tego wieczora wstrzymał się przy ujściu Rzeki Wodospadu. Nocleg zorganizowano jak zwykle, nie zapominając o niezbędnym wyposażeniu ostrożności. Harbert, choćby był żółty i zdrowy jak przed chorobą, rozkoszował się obywatel pod gołym niebem, wciągając powietrze w piersi powiew znad oceanu i ożywcze powietrze lasu. Nie zajmował już w drodze miejsca w wozie, lecz szedł na czele karawany. Nazajutrz, 19 lutego, kolonicy opuścili wybrzeże i posuwali się wzdłuż brzegiem w górę rzeki. Droga była częściowo utorowana w czasie poprzednich wypraw z zagrody na zachodnie wybrzeże. Znajdowali się w odległości sześciu mil od Gó Franklina. Projekt inżyniera był następujący: dokładnie obejrzą dolinę z wozem, przez którą płynie rzeka, i zachowując wszelkie środki ostrożności dojdą od samej zagrody jeżeli bandyci tam byli zajęci; jeżeli zaś nie umocnią jej i stworzą z wyjątkiem celem będzie przeszukanie zbocza. Plan został jednak nie zaakceptowany, wszystkim bowiem było pilno wejść w posiadanie całej wyspy. Posuwano się wzdłuż doliny, rozdzielając dwa najpotrzebniejsze zbocza Gó Franklina. Obficie rosnące nad brzegiem rzeki drzewa stawały się coraz rzadsze w miarę spinania się wulkan. Teren był nierówny, urwisty, łatwo było wpaść w zasadzkę toteż kolonicy posuwali się niezwykle ostrożnie. Na przedzie biegł Top z Jupem myszkując z prawej i lewej strony w gęstych zaroślach; mapa i pies przeciągały się wzajemnie w sprytnym zwinności. Jak dotąd nic nie wskazywało na niedawny pobyt piratów nad brzegami rzeki i nic nie świadczyło o ich bliskości. Około południa wstrzymał się niejaki o sześć kroków palisady zagrody. Okrywała ją gołębica zaskoniona z wielkich drzew. Należałoby zrobić rekonesans w zagrodzie, żeby zorientować się czy jest zajęta. I tak otwarcie w pełnym świetle dnia, nie wiedząc, czy piraci nie zaczęli się z palisadą, było ryzykowne z wystawieniem się na kule, tak jak to się przytrafiło Harbertowi. Lepiej zaczekać do zmierzchu. Gedeon Spilett chciał jednak nie zwlekać zorientować się co się dzieje w zagrodzie, Pencroff zaś także u kresu cierpliwości zgłosił gotowość owarżyszenia mu. Nie, przyjaciele inżynier był nieubagany. Zaczekajcie do zmroku. Nie pozwólcie aby ktokolwiek z was narażał się na kule w biały dzień. Ale panie Cyrusie prosił o oponowanie marynarz nie mając wielkiej ochoty do wykonania polecenia. Bardzo pana proszę upierał się inżynier. Niech już tak będzie zgodził się Pencroff i dał upust złości obrzucając bandytę najbardziej soczystymi przezwiskami z marynarskiego repertuaru. Wszyscy pozostali w pobliżu wozu, uważnie

wpatrując się otaczający las. Tak upłynęły trzy godziny. Wiatr ustał i pod kopułkami wielkich drzew zapanowała zupełna cisza. Na pewno usłyszano by nawet cichy trzask gałązki, odgłos kroków suchych liściach czy szelest ciał czegoś trawie. Top, leżąc na ziemi z ciałem opartym na wycięgniętych gałązkach, nie zdradza najmniejszego niepokoju. O ciemności były już doświadczenia i stwarzały dobre warunki do zwiadów. Gedeon Spilett oznajmił, że gotów jest ruszyć drogą towarzystwie Pencroffa. Cyrus Smith wyraził zgodę. Zwierzaki miały pozostać inżynierem, Harbertem i Nabem, gdy chodzi o to, aby szczekanie psa czy pisk mały nie zbudziły przedwcześnie czujności piratów. Nie zapominajcie się być pochopnie i zalecił Cyrus Smith marynarzowi i reporterowi. Waszym zadaniem nie jest zdobycie zagrody, ale jedynie rozpoznanie, czy jest ona zajęta. Tak jest. Pencroff wraz z reporterem wyruszyli w drogę. Pod drzewami dziękującemu listowiu panowały już takie ciemności, że w promieniu trzydziestu-czterdzieści stóp nie było nic widać. Reporter i Pencroff zatrzymywali się przy każdej podejrzanym szmerze i posuwali się naprzód niespiesznie ostrożnie. Szli w pewnej odległości jeden od drugiego, by nie stanowili dogodnego celu dla kul. Mówiąc szczerze, spodziewali się każdej chwili usłyszeć uk wystrzał. W pięć minut po oddaleniu się od wozu doszli do skraju lasu i do polanki, za którą rozpoczynała się palisada. Zatrzymali się. Na szczycie ogołoconej z drzew brzośki siły jeszcze ostatnie odbłaski dnia. W odległości trzydziestu kroków wznosiła się rama zagrody; robiła wrażenie zamkniętej. Te trzydzieści kroków trzeba było przebyć od skraju lasu do palisady, stanowiły strefę zagrożenia, używając terminologii z dziedziny balistyki. Rzeczywiście jedna lub parę kul, wypuszczonych ze szczytu palisady, powaliłyby na ziemią tego, kto by zaryzykował postawienie nogi na tym pasie. Gedeon Spilett i marynarz nie należeli do ludzi cofających się obliczu niebezpieczeństwa; widzieli jednak, że najmniejsza nierozwaga z ich strony, która sami padną ofiarą, odbije się na ich towarzyszach. Co stanie się z Cyrusem, z Nabem i Harbertem w razie ich śmierci? Pencroff, niespiesznie podniecony blisko zagrody, gdzie spodziewał się zastać przyszkolonych, chciał i naprzędku reporter powstrzymał go mocnym ramieniem. Za parę minut zapadnie noc i szepnął Gedeon Spilett marynarzowi do ucha i wtedy nadejdzie właściwy moment działania. Pencroff zatrzymał się i naciskając kurczowo kolbę trzelby mamrotą pod nosem przeklewał. Niebawem zniknęła ostatnia poświata dnia. Z gęstego lasu wypełniony ciemnością i ogarniętą polanką Gęstego Franklina wznosiła się zachodząca jak olbrzymia zasłona zakrywająca horyzont, a zmrok zapadł tak raptownie, jak to się zdarza na małych szerokościach geograficznych. Nadszedł właściwy moment. Od chwili gdy Pencroff i reporter stanęli na czatach na skraju lasu, nie odrywali oka od palisady. Zagroda sprawiała wrażenie całkowicie opuszczonej. Wierzchołek palisady tworzył w otaczającym mroku linię ciemniejszą, rysując się wielki wyrazistości, przy czym nic nie mówiło jej cięgien. A przecie gdyby piraci byli w zagrodzie, to na pewno jeden z nich czuwałby na palisadzie, a żeby ustrzec bandę przed zaskoczeniem. Gedeon Spilett nacisnął dźwignię swojego towarzysza i obydwoje poczęły się strzelać do zagrody, z bronią gotową do strzału. Dotarli do bramy ogrodzenia i stwierdzili, że z zagrody nie pada najmniejszy nawet błąsk światła. Pencroff pchnął bramę tak jak przypuszcza reporter, była zamknięta. Jednakże marynarz zdawał się stwierdzić, że zewnętrzne sztaby nie zostały założone. Można było z tego wywnioskować, że piraci okupowali jeszcze zagrodę zabezpieczyli tylko bramę, by nie można było jej otworzyć. Reporter i marynarz nadstawili ucha. Zza ogrodzenia nie dobiegał najmniejszy odgłos. Muflony i kozy prawdopodobnie zasnęły w swoich stajniach i nic nie mówiło ciszy nocnej. Nie słyszeli żadnych dźwięków. Gedeon Spilett i Pencroff zastanawiali się przez

chwili czy nie przesadzi palisady i wbrew zaleceniom Cyrusa nie, wleźli o zagrody. Taki krok męsi da ale mętak e sko i l. Jeżeli piraci nie spodziewali się czego, jeżeli nie wiedzieli nic o podjęj przeciwko nim wyprawie, wreszcie jeżeli istniała w tej chwili pewna szansa zaskoczenia ich, to czy wolno było zmniejszać szansę nieopatrzenie przeskakując przez palisadę. Reporter uważa, że tego nie należy robić. Jego zdaniem, rozsądniej było zaczekać aż wszyscy zbiorą się razem i wtedy sprzą przedostać o zagrody. Jedno było pewne: do palisady można dotrzeć niepostrzeżenie, ogrodzenie za chyba nie było pilnowane. Po ustaleniu tego faktu nie pozostawało nic innego, jak

powrócić do wozu i zastanowić się, co robić dalej. Pencroff prawdopodobnie podzielił ten pogląd, gdy bez oporu poszedł za reporterem w stronę lasu. Po paru minutach inżynier był powiadomiony o sytuacji. Zaczynam przypuszczać powiedział po chwili zastanowienia że opryskanie ma w zagrodzie. Dowiemy się gdy będziemy po drugiej stronie ogrodzenia odparł Pencroff. Do zagrody, przyjaciele! rzucił Cyrus Smith. Czy wozostawimy w lesie? zapytał Nab. Nie odparł inżynier gdy to jest nasz furgon z amunicją i żywnością, a w razie potrzeby posłużymy nam za szaniec. Naprzę powiedział Gedeon Spilett. Wyrzucił się z lasu i bezszelestnie toczył się stroną palisady. Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności i zalegała taka sama cisza jak w las, gdy Pencroff i reporter pełzając oddalali się od zagrody. Gława trawa, cała kowicie gęszcza odgłos kroków Kolonistów trzymali broń pogotowiu. Na rozkaz Pencroffa Jupa szedł z tyłu. Nab trzymał Topa na smyczy, a żeby pies nie wybiegał zbyt naprzę. Niebawem ukazała się olana. Była zupełnie pusta. Mała grupka bez wahania skierowała się stroną ogrodzenia i szybko przebyła zagroń strefę. Nikt do nich nie strzelał. Wyojechał do palisady i stanął. Nab pozostał przy onagrach, a żeby je przytrzymał. Inżynier, reporter, Harbert i Pencroff skierowali się stroną rby sprawdzić czy są one zabarykadowane od wewnątrz... Jedno skrzydło bramy stało otworem. Coście mi opowiadali? zapytał inżynier zwracając się do marynarza i reportera. no A Ci stali jak rzeni gromem. Na mę duszę odezwał się reszcie Pencroff. Przecież dopiero co brama była zamknięta. Kolonistów zawahali się? Czyby piraci byli w zagrodzie wtedy, gdy reporter i Pencroff dokonywali rekonesansu? To chyba nie ulegało wątpliwości, gdy bramę w las zamknęli, mogli otworzyć tylko oni. Czy byli tam jeszcze? A może tylko jeden z nich wyszedł? Wszystkie te pytania cisnęły się do myśli kolonistom, ale nikt nie umiał na nie odpowiedzieć. W tej chwili Harbert, który zrobił parę kroków ogrodzenie, cofnął się i schwycił Cyrusa Smitha za rękę. Co się tam? zapytał inżynier. Wiat! W domu? Tak! Cała piątka weszła za bramę rzeczywiście, w oknie na wprost wróbaczyli pełgajce saba wiatko. Cyrus Smith zdecydował się wyskoczyć. To jest jedyna w swoim rodzaju okazja zwrócić się do towarzyszy. Bandyści są zamknięci w domu i nie spodziewają się czego! Mamy ich! Naprzę Kolonistów wleźli się do ogrodzenia, trzymając broń pogotowiu. Wozostawiono na zewnątrz pod opiekę Jupa i Topa, których na wszelki wypadek uwiązano. Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett z jednej strony, Harbert zaś i Nab z drugiej zaczęli skradać się do palisady, obserwując rzęcznie pustą i ciemną cząść zagrody. Po chwili wszyscy spotkali się przed domem pod zamkniętymi drzwiami. Cyrus Smith skinął towarzyszom ręką, a żeby się nie ruszali, sam zaś zbliżył się do okna oświetlonego od wewnątrz mdłym światłem. Inżynier zatopił wzrok w jedynym pokoju stanowiącym parter domku. Na stole stała zapalona latarnia. Przy stole, który, który nigdy służył Ayrtonowi. Na leżą jakiegoś człowieka. Cyrus Smith

cofnę sięagle i zawoła stęumionym gęosem: Ayrton! Kolonięci, pchnęwszy lcaęej sięy drzwi, wpadli do pokoju. Ayrton zdawa siępaęTwarz jego wiadczyęa o przebytych cierpieniach. Na przegubach ręk i na kostkach nęidniaęy szerokie, sine prę. Cyrus Smith pochylię siej nad nim. Ayrton! zawołaę i chwycię za ramięowarzysza odnalezonego w tak nieoczekiwanych okolicznoęciach. Na dęwięjego giosu Ayrton otworzyę oczy, popatrzyę na twarz Cyrusa Smitha, potem na pozostaęych towarzyszy i powiedziaę ze zdziwieniem: To wy? Ayrtoni, Ayrton? powtarzaę Cyrus Smith. Gdzie jestem? W swoim domku, w zagrodzie. Sam? Tak. Aleę oni przyjdę! zawołaę Ayrton. Broę sięBroę! i opadę wyczerpany na posęanie. Spilett odezwa sięnęynierę moęemy byę kaędej chwili napadnię. Wprowadęcie węa ogrodzenie, potem zabarykadujcie wrota i przyjdęcie wszyscy tutaj. ncroff, Nab i reporter pobiegli natychmiast wykonaęolecenie inęyniera. Nie byęo ani chwili do stracenia. Moęe wępadę juę w rę opryszkę Reporter i obydwa jego towarzysze bęyskawicznie przebiegli przez zagrodęo wręza ktęi sęychaęyęo gęuche warczenie Topa. Inęynier zostawię na chwilęyrtona i wyszedę przed dom z brońę gotowę do strzaęu. Harbert stanęę przy jego boku. Obydwa bacznie wpatrywali się z boczna gęwznoszęcej sięad zagrodę. Gdyby bandyci zaczęli sięutaj, to mogliby powyszczaęolonistęak kaczkę. W tym momencie nad czarnę zasęonę lasu wypęynęę księca i fala bladego wiatęa zalaęa caęe obejęcie, caęy teren zagrody, kę drzew, strumyki i olbrzymie dywany trawy. Od strony gęodcinaę sięiaęę plamę dom razem z częię ogrodzenia. Po przeciwnej stronie w poblęu bramy ogrodzenie pozostawaęo w cieniu. Niebawem ukazaęa sięiemna bryęa. Byę to węchodzęcy w kręg wiatęa; do Cyrusa Smitha doleciaę zgrzyt bramy, ktęzamykali jego towarzysze, solidnie ję barykadujęc od wewnętrz. W tym momencie Top zerwa sięe smyczy i ujadajęc z węciekęoęcię,, rzucię się gęęb zagrody na prawo od domu. Uwaga, przyjaciele, i gotuj broę zawołaę Cyrus Smith. Kolonięci zęoęyli sięo strzaęu i czekali na odpowiedni moment. Top nie przestawaę ujadaęJup zaę, ^odbiegęszy do niego, wydawaę ostre gwizdy. Idęc za maępę kolonięci dotarli do strumyczka ocienionego duęymi drzewami. I cęutaj ujrzeli w węwietle księca? Na brzegu leęaęo piętrupę. Byęy to ciaęa piratęktę przed czterema miesięcami wylędowali na Wyspie Lincolna. ROZDZIAę TRZYNASTY. Opowiadanie Ayrtona. Projekty jego dawnych kamratęSprowadzenie sięandytęo zagrody. Rę sprawiedliwoęci. Bonawentura". Poszukiwania wokęęFranklina. Wyęej poęoęone węwozy. Podziemne pomruki. Odpowiedę Pencroffa. W gęę krateru. Powrę co siętaęo? Kto zabię' opryszkęCzyęby Ayrton? Nie, przecię przed chwilę obawiaę sięęe wrę Ayrton znajdowaę się gęękim omdleniu, z ktęo trudno go byęo ocucięPo wypowiedzeniu kilku sęęopadę z powrotem w zamroczenie i teraz leęaę naęę jak kęoda, Nie opuszczajęc domostwa Ayrtona i nie wracajęc na miejsce, gdzie leęaęy zwęoki opryszkękolonięci szarpani tysięcami niejasnych domysęęspęili noc w stanie niezwykęego podniecenia. Prawdopodobnie Ayrton nie bęie umiaę im nic powiedzięa temat okolicznoęci, w jakich bandyci ponieęli mieręNie wiedziaę przecię nawet, że znajduje się powrotem w zagrodzie. Ale przynajmniej chyba bęie męprzedstawięakty, ktępoprzedzięy tętrasznę egzekucję r%nr% Nastęego dnia Ayrton odzyskaę przytomnoęęTowarzysze jego okazywali mu wielkę serdecznoęę radoęęęe po stu czterech dniach rozęęki wrę caęy i zdrę W paru sęowach Ayrton opowiedziaę im o tym, co zaszęo. Nazajutrz po przybyciu do zagrody, 10 listopada, z nastaniem zmierzchu zostaę zniecka napadnię przez opryszkęktę przeleęli przez ogrodzenie. Bandyci zwięzali go i zakneblowali mu usta, a nastęie uprowadzili do ponurej pieczary u stęęFranklina, gdzie urzędzili sobie kryję. Jego



Śmierć była postanowiona, gdy nagle jeden z bandyt oznajmił go i nazwał imieniem używanym przez niego w Australii. Potry chciał zamordować Ayrtona, jednak uszanował Ben Joyce'a. Od tej chwili Ayrton stał się przedmiotem natrętnych nagabywań strony swoich dawnych kamratów, którzy stali się ananiami wyspy. Liczyli, że pomoże im owadnożądny granitowy Pałacem, wtargnął do niedostępnego domostwa, zamordował kolonistę i opanował wyspę. Ayrton się pierzył. Dawny przestępca, skruszony i rozgrzeszony, raczej poniżył śmierć niż miałby zdradzić swoich towarzyszy. Spokojny, z zakneblowanymi ustami, trzymany nieustannie na oku, przecierpiał w tej pieczarze prawie cztery miesiące. Tymczasem piraci, odkrywając zagrodę krótkim czasie po wylądowaniu na wyspie, znaleźli odtąd z jej zasobów, ale nie mieszkali w niej. 11 listopada dwaj bandyci, zaskoczeni przybyciem kolonistów, strzelali do Harberta i któregoś z nich chwalił się, że zabił jednego z mieszkańcy wyspy, ale bandyta powrócił sam. Jak wiemy, jego towarzysz został zaszyty przez Cyrusa Smitha. Można sobie łatwo wyobrazić denerwowanie i rozpacz Ayrtona, gdy dotarł do niego wiadomość o śmierci Harberta. A wiódł go tylko czterech kolonistów w dodatku zdanych na przekór. Po tym wypadku, to jest przez cały czas choroby Harberta, który trzymał kolonistę w zagrodzie, piraci nie opuścili pieczary. Nawet po dokonaniu dzieła zniszczenia na Paskowskiej Rozległego Widoku nie czuli się zagrożeni. Ayrtona zaczęto traktować jeszcze gorzej. Na jego rękach i nogach widać było krwawe ślady wiódł go w dzień i noc. Każdej chwili czekał na śmierć, wydawało się, że nie ma dla niego ratunku. Tak było do trzeciego tygodnia lutego. Piraci czatowali zawsze na jakiejś okazji, rzadko wychodzili ze swej kryjówki, poprzestając na kilku wyprawach łowieckich błądzących w głąb wyspy, błądzących na wybrzeże południowe. Ayrton nie miał żadnych wiadomości o swoich towarzyszach i stracił nadzieję, że ich kiedykolwiek zobaczy. Wreszcie wyczerpany udrękami, nieszczęśliwy człowiek wpadł w zupełne odręczenie, tak że nie widział i nie słyszał, co się wokół niego działo. Dlatego też nie wiedział, jak od tej chwili, czyli od dwóch dni, potoczyły się wypadki. Ale, ale, panie Cyrusie, powiedz mi na pewno, jak to się stało, że znalazłem się w zagrodzie, skoro byłem uwięziony w pieczarze? A jak to się stało, że piraci leżą zabici tu w zagrodzie? zapytał inżynier. Zabici? zdumiał się Ayrton i usiadł pomimo osłabienia. Towarzysze podtrzymali go. Ponieważ koniecznie chciał wstać, pomogli mu i razem udali się do brzozy strumyka. Było już zupełnie widno. Nad wodą leżało pięć zbiegłych przestępców. Ayrton skamieniał. Towarzysze patrzyli na niego bez słowa. Na znak dany przez inżyniera Nab i Pencroff obejrzeliby zesztywniałe już ciała. Nie było na nich żadnych śladów obrażeń, dopiero po bardzo dokładnych oględzinach Pencroff zauważył na czole jednego z nich, na piersi drugiego, na plecach i wreszcie na ramionach następnego małą plamkę, jak gdyby ledwie widoczny ślad po uderzeniu; trudno byłoby rozpoznać pochodzenie tej plamki. Tu widać nie zostali trafieni, powiedziała Cyrus Smith. Ale z jakiej broni? zawołał reporter. Z jakiej nie znanej nam, piorunującej broni. Ale których zabił? zapytał Pencroff. Równie sprawiedliwoci dziająca na tej wyspie odparł Cyrus Smith. Również nieznanego, który przeniósł pana tutaj, Ayrton, przejawiając swą moc jeszcze raz, tego, który robi za nas wszystko to, czego my sami nie możemy dokonać, a potem kryje się przed nami. No to szukajmy go! zawołał Pencroff. Tak, szukajmy, potwierdził Cyrus Smith, pamiętając jednak, że trzeba o tym, że nie znajdziemy tej tajemniczej istoty, dokonującej takich niezwykłych czynów, dopóki sama nie zechce nas do siebie wezwać. Istnienie tego niewidzialnego opiekuna, który pozbawia o wszelkiej wartości ich własne czyny, wzruszało, a jednocześnie gniewało inżyniera. Stwierdził, że nie szło o to, widać nie raniło jego szlachetną duszę. OCH

Wspaniały i nośny starzec siłnik wszelkich objawów dziwności, świadcząca niejako zdaniami Cyrusa Smitha o pogardzie w stosunku do dżużnik obniża do pewnego stopnia wartość obrodziejstwa. Szukajmy cięgnę dalej i dąby Bęby my mogli udowodnić iedy temu wyniosłemu protektorowi, że nie ma do czynienia z niewdziękami! Ach, ile bym dał za to, aby spacił dżug wobec niego wyświadczając mu, bodaj za cenę życia, jak wam przysługę. Nab i Pencroff przenieśli trupy pięć opryszków, lasu i zakopali je głęboko, z dala od zagrody. Koloniści powróci do domku; pod ich troskliwą opieką Ayr-ton niebawem odzyskał równowagę psychiczną i fizyczną. Opowiedzieli mu o wypadkach, jakie zaszły w czasie jego uwięzienia. Dowiedzieli się przygodzie Harberta, o cię ich doświadczeniach kolonistów i o tym, że nie spodziewali się ujęrte Ayrtona przy życiu, przypuszczając, że go bandyci bezlitośnie zamordowali. A teraz powiedzieli Cyrus Smith kość opowiadanie pozostaje nam jeszcze jedna powinność opowiedzenia. Wykonaliśmy powołania, bo to, że nie obawiamy się irat znętałymy się anami wyspy, zawdzięamy nie samym sobie. A więc przeszukajmy dokładnie każdy labirynt na zboczach GFranklina zaproponował Gedeon Spi-lett. Musimy zajrzeć o kańdego wgężenia, do kańdej dziury. Ach, drodzy przyjaciele, nie wiem, czy kiedykolwiek jaki reporter stanęł wobec bardziej pasjonującej zagadki niż ja. Nie powrócy do Granitowego Pańacu, zanim nie znajdziemy naszego dobroczyńcy dodał Harbert. r\ r\ Tak powiedział Cyrus Smith zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy... ale powtarzam, nie odnajdziemy go wcześniej, niż on sam na to zezwoli. Czy zamieszkamy na ten czas w zagrodzie? zapytał Pencroff. Tak postanowił Cyrus Smith. Zapasamy tu pod dostatkiem i jesteśmy w samym centrum krę poszukiwania reszty, jeżeli zajdzie potrzeba, można stąd szybko obróć wozem do Granitowego Pańacu. Dobrze zgodzi się marynarz tylko jedna uwaga. Jaka? Lato mamy w pełni i nie trzeba zapominać że czeka nas pewna przejańdka. Przejańdka? zdziwił się Gedeon Spilett. No, tak, na wyspę Tabor. Przecież musimy zawieść tam notatkę podając pońowanie wyspy, gdzie przebywa obecnie Ayrton. Kto wie, czy nie jest już za późno, czy szkocki jacht nie przybył już po niego. Ale jak pan zamierza odbyć wyprawę Pencroff? zapytał Ayrton. Bonawenturę". Bonawenturę"? powtórzył Ayrton. Przecież go już nie ma. Nie ma mego Bonawentury"! ryknął Pencroff nie swoim głosem. Nie! Niespełna osiem dni temu piraci odkryli go w porcie, wyjechali na morze i... I co? zapytał Pencroff z bijącym sercem. I ponieważ nie było z nimi Boba Harveya jako sternika, rozbili się o skałach podwodnych i ze statku pozostały tylko drzazgi. Ach, otrzy! Bandyci! Podłe łajdaki! zawołał Pencroff. ono

Pencroff powiedział. Harbert ujmując marynarza za rękę zbudujemy drugiego Bonawenturę wiążęgo! Mamy teraz wszystkie okucia i całe osprzętowanie brygu. Ale czy wiesz odparł Pencroff że na zbudowanie statku o pojemności trzydziestu do czterdziestu ton trzeba co najmniej pięć do sześciu miesięcy? Nie będziemy się spieszyć wtręcił reporter i w tym roku zrezygnujemy z wyprawy na wyspę Tabor. Cóż Pencroff, trzeba tymczasem zrezygnować z tej wyprawy dodał inżynier. Ja zaś sądzę że to opóźnienie na które nam nie wyjdzie. Ach, mego Bonawentura"! Męiedny Bonawentura"! biadał Pencroff, serdecznie zmartwiony stratą statku, z którym był taki dumny. Strata Bonawentury" była niezmiernie przykra, toteż koloniści postanowili uzupełnić brak w jak najkrótszym czasie. Tymczasem zamierzali skoncentrować swoje wysiłki na przeszukaniu najtajniejszych zakątków wyspy. Badania rozpoczęły jeszcze tego samego dnia, to znaczy 19 lutego, i przewidywano, że trwać będzie całe

tydzień? U podnóża góry pomiędzy grzbietami zbroczy a licznymi skarpami, cięgnąc się prawdziwy labirynt kapryśnie rozrzuconych wozów dolin. Tam w górach, w wąskich szczelinach, a może nawet we wnętrzu góry należało prowadzić najdokładniejsze poszukiwania. Żadna inna część wyspy nie nadawała się do kryjówki dla człowieka pragnącego pozostać w cieniu. Jednak labirynt tych wozów nie wstrząchał zawiązy i badania trzeba było prowadzić bardzo systematycznie. Kolonicy zwiedzili najpierw leżącą na południowym stoku wulkanu dolinę do której spływały wody dające początek Rzece Wodospadu. Tu Ayrton pokazał towarzyszącej pieczarze gdzie zaszyli się piraci i gdzie trzymali go w więzach. W pieczarze tej nic się nie zmieniło od czasu, kiedy Ayrton w niej przybywał. Znalezione tam trochę municji i zapasy żywności, które piraci przynieśli tu, a żeby stworzyć sobie pewną rezerwę. Zbadano skrupulatnie całą dolinę prowadzącą do grotty, okoloną pięknymi drzewami, w których przeważały drzewa szpilkowe. Po obejściu południowo-zachodniego zbocza kolonicy weszli w bardzo wąski wąwóz stanowiący przedurzenie malowniczych zwałów skał bazaltowych na wybrzeżu. Tu drzewa rosły już znacznie rzadziej, stopniowo wypierały je gazy. Między skałami skakały kozice i muflony. Tutaj też rozpoczynała się ta wyspa. Z licznych dolin, rozchodzących się we wszystkie strony od podnóża Góry Franklina, tylko trzy były zalesione i obfitowały w pastwiska, tak jak dolina, w której znajdowała się agroda, a która graniczyła na zachodzie z doliną Rzeki Wodospadu, a na wschodzie z doliną Czerwonego Potoku. Oba te strumienie po wchłonięciu wód dopływających do rzeki, zbierały wszystkie wody płynące z góry były przyczyną żyzności jej południowego zbocza. Rzeka Dzielnienia była bardziej bezpośrednio zasilana licznymi rzekami ukrytymi w Lesie Żółty; takie same rzeki, przelewające się w ciemnych strumykami, zasilają glebę w Serpenty. Jedną z tych trzech dolin zaopatrzonych w wodę aby oczywiście służyła schronienie jakiemuś samotnikowi, gdy miałby tu wszystko, czego trzeba do życia. Ale przecie kolonicy już zbadali te tereny i nigdzie nie wykryli śladów człowieka. Czyżby zatem krył się wraz z jej mieszkańcą znajdowała się jednym z tych jaskiń w wąwozach w przepięknie ukształtowanym, w dzikim parowie na powierzchni, czy w kryjówce zastygniętej lawy? Północne zbocze Góry Franklina miało u podnóża dwie szerokie i raczej płytkie doliny, całkowicie pozbawione zieleni, usiane gazami narzutowymi, pocięte długimi morenami, wybrukowane lawami, porwane zwałami skalnymi pokrytymi warstwami szkła wulkanicznego i krzemianów. Ten teren wymaga długich i trudnych badań stniemy tu tysiące rozpadlin, mało dogodnych, ale dość często ukrytych i trudno dostępnych. Kolonicy zagłębiali się nawet do ciemnych tuneli pochodzących z okresu aktywności wulkanu, czarnych jeszcze od pyłu, które prowadziły, i prowadziły w głąb góry. W tych ciemnych korytarzach oświetlano ściany smolnymi pochodniami, badano najmniejsze zagłębienia i rysy. Wszędzie cisza i ciemność. Chyba żadna istota ludzka nie przeszła tymi odwiecznymi korytarzami i żadna rzecz nie przesunęła ani jednego gazu. Pięty się nie tak jak w czas, gdy wulkan wyrzucił je na powierzchnię ody podczas wynurzenia się wyspy z dna morskiego. Przejścia były absolutnie puste i ciemne, jednak Cyrus Smith zagłębszy się jedną z rozpadlin, cięgnących się w przestrzeni kilkuset stóp głąb góry ze zdziwieniem pochwycił uchem gęuche pomruki, i to tym wyraźniejsze, że odbite od skał. Towarzyszcy mu Gedeon Spilett rzekł usłyszawszy daleki szum wskazujący na to, że podziemne ognie odżyły. Obaj zatrzymywali sięilkakrotnie i nasłuchując doszli do zgodnego wniosku, że we wnętrzu ziemi odbywa się jakiś proces chemiczny. A więc wulkan nie jest całkowicie wygasły powiedział reporter. Możliwe, że od chwili gdy my badaliśmy krater odrzekł Cyrus Smith jakieś zmiany dokonały się w jego warstwach. Kiedy wulkan, pomimo że uważano

za wygasy, może rozpalimy ją nowo. A czy w razie wybuchu wulkanu Wyspa Lincoln nie znajdzie się niebezpieczeństwo? Nie sądzę odrzekł inżynier. Istnieje przecie krater, czyli wentyl bezpieczeństwa, i nadmiar gazu raz lawy ujdzie nim, tak jak dotychczas, swoim zwykłym drogą. Chyba żeby lawa utorowała sobie nowe otwory w kierunku wyższych części wyspy. A dlaczego, drogi Gedeonie, nie miałaby popłynąć orytem wytyczonym przez naturę? Wulkany bywają kapryśne odparł reporter. Prosił uwagę cięgnę dalej inżynier. To nachylenie Góry Franklina sprzyja wylewaniu się lawy w kierunku dolin, które obecnie badamy. Po to, aby ten kąt nachylenia uległ zmianie, musiałyby trząszenie ziemi przesunąć o kilka stopni. Tak, ale w tych wypadkach zawsze należy się bawiać przesunięcia ziemi zauważył reporter. Zawsze, zwłaszcza gdy się podziemne zaczynają się budzić, wewnątrz ziemi może być apchane - wskutek długiej bezczynności. Toteż dla nas, drogi Gedeonie, wybuch byłby sprawą niesłychanie poważną i wolałbym, żeby wulkan nie nabierał ochoty do zbudzenia się. Ale cóż to poradzimy! W każdym razie, cokolwiek by się stało, nie sądzę, żeby nasza posiadłość zległemu Widoku była poważnie zagrożona. Pomiędzy parkowiskiem a Górą Franklina ziemia jest wyraźnie zapadnięta, a gdyby kiedykolwiek lawa popłynęła w kierunku jeziora, zostałaby odrzucona w stronę doliny i teren siedzących z Zatoki Rekina. Dotychczas nie zauważyliśmy, aby szczyt góry zwiastował bliski wybuch. dodał Gedeon Spilett. Nie, z krateru nie unosi się najmniejszy dymek, widać nie wczoraj dokładnie obserwowaliśmy wierzchołek. Jednak istnieje możliwość, że w dolnej części przewodu z biegiem lat nagromadziły się popioły i zastygła lawa, wobec czego kłapa bezpieczeństwa, o której wspomnieliśmy, jest chwilowo obciążona. Ale przy pierwszym poważniejszym wysięku te przeszkody znikną i może pan być pewny, drogi Gedeonie, że ani wyspa, bęka kotem, ani wulkan, stanowiłyby komin, nie wylecą w powietrze pod ciśnieniem gazu. Niemniej jednak, powtarzam, wolałbym, żeby wybuch nie nastąpił. A przecie omyłka jest niemożliwa, obstawa przy swoim reporter. Wyraźnie słychać wewnątrz wulkanu jakieś głucho pomruki. Istotnie zgodził się inżynier. Omyłka jest niemożliwa... Odbywa się tu jakiś proces, my za to nie możemy ani ocenić jego rozmiarów ani przewidzieć statecznego wyniku. Wyszedszy na powietrze Cyrus Smith i Gedeon Spilett podzielili się swoimi spostrzeżeniami z resztą towarzyszy. A to dopiero! zawołał Pencroff. Teraz znów wulkan pokazuje swoje sztuczki! Niech tylko sprę! Znajdzie się taki, co go poskromi!... A kto? zapytał Nab. Nasz dobry duch, Nabie, nasz dobry duch; zaknebluje mu usta natychmiast, jak tylko wulkan będzie usiłował je otworzyć. Jak widać marynarz obdarza nieograniczonym zaufaniem tego prawdziwego boga wyspy. Rzeczywiście, jego tajemnicza siła, przejawiająca się dotychczas w tylu nie dających się wytłumaczyć aktach, wydawała się nieograniczona. A jak umiał on ująć najskrupulatniej-szym poszukiwaniom kolonistów. Pomimo ich wysiłków, ba! widać nie wysiłków, bo uporczywości, nie udało się odnaleźć jego kryjówki. Od 19 do 25 lutego zasiębadła zszerzyła się cała powierzchnia Wyspy Lincoln, gdzie przeszukano wszystkie najniebezpieczniejsze zakamarki. Kolonicy opukali każdą ściankę, tak jak to robił agenci policji badający mury podejrzanego domu. Inżynier sporządził nawet plan góry obejrzawszy podtrzymujące jej dolne partie skały. Zbadano również skarpę, którą stanowiła część zakamarki pierwszej kondygnacji góry, którą krawiec olbrzymiej czapy, w której prowadził krater. Zagłębił się w sam otwór, a jeszcze wygasł, ale skąd już dochodziły zupełnie wyraźne pomruki. Na razie jednak ani dym, ani para, ani rozgrzanie się ścian krateru nie świadczyły o bliskim wybuchu wulkanu. I nigdzie w czasie tych poszukiwań kolonicy nie natrafili na ślad tajemniczej osoby. Wreszcie przeniesiono badania na teren wydmy. Starannie przeszukano w

Zatoce Rekina wysokie urwiska z lawy, i to od dołu do samego szczytu, pomimo że zejście do poziomu zatoki nastręcało niesłychane trudności. Nie znaleziono nikogo. Trzeba było pomyśleć powrocie, gdy te poszukiwania nie mogły przecie trwać wiecznie. Kolonisci skłonni byli myśleć, że tajemnicza istota ukrywa się na powierzchni wyspy, i najbardziej szalone przypuszczenia zaczęły nurtować podnieconych wyobraźni. Zwłaszcza Pencroff i Nab nie poprzestawali już na twierdzeniu, że dzieją się rzeczy dziwne, lecz zaczęły przypisywać je siom nadprzyrodzonym. 25 lutego nastąpił powrót Granitowego Pałacu; podwładna, zarzucona za pomoc strażnicy na podest, przywróciła postrachem pomysł mieszkaniem a ziemi. W miesiącu później, 25 marca, kolonisci obchodzili trzeci rocznicowy przybycia na Wyspę Lincoln. ROZDZIAŁ CZTERNASTY. Po trzech latach. Sprawa nowego statku. Co postanowiono? Dobrobyt kolonii. Stocznia. Mrozy na polu podniebowej. Pencroff poddaje się. Pranie bielizny. Główny. Franklina. Trzy lata upłynęło od chwili ucieczki jeździ z Richmondu. Ile razy w ciągu tych trzech lat rozmawiali o swojej ojczyźnie! Myślał o niej nurtowała ich stale. Nie wątpili nawet przez chwilę, że wojna domowa już się skończyła i że sędziwsza sprawa Percy odniosła zwycięstwo. Ale- jaki był przebieg tej strasznej wojny? Ile krwi przelano? Kto z ich przyjaciół poległ na polu walki? Czego o tym rozmawiali marząc o powrocie chociaż kilka dni do kraju. Pragnęli nawiązać przerwany kontakt z zamieszkanym światem, zorganizowała komunikację z ojczyzną a wyspą, a potem spróbowali i było to najlepsze lata w tej kolonii przez nich założonej i podległej metropolii. Czyby marzenie to było nieziszczalne? Nie. Można je było zrealizować dwiema drogami: albo któregoś dnia ukaże się pobliskiej Wyspy Lincoln jakiś statek, albo kolonisci sami zbudują statek dostatecznie mocny, aby dopłynąć do najbliższego lądu. Chyba dodawał Pencroff, że nasz dobry duch dostarczy nam jakichś innych możliwości powrotu do ojczyzny. Prawdopodobnie, gdyby ktoś powiedział Pencroffowi czy Nabowi, że trzystonowy statek czeka na nich w Zatoce Rekina czy w Porcie Balonu, nie zrobiliby najmniejszego gestu zdziwienia. Jednakże Cyrus Smith, mniej optymistycznie nastrojony, ciągnął ich z obok. Rozmowa zeszła kiedyś na budowę statku, co było istotnie pilnym zadaniem, ponieważ trzeba było zawieźć najprędzej na wyspę dokument z podaniem nowego miejsca pobytu Ayrtona. "Bonawentury" już nie było, budowa nowego statku wymagała co najmniej sześciu miesięcy. Tymczasem zbliżała się zima i o egzystencji można było myśleć dopiero na wiosnę. Mamy więc do czasu, jeżeli chcemy przygotować drogę powiedział inżynier omawiając sprawę Pencroffem. Jestem zdania, przyjacielu, że ponieważ musimy budować statek o dno, to lepiej będzie od razu zaprojektować go. Przybycie szkockiego jachtu na wyspę jest bardzo problematyczne. Przecież miesiąc już tam zawitał przed paroma miesiącami i odpłynął daremnie poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu Ayrtona. Czy nie byłoby zatem wskazane zbudować statek, który w razie potrzeby można by popłynąć do archipelagu polinezyjskiego bądź też na Nową Zelandię? Co pan o tym myśli? Myślał panie Cyrusie odrzekł marynarz, że pan potrafi tak samo dobrze zbudować statek, jak mały. Drzewa i narzędzi nie brak. Jest to zatem jedynie kwestia czasu. Ile miesięcy potrzeba na zbudowanie statku o wyporności dwustu pięćdziesięciu do trzystu ton? Co najmniej siedmiu lub ośmiu. Jednak nie należy zapominać, że zbliża się zima, w czasie kilku mroźnych dni jest drzewo obrabiać. Musimy więc przewidzieć kilka tygodni pracy. Będzie bardzo dobrze, jeżeli zdążymy wykończyć statek na listopad. No cóż, powiedział Cyrus Smith. To jest właściwie odpowiednia pora na podjęcie jakiegokolwiek dłuższego rejsu, czy to na wyspę, czy jeszcze dalej. Racja, panie Cyrusie, zgodził się marynarz. Niech pan tedy sporządzi plany, gdy robotnicy czekają. Sędziwsze przy tej

pracy Ayrton okazał się bardzo pomocny. Reszta kolonistów zapytana o zdanie, zgodnie przyjął projekt inżyniera; rzeczywiście było to najlepsze wyjście z sytuacji. Co prawda zbudowanie statku o wyporności dwustu czy trzystu ton było ciężką pracą, ale kolonisci wierzyli w swoje siły, co zresztą usprawiedliwiały dotychczasowe liczne przedsięwzięcia. Cyrus Smith wziął się do robienia planu okrętu i modelu. W tym czasie towarzysze jego ścinali i zwozili budulec potrzebny na kadłub, wręki i poszycie. Lasy Dalekiego Zachodu dostarczyły najlepszego gatunku drewna i wiąz. Poszerzono zapoczątkowaną w czasie ostatniej wyprawy przesiekę aby utworzyć wygodną drogę nazwaną "Drogą Dalekiego Zachodu", drewno zaś zwożono do Komin gdzie zbudowano stocznice. Wprowadzono drogę wiązową i linię, gdy wytyczano ją w miejscach wyjątkowo odpowiednich drzew, ułatwiało to jednak dostępowanie do znacznej części Półwyspu Serpenty. Trzeba było szybko ścinać obrabiać drzewa, które spuszczonych nie można było używać, gdyż musiały dobiec do końca schnąć. Ciężko pracowali z zapachem przez cały kwiecień, pogoda sprzyjała z wyjątkiem kilku bardzo wietrznych dni w okresie trwania dnia z nocą. Im gęściej nie pomagało walczyć na czubek drzewa, a żeby umocować linę, budulec teściwością na swoich potężnych barach oczyszczone z gałęzi drzewa. Cały budulec, złożony w dużej szopie z desek zbudowanej w pobliżu Komin czekał na rozpoczęcie robót. Kolonisci nie zaniedbywali takich prac na roli, wkrótce wiązownik z Półwyspu Rozległego Widoku wszelkie ślady zniszczenia. Odbudowano młyn, a na miejscu dawnej ptaszarni stanęła nowa, znacznie większa, gdy liczba jej mieszkań ogromnie wzrosła. W stajni było teraz pięć onagrów cztery silne, zgrabne, nadające się do zaprzęgnięcia i pod wierzch, oraz jeden mały, nowo narodzony. Kolonia wzbogaciła się o pięć onagrów i onagry były używane do orania jak prawdziwe woły z Yorkshire'u czy Kentucky \*. Praca rozdzielono pomiędzy wszystkich i ani jedna para rąk nie przeważyła. Wieczorem zaś w Granitowym Pałacu ścierały się ożywione rozmowy; to kolonisci snuli tysiące projektów przyszłości. Ayrton prowadził ten sam tryb życia co wszyscy i nie było już mowy o tym, by mieszkać w zagrodzie. Jednak zawsze był smutny i mało mówiący; brał udział raczej w pracy niż w wesołych gawędach towarzyszy. Za to w robocie był niezastąpiony, silny, zręczny, pomysłowy i inteligentny. Nie mogło ujść mu uwagi to, że wszyscy go szanowali i lubili. Zagroda, chociaż nikt w niej teraz nie mieszkał, nie była bynajmniej zaniedbana. Co drugi dzień z kolonistami dawał się im konno lub wozem, by dopilnować tam muflonów, które przywieźli do stajni Naba. W czasie tych podróży siłą się do polowania, toteż Harbert i Gedeon Spilett nie poprzedzani przez Topa i częściej niż pozostali towarzysze przemierzali Drogę Zagrody, a ponieważ mieli doskonałe broń, domu nie brakowało nigdy kapibar, aguti, kangurów dzikich i takich jak kaczkę, kurak, gęsi, uszczotek i kszyszek. Krępa, ławica ostryg, kilka schwytanych ryb, nowy porcelanowy, które wtargnęły do Rzeki Dzielnienia i wszystko to dostarczyło tylu produktom kuchmistrz Nab miał kłopot z ich przechowywaniem. Oczywiście linia telegraficzna pomiędzy Granitowym Pałacem a zagrodą została naprawiona; korzystano z niej, kiedy jeden z kolonistów zostawał na noc w corralu. Wprowadzono na wyspie panować spokojnie na razie nie zachodziła obawa jakiegokolwiek agresji, przynajmniej ze strony ludzi, jednakże to, co się stało, mogło się zdarzyć powtórnie. Zawsze można było się spodziewać napaść piratów, zbłądłych przestępców. Możliwe, że towarzysze i wspólnicy Boba Harveya, odsiadujący jeszcze karę w Norfolku, byli wtajemniczeni w jego projekty i zechcieli pomóc w jego ślady. Toteż kolonisci zwracali baczniejszą uwagę na to, co się dzieje na morzu, i luneta ich codziennie przeszukiwała horyzont pomiędzy Zatoką Unii a Zatoką Waszyngtona. Przebywając w zagrodzie, obserwowali nie mniej uważnie zachodni koniec morza, a gdy wspinali się na zbocza góry, wzrok ich

mogarny zachodni odcinek horyzontu. Nie dostrzegali wprawdzie nic podejrzanego, jednak trzeba było o niego baczyć. Toteż pewnego wieczoru inżynier wtajemniczył przyjaciół swoje plany umocnienia zagrody. Ze względu na bezpieczeństwo zamierzał podwyższyć alisad zbudowaną w rodzaju warowni, w której można by w razie potrzeby stawić czoła nieprzyjacielowi. Granitowy Pałac z racji jego położenia należało uważać za niezdobytą, natomiast zagroda z zabudowaniami, zapasami żywności i zwierzęmi łatwo mogła stać się dogodnym kądem dla rozmaitych zbrodniarzy. Trzeba więc było stworzyć jakie warunki, by koloniści mogli stawić czoła szkody dla siebie. Projekt ten zresztą zrealizuje się dopiero na wiosnę. Około 15 maja w stoczni można już było oglądać nowego statku, a niebawem także sterzające prawie prostopadle, zaczopowane na obu końcach, dziobnicę tylnicą Dugout, zrobioną z dobrego drewna, wynosiła sto pięćdziesiąt stóp zatem najdłuższe pokładnice mogły mieć wadzenie pięćdziesiąt cali. W następnym tygodniu cięli zdali już tylko przymocować pierwsze wręki rufowe. Wiąz jednak nie mogli zrobić przed nastaniem zimy i śniegu i musieli przerwać pracę. W ostatnich dniach maja pogoda była okropna. Wiatr ze wschodu dął niekiedy gwałtownie jak huragan. Inżynier niepokoił się o los stoczni i zbudowanej zresztą w jedynym dogodnym miejscu w pobliżu Granitowego Pałacu. Na szczęście obawy jego okazały się niezasadne. Wiatr hulał raczej w południowo-wschodniej części wyspy i dlatego Granitowy Pałac znalazł się w bezpiecznym miejscu pod osłoną Cypla Skrzywni. Pencroff i Ayrton najbardziej ze wszystkich porwani byli budowniczymi nowego statku. Nie przejmowali się wcale tym, że wiatr targał im włosy, a deszcz nie pozostawiał na nich suchej nitki, uważali bowiem, że dobre uderzenie młotkiem ma taką samą wartość pięciopięć, jak i w złą pogodę. Jednakże około 10 czerwca, gdy po deszczach przyszły silne mrozy, a woda nabrała twardości i przelała i stała się zbyt trudna do obróbki, trzeba było przerwać budowę statku. Cyrus Smith i jego towarzysze zauważyli od dawna, że zimy na Wyspie Lincoln są tak samo surowe jak w położonych mniej więcej w tej samej odległości od rzeźni stanach Nowej Anglii. Na półkuli północnej, a przynajmniej tam, gdzie leży Wielka Brytania i część Stanów Zjednoczonych, zjawisko to daje się wytłumaczyć przez kształtowanie terenu okolicy bieguna. Nie ma tam bowiem wzniesień i górek, które by stanowiłyby przeszkodę dla wiatrów północnych. Na Wyspie Lincoln ta przyczyna jednak nie istnieje. Zauważono także, że wytłumaczył pewnego dnia Cyrus Smith swoim towarzyszom, że wyspy i wybrzeża kontynentu nie są narażone na tak silne mrozy, jak kraje położone na tych samych wysokościach. Szybszym czynnikiem, że na przykład zimy w Lombardii są ostrzejsze niż w Szkocji; dzieje się tak dlatego, że w ciągu zimy morze zwraca ciepło nagromadzone przez lato. Wyspy znajdują się zatem w najlepszych warunkach, jeżeli chodzi o korzystanie z tego zwrotu ciepła. To dlatego, panie Cyrusie, Wyspa Lincoln wyłamuje się pod tego ogólnego prawa? zapytał Harbert. Trudno to wytłumaczyć odrzekł inżynier. Jestem skłonny przypuszczać, że ta osobliwość pochodzi stąd, iż wyspa leży na półkuli południowej, którą jak ci wiadomo, moje dziecko jest mniejsza od półkuli północnej. Rzeczywiście zgodził się Harbert, toteż przy okazji lody spotyka się tu na mniejszych szerokościach niż na półkuli Pacyfiku. To prawda dodał Pencroff. Kiedy jeszcze zajmowałem się żelaznictwem, widywałem góry lodowe już na wysokościach przyłodka Horn. Zima panująca na Wyspie Lincoln może być wytłumaczona przez wiatr Gedeon Spillet i obecność gdzieś w niedalekiej odległości polodowców lodowych. Pana zdanie ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa odrzekł Cyrus Smith i zapewne surowe zimy zawdzięczamy jakiejś przyczynie lodowej. Muszę wrócić uwagą, że istnieje jeszcze jeden czysto fizyczny powód dla którego półkula południowa jest zimniejsza od północnej. Otóż ponieważ

so znajduje sieli tej poli w lecie, dlatego jest dalej od niej w zimie. Sted te pochodz duze rozpiaci temperatury w obu kierunkach. Uwamy, ze zimy sa bardzo surowe na Wyspie Lincolna, ale nie zapominajmy, ze lata sa tutaj bardzo gorce. A dlaczego, prosz pana zapyta Pencroff marszczc brwi na naszej poli klimat jest, jak pan m tak niermierny? To niesprawiedliwe! Przyjacielu rozumia si nynieier sprawiedliwe czy niesprawiedliwe, nic na to nie poradzimy, a oto skd pochodzi ta waaciwo? Ziemia opisuje wokone ko, lecz elips w myl podstawowych zasad mechaniki. Ziemia stanowi jedno z ognisk elipsy, a zatem w pewnym okresie swojej drogi znajduje si apogeum, czyli w punkcie odsonecznym, w innym za okresie znajduje si perigeum, czyli w punkcie przysonecznym. Otanie podczas zimy kraje lece na poli poudniowej sa w najwiym oddaleniu od so a wi w warunkach sprzyjajcych najsilniejszym mrozom. Nic si a to nie poradzi i nawet najbardziej uczeni ludzie nie zdoaj nigdy zmienizegokolwiek w porzdku kosmograficznym. A jednak... nie ustawa Pencroff ludzie sa bardzo uczeni. Jak to olbrzymi ksi mo na by wype niym, co si ie, panie Cyrusie. O ile wi z ksi mo na by zooy tego, czego si ie wie odpar Cyrus Smith. W kadym razie z tych czy innych powod czerwcu jak zwykle zapanoway silne mrozy i kolonici byli zmuszeni do przebywania w Granitowym Paacu. Ten przymusowy pobyt w domu bardzo ciy wszystkim, a najbardziej chyba Gedeonowi Spilettowi. Rozumiesz zwr si eto dnia do Naba chie darowabym ci aktem rejentalnym wszelkie majoci, jakie kiedykolwiek odziedziczydyby by tak dobry, poszed, dokd chcesz, i zaabonow mi jakkolwiek gazet Stanowczo najbardziej brakuje mi do szczia codziennych porannych wiadomoci o tym, co wydarzyo si oprzedniego dnia gdzie indziej ni tutaj. Nab wybuchn takim miechem, ze nie mm. Wreszcie wykrztusi: Na Boga, mnie znajbardziej interesuje moja praca codzienna! Trzeba przyznaze zar w domu, jak i poza domem nie mo na byo narzeka a brak zaj a.

Kolonia na Wyspie Lincolna po trzech latach nieprzerwanej pracy znajdowaa si najwiym rozkwicie. Zniszczony bryg sta si owym erm bogactwa. Nie mc ju o kompletnym osprzwaniu, kt miao si rzydao budujcego si atku,, magazyny Granitowego Paacu byy po brzegi wype nione wszelkiego rodzaju narziami i sprzm, broni i amunicy, odzie oraz instrumentami. Nie trzeba byo ju wasnoronie produkowarubej tkaniny filcowej. Jeeli kolonici w pierwszym roku swojego pobytu na wyspie cierpieli wskutek zimna, to obecnie nie obawiali si u wcale surowoci sotej pory. Bielizny mieli take pod dostatkiem, zreszt dbali o ni z niesychan pieczowito. Z chlorku sodu, kt jest nie czym innym jak sol morska, Cyrus Smith z atwooci wyodr i s chlor. Zar s kt bez trudu przemieniono w wan sodu, jak i chlor, z kt o wyprodukowano chlorek wapnia i inne pochodne, zosta y uyte do rch czynnoci domowych, a przede wszystkim do prania bielizny. Urzdzano jednak nie wi j ni cztery prania do roku, tak jak to niegdy byo w zwyczaju w staromodnych domach. Trzeba stwierdzi ze Pencroff, a take wci czekajcy na listonosza i gazet Gedeon Spilett wykazali niezwykde zdolnoci do prania. Tak upyn zimowe miesiace czerwiec, lipiec i sierpieanoway ostre mrozy i rednia temperatura wynosi a oko czternastu stopni Celsjusza poni ej zera. Mrozy byy zatem znacznie silniejsze ni poprzedniej zimy. Tote na kominkach Granitowego Paacu stale pon weso y ogie dym wi si zarnym zygzakiem wzdu granitowych cian. Opa u nie a owano, gdy ro kilka krok d domu. Ponadto nadmiar drzewa przeznaczonego na budowkr pozwoli za-



oszczędnego, do opotliwego do transportowania. Zaraz ludzie, jak i zwierzęta czuli się doskonale. Trzeba przyznać, że najwęższym zmarzluchem okazał się mój pies, ale chyba to chyba jedyna jego wada. Należało więc uszyć ciepły, watowany szlafrok. Poza tym można go być stawiać w różnych miejscach. Był zręczny, pilny, niezmordowany, bez cienia niedyskrecji, niegadatliwy. Pencroff mawiał nawet, że gdy ktoś ma cztery ręce do dyspozycji, to chyba można od niego wymagać, żeby przyzwoicie pracował. Rzeczywiście mój pies bardzo dobrze. W ciągu ostatnich miesięcy, kiedy upłynęło od czasu poszukiwań w okolicy góry nie było mowy o dobrym duchu wyspy. Jego działalność nie przejawiała się w żadnej okoliczności. Co prawda, nie było też potrzeby, gdyż nie zaszła wypadek wystawiający kolonistów, jak ci przed nim. Cyrus Smith stwierdził nawet, że jeżeli komunikowanie się z mieszkańcami Granitowego Państwa odbywało się w jakikolwiek sposób przez masyw granitowy, instynkt za Topa, jeżeli tak można powiedzieć, wyczuwał coś, co w tym wspaniałym okresie nie dało się zaobserwować. Głuche warczenie psa ustało całkowicie, tak samo zresztą jak i niepokój rangutana. Para przyjaciół, jakimi rzeczywiście byli Top i Jup, nie kręciła się przy wylocie studni, pies nie szczekał, matka nie wydawała dziwnych pomruków, które kiedyś zwracały na siebie uwagę inżyniera. Cyrus Smith nie mógł jednak z pewnością twierdzić, że ostatnie słowo na temat zagadki zostało powiedziane i że nie uda się jej rozwikłać. Nie można być pewnym, że jakiś wypadek nie spowoduje ponownego wyjścia na arenę tajemniczej osobistości. Ktoś bowiem może przewidzieć, co się stanie w przyszłości? Wreszcie zima dobiegła końca. Ale wspaniale w pierwszych dniach wiosny wydarzył się fakt, który mógł okazać się rzemienny w skutku. 7 września Cyrus Smith, obserwując szczyt Góry Franklina, zobaczył dym wijący się nad kraterem; ręcznie unosiła się powietrze para. ROZDZIAŁ PIĄTY. Przebudzenie się wulkanu. Lato. Powrót do przerwanych prac. Wieczorem 15 października. Telegram. Wezwanie. Odpowiedź. W drodze do zagrody. Notatka. Nowy drut. Bazaltowe wybrzeże. Podczas przypływu. Po odpływie. Pieczara. Oleniewające zwierzę. Inżynier podzielił się swoim spostrzeżeniem z kolonistami, którzy natychmiast przerwali pracę i w milczeniu patrzyli na szczyt Góry Franklina: A wulkan się budzi i gazy przedarły się przez warstwy ruszczone i nagromadzone w głąb krateru. Ale czy podobny dzień spowoduje gwałtowny wybuch? Tej ewentualności nie można było zapobiec. Jednakże nawet w wypadku gdyby wybuch nastąpił, niecała wyspa musiałaby ucierpieć. Przecież wylew law wulkanicznych nie zawsze bywa zgubny w skutkach. Wyspa przeszła już kiedyś przez to, jak o tym świadczyły potoki zastygłej lawy przecinające płaskie zbocza góry. Poza tym ze względu na kształt krateru i gardzieli wyłożonej w szczycie wyrzucona z krateru lawa powinna być popłynąć w przeciwną stronę, a nie na południe wyspy. Jednak to, co się stało kiedyś, nie jest miarodajne na przyszłość. Zdarza się często, że na szczycie wulkanu dawne kratery zamykają się i otwierają się nowe. Takie wydarzenia miały kiedyś miejsce na obu płaskach, na Etnie, Popocatepetlu, na Orizabie \*, toteż w przededniu wybuchu wulkanu można obawiać się wszystkiego. Wystarczy zresztą trzęsienie ziemi, a przecież zjawisko to niekiedy towarzyszy wybuchom wulkanów, a żeby wewnętrzny układ góry uległ zmianie i by rozparzona lawa utworzyła sobie nowe koryta. Cyrus Smith wytłumaczył to wszystko swoim towarzyszom, nie wyolbrzymiając powagi sytuacji. Zresztą, co można było na to poradzić? W razie trzęsienia ziemi, powodującego wiązanie obsunięcia, Granitowy Pałac nie byłby zagrożony. Corral natomiast znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie, gdyby jakiś nowy krater utworzył się na wschodnich zboczach góry. Od tego dnia na szczycie góry bez przerwy kręcił się dym. Stawał się coraz ciemniejszy i strzelał coraz wyżej, jednak dotychczas wkręcających się w niego nie

widawo pomieni. Wrzenie wulkaniczne koncentrowało się w dolnych częściach górnego przewodu. Z nastaniem ciepła na nowo podjęto przerwane prace. Kolonista spieszyli się oraz bardziej z budową statku. Aby uruchomić tartak wodny, przecierający szybko pnie drzew na deski i belki, Cyrus Smith wykorzystał nadbrzoźny wodospad. Mechanizm tartaku był prosty jak urządzenie wiejskich tartaków Norwegii. Najważniejsze było wprowadzenie drewna w ruch poziomy i pionowy w ruch pionowy. Inżynier osiagnął to za pomocą koła, dwóch cylindrów odpowiednio rozmieszczonych. Pod koniec września kadłub statku, który miał być wumasztowym szkunerem, wznosił się w stoczni. Wręby były prawie całkowicie gotowe i prowizorycznie przymocowane, dzięki czemu można było się zorientować kształtach statku. Smukły z przodu i dołżeroki z tyłu, zapowiadał możliwość odbycia dłuższych rejsów jednak aby uzyskać lepszy poszycia, trzeba było najpierw wykonać dylowanie oraz pokład, a to wymagało jeszcze długiego czasu. Na szczęście z katastrofy brygu, spowodowanej wybuchem podwodnym, udało się uratować kucia. Z uszkodzonych desek pokładowych i wrębów Pencroff i Ayrton zdobili wyrwać wrznię oraz mnóstwo mosiężnych śrub. Zaoszczędziło to wiele czasu kowalowi, ale ciełom nie udało się roboty. Prace przy budowie statku trzeba było przerwać na tydzień. Wzięto sianokosy i zbiorę. Pasko-wzgrę Rozległego Widoku. Po uporaniu się tym każdę chwilę nadal poświęcano na wykończenie szkunera. Aby nie tracić czasu, kolonista zmienili godziny posiłków. Jedli obiad w południe, kolację dopiero gdy się ściemniało. Wtedy wracali do Granitowego Pałacu i zupełnie wyczerpani pracą, szybko kładli się spać. Niekiedy jednak, gdy zawiązywała się rozmowa na jakieś ciekawe tematy, godzina spoczynku opadała się. Kolonista dawali się ponieść fantazji, snuli plany na przyszłość. Chętnie rozprawiali o zmianach, jakie wniosie w ich życie podróż szkunerem do najbliższego lądu. Ale snując te projekty, zawsze powracali myślą na Wyspę Lincoln. Postanowili nigdy nie opuszczać kolonii, za pomocą której z trudem, uwieńnym ostatecznym powodzeniem kolonii, którą przez ustalenie komunikacji z Ameryką mogłaby osiągnąć jeszcze więcej rozkwit. Zwłaszcza Pencroff i Nab mieli nadzieję okonać utajony żywota. Harbercie mówił marynarz: Prawda, czy nigdy nie opuścisz Wyspy Lincoln? Nigdy, Pencroff, zwłaszcza jeżeli ty postanowisz tu pozostać. Już postanowięm, mój chłopczy, i bę tu na ciebie czekać. Przywieziesz mi swoich dzieci, ja zaś wychowam je na nie lada zuch. Zgoda, mówia się Herbert rumieni się czerwienie. A pan, panie Cyrusie? podejmowa rozentuzjasmowany Pencroff. Pan będzie gubernatorem wyspy! Ilu to ona będzie mogła wyżywić? Co najmniej dziesięć tysięcy. Tak sobie gwarzono pozwalając Pencroffowi puszczać odziew fantazji i od słowa do słowa kołowało się zawsze tym, że reporter zakładał gazetę New Lincoln Herald. Tak to już jest z człowiekiem. Potrzeba stworzenia czegoś trwałego, co go przeżyje, jest dowodem jego wyższości nad pozostałym światem żyjącym. Ta właśnie cecha ugruntowała i usprawiedliwiała jego panowanie nad całym światem. A zresztą kto wie, czy Tup i Top nie miały tak swojego własnego, niewielkiego marzenia o przyszłości? Milczący Ayrton myślał o tym, że chciałby ponownie zobaczyć orda Glenarvana i stanąć obok ludzi jako człowiek zrehabilitowany. Było to 15 października wieczorem; rozmowa na tych przewidywanych zacięgała się dłużej niż zwykle. Dochodziła dziewiąta. Ten i dziewiąta już przecięgle, a Pencroff zamierzał udać się, gdy nagle rozległ się dźwięk elektrycznego dzwonka umieszczonego w sali. Wszyscy byli w Granitowym Pałacu. Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Ayrton, Pencroff i Nab. Nikt z kolonistów nie nocował w zagrodzie. Cyrus Smith wstał z krzesła, wszyscy spojrzeli po sobie, sędząc, że się przesydzeli. Co to ma znaczyć? zawołał Nab. Czy by to diabeł

dzwoni? Nikt mu nie odpowiedział. Zanosił a burzę zauważył Harbert. \*Czy pod wpływem elektryczności... Harbert nie dokończył zdania. Inżynier, na którego zwrócić były oczy wszystkich, przeczołkował głowę. Zaczekajmy odezwą się pas Gedeon Spilett. Jeżeli to jest sygnał, to ktokolwiek go nadaje, na pewno powtórzy go jeszcze raz. Ale który to może być dziwił się. No ten, który. Słowa marynarza przerwały ponowne uderzenie młoteczką o dzwonek. Cyrus Smith podszedł do aparatu i wyczywszy przed, poszedł do zagrody zapytanie: "Czego chcesz?" W kilka chwil później igła poruszająca się o tarczy z alfabetem podała odpowiedź mieszkańca Granitowego Pałacu: "Przyjdźcie jak najprędzej do zagrody". Nareszcie! wykrzyknął Cyrus Smith. Tak! Nareszcie! Tajemnica miała się wyjaśnić. Wobec nieprzepartej ciekawości, która pchała ich do zagrody, zniknęła jak rękodzieła całe zmęczenie i ustąpiło pragnienie wypoczynku. Nie mógł ani słowa, w ciągu paru chwil opuścili Granitowy Pałac i znaleźli się na wybrzeżu. Psa i mapę pozostawiono w domu, gdy można się było obejść. Noc była ciemna. Księżyc zaszedł rękoczynem ze sobą. Jak już zauważył Harbert, czarne chmury burzowe tworzyły niskie i cięgie sklepienie, zupełnie zakrywające gwiazdy. Błyskawice jak na upadku i odbłaski dalekiej burzy oświetlały horyzont. Można było za kilka godzin nad samą wyspę zacząć walić pioruny. Noc była pełna grozy... Ale najgorsze ciemności nie mogły powstrzymać ludzi znających na pamięć drogę do zagrody. Poszli lewym brzegiem Rzeki Dzielnienia, doszli do pasko-wzrostu, przeprawili się drugą stroną licerynowego Potoku i zagłębili w las. Szli szybkim krokiem, ogarnięci wielkim wzruszeniem. Nie mieli wątpliwości co do tego, że wreszcie zdobędą tak długo poszukiwane rozwiązanie zagadki, że poznają tajemniczą istotę, jak głęboko związane z ich życiem, tak wspaniałomyślni i potężni w czynach. Przecież aby zawsze działać w właściwym czasie, nieznajomy musiał tkwić ich życiu, znać jego najdrobniejsze szczegóły i wszystko, o czym się mówiło w Granitowym Pałacu. Kolonicy, pogrążeni w rozmyślaniach, mimo woli przyśpieszali kroku. Pod kopu drzew panowały takie ciemności, że nie można było nawet dostrzec drogi. Cisza w lesie była zupełna. Czworonożne zwierzęta i ptaki, przytłoczone ciemną atmosferą, nie ruszały się nie wydawały żadnego odgłosu. Najłżejszy powiew nie targał liści. W ciemnościach syczały tylko kroki kolonistów o udeptanym gruncie.

Przez ostatni kwadrans cisza przerwała a raz jeden uwaga Pencroffa: Trzeba było zabrać atarni i odpowiedź inżyniera: Znajdziemy ją na pewno w zagrodzie. Cyrus Smith wyszedł z towarzyszami z Granitowego Pałacu o dziewiętej dwunastce. O dziewiętej czterdzięci siedem przebyli oni już trzy mile z piątej części ujęcia Rzeki Dzielnienia od zagrody. W tym momencie nad wyspę wykwitły wielkie, białe błyskawice, na których tle czarno się odznaczało listowie drzew. Potężne błyski olśniewały i oślepiały. Burza miała za chwilę rozpętać dobre. Błyskawice stawały się coraz częściej i bardziej oślepiające. W głąb nieba przetaczały się potężne, dalekie grzmoty. Robiło się coraz duszniej. Kolonicy szli naprzód jakby pchani jakimiś nieprzepartymi siłami. O dziesiątej piętnastce, w świetle nowej błyskawicy, zobaczyli ogrodzenie corralu i ledwie weszli za wrota, gdy rozległ się niezwykły potężny grzmot. Przebiegłszy w jednej chwili obejście, Cyrus Smith znalazł się przed domkiem. Można było tu znajdować się nieznanymi, gdy w czasie nie stąd nadano telegram. Jednakże w oknie nie widać było najmniejszego światła. Inżynier zapukał do drzwi. Milczenie. Wąsas otworzył drzwi i kolonicy weszli do pokoju pogrążonego w ciemnościach. Nab skrzesał ognia. Po chwili zapalono latarnię w jej świetle obejrzano wszystkie zakamarki pokoju...

Czy by my ulegli zudzeniu? mrukn Cyrus Smith. Nie! To by niemożliwe! Przecie telegram wyraźnie nakazywał: „Przyjdziecie jak najprędzej do zagrody” - Zbliło ono się sto, gdzie stał telegraf. Wszystko było na swoim miejscu, zarówno pudełko z baterią, jak i aparat odbiorczy i nadawczy. Kto tu był ostatni? zapytał inżynier. Ja, proszona odpowiedział Ayrton. A kiedy? Przed czterema dniami. Ach! Notatka! zawołał Harbert pokazując kartkę na stole. Napisane było na niej po angielsku słowa: Idźcie wzdłuż nowego drutu. W drogę zawołał Cyrus Smith. Zrozumiał, że depecha nie wyszła z zagrody, lecz z tajemniczej kryjki, którego nowy drut, przytwierdzony do starego, bezpośrednio z Granitowym Pałacem. Nabrał więc do ręki zapaloną latarnię wszyscy wyszli z zagrody. Burza rozszalała się niesłychanie gwałtownie. Czas, dzielący każdą nową burzę od grzmotu, skracał się stopniowo. Niebawem wyładowania atmosferyczne ogarnęły Górkę Franklina i całe wyspy. W świetle przerywanych błyskawic widać było szczyt wulkanu uwięziony piąszem dymu. Pomiędzy domkiem a ogrodzeniem nie było nowego drutu, ale po wyjściu za wrota inżynier podbiegłszy do pierwszego słupa zobaczył w świetle błyskawicy drut opadający z izolatora a na ziemi. Oto on powiedział. Drut leżał na ziemi; na całej swojej długości pokryty był substancją izolującą, jak kabel podwodny, co umożliwiałoby swobodne przepływanie prądu. Kierunek drutu wskazywał na lasy i południowe zbocza góry a zatem biegł na zachód. Chodźmy za nim powiedział Cyrus Smith. Kolonicy oświetlając sobie drogę latarniami, a częściowo korzystając z błyskawic, poszli w kierunku wskazanym przez drut. Grzmiało bez przerwy, i to z taką gwałtownieścią, że nie można było usłyszeć niczego. Zresztą nie chodziło o to, by marzyć, lecz by posuwać się przodem Cyrus Smith i jego towarzysze wspierali się boczem wznoszącym się pomiędzy doliną a Rzeką Wodospadu i przeciwnie w najwyższym miejscu. Prowadził ich niezawodnie drut spoczywający bądź na dolnych gałęziach drzew, bądź też wprost na ziemi. Inżynier przypuszczał, że drut urwie się gdzieś w górę doliny i że tutaj będzie schronienie nieznanego. Mylił się jednak. Musieli wspierali się po południowo--zachodnie zbocze i ponownie zejść z nim jałowe pasko-wzgórze, zakończone ścianą gromnie spięzonych bazaltów. Od czasu do czasu jeden z kolonistów achylał się dotykając ręką drutu i w miarę potrzeby korygował kierunek marszu. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że drut prowadzi prosto do morza. Prawdopodobnie tutaj, w jakimś zagłębieniu skały wulkanicznej, mieściło się skutecznie dotychczas poszukiwane schronienie. Niebo było całe w płomieniach. Błyskawice zapalały się jedna po drugiej z niesłychanie szybkością. Pioruny biły w szczyt wulkanu i wpadały w głęboki krater wprost w gęsty dym. Chwilami zdawało się że góry wyrzuca z siebie ogień a w minut przed jedenastą kolonicy dobrnęli do wysokiej skarpy na zachodnim brzegu oceanu. Zerwał się iatr. O pięć stóp od nimi huczało morze. Cyrus Smith obliczył, że musieli przebyć od zagrody pięć mil. W tym miejscu drut zapuszczał się skały, prowadząc do krwistym zboczem w kierunku i fantazyjnie wybudowanego wozu. Kolonicy poszli tą drogą, narażając się na stracenie wiele zrzuconych gałęzi i pociągłoby ich do morza. Schodzenie było bardzo niebezpieczne, ale nikt nie liczył się z niebezpieczeństwem. Kolonicy już nie byli panami swojej woli, gdy nieprzeparta się do nich do tajemniczego punktu, jak magnes przyciąga żelazo. Nie zdając sobie prawie z tego sprawy, zbiegli w wozem, który nawet w świetle dziennym wydawałoby się zapewne nie do przebycia. Gdy staczające się wozu wpadały w obrębie wiatła, łamiły się jak rozparzone pociski. Cyrus Smith otwierał pochopnie Ayrton go zamykał. Czasem trzeba było iść krok za krokiem, w innym miejscu z czegoś i w wypolerowanych gałęziach, potem znosił się brzołaj. Wreszcie drut skręcił pod ostrym

ktym, prowadząc do skał podwodnych, rozsianych tu w niewielkich ilościach; rozbijało się nie morze w czasie przypływu. W ten sposób kolonicy doszli do podnóża bazaltowej skały. Od tego miejsca odchodzi skalny gzyms, biegnący poziomo, równoległy do brzegu. Idąc wzdłuż drutu nie uszli nawet stu kroków, gdy zauważyli, że gzyms podługim spadkiem dochodzi do poziomu fal. Inżynier chwycił za drut i stwierdził, że zanurza się morzu. Towarzysze jego stanęli przy nim jak wryci. Z piersi ich wydarł się krzyk rozczarowania, ba nawet rozpacz! Czyż trzeba rzucić fale, by tam szukać jakiejś podwodnej pieczary? W tym stanie niezwykłego podniecenia psychicznego i fizycznego nie zawahaliby się tego uczynić. Powstrzymała ich jedynie uwaga inżyniera, który zaprowadził towarzyszy do zagłębienia skalnego i powiedział: "Zaczekajmy, teraz jest przypływ. W czasie odpływu droga się odsłoni. Ale dlaczego pan tak przypuszcza?" zapytał Pencroff. "Nie wezwabymy nas, gdyby nie było sposobu dotarcia do niego. Cyrus Smith powiedział to z takim przekonaniem, że nikt nie zaproponował. Zresztą jego uwaga była zupełnie logiczna. Należałoby przypuszczać, że u podnóża ciany skalnej istniałby jakiś otwór odkryty obecnie wodą, lecz dostępny w czasie odpływu. Trzeba było czekać na odpływ. Kolonicy milcząc skulili się w zagłębieniu o kształcie portyku \* głęboko wykopionego w skale. Zaczęła padać deszcz, a niebawem chmury rozdarte przez piorun spadły na ziemię istnych potokach wody. Echo powtarzało grzmoty i potęwało imponującą ich siłę. Kolonicy byli bardzo wzruszeni. W głowach tłoczyły się tysiące dziwnych myśli, przed oczami stawała jakaś potęga, nadludzka zjawka, odpowiadająca wyobrażeniu, jakie mieli o tajemniczym duchu wyspy. O północy Cyrus Smith, wzięwszy do ręki latarnię, szedł na sam brzeg wody, aby zorientować się o konfiguracji skał. Odpływ już się zaczął. Inżynier się omylił. Na powierzchni wody zarysowała się sylwetka obszernego zagłębienia. Drut skręcił na prawo i tonął w tej zięcej czeluści. Cyrus Smith wrócił do towarzyszy i powiedział po prostu: "Za godzinę wrota będą dostępne. A więc jest grota!" zawołał Pencroff. "Czyby pan w to wątpił?" odrzekł Cyrus Smith. "Ale przecież będzie ona wypełniona wodą do pewnej wysokości" zaważył Harbert. "Albo pieczara wysycha całkowicie" odparł Cyrus Smith "i w tym wypadku przejdziemy suchymi nogami, albo też nie wysycha, a wtedy znajdziemy do swojej dyspozycji jakiś środek komunikacji. Minie jeszcze godzina. W potokach ulewnej deszczu wszyscy zeszli na brzeg. W ciągu trzech godzin poziom wody obniżył się pięć stóp. Sklepienie pieczary, mające kształt łuku, wznosiło się ponad powierzchnią wody, co najmniej na osiem stóp. Wyglądało jak przód mostu, pod którym spieniona woda. Pochyliwszy się, inżynier spostrzegł jakiś czarny przedmiot przywajający na powierzchni morza. Przyciągnął go do siebie. Była to przywieszona liną do jakiegoś wewnętrznego występciany skalnej. Zrobiona była z blachy zbitej nitami. Na dnie, pod ławkami, leżały dwa wiosła. "Wchodźmy" powiedział Cyrus Smith. Po chwili wszyscy byli już w środku. Nab i Ayrton chwycili za wiosła, Pencroff usiadł przy sterze. Cyrus Smith, stojąc na dziobie, oświetlał latarnią drogę. Bardzo niskie sklepienie, pod którym płynęła początkowo, podwyższyło się nagle. Jednakże ciemności były tak wielkie, a światło latarni tak słabe, że nie można było zorientować się o rozmiarach pieczary w jej szerokości, wysokości i głębokości. W bazaltowej grocie panowała przejmująca cisza. Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, gdy nawet huk piorunów docierał tu przez grube ciany. Gdzieś na kuli ziemskiej istnieją takie olbrzymie pieczary w rodzaju naturalnych krypt, pochodzące z odległych epok geologicznych. Do niektórych wtargnęło morze, inne zostały wypełnione jeziora. Do takich należą na przykład grota Fingala na Wyspie Staffa z grupy Hebryd, groty Morgata w zatoce Douar-nenez w Bretanii, groty Bonifacego na Korsyce, Lyse-Fiordu w Norwegii, olbrzymia

pieczara Mammuth w Kentucky wysoko❖ci pi❖uset st❖ d❖ugo❖ci licz❖cej" ponad dwadzie❖cia mil. W wielu punktach naszego globu przyroda wy❖obi❖a takie krypty i zachowa❖a je na podziw ludziom. Czy ta pieczara, kt❖ koloni❖ci w❖a❖nie ogl❖dali, ci❖gn❖ si❖o ❖rodka wyspy? Ju❖ od kwadransa ❖❖ kluczy❖a wed❖ug wskaz❖, kt❖in❖ynier kr❖ rzuca❖ Pencroffowi, gdy nagle rozleg❖a si❖omenda: ❖ Bardziej na prawo! Zmieniaj❖c kierunek ❖❖ pop❖yn❖ pod praw❖ ❖cian❖In❖ynier s❖uszenie chcia❖ sprawdzi❖czy drut w .-dalszym ci❖gu t❖ biegnie. Przekonawszy si❖❖e jest przyczepiony do wyst❖w skalnych, rzuci❖ rozkaz: ❖ Naprz❖ Obydwa wios❖a, zanurzaj❖c si❖w czarnej wodzie, pchn❖ ❖❖ do przodu. P❖yn❖ jeszcze z kwadrans, przebywaj❖c od chwili wej❖cia do pieczary co najmniej p❖ili, gdy nagle rozleg❖ si❖❖os Cyrusa Smitha: ❖ Sta❖ ❖❖ zatrzyma❖a si❖i koloni❖ci ujrzeli jaskrawy snop ❖wiat❖a, zalewaj❖cy olbrzymi❖ krypt❖wy❖obion❖ g❖❖ko we wn❖zu wyspy. Teraz dopiero mogli obejrze❖ieczar❖kt❖ istnienia dotychczas w og❖nie podejrzewali. Na wysoko❖ci pi❖uset st❖znosi❖o si❖❖r❖g❖e sklepienie podtrzymywane bazaltowymi filarami tak podobnymi do siebie, jak gdyby by❖y odlane w tej samej formie. Na kolumnach, kt❖h przyroda wytworzy❖a tu tysi❖ce w pierwszych epokach formowania si❖uli ziemskiej, wspiera❖y si❖ieregularne ❖uki i fantazyjne gzymsy. Od❖amki bazaltu, spi❖zone jedne na drugich, wznosi❖y si❖a wysoko❖❖zterdziestu do czterdziestu pi❖u st❖a woda, spokojna tutaj pomimo du❖ej fali na zewn❖trz, obmywa❖a ich podstawy. B❖yski ❖wiat❖a, na kt❖in❖ynier zwr❖ uwag❖l❖ni❖y iskrz❖cymi si❖romieniami w od❖amkach ska❖ i przenika❖y, je❖li tak mo❖na powiedzie❖w g❖❖b ❖cian, jak gdyby by❖y one przezroczyste, zamieniaj❖c najmniejsze wyst❖ skalne w migocz❖ce drogie kamienie. Tysi❖ce blask❖dbija❖o si❖a powierzchni wody i ❖❖ p❖yn❖ przecinaj❖c skrz❖c❖ si❖lustrzan❖ tafl❖ Nie mo❖na si❖y❖o pomyli❖o do ❖r❖ ❖wiat❖a, kt❖o promienie ostre i proste za❖amywa❖y si❖e wszystkich wg❖❖eniach i gzymsach krypty. By❖o to ❖wiat❖o elektryczne, bia❖y kolor zdradza❖ jego pochodzenie. Jak s❖o❖o❖wietla❖o ono ca❖❖ pieczar❖ Na znak dany przez Cyrusa Smitha wios❖a zanurzy❖y si❖ w wodzie, rozsiewaj❖c wok❖stny deszcz karbunku-❖❖, i ❖❖ skierowa❖a si❖ stron❖r❖ ❖wiat❖a, a niebawem zbli❖y❖a si❖o niego na p❖abla. W tym miejscu szeroko❖❖afli wodnej wynosi❖a oko❖o trzystu pi❖ziesi❖u st❖z ty❖u za❖, za ol❖niewa- K.arbunku❖y ❖ dawna nazwa drogich kamieni o barwie czerwonej (rubin❖granat❖ j❖c❖ jasno❖ci❖, ogromny mur z bazaltu zamyka❖ pieczar❖Rozszerza❖a si❖na w tym miejscu znacznie i morze utworzy❖o tu niewielkie jezioro. Sklepienie, ❖ciany boczne i ❖ciana zamykaj❖ca pieczar❖owe kamienne graniastos❖upy, walce i sto❖ki sk❖pane by❖y w ❖wietle elektrycznym tak, ❖e si❖ydawa❖o, jakby si❖arzy❖y w❖asnym blaskiem, i mo❖na by❖o niemal powiedzie❖❖e wszystkie te g❖azy, oszlifowane niby drogocenne diamenty, zamiast kropel wilgoci wydziela❖y elektryczne promienie. Po❖rodku jeziora na powierzchni wody wida❖y❖o jaki❖ nieruchomy, wrzecionowaty przedmiot. Z obu bok❖i❖ blask jak z gardzieli roz❖arzonych do bia❖o❖ci wielkich piec❖Przedmiot ten, podobny do olbrzymiego wieloryba, mia❖ oko❖o dwustu pi❖ziesi❖u st❖❖ugo❖ci i wynurza❖ si❖a dziesi❖czy dwana❖cie st❖onad powierzchni❖ody. ❖❖ zbli❖a❖a si❖o niego powoli. Cyrus Smith uni❖si❖a dziobie i patrzy❖ w nies❖ychanym podnieceniu. Nagle chwyci❖ reportera za rami❖ ❖ Ale❖ to on! To mo❖e by❖y tylko on! Po czym opad❖ na ❖awk❖szepcz❖c po cichu imi❖kt❖us❖ysza❖ tylko Gedeon Spilett. Reporter prawdopodobnie zna❖ to imi❖gdy❖ wywar❖o ono na nim wielkie wra❖enie. Wreszcie odezwa❖ si❖❖uchym g❖osem: ❖ To on! Cz❖owiek wyj❖ spod prawa! ❖ On! ❖ powiedzia❖ Cyrus Smith. Na rozkaz in❖yniera ❖❖ zbli❖y❖a si❖o tego dziwnego, p❖ywaj❖cego aparatu. Potem przybi❖a do jego lewego boku, sk❖d przez grub❖ szyb❖ryska❖ snop ❖wiat❖a. Cyrus Smith wszed❖ z towarzyszami na

platformy. Zobaczył otwarty luk. Wszyscy rzucili się o niego. Na dole trapezu widać było wewnątrz korytarz, oświetlony światłem elektrycznym; na końcu korytarza drzwi. Cyrus Smith je otworzył. Bogato ozdobiony salon, przez który szybko przeszli, przylegał do biblioteki, gdzie z sufitu padały potoki światła. W głębi biblioteki widać było szerokie, zamknięte drzwi. Inżynier rozwarł je. Oczom kolonistów ukazała się czarna sala, podobna do muzeum; zgromadzone tu były zarówno bezcenne okazy światła mineralnego, jak i dzieła sztuki, wspaniałe wytwory przemysłu. Kolonistom wydało się, że dotknięciem ręki czarodziejskiej zostali przeniesieni do świata snu. Na wytwornej otomanie leżała męczyzna; zdawało się, że ich nie spostrzegają. Wtedy Cyrus Smith, ku niezmiernemu zdziwieniu swoich towarzyszy, wyprzedził ich donośnym głosem następująco mówiąc: "Kapitanie Nemo, pan nas wzywa? Oto jesteśmy!"

## ROZDZIAŁ SZESNASTY. Kapitan Nemo. Jego pierwsze słowa. Historia bohatera niepodległości. Nienawiść do najeźdźców. Towarzysze. Życie pod wodą. Samotny. Ostatnie schronienie "Nautilusa". Na Wyspie Lincoln. Tajemniczy duch wyspy. Słyszeliśmy te słowa leżący na otomanie człowiek uniósł twarz jego ukazała się pełnym światłem. Pięta głowa, wysokie czoło, dumne wejrzenie, biała broda, głowa czupryna odrzucona do tyłu. Oparł się o wezgłowie otomany, z którego wstał. Wzrok jego był spokojny. Widać było, że nieubłagana choroba podkopywa jego zdrowie, lecz głos jego wydawał się jeszcze silny, gdy wymówił w języku angielskim, tonem zdradzającym wielkie zaskoczenie, następująco mówiąc: "Nie mam nazwiska, proszę pana. Ale ja pana znam" odparł Cyrus Smith. Kapitan Nemo wbił w inżyniera pełną spojrzenie, jak gdyby chciał go zetrzeć proch. Potem, opadając znów na posadzenie, mruknął: "Zresztą mniejsza o to. I tak umieram! Cyrus Smith zbliżył się do kapitana Nemo, Gedeon Spilett zaś ujął go za rękę i stwierdził, że jest rozpalona jak ogień. Yrton, Pencroff, Harbert i Nab stali w pełnym uszanowania oddaleniu w jednym z kątek wspaniałej sali, gdzie powietrze było przepełnione zapachem baterii elektrycznych. Kapitan Nemo cofnął się, po czym gestem zaprosił inżyniera i reportera, aby usiedli. Wszyscy patrzyli na niego z niekłamym wzruszeniem. A w tym oto był człowiek zwany przez nich "dobrym duchem wyspy", potężna istota, która w wypadkach okazała się bawimienny, dobroczytny, którego winni byli tak wiele wdzięczności! Przed oczami mieli człowieka, chociaż Pencroff i Nab spodziewali się zastać takiego boga niemal a ponadto ten człowiek był umierający. Ale jak to się stało, że Cyrus Smith zna kapitana Nemo? Dlaczego tak bardzo obruszył się kapitan, gdy usłyszał swoje nazwisko, które jak się zdzieli, nikomu nie było znane? Kapitan położył się na otomanie i podparłszy głowę, patrzył na siedzącego w pobliżu inżyniera. "A wie pan moje nazwisko?" zapytał. "Znam" odparł Cyrus Smith "tak samo zresztą jak nazwiska wspaniałego statku podwodnego. "Nautilus"? "lekko uśmiechnął się kapitan. "Nautilus". "Ale czy pan wie... Czy pan wie, kim jestem?" "Wiem." "A przecież już od tylu lat żyję daleko od świata w głębinach morza - jedynym miejscem, gdzie znalazłem wolność. Kto zdradził tajemnicę? Człowiek, nie mający w stosunku do pana żadnych zobowiązań? Kapitanie Nemo; nie można go wię posądzać zdradcy. Ten Francuz, którego los zesłał przed laty na mrokad? "Tak, on." "A więc ten człowiek wraz ze swoimi dwoma towarzyszami nie zginął w malstrach, które porwał "Nautilus"? "Nie, nie zginął i w księżce pod tytułem "Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi" opisane są pana dzieje". "Moje dzieje w ciągu kilku miesięcy tylko, proszę pana żywo odparł kapitan Nemo. "To prawda zgodził się Cyrus Smith ale kilka miesięcy tego niezwykłego życia wystarczyło, a żeby dać się pan poznać. "Jako wielki przestępca prawdopodobnie przerwał kapitan Nemo, a na jego wargach pojawił się uśmiech. "Tak, jako buntownik wyrzucony, było to,

poza nawias ludzkości. Inżynier nie odpowiedział. Więc proszona? Nie czuj się w prawie do wydawania sądów kapitanie Nemo odparł Cyrus Smith przynajmniej jeżeli chodzi o jego minione dzieje. Tak jak wszyscy, nie znam powodów tej dziwnej egzystencji i nie mogę się dzielić i nie znajduję przyczyn; jedno wiem na pewno, jaka dobroczynna działalność rozpoczęła opiekę nad nami od chwili przybycia na Wyspę Incolna i że wszyscy zawdzięczamy życie dobrej, wspaniałomyślniej i potężnej istocie, tą za wspaniałomyślną, potężną i dobrą istotą jest pan, kapitanie Nemo. Tak, to ja z prostotą stwierdził kapitan. Należy tu podkreślić tak samo jak w historii Ayrtona, niezgodność (przyp. wyd. franc.). Inżynier i reporter wstali. Towarzysze ich przybliżyli się wzdłużno przepięknie ca ich serca, już miała znaleźć gestach, w słowach... Kapitan Nemo powstrzymał ich ruchem ręki i głosem bardziej wzruszonym, niżby to chciał okazać powiedział: Najpierw wysłuchajcie mnie. W kilku zwięzłych, szybko wypowiedzianych zdaniach opowiedział historię swojego życia. Spowiedź jego trwała krótko. A jednak żeby opowiedzieć do końca musiał skupić się. Widać było, że walczy z ciemną niemocą. Kilkrotnie Cyrus Smith prosił go, a żeby odpocząć chwilę ale kapitan potrzebował go jak człowiek, do którego jutro już nie należy, a gdy reporter zaofiarował mu swoją opiekę powiedział: To zbędne. Moje godziny są policzone. Kapitan Nemo był Hindusem: nazywał się Dakkar, był synem radcy niepodległego w państwie Bundelkundu i bratankiem narodowego bohatera Indii Tip-po-Sahiba. Gdy miał dziesięć lat, ojciec wysłał go do Europy, a żeby choć trochę otrzymać tam gruntowne wykształcenie, z ukrytą intencją, że pewnego dnia będzie walczył jak rycerz z tymi, których uważał za ciemniaków swojego kraju. Od dziesiętego do trzydziestego roku życia księstwo Dakkar, niezwykle uzdolniony, człowiek wielkiego serca i światłego umysłu, kształcił się wszechstronnie zarówno w naukach ścisłych, jak w literaturze i sztuce i osiągnął wspaniałe wyniki. Księstwo Dakkar podróżował po całej Europie. Był rozrywany w towarzystwie z racji swojego urodzenia i fortuny, jednak pokusy świata nie pociągały go nigdy. Choćby mędy i piły, pozostawał zawsze poważny-

ny i chmurny, porwany pragnieniem wiedzy, serce za miało przepięknie nieubłaganie urażone. Księstwo Dakkar bowiem nienawidził. Żywił nienawiść do jednego kraju, którego nigdy nie chciał odwiedzić do jednego narodu, którego zawsze niechętnie odpowiadał na uprzejmości. Nienawidził Anglii, i to tym mocniej, że niejedno pociągało go w niej nieprzepraczone. Ten Hindus skupił w sobie całą nieprzejechaną nienawiść wyciśniętego do zwycięży. W jego oczach najedną nie znajdował aski. Syn jednego z księstw, którego zależność od Zjednoczonego Królestwa uznawał tylko nominalnie, księstwo rodziny Tip-po-Sahiba, wychowany w duchu odwetu i zemsty, pałacowy wielki miłośnik do swojego poetycznego kraju zakutego w angielskie kajdany, nie chciał, aby noga jego stanęła kiedykolwiek na przeklętej ziemi, którą Indie zawdzięczały swojej niewoli. Księstwo Dakkar został artystą głęboko odczuwającym sztukę uczonego, poruszającym się swobodnie na nieboskłonach wynalazków wiedzy, i w swoim stanie wychowanym na dworach europejskich. W oczach tych, którzy obserwowali go nie dostrzegali, męchodzieńca kosmopolitę wiedzy, ale gardzącego czynem, za jednego z bogatych podróżników wzniosłym, a zarazem abstrakcyjnym umyślnym, jacy stale przemierzają świat i nie należą do żadnego kraju. To były tylko pozory. Ten artysta, uczonego i człowieka pozostał w głębi serca Hindusem i został przez pragnienie zemsty, jak i przez nadzieję jak żywił, że pewnego dnia zdoła upomnieć prawa swojego kraju, wypięknie borbę przywrócić mu niepodległość. Księstwo Dakkar powrócił do Bundelkundu w



1849 roku. Oeni si e szlachetn Hindusk, Serce jej tak jak i jego krwawio na widok niedoli ojczyzny. Mieli dwoje dzieci, kt ubia. Jednak e szczie rodzinne nie zdoa o przesoni u niedoli Indii. Czeka tylko na okaz. Wreszcie nadesza. Jarzmo angielskie zbyt ju ci y o ludom Indii. Ksi akkar podni gos w imieniu niezadowolonych. Przela w nich ca nienawi jak ywi do cudzoziemc Przemierzy nie tylko niepodleg e dotychczas kraje P spsu Indyjskiego, ale tak e tereny bezpo rednio podleg e administracji angielskiej. Wskrzesi w pami Hindusielkie dni Tippto-Sahiba, bohatersko poleg ego pod Seringapatam w obronie ojczyzny. W 1857 roku wybuch wielki bunt sepoj Dusz jego by ksi akkar. Wznieci olbrzymie powstanie. Odda dla sprawy wszystkie swoje zdolno ci i bogactwa. Nie szcz i siebie; bi si pierwszych szeregach; nara a swoje ycie jak ka dy z tych bohater kt powstali, a eby uwolni raj; by dziesi razy ranny w dwudziestu potyczkach, a jednak mier min go w as, gdy ostatni o nierze niepodleg o ci padli pod kulami Anglik Nigdy pot brytyjska w Indiach nie by a w takim niebezpiecze ie i gdyby, jak Hindusi na to liczyli, sepoje otrzymali jak pomoc z zewn trz, nastaby mo e kres wp yw panowania Zjednoczonego Kr twa w Azji. Imi si a Dakkara sta o si awne. Bohater nie ukrywa si walczy z otwart przy bic. Za jego g ow yznaczono nagrod chocia nie znalaz si drajca, kt by go wyda, to jednak jego ojciec, matka, ona i dzieci zap acili za niego yciem, nim dowiedzia si niebezpiecze ie, w jakim znale li si jego powodu. Jeszcze tym razem prawo zosta o zwyci ne przez si Sepoje zostali pokonani, a kraj dawnych rad pad w jeszcze wi z niewol nglik Ksi akkar, nie znalaz szy mierci, powr w g Bundelkundu. Tutaj, samotny, zdj g kim wstr m do wszystkiego, co nosi miano cz owieka, pe en nienawi ci i obrzydzenia do wiata cywilizowanego, pragn c opu ci o na zawsze, sprzedada resztki swojej fortuny, zebra ze dwudziestu najwierniejszych towarzyszy i pewnego dnia wszyscy znikn. Gdzie to ksi akkar zamierza szuka olno ci, kt nie znalaz na zamieszkaney ziemi? Pod wod, w g m tam gdzie nikt nie m go dosi Wojownik przedzierzgn si uczonego. Na bezludnej wyspie Pacyfiku postawi stoczn tutaj zbudowa wed u swoich plan kr podwodny. W spos kt kiedy stanie si nany, potrafi zu ytkowa nergi elektryczn, jej niezmiern si echaniczn, uzyskiwan z niewyczerpanych r, wykorzystuj c j do wszystkich potrzeb swojego statku, zar jako si ap w, jak te wietln i ciepln. Nieprzebrane skarby morza, miriady ryb, wodorosty i porosty morskie, olbrzymie ssaki, nie tylko to, co stworzy a tam przyroda, lecz tak e to, co zatopili ludzie, zaspokaja o w pe ni potrzeby ksi a i jego za ogi. W ten spos pe ni o si ego najgor ze pragnienie, gdy nie chcia utrzymywa adnej czno ci z ziemi. Nazwa swoj podwodn "Nautilus" \*, sam za przybra imi apitana Nemo i znikn pod powierzchni m Przez wiele lat kapitan przemierza wszystkie oceany od jednego bieguna do drugiego. Parias \*\* w wiecie cywilizowanym, potrafi zebra tych nieznanych wiatach wspania e skarby. Miliony zatopione w zatoce Vigo w 1702 roku przez hiszpa e okr sta y si niewyczerpan kopalni z ota, z kt stale korzysta, anonimowo zasilaj c narody walcz ce o wolno owojego kraju \*\*\*. Od wielu lat nie utrzymywa czno ci ze swoimi bli nymi. Nagle, pewnej nocy trzech m zyzn zosta o rzuconych na pok ad jego statku. By to francuski profesor i jego su cy oraz wielorybnik Kanadyjczyk. Trzej m zy ni wpadli do morza wskutek zderzenia "Nautilusa" z fregat Stan jednoczonych "Abraham Lincoln", kt na niego polowa a. Kapitan Nemo dowiedzia si d profesora, e "Nautilus" uwa any jest za olbrzymiego ssaka z gatunku wieloryb d te za statek podwodny o za odze z o onej z pirat cigany jest po wszystkich morzach. Kapitan Nemo

nie wyrzucił o morza tych trzech ludzi, których los wplótł w jego tajemnicze życie. Nie uczynił tego jednak, lecz trzymał ich jako więźni. Przez siedem miesięcy mogli oni podziwiać cuda podróży odbywającej się od wód na przestrzeni dwudziestu tysięcy mil. Pewnego dnia trzej rozbitkowie, nie wiedząc nic o przeszłości kapitana Nemo, zdecydowali uciec zawładnawszy "Nautilus". Ponieważ w tym czasie "Nautilus" wpadł w wiry maelström i znosił go w kierunku Norwegii, kapitan myślał, że zbiegowie porwani potęfal ponieśli śmierć od młoch. Nie wiedział więc, że Francuz i jego dwaj towarzysze zostali jakimś cudem wyrzuceni na brzeg, że znaleźli ich tam rybacy z Lofoty, że profesor po powrocie do Francji wydał książkę w której opisał siedmioletnią, niezwykłą, pełną przygług "Nautilusa", i rzucił ją na łup ludzkiej ciekawości. Długo jeszcze kapitan Nemo prowadzi ten tryb życia, wędrując po rękach morzach. Jednakże z czasem towarzysze jego wymarli i znaleźli spoczynek na koralowym cmentarzysku w głębinach Pacyfiku. Na "Nautilusie" robiła się ustka; wreszcie kapitan Nemo pozostał jedynym żyjącym stworzeniem, które przed laty razem z nim schroniło się od wodami oceanu. Kapitan Nemo miał wówczas sześćdziesiąt lat. Gdy został sam, zdecydował jeszcze doprowadzić "Nautilusa" do jednego z podwodnych portów surowych mu niekiedy za bazy. Port ten był wydobiony pod Wyspą Lincolna i w nim to "Nautilus" znalazł obecne schronienie. Już od sześciu lat kapitan pozostawał na miejscu, nie egłując, oczekując śmierci, to znaczy chwili, kiedy połączy się swoimi towarzyszami, gdy nagle przypadkowo stał się świadkiem upadku balonu unoszącego je zbiegłych z niewoli podudniowców. Ubrany w swą kufander, przechadzał się od wód o kilka kabli od brzegu, gdy inżynier wpadł do morza. Pod Lofoty jest grupa wysp na Atlantyku, u zachodnich wydrzeży Norwegii. Wpływem szlachetnego odruchu kapitan uratował Cyrusa Smitha. Z początku miał ochotę uciec od tych "pięciu rozbitków" ale jego podwodny port był zamknięty, gdy wskutek przesunięcia się lokazalu co nastąpiło pod wpływem ruchów tektonicznych "Nautilus" nie mógł przebyć rogu krypty. Tam gdzie było jeszcze dosyć wody, aby przepłynąć lekko, brakowało jej już dla "Nautilusa", mającego stosunkowo duże zanurzenie. Kapitan Nemo pozostał więc na miejscu, a potem zaczął obserwować ludzi wyrzuconych na wyspę z nadanych środków życia; nie chciał jednak być przez nich widziany. Stopniowo przekonując się, że są uczciwi, energiczni, zżyczeni ze sobą braterską przyjaźnią i zaczęli się interesować ich poczynaniami. Jak gdyby wbrew woli przeniknęły wszystkie tajemnice ich życia. W końcu mu było w skafandrze przychodziła dno wewnętrznej studni Granitowego Pałacu i wspinał się o występach skalnych aż do górnego wylotu, sęucha powiadał przeszłości rozbitków raz rozważał temat teraźniejszości i przyszłości. Od nich to dowiedział się jak wielką walkę odjęła Ameryka przeciwko Ameryce, a żeby znieść niewolnictwo. Tak! Ci ludzie nadawali się o pojednanie kapitana Nemo z ludzkością, gdy reprezentowali ją na wyspie w sposób szlachetny. Kapitan Nemo uratował Cyrusa Smitha. On to także zaprowadził psa do Komin wyrzucił Topa z jeziora, podrzucił na cyplu skrzyni zawierającą tyle pożytecznych dla kolonistów przedmiotów pułki pirog przedem rzeki, zrzucił drabin Granitowego Pałacu podczas najścia małp, dał znać obecności Ayrtona na wyspie Tabor dokumentem zamkniętym w butelce, wysadził w powietrze bryg torped umieszczoną na dnie kanału, uratował Harberta od niechybnej śmierci dostarczając siarczanu chininy, wreszcie u śmierci zbiegłych przestępców elektrycznymi pociskami o jemu tylko znanej budowie, których używał do polowania podwodnych. Tak oto można było wyrozumieć fakty, na pozór nadprzyrodzone; świadczą one o wspaniałomyślności i potęgę kapitana. Istotnie ten wielki odludek pragnął czynić obrze. Chciał jeszcze przekazać swoim protegowanym kilka pożytecznych rad.

Czujcież za, że serce wywiej mu zaczął bić gdy w obliczu śmierci wyzbył się swojej niechęci do świata, wezwał, jak wiadomo, kolonistę Granitowego Pałacu za pomoc drutu, który położył przy zagrodzie "Nautilusem", także zaopatrzoną w aparat telegraficzny. Może nie zrobiłby tego, gdyby wiedział, że Cyrus Smith zna jego dzieje i że powita go imieniem Nemo. Kapitan skończył opowiadanie o swoim życiu, a wówczas głos zabrał Cyrus Smith. Wspomniał o wszystkich dobrodziejstwach wyświadczonych całej kolonii i w imieniu swoich towarzyszy oraz swoim własnym podziwiał wspaniałomyślnemu człowiekowi, któremu tyle mieli do zawdzięczenia. Lecz kapitan Nemo nie chciał wdziękować za oddane usługi. Nurtowała go jakaś natrąta myśl i zanim wycisnął wyciągnięty dłoń, powiedział: "A teraz, proszę pana, teraz, gdy poznał pan moje życie, proszę osądzić Mój to kapitan prawdopodobnie czyni aluzję o tragicznego wydarzenia, które wiadkami byli trzej rzućeni na pokład cudzoziemcy. O wydarzeniu tym francuski profesor na pewno opowiedział w swojej książce i musiał o ono wywołać najgorsze wrażenie. Otóż kilka dni przed ucieczką profesora i jego towarzyszy "Nautilus", łowcy na pacyficznym Atlantyku przez fregatę uderzyli w nią jak taran i bez litości posadził ją na dno. Cyrus Smith zrozumiał aluzję nic nie odpowiadał. "To była angielska fregata! Zawołał kapitan Nemo stając się chwilę siem Dakkarem. "Angielska fregata, rozumie pan! Zaatakowała mnie! Byłem uwięziony w woskiej i pętykiej zatoce!... Musiałem się niej wydostać... wydostałem się". Potem dodał spokojniejszym głosem: "Czynięm sprawiedliwość, miałem prawo tak czynić. Wszędzie robięm tyle dobrego, ile mogę, i tyle złego, ile powinienem być zrobić. Sprawiedliwość polega wyjątkownie na wybaczeniu. Po tej wypowiedzi nastąpiło kilka chwil ciszy i znów przemówił kapitan Nemo: "Co teraz o mnie sądzicie? Cyrus Smith wyciągnął rękę do kapitana i poważnym głosem odpowiedział: "Kapitanie, popełnił pan błąd polegający na wierze, że można wskrzesić przeszłości walczyć pan przeciwko nieuchronnemu postępkowi. Jest to jeden z tych błędów, jaki wywołuje zachwyt u jednych, potępienie u innych. Sądzi ich jest tylko Bóg, rozum ludzki musi je rozgrzeszyć. Jeżeli ktoś myśli się o do intencji, biorąc je za dobre, można go zwalczać, ale nie przestaje się o szanować. Pana błąd należy do tych, które nie przekreślają podziwu, imiennie pana może się obawiać do historii, gdy kocha ona bohaterские szaleństwa, potępiając jednocześnie ich wyniki. Pierwszą kapitana Nemo wzniosła się ręka jego wyciągnięty się do niebu. "Będziem, czy miałem sensownie wyszeptać. Cyrus Smith ciągnął dalej: "Wszystkie wielkie czyny powracają do Boga, gdy pochodzą od Niego. Kapitanie Nemo, zebrani tutaj uczciwi ludzie, których pan wspomaga, będą opakiwana do kołowania. Harbert zbliżył się do kapitana, ukląkł i wycisnął pocałunek na jego rękę. Z oczu konającego stoczyła się łza. "Moje dziecko" szepnął. "Niech cię ogosławi! ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. Ostatnie godziny kapitana Nemo. Wola umierającego. Pamięć dla jednodniowych przyjaciół Rady udzielone kolonistom. Ostatnia chwila. Na dnie morza N. adszedł dzień gęstej krypty nie przenika najmniejszy promień. Przypływ morza zalał otwólczyć sztuczne światło, przebijał się śmigami snopami przez ściany "Nautilusa", nie osłabło i tafla wody wciąż tak samo lśniła wokół łóżka. Kapitan Nemo, wyczerpany do ostateczności, opadł na otomanę. O przetransportowaniu go do Granitowego Pałacu nie było co myśleć, gdy stanowczo oznajmił, że pozostanie na "Nautilusie" w rękach bezcennych skarbów, aby czekać na śmierć, którą miał niebawem przyjąć o niego. Okres wyczerpania, niemal omdlenia trwało do końca; przez ten czas Cyrus Smith i Gedeon Spilett z uwagą obserwowali stan chorego. Widywał, że kapitan powoli gaśnie. Jeszcze trochę zabraknie się temu cię, ongi tak

mocnemu, teraz za- stanowi- cemu w- t- pow- ok- uszy, kt- niebawem uleci. Resztk- ycia skupi- a si- sercu i w g- owie. In- ynier naradza- si- o cichu z reporterem. Czy mo- na by- o ul- y- czym- umieraj- cemu? Czy zdo- a si- je- eli nie uratowa- to przynajmniej przed- u- y- u- ycie o par- ni? On sam powiedzia- , e nie ma ju- dla niego ratunku, i czeka- na - mier- ierpliwie, bez najmniejszego l- . - Nic nie poradzimy - stwierdzi- Gedeon Spilett. - Na co on umiera? - zapyta- Pencroff. - Po prostu ga- nie - odpowiedzia- reporter. - A jednak - upiera- si- arynarz - gdyby- my go wynie- li na powietrze, na s- o- mo- e by od- y- ? - Nie, Pencroff - powiedzia- in- ynier - nic ju- nie da si- robi- Zreszt- kapitan Nemo nie zgodzi- by si- a opuszczenie statku. Od wielu lat - yje na - Nautilusie" i na - Nautilusie" pragnie umrze- . Prawdopodobnie kapitan Nemo us- ysza- odpowied- Cyrusa Smitha, gdy- uni- si- ekk- i s- abym, lecz wyra- nym g- osem powiedzia- : - Ma pan racj- Powinienem i pragn- mrze- utaj. W zwi- zku z tym mam pro- b- Cyrus Smith zbli- y- si- towarzyszami. U- o- yli oni poduszki na pos- aniu tak, by umieraj- cy m- oprze- i- ygodniej. W- as wzrok jego z- ciefr b- - dzi- o skarbach zgromadzonych w sali zalanej - wiat- em elektrycznym, rozproszonym przez arabeski jarz- cego si- ufitu. Popatrzy- kolejno na obrazy zawieszzone na wspania- ych obiciach - cian - na arcydzie- a mistrz- - oskich, flamandzkich, francuskich i hiszpa- ch, na rze- by z br- zu i z marmuru, stoj- ce na postumentach, na wspania- e organy w g- , na gabloty ustawione wok- asenu zajmuj- cego - rodek sali, gdzie ol- niewa- y wzrok najwspanialsze produkty morza - ro- liny, jamoch- o- ny, sznury pere- nieocenionej warto- ci; wreszcie wzrok jego spocz- na dewizie wypisanej na frontonie tego muzeum, na dewizie - Nautilusa". Mobilis in mobili , jak gdyby chcia- po raz ostatni popie- ci- zrokiem te arcydzie- a sztuki i przyrody, stanowi- ce jego ca- y - wiat w ci- gu d- ugoletniego pobytu w g- nie morskiej. Cyrus Smith uszanowa- milczenie kapitana Nemo i czeka- , eby konaj- cy sam zacz- m- . Po paru minutach, w czasie kt- h przesun- si- apewne przed jego oczami ca- e - ycie, kapitan Nemo zwr- si- o kolonist- e s- owami: - Czy uwa- acie, panowie, - e macie wobec mnie d- ug wdzi- no- ci?... - Kapitanie, ch- ie oddaliby- my nasze - ycie, eby przed- u- y- woje! - To dobrze - ci- gn- dalej kapitan Nemo. - Musicie mi wobec tego przyrzec, - e spe- nicie mo- j- ostatni- wol- a b- ie to zap- ata za wszystko, co dla was zrobi- em. - Przyrzekamy! - zapewni- Cyrus Smith w imieniu swoim i towarzyszy. - Jutro nie b- ju- - y- , prosz- an- odezwa! si- n- apitan. Ruchem r- powstrzyma- Harberta kt- chcia- zaprotestowa- . Jutro nie b- - y- i nie chcia- bym mie- innego grobowca ni- - Nautilus". To moja trumna. Wszyscy moi przyjaciele spoczywaj- na dnie morza, chcia- bym tam by- azem z nimi. G- ka cisza by- a odpowiedzi- na s- owa kapitana Nemo. - Pos- uchajcie mnie uwa- nie - m- dalej. - - Nautilus" jest wi- ony w tej grocie, gdy- przej si- odni- . Ale je- li statek nie mo- e opu- ci- wojego wi- enia, to przynajmniej mo- e zapa- i- otch- a- t- jest pod nim, i pochowa- oje zw- oki. Koloni- ci s- uchali s- - apitana w nabo- nym skupieniu. - Jutro po mojej - mierci, panie in- ynierze, pan i pa- towarzysze opu- cicie - Nautilusa", gdy- wszystkie znajduj- ce si- a nim skarby maj- zgin- - azem ze mn- . Pozostanie wam jedna pami- tka po ksi- u Dakkarze, kt- o dzieje teraz ju- znacie. Ta oto szkatu- ka zawiera diamenty warto- ci kilku milion- pochodz- ce w wi- zo- ci z tych czas- gdy jako m- i ojciec prawie uwierzy- em w szcz- ie, oraz kolekcj- ere- , wy- owionych przeze mnie i moich towarzyszy z g- morza. Posiadaj- c te skarby b- iecie mogli kiedy- uczyni- wiele dobrego. W takich r- ch jak pa- e, panie Smith, i pana towarzyszy, pieni- dze nie przynios- zguby. B- wi- tam, w g- , wsp- kiem waszych szlachetnych uczynk- jestem o nie spokojny. Po paru chwilach odpoczynku, jakiego wymaga- o jego wielkie wyczerpanie,

kapitan Nemo cięgnę dalej: Jutro zabierzecie szkatułę opuścicie tę aluzamykajcie za sobę drzwi. Potem wyjdziecie na platformę "Nautilusa" i zamkniecie luk, przymocowujcie go sworzniami. Zrobimy to, kapitanie powiedział Cyrus Smith. To dobrze. Następnie wsiadziecie do łodzi, którą przyjechaliście. Tylko przed oddaleniem się od "Nautilusa" podnieście do rufy i otwórzcie dwa wielkie krany znajdujące się na linii zanurzenia. Woda wejdzie do zbiorników "Nautilus" powoli zanurzy się aby spocząć na dnie oceanu. Widząc, że inżynier poruszył się niespokojnie, kapitan dodał: Nie miejcie obawy! Pochowacie moje zwłoki! Ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie mieli sprzeciwu kapitanowi Nemo. Przecież przekazywałem im swój ostatni wolę a więc nie pozostało im nic innego, jak ją spełnić. Przynajmniej panowie? zapytał kapitan Nemo. Tak, kapitanie odparł inżynier. Kapitan podziwiał skinieniem głowy i poprosił kolonistów aby go zostawili na parę godzin w samotności. Gedeon Spilett nalegał, żeby mu pozwolił zostać w wypadku kryzysu, ale konający odmówił oświadczając: Bądźmy do jutra! Wszyscy wyszli z sali i przeszli przez bibliotekę i jadalnię do maszynowni, gdzie były zainstalowane aparaty elektryczne, dostarczające "Nautilusowi" ciepła, światła, a także siły mechanicznej. "Nautilus", błądzący skarbnicę arcydzieła, sam był arcydziełem; inżyniera oczarował on zupełnie. Kolonści wyszli na platformę wznosząc się siedem czy osiem stóp nad poziom morza. Położyli się przy grubym, soczewkowym szkłem, stanowiącym jak gdyby wielkie oko, skąd padał snop promieni. Zajrzeli do środka i zobaczyli kabinę jeszcze koło sterowe. Tutaj było stanowisko sternika, gdy prowadzi "Nautilusa" przez toń, oświetlaną na dużej przestrzeni promieniami elektrycznego reflektora. Cyrus Smith i jego towarzysze trwali w milczeniu, gdy wszystko, co dotychczas zobaczyli, wywarło na nich wielkie wrażenie. Serce im się ścisnęło na myśl o tym, że ten, kto doświadczył przyszywania im z pomocą, ten opiekun, poznany zaledwie przed paroma godzinami, jest na świecie. Jakkolwiek wyrok wydadzą potomni oceniając czyny tego niezwykłego człowieka, księgi jednak na zawsze pozostanie jedną z tych niezwykłych postaci, o których pamięć nie zginie. Oto człowiek! powiedział Pencroff. Wprost nie do uwierzenia, że mógł być gdzieś w oceanie! A gdy pomyśleliśmy nie znalazł tam mojego spokoju nigdzie indziej... Może "Nautilus" przydałby się nam, aby wyruszyć na Wyspy Lincoln i dopłynąć do jakiegoś zamieszkanego lądu? odezwał się Tyrton. Do kogoś diabła zawołał Pencroff. Ja w każdym razie nie odważyłbym się iść takim statkiem. Pływało po morzu zgoda, ale pod morzem!... Co to, to nie! Wydaje mi się odparł reporter że obsługa takiego statku podwodnego jak "Nautilus" musi być bardzo prosta, Pencroff, i że szybko będziemy się do tego przyzwyczaili. Nie trzeba obawiać się urazu ani zderzenia. Kilka stóp pod powierzchnią morze jest spokojne jak jezioro. Możliwe upierał się arcydzieło ale ja zawsze wolę przyzwoity wiatr niż pokładzie dobrze osprzętanego statku. Statki są po to, by pływać po wodzie, a nie pod wodzą. Przyjaciele powiedział inżynier ta dyskusja na temat statków podwodnych, jeżeli chodzi o "Nautilus", jest bezprzedmiotowa. "Nautilus" nie należy do nas i nie mamy prawa nim dysponować. Zresztą nie przydałby się nam w żadnym razie. Nie tylko bowiem jest uwięziony w grocie zamkniętej obecnie przez wyrzucenie się skał bazaltowych, ale ponadto kapitan Nemo żyje i sobie, aby zostać po jego śmierci zatopiony razem z jego zwłokami. Wola jego jest rozkazem i wypełnimy ją uczciwie. Po dłuższej rozmowie Cyrus Smith zszedł z towarzyszami do wnętrza statku. Tu posilili się nieco, po czym wszyscy wrócili do salonu. Kapitan Nemo ocknął się z omdlenia i oczy jego znabrawały blasku. Na ustach błysnęła mu lekka uśmiech. Kolonści podeszli bliżej. Jesteście odważnymi, uczciwymi i dobrymi ludźmi, moi panowie. Wszyscy popowitali ich i zeszli do reszty dla wspólnej sprawy. Czł

was obserwowam. Dlatego pokochałem was i kocham!... Proszę dżoanie Cyrusie! Cyrus Smith wyciagnął rękę, a kapitan uśmiechnął się serdecznie, młc po cichu: Jaka to przyjemność! Potem dodał: Ale do rnie! Muszę rozmawiać was samych i o Wyspie Lincolna, gdzie znaleźliście schronienie... Czy chcecie ją porzucić? Tylko pod tym warunkiem, że wrócy na nią z powrotem! Wywo odparł Pencroff. Chcecie powrócić? Wiem, Pencroff, jak bardzo kocha pan tę wyspę i uśmiechnął się do kapitan. Przeobraziła się waszej pracy i należy do was. Mamy w projekcie, kapitanie odezwał się Cyrus Smith ofiarowa Stanom Zjednoczonym i stworzyła niej bazę naszej floty, gdy jej poświęcenie na Pacyfiku bardzo się o tego nadaje. Myślicie o swojej ojczyźnie! Pracujecie dla jej chwały, dla jej dobrobytu. Macie rację Ojczyzna!... Tam wam nie trzeba wrócić! Tam powinno się umierać. Ja umieram z dala od wszystkiego, co kocham! Czy chciałby pan moje przekazać komuś swój ostatni wol? Wywo zapytał inżynier. Albo jak pamiętkę przyjacielom, których zostawił pan w niedostępnym góh Indii? Nie, panie Smith. Nie mam już przyjaciół. Jestem ostatnim ze swego rodu... i dawno umarłem dla tych, których kiedykolwiek znałem... Ale powróć do waszych spraw. Samotność i odosobnienie to smutne rzeczy, przewyższające siły ludzkie... Ja umieram dlatego, ponieważ uwierzyłem, że można żyć samotnie!... Musicie zrobić wszystko, aby opuścić wyspę Lincolna i powrócić na ziemię rodzinną. Wiem, że ci nieznicy zniszczyli zrobiony przez was statek... Budujemy teraz nowy powieźnia Gedeon Spi-lett i to tak duży, abyśmy mogli na nim dopłynąć do jakiegoś zamieszkanego lądu; ale jeżeli uda się nam kiedykolwiek opuścić wyspę i powrócić na nią. Zbyt wiele nas z nią wiąże, abyśmy mogli o niej kiedykolwiek zapomnieć. Tu przecie poznaliśmy kapitana Nemo dorzucił Cyrus Smith. Tu będzie wy o nieskalane wspomnienie o panu dodał Harbert. I tu wam nie będzie spoczywać snem ostatnim, jeżeli... Kapitan zawahał się zamiast dokończenia, powiedział: Panie Smith, chciałbym z panem pomóc... i to tylko z panem. Towarzysze inżyniera, chcąc uszanować życzenie konającego, wyszli z sali. Cyrus Smith bawił tylko parę minut sam na sam z kapitanem i niebawem przywołał towarzyszy, nie młc im jednak, jak to tajemniczo powierzył mu umierający. Gedeon Spilett przyjrzał się horemu z wielką uwagą. Widać było, że kapitana trzyma przy życiu tylko siła ducha i że wkrótce nie zdoła już obronić i przed sabożami fizycznymi. Dziebiegał więc nie przynosząc zmiany sytuacji. Kolonistom ani na chwilę nie opuścili "Nautilusa". Nadeszła noc, co zresztą trudno było stwierdzić krypcie. Kapitan Nemo nie cierpiał, lecz gasł powoli. Jego szlachetne oblicze było spokojne, zbladło tylko wobec zbliżającej się śmierci. Z warg jego ulatywały od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe słowa. Prawdopodobnie wspominał koleje swego losu. Czuło się, że życie nieubłagane opuszcza jego ciało, gdy nogi i ręce były już zimne. Raz czy dwa zwrócił się jeszcze do kolonistów obranych u wejścia i uśmiechnął się do nich ostatnim uśmiechem, jaki zazwyczaj towarzyszy człowiekowi do grobu. Wreszcie krępo po pęcy kapitan Nemo ostatnim wysiękiem skrzyłował ramiona na piersi, jak gdyby chciał umrzeć tej pozycji. Około pierwszej resztkę życia skupił się tylko w spojrzeniu. Po raz ostatni rozbił się w renice, ongi płonęło takim ogniem. Potem, wyszeptawszy "B Ojczyzna", kapitan Nemo wydał ostatnie tchnienie. Cyrus Smith pochylił się nad nim i zamknął oczy temu, który kiedyś był księciem Dakkarem, a teraz przestał być nawet kapitanem Nemo. Harbert i Pencroff plakali. Ayrton szybko otarł oczy. Nabliżał obok reportera stojącego jak posąg. Cyrus Smith uniósł nad głowę zmarłego i powiedział: Niech B przyjmie jego duszę. Potem zwracając się do towarzyszy dodał: Mój siła tego, którego utraciliśmy! W kilka godzin później kolonistom spełnili przyrzeczenie dane kapitanowi, wykonując ostatni wol zmarłego. Opuścili

"Nautilus" unoszą z sobą jedyną pamiątkę o dobroczyńcy szkatułką zawierającą w niej, nie wynosi niejedną fortunę. Drzwi wspaniałej sali, zalanej światłem, zostały pieczołowicie zamknięte. Metalowe pokrywy luku przytwierdzono sworzniami tak szczelnie, by do "rodka Nautilus" nie przedostała się ani kropla wody. Następnie kolonijcy wsiedli do przycumowanej do statku podwodnego. Podpłynęli do rufy. Tu na linii wodnej były dwa duże krany połączone ze zbiornikami surowymi do zanurzania statku. Krany odkręcono, zbiorniki się opęniały i "Nautilus", zanurzając się powoli, zniknął pod przezroczystą tafelą. Długo jeszcze kolonijcy mogli go obserwować przez warstwy wody. Jego potężny reflektor oświetlał przejrzystą tafelę za powoli tonącą w mroku. Potem snop światła elektrycznego zniknął i niebawem "Nautilus", stawszy się robotowcem kapitana Nemo, spoczął na dnie oceanu.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. Rozważania. Powrót do przerwanej pracy. 1 stycznia 1869. Pięć na szczycie wulkanu. Pierwsze oznaki bliskiego wybuchu. Ayrton z Cyrusem Smithem w corralu. Badania w Krypcie Dakkara. Co kapitan Nemo powiedział inżynierowi. O wiecie kolonijcy w milczeniu dotarli do wylotu grotty, którą kapitan Nemo nazwał "Krypta Dakkara". Była odpływ i pod arkadą, wspartą na filarach obmywanych przez fale można było przejechać z trudem. Pozostawiono tutaj łódź poza zasięgiem fali. Przez nadmiar ostrożności Pencroff, Nab i Ayrton przywiązali ją jeszcze w miejscu całkowicie bezpiecznym do skały orzylegającej do krypty. Z nastaniem brzasku ucichła burza. Ostatnie pomruki grzmotów gdzieś na zachodzie. Deszcz przestał padać, ale niebo pokrywały jeszcze chmury. W ogólnym dzienniku, który jest tutaj początkiem wiosny, nie zapowiada się nic dobrego, wiatry zaś wciąż zmieniają kierunek, co nie pozwala liczyć na trwałą pogodę. Opuściwszy Kryptę Dakkara, Cyrus Smith z towarzyszami wszedł na Drogę Zagrody. Nab i Harbert nie tracąc czasu zwijali drut przeciwny przez kapitaną pomiędzy zagrodą a kryptą, gdy młody przydał się im. Wszyscy szli w milczeniu pod silnym wrażeniem wydarzeń z 15 na 16 października. Nie było już na wiecie kapitana Nemo, tej tajemniczej istoty, która moc ochraniała ich dotychczas tak niezawodnie, człowieka, z którym ich wyobrażenia uczyniła dobrego ducha. Wraz ze swoim "Nautilusem" spoczął na dnie otchłani. Kolonistom garnęło uczucie dziwnego osamotnienia. Przyzwyczaili się do jego skutecznej opieki a dziś już jej zabrakło. Nawet Gedeon Spilett i Cyrus Smith nie mogli się przejąć uczuciu, toteż idąc do zagrody zachowywali głośne milczenie. Około dziewiętej rano kolonijcy wrócili do Granitowego Pałacu. Wszyscy zgodnie uchwalili, że budowa statku trzeba jak najszybciej posunąć naprzód. Cyrus Smith powiedział jej bardziej niż kiedykolwiek swą zasługę i całą swoją troskę. Nikt nie mógł przewidzieć co kryje przyszłość. Dlatego też ogromnie ważne dla kolonistów było zbudowanie solidnego statku, mogącego stawić czoło burzom, i do wielkiego, aby w razie potrzeby wyruszyć z nim w daleki rejs. Gdyby nawet po wykończeniu statku kolonijcy nie zdecydowali się na opuszczenie Wyspy Lincoln i popłynęli na Wyspy Polinezyjskie czy też na Nową Zelandię to przynajmniej powinni byli możliwie prędko wybrać się na wyspę i pozostawić wiadomość Ayrtonie. Tego nie wolno było zaniedbać w żadnym razie, mając na uwadze, że jacht szkocki mógł zawitać w te strony. Wzięli się do przerwanych prac. Cyrus Smith, Pencroff i Ayrton pracowali bez wytchnienia, a gdy nie było innej, pilniejszej roboty, pomagali im także Nab, Gedeon Spilett i Harbert. Za wszelką cenę trzeba było wykonać statek za pięć miesięcy, czyli na początku marca, jeżeli zamierzono odbyć podróż na wyspę, zanim silne wiatry, występujące podczas zmiękania dnia z nocą, uniemożliwią peregrynację. Toteż ci nie marnowali ani chwili. Na szczęście nie musieli troszczyć się o osprzętowanie, gdyż mieli je przecie z brygu "Speedy". Wzięli się więc ostro do budowy kadłuba statku. Wkrótce wkrótce wkrótce, które prawie wyparły

wszystkie inne, minę koniec roku 1868. Po dwu pociągach pracy umocowano wrę i uono pierwsze klepki poszycia. Wida u byo, e plany Cyrusa Smita zda y egzamin i e statek bie dobrze trzyma si a wodzie. Pencroff wkada w t raca a dusz i zrz i bez enady, gdy kt z cie li zamienia siekier a strzelb y y liwsk . A przecie trzeba byo z my l o zimie uzupe ni apasy Granitowego Pa acu. Ale c Poczciwy marynarz by wyra nie niezadowolony, gdy w stoczni brak o pracownik W tych wypadkach, nie przestaj c gdera pracowa ze z o ci za sze ciu. Lato byo brzydkie. Przez kilka dni panowa y szalone upa y i nadmiar elektryczno ci w powietrzu wy adowywa si gwa townych burzach. Rzadko kiedy nie byo s ycha dleg ego huku grzmot By to g uchy, ale sta y pomruk, jaki si yszy w podzwrotnikowych strefach kuli ziemskiej. 1 stycznia 1869 roku rozszala a si ies ychanie gwa towna burza i nawet piorun parokrotnie uderzy w wysp Wichura po ama a wy sze drzewa, mi y innymi na po dniowym brzegu jeziora jeden z olbrzymich wi zowc cieniej cych ptaszarni Czy wicher ten mia jaki zwi zek ze zjawiskami zachodz cymi we wn zu wyspy? Czy istnia a jaka czno omi y zaburzeniami atmosferycznymi a przemianami w g kich warstwach ziemi? Cyrus Smith s dzi , e tak, gdy r cze nie z nasileniem burz zwi za y si e objawy aktywno ci wulkanu. 3 stycznia o wicie Harbert wspi wszy si a p asko-wzg , eby zaprz c onagra, zobaczy nad szczytem wulkanu olbrzymi pi usz dymu. Zawiadomi o tym towarzyszy, kt natychmiast przybiegli, aby obserwowa Franklina. Ach! krzykn Pencroff. Tym razem to nie jest para! Nasz olbrzym nie poprzestaje ju na oddychaniu, lecz zaczyna dymi To obrazowe okre lenie marynarza trafnie oddawa o zmiany, jakie zasz y w kraterze wulkanu. Od przesz o trzech miesi z krateru wydobywa a si niej lub bardziej g a para, spowodowana jedynie wrzeniem sk adnik ineralnych w g zych warstwach ziemi. Tym razem jednak zamiast pary wida y o dym unosz cy si .kszt cie szarawej kolumny o szeroko ci ponad trzystu st nasady i rozp ywaj cy si kszt cie olbrzymiego grzyba na wysoko ci siedmiu-set-o miuset st onad wierzcho kiem g W kominie p onie ogie stwierdzi Gedeon Spi- lett. W a ciwie to powinno si zy ci ulkany po ko- miniarsku zauwa y Nab najpowa niejszym w wicie tonem. A to wietnie, Nabie! A mo e podj by si racy kominiarza? wybuchn g onym miechem marynarz. Cyrus Smith uwa nie obserwowa g y dym wyrzucany przez G Franklina, a nawet nas uchiwa , jak gdyby chca pochwyci aki odleg y pomruk. Wr ciwszy do towarzyszy, od kt h oddali si ieco, powiedzia Rzeczywi cie, moi drodzy, zasz y powa ne zmiany. Musimy to sobie powiedzie twarcie. Produkty wulkaniczne nie s ju w stanie wrzenia, lecz p on , i na pewno grozi nam w niedalekiej przysz o ci wybuch. No to co, panie Cyrusie? wtr ci si encroff. Przyjrzymy si ybuchowi, a nawet mo emy bi rawo, je eli b ie udany. Nie przypuszczam, by nale a o si ym przejmowa . Chyba nie, Pencroff odrzek Cyrus Smith gdy przej cie utorowane ongi przez law est wolne, a dzi po o eniu krateru wylewa a si na dotychczas na p c. Poniewa jednak... Poniewa jednak ten wybuch nie przyniesie nam adnej korzy ci, lepiej by oby, gdyby w ognie nast pi o wiadczy reporter. Kto wie? powiedzia marynarz. Mo e w kraterze znajduje si aka po yteczna substancja, kt wulkan b ie askaw wyrzuci a my z niej skorzystamy. Cyrus Smith pokr g ow z min wiadczc , e nie spodziewa si iczego dobrego po tak gwa townie przebiegaj cych zjawiskach. On i Gedeon Spilett nie traktowali wybuchu wulkanu tak lekko jak Pencroff. Je eli nawet lawa dzi po o eniu otworu krateru nie zagra a a bezpo rednio uprawom i zalesionym terenom, to jednak mog y nast pi ne jeszcze kataklizmy.



Zdarza się rzecie do z, że wybuchom wulkanowarzysz trzenie ziemi, a takiej wyspie jak ta, utworzonej z rnorodnych skadnik granitbazaltlawy na pcy, pulchnej gleby na poudniu ktmogły nie zespoliieszcze dooc- no, zawsze grozi rozpad. Jeśli wiśsam wylew lawy nie stanowi zbyt groznego niebezpieczeńsa, to wszelkie ruchy skorupy ziemskiej, powodujce wstrzśsy, mogły okazaia wyspy tragiczne w skutkach. Wydaje mi się powiedzia Ayrton przyożywszy ucho do ziemi że e sżyszżuchy turkot, jak gdyby toczy się aadowany elaznymi obrami. Pozostali poszli w jego ludy i stwierdzili, że Ayrton miał racjęDo huku do cza o siakie podziemne wycie, narastajce stopniowo, a potem sabnace, jak gdyby przez wnęze ziemi przelatywa gwałtowny wichur. Z tego można wnioskowa e para i dym znajdowały ujcie g m przewodem, a ponieważ ta kłapa bezpieczeńsa bya do zeroka, nie nalea o si bawia e wybuch spowoduje przesuni a warstw ziemi. No i co? odezwa się reszcie Pencroff. Czy nie mamy zamiaru wr do pracy? A niech sobie GFranklina dymi, ryczy, jży, zieje ogniem i p omieniami, nie jest to jeszcze pow bymy prwali! Dalej, Ayrton, rNabie, Harbercie, panie Cyrusie, panie Gedeonie! Dzisiaj wszyscy muszą zakasa wy i do roboty! B iemy k a zd u niki. Dwana cie r k to wcale nie za du o! Bardzo bym chcia, a eby za jakie dwa miesiace nasz nowy "Bonawentura" przecie zachowamy t azw prawda? ko ys a si Porcie Balonu. A wi nie tra czasu! Tak popani przez Pencroffa kolonici zeszli do stoczni i wzi\* si o uk adania wzd u nik mocnych listew, opasujcych statek i wi cych ze sob poprzeczne wr. Praca bya trudna i wymaga a du ego wysi ku, tote wszyscy musieli si o niej przyoży. Przez ca y dzie stycznia pracowano bez wytchnie- nia, nie myl c ju o wulkanie, kt o zreszt nie by o wida wyrze a pod Granitowym Pa acem. Tylko par azy czarny cie zes oni s o odbywajce sw dzienn w po bezchmurnym niebie. By o to dowodem, e pomi y tarcz s o a wysp przesz a chmura dymu. Wiatr od morza unosi go na zach Cyrus Smith i Gedeon Spilett spostrzegli te przelotne za enia i kilkakrotnie zamienili z sob po cichu par a temat post w w pracy wulkanu, ale nikt nie przerywa zaj a. Uko nie statku w jak najkr ym czasie by o spraw nies ychanie wa n z wielu wzgl w. Wobec nieprzewidzianych okoliczno ci, jakie mogły zaj statek zwi za bezpiecze o kolonist Kto wie, czy nie stanie si n dla nich ostatni desk ratunku. Wieczorem po kolacji Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert wspi si a P askowzg Rozleg ego Widoku. Zapad ju mrok i w ciemno ci mo na si y o zorientowa czy opr pary i dymu wulkan wyrzuca z krateru p omienie albo roz arzone g azy. Krater jest ca y w ogniu! krzykn Harbert. Zwinniejszy od towarzyszy, pierwszy wdrapa si a p askowzg. G Franklina, odleg a o jakie sze il, wygl da a jak gigantyczna pochodnia, z kt bucha y j ki p omieni zmieszanych z sadz. Wraz z ogniem wydobywa o si yle popio u, dymu i u eli, przy ewajcych blask, e pomimo nocnych ciemno ci una' bij ca od krateru nie by a zbyt jaskrawa. Jednak e nad ca a wysp unosi a si aka p owa po wiata, w kt niejasno odcina y si a pierwszym planie po acie las Olbrzymie k k dymu snu y si o niebie, a w r ich tu i ie przeb yskiwa y gwiazdy. Post s gwa łtowne stwierdzi in ynier.

Nic w tym dziwnego odrzek reporter. Wulkan obudzi si u do awno. Przypomina pan sobie zapewne, Cyrusie, e pierwsze ob oczki pary ukaza y si niej wi j w tym czasie, - kiedy my przetrz sali zakamarki g aby znale ryj kapitana Nemo. By o to, je li mnie pami nie myli, gdzie oko o pi astego pa dziernika. Tak przytackn Harbert czyli

dwa i pięćdziesiąt temu. Podziemne ognie dojrzewiały przez całe dziesięć tygodni ciężko dalej Gedeon Spilett toteż nic dziwnego, że działo się wulkanu nasila się gwałtownie. Czy nie odczuwa pan lekkich drgań stopami? zapytał Cyrus Smith. Rzeczywiście przyznał Gedeon Spilett ale od tego do trzęsienia ziemi... Wcale nie twierdzę że grozi nam trzęsienie ziemi przerwał Cyrus Smith niech Bóg przed tym chroni. Nie. Te drgania spowodowane wrzeniem w centralnym kotle. Skorupa ziemska to nic innego jak ciany kotła, a przecież dobrze wiemy, że pod ciśnieniem gazociany kotła drga jak membrana. Teraz widać nie występuje to zjawisko. Co za wspaniały snop światła! zachwyca się Harbert. W tej chwili z krateru wystrzeliły jak gdyby sztuczne ognie, które nie zdołały przesłonić bok pary. We wszystkie strony rozpryskiwały się świetliste okruchy i łuski punkciki. Niektóre z nich, wzbijają się ponad dymną kopułę przecinają ją nagłym promieniem, wlokąc za sobą ogon rozjarzonego pyłu. Błyskiem towarzyszyły huk, które brzmiały jak salwy baterii armat. Po spacerowaniu przez godzinę na powrót Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert zeszli na wybrzeże i wrócili do Granitowego Pałacu. Inżynier był zamyślony, a nawet przygnęiony do tego stopnia, że Gedeon Spilett zapytał go, czy przeczuwa bliskie niebezpieczeństwo związane bezpośrednio czy pośrednio z wybuchem wulkanu. Tak i nie odpowiedział inżynier. Czy najwierzliwiej, jaka mogłaby nas spotkać nie byłoby trzęsienie ziemi mogłoby zrujnować wyspę pytał dalej reporter. A przecież nie sądzę żeby to nam groziło, gdy para i lawa znalazły już ujście na zewnątrz... Toteż nie obawiam się trzęsienia ziemi powiedział inżynier w znaczeniu, jakie zwykle nadaje się strąsom spowodowanym wybuchem gazów podziemnych. Jednakże inne przyczyny mogły spowodować nas wielkie nieszczęście. Jakże, drogi Cyrusie? Nie wiem sam... muszę się przekonać. obejrzą... Za kilka dni będziemy wiedzieli coś pewnego w tej sprawie. Gedeon Spilett nie nalegał, Niebawem, nie zważając na huk tym głośniejszy, że powtarzany wielokrotnie przez echo, mieszkańcy Granitowego Pałacu zapadli w głęboki sen. Upłynęło jeszcze trzy dni, 4, 5 i 6 stycznia. Wszyscy pracowali bez wytchnienia przy budowie statku, inżynier zaś ponaglał towarzyszy, jak tylko G. Franklina byłaby jakby w kapturze z czarnej, gromnie wyglądającej chmury i wyrzucała z siebie nie tylko płomienie, ale także rozjarzone odłamki skały; niektóre z nich wpadały z powrotem do krateru. Toteż Pencroff, biorąc wszystkie zjawiska od strony humorystycznej, mówił: Patrzcie no! Olbrzym bawi się ilbokietem! Olbrzym ongluje! Wyrzucone produkty wulkaniczne wpadały z powrotem do otchłani; prawdopodobnie lawa, wysadzana ciśnieniem od wewnątrz, nie podniosła się jeszcze do poziomu krateru. Przynajmniej z częściowo widocznej gardzieli, znajdującej się na północnym wschodzie, nie wylewała się ognisty strumień płonące zbocze gór. Tymczasem, jakkolwiek prace przy budowie statku były niesłychanie pilne, inne zajęcia także wymagały obecności kolonistów w różnych miejscach. Przede wszystkim trzeba było odwiedzić zagrodę uzupełnienia paszy dla zamkniętych w niej muflonów. Postanowiono, że Ayrton uda się tam nazajutrz, 7 stycznia. Dawał on sobie doskonale radę z pracą, którą zawsze wykonywał sam, toteż Pencroff i jego towarzysze zdziwili się bardzo, gdy uszyszeli, jak inżynier mówił do Ayrtona: Idzie pan jutro do zagrody? Pójdź z panem. Ale, panie Cyrusie sprzeciwił się marynarz nasza praca jest obliczona co do dnia i jeżeli pan tego nie zrobi, to będziemy mieli już o cztery razy mniej! Wróć zaraz następnego dnia powiedział Cyrus Smith. Mam coś do załatwienia w zagrodzie... Chcę twierdzić jak się sprawa wybuchu wulkanu. Stale wybuch i wybuch zrzucił Pencroff z mocno niezadowolonym minem. Też mi ważna sprawa ten wybuch! Wcale się nim nie przejmuję. Pomimo sarkania marynarza inżynier nie zmienił swego zamiaru. Harbert miał

wielki ochotowarzyszy, ale nie chcia jeszcze bardziej zocien-croffa. Nazajutrz skoro wit Cyrus Smith i Ayrton wsiedli na waprzny w dwa onagry i kusem odjechali do zagrody. Nad lasami snuły si ziemne chmury, bezustannie zasilane sadzami z krateru. Chmury te, nisko peźnce w powietrzu, skadały si rnorodnych substancji. Sam tylko dym z wulkanu nie byby tak dziwnie nieprzejrzysty i ci. W gęych kęch byy zawieszane rozpylone ule, czerwonawa sproszkowana ziemia wulkaniczna i szarawy popiemiaki jak najdrobniejsza mczka. Popien jest tak lekki, e niekiedy utrzymuje si powietrzu caými miesiacami. Po wybuchu wulkanu w Islandii w roku 1783 prawie przez cały rok atmosfera bya tak przesycona pyem wulkanicznym, e promienie soneczne ledwie mogły si rzez ni przedrze. Najcziej jednak te produkty wulkaniczne opadaj na ziemi tak si e stało teraz. Ledwie Cyrus Smith z Ayrtonem doszli do zagrody, gdy spad jaki ciemny nieg, podobny do prochu i natychmiast zmieni wygląd całej okolicy. Drzewa, kęki sówem, wszystko znikn pod warstw popiou kilkucalowej gruboci. Na szczie dę wiatr z pęnego wschodu i popi chmury nad morze. Dziwnie to wygląda, panie Smith odezwa si Ayrton. Tak, sprawa jest powaona odpar inynier. Ta ziemia wulkaniczna, sproszkowany pumeks, sówem, cały ten py mineralny wiadczy, jak wielkie zaburzenia nastpiy w dolnych warstwach wulkanu. Co na to moona poradzi? Nic, jedynie zorientowa i postch tego zjawiska. Niech pan si ajmie zagrodę, ja za pę przez ten czas w gę rę Czerwonego Potoku i obejrzej jak wyglądaj pęne zbocza wulkanu. A potem... Co potem, panie Smith? Potem zomy wizytę Krypcie Dakkara... Chcobaczy. Zreszt przyjdó pana za dwie godziny. Ayrton wszed pomiy zabudowania zagrody i czekajc na powrnyiera zaję si uflonami i kozami, kt zdradzały pewne zaniepokojenie wywoane pierwszymi zwiastunami wybuchu. Cyrus Smtih wdrapa si tym czasie na grzbiet wschodniego zbocza. Ominę Czerwony Potok i doszed do miejsca, gdzie w trakcie pierwszej wyprawy badawczej odkrył z towarzyszami rę siarczane. Jak e si szystko zmienió! Zamiast jednej smugi dymu naliczy ich a trzynaćcie. Strzelały z ziemi, jakby gwałtownie wypychane przez jaki tók. Byó oczywiste, e w tym miejscu nieznan si a wywiera na skorupięmsk straszliwe cińnienie. Powietrze przesycone byó oparami siarki, wodorem, kwasem wówym i parę wodn. Cyrus Smith czu drganie tufwulkanicznych, kt h peño byó w dolinie; powstały one ze sproszkowanego popiou, z biegiem czasu stwardniaęgo na kamieak dotd ładu wieęej lawy nie widałyó nigdzie. Jeszcze dokadniej stwierdzió to inynier obserwujc pęne zbocze GFranklina. Z krateru unosi si irujcy dym, wysuwały si kęki ognia, na ziemiada grad uęli, jednak e z gardzieli krateru nie wylewała si awa, co byó dowodem, e poziom jej nie osięgnę jeszcze gęgo otworu gęgo komina. Wolaębym, eby sió ju staó mruknię do siebie Cyrus Smith. Przynajmniej wiedziaębym na pewno, e lava powręa w swoje dawne koryto. Kto wie, czy nie wyrwie si na jakim nowym ujciem? Ale niebezpieczeó nie na tym polega. Kapitan Nemo sęusznie to przeczu. Nie, nie to stanowi niebezpieczeó! Cyrus Smith podszed na skraj olbrzymiej grobli, kt przeduęenie okalaó Zatokęekina. Mędokadnie przypatrzył tej strony ładom lawy. Nie wętpi ani przez chwilę e ostatni wybuch odbył si bardzo odległej epoce. Wracajc nasęuchiwa uwaęnie hukódziemnych, rozlegajcyh si ak cięgęy grzmot, przerywany niekiedy mocniejszymi wybuchami. O dziewiętej rano byó ju z powrotem w zagrodzie. Ayrton czeka na niego. Zwierz obrzędzone, panie Smith. To dobrze, Ayrton. Sę wyrańnie zaniepokojone. Tak, przemę w nich instynkt, a ten 'jest nieomylny. Kiedy zamierza pan... Niech pan we mie z sob łatarnię i krzesiwo i chodmy. Ayrton wykona polecenie.

Wyprz~~ne~~ onagry chodzi~~y~~ po zagrodzie. Zamkni~~ę~~ drzwi z zewn~~ę~~trz i Cyrus Smith, wyprzedzaj~~ę~~c Ayrtona, poszed~~ł~~ w~~sk~~ ~~ę~~cie~~ę~~k~~ę~~ wiod~~ę~~c~~ę~~ na brzeg morza. Obydwaj st~~ę~~pali jak po wacie po ~~ę~~cie~~ę~~ce zas~~ę~~anej sadzami opad~~ę~~ymi z chmur. W lesie nie wida~~ę~~y~~ę~~o ani jednego zwierz~~ę~~a. Nawet ptaki uciek~~ę~~y. Niekiedy przelotny podmuch wiatru unosi~~ę~~ do g~~ę~~popi~~ę~~ obydwa~~ę~~ koloni~~ę~~ci znajdowali si~~ę~~ g~~ę~~ym ob~~ę~~oku, tak ~~ę~~e si~~ę~~zajemnie nie widzieli. Musieli zatyka~~ę~~obie oczy i usta chustkami do nosa, a~~ę~~eby py~~ę~~ ich nie o~~ę~~lepi~~ę~~ i nie zadusi~~ę~~. W tych warunkach nie mogli i~~ę~~z~~ę~~zybko. W dodatku powietrze by~~ę~~o tak ci~~ę~~ie\*, jak gdyby wypali~~ę~~ si~~ę~~ niego ca~~ę~~y tlen, przez co sta~~ę~~o si~~ę~~no niezdatne do oddychania. Co sto krok~~ę~~rzeba by~~ę~~o przystawa~~ę~~by z~~ę~~apa~~ę~~roch~~ę~~chu. By~~ę~~o ju~~ę~~ po dziesi~~ę~~tej, gdy doszli do szczytu wielkiego spi~~ę~~zenia ska~~ę~~ bazaltowych i porfirowych, stanowi~~ę~~cych p~~ę~~cno-zachodni kraniec wyspy. Ayrton i Cyrus Smith zacz~~ę~~ schodzi~~ę~~stromym brzegiem, t~~ę~~ sam~~ę~~ okropn~~ę~~ drog~~ę~~, kt~~ę~~w pami~~ę~~ę, burzliw~~ę~~ noc zaprowadzi~~ę~~a ich do Krypty Dakkara. Przy ~~ę~~wietle dziennym schodzenie by~~ę~~o mniej niebezpieczne, a zreszt~~ę~~ warstwa popio~~ę~~ępokrywaj~~ę~~ca wypolerowane g~~ę~~azy, pozwala~~ę~~a pewniej stawia~~ę~~topy na stromych p~~ę~~aszczyznach, Niebawem doszli do skarpy stanowi~~ę~~cej przed~~ę~~u~~ę~~enie brzegu na wysoko~~ę~~ci czterdziestu st~~ę~~Cyrus Smith przypomnia~~ę~~ sobie, ~~ę~~e skarpa schodzi~~ę~~a ~~ę~~agodnym stokiem a~~ę~~ do poziomu morza. Pomimo odp~~ę~~ywu nie wynurza~~ę~~ si~~ę~~ wody ani kawa~~ę~~ek wybrze~~ę~~a i fale, zbru-kane py~~ę~~em wulkanicznym, bi~~ę~~y wprost o bazaltowe ska~~ę~~y. Cyrus Smith i Ayrton bez trudu odnale~~ę~~li otw~~ę~~ Krypty Dakkara i zatrzymali si~~ę~~rzy ostatniej skale, stanowi~~ę~~cej dalszy ci~~ę~~g skarpy wewn~~ę~~trz groty. ~~ę~~ Powinna tu by~~ę~~ę ~~ę~~ odezwa~~ę~~ si~~ę~~n~~ę~~ynier. ~~ę~~ Jest, panie in~~ę~~ynierze. ~~ę~~ M~~ę~~c to Ayrton przyci~~ę~~gn~~ę~~ę lekk~~ę~~ blaszan~~ę~~ ~~ę~~ęzk~~ę~~ukryt~~ę~~ pod sklepieniem arkady. ~~ę~~ Wsiadajmy! Wsiedli do ~~ę~~ę. Lekkie falowanie morza pcha~~ę~~o j~~ę~~ g~~ę~~ęj pod niskie sklepienie krypty; Ayrton skrzesa~~ę~~ ognia i zapali~~ę~~ latarni~~ę~~Potem chwyci~~ę~~ za wios~~ę~~a. Latarni~~ę~~mieszczono na dziobie ~~ę~~ę, tak by ~~ę~~wieci~~ę~~a do przodu. Cyrus uj~~ę~~ę ster i skierowa~~ę~~ ~~ę~~ę w czarn~~ę~~ gardziel krypty. Nie by~~ę~~o tu ju~~ę~~ ~~ę~~Nautilusa", kt~~ę~~poprzednio o~~ę~~wietla~~ę~~ ciemn~~ę~~ pieczar~~ę~~Mo~~ę~~e promieniowanie elektryczne, zasilane pot~~ę~~ym ~~ę~~r~~ę~~m energii, nadal trwa~~ę~~o pod wod~~ę~~, jednak z otch~~ę~~ani, gdzie spoczywa~~ę~~ kapitan Nemo, nie dochodzi~~ę~~ najmniejszy odblask. ~~ę~~wiat~~ę~~o latarni, aczkolwiek s~~ę~~abe, pozwoli~~ę~~o in~~ę~~ynierowi trzyma~~ę~~i~~ę~~tale prawej ~~ę~~ciany krypty. Pod sklepieniem panowa~~ę~~a grobowa cisza, przynajmniej w przedniej cz~~ę~~i; jednak p~~ę~~yn~~ę~~c dalej, Cyrus Smith us~~ę~~ysza~~ę~~ wyra~~ę~~ne pomruki dochodz~~ę~~ce z wn~~ę~~za g~~ę~~ ~~ę~~ To wulkan ~~ę~~ powiedzia~~ę~~. Niebawem razem z odg~~ę~~osami zacz~~ę~~ę dolatywa~~ę~~ocny zapach r~~ę~~ch zwi~~ę~~zk~~ę~~hemicznych; wyziewy siarki chwyta~~ę~~y za gard~~ę~~o. ~~ę~~ Oto czego obawia~~ę~~ si~~ę~~apitan Nemo ~~ę~~ mrukn~~ę~~ę Cyrus Smith, a twarz jego lekko poblada~~ę~~a. ~~ę~~ Musimy jednak dobrn~~ę~~ęo ko~~ę~~ ~~ę~~ Wi~~ę~~ p~~ę~~y~~ę~~ ~~ę~~ Ayrton, pochyliwszy si~~ę~~ nad wios~~ę~~ami, pchn~~ę~~ę ~~ę~~ę w g~~ę~~ęb krypty. W dwadzie~~ę~~cia pi~~ę~~minut od rozpocz~~ę~~a podr~~ę~~ę dobi~~ę~~a do tylnej ~~ę~~ciany i tu si~~ę~~atrzyma~~ę~~a. Cyrus Smith, stan~~ę~~wszy na ~~ę~~aweczce, o~~ę~~wietla~~ę~~ latarni~~ę~~ r~~ę~~ miejsca ska~~ę~~y, oddzielaj~~ę~~cej krypt~~ę~~d centralnego komina wulkanu. Jaka by~~ę~~a grubo~~ę~~ęj ~~ę~~ciany? Czy wynosi~~ę~~a sto, czy tylko dziesi~~ę~~st~~ę~~Nie wiadomo! Jednak podziemne odg~~ę~~osy dochodzi~~ę~~y tak wyra~~ę~~nie, ~~ę~~e nie mog~~ę~~a chyba by~~ę~~by~~ę~~ gruba. Po obejrzeniu ~~ę~~ciany na wysoko~~ę~~ci swej g~~ę~~owy, in~~ę~~ynier przymocowa~~ę~~ latarni~~ę~~o wios~~ę~~a i o~~ę~~wietli~~ę~~ ni~~ę~~ bazalty jeszcze wy~~ę~~ej. Tu, przez ledwie widoczne szczeliny i s~~ę~~abo spojone bloki skalne, przedostawa~~ę~~ si~~ę~~ryz~~ę~~cy dym, zanieczy- szczaj~~ę~~cy powietrze. ~~ę~~cian~~ę~~rzecina~~ę~~y rysy; niekt~~ę~~z nich, wyra~~ę~~niej zaznaczone, ci~~ę~~gn~~ę~~ si~~ę~~isko, zaledwie dwie czy trzy stopy ponad powierzchni~~ę~~ wody. Cyrus Smith trwa~~ę~~ chwil~~ę~~ zadumie, a potem szepn~~ę~~ę jakby do siebie samego: ~~ę~~ Tak. Kapitan mia~~ę~~ racj~~ę~~Tu tkwi niebezpiecze~~ę~~o, i to niebezpiecze~~ę~~o straszliwe. Ayrton si~~ę~~ie odezwa~~ę~~, lecz na znak in~~ę~~yniera chwyci~~ę~~ za wios~~ę~~a i w p~~ę~~odziny p~~ę~~ej obaj

opuściłi Kryptakkarą. ROZDZIAŁ DZIEWIĘNASTY. Sprawozdanie Cyrusa Smitha. Przyspieszenie budowy statku. Ostatnia wizyta w zagrodzie. Walka ognia z wodą. Co pozostało z wyspy. Decyzja spuszczenia Statku na wodę. Noc z 8 na 9 marca.

Nazajutrz rano, 8 stycznia, po całej dobie spędzonej w zagrodzie, gdzie wszystko pozostawiono we wzorowym porządku, Cyrus Smith i Ayrton wróci do Granitowego Pałacu. Inżynier natychmiast zebrał towarzyszy i oznajmił im, że Wyspa Lincolną zagraża wielkie niebezpieczeństwo i żadna siła ludzka nie jest w stanie go odwrócić. Przyjaciele zaś zakończą gościem zdradającym gośkie wzruszenie i niestety, Wyspa Lincolną nie należy do tych, które mogą przetrwać tak długo, jak kula ziemską. Skazana jest prędzej czy później na zagładę a przyczyna tej zagłady tkwi w niej samej i nic nie zdoła jej usunąć. Koloniści popatrzyli na siebie, potem na inżyniera. Nie mogli zrozumieć co chodzi. Niech pan to nam dokładnie wytłumaczy, Cyru-sie i odezwą się reszcie Gedeon Spilett. Zaraz to uczyniła w waszym imieniu przekazałam wyjątkowo udzielone mi podczas naszej kilkuminutowej poufnej rozmowy przez kapitana Nemo.

Kapitana Nemo?! zawołali wszyscy jednocześnie. Tak, jest to ostatnia przysługa, jak nam chciały wyświadczyc przed śmiercią. Ostatnia przysługa! wzruszył się Pencroff. Ostatnia przysługa! Zobaczycie, że jakkolwiek zmarły, odda nam jeszcze niejedną! Ale co powiedziały panu kapitan Nemo? zapytał reporter. A wiemy poznajcie prawdę przyjaciele. Wyspa Lincolną znajduje się w odmiennych warunkach niż pozostałe wyspy Pacyfiku, a pewna jej cecha szczegóły, o której powiedziały mi kapitan Nemo, musi prędzej czy później doprowadzić do rozpadu jej fundamenty tkwiące pod wodą. Rozpad Wyspy Lincolną! Co znowu! nie wytrzymał Pencroff i pomimo całego szacunku, jaki żywił do Cyrusa Smitha, nie mógł się powstrzymać od wzruszenia ramionami. Proszę osłuchać Pencroff. Kapitan Nemo stwierdził, zresztą ja sam tak też stwierdzę to wczoraj podczas badań przeprowadzonych w Kryptcie Dakkara, że krypta cięgnie się od wyspy aż do samego wulkanu i w głąb oddzielona jest od górnego komina ścianą. Otóż ściana ta jest obecnie poprzerzynana rysami i szczelinami, przez które przedostają się ułgi gazy siarki wytworzone we wnętrzu wulkanu. No to co? zapytał Pencroff marszcząc gwałtownie czoło. Otóż stwierdzę, że szczeliny rozszerzają się pod wpływem ciśnienia wewnętrznego, bazaltowa ściana powoli pęknie i po pewnym czasie ustąpi pod naporem wody wypełniającej kryptę. To świetnie usiłowałem jeszcze raz zażartować Pencroff. Morze zagasi wulkan i będzie po Wszystkim! Tak, po wszystkim cięgnę dalej inżynier. W tym dniu, kiedy morze wtargnie przez ścianę krypty i przedostanie się do wnętrza wyspy, gdzie wroź arzona lawa, tego dnia, Pencroff, Wyspa Lincolną wyleci w powietrze, tak jak wyleciałyaby Sycylia, gdyby Morze Przemne wtargnęło do Etny. Na to zdanie, wypowiedziane z wielką stanowczością, koloniści nie znaleźli odpowiedzi. Zrozumieli, jak wielkie niebezpieczeństwo im zagraża. Trzeba zresztą stwierdzić że Cyrus Smith nie przesadza. Już nieraz myślano, że można ugasić wulkany, wznoszące się zazwyczaj nad brzegami móczy jezior, dając do nich wolny dostęp wodzie. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że w ten sposób z kuli ziemskiej wyleciałyaby w powietrze jak kocioł, w którym zwiędzają się wprawdzie ilości ogromne przez dorzucenie nadmiernej ilości paliwa do ognia. Woda, wpadając do zamkniętej przestrzeni o temperaturze wynoszącej byle jakie tysiące stopni, przekształciła się w parę tak gwałtownie, że najtwardsza opoka nie zdołała się oprzeć. Nie ulegało zatem wątpliwości, że wyspa, zagrożona straszliwym i bliskim już rozsadzeniem, ostoi się dopiero dopóki wytrzyma ją ściana Krypty Dakkara. Nie była to

większa sprawa miesięcy czy tygodni, lecz dni, a może nawet godzin. Pierwszym uczuciem, jakie ogarnęli koloniści, był wielki żal. Nie myśleli nawet o niebezpieczeństwie zagrażającym im bezpośrednio, lecz o zniszczeniu tego skrawka ziemi, ziemi własnymi ich rękami doprowadzonej do rozkwitu, gdzie znaleźli schronienie, tej ukochanej wyspy, z której chcieli uczynić rajem i miodem płynącym. Tyle daremnych trudów, tyle pracy na marne! Pencroff nie usiłował nawet powstrzymać ukrytej złości, toczył się o jego twarzy. Rozmowa trwała jeszcze chwilę. Rozpatrywano możliwość ratunku. W rezultacie wszyscy doszli do wniosku, że nie było ani chwili do stracenia. Prace nad wykończeniem i osprzętowaniem statku należało prowadzić jak najszybszym tempie, gdy w tym właśnie kryła się jedyna szansa ratunku dla mieszkańcy Wyspy Lincoln. Nie było zbędnych ręk. Na czerstwie by się dały zbiory, polowanie, związanie zasobów granitowego Pałacu? To, co było w magazynach, wystarczyło z nawierzchnią na zaopatrzenie statku nawet na najdłuższy rejs. Najważniejsze, żeby już ktoś się nie na wodzie, zanim nastąpi nieunikniona katastrofa. Prace podjęli więc z gorączkowym pośpiechem. Na 23 stycznia statek był do porady posyty. Szczyt wulkanu nie ulegał żadnym zmianom. Z krateru wciśnięta buchała para, dym, strzelały jakieś ognia i wylatywały rozparzone kamienie. Jednakże w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty pod naporem lawy, która podeszła pod pierwszą kondygnację runęła góra stołek, tworzący czapkę wulkanu. Rozległ się otępy huk. Koloniści myśleli, że wyspa się rozpada, i wybiegli z Granitowego Pałacu. Dochodziła druga nad ranem. Niebo było całe w pomieniach. Góra stołek, skalny blok wysokości tysiąca stów, walcący miliardy funtów zwał się na wyspę, a radła w posadach. Na szczycie stołek był pochylony na pół, dzięki czemu spadł na piaszczystą rękawicę tufami i cięgno się do wulkanu a do morza. Z poszerzonego otworu krateru bił w niebo tak potężny blask, że nawet powietrze wyglądało jak rozparzone. Ręczne wezbrany potok lawy runął z nowego wierzchołka długimi kaskadami jak woda przelewająca się po naczyniu i tysiące ognistych wód popłynęły po zboczach wulkanu. Zagroda, zagroda! krzyknęły nagle Ayrton. Tak, nowym, inaczej pochylonym kraterem lawa wylewała się stroną zagrody, a więc iżne poacie wyspy, rzeki Czerwonego Potoku i Las Złoty zagrożone były natychmiastowym zniszczeniem. Na krzyk Ayrtona koloniści rzucili się do stajni ona-grzęzpręno w jedną myślną nurtowałą wszystkich: czym prędzej pociągnęli zagrody i uwolnili zwierzęta w niej zwierzę. Dotarli tam przed trzecią. Mroźne krew w rękach ryki i wiańczyły o przerażeniu, jakie ogarnęły muflony i kozy. Ze zbocza góra kawałek już potok rozparzonej lawy i płynnych kruszców lizał z jednej strony belki palisady. Ayrton gwałtownym ruchem otworzył wrota i oszalałe zwierzę rozpięchło się na wszystkie strony. Po godzinie wrzeca lawa wypełniła corral, zamieniła w parędną znajdujący się w nim strumyk, podpaliła domek, który spłonął jak wiązka słomy; wnet ogień raził także wszystkie belki ogrodzenia. Z zagrody nie pozostało ani śladu. Koloniści usiłowali walczyć ogniem, lecz było to czyn szalony i daremny, człowiek bowiem jest bezbronny wobec wielkich kataklizmów. Nadszedł dzień stycznia. Cyrus Smith chciał przed powrotem do Granitowego Pałacu zorientować się o kierunku, w jakim ostatecznie płynął potok lawy. Ogromne nachylenie terenu biegło od Góry Franklina na wschodnie wybrzeże; istniała zatem obawa, że góra Las Złoty nie powstrzyma potoku i że dojdzie on do paskowizgi. Jezioro nas osłoniła powieź Gedeon Spilett, Mam nadzieję odparł Cyrus Smith i nie odezwał się ani słowem. Koloniści chcieli dotrzeć do rzeki, gdzie runęła góra stołek wulkanu, ale drogę rzegrodziły im strumienie lawy. Płynęły one z jednej strony doliną Czerwonego Potoku, z drugiej doliną Rzeki Wodospadu, przemieniając na swej drodze obydwie rzeki w parę. Nie

byłoby moźno ci przedostania się przez potok lawy, trzeba byłoby nawet przed nim się ofn... Pozbawiony szczytu wulkan był nie do poznania. Wieźa go gęadka jak stęaszczyzna, zastęjca dawny krater. Dwie szczyby, powstaęe we wschodniej i zachodniej krawęi, dawały ujęcie lawie rozgaęajęcej sięa dwie odnogi. Ponad nowym kraterem zbierały sięhmury dymu i popioęu i mieszały się parę unoszącę sięad wyspę. Potęe grzmoty zlewały się hukiem dochodzącym z wnęza gę Z wulkanu strzelały w niebo na wysokoęprzeszęo tysięca stęuęe gęazy, rozpryskiwały się powietrzu i spadały w odęamkach jak kartacze. Na wybuchy wulkanu niebo odpowiadaęo bęyskawicami. Okoęo sięj rano poęoęenie kolonistęktę schronili sięa skraju Lasu Zęotki, staęo sięrone. Maęo, tęe pociski wulkaniczne padały dokoęa nich jak grad, ale w dodatku lawa, wylewając się koryta Czerwonego Potoku, zagraęaęa odcięem Drogi do Zagrody. Pierwsze rzę drzew juę sięaję, a kręęęęce w nich soki, gwaętownie przemienione w paręrozsadzały z hukiem pnie; inne, mniej wilgotne na razie ocalały w tej powodzi ognia. Kolonięci wręi na Drogęo Zagrody i szli krok za krokiem, jak gdyby cofając się. Jednakęe wskutek pochyęoęci terenu potok lawy szybko pęynęę na wschę gdy tylko zewnęzna warstwa twardniaęa, natychmiast napęywały nowe, wręce strumienie. Gęę nurt lawy, pęynęcy dolinę Czerwonego Potoku, stawaę sięoraz bardziej groęny. Ogieęzprzestrzenię sięa caęym obszarze lasu i olbrzymie kęę dymu snuęy sięonad drzewami, ktęh pnie skwierczały juę w lawie. Kolonięci zatrzymali sięad jeziorem, o jakieę pęili od ujęcia Czerwonego Potoku. Teraz waęyęy sięch losy: zginę czy ocaleję? Cyrus Smith, przyzwyczajony do trudnych sytuacjięcyciowych i wiedzącę, tęe ma do czynienia z ludęmi, ktę moęna powiedzieęrawdę oczy, dobrę czy zęę, odezwaę sięo pewnym czasie:   
ę Jedno z dwojga: albo jezioro powstrzyma potok lawy i węas czę wyspy ocaleje przed caękowitym zniszczeniem, albo tęe lawa ogarnie Lasy Dalekiego Zachodu i wtedy na powierzchni ziemi nie pozostanie ani jedno drzewo, ani jedna roęlina. W tym wypadku moęemy spodziewaęięedynieę mierci na tych nagich skaęach, przy czym sędzęęe nie bęiemy na nię czekaębyt dęugo, gdyę niewętpliwie wyspa wyleci w powietrze.   
ę W takim razie   
ę zawoęaę Pencroff krzyęujęc ramiona na piersi i tupięc ze zęoęcię nogę   
ę praca nad statkiem jest zbęa, prawda?   
ę Przyjacielu   
ę powiedziaę Cyrus Smith   
ę trzeba wypeęniębowięzek do koę W tym czasie strumieęwy, utorowawszy sobie drogęęręspaniaęych drzew trawionych przez ogieęotarę na sam skraj jeziora. Gdyby wzniesienie terenu byłoby cokolwiek więze, na pewno zdoęaęoby zatrzymaęotok.   
ę Do pracy!   
ę zawoęaę Cyrus Smitęi. Wszyscy zrozumieli, co ma na myęli. Na drodze potoku lawy trzeba byłoby zbudowaęamę zmusięo, aęeby rzucię sięo jeziora. Kolonięci pobiegli co tchu do stoczni i przynieęli stamtędę opaty, oskardy i siekiery. W cięgu paru godzin zdoęali z ziemi ięcięch drzew utworzyęamę wysokoęci trzech stę dęugoęci kilkuset krokę. Gdy skoęli, wydawaęo im sięęe caęa praca trwaęa zaledwie paręinut. Byę juę najwyęszy czas. Lawa prawie natychmiast podpęynę pod tamępotok jej wezbraę jak rzeka na wiosnęzagraęajęc przelaniemsię przez tęedynę przeszkodętojęcę mu na drodze do Lasęalekiego Zachodu... Jednakęe powstrzymaęa go tama: przez' krę chwilęktęwydaęa sięiecznoęcię, potok jak gdyby wahaę się wreszcie runęę do Jeziora Granta z wysokoęci dwudziestu stę. Z zapartym oddechem, bez ruchu i bez sęowa kolonięci patrzyli na walkęwęęywioęę. Cęo za widokę walka wody z ogniem! Jakie pięzdoęaęoby opisaęęcenęeęnę wspaniaęej grozy? Czyj pęel męy ję odmalowaę. Stykając się rozęarzonę lawę woda z sykiem przemieniaęa się parę. Kęę pary, wyrzucone w powietrze, wirowały unoszącę sięardzo wysoko, jak gdyby nagle otwarto wentyle jakiegoę olbrzymiego kotęa. Choęody w jeziorze byłoby bardzo duęo, musiaęa

się jednak kiedy wyczerpał się mając znikąd dopływu, gdy potok lawy, zasilany z niewyczerpanego źródła, toczy fale rozrzuconych substancji wulkanicznych. Pierwsze strumienie lawy, wpadając do jeziora, stwardniały natychmiast i spływały się, wystając nad powierzchnię wody. Po nich płynęły nowe i takież zastygały posuwając się do rowków jeziora. Utworzyła się ten sposób. Skamieniała lawa groziła wypełnieniem jeziora, które nie mogło się przelać przez brzegi, gdy woda ulatniała się postaci pary. W powietrzu rozlegała się gęszący hałas, syk i trzaski, skroplona zaś para unoszona wiatrem, spadała nad morzem w postaci deszczu. Grobla wydawała się coraz bardziej, a skamieniałe bloki lawy spływały się coraz wyżej. Tam gdzie dawniej mieniła się spokojna toższość, teraz sterczały dymy jeszcze, potężne gazy, wyglądające jak niezliczone rafy, które nagle wynurzyły się dna. W trzy godziny po wtargnięciu niepowstrzymanego strumienia lawy jezioro wyglądało tak, jakby wzburzone podczas huraganu fale pięćdziesięciodwudziestostopniowy mroźny. Tym razem woda miała ulec przemocy ognia. Dla kolonistów była to pomyślna okoliczność, że strumień wody udało się skierować do Jeziora Granta. Mieli przynajmniej przed sobą kilka dni wytchnienia. Paskowicz, Rozległego Widoku, Granitowy Pałac i stocznia były chwilowo zabezpieczone. Otoczone zostały wykorzystanych kilka dni na skoszenie poszycia i staranne uszczelnienie statku. Potem spuścił się na wodę osprzęt dopiero wtedy, kiedy był już w swoim żywiole. Ze względu na możliwość zagrożenia wybuchu pozostawanie na lądzie stawało się niebezpieczne. Ściany Granitowego Pałacu, tak dotychczas pewne, mogły w każdej chwili runąć. Przez następną sześć dni, od 25 do 30 stycznia, kolonicy wykonali w stoczni pracę wdziesiąt ludzi. Ledwie pozwalali sobie na lekki posiłek i korzystali z pamięci buchających z krateru, a żeby przy tym oświetleniu nie przerywać roboty nawet w nocy. Wylew z wulkanu trwał, może tylko stracił nieco na sile. Całe szczęście, bo Jezioro Granta było już prawie po brzegi wypełnione i gdyby nowe strumienie napłynęły na powierzchnię lawnych, niechybnie lawa przelałaby się do Paskowicza, Rozległego Widoku, a stąd na wybrzeże. Ta część wyspy była do pewnego stopnia zabezpieczona, ale w części zachodniej sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Druga odnoga lawy, płynąca szeroką doliną Rzeki Wodospadu, gdzie teren z obu stron był lekko wklęsły, nie natrafiała na żadną przeszkodę. Toteż płynny ogień szybko rozprzestrzenił się w Lasach Dalekiego Zachodu. O tej porze roku, kiedy drzewa są wysuszone upałem, las zajęty się natychmiast, tak że ogień żenił się nie tylko przy ziemi, pełzał po pniach, ale także gdzie splatające się gałęzie ułatwiały szerzenie się ognia. Zdawało się nawet, że morze ognia szybciej posuwa się wierzchołkach drzew niż potok lawy dołem. Oszalałe ze strachu zwierzęta, jak jaguary, dziki, kapibary, schroniły się z przerażeniem nad brzegami Rzeki Dziżynienia i w Bagnie Podgorzank, poza drogę do Portu Balonu. Kolonicy byli zbyt pochłonięci swoją pracą, a żeby zwracać uwagę na najgroźniejsze nawet zwierzęta. Opuścili już Granitowy Pałac i nie chcieli chronić Kominach, obozowali pod namiotem w pobliżu ujścia Rzeki Dziżynienia. Cyrus Smith i Gedeon Spilett codziennie wspinali się do Paskowicza, Rozległego Widoku; towarzyszy im niekiedy Harbert, Pencroff zaś nie wybrał się nigdy, gdy nie chciał oglądać otwornie zrujnowanej wyspy w jej nowej szacie.

Istotnie, widok był rozpaczliwy. Zalesione dawniej tereny stały się teraz pustkowiem. Jedyna kępa drzew uchowała się do samych kołospa Serpenty. Tu i tam sterczały nagie, osmalone pnie. Tam gdzie ongi bujnie krzewiły się trawy, ziemia była bardziej pustynna niż na Bagnie Podgorzank. Lawa wyparła wszystko. Pościacie ziemi, pokryte do niedawna wspaniałymi



zieleni, stanowiły teraz dzikie spiżenie tufówulkanicznych. Z dolin Rzeki Wodospadu i Dziżynienia nie spływa już do morza ani kropelka wody i gdyby Jezioro Granta wyschło całkowicie, koloniści nie mogliby nawet zaspokoić pragnienia. Na szczęście lawa oszczędza mały zakątek w południowej części jeziora, tworzący niewielki staw i przechowujący cały pozostały zapas słodkiej wody na wyspie. W kierunku północnego zachodu wznosiły się hropowate, ostre zarysy zboczy wulkanu, tworzące jak gdyby olbrzymie oparcie o ziemię. Jaki bolesny i pełen grozy widok! Jak wielki bal targa sercami kolonistów, którzy nagle ze swej żyznej posiadłości, pokrytej lasami, zroszonej rzekami, zasobnej we wszelkie skarby przyrody, zostali przeniesieni na nędzną skałkę, gdzie gdyby nie ich zapasy, nie mieliby nawet nic do jedzenia. Serce się raje, powiedziały ktoś dnia Gedeon Spilett. Racja, Gedeonie, przywiadczy inżynier. Oby Pan Bóg pozwolił nam dokończenie budowy statku, który jest naszym ostatnim ostoją. Czy pan nie uważa, Cyrusie, że wulkan jak gdyby się uspokaja? Wprawdzie wyrzuca jeszcze lawę, ale mniej obficie, jeżeli się nie myli. To nieważne, odparł inżynier. We wnętrzu nie przestaje płonąć ogień, ocean może tam wtargnąć w każdej chwili. Jesteśmy w sytuacji pasażera okrętu ogarniętego pożarem, którego nie można ugasić, wiedzą oni, że wcześniej czy później ogień dojdzie do prochowni. Do roboty, Gedeonie! Nie traci ani chwili! Przez następny tydzień żyli do 7 lutego, wylew lawy trwał nadal, jednak nie przybierał na sile. Cyrus Smith najbardziej obawiał się tego, że lawa przeleje się na wybrzeże i wtedy stocznia nie uda się uratować. Na domiar złego w tym czasie koloniści zaczęli wyczuwać jakieś podziemne drgania, które zaniepokoiły ich w najwyższym stopniu. Nadszedł dzień 7 lutego. Dopiero za miesiąc statek będzie mój opuszczać stocznia. Czy wyspa wytrzyma tak długo? Pencroff i Cyrus Smith zamierzali spuścić statek na wodę, gdy tylko kadłub będzie dostatecznie uszczelniony. Pokład, górny burt, urządzenie wewnętrzne i osprzętowanie można zrobić później; najważniejsze jest to zapewnienie sobie jakiegoś schronienia poza wyspą. Może nawet trzeba będzie zaprowadzić statek do Portu Balonu, czyli jak najdalej od centrum wybuchu, gdy w zatoce Rzeki Dziżynienia, pomiędzy wysepkiem a granitowymi scianami, mętleć z nadzieją, w razie gdyby górun. Toteż wszystkie wysiłki kolonistów mierzą się do wykonania kadłuba. Ten stan rzeczy trwa do 3 marca; jak obliczano, spuszczenie statku na wodę ogłębienie nastąpi w jakieś dziesięć dni. Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów, chociaż los tak cię do wiadczy w czwartym roku ich pobytu na Wyspie Lincolna. Nawet Pencroff jak gdyby pozbył się onurej zadumy, w jakiej pogrzebił go zniszczenie i bliska zagłada ukochanej wyspy. Wszystkie jego myśli skupiły się teraz wyłącznie na statku, gdy w nim byłaby cała ich nadzieja.

Wykonamy go, mawiał do inżyniera. Wykonamy go, panie Cyrusie! Najwyższy czas, gdy zbliża się już jesień, niebawem nastąpi zmiana dnia z nocą. Czy jeżeli tak będzie, to wyniesiemy się z wyspy i tam przezimujemy. Ale wyspa Tabor po Wyspie Lincolna! Co za nieszczęście! Nigdy bym w to nie uwierzył! Spieszmy się, nieźmiennie odpowiadał inżynier. Toteż pracowano bez wytchnienia i nie marnowano ani chwili. A gdyby kapitan Nemo? zapytał pewnego dnia Nab inżyniera. Czy sądzi pan, że to wszystko by się udało? Tak, Nabie, odparł Cyrus Smith. Co do mnie, to wcale tak nie sądzę, mruknął Pencroff do ucha Nabowi. Ani ja, z powagą szepnął Nab. W pierwszym tygodniu marca G. Franklina nabrała znęroznego wyglądu. Tysiące szklanych niteczek zastygłych w powietrzu lawy spadały jak deszcz na ziemię. Krater znęypeł się siłą brzegi. Lawa przelewała się z wszystkimi zboczami wulkanu. Jej strumienie popłynęły po skamieniałych tufach i

do reszty zniszczyły nęne kikuty drzew, które oparły się pierwszemu wybuchowi. Tym razem posunęły się na południowo-zachodnim brzegu Jeziora Granta poza Glicerynowy Potok i ogarnęły Paskowzgi Rozległego Widoku. Ten ostatni cios, zadany dzieću kolonistom był zaiste straszliwy. Z męyna, zabudowa szarni i stajen nie pozostała ani śladu. Przerazone ptaki rozleciały się na wszystkie strony. Top i Jup okazywały najwęższe przerażenie, gdy instynkt ostrzegał je przed bliską katastrofą. Dużo zwierząt zginęło w czasie pierwszego wybuchu wulkanu. Z tych, co ocalały, część znalazła schronienie na Bagnie Podgorzańek, niektórzy uciekli na Paskowzgi Rozległego Widoku. Jednakże to ostatnie schronienie zostało niebawem odcięte i strumienie lawy, wylewając się z granitowej ściany, runęły na wybrzeże jak ogniste wodospady. Ładne słowa nie potrafiły opisać psychologicznej grozy tego widoku. W nocy wyglądało to jak Niagara płynącej surmę hutniczej z unoszącymi się nad nią kłębiemi rozszarżonych gazów wrzącymi wirami u dołu. Kolonistom zostali wyparci z ostatniego swojego bastionu i mimo że gęszwy statku nie były jeszcze uszczelnione, postanowili spuścić na wodę Pencroff i Ayrton przygotowali wszystko do tej czynności. Miała się odbyć azajutrz rano, 9 marca. Jednakże w nocy z 8 na 9 marca z krateru wyrzerałiwego huk strzelił na wysokość ponad trzech tysięcy stębrzymi śup pary. Prawdopodobnie ściana Krypty Dakkara ustępiła pod ciśnieniem gazów woda runęła do centralnego przewodu zięcej ogniem otchłani i przemieniła się parę. Krater nie mógł zapewnić ostatecznego ujęcia tej masy pary. Powietrzem wstręsnę wybuch, który mógł być o sześćsto mil. Zwały skalne opadły do morza i w ciągu paru minut miejsce, gdzie była Wyspa Lincoln, pokryły fale oceanu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY. Samotna skała na Pacyfiku. Ostatnie schronienie kolonistom Wyspy Lincoln. Grobba śmierci. Nieoczekiwany ratunek. Dlaczego i w jaki sposób. Ostatnie dobrodziejstwo. Wyspa na stałym lądzie. Grobowiec kapitana Nemo. Jedynym stałym skrawkiem lędu, nie pochłonięm przez fale Pacyfiku, była skała długości trzydziestu stęszerokości pięćastu, wynurzająca się wody zaledwie na dziesięć stę. To było wszystko, co pozostało z Granitowego Pałacu! Jego ściany przewręły się potem przesunęły, gęazy zaczęły tworzące wielkie salępięzyły się uformowały ten sterczący szczyt. Wokęiego wszystko zginęło w otchłani: dolny stępek GęFranklina, wysadzony wybuchem, szczył Zatoki Rekina, Paskowzgi Rozległego Widoku, Wysepka Zbawienia, granity Portu Balonu, bazalty Krypty Dakkara, a nawet dęugi Pęsep Serpenty, tak przecię odlegęły od ęrodka wybuchu! Z Wyspy Lincoln nie pozostało nic poza węską skałę, na której znalazło schronienie szećciu kolonistom ich pies Top. W katastrofie zginęły wszystkie zwierzęta i ptaki, jak i czworonogi ę przygniecione gęazami i zatopione; niestety, nawet biedny Jup ponięęmierę jakiej ę rozpadlinie! Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Nab i Ayrton pozostali przy ęyciu jedynie dlatego, że znajdując się tej strasznej nocy w namiocie, zostali rżuceni do morza, kiedy szczyłki wyspy rozlatywały się na wszystkie strony. Wypęynęwszy na powierzchni ęie zdęali dojrzeć poza tym zwałę skalnym, sterczącym o jakie ę pęabla od nich; popęynę tu i wylędowali. Na tej to nagiej skale przeęyli ju ę dziewięć dni. Ich jedynym poęywieniem było trochę apasę Granitowego Pałacu, które mieli przy sobie, do picia zaczęły się a odrobina wody deszczowej, zebranej w zwałę skalnym. Statek ę ich ostatnia nadzieja ę był zmiaędęony. W ęaden sposób mogli opućciękały. Nie mieli ognia, nie mogli gęrzesaę. Skazani byli na zagęadę 18 marca pozostało im ęywnoęci jeszcze tylko na dwa dni, pomimo że ograniczali posięki do minimum, W tej sytuacji nie zdaęła się nic ich wiedza ani rozum. Byli rżuceni na pastwęosu. Cyrus Smith zachowywaę się spokojnie. Bardziej nerwowy Gedeon Spilett, a także Pencroff, zdję gęuchę zęoęcię, chodzili po skale tam i z powrotem. Harbert nie opuszczaę na krok inęyniera

i wpatrywa się niego jak gdyby prosił o pomoc, a przecie Cyrus Smith nie mógł jej udzielić. Nab i Ayrton z rezygnacją poddali się losowi. Ach, nieszczęście, nieszczęście! Powtarza wciąż Pencroff. Gdybyśmy mieli bodaj najniejszupinrzecha, jużbyśmy mogli dopłynąć do wyspy Tabor! A tu nic! Kapitan Nemo dobrze robi, że umarł powiedział kiedy Nab. Przez następnych pięć dni Cyrus Smith i jego nieszczęśliwi towarzysze żyli nieszczęśliwie oszczędnie, jedząc tylko tyle, by nie umrzeć głodu. Wszyscy byli ogromnie oszczędni. Harbert i Nab zaczęli już nawet majaczyć. Czy w tej sytuacji mogli zachować choćby ślady nadziei? Nie! Jaka była ich ostatnia szansa? Czy w pobliżu skały przepłynął jakiś statek? Wiedzieli jednak z pewnością do wiadomości, że tutaj prawie nigdy nie zaglądały statki. Czy mogli liczyć na to, że jakimś prawdziwie opatrznościowym zrządzeniem losu szkocki jacht przybędzie właśnie teraz na wyspę Tabor po Ayrtona? To byłoby mało prawdopodobne. Zresztą zakładając nawet, że tak się stanie, wiedzieli, że kapitan jachtu, przeszukawszy bezskutecznie wyspę, bo przecie kolonistów nie zostawiłam wiadomości o zmianach, jakie zaszły w sytuacji Ayrtona, z pewnością odpłynie z powrotem. Nie! Nie mogli mieć nadziei na ratunek. Czekała ich ikropna śmierć głodu i pragnienia na tej samotnej skale. Ale oto rankiem 24 marca Ayrton wyciągnął ramiona w kierunku jakiegoś punktu na horyzoncie, dźwignął się początkowo na kolana, potem wstał, a ręką jego dawała komuś znak... Na morzu widać było statek! Nie bójka się nie po falach na los szczęścia! Skała stanowiła wyraźny cel, do którego zdążała w prostej linii, całkiem parę, i gdyby nieszczęśliwi kolonistów mieli doświadczenia na to, by obserwować horyzont, zauważyliby go już parę godzin temu. "Duncan" wyszeptał Ayrton i padł bez zmysłów. Gdy Cyrus Smith i jego towarzysze odzyskali wreszcie przytomność, dzięki starannej opiece, jak ich otoczono, znajdowali się w kabinie jachtu parowego i nie mogli zrozumieć w jakimi sposobami śmierci. Jedno słowo wyjaśniło im wszystko. "Duncan" szepnął Ayrton. "Duncan" powtórzył za nim Cyrus Smith i unosił ramiona ku niebu dodał: "Boże Wszechmogący! A wiąż chciejcie, byśmy pozostali przy życiu! Być to istotnie "Duncan", jacht lorda Glenarvana pod dowództwem Roberta, syna kapitana Granta. Wysłano go na wyspę Tabor w celu odszukania Ayrtona i przywiezienia go do kraju po dwunastoletniej pokucie. Kolonistów byli uratowani i znajdowali się na drodze do ojczyzny. Kapitanie Robercie zapytał Cyrus Smith, gdy odbił pan od wyspy Tabor nie znalazłszy tam Ayrtona, co pana natchnęło myślą, żeby pooglądać jeszcze, o sto mil na północny wschód? Popłynęliśmy tam, panie Smith, odparł Robert Grant, nie tylko po Ayrtona, ale po was wszystkich! Po nas wszystkich? No tak! Na Wyspę Lincoln! Na Wyspę Lincoln! zawołali jednocześnie Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, zdmieni w najwyższym stopniu. Skąd pan wie o Wyspie Lincoln? dopytywał Cyrus Smith. Przecie nie ma jej nawet na mapach! Dowiedziałem się o niej z notatki pozostawionej przez was na wyspie Tabor, odpowiedział Robert Grant. Z notatki? dziwił się oraz bardziej Gedeon Spilett. No tak, oto ona. Z tymi słowami Robert Grant pokazał kartkę podając szeroko dęgi geograficzne Wyspy Lincoln, obecnego miejsca pobytu Ayrtona i pięć amerykańskich kolonistów. Kapitan Nemo. szepnął Cyrus Smith, gdy przeczytał kartkę. Poznał ten sam charakter pisma, które skreślono listem znalezionym w zagrodzie. Ach, to on wziął naszego Bonawenturę to on, sam jeden, odważył się opłynąć do wyspy Tabor! wzruszył się Pencroff. Aby zobaczyć, czy dodał Harbert. Aby wiedzieć, czy racja, gdy mówię, że nawet po śmierci kapitan odda nam jeszcze przysługę.. powiedział marynarz. Przyjaciele odezwał się Cyrus Smith głosem drżącym ze wzruszenia oby Najlitościwszy raczy przyjąć na siebie ono duszę kapitana Nemo, naszego zbawcy! Kolonistów obnażyli

głowy i razem z Cyrusem Smithem wyszeptali imię kapitana Nemo. W tym momencie do Cyrusa Smitha zbliżył się Ayrton i powiedział z wielką prostotą: "Gdzie mam umieścić krzynek? Była to szkatułka, którą Ayrton uratował z narażeniem życia w chwili, gdy wyspa zapadała się odmi. Teraz wróć do inżynierowi. Ayrton, Ayrton!" powtarzał głośno wzruszony Cyrus Smith. Potem zwrócił się do Roberta Granta: "Tam gdzie pozostawił pan zbrodniarza, zastał pan teraz człowieka, który o pokutę na wrócił na drogę czci i wiary. Jestem dumny, że mogę powiedzieć, że Robert Grant dowiedział się o niezwykłej historii kapitana Nemo i kolonistów wyspy Lincoln. Potem, oznaczywszy dokładnie położenie samotnej skały, która została naniesiona na mapę Pacyfiku, wydał rozkaz odjazdu. Po pięciodniowej podróży kolonistów wylądowali w Ameryce i zastali w Ojczyźnie spokój i okrutnej wojnie, która wynikiem był tryumf sprawiedliwości i prawa. Wiadomo, że skarb ukryty w szkatułce, pozostawionej przez kapitana Nemo, użyto na zakup ziem w stanie Iowa. Najbardziej cenniejsze perły wyłowiono przy wybrzeżach lady Glenarvan w imieniu rozbitków uratowanych przez "Duncana". Boć już gospodarzami u siebie kolonistów zaprosili do pracy, czyli do wykuwania fortuny i szczęścia, wszystkich tych, komu zamierzali ofiarować ziemię na Wyspie Lincoln. Zauważyli tu dwóch kolonistów nazwali je imieniem wyspy pochłoniętej przez fale Pacyfiku. Znajdując się w rzekach nazwano Rzeką Dziękczynienia, jedną z gór Franklina, niewielkie jezioro Jezioro Granta, lasy zaś Lasami Dalekiego Zachodu. Była to jakby wyspa na stałym lądzie. Tu pod przewodnictwem inżyniera i jego towarzyszy wszystko wnet rozkwitło. Nie zabrakło nikogo z dawnych kolonistów wyspy Lincoln. Nab nie odstąpił na krok swego pana, Ayrton zawsze chodził do powiatu Hancock, który stał się bardziej farmerem, niż kiedykolwiek marynarzem, Harbert, zdobywający wykształcenie pod kierunkiem Cyrusa Smitha, a wreszcie Gedeon Spilet, który założył się na całym świecie z najdokładniejszych informacji dziennik New Lincoln Herald wszyscy byli w komplecie. Tutaj Cyrusa Smitha i jego towarzyszy nieraz odwiedzali lord i lady Glenarvan, kapitan John Mangles z siostrą Roberta Granta, Robert Grant i major Mac Nabbs swoim, wszyscy zamieszani w dzieje kapitana Granta i kapitana Nemo. Tu wreszcie wszyscy byli szczęśliwi, zjednoczeni braterstwem tak jak dawniej. Nigdy jednak nie zapomnieli o wyspie, na którą przybyli nadzi i boski i gdzie przez cztery lata nie zbywało im na niczym, o tej wyspie, którą pozostała jedynie samotna, granitowa skała smagana falami Pacyfiku i grobowiec tego, który zwał się kapitanem Nemo.